



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Pisma Henryka Sienkiewicza

Henryk
Sienkiewicz

7123.1.1

Harvard College Library



FROM THE FUND OF
FREDERICK ATHEARN LANE
OF NEW YORK
(Class of 1849)



OGNIEM I MIECZEM

II

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM VII



OGNIEM I MIECZEM

TOM II



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYGA I SPÓŁKI.

Henryk Sienkiewicz

OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH

TOM II

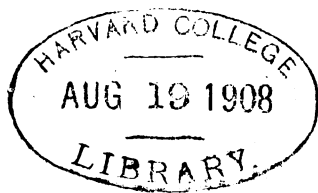
WYDANIE SIÓDME

NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

MANISZEWSKI i MEINHART
KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT
w Lwowie, plac Halicki 3.

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Slav 7/23.1.1



Lane fund

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Февраля 1901 г.

ROZDZIAŁ I.

Aby wyjaśnić, co zaszło w Rozłogach, należy nam się cofnąć nieco w przeszłość, aż do owej nocy, w której pan Skrzetuski wyprawił Rzędziana z listem z Kudaku do starej kniahini. List zawierał usilną prośbę, by kniahini, zabrawszy Helenę, jechała jaknajspieszniej do Łubniów, pod opiekę księcia Jeremiego, gdyż wojna rozpocznie się lada chwila. Rzędzian, siadłszy na czajkę, którą pan Grodzicki z Kudaku po prochy wyprawił, ruszył w drogę i odbywał ją wolno, bo płynęli w górę rzeki. Pod Krzemieńczugiem spotkali wojska płynące pod wodzą Krzeczowskiego i Barabasza, przez hetmanów przeciw Chmielnickiemu wyprawione. Rzędzian widział się z Barabaszem, któremu zaraz opowiedział, jakie niebezpieczeństwa z jazdy na Sicz dla pana Skrzetuskiego wyniknąć mogą. Prosił zatem starego pułkownika, by po spotkaniu się z Chmielnickim, nie omieszkał silnie upomnieć się o posła. Poczem ruszył dalej.

Do Czehryna przybyli świtaniem. Tu zaraz otoczyły ich strażę semenów, pytając, coby byli za jedni. Odpowiedzieli, że z Kudaku, od pana Grodzickiego z listem do hetmanów jadą. Mimo to wezwano starszego z czajki i Rzędziana, by szli opowiedzieć się pułkownikowi.

— Jakiemu pułkownikowi? — pytał starszy.

— Panu Łobodzie — odpowiedzieli essaulowie ze straży — któremu hetman w. rozkazał wszystkich przybywających od Siczy do Czehryna zatrzymywać i badać.

Poszli. Rzędzian szedł śmiało, gdyż nie spodziewał się niczego złego, widząc, że tu już rozciąga się moc hetmańska. Zaprowadzono ich blisko Dzwonieckiego węgła, do domu pana Żeleńskiego, w którym była kwatera pułkownika Łobody. Ale powiedziano im, że pułkownik jeszcze świtaniem do Czerkas wyjechał i że zastąpi go podpułkownik. Czekali więc dość długo, aż nakoniec drzwi się otworzyły i oczekiwany podpułkownik ukazał się w izbie.

Na jego widok zadrżały pod Rzędzianem kolana. Był to Bohun.

Moc hetmańska rozciągała się wprawdzie jeszcze w Czehrynie, ale że Łoboda i Bohun nie przeszli dotąd do Chmielnickiego, a natomiast przeciwnie: głośno opowiadali się przy Rzeczypospolitej, przeto hetman w. im właśnie wyznaczył postój w Czehrynie i strażować tam rozkazał.

Bohun siadł za stołem i począł badać przybyłych.

Starszy, który wiozł list pana Grodzickiego, odpowiedział za siebie i za Rzędziana. Po obejrzeniu listu młody podpułkownik począł troskliwie wypytywać, co w Kudaku słychać, i widocznem było, iż miał wielką ochotę wywiedzieć się, z czem pan Grodzicki do hetmana w. ludzi i czajkę wysyłał. Ale starszy nie umiał mu na to odpowiedzieć, a list był sygnetem pana Grodzickiego przywarty. Wybadawszy ich tedy, Bohun już miał odprawiać i do kalety sięgał, aby zaś napiwek od niego mieli, gdy wtem drzwi się otwarły i pan Zagłoba wleciał jak piorun do izby.

— Słuchaj, Bohun — wołał — zdrajca Dopuło najlepszy trojniak utail. Poszedłem z nim do piwnicy — patrzę: siano, nie siano wedle węgła. Pytam: co jest? rzeknie: suche siano! Kiedy nie spojrzę bliżej, aż tu leb od gąsiorka wygląda, jak Tatar z trawy. O! taki synu! mówię, podzielimy się robotą, ty zjesz siano, boś wół, a ja miód wypiję, bom człowiek. Przyniosłem też gąsiorek na godziwą próbę, daj jeno kubków.

To rzekłszy, pan Zagłoba jedną ręką pod bok się ułapił, drugą podniósł gąsiorek nad głową i śpiewać począł:

Hej Jaguś, hej Kunduś, daj jeno szklanic,
Daj autem i pysia, nie zważaj na nic.

Tu pan Zagłoba przerwał nagle, ujrawszy Rzędziana, postawił gąsiorek na stole i rzekł:

— O jak mnie Bóg miły, toż-to pacholek pana Skrzetuskiego.

— Czyj? — spytał śpiesznie Bohun.

— Pana Skrzetuskiego, namiestnika, któren do Kudaku pojechał, a mnie tu przed wyjazdem takim miodem łubniańskim częstował, że niech się każdy inny z pod wiechy schowa. Co zaś się z twoim panem dzieje? co? Zdrów-li?

— Zdrów i kazał się waszmości kłaniać — rzekł zmieszany Rzędzian.

— Wielkiej to jest fantazyi kawaler. A ty jakże się w Czehrynie znalazłeś? Czemu cię to pan z Kudaku odesłał?

— Pan jako pan — rzecze na to pacholik — ma swoje sprawy w Łubniach, za którymi mnie wrócić kazał, bo i nie miałem co robić w Kudaku.

Przez cały ten czas Bohun patrzył bystro na Rzędziana, nagle rzekł:

— Znam i ja twego pana, widziałem go w Rozłogach.

Rzędzian przekrzywił głowę i nadstawiwszy ucha, niby to nie dosłyszawszy, spytał:

— Gdzie?

— W Rozłogach.

— To Kurcewiczów — rzekł Zagłoba.

— Czyje? — pytał znów Rzędzian.

— Widzę, żeś coś ogłuchł — zauważył sucho Bohun.

— Bom się też nie wyspał.

— To się jeszcze wypisz. Powiadasz tedy, że twój pan wysłał cię do Łubniów?

— A jakże.

— Pewnie tam ma jaką podwikę — wtrącił pan Zagłoba — do której afekt przez ciebie przesyła.

— Czy ja tam wiem, mój jegomość, może ma, a może i nie ma — rzecze Rzędzian.

Następnie skłonił się Bohunowi i panu Zagłobie.

— Niech będzie pochwalony — rzekł, zabierając się do odejścia.

— Na wieki! — odparł Bohun — poczekaj-no, ptaszku, nie śpiesz się. A czemuś to ty przedemną tail, żeś jest pacholikiem pana Skrzetuskiego?

— A bo mnie jegomość i nie pytał, a ja sobie myślę: co mam o byle czem mówić. Niech będzie pochwalo...

— Poczekaj — mówię. — Listy jakowe od pana wieziesz?

— Pańska rzecz pisać, a moja jako sługi oddać,

ale jeno temu, do kogo są pisane, zaczem niech mi będzie wolno pożegnać w. w. m. panów.

Bohun zmarszczył swe sobole brwi i w ręce klasnął. Natychmiast dwóch semenów wpadło do izby.

— Obszukać go! — zawołał, wskazując na Rzędziana.

— Jakom żyw, gwałt mi się tu dzieje! — wrzeszczał Rzędzian. — Jam jest też szlachcic, choć sługa, a w. m. panowie w grodzie za ten postępek będziecie odpowiadali.

— Bohun! zaniechaj go! — wtrącił pan Zagłoba.

Ale tymczasem jeden z semenów znalazł w Rzędzianowem zanadrzu dwa listy i oddał je podpułkownikowi. Bohun kazał zaraz pójść precz semenom, bo nie umiejąc czytać, nie chciał się z tem przed nimi zdradzić. Poczem, zwróciwszy się do Zagłoby, rzekł:

— Czytaj, a ja na pacholka uważał będę.

Zagłoba przyknął lewe oko, na którym miał skalęk i czytał adres:

— „Mnie wielce miłościwej pani i jejmości dobrodziejce J. O. kniahini Kurcewiczowej w Rozłogach“.

— Toś ty, rarożku, do Łubniów jechał i nie wiesz gdzie Rozłogi? — rzekł Bohun, poglądając strasznym wzrokiem na Rzędziana.

— Gdzie mi kazali, tamem jechał! — odparł pacholek.

— Mam-li otworzyć? Sigillum szlacheckie święta rzecz — zauważył Zagłoba.

— Mnie tu hetman w. dał prawo wszelakie pisma przeglądać. Otwieraj i czytaj.

Zagłoba otworzył i czytał:

— „Mnie wielce miłościwa pani etc. Donoszę W.

M. Pani, jakom już w Kudaku stanął, skąd, daj Boże szczęśliwie, dzisiejszego rana na Sicz jechał będę, a teraz nocą tu piszę, od niespokojności spać nie mogąc, aby was zaś jaka przygoda od tego zbója Bohuna i jego hultajów nie spotkała. A że mnie tu i pan Krzysztof Grodzicki powiadał, że rychło patrzeć, jak wielka wojna wybuchnie, od której się też i czerń podniesie, przeto zaklinam i błagam W. M. panię, byś eo instante, choćby i stopy nie wyschły, choćby wierzchem, zaraz z kniaziówną do Łubniów jechać raczyła i tego nie poniechała, gdyż ja na czas wrócić nie zdołam. Którą prośbę racz W. M. P. zaraz spełnić, abym o szczęśliwość mnie przyrzeczoną mógł być bezpiecznym i za powrotem się rozradować. A co masz W. M. pani z Bohunem kunktować i mnie przyrzekłszy dziewczkę, jemu ze strachu piaskiem w oczy rzuć, to lepiej sub tutelam księcia, mego pana się schronić, którego praesidium do Rozłogów wysłać nie omieszka, a tak i majątność ocalicie. Przyczem mam zaszczyt etc. etc.*

— Hm! mości Bohunie — rzekł pan Zagłoba — usarz coś rogi ci chce przyprawić. Toście do jednej dziewczki szli w koperczaki? Czemuś nie mówił? Aleć się pociesz, bo i mnie się raz zdarzyło...

Nagle rozpoczęta facecya skonowała na ustach pana Zagłoby. Bohun siedział nieporuszenie przy stole, ale twarz jego była jakby konwulsyami ściągnięta, blada, oczy zamknięte, brwi sfaldowane. Działo się z nim coś straszego.

— Co tobie? — spytał pan Zagłoba.

Kozak począł gorączkowo ręką machać, a z ust jego wyszedł przyciszony, chrapliwy głos:

— Czytaj, czytaj drugie pismo.

— Drugie jest do kniaziówny Heleny.

— Czytaj, czytaj!

Zagłoba zaczął:

„Najsłodsza umiłowana Halszko, serca mego pani i królowo! Gdy po służbie książęcej jeszcze nie mały czas w tych stronach zostać muszę, piszę tedy do stryjny, abyście do Łubniów zaraz jechały, w których żadna twej niewinności szkoda zdarzyć się od Bohuna nie może i wzajemny afekt nasz na szwank narażon nie będzie...”

— Dosyć — krzyknął nagle Bohun i porwawszy się w szale od stołu, skoczył ku Rzędzianowi. Obuch zawarczał w jego rękę i nieszczęsny pacholik, uderzony wprost w piersi, jęknął tylko i zwałił się na podłogę. Oblęd porwał Bohuna: rzucił się na pana Zagłobę i wyrwał mu listy.

Zagłoba, porwawszy gąsiorek z miodem, skoczył ku piecowi i krzyczał:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Czleku, czyś ty się wściekł, czyś oszalał? Uspokójże się, zmityguj! Wsadźże leb w wiadro, do stu dyablów — słyszyszże mnie!

— Krwi, krwi! — wyl Bohun.

— Czy ci się rozum pomieszał? Wsadźże leb w wiadro, mówię ci! Masz już krew, rozlałeś ją i to niewinnie. Już ten nieszczęsny wyrostek nie dysze. Dya-
bel cię opętał — alboś sam dyabel z ostatkiem. Opa-
miętajże się, a nie, to jechał cię sęk, pogański synu!

Tak krzyząc, pan Zagłoba przesunął się z drugiej strony stołu ku Rzędzianowi i schyliwszy się nad nim, jął go macać po piersiach i rękę mu do ust przykładac, z których krew się rzuciła obficie.

Bohun uchwycił się tymczasem za głowę i skowy-

czal, jak ranny wilk. Potem padł na ławę, nie przestając skowyczeć, bo się w nim dusza z wściekłości i bólu rozdarła. Nagle zerwał się, dobiegł do drzwi, wywalil je nogą i wypadł do sieni.

— Lećże na złamanie karku! — mruknął do siebie pan Zagłoba. — Leć i rozbij łeb o stajnię albo sto-dolę, chociaż jako rogal bóstć śmiało możesz. A to furia! Jeszczem też nic podobnego w życiu nie widział. Zębami tak kłapał, jak pies na zalotach. Ale ten pacholek żywie jeszcze niebożatko. Dalibóg, jeżeli mu ten miód nie pomoże, to chyba zełgał, że szlachcic.

Tak mrużąc, pan Zagłoba wsparł głowę Rzędziana na swych kolanach i począł mu zwolna sączyć trojniak do ust zsiniałych.

— Obaczymy, czy masz dobrą krew w sobie — mówił dalej do omdlałego — gdyż żydowska, podłana miodem, albo-li winem, warzy się; chłopska, jako leniwa i ciężka, idzie na spód, a jeno szlachecka animuje się i wyborny tworzy likwor, którego ciału daje męstwo i fantazyą. Innym też nacyom różne dał Pan Jezus napitki, aby zaś każda miała swoją stateczną pociechę...

Rzędzian jęknął słabo.

— Aha, chcesz więcej! Nie, panie bracie, pozwólże i mnie... ot tak. A teraz, gdyś już dał znak życia, chyba cię przeniosę do stajni i położę gdzie w kącie, aby cię ten smok kozacki do reszty nie rozdarł, gdy wróci. Niebezpieczny to jest przyjaciel — niechże go dyabli porwą, bo widzę, że rękę chyższą ma od rozumu.

To rzekłszy, pan Zagłoba podniósł Rzędziana z ziemi, z łatwością, znamionującą niezwykłą siłę i wyszedł do sieni, a następnie na podwórzec, na którym kilkunastu

semenów grało w kości na rozścielonym na ziemi kilimku. Ujrawszy go, powitali, on zaś rzekł:

— Chłopcy, a wzięno mi tego pacholka i położył na sianie. Niech też który skoczy po cyrulika.

Rozkaz spełniono natychmiast, bo pan Zagłoba, jako przyjaciel Bohuna, wielkie miał zachowanie u kozaków.

— A gdzie to pułkownik? — spytał.

— Kazał sobie dać konia i pojechał do kwatery pułkowej, a nam też kazał być w gotowości i konie mieć posiadłane.

— To i mój gotowy?

— Gotowy.

— To dawaj. Znajdę tedy pułkownika przy pułku?

— A oto i on nadjeżdża.

Rzeczywiście przez sklepioną ciemną bramę domostwa widać było Bohuna nadjeżdżającego z rynku, za nim zaś ukazały się zdala spisy stu kilkudziesięciu młojców, widocznie gotowych do pochodu.

— Na koń! — wołał przez sień Bohun na pozostałych na podwórku semenów. Wszyscy ruszyli się co żywo, Zagłoba wyszedł przed bramę i spojrział uważnie na młodego watażkę.

— W pochód ruszasz? — spytał go.

— Tak jest.

— A dokąd czort prowadzi?

— Na wesele.

Zagłoba przysunął się bliżej.

— Bój się Boga, synku! Hetman kazał ci miasta strzedz, a ty i sam jedziesz i semenów wyprowadzasz. Rozkaz złamiesz. Tu tłumy czerni czekają tylko chwili sposobnej, by się na szlachtę rzucić — miasto zgubisz, na gniew hetmański się narazisz.

— Na pohybel miastu i hetmanowi!

— O głowę twoją idzie.

— Na pohybel i mojej głowie!

Zagłoba poznał, że próżno było gadać z kozakiem. Zaciął się i choćby siebie i innych miał pogrześć, swego musiał dokazać. Domyślał się też Zagłoba, dokąd wyprawa miała ruszyć, ale sam nie wiedział, co ze sobą począć; jechać z Bohunem, czy zostać. Jechać było niebezpiecznie, bo znaczyło toż samo, co wrazić się w wojennych, surowych czasach, w awanturniczą gardłową sprawę. A zostać? Czerń istotnie czekała tylko wieści z Siczy, chwili hasła do rzezi, a możeby i nie czekała nawet, gdyby nie tysiąc semenów Bohuna i jego wielka powaga na Ukrainie. Mógł się wprawdzie pan Zagłoba schronić i do obozu hetmanów, ale miał swoje powody, dla których tego nie czynił. Była-li to kondemnatka za jakie zabójstwo, czy też mankamencik w księgach, on sam jeden tylko wiedział, dość, że nie chciał w oczy leżeć. Żal mu było Czehryna porzucać! Tak mu było dobrze, tak tu nikt o nic nie pytał, tak już pan Zagłoba zżył się tu ze wszystkimi, i ze szlachtą, i z ekonomami starościńskimi i ze starszyzną kozacką. Prawda, że starszyzna rozjechała się teraz, a szlachta siedziała cicho po kątach, bojąc się burzy, ale przecie był Bohun kompan nad kompan, bibosz nad bibosze. Poznawszy się przy szklenicy, zbratali się z Zagłobą od razu. Odtąd nie widziano jednego bez drugiego. Kozak sypał złotem za dwóch, szlachcic łąał, i obu, jako niespokojnym duchom, dobrze było ze sobą.

Gdy tedy teraz przyszło albo pozostać w Czehrynie i pod nóż czerni iść, albo jechać z Bohunem, pan Zagłoba zdecydował się na to ostatnie.

— Kiedyś taki desperat — rzekł — to pojedę i ja z tobą. Możeć się przydam, albo pohamuję, gdy będzie trzeba. Już my tak dopasowali ze sobą, jako hetka z pętelką, alem się tego wszystkiego nie spodziewał.

Bohun nie odrzekł nic. W pół godziny później dwieście semenów stanęło w pochodowym ordynku. Bohun wyjechał na czoło, a z nim i pan Zagłoba. Ruszyli. Chłopi, stojący tu i owdzie kupami na rynku, spoglądali na nich z podelbów i szeptali, zgadując gdzie jada, czy wrócą prędko, czy nie wrócą.

Bohun jechał milczący, zamknięty w sobie, tajemniczy, a posepny jak noc. Semenowie nie pytali, gdzie ich wiedzie. Za nim gotowi byli iść, choćby na kraj świata.

Po przeprawie przez Dniepr, wjechali na gościniec lubniański. Konie szły rysią, wzbijając tumany kurzawy, ale że dzień był skwarny, suchy, wkrótce pokryły się pianą. Zwolnili tedy biegu i rozciągnęli się długiem, przerywanem pasmem po gościńcu. Bohun wysunął się na-przód, pan Zagłoba zrównał się z nim, chcąc zacząć rozmowę.

Twarz młodego watażki była spokojniejsza, jeno smutek śmiertelny malował się na niej widocznie. Rzekł-bys: dal, w której wzrok ginął po północnej stronie za Kahamlikiem, bieg konia i powietrze stepowe, uciszyły w nim tę burzę wewnętrzną, która się zerwała po przeczytaniu listów, wiezionych przez Rzędziana.

— Żar z nieba leci — rzekł pan Zagłoba — aż słoma w butach parzy. I w płóciennym kitlu za gorąco, bo wiatru wcale niema. Bohun, słuchaj-no, Bohun!

Watażka spojrział swemi głębokimi, czarnymi oczyma, jakby ze snu zbudzony.

— Uważ-no, synku — mówił pan Zagłoba — aby

cię melankolia nie zajadła, która gdy z wątroby, gdzie jest właściwe jej siedlisko, do głowy uderzy, snadnie rozum pomieszać może. Nie wiedziałem, że tak romansowy z ciebie kawaler. Musiałeś się w maju rodzić, a to jest miesiąc Wenery, w którym taka jest lubość aury, że nawet wiór ku drugiemu wiórowi afekt czuć poczyna, ludzie zaś w onym miesiącu urodzeni większą od innych mają w kościach do białogłów ciekawość. Wszelako ten wygrał, kto się pohamować potrafi, dlatego radzę ci: lepiej ty zemsty poniechaj. Do Kurcewiczów słuszny możesz mieć rankor, ale albo to jedna dziewczka na świecie?

Bohun, jak gdyby nie Zagłobie, jeno własnemu żalowi odpowiadając, ozwał się głosem do zawodzenia. niż do mowy, podobniejszym:

— Jedna ona zuzula, jedna na świecie!

— Choćby też i tak było, to skoro ona do innego kuka, nic z tego. Słusznie mówią, że serce jest to woleńtarz, któren pod jakim chce znakiem służyć, pod takim służy. Zważ przytem, że dziewczka to jest wielkiej krwi, bo Kurcewicze, słyszę, od książąt ród wywodzą... Wysokie to progi.

— Do czorta-że wasze progi, wasze rody, wasze pergaminy — tu watażka uderzył z całą siłą w głównię szabli — ot mnie ród, ot mnie prawo i pergamin, ot mnie swat i družba! O zdrajcy! o wraza krew przekłeta! Dobry wam był kozak, druh był i brat, do Krymu z nim chodzić, dobro tureckie brać, łupem się dzielić. Ej, hołubili i synkiem zwali, i dziewczkę przyrzekli, a teraz co? Przyszedł szlachcic, Laszek cacany, i ot, kozaka, synka i druha odstąpili — duszę wydarli, serce wydarli, in-nemu donia, a ty choć ziemię gryź, ty kozacze, terpy, terpy!...

Watałce głos zadrgał; zęby ścisnął, pięściami o pierś szeroką tętnić począł, aż echo, jak z podziemia, z niej wychodziło.

Nastała chwila milczenia. Bohun oddychał ciętko. Ból i gniew targaly naprzemian zdziczałą, nieznającą hamulca duszę kozaka. Zagłoba czekał, aż się zmorduje i uspokoi.

— Co tedy chcesz czynić, junaku nieszczęsny, jak postąpisz?

— Ja kozak — po kozacku!

— Hm, już widzę, co to będzie. Ale mniejsza z tem. Jedno ci tylko powiem, że to jest państwo wiśniowieckie i do Łubniów niedaleko. Pisał pan Skrzetuski onej kniahini, żeby się tam z dziewczką schroniła, to znaczy, że one są pod książęcą opieką, a księżę srogi lew...

— I chan lew, a ja mu w gardziel właził i ogniem w ślepie świecił.

— Co ty, szalona głowo, księciu chcesz wojnę wypowiadać?

— Chmiel i na hetmanów się porwał. Co mnie wasz książe!

Pan Zagłoba stał się jeszcze niespokojniejszy.

— Tfu! do dyabła. A to po prostu rebelią pachnie! *Vis armata, raptus puellae* i rebelia — to niby kat, szubienica i stryżek. Dobra szóstka, możesz nią zajechać, jeśli nie daleko, to wysoko. Kurcewicz też bronić się będą.

— Taj co? Albo mnie pohybel, albo im. Ot, ja *duszu by szubryw* za nich, za Kurcewiczów, oni mi byli bracia, a stara kniahini mać, której ja w oczy jak pies patrzył! A jak Wasila Tatary złapały, tak kto do Krymu poszedł, kto go odbił? — ja; kochał ich i służył im jak rab, bo myślał, że tę dziewczynę wysłużę. A oni za to

prodały, prodały мене jak raba, na służu dolu i na neschatje... Wygnali precz — no, tak i pójdę, tylko się wprzód pokłonię; za sól i chleb, com u nich jadł, po kozacku zapłacę — i pójdę, bo swoją drogę *znaju*.

— I gdzie pójdiesz, gdy z księciem zaczniesz, do Chmiela obozu?

— Żeby mnie tę dziewczkę dali, jaby był wasz lacki brat, wasz druh, wasza szabla, *dusza wasza zaklataja*, wasz pies. I wziąłby swoich semenów, innych z Ukrainy skrzyknął, taj na Chmiela i na rodzonych braci zaproskich ruszył i kopytami rozniósł. A chciałby za to nagrody — nie! Ot, wziąłby dziewczynę i za Dniepr ruszył, na Boży step, na dzikie ługi, na ciche wody — i mnieby było dosyć a teraz...

— Teraz się wściekł.

Watażka nic nie odrzekł, konia nahajem uderzył i pomknął naprzód, a pan Zagłoba począł rozmyślać, w jakie to tarapaty się dostał. Nie ulegało wątpliwości, że Bohun zamierzał na Kurcewiczów napaść, krzywdę swą pomścić i dziewczynę przemocą zabrać. I w tej imprezie byłby mu jeszcze pan Zagłoba kompanii dotrzymał. Na Ukrainie trafiały się takie sprawy często, a czasem i uchodziły płazem. Wprawdzie, gdy gwałtownik nie był szlachcicem, rzecz wikłała się i stawała się niebezpieczniejszą, ale za to wymiar sprawiedliwości na kozaku był trudny, bo gdzie go było szukać i łapać? Po przestępstwie zbiegał w dzikie stepy, gdzie ręka ludzka nie sięgała — i tyle go widziano — a gdy wybuchła wojna, gdy Tatarzy kraj naszli, wtedy przestępca wypływał znowu, bo wtedy spały prawa. Tak mógł uchronić się od odpowiedzialności i Bohun, a pan Zagłoba nie potrzebował mu przecie czynnie pomagać i brać na

siebie połowy winy. Nie byłby wreszcie tego w żadnym razie czynił, bo choć mu Bohun był przyjacielem, wszelako nie wypadało Zagłobie, szlachcicowi, w komitywę z kozakiem przeciw szlachcie wchodzić, zwłaszcza że pana Skrzetuskiego znalazł i pił z nim. Pan Zagłoba był warchoł nielada, ale jego warcholstwo miało pewną miarę. Hulać po karczmach czechryńskich z Bohunem i inną starszyzną kozacką, zwłaszcza za ich pieniądze — i owszem; wobec gróźb kozackich dobrze nawet było takich ludzi mieć przyjaciółmi. Pan Zagłoba o skórę swą, choć tu i owdzie poszczerbioną, dbał wielce — aż naraz spostrzegł, że i przez tę przyjaźń wlaź w okrutne błoto. Bo było jasnym, że jeśli Bohun dziewczynę, narzeczoną książęcego porucznika i ulubieńca, porwie, to z księciem zadrze, a wtedy nie pozostanie mu nic innego, jak do Chmielnickiego uciec i do buntu się przyłączyć. Na to kładł pan Zagłoba w myśli stanowcze co do swojej osoby veto, bo do buntu przyłączać się dla pięknych oczu Bohuna nie miał wcale zamiaru, a w dodatku księcia bał się, jak ognia.

— Tfu! tfu! — mrucał sobie teraz — dyabłem za ogon kręcił, a on mnie będzie teraz za łeb kręcił — i ukreć. Niech piorun trzaśnie tego watażkę z białogłowską twarzą, a tatarską ręką. Otom się wybrał na wesele, czyste psie wesele, jak mnie Bóg miły. Niech piorun trzaśnie wszystkich Kurcewiczów i wszystkie podwiki. Co mnie do nich, już mnie one nie potrzebne. Na kim się zmello, na mnie się skrupi. I za co? czy to ja się chcę żenić? Niech się dyabeł żeni, mnie wszystko jedno; co ja mam do roboty w tej imprezie! Pójdę z Bohunem, to mnie Wiśniowiecki ze skóry obedrze; pójdę od Bohuna, to mnie chłopci zatłuką, albo i on sam nie

czekając. Najgorzej to z grubijany się bratać. Dobrze mi tak. Wolalbym być tym koniem, na którym siedzę, niż Zagłobą. Na błaznam kozackiego wyszedł, przy paliwodzie się wieszalem, słusznie przeto na obie strony skórę mi wytatarują.

Tak rozmyślając, spociał się bardzo pan Zagłoba i w jeszcze gorszy wpadł humor. Upał był wielki koń ciężko niósł, bo dawno nie chodził, a pan Zagłoba był człowiek korpulentny. Miły Boże, coby był za to dał, żeby teraz w chłodku, w gospodzie, nad szklenicą zimnego piwa siedzieć, nie po upale się kołatać i pędzić spalonym stepem.

Chociaż Bohun przynaglał, zwolnili jednak biegu, bo żar był straszny. Popaśli trochę konie, przez ten czas zaś Bohun z essaułami rozmawiał, widocznie dawał im rozkazy, co mają czynić, bo dotychczas nie wiedzieli nawet, gdzie jada. Do uszu Zagłoby doszły ostatnie słowa rozkazu:

— Czekać wystrzału.

— Dobrze, bat'ku.

Bohun zwrócił się nagle ku niemu:

— Ty jedziesz ze mną naprzód.

— Ja? — rzekł Zagłoba z widocznym złym humorem — ja cię tak kocham, żem już jedną połowę duszy dla ciebie wypocił, czemubym nie miał i drugiej wypocić. My jak kontusz i podszewka; mam nadzieję, że nas dyabli razem wezmą, co mi jest wszystko jedno, bo już myślę, że i w piekle nie może być goręcej.

— Jedźmy.

— Na złamanie karku.

Ruszyli naprzód, a za nimi wkrótce i kozacy. Ale

ci ostatni postępowali zwolna, tak, iż wkrótce znacznie zostali w tyle — a w końcu znikli z oczu.

Bohun z Zagłobą jechali obok siebie w milczeniu, obaj zamyśleni głęboko. Zagłoba targał wąsy i widocznem było, że pracuje ciężko głową; może sobie układał, jakimby sposobem mógł się z całej tej sprawy salwować. Chwilami mruczał coś do siebie półgłosem, to znów na Bohuna spoglądał, na którego twarzy malowały się naprzemian to niepohamowany gniew, to smutek.

— Dziw — myślał sobie Zagłoba, że taki gładzysz, a i dziewczki nawet sobie nie umiał skonwinkować. Kozak jest — to prawda — ale rycerz znamienity i podpułkownik, któren też prędzej później, jeśli tylko do rebelii nie przystanie, będzie nobilitowany, co wcale od niego zależy. A już pan Skrzetuski, zacny kawaler — i przystojny, ale z tym malowanym watażką na urodę i porównać się nie może. Hej, wezmą też się oni za lby, jak się spotkają, bo obaj zabijaki nielada.

— Bohun, znasz-li dobrze pana Skrzetuskiego? — spytał nagle Zagłoba.

— Nie — odparł krótko watażka.

— Ciężką będziesz miał z nim przeprawę. Widziałem go też, jak sobie Czaplinskim drzwi otwierał. Goliat to jest i do wypitki i do wybitki.

Watażka nie odpowiedział — i znowu obaj pogrążyli się we własne myśli i własne frasunki, którym wtórując, pan Zagłoba powtarzał od czasu do czasu: „tak, tak, niema rady!“ Upłynęło kilka godzin. Słońce powędrowało gdzieś het na zachód, ku Czehrynowi; od wschodu powiał wietrzyk chłodny. Pan Zagłoba zdjął kołpaczek rysi, przeciągnął ręką po spoczonej głowie i powtórzył raz jeszcze:

— Tak, tak, niema rady!

Bohun obudził się, jak ze snu.

— Co rzekłeś? — spytał.

— Mówię, że już zaraz ciemno będzie. Czy daleko jeszcze?

— Niedaleko.

Po godzinie ściemniło się rzeczywiście. Ale już też wjechali w jar lesisty, wreszcie na końcu jaru błysnęło światelko.

— To Rozłogi! — rzekł nagle Bohun.

— Tak! Brr! coś jakoś chłodno w tym jarze.

Bohun wstrzymał konia.

— Czekaj! — rzekł.

Zagłoba spojrział na niego. Oczy watażki, które miały tę własność, że świeciły w nocy, pałały teraz jak dwie pochodnie.

Obaj przez długi czas stali nieruchomie na skraju jaru. Nakoniec zdala dało się słyszeć parskanie koni.

To kozacy Bohunowi nadjeżdżali zwolna z głębi lasu.

Essaul zbliżył się po rozkazy, które Bohun wyszeptał mu do ucha, poczem kozacy zatrzymali się znowu.

— Jedźmy! — rzekł do Zagłoby Bohun.

Po chwili ciemne masy budowli dworskich, lamusy i zórawie studzienne zarysowały się przed ich oczyma. We dworze było cicho. Psy nie szczekały. Wielki złoty księżyc świecił nad domostwami. Z sadu dochodził zapach kwiatów wiśni i jabłoni — wszędzie tak było spokojnie, noc tak cudna, że zaiste brakło tylko tego, aby jaki teorban ozwał się gdzieś pod oknami pięknej księżniczki.

W niektórych oknach było jeszcze światło.

Dwaj jeźdźcy zbliżyli się do bramy.

— Kto tam? — ozwał się głos nocnego stróża.

— Nie poznajesz mnie, Maksym?

— To wasza miłość. Sława Bohu!

— Na wiki wików. Otwieraj. A co tam u was?

— Wszystko dobrze. Wasza miłość dawno nie była

w Rozłogach.

Zawiasy bramy zaskrzypiały przeraźliwie, most spadł na fosę i dwaj jeźdźcy wjechali na majdan.

— A słuchaj Maksym, nie zamykaj bramy i nie podnoś mostu, bo zaraz wyjeżdżam.

— To wasza miłość jak po ogień?

— Tak jest. Konie przywiąż do palika.



ROZDZIAŁ II.

Kurcewiczowie nie spali jeszcze. Jedli wieszczę w owej sieni napelnionej zbroją, która szła przez całą szerokość domu, od majdanu, aż do sadu z drugiej strony. Na widok Bohuna i pana Zagłoby, zerwali się na równe nogi. Na twarzy kniahini odbiło się nietylko zdziwienie, ale nieukontentowanie i przestrasz zarazem. Młodych kniaziów było tylko dwóch: Siemion i Mikołaj.

— Bohun! — rzekła kniahini. — A ty tu co robisz?

— Przyjechał się wam pokłonić, maty. A co, nie radziście mi?

— Radam ci, rada, jeno się dziwię, żeś przybył, bo slyszalam, że w Czehrynie stróżujesz. A kogo to nam Bóg z tobą zesłał?

— To jest pan Zagłoba, szlachcic, mój przyjaciel.

— Radziśmy waszmości — rzekła kniahini.

— Radziśmy — powtórzyli Symeon i Mikołaj.

— Mościa pani! — rzecze szlachcic. — Prawda, że gość nie w porę gorszy od Tatarzyna, aleć i to wiadomo, że kto do nieba chce iść, ten musi podróznego w dom przyjąć, głodnego nakarmić, spragnionego napoić...

— Siadajcie tedy, jedzcie i pijcie — mówiła stara kniahini. — Dziękujemy, żeście przyjechali. No, no Bo-

nun, alem się ciebie nie spodziewała, chyba, że sprawę masz do nas.

— Może i mam — rzekł zwolna watażka.

— Jaką? — pytała niespokojnie kniahini.

— Przyjdzie pora, to pogadamy. Dajcie odpocząć.

Z Czehryna prosto jadę.

— To widać było ci pilno do nas?

— A gdzieby mnie miało być pilno, jeśli nie do was? A kniaziówna-donia zdrowa?

— Zdrowa — rzekła sucho kniahini.

— Chciałbym też nią oczy ucieszyć.

— Helena spi.

— To szkoda. Bo ja długo nie zabawię.

— A gdzie jedziesz?

— Wojna, maty! Niema na nic czasu. Lada chwila hetmani w pole wyprawiają, a żal będzie zaporozców bić. Mało to razy my z nimi jeździli po dobro tureckie — prawda, kniaziowie? — po morzu pływali, sól i chleb razem jedli, pili i hulali, a teraz my im wrogi.

Kniahini spojrzała bystro na Bohuna. Przez głowę przeszła jej myśl, że może Bohun ma zamiar połączyć się z rebelią i przyjechał jej synów wybadać.

— A ty co myślisz robić? — spytała.

— Ja, maty? a cóż? ciężko swoich bić, ale trzeba.

— Tak i my uczynimy — rzekł Simeon.

— Chmielnicki zdrajca! — dodał młody Mikołaj.

— Na pohybel zdrajcom! — rzekł Bohun.

— Niech im kat świeci — dokończył Zagłoba.

Bohun znów mówić począł:

— Tak to na świecie. Kto ci dziś przyjacielem, jutro Judaszem. Nikomu nie można wierzyć na świecie.

— Jeno dobrym ludziom — rzekła kniahini.

— Pewnie, że dobrym ludziom można wierzyć. Dlatego ja też wam wierzę i kocham was, bo wyście dobrzy ludzie, nie zdrajcy...

Było coś tak dziwnego w głosie watażki, że przez chwilę zapanowało głębokie milczenie. Pan Zagłoba patrzył na kniahinię i mrugał swoim zdrowym okiem, a kniahini utkwiała wzrok w Bohunie.

Ten mówił dalej:

— Wojna nie żywi ludzi, jeno morzy, dlatego chciał ja was jeszcze widzieć, zanim ruszę. Kto wie czy wrócę, a wyby mnie żalowali, bo wy moje druhy serdeczne, nieprawda?

— Tak nam dopomóż Bóg! Od małego cię znamy.

— Ty nasz brat — dodał Siemion.

— Wy kniazie, wy szlachta, a wy kozakiem nie gardzili, w dom przygarnęli i krewną-donię obiecali, bo wy wiedzieli, że dla kozaka bez niej ni życia, ni bycia, tak się i zmiłowali nad kozakiem.

— Niema o czem i mówić — rzekła śpiesznie kniahini.

— Nie, maty, jest o czem mówić, bo wy moi dobrodzieje, a ja też prosił tego oto szlachcica, przyjaciela mego, żeby mnie za syna wziął i do herbu przypuścił, aby wy nie mieli wstydu, oddając krewniaczkę kozakowi. Na co pan Zagłoba się zgodził i my oba będziemy się starać o pozwolenie u sejmu, a po wojnie pokłonię się panu hetmanowi w., którego na mnie łaskaw, może poprze, on przecie i Krzeczowskiemu nobilitacją wyrobił.

— Boże ci dopomóż — rzekła kniahini.

— Wy szczerzy ludzie — i ja wam dziękuję. Ale przed wojną chciałby jeszcze raz z waszych ust usłyszeć, że wy mnie donię dajecie i że słowo wasze zdzierżycie.

Słowo szlacheckie nie dym — a wy przecie szlachta, wy kniazie.

Watażka mówił głosem powolnym i uroczystym, ale w mowie jego drgała zarazem jakby groźba, zapowiadająca, że trzeba się zgodzić na wszystko, czego żądał.

Stara kniahini spojrzała na synów, ci na nią, i przez chwilę trwało milczenie. Nagle raróg siedzący na berle pod ścianą zakwilił, choć do świtu było jeszcze daleko; za nim ozwały się inne, wielki berkut zbudził się, strząsnął skrzydła i krakać począł.

Łuczywo palące się w grzebach przygasło. W izbie zrobiło się ciemnawo i ponuro.

— Mikołaj, popraw ogień — rzekła kniahini.

Młody książę dorzucił łuczywa.

— Cóż, przyrzekacie? — pytał Bohun.

— Musimy Heleny spytać.

— Niech ona mówi za siebie, wy za siebie: przyrzekacie?

— Przyrzekamy — rzekła kniahini.

— Przyrzekamy — powtórzyli kniaziowie.

Bohun wstał nagle i zwróciwszy się do Zagłoby, rzekł donośnym głosem:

— Mości Zagłobo! Pokłoń się i ty o dziewczkę, może i tobie przyrzekną.

— Co ty, kozacze, upił się!? — zawołała kniahini.

Bohun, zamiast odpowiedzi, wydobyl list Skrzetuskiego i zwróciwszy się do Zagłoby, rzekł:

— Czytaj.

Zagłoba wziął list i począł go czytać wśród głuchego milczenia.

Gdy skończył, Bohun skrzyżował ręce na piersiach.

— Komu tedy dziewczkę dajecie? — spytał.

— Bohun!

Głos watażki stał się podobny do syku węża.

— Zdrajcy, oczajdusze, psiawiary, judasze!...

— Hej, synkowie, do szabel! — krzyknęła kniahini.

Kurcewicze skoczyli piorunem ku ścianom i porwali za broń.

— Mości panowie, spokojnie! — zawołał Zagłoba.

Ale nim domówił, Bohun wyrwał pistolet z za pasa i wystrzelił.

— Jezus! — jęknął książ Siemion, postąpił krok naprzód, rękami jął bić powietrze i upadł ciężko na ziemię.

— Służba, na pomoc! — wołała rozpaczliwie kniahini.

Ale w tejże chwili, na dziedzińcu i od strony sadu huknęły inne wystrzały, drzwi i okna wyleciały z loskotem i kilkudziesięciu semenów wpadło do sieni.

— Na pohybel! — zabrzmiały dzikie głosy.

Na majdanie ozwał się dzwon na trwogę. Ptactwo w sieni poczęło wrzeszczeć; hałas, strzelanina i krzyki zastąpiły niedawną ciszę uspiętego dworu.

Stara kniahini rzuciła się, wyjąc jak wilczyca, na ciało Simeona, drgające w ostatnich konwulsjach, ale wnet dwóch semenów porwało ją za włosy i odciągnęło na stronę, a tymczasem młody Mikołaj, przyparty w kąt sieni, bronił się z wściekłością i lwią odwagą.

— *Procz!* — krzyknął nagle Bohun na otaczających go kozaków — *procz!* — powtórzył grzmiącym głosem.

Kozacy cofali się. Sądzili, że watażka chce ocalić życie młodzieńcowi. Ale Bohun z szablą w ręku sam rzucił się na kniazia.

Rozpoczęła się straszna pojedyncza walka, na którą kniahini, trzymana za włosy przez cztery żelazne dłonie, patrzyła palającymi oczyma i z otwartymi ustami. Młody książę zwałił się jak burza na kozaka, który, cofając się z wolna, wywiódł go na środek sieni. Nagle przysiadł, odbił potężnie cios i z obrony przeszedł do ataku.

Kozacy, zatrzymawszy dech w piersiach, puszczali szable na dół i stali jak wryci, śledząc oczyma przebieg walki.

W ciszy słychać było tylko oddech i sapanie walczących, zgrzyt zębów i świst lub ostry dźwięk uderzających o siebie mieczy.

Przez chwilę zdawało się, że watażka ulegnie olbrzymiej sile i zaciętości młodzieńca, gdyż znowu zaczął się cofać i ślaniać. Twarz przeciągnęła mu się jakby z wysilenia. Mikołaj podwoił ciosy, kurzawa wstała z podłogi i przesłoniła obłokiem walczących, ale przez jej kłęby semenowicie dojrzeli krew, spływającą po twarzy watażki.

Nagle Bohun uskokzył w bok, kniaziewe ostrze trafiło w próżnię. Mikołaj zachwiał się od zamachu i pochylił naprzód, a w tej samej chwili kozak ciał go w kark tak straszliwie, że książę zwałił się, jakby gromem rażony.

Krzyki radosne kozaków pomieszały się z nieludzkim wrzaskiem kniahini. Zdawało się, że od wrzasków powała pęknie. Walka była skończona, kozactwo rzuciło się na broń zawieszoną na ścianach i poczęło ją zdierać, wrywając sobie wzajemnie kosztowniejsze szable i handzary, deptąc po trupach kniaziewych i własnych towarzyszy, którzy legli z ręki Mikołaja. Bohun pozwał na wszystko. Stał on we drzwiach, prowadzących do komnat Heleny, zagradzając drogę, i oddychał ciężko ze

zmęczenia. Twarz miał bladą i pokrwawioną, gdyż dwa razy ostrze kniazia dotknęło jego głowy. Błędny wzrok jego przenosił się z trupa Mikołaja na trupa Simeona, a czasem padał na zsiniałe oblicze kniahini, którą molojcy, trzymając za włosy, przyciskali kolanami do ziemi, bo się rwała z ich rąk do trupów dzieci.

Wrzask i zamieszanie w sieni powiększało się z każdą chwilą. Kozacy ciągnęli na powrozech czeladź Kurcewiczów i mordowali ją bez litości. Podłoga była zalana krwią i zapelniona trupami, dymem od wystrzałów, ściany już obdarte, ptactwo nawet pobite.

Nagle drzwi, pod którymi stał Bohun, otworzyły się na rozcież. Watażka obrócił się i cofnął nagle.

We drzwiach ukazał się ślepy Wasil, a obok niego Helena, ubrana w białe giezło, blada sama jak giezło, z oczyma rozszerzonymi z przerażenia, z otwartymi usty.

Wasil niósł krzyż, który trzymał na wysokości twarzy, w obu dłoniach. Wśród zamieszania, panującego w sieni, wobec trupów, krwi rozlanej kałużami na podłodze, połysku szabel i rozplamionych źrenic, dziwnie uroczyście wyglądała ta postać wysoka, wynędzniała, z siwiejącym włosiem i czarnymi jamami zamiast oczu. Rzekłbyś duch, albo trup, który zrzucił całun i przychodzi karać zbrodnię.

Krzyki umilkły. Kozacy cofali się przerażeni, ciszę przerwał spokojny, ale bolesny i jęczący głos kniazia.

— W imię Ojca, i Spasa, i Ducha i Świętej przeczystej! mężowie, którzy przychodzicie z dalekich stron, zali przychodzicie w imię Boże?

„Albowiem: *„błogosławiony maś w drodze, który idąc, opowiada słowo Boże“.*

„A wy zali dobrą nowinę niesiecie? zali jesteście apostołami?”

Cisza śmiertelna zapanowała po słowach Wasila, on zaś zwrócił się zwolna z krzyżem w jedną stronę, następnie w drugą, i mówił dalej:

— Gorze wam, bracia, bo którzy dla zysku lub zemsty wojnę czynią, mają być potępieni na wieki...

...Módlmy się, abyśmy zaznali miłosierdzia. Gorze wam, bracia, gorze mnie! O! o! o!

Jęk wyrwał się z piersi kniazia.

— Hospody pomyłuj! — ozwały się głuche głosy molojców, którzy pod wpływem nieopisanego strachu, poczęli się żegnać przerażeni.

Nagle dał się słyszeć dziki, przeraźliwy krzyk kniahini:

— Wasil, Wasil!...

Było w jej głosie coś tak rozdzierającego, jakby to był ostatni głos rwącego się życia. Jakoż gniotący ją kolanami molojcy uczuli, że już nie usiłuje się wyrwać z ich rąk.

Kniaź drgnął, ale wnet zastawił się krzyżem od strony, z której dochodził głos, i odrzekł:

— Duszo potępiona, wołająca z głębokości, gorze ci!

— Hospody pomyłuj! — powtórzyli kozacy.

— Do mnie, semenowie! — zawołał w tej chwili Bohun i zachwiał się na nogach.

Kozacy skoczyli i podparli go pod ramiona

— Bat'ku! tyś ranny?

— Tak jest! Ale to nic! Krew mnie uszła. Hej chłopcy! strzedz mi tej doni, jak oka w głowie... Dom otoczyć, nikogo nie wypuszczać... Kniaziówno...

Nie mógł więcej mówić, wargi mu zbielały, a oczy zaszyły mgłą.

— Przenieść atamana do komnat! — zawołał pan Zagłoba, który, wylazszy z jakiegoś kąta, niespodzianie pojawił się przy Bohunie. — To nic, to nic — mówił, zmacawszy palcami rany. — Jutro zdrów będzie. Już ja się nim zajmę. Chleba z pajęczyną mi ugnieść. Wy, chłopcy, ruszajcie sobie do dyabła pohulać z dziewczkami w czeladnej, bo nic tu po was, a dwóch niech zaniesie atamana. Bierzcie go. Ot tak. Ruszajcieże do licha, czego stoicie? Domu mi pilnować — ja sam będę doglądał.

Dwóch semenów poniosło Bohuna do przyległej izby, reszta wyszła z sieni.

Zagłoba zbliżył się do Heleny i mrugając mocno okiem, rzekł szybko a cicho:

— Jam przyjaciel pana Skrzetuskiego, nie bój się. Odprowadź jeno spać swojego proroka i czekaj na mnie.

To rzekłszy, wyszedł do izby, w której dwóch essaulów złożyło na sofie tureckiej Bohuna. Wnet wysłał ich po chleb i pajęczynę, a gdy je przyniesiono z czeladnej, zajął się opatrunkiem młodego atamana, z całą biegłością, jaką wówczas każdy szlachcic posiadał, a której nabywał, sklejjąc lby porozbijane w pojedynkach, lub na sejmikach.

— A powiedzcie też semenom — rzekł do essaulów — że jutro ataman zdrów będzie jak ryba, żeby się zaś o niego nie troszczyli. Oberwał, bo oberwał, ale gracko się spisał i jutro jego wesele, chociaż i bez popa. Jeśli jest w domu piwniczka, to sobie możecie pozwolić. Ot, już i ranki przewiązane. Idźcieże teraz, by ataman miał spokój.

Essaulowie ruszyli ku drzwiom.

— A nie wypijcie tam całej piwnicy — rzekł jeszcze pan Zagłoba.

I siadłszy przy wezglowiu watażki, wpatrzył się w niego uważnie.

— No, czort cię nie weźmie od tych ran, chociaż dostał dobrze. Ze dwa dni ni ręką, ni nogą nie ruszysz — mrucał sam do siebie, patrząc na bladą twarz i zamknięte oczy kozaka. — Szabla nie chciała katu krzywdy zrobić, boś ty jego własność i od niego się nie wywiniesz. Gdy cię powieszą, dyabeł zrobi z ciebie kukłę dla swoich dzieci, boś gładki. Nie, braciszku, pijesz ty dobrze, ale ze mną dłużej nie będziesz pił. Szukaj ty sobie kompanii między rakarzami, bo widzę, że lubisz dusić, ale ja nie będę z tobą szlacheckich dworów po nocach napadał. Niech ci kat świeci, niech ci świeci!

Bohun jęknął z cicha.

— O, jęcz, o, wzdychaj! Jutro będziesz lepiej wzdychał. Poczekajże, tatarska duszo, kniaziówny ci się zachciało? Ba, nie dziwię ci się, dziewczka specyał, ale jeśli ty go pokosztujesz, to niech mój dowcip psi zjedzą. Pierwej mi też włosy na dłoni wyrosną...

Gwar zmieszanych głosów doszedł z majdanu do uszu pana Zagłoby.

— Aha, pewnie się już do piwniczki dobrali — mruknął. — Popijcie się jak baki, żeby się wam dobrze spało, już ja będę czuwał za was wszystkich, choć nie wiem, jeżeli radzi jutro z tego będziecie.

To rzekłszy, wstał zobaczyć, azali rzeczywiście molojcy zabrali już znajomość z kniaziowską piwnicą, i wszedł naprzód do sieni. Sień wyglądała strasznie. Na

środku leżały sztywne już ciała Simeona i Mikołaja, a w kącie trup kniahini w postawie siedzącej i skulonej, tak, jak ją przygniotły kolana molojców. Oczy jej były otwarte, zęby wyszczerzone. Ogień palący się w grzebach napelniał całą sień mdłym światłem, drgającym na kałużach krwi; głęb mroczyła się cieniem. Pan Zagłoba zbliżył się do kniahini, zobaczyć czy nie oddycha jeszcze, i położył jej rękę na twarzy, ale twarz ta była już zimna — więc wyszedł pośpiesznie na majdan, bo go w tej izbie strach brał. Na majdanie kozacy zaczęli już hulankę. Ognie były porozpalane, a przy ich blasku ujrzał pan Zagłoba stojące beczki miodu, wina i gorzałki z podobijanemi górnemi dnami. Kozacy czerpali z nich, jak u studni, i pili na śmierć. Inni, rozgrzani już trunkiem, gonili się z molojczyami z czeladnej, z których jedne, zdjęte strachem, szamotały się lub uciekały na oślep, skacząc przez ogień; inne wśród wybuchów śmiechu i wrzasków pozwalały chwycić się i ciągnąć do beczek lub do ognisk, przy których tańczono kozaka. Molojcy rzucali się jak opętani w prysiadach, przed niemi dziewczyny drobily, to posuwając się w podrygach naprzód, to cofając się przed gwałtownymi ruchami tancerzy. Widzowie bili w blaszane półkwatki, lub śpiewali. Krzyki: „u-ha!“ rozlegały się coraz głośniejsze, przy wtórze szczekania psów, rżenia koni i ryku wołów, które rżnięto na ucztę. Naokoło ognisk, w głębi, widać było stojących chłopów z Rozłogów, „pidsusidków“, którzy na odgłos strzałów i krzyków nadbiegli tłumnie ze wsi, aby zobaczyć, co się dzieje. Nie myśleli oni bronić kniazów, bo Kurcewiczów nienawidzono we wsi, patrzyli więc tylko na rozhulanych kozaków, trącając się łokciami, szeptać między sobą i zbliżając się coraz bardziej do beczek

z wódką i miodem. Orgia stawała się coraz wrzaskliwszą, pijatyka wzrastała, mołojcy nie czerpali z beczek blaszankami, ale zanurzali w nie głowy po szyje, tańczące dziewczęta oblewano wódką i miodem; twarze były rozpalone, ze lbów bił opar; niektórzy zataczali się już na nogach. Pan Zagłoba, wyszedłszy na ganek, rzucił okiem na pijących, poczem uważnie wpatrzył się w niebo.

— Pogoda, ale ciemno! — mruknął — gdy księżyc zajdzie, choć w pysk daj...

To rzekłszy, zszedł z wolna ku beczkom i pijącym mołojcom.

— A dalej, chłopcy! — zawołał — a dalej, nie żałujcie sobie. Hajda! hajda! Nie ścierną wam zęby. Kiep ten, co się dziś nie upije za zdrowie atamana. Dalej do beczek! dalej do dziewczyn! — u ha!

— U-ha! — zawyli radośnie kozacy.

Zagłoba rozejrzał się na wszystkie strony.

— O takie syny, nitkopluty, harhary, oczajdusze! — wykrzyknął nagle — to sami pijecie jak zdrożone konie, a tamtym, co strażują koło domu, nic? Hej tam! zmieni mi ich natychmiast.

Rozkaz spełniono bez wahania i w mgnieniu oka kilkunastu pijanych mołojców rzuciło się, by zastąpić strażników, którzy dotychczas nie brali udziału w hulałyce. Ci nadbiegli wnet, z łatwą do zrozumienia skwapliwością.

— Hajda, hajda! — zawołał Zagłoba, ukazując im beczki z napitkami.

— Diakujem, pane! — odparli, zanurzając blaszanki.

— Za godzinę zluzować mi i tamtych.

— Słucham — odpowiedział essaul.

Semenom wydało się to zupełnie naturalnem, że w zastępstwie Bohuna objął komendę pan Zagłoba. Tak już zdarzało się nieraz i młojcy radzi temu bywali, bo szlachcic pozwalał im zawsze na wszystko.

Strażnicy pili więc wraz z innymi — pan Zagłoba zaś wszedł w rozmowę z chłopami z Rozłogów.

— Chłowie? — pytał starego „pidsusidka“ — a daleko stąd do Łubniów?

— Oj daleko, pane! — odparł chłop.

— Na rano możnaby stanąć?

— Oj, nie stanie, pane!

— A na południe?

— Na południe prędzej.

— A którądy jechać?

— Prosto do gościńca.

— To jest gościńiec?

— Książ Jarema kazał, żeby był, to i jest.

Pan Zagłoba mówił umyślnie bardzo głośno, aby wśród krzyków i gwaru spora garść semenów mogła go słyszeć.

— Dajcie i im gorzałki — rzekł do młojców, ukazując na chłopów — ale wprzód dajcie mnie miodu, bo chłodno.

Jeden z semenów zaczerpnął z beczki trojniaku w garncową blaszankę i podał ją na czapce panu Zagłobie.

Szlachcic wziął ostrożnie we dwie ręce, aby płyn się nie rozlał, przytknął garncówkę do wąsów i przechyliwszy w tył głowę, jął pić wolno, ale bez wytchnienia.

Pił, pił — aż młojcy poczęli się dziwić. „Baczyw

ty? — szeptali jeden do drugiego: „Trastia joho mordowała!“

Tymczasem głowa pana Zagłoby przechylała się zwolna w tył, wreszcie przechyliła zupełnie, aż nakoniec garncówkę od poczerwieniałej twarzy odjął, wargę wysunął, brwi podniósł i mówił jakby sam do siebie:

— O! wcale niezły — odstąły. — Zaraz widać, że niezły. Szkoda takiego miodu na wasze chamskie gardła. Dobraby była dla was i braha. Srogi miód, srogi, czuję, że mi ulżyło i żem się trochę pocieszył.

Jakoż ulżyło panu Zagłobie rzeczywiście, w głowie mu pojaśniało, nabral fantazyi i widocznem było, że krew jego, podlana miodem, utworzyła wyborny likwor, o którym sam powiadał, a od którego na całe ciało rozchodzi się męstwo i odwaga.

Skinął kozakom ręką, że mogą dalej pić, i odwróciwszy się, przeszedł wolnym krokiem cały dziedziniec, obejrzał uważnie wszystkie kąty, przeszedł most na fosie i skręcił wedle częstokołu, aby zobaczyć, czy strażę dobrze pilnują domostwa.

Pierwszy strażnik spał, drugi, trzeci i czwarty również. Byli pomęczeni drogą, a przytem przyszli już pijani na miejsca i pospali się od razu.

— Mógłbym jeszcze i którego z nich wykraść, abym zaś miał pacholka do posług — mruknął pan Zagłoba.

To rzekłszy, wrócił wprost do dworu, wszedł znowu do złowrogiej sieni, zajrzał do Bohuna, a widząc, że watażka nie daje znaku życia, cofnął się ku drzwiom Heleny i otworzywszy je z cicha, wszedł do komnaty, z której dochodził szmer, jakoby modlitwy.

Właściwie była to komnata kniazia Wasila, Helena

jednak była przy kniaziu, w pobliżu którego czuła się bezpieczniejszą. Ślepy Wasil klęczał przed obrazem Świętej Przemyskiej, przed którym paliła się lampka, Helena obok niego; oboje modlili się głośno. Ujrawszy Zagłobę, zwróciła nań przerażone oczy. Zagłoba położył palec na ustach.

— Mościa panno — rzekł — jam przyjaciel pana Skrzetuskiego.

— Ratuji! — odpowiedziała Helena.

— Potom też tu przyszedł; zdaj się na mnie.

— Co mam czynić?

— Trzeba uciekać, póki ten czort bez zmysłów leży.

— Co mam czynić?

— Wdziej na się ubiór męski i jak zapukam we drzwi, wyjdź.

Helena zawahała się. Nieufność błysnęła w jej oczach.

— Mamże waćpanu wierzyć?

— A co masz lepszego?

— Prawda, prawda jest. Ale mi przysiąż, że nie zdradzisz.

— Rozum się waćpannie pomieszał. Ale kiedy chcesz, przysięgnę. Tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż. Tu twoja zguba, ocalenie w ucieczce.

— Tak jest, tak jest.

— Wdziej męski ubiór co prędszej i czekaj.

— A Wasil?

— Jaki Wasil?

— Brat mój obłąkany — rzekła Helena.

— Tobie grozi zguba, nie jemu — odparł Zagłoba. — Jeśli on obłąkany, to on dla kozaków święty. Jakoż widziałem, że go mają za proroka.

— Tak jest: Bohunowi nic on nie zawinił.

— Musimy go zostawić, inaczej zginiemy — i pan Skrzetuski z nami. Śpiesz się waćpanna.

Z temi słowy pan Zagłoba opuścił izbę i udał się wprost do Bohuna.

Watażka blady był i osłabiony, ale oczy miał otwarte.

— Lepiej ci? — spytał Zagłoba.

Bohun chciał przemówić i nie mógł.

— Nie możesz mówić?

Bohun poruszył głową na znak, że nie może, ale w tej samej chwili cierpienie wyrzyło się na jego twarzy. Rany od ruchu zabolowały go widocznie.

— To i krzyżećbys nie mógł?

Bohun oczyma tylko dał znać, że nie.

— Ani się ruszyć?

— Ten sam znak.

— To i lepiej, bo nie będziesz ani mówił, ani krzyczał, ani się ruszał, a ja tymczasem z kniaziówną do Łubniów pojedę. Jeśli ci jej nie zdmuchnę, to się pozwolę starej babie w żarnach na osypkę zemleć. Jaktó, lajdaku? myślisz, że nie mam dosyć twojej kompanii, że się będę dłużej z chamem pospolitował? O niecnoto, myślałeś, że dla twego wina, dla twoich gości i twoich chłopskich amatorów zabójstwa będę czynił i do rebelii z tobą pójde? Nic, nic z tego, gładyszu.

W miarę, jak pan Zagłoba perorował, czarne oczy watażki roztwierały się szerzej i szerzej. Czy śnił, czy była to jawa, czy żart pana Zagłoby?

A pan Zagłoba mówił dalej:

— Czegóż ślepie wytrzeszczasz, jak kot na sperkę? Czy myślisz, że tego nie uczynię? Może się każesz po-

kłonić komu w Łubniach? Może cyrulika ci stamtąd przysłać, a może mistrza u księcia pana zamówić?

Błada twarz watażki stała się straszną. Zrozumiał że Zagłoba prawdę mówi, z oczu strzeliły mu gromy rozpacz i wściekłości, na twarz uderzył płomień. Jedno nadludzkie wysilenie — podniósł się i z ust wyrwał mu się krzyk:

— Hej, semen...

Nie skończył, gdyż pan Zagłoba, z szybkością błyskawicy, zarzucił mu na głowę jego własny żupan i w jednej chwili okręcił ją całkowicie — poczem obalił go na wznak.

— Nie krzycz, bo ci to zaszkodzi — mówił z cicha sapiąc mocno. — Mogłaby cię jutro głowa rozboleć, przeto jako dobry przyjaciel, mam o tobie staranie. Tak, tak, będzie ci i ciepło i zaśnieś smacznie i gardła nie przekrzyczysz. Abyś zaś opatrunku nie zdarł, to ci ręce zwiążę, a wszystko per amicitiam, abyś mnie wspominał wdzięcznie.

To rzekłszy, obwinął pasem ręce kozaka, zaciągnął węzeł; drugim, swoim własnym, skrępował mu nogi. Watażka nic już nie czuł, bo zemdlął.

— Choremu przystoi leżeć spokojnie — mówił — aby mu humory do głowy nie były, od czego delirium przychodzi. No, bądź zdrow; mógłbym cię nożem pchnąć, co może byłoby z lepszym moim pożytkiem, ale mi wstyd po chłopsku mordować. Co innego, jeśli się zatkiesz do rana, bo to się już nie jednej świni przygodziło. Bądźże zdrow. Vale, et me amantem redama. Może się i spotkamy kiedy, ale jeśli ja się będę o to starał, to niech mnie ze skóry obedną i podogonia z niej porobią.

Rzekłszy to, pan Zagłoba wyszedł do sieni, przycisnął ogień w grzebach i zapukał do Wasilowej komnaty.

Smukła postać wysunęła się z niej natychmiast.

— Czy to waćpanna? — spytał Zagłoba.

— To ja.

— Chodźże, byleśmy się do koni dobrali. Ale oni tam pijani wszyscy, noc ciemna. Nim się rozbudzą, będziem daleko. Ostrożnie, tu kniazie leżą!

— W imię Ojca, i Syna i Ducha — szeptała Helena.

ROZDZIAŁ III.

Dwaj jeźdźcy jechali cicho i wolno przez lesisty jar, przytykający do dworu w Rozłogach. Noc zrobiła się bardzo ciemna, bo księżyc zaszedł od dawna, a do tego chmury okryły horyzont. W jarze nie widać było na trzy kroki przed końmi, które też potykały się co chwila o korzenie drzew, idące w poprzek, przez drogę. Jechali długi czas z największą ostrożnością, aż dopiero, gdy dojrzeliby już koniec jaru i step otwarty, oświetlony nieco szarym odbłyskiem chmur, jeden z jeźdźców szepnął:

— W konie!

Pomknęli jak dwie strzały, wypuszczone z luków tatarskich, i tylko tętent koni biegł za nimi. Ciemny step zdawał się uciekać z pod nóg końskich. Pojedyncze dęby, stojące tu i owdzie przy gościńcu, migwały jak widma, i lecieli tak długo, długo, bez odpoczynku i wytchnienia, aż wreszcie konie postulały uszy i poczęły chrapać ze zmęczenia; bieg ich stał się ociężały i wolniejszy.

— Niema rady, trzeba zwolnić koniom — rzekł grubszy jeździec.

A właśnie już też i świt począł spychać noc ze

stepu. Coraz większe przestrzenie wychylały się z cienia, rysowały się blado stepowe bodiaki, dalekie drzewa, mogiły; w powietrze wsiąkało coraz więcej światła. Białawe blaski rozświeciły i twarze jeźdźców.

Byli to pan Zagłoba i Helena.

— Niema rady, trzeba zwolnić koniom — powtórzył pan Zagłoba. — Wczoraj przyszły z Czehryna do Rozlogów bez wytchnienia. Długo tak nie wytrzymają, a boję się, by nie padły. Jakże się waćpanna czujesz?

Tu pan Zagłoba spojrzął na swoją towarzyszkę i nie czekając jej odpowiedzi — zawołał:

— Pozwólże mi się waćpanna przy dniu obejrzeć. Ho, ho! czy to po braciach ubranie? Niema co mówić: bardzo foremny z waćpanny kozaczek. Jeszczem też takiego pacholka, póki żyję, nie miał — ale tak myślę, że mi go pan Skrzetuski odbierze. A to co? O dla Boga, zwinże waćpanna te włosy, boć się nikt co do płci twej białogłowskiej nie omyli.

Rzeczywiście po plecach Heleny sływał potok czarnych włosów, rozwiązanych przez szybki bieg i wilgoć nocną.

— Dokąd jedziemy? — pytała, związując je obiema rękami i usiłując wsunąć je pod kołpaczek.

— Gdzie oczy niosą.

— To nie do Łubniów?

Na twarzy Heleny odbił się niepokój, a w bystrem spojrzeniu, jakie rzuciła na pana Zagłobę, malowała się rozbudzona na nowo nieufność.

— Widzisz waćpanna, mam ja swój rozum i wierzę, że wszystko dobrze wykalkulowałam. A kalkulacja moja jest na następnej mądrej maksymie oparta: nie

uciekaj w tę stronę, w którą cię gonić będą. Owóż, jeśli gonią nas w tej chwili, to nas gonią w stronę Łubniów, bom też głośno się wczoraj o drogę wypytywał i Bohunowi na odjezdnem zapowiedziałem, że tam uciekać będziemy. Ergo: uciekamy ku Czerkasom. Jeśli nas gonić zaczną, to nieprędko, bo dopiero wtedy, gdy się przekonają, że nas na drodze łubniańskiej niema, a to im ze dwa dni czasu zajmie. Tymczasem my będziemy w Czerkasach, gdzie teraz stoją chorągwie polskie pana Piwnickiego i Rudominy. A w Korsuniu cała potęga hetmańska. Rozumiesz waćpanna?

— Rozumiem i póki życia mego, póty wdzięczności dla waćpana. Nie wiem, kto jesteś, skądś się w Rozlogach znalazł, ale myślę, że cię Bóg zesłał na obronę moją i na ratunek, bo byłabym się pierwej nożem pchnęła, niżbym miała iść w moc tego zbója.

— Smok to jest; na niewinność waćpanny srodze zażarty.

— Co ja mu uczyniłam nieszczęśliwa, że mnie prześladowuje? Zdawna go znalazłam i zdawna miałam go w nienawiści; zdawna bojaźń we mnie tylko wzbudzał. Czy to ja jedna na świecie, że mnie umiłował, że przezemnie tyle krwi rozlał, że pomordował mi braci?... Boże, gdy wspomnę, krew we mnie krzepnie. Co ja pocznę? gdzie się przed nim schronię? Waćpan się nie dziw moim narzekaniom, bom nieszczęsna, bo mnie i wstyd tych afektów, bo stokroć wolałabym śmierć!

Policzki Heleny oblały się płomieniami, na które stoczyły się dwie łzy, wyciśnięte przez gniew, wzgardę i ból.

— Nie będę się o to spierał — rzekł pan Zagłoba — że wielkie nieszczęście spotkało wasz dom, ale

pozwól waćpanna sobie powiedzieć, że twoi krewniacy w części sami sobie winni. Nie trzeba było kozakowi ręki twej obiecywać, a potem go zdradzać, co gdy się wydało, już on tak się rozsierdził, iż żadna perswazyja moja nic nie pomogła. Żal mnie też twoich braci pobitych, a osobliwie tego najmłodszego, boć to był dzieciuch prawie, ale zaraz widać było, że wyrośnie na wielkiego kawalera.

Helena poczęła płakać.

— Nie przystoją lzy tym szatkom, które waćpannanosisz, otrzej je tedy i tak sobie powiedz, że to była wola Boża. Bóg też ukarze zabójcę, który już nawet został ukarany, gdy napróżno krew przelał, a waćpannę, jedyny i główny cel swych namiętnościów, utracił.

Tu pan Zagłoba umilkł, po chwili zaś rzekł:

— Ej, dalżeby on mi łupnia — miły Boże; — gdyby mię tylko w ręce dostał. Na jaszczur skóręby mi wyprawil. Waćpanna nie wiesz, zem ja już w Galacie od Turków palmę otrzymał, ale też mam dosyć, drugiej nie pragnę i dlatego nie do Łubniów, tylko ku Czerkasom zdążam. Dobrzeby było do księcia się schronić, ale nużby dogonili? Słyszałaś waćpanna, że gdym konie od palika odwiązywał, pacholek Bohunów się obudził. A nuż larum podniósł? Tedyby zaraz do pościgu byli gotowi i złapaliby nas w godzinę — bo oni tam mają kniaziewskie świeże konie, a ja nie miałem czasu wybierać. Bestya to jest dzika ten Bohun, mówię waćpannie. Takem go sobie zbrzydził, że wolałbym dyabła zobaczyć, niż jego.

— Boże nas broń od jego rąk.

— Sam on się zgubił. Czehryn wbrew rozkazowi hetmańskiemu opuścił, z ks. wojewodą ruskim zadarł.

Nie pozostaje mu nic innego jak do Chmielnickiego umykać. Ale straci on na fantazyi, jeśli Chmielnicki pobit będzie, a to się mogło już zdarzyć. Rzędzian spotkał za Krzemieńczugiem wojska, płynące pod Barabaszem i Krzczowskim na Chmiela, a oprócz tego pan Stefan Potocki ładem z usaryą pociągnął; ale Rzędzian w Krzemieńczugu dziesięć dni dla naprawy czajki przesiedział, więc nim do Czehryna dociągnął, bitwa musiała się zdarzyć. Lada chwila czekaliśmy wiadomości.

— To więc Rzędzian z Kudaku listy przywiózł? — pytała Helena.

— Tak jest, były listy od pana Skrzetuskiego do kniahini i do waćpanny, ale Bohun je przejął, z nich się wszystkiego dowiedział, więc zaraz Rzędziana rozszczepił i na Kurcewiczach mścić się pociągnął.

— O nieszczęsne pachole! Przezemnie to on krew wylał.

— Nie frasuj się waćpanna. Żyw będzie.

— Kiedyż to się stało?

— Wczoraj rano. U Bohuna czleka zabić, to jak drugiemu kubek wina łyknąć. A ryczał tak po przeczytaniu listów, że się cały Czehryn trząsł.

Rozmowa przerwała się na chwilę. Już też zrobiło się i widno zupełnie. Różana zorza, bramowana jasnym złotem, opalami i purpurą, płonęła na wschodniej stronie nieba. Powietrze było świeże, rzeźwe; konie poczęły prychać wesoło.

— No, ruszajmy z Bogiem, a żywo. Szkapy odpoczęły, czasu zaś do stracenia nie mamy — rzekł pan Zagłoba.

Puścili się znów cwałem i lecieli z pół mili bez wypoczynku — nagle naprzeciw nich ukazał się jakiś

punkt ciemny, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

— Co to może być? — rzekł pan Zagłoba. — Zwolnijmy. To człek na koniu.

Istotnie jakiś jeździec zbliżał się całym pędem i pochylony na siodle, z twarzą ukrytą w grzywie końskiej, smagał jeszcze nahajem swego źrebca, który zdawał się ziemi nie tykać.

— Co to za dyabeł może być i czego tak leci? Ależ leci! — rzekł pan Zagłoba, dobywając z olster pistoletu, aby być gotowym na wszelki wypadek.

Tymczasem goniec zbliżył się już na kroków trzydzieści.

— Stój! — huknął pan Zagłoba, wymierzając pistolet. — Ktoś jest?

Jeździec zdarł konia i podniósł się na siodle, ale zaledwie spojrział, gdy krzyknął:

— Pan Zagłoba!

— Pleśniewski, sługa starościński z Czehryna? A ty tu co robisz? gdzie lecisz?

— Mości panie! zawracaj i ty ze mną! Nieszczęście! Gniew boży, sąd boży!

— Co się stało? Gadaj.

— Czehryn już zajęty przez zaporozców. Chłopy szlachtę rzną, sąd boży.

— W imię Ojca i Syna! Co gadasz... Chmielnicki?...

— Pan Potocki pobity, pan Czarniecki w niewoli. Tatary idą z kozakami. Tuhaj-bej!

— A Barabasz i Krzczowski?

— Barabasz zginął, Krzczowski połączył się z Chmielnickim. Krzywonos jeszcze wczoraj w nocy ruszył na hetmanów, Chmielnicki dziś do dnia. Siła

straszna. Kraj w ogniu, chłopstwo wszędy powstaje, krew się leje! Uciekaj waćpan!

Pan Zagłoba oczy wybaluszył, usta otworzył i zdumiał tak, że słowa nie mógł przemówić.

— Uciekaj waćpan! — powtórzył Pleśniewski.

— Jezus Marya! — jęknął pan Zagłoba.

— Jezus Marya! — powtórzyła Helena i wybuchnęła płaczem.

— Uciekajcie, bo czasu niema.

— Gdzie? dokąd?

— Do Łubniów.

— A ty tam dążysz?

— Tak jest. Do księcia wojewody.

— A niechże to kaduk porwie! — zawołał pan Zagłoba. — A hetmani gdzie są?

— Pod Korsuniem. Ale Krzywonos już pewnie się bije z nimi.

— Krzywonos, czy Prostonos, niechże go zaraza ukąsi. To tam niema po co jechać?

— Jako lwu w paszczę, na zgubę waćpan leziesz.

— A ciebie kto wysłał do Łubniów? Twój pan?

— Pan z życiem uszedł, a mnie kum mój, co go mam między zaporozcami, życie ocalił i uciec pomógł. Do Łubniów sam z własnej myśli jadę, bo i nie wiem, gdzie się schronić.

— A omijaj Rozlogi, bo tam Bohun. On także do rebelii chce się zapisać.

— O dla Boga! Rety! W Czechrynie mówili, że jeno patrzeć, jak i na Zadnieprzu chłopstwo się podniesiel!

— Być to może, być może! Ruszajże w swoją drogę, gdzieć się podoba, bo ja mam dość o swojej skórze myśleć.

— Tak i uczynię! — rzekł Pleśniewski i uderzywszy konia nahajem, ruszył.

— A omijaj Rozłogi — krzyknął mu na drogę Zagłoba — jeśli zaś spotkasz Bohuna, nie gadaj, żeś mię widział, słyszysz?

— Słyszę — odparł Pleśniewski. — Z Bogiem! — I popędził, jakby już goniony.

— No! — rzekł Zagłoba — masz dyable kubrak! Wykręcałem się sianem z różnych okazji, ale w takich jeszcze nie byłem. Z przodu Chmielnicki, z tyłu Bohun, co gdy tak jest, nie dałbym jednej złamanej orty ani za swój przód, ani za tył, ani za całą skórę. Głupstwom pono zrobił, że do Łubniów z waćpanną nie uciekał, ale o tem nie czas mówić. Tfu! tfu! Cały mój dowcip nie wart teraz tego, żeby nim buty wysmarować. Co uczynić, gdzie się udać? W całej tej Rzeczypospolitej niema widać już kąta, w którymby człowiek swoją, nie darowaną śmiercią mógł zejść ze świata. Dziękuję za takie podarunki, niech je inni biorą.

— Mości panie! — rzekła Helena. — To wiem, że moi dwaj bracia, Jur i Fedor, są w Zołotonoszy, może od nich będzie jakowy ratunek?

— W Zołotonoszy? Czekajże waćpanna. Poznałem i ja w Czehrynie pana Unierzyckiego, który pod Zołotonoszą ma majątność Kropiwnę i Czernobój. Ale to daleko stąd, dalej jak do Czerkas. Cóż robić, kiedy niema gdzieindziej, to uciekajmy i tam. Ale trzeba będzie zjechać z gościńca; stepem i lasami przebierać się bezpiecznie. Żeby tak choć na tydzień przyczaić się gdzie, bodaj i w lasach, może przez ten czas hetmani z Chmielnickim skończą i będzie pogodniej na Ukrainie.

— Nie poto nas Bóg z rąk Bohunowych ocalił, abyśmy zginąć mieli. Ufaj waćpan.

— Czekaj waćpanna. Jakosć duch wstępuje we mnie znowu. Bywało się w różnych okazyach. Wolnym czasem opowiem waćpannie, co mnie w Galacie spotkało — z czego wraz zmiarkujesz, że i wtedy krucho było ze mną, a przeciehem się własnym dowcipem z tamtych terminów salwował i wyszedłem cało, chociaż mi broda, jak to widzisz, posiwała. Ale musimy zjechać z gościńca. Skręć waćpanna — tak właśnie. Waćpanna tak koniem powodujesz, jak najsprawniejszy kozaczek. Trawy wysokie, żadne oko nas nie dojrzy.

Rzeczywiście trawy, w miarę jak się zagłębiali w step, stawały się coraz wyższe, tak, że w końcu utonęli w nich zupełnie. Ale koniom ciężko było iść w tej płataninie ździebł cieńszych i grubszych, a czasem ostrych i kaleczących. Wkrótce też zmęczyły się tak, że ustały zupełnie.

— Jeśli chcemy, by nam służyły one szkapiny dłużej — mówił Zagłoba — trzeba zsiąść i rozsiodłać je. Niechby się wytarzały i podjadły trochę, inaczej nie pójda. Miarkuję, że niedługo do Kahamliku się dostaniemy. Radbym już tam był; niemasz jak oczerety; jak się schowasz, sam dyabeł cię nie znajdzie. Byliśmy tylko nie zabłądzili.

To rzekłszy, zsiadł z konia i Helenie zsiąść pomógł; następnie jął zdejmować terlice i wydobywać zapasy żywności, w które się był przezornie w Rozlogach zaopatrzył.

— Należy się pokrzepić — rzekł — bo droga daleka. Zróbże waćpanna jakie wotum do św. Rafała, byśmy ją szczęśliwie odbyli. Przecie w Zołotonoszy jest stara

warowienka, może i prezydyum w niej jakie stoi. Pleśniewski mówił, że i na Zadnieprzu chłopci się podniosą. Hm! być może, skory tu wszędy lud do buntu, ale na Zadnieprzu spoczywa ręka księcia wojewody, a dyabło ciężka to ręka! Bohun zdrowy ma kark, ale jeśli ta ręka nań spadnie, to się przecie ugnie do samej ziemi, co daj Boże, amen. Jedźże waćpanna.

Pan Zagłoba wydobył z za cholewy sztuciec i podał go Helenie, następnie ułożył przed nią na czapraku pieczeń wołową i chleb.

— Jedźże waćpanna — rzekł — „kiedy w brzuchu pusto, w głowie groch z kapustą“... „Chcesz nie podrwić głową, jedz pieczeń wołową“. My zaś już raz podrwili, bo pokazuje się, że lepiej było do Łubniów uciekać, ale stało się. Książę też pewnie z wojskiem do Dniepru ruszy, na pomoc hetmanom. Strasznych to czasów dożyliśmy, gdyż wojna domowa, to ze wszystkiego złego najgorsze. Nie będzie kąta dla spokojnych ludzi. Lepiej mi było księdzem zostać, do czego miałem i powołanie, bom człek spokojny i wstrzemięźliwy, ale fortuna inaczej zrządziła. Mój Boże, mój Boże, byłbym sobie teraz kanonikiem krakowskim i śpiewałbym godzinki w stalach, bo mam głos bardzo piękny. Ale cóż! Z młodu podobały mi się podwiki! Ho! ho! nie uwierzysz waćpanna, jaki był ze mnie gładyz. A com się na którą spojrzal, to jakby w nią piorun trzasł. Żeby mi tak dwadzieścia lat mniej, miałby się z pyszna pan Skrzetuski. Bardzo formny z waćpanny kozaczek. Nie dziwić się młodym, że wedle ciebie zabiegają i że się o ciebie za lby biorą. Pan Skrzetuski, zabijaka to także nielada. Byłem świadkiem, jak mu Czaplński okazyą dawał, a on, prawda że miał w głowie, ale kiedy nie porwie go za leb i — z prze-

proszaniem waćpanny — za hajdawery, kiedy nie grzmotnie nim o drzwi — to mówię waćpannie, że mu wszystkie kości z zawiasów wyszły. Stary Zaćwilichowski powiadał mi też o waćpanny narzeczonym, iż wielki z niego rycerz, księcia wojewody ulubiony, ale i ja sam poznałem zaraz, iż żołnierz to powagi niepośledniej i eksperyencyi nad wiek. Gorąco się robi. Chociaż miła mi waćpanny kompania, ale dałbym nie wiem co, żeby już być w Zolotonoszy. Widzę, że we dnie trzeba nam będzie w trawach siedzieć, a nocą jechać. Nie wiem jeno, czy waćpanna takie trudy wytrzymaśz?

— Jam zdrowa, wszystkie trudy wytrzymam. Możemy jechać choćby i zaraz.

— Całkiem nie białogłowska w waćpannie fantazyja. Konie się wytarzały, więc i pokulbaczę je zaraz, żeby na wszelki przypadek były gotowe. Nie będę się czuł bezpiecznym, póki kahamlickich oczeretów i zarośli nie zobaczę. Żebyśmy byli z gościńca nie zjeżdżali, tobyśmy się byli bliżej Czehryna na rzekę natknęli, ale w tem miejscu będzie do niej od gościńca z miła drogi. Tak przynajmniej miarkuję. Przeprowadzimy się zaraz na drugą stronę rzeki. Powiem waćpannie, że okrutnie mi się spać chce. Wczorajszą noc całą przebaraszkowało się w Czehrynie, wczorajszego dnia do Rozłogów lichy mnie z kozakiem niosło, a dzisiejszej nocy znowu z Rozłogów odnosi. Spać mi się tak chce, że i do rozmowy straciłem ochotę, a choć milczeć nie mam zwyczaju, bo filozofowie mówią, że kot powinien być łowny, a chłop mowny, jednakże widzę, że język mi jakoś zleniwił. Przepraszam waćpannę, jeśli się zdrzemnę.

— Niema za co — odpowiedziała Helena.

Pan Zagłoba niepotrzebnie wprowadzicie oskarżał swój

język o lenistwo, bo od świtu mełł nim bez przestanku, ale spać chciało mu się istotnie. Jakoż gdy siedli znowu na koń, począł zaraz drzemać i żydy wozić na kulbace, a nakoniec usnął na dobre. Uspil go trud i szum traw, rozchylanych piersiami końskimi. Helena zaś oddała się myślom, które w jej głowie wichrzyły się, jak stado ptactwa. Dotychczas wypadki tak szybko następowały po sobie, że dziewczyna nie umiała zdać sobie sprawy ze wszystkiego, co ją spotkało. Napad, straszne sceny mordu, strach, niespodziany ratunek i ucieczka — wszystko to przewalilo się jak burza w ciągu jednej nocy. A przytem zaszło tyle rzeczy niezrozumiałych! Kto był ten, co ją ratował? Powiedział jej wprawdzie swe nazwisko, ale to nazwisko w niczem nie objaśniało powodów jego postępku. Skąd się wziął w Rozłogach? Mówił, że przyjechał z Bohunem, więc widocznie trzymał z nim kompanią, był mu znajomym i przyjacielem. Ale w takim razie dlaczego ją ratował, narażając się na największe niebezpieczeństwo i straszną zemstę kozaka? Żeby to zrozumieć, trzeba było znać dobrze pana Zaglobę i jego niespokojną głowę przy dobrem sercu. Helena zaś znalazła go od sześciu godzin. I oto ten nieznajomy człowiek, z bezezelną twarzą warchoła i opoja, jest jej zbawcą. Gdyby go spotkała trzy dni temu, wzbudziłby w niej wstręt i nieufność, a teraz patrzy nań jak na swego dobrego anioła i ucieka z nim, dokąd? Do Zołotonoszy — lub gdzieindziej, sama dobrze jeszcze nie wie. Co za zmiana losu! Wczoraj jeszcze kładła się do snu pod spokojnym dachem rodzinnym, dzisiaj jest w stepie, na koniu, w męskich szatach, bez domu i bez przytułku. Za nią straszliwy watażka, godzący na jej cześć, na jej miłość; przed nią pożar buntu chłopskiego, wojna do-

mowa. wszystkie jej zasadzki, trwogi i okropności. A cała ufność w tym człowieku? Niel jeszcze w kimś, potężniejszym nad gwałtowników, nad wojny, mordy i pożogi.

Tu dziewczyna podniosła oczy do nieba:

— Ratujże Ty mnie, Boże wielki a miłosierny, ratuj sierotę, ratuj nieszczęsną, ratuj zabląkaną! Bądź wola Twoja, ale stań się miłosierdzie Twoje.

A przecie już stało się miłosierdzie, bo oto wyrwana jest z rąk najokropniejszych, cudem Bożym, niezrozumiałym ocalona. Niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze, ale może i zbawienie niedalekie. Kto wie, gdzie jest ten, którego sercem wybrała. Z Siczy musiał już wrócić, może jest gdzie na tym samym stepie. Będzie jej szukał i odnajdzie, a wtedy radość zastąpi lzy, wesele i smutek, groźby i trwogi miną raz na zawsze — przyjdzie spokój i pocieszenie. Dzielne, proste serce dziewczyny napelnilo się ufnością i step szumiał słodko nokoło, a powiew, który temi trawami kołysał, nawiewał zarazem myśli słodkich do jej głowy. Nie taka ona przecie sierota na tym świecie, gdy oto przy niej jeden dziwny, nieznany opiekun — a drugi, znany i kochany, zatroszczy się o nią, nie opuści, przyhołubi raz na zawsze. A to jest człowiek żelazny, mocniejszy i potężniejszy od tych, którzy na nią dybią w tej chwili.

Step szumiał słodko, z kwiatów wychodziły zapachy silne i upajające, czerwone głowy bodiaków, purpurowe kistki roztocza, białe perły mikołajków i pióra bylicy pochylały się ku niej, jakby w tym kozaczku przebranym, o długich warkoczach, mleczej twarzy i kraśnych ustach, rozpoznawały siostrę-dziewczynę. Chyliły się tedy ku niej, jakby chciały mówić: nie płacz, krasnodiwo, my

także na opiece Bożej. Jakoż uspokojenie przychodziło do niej od stepu coraz większe. Zacieraly się obrazy mordu i pogoni w umyśle, a natomiast ogarniała ją jakaś niemoc, ale słodka, sen począł kleić i jej powieki, konie szły wolno — ruch ją kołysał. Usnęła.

ROZDZIAŁ IV.

Obudziło ją szczekanie psów. Otworzywszy oczy, ujrzała w dali przed sobą dąb wielki cienisty, zagrodę i żóraw studzienny. Wnet zbudziła towarzysza.

— Mości panie, zbudź się waszmość!

Zagłoba otworzył oczy.

— A to co? A my gdzie przyjechali?

— Nie wiem.

— Czekażże wasanna. To jest zimownik kozacki.

— Tak i mnie się widzi.

— Pewnie tu czabanowie mieszkają. Niezbyt miła kompania. Czego te psy tak ujadają, żeby ich wilcy ujedli! Widać konie i ludzi pod zagrodą. Niema rady, trzeba zajechać, żeby nie ścigali jak ominiem. Musiałś i waćpanna się zdrzemnąć.

— Tak jest.

— Raz, dwa, trzy, cztery konie osiodłane — czterech ludzi pod zagrodą. No, niewielka potęga. Tak jest, to czabanowie. Coś żywo rozprawiają. Hej tam, ludzie! a bywajno tu!

Czterech kozaków zbliżyło się natychmiast. Byli to istotnie czabanowie od koni, czyli koniuchowie, którzy latem stad wśród stepów pilnowali. Pan Zagłoba zau-

ważyl natychmiast, że jeden z nich miał tylko szablę i piszczel, trzej inni zbrojni byli w szczęki końskie, po-przywiązywane do kijów, ale wiedział i to także, że tacy koniuchowie bywają to ludzie dzicy i często dla podróżnych niebezpieczni.

Jakoż wszyscy czterej, zbliżywszy się, poglądali z podełba na przybyłych. W brązowych twarzach ich nie było najmniejszego śladu życzliwości.

— Czego chcecie? — pytali, nie zdejmując czapek.

— Sława Bohu — rzekł pan Zagłoba.

— Na wiki wików. Czego chcecie?

— A daleko do Syrowatej?

— Nie znam nikakij Syrowatej.

— A ówże zimownik jak się zwie?

— Huśła.

— Dajcie no koniom wody.

— Niema wody, wyszła. A wy skąd jedziecie?

— Z Kriwoj Rudy.

— A dokąd?

— Do Czechryna.

Czabanowie spojrzeli po sobie.

Jeden z nich, czarny jak żuk i kosooki, począł wpatrywać się w pana Zagłobę, wreszcie rzekł:

— A czego wy z gościńca zjechali?

— Bo upał.

Kosooki położył rękę na lejcach pana Zagłoby.

— Zleżno, panku, z konia. Do Czechryna nie masz po co jechać.

— I czemuż to? — spytał spokojnie pan Zagłoba.

— A widzisz ty tego molojca? — rzekł kosooki — ukazując na jednego z czabanów.

— Widzę.

— On z Czechryna przychaw. Tam Lachiw rżut.

— A wiesz ty, chłopie, kto do Czechryna za nami jedzie ?

— Kto takij?

— Książ Jarema!

Zuchwale twarze czabanów spokojniały w jednej chwili. Wszyscy jakby na komendę poodkrywali głowy.

— A wiecie wy, chamy — mówił dalej pan Zagłoba — co Lachy robią z takimi co *rżut*? oni takich *wiszajut*. A wiecie ile książ Jarema wojska prowadzi, a wiecie, że on nie dalej jak pół mili stąd? A co, psie dusze? Dudy w miech? Jak to wy nas tu przyjęli? Studnia wam wyschła? wody dla koni nie macie? A basalyki! a kobyle dzieci! pokażę ja wam!

— *Ne serdyteś, pane!* Studnia wyschła. My sami do Kahamliku jeździm poić i wodę dla siebie nosimy.

— A skurczybyki!

— Prostyte, pane. Studnia wyschła. Każecie, to skoczym po wodę.

— Obejdzie się bez was, sam pojedę z pacholkiem. Gdzie tu Kahamlik? — spytał groźnie.

— Ot, dwie staje stąd! — rzekł kosooki, pokazując na pas zarośli.

— A do gościńca czy tędy muszę wracać, czy brzegiem dojedzie?

— Dojedzie, panie. Milę stąd rzeka do gościńca skręca.

— Pacholek, ruszaj przodem! — rzekł pan Zagłoba, zwracając się do Heleny.

Mniemany pacholek skręcił konia na miejscu i poskoczył.

— Słuchać! — rzekł Zagłoba, zwracając się do

chłopów. — Jeśli tu podjazd przyjdzie, powiedzić, że z brzegiem do gościńca pojechał.

— Dobrze, panie.

W kwadrans później Zagłoba jechał znów obok Heleny.

— W porę im księcia wojewodę wymyśliłem — rzekł, przymrużając oko pokryte bielmem. — Będą teraz siedzieć cały dzień i czekać podjazdu. Drzączka ich porwała na samo imię książęce.

— Widzę, że waszmość tak obrotny masz dowcip, iż z każdej biedy ratować się potrafisz — rzekła Helena — i Bogu dziękuję, że mi zesłał takiego opiekuna.

Szlachcicowi poszły po sercu te słowa, uśmiechnął się, ręką brodę pogładził i rzekł:

— A co? ma Zagłoba głowę na karku? Chytrym jak Ulises i to muszę wacpannie powiedzić, iż gdyby nie ta chytrość, dawnoby mnie krucy zdzióbal. Ale cóż robić, trzeba się ratować. Oni w bliskość księcia snadnie uwierzyli, boć to jest prawdziwa rzecz, że dziś, jutro on się w tych stronach zjawi, z mieczem ognistym, jako archaniół. A żeby tak i Bohuna po drodze gdzie rozcisnął, ofiarowałbym się boso do Częstochowy. Choćby też byli owi czabanowie i nie uwierzyli, samo przypomnienie mocy książęcej wystarczyło, by ich od napaści na nasze zdrowie powstrzymać. Wszelako powiem wacpannie, że zuchwałość ich nie dobre to dla nas signum, bo to znaczy, że już się tu chłopstwo o wiktoryach Chmielnickiego zwiędziało i coraz się będzie stawać zuchwalsze. Musimy teraz pustek się trzymać i do wsiów mało zaglądać, bo niebezpiecznie. Dajże Boże jak najprędzej księcia wojewodę, bośmy się w taką matnię dostali, że jakom żyw, gorzej trudno wymyśleć.

Trwoga znów ogarnęła Helenę, pragnąc więc wydobyc jakie słowo nadziei z ust pana Zagłoby, rzekła:

— Już ja teraz ufam, że waszmość i siebie i mnie ocalisz.

— To się rozumie — odpowiedział stary wyga — głowa od tego, żeby o skórze myślała. A waćpannę takim już polubił, że za nią, jako za własną córką, będę obstawał. Najgorsze tylko to, że prawdę rzekłszy, sami nie wiemy gdzie uciekać, boć i ta Zołotonosza niezbyt to pewne asylum.

— To wiem napewno, że bracia są w Zołotonoszy.

— Są, albo ich niema, bo mogli wyjechać, a do Rozłogów pewnie nie tą drogą, którą my idziemy, wracają. Więcej ja liczę na tamtejsze prezydyum. Żeby tak choć z pół chorągiewki, albo z pół regimenciku w zamczku! Ale ot i Kahamlik. Tymczasem przynajmniej oczerety pod bokiem. Przeprowimy się na drugą stronę i zamiast z biegiem ku gościńcowi ciągnąć, pociągniemy w górę, żeby ślad pomylić. Prawda, że zbliżymy się do Rozłogów, ale nie bardzo...

— Zbliżymy się do Browarków — rzekła Helena — przez które do Zołotonoszy się jedzie.

— To i lepiej. Stójno waćpanna.

Napoili konie. Następnie pan Zagłoba, zostawiwszy Helenę dobrze ukrytą w zaroślach, pojechał wyszukać brodu, który znalazł z łatwością, bo leżał o kilkadziesiąt zaledwie kroków od miejsca, do którego przyjechali. Właśnie tamtędy owi czabanowie przepędzali konie na drugą stronę rzeki, która zresztą cała była dość płytka, jeno brzegi miała mało dostępne, bo zarosłe i błotniste. Przeprowiwszy się tedy na drugą stronę, ruszyli śpiesz-

nie w górę rzeki i jechali bez wytchnienia, aż do nocy. Droga była ciężka, bo do Kahamliku wpadało mnóstwo strumieni, które rozlewając się szerzej przy ujściach, tworzyły tu i owdzie trzęsawice i topieliska. Trzeba było co chwila wyszukiwać brodów, lub przedzierać się przez zarośla, trudne do przebycia dla jezdnych. Konie pomęczyły się okrutnie i zaledwie wlokły za sobą nogi. Chwilami zapadały tak, że Zagłobie zdawało się, iż nie wyleżą już więcej. Nakoniec wydostali się na wysoki, suchy brzeg, porośły dębina. Ale już też noc była głęboka i ciemna bardzo. Dalsza podróż stała się niepodobieństwem, bo w ciemnościach można było trafić na chłonne bagna i zginąć, więc pan Zagłoba postanowił czekać ranka.

Rozsiodłał konie, popętał je i puścił na pastwisko, poczem jął zbierać liście, wymościł z nich posłanie, zasłał czaprakami i okrywwszy burką, rzekł do Heleny:

— Połóż się waćpanna i spij, bo nie masz nic lepszego do zrobienia. Rosa ci oczki przemyje, to i dobrze. Ja też przyłożę głowę do terlicy, bo już kości nie czuję w sobie. Ognia nie będziem palić, gdyż światłoby nam tu jakich czabanów ściągnęło. Noc krótka, świtanie ruszymy dalej. Spij waćpanna spokojnie. Nakluczyliśmy jak zające, niewiele po prawdzie drogi zrobiwszy, ale też takeśmy zatarli za sobą ślady, że zje dyabła, kto nas odnajdzie. Dobranoc waćpannie!

— Dobranoc waćpanu!

Smukły kozaczek ukląkł i modlił się długo, podnosząc oczy do gwiazd, a pan Zagłoba wziął na plecy terlicę i poniósł ją nieco opodal, gdzie sobie upatrzył miejsce do spania. Brzeg dobrze był wybrany do noc-

legu, bo wysoki i suchy, zatem bez komarów. Gęste liście dębów mogły stanowić niezłą ochronę od deszczu.

Helena długo nie mogła zasnąć. Wypadki ubiegłej nocy stały jej zaraz jako żywe w pamięci, z ciemności wychyliły się twarze pomordowanych stryjny i braci. Zdawało się jej, że jest razem z ich trupami w owej sieni zamknięta i że do tej sieni zaraz wejdzie Bohun. Widziała jego oblicze wybladłe i sobole brwi czarne, bólem ściągnięte, i oczy w siebie utkwione. Trwoga ogarnęła ją niewymowna. A nuż nagle w tych ciemnościach, które ją otaczają, ujrzy naprawdę dwoje świecących oczu...

Księżyc przelotem wyrzał z za chmur, pobielil garścią promieni dąbrowę i ponadawał fantastyczne kształty pniom i gałęziom. Derkacze ozwały się po łakach, przepiórki na stepach; czasem dochodziły jakieś dziwne dalekie odgłosy ptaków, czy zwierząt nocnych. Bliżej prychały konie, które, gryząc trawę i skacząc w pętach, oddalały się coraz więcej od śpiących. Ale te wszystkie głosy uspokajały Helenę, bo rozpraszały fantastyczne widzenia i przenosiły ją w rzeczywistość; mówiły jej, że ta sień, która ciągle stawała jej przed oczyma, i te trupy krewnych, i ten Bohun, blady, z zemstą w oczach, to złuda zmysłów, urojenie strachu, nic więcej. Przed kilku dniami, myśl o takiej nocy pod golem niebem, w pustyni, przerażałaby ją śmiertelnie; dziś musiała sobie przypominać, że istotnie jest nad Kahamlikiem, daleko od swej komnaty dziewiczej, aby się uspokoić.

Grały jej tedy do snu derkacze i przepiórki, migotały gwiazdy, gdy powiew poruszył gałęzie, brzęczały chrząszcze na dębowych liściach — i usnęła wreszcie.

Ale noce w pustyni mają także swoje niespodzianki. Szaro już było, gdy uszu jej doszły zdala jakieś straszne głosy, jakieś harkotania, wycia, chrapania, później kwik, tak bolesny i przeraźliwy, że krew ścięła się w jej żyłach. Zerwała się na równe nogi, okryta zimnym potem, przerażona i niewiedząca co czynić. Nagle w oczach jej mignął Zagłoba, który leciał bez czapki w stronę tych głosów, z pistoletami w rękę. Po chwili rozległ się jego głos: „u-ha! u-ha! siromacha!” — huknął wystrzał i wszystko umilkło. Helenie zdawało się, że wieki czeka, наконец przecie, poniżej brzegu, usłyszała znów Zagłobę.

— A żeby was psi pojedli, żeby was ze skóry obdarto, żeby was żydzi na kołnierzach nosili!

W głosie Zagłoby brzmiała prawdziwa desperacya.

— Mości panie, co się stało? — pytała dziewczyna.

— Wilcy konie porznęli.

— Jezus Marya! oba?

— Jeden zarżnięty, drugi skaleczon tak, że stajania nie ujdzie. W nocy odeszły nie dalej jak trzysta kroków i już po nich.

— Cóż teraz pocznem?

— Co pocznem? Wystrzujemy sobie kije i siądziemy na nie. Czy ja wiem co pocznem? Ot, czysta desperacya! Mówię waćpannie, że dyabeł wyraźnie zawział się na nas — co i nic dziwnego, bo musi on być Bohunowi przyjacielem, albo zgoła krewnym. Co pocznem? Jeśli wiem, to niech się w konia zmienię, przynajmniej waćpanna będziesz miała na czym jechać. Szelmą jestem, jeśli kiedy byłem w podobnej imprezie.

— Pójdziemy pieszo...

— Dobrze to waćpannie, przy jej dwudziestu leciech, ale nie mnie, przy mojej cyrkumferencji, chłopską modą podróżować. Choć i to źle mówię, bo tu lada chłop na szkapę się zdobędzie, a psi tylko chodzą na piechotę. Czysta desperacya, jak mnie Bóg miły. Juści nie będziem tu siedzieć, tylko pójdziemy, ale kiedy zajdziemy do onej Zolotonoszy, nie wiem. Jeśli uciekać nawet i na koniu niemilo, to na piechotę ostatnia rzecz. Tedy przygodziło się już nam, co się mogło najgorszego przygodzić. Kulbaki musimy zostawić, a co do gęby włożyć, to na własnym karku dźwigać.

— Nie pozwolę ja na to, abys waćpan sam dźwigał, a co będzie trzeba, to i ja też poniosę.

Zagłoba udobruchał się, widząc takową determinacyę dziewczyny.

— Moja mościa panno — rzekł — a toż chyba byłbym Turkiem, albo poganinem, gdybym na to pozwolił. Nie do dźwigania to te bieluchne rączki, nie do dźwigania te strzeliste pleczyki. Jakoś Bóg da, że i sam poradzę, jeno wypoczywać często muszę, bo nadtom był zawsze wstrzemięźliwy w jedle i napoju, od czego mam teraz dech krótki. Weźmiemy czapraki do spania i żywności trochę, a zresztą niewiele już jej zostanie, licząc, że zaraz trzeba się dobrze pokrzepić.

Jakoż zabrali się do posiłku, przy którym pan Zagłoba, porzuciwszy swą zachwalaną wstrzemięźliwość, starał się o dech długi. Koło południa przyszli nad bród, którym widocznie od czasu do czasu przejeżdżali ludzie i wozy, bo po obu brzegach były ślady kół i kopyt końskich.

— Może to droga do Zolotonoszy? — rzekła Helena.

— Ba, niema się kogo spytać.

Ledwie pan Zagłoba skończył mówić, gdy z oddali doszedł ich uszu głos ludzki.

— Czekaaj waćpanna, ukryjmy się — szepnął Zagłoba.

Głos zbliżał się coraz bardziej.

— Widzisz co waćpan? — spytała Helena.

— Widzę.

— Kto się zbliża?

— Dziad-ślepiec z lirą. Wyrostek go prowadzi. Teraz buty zdejmują. Przejdą ku nam przez rzekę.

Po chwili pluskanie wody oznajmiło, że istotnie przechodzą.

Zagłoba wraz z Heleną wyszli z ukrycia.

— Sława Bohu! — rzekł głośno szlachcic.

— Na wiki wikiw — odpowiedział dziad. — A kto tam jest?

— Chrześcijanie. Nie bój się, dziadu, naści ortę.

— Szczob wam światyj Mikołaj daw zdrowła i szczastje.

— A skąd, dziadu, idziecie?

— Z Browarków.

— A ta droga dokąd prowadzi?

— Do hotoriw pane, do sela...

— A do Zołotonoszy nią dojdzie?

— Można, pane.

— Dawnoście wyszli z Browarków?

— Wczoraj rano, — pane.

— A w Rozłogach byliście?

— Byli. Ale powiadają, że tam „lycari“ prijszli, szczo bitwa buła.

— Któż to powiadał?

— W Browarkach powiadali. Tam jeden z kniaziowej czeladzi przyjechał, a co powiadał, strach!

— A wyście go nie widzieli?

— Ja, pane, nikogo nie widzę, ja ślepy.

— A ówże wyrostek?

— On widzi, ale on niemowa, ja jeden jego rozumiem.

— Daleko też stąd do Rozłogów, bo my tam właśnie idziemy?

— Oj, daleko!

— Więc powiadacie, żeście byli w Rozłogach?

— Byli, pane.

— Tak? — rzekł pan Zagłoba i nagle chwycił za kark wyrostka.

— Ha lotry, złodzieje, lajdaki, na przespiegi chodzicie, chłopów do buntu podmawiacie! Hej, Fedor, Olesza, Maksym, brać ich, obedrzyć do naga i powiesić, albo utopić! bij ich, to buntownicy, szpiegi, bij, zabijaj!

Począł szarpać wyrostka i potrząsać nim silnie, i krzyżeć coraz głośniej. Dziad rzucił się na kolana, prosząc o miłosierdzie, wyrostek wydawał przeraźliwe głosy, właściwe niemowom, a Helena spoglądała ze zdumieniem na owę napaść.

— Co waćpan robisz? — pytała, nie wierząc własnym oczom.

Ale pan Zagłoba wrzeszczał, przeklinał, poruszał całe piekło, wzywał wszystkich nieszczęść, klęsk, chorób — groził wszelkimi rodzajami mąk i śmierci.

Kniaziówna myślała, że mu się rozum pomieszał.

— Umykaj — wołał na nią — nie przystoi ci patrzeć na to, co się tu stanie, umykaj mówię.

Nagle zwrócił się do dziada:

— Zdejmuj przyodziewek, capie, a nie, to cię tu potnę na sztuki!

I obaliwszy wyrostka na ziemię, począł go własnymi rękoma obdzierać. Dziad przerażony zrzucił co prędzej lirę, torbę i świtkę.

— Zdziewaj wszystko! — bogdaj cię zabito! — wrzeszczał Zagłoba.

Dziad począł ściągać koszulę.

Kniazionna, widząc na co się zanosi, oddaliła się śpiesznie, aby swej skromności widokiem nagich członków nie obrazić, a za uciekającą gonili jeszcze przekleństwo Zagłoby.

Oddaliwszy się znacznie, zatrzymała się, nie wiedząc sama co począć. W pobliżu leżał pień obalonego przez wichry drzewa, siadła więc na nim i czekała. Do uszu jej dochodziły wrzaski niemowy, jęki dziada i warchoł, czyniony przez pana Zagłobę.

Wreszcie umilkło wszystko. Słyszać było tylko świergotanie ptaków i szmer liści. Po chwili dało się słyszeć sapanie i ciężki chód ludzki.

Był to pan Zagłoba.

Na ramieniu niósł przyodziewek, zdarty z dziada i pacholecia, w ręku dwie pary butów i lirę. Zbliżywszy się, począł mrugać swoim zdrowym okiem, uśmiechać się i sapać.

Widocznie był w doskonałym humorze.

— Żaden woźny w trybunale nie nakrzyczy się tak, jakom się ja nakrzyczał — rzekł. — Ażem ochrypl. Ale mam, czegośm chciał. Wypuściłem ich nagich, jak ich matka porodziła. Jeśli mnie sułtan nie zrobi baszą, albo hospodarem wołoskim, to jest niewdzięcznikiem,

gdyż przysporzyłem dwóch tureckich świętych. O lajdaki! prosili, by im też choć koszule zostawić! Ale im rzekł, iż dość powinni być wdzięczni, że ich przy żywocie zostawiam. A zobaczno waćpanna. Wszystko nowe, i świty, i buty i koszule. Maż tu być porządek w tej Rzeczypospolitej, gdy chamstwo tak zbytownie się ubiera? Ale oni byli na odpusćcie w Browarkach, gdzie niemało zebrali grosiwa, toż sobie kupili wszystko nowe na jarmarku. Niejeden szlachcic tyle nie wyorze w tym kraju, ile dziad wyżebrze. Odtąd porzucam rycerskie rzemiosło, a będę dziadów na gościńcach obdzierał, bo widzę, że eo modo prędzej do fortuny dojść można.

— Ale na jakiz pożytek waćpan to uczynilesz? — pytała Helena.

— Na jaki pożytek? Waćpanna tego nie rozumiesz? Tedy poczekaj trochę, zaraz się ów pożytek widocznie waćpannie ukaże.

To rzekłszy, wziął połowę zdartego przyodziewku i oddalił się w krze zarastające brzegi. Po niejakiem czasie w krzach ozwały się dźwięki liry, a następnie ukazał się... już nie pan Zagłoba, ale prawdziwy „did“ ukraiński, z bielmem na jednym oku, z siwą brodą. „Did“ zbliżył się do Heleny, śpiewając ochryplym głosem:

„Sokołe jasnyj, brate mij ridnyj,
„Ty wysoko litajesz,
„Ty szYROKO wydajesz.“

Kniaziówna klasnęła w ręce i po raz pierwszy od ucieczki z Rozłogów uśmiech rozjaśnił jej śliczną twarz.

— Gdybym nie wiedziała, że to waćpan, zgołabym go nie poznała.

— A co? — rzekł pan Zagłoba. — Pewnie i na zapusty nie widziałś waćpanna lepszej maskary. Przejrzałem się też w Kahamliku i jeśliś widział kiedy formniejszego dziada, niech mnie na własnej torbie powiesz. Na pieśniach też mnie nie zbraknie. Co waćpanna wolisz? Może o Marusi Bohusława, o Bondariwnie, albo o Sierpiahowej śmierci? Mogę i to. Szelmą jestem, jeśli na kawalek chleba między największymi hultajami nie zarobię.

— Już teraz rozumiem waszmościów uczynek, dla czegoś szatki zewłókl z tych biedaków, a to, by drogę w przebraniu bezpieczniejsz odbyć.

— Rozumie się — rzecze pan Zagłoba. — Cóżbo waćpanna myślisz? Tu, na Zadnieprzu, lud gorszy niż gdzieindziej i tylko ręka księcia hultajów od swywoli powstrzymuje, a teraz, gdy się zwiedzą o wojnie z Zaporozem i o wiktoryach Chmielnickiego, tedy żadna moc ich od rebelii nie powstrzyma. Widziałś waćpanna owych czabanów, którzy się już do naszej skóry chcieli zabierać? Jeśli prędko hetmany Chmielnickiego nie zetrą, to za dzień, za dwa, cały kraj będzie w ogniu — i jakże ja waćpannę wówczas przez kupy zbuntowanego chłopstwa przeprowadzę? A mielibyśmy wpaść w ich ręce, to lepiej było dla waćpanny w Bohunowych pozostać.

— O nie może to być! Wolę śmierć! — przerwała kniaziówna.

— Ja zaś wolę życie, bo śmierć to naraz sztuka, od której się żadnym dowcipem nie wykręcisz. Ale tak myślę, że Bóg nam zesłał tych dziadów. Takem ich przestraszył, że ksiązę z całym wojskiem blisko, jak i owych czabanów. Będą ze trzy dni od strachu goli

w oczeretach siedzieć. A my tymczasem w przebraniu jakoś do Zolotonoszy się przebierzem, znajdziemy braci waćpanny i pomoc — dobrze; nie, to pójdziem dalej aż do hetmanów, albo na księcia będziem czekać, a wszystko w przepieczności, bo dziadom od chłopów i od kozaków żaden strach. Moglibyśmy przez obozy Chmielnickiego zdrowo głowy przenieść. Tylko jednych Tatarów vitare nam należy, bo oniby waćpannę jako pacholka młodego, w jasyr wzięli.

— To i ja tedy przebrać się muszę.

— Tak jest, zrzuć tedy waćpanna z siebie kozaczka, a w wyrostka chłopskiego się przedzierzgnij. Trocheś, jak na chamskie dziecko, za gładka, ja także na *diida*, ale to nic. Wiater opali liczko waćpanny, a mnie od chodzenia brzuch spadnie. Wszystką tłustość z siebie wypocę. Gdy mnie Wołosi oko wypalili, myślałem, iż zgola okrutna przygoda mię nachodzi, a widzę teraz, iż mi się to właśnie przyda, bo dziad nie ślepiec byłby podejrzanym. Będiesz mnie waćpanna za rękę prowadzić, a zwij mnie Onufrij, bo takowe jest moje dziadowskie imię. Teraz zaś się przebierz co prędzej, bo nam czas w drogę, która, ile że na piechotę, dłużyć się będzie.

Pan Zagłoba odszedł, a Helena wnet jęła się przebierać za dziadowskie pacholę. Wypłuskawszy się w rzece, rzuciła żupanik kozacki, a wdziała świtkę chłopską, i kapelusz ze słomy i sakwy podróżne. Szczęściem wyrostek ów obdarty przez Zagłobę smukłym był, więc pasowało na nią wszystko dobrze.

Zagłoba, wróciwszy, obejrzał ją uważnie i rzekł:

— Mój Boże, niejeden rycerz chętnieby zbył stanniku swego, byle go taki pacholek prowadził, a już je-

dnego husarza znam, którenby to napewno uczynił. Tylko już z tymi włosami trzeba koniecznie coś uczynić. Widziałem ja w Stambule urodziwe pacholęta, ale takiego nie widziałem.

— Daj Boże, aby mi na złe nie wyszła gładkość moja — rzekła Helena.

Ale uśmiechała się jednak, bo jej niewieście uszy mile lechtał podziw pana Zagłoby.

— Gładkość nigdy na złe nie wychodzi, a ja tego pierwszym przykładem, bo gdy mnie Turcy w Galacie oko wypalili, chcieli wypalić i drugie, gdy mnie żona tamecznego baszy uratowała, a to dla nadzwyczajnej mojej urody, której ostatki możesz jeszcze waćpanna oglądać.

— A mówileś waćpan, iż to Wołosi mu oczy wypalili?

— Bo Wołosi, ale poturczeni, i w Galacie, u baszy, służący.

— Przecie waćpanu i tego jednego nie wypalili?

— Jeno mi od gorącości żelaza bielmem zaszło. Wszystko to jedno. Cóż tedy waćpanna z warkoczami swymi chcesz uczynić?

— A cóż? trzeba obciąć.

— A trzeba. Ale jak?

— Waćpanową szablą.

— Dobrze to szablą głowę uciąć, ale włosy, to już nie wiem, quo modo?

— Wiesz waćpan co? Siądę ja przy tym zwalonym pniu, a włosy przez pień przelożę, waćpan zaś tniesz i utniesz. Jeno mi głowy nie utnij.

— O to się waćpanna nie bój. Nieraz ja knoty u świec po pijanemu obcinałem, samej świecy nie za-

ciąwszy. Nie uczynię i waćpannie krzywdy, chociaż takowa prezentacya dla mnie pierwsza.

Helena siadła koło pnia i rzuciwszy w poprzek swe ogromne czarne włosy, podniosła oczy ku panu Zagłobie.

— Gotowam — rzekła — tnij waćpan.

I uśmiechała się do niego trochę smutno. bo jej żal było owych włosów, które przy głowie ledwieby w dwie piędzie można ująć. A i panu Zagłobie było jakos nie sporo. Okraczył pień dla lepszego cięcia i mrucał:

— Tfu! tfu! wołałbym zostać cyrulikiem i oseledce kozakom podgalać. Zdaje mi się, że jestem mistrzem i że do katowskiej przystępuję roboty, gdyż wiadomo waćpannie, że oni czarownicom włosy na głowie obcinają, aby zaś dyabeł się w nich nie utail i swoją mocą efektu torturów nie zepsował. Aleś waćpanna nie czarownica, przeto i ten postępek paskudnym mi się wydaje, za który jeśli mi pan Skrzetuski uszu nie obetnie, to mu imparitatem zadam. Dalibóg, że mnie mrowie chodzi po rękę. Zamruż przynajmniej waćpanna oczy.

— Już! — rzekła Helena.

Pan Zagłoba podniósł się w górę, jakby się na strzemionach do cięcia wznosił. Płytkie żelazo świsnęło w powietrzu i natychmiast długie, czarne sploty zsunęły się po gładkiej korze pnia na ziemię.

— Już — rzekł z kolei Zagłoba.

Helena podniosła się żywo i natychmiast krótko obcięte włosy rozsypały się czarnem koliskiem koło jej twarzy, na którą były rumieńce wstydu, bo w owych czasach ucięcie warkocza dziewczynie poczytywano za hańbę wielką, więc była to z jej strony ciężka ofiara, którą z konieczności tylko przenieść mogła.

Nawet i lzy pokazały się w jej oczach, a pan Zagłoba, niekontent z siebie, wcale jej nie pocieszał.

— Zdaje mi się, że się na coś bezecnego odważył — rzekł — i powtarzam wacpannie, że pan Skrzetuski, jeżeli jest godnym kawalerem, uszy mi za to obciąć powinien. Ale nie można było inaczej, boćby sexus wacpanny zaraz odgadnięto. Teraz przynajmniej pójdziemy śmiało. Rozpytałem się też dziada o drogę, przyłożywszy mu sztych do gardła. Wedle tego co powiadał, ujrzymy na stepie trzy dęby, koło których będzie wilczy jar, a wedle jaru droga na Demianówkę, ku Zolotonoszy. Mówił, że i czumakowie drogą jeżdżą, będzie się można przysiąść na wozie. Ciężkie my to chwile z wacpanną przeżywamy, które wiecznie wspominać będziem. Teraz ot trzeba się będzie i z szablami rozstać, bo nie przystoi dziadowi, ni jego pacholęciu, mieć szlacheckie oznaki przy sobie. Wetknę je pod ten pień, może Bóg da, że kiedyś odnajdę. Dużo wypraw ta szabla widziała i wielkich przewag była przyczyną. Wierzaj mi wacpanna, że dotąd byłbym już regimentarzem, gdyby nie invidia i złość ludzka, która mnie o miłość do gorących napojów posądzała. Tak to zawsze na świecie. W niczem niemasz sprawiedliwości! Żem nie laźl, jak kto głupi, na zgubę i z męstwem umiałem, jako drugi Cunctator, łączyć roztropność, tedy pierwszy pan Zaćwilihowski powiadał, że mnie tchórz oblatywał. Dobry on człowiek, ale zły język. Jeszcze niedawno dogryzał mi, że się z kozaki bratał, a gdyby nie owo bratanie, pewniebyś wacpanna mocy Bohunowej nie uszła.

Tak rozmawiając, powtykał pan Zagłoba szablę pod pień, nakrył je zielskiem i trawą, następnie prze-

wiesił przez plecy sakwy i teorban, wziął w rękę kij sadzony krzemieniami, machnął raz i drugi, poczem rzekł:

— No, niezle i to, można jakowemu psu albo i wilkowi świeczki w ślepiach zapalić i zęby porachować. Najgorsze ze wszystkiego, że trzeba iść piechotą, ale niema rady! Chodźmy!

Poszli.

Pacholeę czarnowłose przodem, dziad za niem. Dziad mruczał i przeklinał, bo mu było gorąco iść piechotą, chociaż po stepie wiatr przeciągał. Wiatr ten opalał i czynił smagłem lice ślicznego pacholęcia. Wkrótce trafili na jar, na dnie którego była krynica, sącząc swe przeczyste wody do Kahamliku. Koło tego jaru, niedaleko od rzeki, rosły na mogile trzy potężne dęby; ku nim zaraz skręcili nasi podróżni. Zaraz też trafili na ślady drogi, która żółciła się na stepie od kwiecica wyrosłego na bydłęcym nawozie. Droga była pusta, ani czumaka na niej, ani mazi, ani siwych wołów wolno idących. Gdzieś leżały tylko kości bydłące, porozwłózione przez wilki i wybielone na słońcu. Podróżni szli ciągle, wypooczywali jeno w dąbrowach cienistych. Czarnowłose pacholeę układało się do snu na zielonej murawie, a dziad czuwał. Przechodzili też i przez ruczaje, a gdzie brodu nie było, to go szukali, chodząc długo brzegiem. Czasem też dziad prznosił pacholeę na rękę, z siłą dziwną w czleku, który już chodził po żebranych chlebie. Ale był to barczysty dziad! Tak wlekli się znowu aż do wieczora, aż wreszcie pacholek usiadł przy drodze, w lesie dębowym, i rzekł:

— Już mi i tchu brak, i sił zbyłam. Nie pójdę dalej. Tu się położę i zamrę.

Dziad zakłopotał się srodze.

— O to przekłete pustkowie! — rzekł — ani futora, ani sadyby na drodze, ani żywego czleka. Ale nie możemy tutaj na noc zostawać. Wieczór już zapada, za godzinę ciemno będzie — a posłuchaj jeno waćpanna!

Tu dziad umilkł i przez chwilę panowała cisza głęboka.

Ale nagle przerwał ją daleki, posępny głos, który zdawał się wychodzić z wnętrzości ziemi, a rzeczywiście wychodził z jaru, leżącego niedaleko drogi.

— To wilcy — rzekł pan Zagłoba. — Zeszłej nocy mieliśmy konie, to nam konie zjedli, terazby do nas samych się zabrali. Trzymam ci ja wprawdzie pistolet pod świtką, ale mi prochu nie wiem czy na dwa razy stanie, a nie chciałbym służyć za marcepan na wilczem weselu. Słyszysz waćpanna — znowu!

Wycie istotnie rozległo się znowu i zdawało się bliższem.

— Wstawaj, detyno! — rzekł dziad. — A nie możesz iść, to cię poniosę. Cóż robić. Widzę, że zanadto polubiłem waćpannę, ale to pewnie dlatego, że żyjąc w stanie bezzennym, własnych prawych potomków zostawić nie mogłem, a jeśli mam nieprawę, to są bisurmanami, bom w Turczach długo przebywał. Na mnie też kończy się ród Zagłobów, herbu Wczele. Waćpanna się starością moją zaopiekujesz, ale teraz wstawaj, albo li siadaj mi na plecę, na barana.

— Nogi mi tak ociężały, że już i ruszyć się nie mogę.

— A chwaliłaś się waćpanna swoją siłą. Ale cicho-no! cicho! Jak mnie Bóg miły, tak słyszę szczekanie psów. Tak jest, to psi, nie wilcy. Tedy niedaleko musi być Demianówka, o której mnie dziad powiadał. Chwała

ładź Bogu najwyższemu! Jużem myślał, czyby ognia nie napalić od wilków, ale byśmy się pewnie pospali, bośmy oboje znużeni. Tak jest, to psi. Słyszysz?

— Chodźmy — rzekła Helena, której nagle sił przybyło.

Jakoż, za ledwie wyszli z lasu, pokazały się o kilka stajañ ognie licznych chat. Dojrzeli także trzy kopułki cerkwi, pobite świeżymi gontami, które świeciły jeszcze w pomroce, od ostatnich blasków zorzy wieczornej. Szczekanie psów dochodziło coraz wyraźniej.

— Tak jest, to Demianówka, nie może być nic innego — rzekł pan Zagłoba. — Dziadów wszędy chętnie przyjmują, może zdarzy się nocleg i wieczerza, a może dobrzy ludzie dalej podwiozą. Czekażże waćpanna, to jest książęca wieś, więc pewnie i podstarości w niej mieszka. I spoczniem, i wieści zasięgniem. Książę już musi być w drodze. Może poratowanie prędzej się zdarzy, niż się waćpanna spodziewasz. Ale! pamiętajże, żeś niemowa. Zaczynam już w piętke gonić, gdyż kazałem ci się zwać Onufrym, a skoro jesteś niemową, nie możesz mnie nijak nazywać. Ja sam będę gadał za ciebie i za siebie, a chwalić Boga, po chłopsku tak dobrze mówię, jak i po łacinie. Dalej, dalej! Ot! już i pierwsze chaty niedaleko. Mój Boże! kiedyż się już skończy nasze tułactwo. Żebyśmy choć piwa grzanego mogli dostać, chwalilibym Pana Boga i za to.

Pan Zagłoba umilkł i przez czas niejaki szli cicho koło siebie. Poczem znów mówić począł:

— Pamiętajże waćpanna, żeś niemowa. Gdy cię ktoś o co spyta, zaraz mu pokaż na mnie i rzeknij: „hum, hum, hum! nija, nija!“ Waćpanna, uważałem, wiele masz roztropności, a to przecie o naszą skórę

chodzi. Chybabyśmy przypadkiem na hetmańskie, albo książęce chorągwie trafili, wtedy zaraz ogłosimy, kto jesteśmy, zwłaszcza jeśli się znajdzie oficer grzeczny i pana Skrzetuskiego znajomy. Prawda, żeś to waćpanna pod opieką książęcą, tedy nie masz się czego żołnierzów obawiać. O! a to co za ogniska tam w dołku buchają? Aha! kują, to kuźnia! Ale widzę i ludzi przy niej niemało, pójdźmy tam.

Istotnie, w rozpadlinie stanowiącej przedsionek jaru, stała kuźnia, z której komina sypały się snopy i kłęby złotych iskier, a przez otwarte drzwi i przez liczne dziury, wiercone w ścianach, buchało jaskrawe światło, przesłaniane chwilami przez ciemne postacie, kręcące się we wnętrzu. Na zewnątrz, przed kuźnią, widać było także w pomroce nocnej kilkadziesiąt postaci stojących kupkami. Młoty w kuźnicy biły w takt, aż echo rozlegało się dookoła, a odgłos ten mieszał się ze śpiewami pod kuźnią, z gwarem rozmów, ze szczekaniem psów. Widząc to wszystko, pan Zagłoba skrzył zaraz w ów jar, zabrząknął w lirę i począł śpiewać:

„Ej, tam na hori
Żenci żnut,
A popid horoju,
Popid zelenoju,
Kozaki idut“.

Tak śpiewając, zbliżył się do gromady ludzi, stojących przed kuźnią. Rozejrzył się: byli to chłopci, po większej części pijani. Prawie wszyscy trzymali w ręku drągi. Na niektórych z tych drągów widniały kosy, poobsadzone sztorcem i ostrza spis. Kowale w kuźni pracowali właśnie nad wyrobem tych ostrz i odginaniem kos.

— Ej did! did! — poczęto wołać w gromadzie.

— Sława Bohu! — rzekł pan Zagłoba.

— Na wiki wikiw.

— Skażyte ditki, wże je Demianówka?

— Demianówka. Abo szczo?

— Bo mnie po drodze mówili — ciągnął dalej dziad — że tu dobrzy ludzie mieszkają, co dziada przygarną, nakarmią, napoją, przenocują i *hrossi dadut*. Ja stary, daleką drogę odbył, a chłopiec to już dalej krokiem nie może. On biedny, niemowa, mnie starego prowadzi, bo nie widzę, ślepiec ja nieszczęsny. Bóg was pobłogosławi dobrzy ludzie i święty Mikołaj, cudotwórca, pobłogosławi, święty Onufrij pobłogosławi. W jednym oku trochę mi światła Bożego zostało, a drugie ciemne na wieki; tak z teorbanem chodzę, pieśni śpiewam i żyję jak ptaki, tem co z rąk dobrych ludzi spadnie.

— A skąd wy, *didu*?

— Oj, z daleka, z daleka. Ale pozwólcie spocząć, bo widzę pod kuźnią jest ława. Siadaj i ty, nieboże — mówił dalej — ukazując ławkę Helenie. My aż z nad Ladawy, dobrzy ludzie. Ale z domu dawno, dawno wyszli, a teraz z Browarków z odpustu idziemy.

— A co tam słyszeli dobrego? — pytał stary chłop z kosą w rękę.

— Słyszeli, słyszeli, ale czy co dobrego, nie wiemy. Ludzi tam naschodziło się mnogo. O Chmielnickim mówili, że hetmańskiego syna i jego *lycariw* zwojował. Słyszeli także, że na ruskim brzegu chlopi na panów się podnoszą.

Gromada otoczyła zaraz Zagłobę, który, siedząc obok kniaziówny, od czasu do czasu w struny liry uderzał.

— To wy, ojcie, słyszeli, że się podnoszą?

— A jakże. Nieszczęśliwa, bo nasza chłopska doła!

— Ale mówią, że koniec będzie?

— W Kijowie pismo od Chrysta na ołtarzu znaleźli, że będzie wojna straszna i okrutna i wielkie krwi przelanie na całej Ukrainie.

Podkole otaczające ławę, na której siedział pan Zagłoba, ścieśniło się jeszcze bardziej.

— Mówicie, że pismo było?

— Było, jako żywo! O wojnie, o krwi przelaniu... Ale nie mogę mówić więcej, bo mi staremu biednemu w gardle już zaschło.

— Macie, ojczy, miarkę gorzalki, a mówcie, coście na świecie słyszeli. Wiemy i my, że dziady wszędy bywają i wszystko *znajut*. Bywały już u nas, *taj kasaly, szczo na paniw* przyjdzie od Chmiela czarna godzina. No, tak my kosa i spisy kazali sobie robić, aby nie byli ostatni, ale teraz nie wiemy, zaczynać-li już, czy pisma od Chmiela czekać.

Zagłoba wychylił miarkę, posmakował, potem pomyślał chwilę i rzekł:

— A kto wam mówi, że czas zaczynać?

— My sami chcemy.

— Zaczynać! zaczynać! — ozwały się liczne głosy. — *Koły saporozhci paniw pobylły*, tak zaczynać.

Kosa i spisy zatrzęsły się w krzepkich rękach i wydały brzęk złowrogi.

Poczem nastąpiła chwila milczenia, jeno młoty w kuźnicy biły. Przyszli rezunowie czekali, co powie *did*. Dziad myślał, myślał, wreszcie spytał:

— Czyi wy ludzie?

— My kniazia Jaremy.

— A kogóż wy będziecie rzywały?

Chłopi spojrzeli po sobie.

— Jego? — spytał dziad.

— *Ne zderżymo...*

— Oj, *ne zderżyte, ditki, ne zderżyte*. Bywał ja i w Łubniach i widział kniazia na własne oczy. Straszny on! Kiedy krzyknie, drzewa drżą w lesie, a jak nogą tupnie, jar się robi. Jego i *korol boitsia*, i hetmany słuchają i wszyscy się jego boją. A wojska więcej u niego, niż u chana i u sultana. *Ne zderżyte, ditki, ne zderżyte*. Nie wy jego poszukacie, ale on was poszuka. A jeszcze tego nie wiecie, co ja wiem, że jemu wszystkie Lachy przyjdą w pomoc, a to znajte: *szczo Lach, to szabla!*

Ponure milczenie zapanowało w gromadzie; dziad brzęknął znów w teorban i mówił dalej, podniósłszy twarz ku księżycowi:

— Idzie kniaź, idzie, a przy nim tyle krasnych kit i chorągwi, ile gwiazd na niebie, a bodiaków na stepie. Leci przed nim wiaterek i jęczy, a *znajete, ditki*, dlaczego on jęczy? Nad waszą dolą on jęczy. Lecz przed nim matka-śmierć z kosą, i dzwoni, a wiecie dlaczego dzwoni? Na wasze szyje dzwoni.

— Hospody pomiluj! — ozwały się ciche, przerażone głosy.

I znowu słyhać było tylko bicie młotów.

— Kto tu kniaziewy komysar? — pytał dziad.

— Pan Gdeszyński.

— A gdzie on?

— Uciekł.

— A czemu on uciekł?

— Bo słyssał, że dla nas spisy taj kosy kuja, tak się przeląkł i uciekł.

— Tem gorzej, bo on o was kniaziewi doniesie.

— Coś ty, didu, kraczesz jak kruk — rzekł stary chłop. — A tak my i wierzymy, że na *paniw* czarna godzina nadchodzi. I nie będzie ich ani na ruskim, ani na tatarskim brzegu, ni panów, ni kniaziów, tylko kozaki, wolni ludzie będą — i nie będzie ni czynszu, ni czopowego, ni suchomielszczyzny, ni przewozowego, i nie będzie żydów, bo tak stoi w piśmie od Chrystusa, o którym ty sam powiadał. A Chmiel taki jak i książę mocny. *Naj sia poprobujut.*

— Dajże mu Boże! — mówił did. — Ciężka nasza chłopska dola, a dawniej inaczej bywało.

— Czyja ziemia? kniazia; czyj step? kniazia; czyj las? czyje stada? kniazia; a dawniej był boży las, boży step; kto przyszedł pierwszy, to wziął i nikomu nie był powinien. Teraz wsio *paniw*, a kniaziej...

— Dobra wasza, ditki — rzekł dziad — ale ja wam jedną rzecz powiem: sami wiecie, że tu kniaziozi nie zdzierzycie, więc oto co powiem: kto chce *paniw* ryzaty, niech się tu nie ostaje, póki się Chmiel z kniazziem nie popróbuje, ale niech do Chmiela ucieka — i to zaraz, jutro, bo książę już w drodze. Jeśli jego pan Gdeszyński do Demianówki namówi, to nie będzie on książę was tu żywił, ale do ostatniego wybije — tak wy do Chmiela uciekajcie. Im was więcej tam będzie, tem Chmiel łatwiej sobie poradzi. O! a ciężką on ma przed sobą robotę. Hetmany naprzód i wojsk koronnych bez liku, a potem książę od hetmanów mocniejszy. Lećcie wy, ditki, pomagać Chmielowi i zaporozcom, bo oni niebożęta nie wydzierzą — a przecie za waszą — to oni swobodę i za wasze dobro z panami się biją. Lećcie, to się i przed kniazziem ocalicie i Chmielowi pomożecie.

— *Wše prawdu kaše!*—ozwały się głosy w gromadzie.

— Dobrze mówi.

— *Mudryj did!*

— To ty widział kniazia w drodze?

— Widzieć, nie widziałem, alem w Browarkach słyszał, że już ruszył z Łubniów; pali i ścina, gdzie jedną spisę znajdzie: ziemię i niebo zostawia.

— Hospody pomiluj!

— A gdzie nam Chmiela szukać?

— Poto ja tu, ditki, przyszedł, żeby wam powiedzieć, gdzie Chmiela szukać. Pójdźcie wy, dzieci, do Zolotonoszy, a potem do Trechtymirowa pójdziecie, i tam już Chmiel będzie na was czekał, tam się też ze wszystkich wsiów, sadyb i chutorów ludzie zbiorą, tam i Tarty przyjdą, bo inaczej kniaz wszystkim wamby po ziemi, po matce, chodzić nie dał.

— A wy, ojczy, pójdziecie z nami?

— Pójść nie pójdę, bo stare nogi ziemia już ciągnie. Ale mnie telegę zaprzęćcie, taj pojedę z wami. A przed Zolotonoszą pójdę naprzód zobaczyć, czy tam pańskich żołnirów niema. Jak będą, to omiemy i prosto na Trechtymirów pociągniem. Tam już kozacki kraj. A teraz mnie jeść i pić dajcie, bom ja stary głodny i pacholek mój głodny. Jutro rano ruszymy, a po drodze o panu Potockim i o kniazu Jaremie wam zaśpiewam. Oj, srogie to lwy! Wielkie będzie przelanie krwi na Ukrainie, niebo czerwieni się okrutnie, a i miesiąc jakoby we krwi pływa. Proście wy, ditki, zmiłowania Bożego, bo niejednemu nie chodzić już długo po Bożym świecie. Słyszał ja też, że upiory z mogił wstają i wyją.

Jakiś przestrich ogarnął zgromadzone chłopstwo. Mimowoli zaczęli się oglądać, i żegnać i szeptać między sobą. Nakoniec jeden wykrzyknął:

— Do Zolotonoszy!

— Do Zolotonoszy! — powtórzyli wszyscy, jakby tam właśnie była ucieczka i ocalenie.

— W Trechtymirów!

— Na pohybel Lachom i panom!

Nagle, młody jakiś kozaczek wystąpił naprzód, potrząsnął spisą i krzyknął:

— Bat'ki! a kiedy jutro do Zolotonoszy idziem, to dziś chodźmy na komisarski dwór!

— Na komisarski dwór! — krzyknęło od razu kilkadziesiąt głosów.

— Spalić! dobro zabrać!

Ale dziad, który dotąd głowę miał spuszczoną na piersi, podniósł ją i rzekł:

— Ej, ditki, nie chodźcie wy na komisarski dwór i nie palcie go, bo będzie *łycho*. Książ tu może gdzie blisko z wojskiem krąży; lunę zobaczy, to przyjdzie i będzie *łycho*. Lepiej wy mnie jeść dajcie i nocleg pokażcie. Siedzieć wam cicho, nie *hulaty po pasikam*.

— Prawdu każe! — ozwało się kilka głosów.

— Prawdu każe, a ty Maksym durny!

— Chodźcie, ojczy, do mnie na chleb i sól i na miodu kwaterkę, a podjecie, to pójdziecie spać na siano do odryny — rzekł stary chłop, zwracając się do dziada.

Zagłoba wstał i pociągnął Helenę za rękaw świtki. Kniaziówna spała.

— Zmordowało się pacholę, to choć i przy młotach usnęło — rzekł pan Zagłoba.

A w duszy pomyślał sobie:

— O słodka niewinności, która wśród spis i nożów spać możesz. Widać anieli niebiescy cię strzegą, a przy tobie i mnie strzegą.

Zbudził ją i poszli ku wsi, która leżała nieco opodal. Noc była pogodna, cicha — gonilo ich echo bijących młotów. Stary chłop szedł naprzód, by drogę w ciemnościach pokazać, a pan Zagłoba, udając, że pacierz odmawia, mruzczał monotonnym głosem:

— O hospody Boże, pomiluj nas hrisznych... Widzisz waćpanna!... Świataja preczystaja... Cóżbyśmy zrobili, nie mając chłopskiego przebrania?... Jako wże na zemli i dosza ku nebesech... Jeść dostaniemy, a jutro pojedziemy ku Zołotonoszy, miasto iść piechotą... Amin, amin, amin... Można się spodziewać, że Bohun trafi tu naszym śladem, bo go nie oszukają nasze fortele... Amin, amin!... Ale już będzie zapóźno, bo w Prozorówce Dniepr przejedziemy, a tam już moc hetmańska... Diawoł błahougodnyku ne straszten. Amin... Tu za parę dni kraj będzie w ogniu, niech tylko ksiązę za Dniepr ruszy... Amin... Żeby ich czarna śmierć wydusiła, niech im kat świeci... Słyszyszno waćpanna, jako tam wyją pod kuźnią? Amin... Ciężkie na nas przyszły terminy, ale kpem jestem, jeśli waćpanny z nich nie wydobędę, choćbyśmy mieli do samej Warszawy uciekać.

— A co tam mruzcycie, ojczy? — pytał chłop.

— Nic, modłę się za wasze zdrowie. Amin, amin!...

— A ot, i moja chata...

— Sława Bohu.

— Na wiki wików.

— Proszę na chleb-sól.

— Bóg nagrodzi.

W kilka chwil później, dziad pokrzepiał się silnie baraniną, popijając obficie miodem, a nazajutrz rano ruszył wraz z pacholęciem wygodną telegą ku Zołotonoszy.

szy, eskortowany przez kilkudziesięciu konnych chłopów, zbrojnych w spisy i kosy.

Jechali na Kawrajec, Czarnobaj i Kropiwnę. Po drodze widzieli, że wrzało już wszystko. Chłopi wszędzie zbroili się, kuźnice po jarach pracowały od rana do nocy i tylko straszna potęga, straszne imię księcia Jeremiego wstrzymywało jeszcze krwawy wybuch.

Tymczasem za Dnieprem burza rozszalała się z całą wściekłością. Wieść o klęsce korsuńskiej rozbiegła się lotem błyskawicy po całej Rusi, więc zrywał się, kto żył.

ROZDZIAŁ V.

Bonuna znaleźli semenowie następnego rana po ucieczce Zagłoby nawpół zduszonego w żupanie, w który pan Zagłoba go obwinał, ale że ran nie miał ciężkich, wkrótce przyszedł do przytomności. Przypomniawszy sobie wszystko, co się stało, wpadł we wściekłość, ryczał jak dziki zwierz, krwawił ręce na własnym krwawym łbie i nożem godził w ludzi, tak, że semenowie nie śmieli do niego przystąpić. Wreszcie, nie mogąc się jeszcze na kulbace utrzymać, kazał przywiązać między dwa konie kolebkę żydowską i wsiadłszy w nią, pognął jak szalony w stronę Łubniów, sądząc, że tam udali się zbiegowie. Leżąc tedy w betach żydowskich, w puchu i własnej krwi, rwał stepem, jak upiór, który przed brzaskiem rannym do mogiły ucieka, a za nim pędzili wierni semenowie, w tej myśli, że na oczywistą śmierć pędzą. Lecieli tak, aż do Wasilówki, w której stało na załodze sto piechoty węgierskiej, księżęcej. Dziki watażka, jakby mu życie zbrzydło, uderzył na nią bez wahania, sam pierwszy rzucił się w ogień i po kilkugodzinnej walce wyciął ją w pień, z wyjątkiem kilku żołnierzy, których oszczędził, aby mękami zeznania z nich wydobyć. Dowiedziawszy się od nich, iż żaden szlachcic nie uciekał tą

stroną z dziewczyną, sam nie wiedział co począć i darł na sobie bandażę z bólu. Iść dalej było niepodobieństwem, gdyż wszędzie ku Łubniom stały pułki książęce, które mieszkańcy, zbiegli w czasie bitwy z Wasiłówki, musieli już ostrzedz o napaści. Porwali więc wierni semenowie osłabłego z wściekłości atamana i prowadzili nazad do Rozłogów. Wróciwszy, nie zastali już i śladów ze dworu, bo go chłopci miejscowi zrabowali i spalili wraz z kniazem Wasilem, sądząc, że w razie gdyby się kniazowie, albo książę Jeremi, mścić chcieli, z łatwością zwałą winę na kozaków i Bohuna. Spalono przytem wszystkie zabudowania, wycięto sad wiśniowy, wybito wszystką czeladź, bo chłopstwo mściło się bez litości za twarde rządy i ucisk, jakiego od Kurcewiczów doznawało. Zaraz za Rozłogami wpadł w ręce Bohuna Pleśniewski, który od Czechryna z wieścią o kłęsce żółtowodzkiej jechał. Ten pytany dokąd i z czym jedzie, gdy plątał się i nie dawał jasnych odpowiedzi, wpadł w podejrzenie, a przypieczony ogniem, wyśpiewał co widział, i o kłęsce, i o panu Zagłobie, którego poprzedzającego dnia spotkał. Uradowany watażka odetchnął. Powiesiwszy Pleśniewskiego, puścił się dalej, już prawie pewny, że mu Zagłoba nie ujdzie. Jakoż czabanowie dostarczyli nowych wskazówek, ale za to za brodem wszelkie ślady jak w wodę wpadły. Na dziada obdartego przez pana Zagłobę ataman nie mógł się natknąć, bo ten posunął się już niżej, z biegiem Kahamliku, i zresztą tak był przerażony, że krył się jak lis w oczeretach.

Tymczasem upłynęły znowu dzień i noc, a że pościg w stronę Wasiłówki zajął również dwa dni, Zagłoba miał więc ogromny czas za sobą. Co tedy było robić?

W tym trudnym razie przyszedł Bohunowi z radą

i pomocą essaul, stary wilk stepowy, przyzwyczajony od młodości do tropienia Tatarów w Dzikich polach.

— Bat'ku! — rzekł — uciekali oni do Czehryna i mądrze uciekali, bo zyskali na czasie — ale gdy się o Chmielu i żółtowodzkiej od Pleśniewskiego dowiedzieli, zmienili drogę. Ty bat'ku sam widział, że zjechali z gościńca i w bok się rzucili.

— W step?

— W stepie jaby ich bat'ku znalazł, ale oni poszli ku Dnieprowi, by się do hetmanów dostać — więc poszli albo na Czerkasy, albo na Zolotonoszę i Prohorówkę... a jeśli i ku Perejasławu poszli, chociaż *ne dumaju*, to i tak ich znajdziemy. Namby, bat'ku, trzeba jednemu do Czerkas, drugiemu do Zolotonoszy, na czumacką drogę — i prędko, bo jak się przez Dniepr przeprawią, to do hetmanów zdążą, albo ich Tatarzy Chmielnickiego ogarną.

— Ruszajże ty do Zolotonoszy, ja do Czerkas pociągnę.

— Dobrze, bat'ku.

— A pilnuj dobrze, bo to chytry lis!

— Oj, i ja chytry, bat'ku.

Tak ułożywszy plan pogoni, skrećili natychmiast, jeden ku Czerkasom, drugi wyżej, ku Zolotonoszy. Wieczorem tegoż samego dnia, stary essaul Anton dotarł do Demianówki.

Wieś była pusta, zostały tylko same baby, gdyż wszyscy mężczyźni ruszyli za Dniepr, do Chmielnickiego. Widząc zbrojnych, a nie wiedząc, ktoby byli, baby pokryły się po strzechach i stodołach. Anton długo musiał szukać, nim odnalazł staruszkę, która nie obawiała się już niczego, nawet i Tatarów.

- A gdzie chłopcy, matko? — pytał Anton.
- A czy ja wiem! — odparła, ukazując żółte zęby.
- My kozaki, matko, nie bójcie się, my nie od Lachów.
- Lachów? szczerob ich lycho!
- Wy nam życzyście — prawda?
- Wam? — Starucha zastanowiła się chwilę.
- A was szczeroby bolaczka!

Anton nie wiedział, co ma począć, gdy nagle drzwi jednej chaty skrzypnęły, i młodsza, ładna kobieta wyszła na podwórko.

- Ej, młodycy, słyszała ja, szczerob wy ne Lachy.
- Tak jest.
- A wy od Chmiela?
- Tak jest.
- Ne od Lachów?
- Ni.
- A czego wy o chłopów pytali?
- Ot, tak pytali, czy już poszli.
- Poszli, poszli!
- Sława Bohu! A powiedzno, młodycyo, nie uciekał tu tędy jeden szlachcic, Lach przeklęty, z córką?
- Szlachcic? Lach? Ja ne boczyła.
- Nikogo tu nie było?
- Buw did. On chłopów namówił, żeby do Chmiela, do Zolotonoszy poszli, bo mówił, że tu książ Jarema przyjdzie.
- Gdzie?
- A tutki. A potem do Zolotonoszy ma ciągnąć, to mówił did.
- I did namówił chłopów do buntu?
- A did.
- A sam był!

— Nie. Z niemową.

— A jak wyglądał?

— Kto?

— Did?

— Oj, stary, stareńki, na lirze grał i na paniw płakał. Ale ja jego nie widziała.

— I on chłopów do buntu namawiał? — pytał raz jeszcze Anton.

— A on.

— Hm! ostańcie z Bogiem, młodycio.

— Jedźcie z Bogiem.

Anton zastanowił się głęboko. Gdyby ten dziad był przebrany Zagłobą, dlaczego u licha chłopów do Chmielnickiego namawiał. Zresztą skądby przebrania wziął? Gdzieby koni zbył? Uciekał przecie konno. Ale przede wszystkim, dlaczego chłopów do buntu namawiał i o przyjsciu księcia ich ostrzegał? Szlachcicy nie ostrzegał i przede wszystkim sam się pod moc książęcą schronił. A jeśli książę idzie do Zołotonoszy, w czym nie masz nic niepodobnego, to za Wasilówkę niezawodnie zapłaci. Tu Anton wzdrygnął się, bo nagle kół nowy we wrotach wydał mu się kubek w kubek do pala podobny.

— Nie! Ten dziad, to był tylko dziad i nic więcej. Niema co gonić do Zołotonoszy, chyba uciekać w tamtą stronę.

Ale uciekwszy, co dalej robić? Czekać, to książę może nadejść — iść do Porohówki i za Dniepr się przeprawić, to znaczy na hetmanów wpaść.

Staremu wilkowi stepowemu stało się jakoś ciasno na szerokich stepach. Uczuł także, że wilkiem będąc, na lisa w panu Zagłobie trafił.

Nagle uderzył się w czoło.

A czemu ten „did“ chłopów powiódł do Zolotonoszy, za którą była Prohorówka, a za nią, za Dnieprem, hetmani i cały obóz koronny?

Anton postanowił bądź co bądź jechać do Prohorówki.

Jeśli, przybywszy na brzeg, usłyszy, iż po drugiej stronie stoją wojska hetmańskie, to się nie będzie przeprawiał, jeno w dół rzeki pójdzie i naprzeciw Czerkas z Bohunem się połączy. Zresztą wieści o Chmielnickim po drodze zasięgnie. Antonowi było już wiadomo z relacji Pleśniewskiego, że Chmielnicki Czehryn zajął, że Krzywonosą już na hetmanów wysłał, a sam z Tuhajbejem zaraz miał ruszyć za nim. Anton więc, jako żołnierz doświadczony i położenie miejsc dobrze znający, pewien był, iż bitwa musiała już być stoczona. W takim razie należało wiedzieć, czego się trzymać. Jeśli Chmielnicki był pobity, tedy wojska hetmańskie rozlały się w pogoni po całym Podnieprzu i w takim razie Zagłoby niema co już szukać. Ale jeśli Chmielnicki pobił?... Co prawda, Anton niebardzo w to wierzył. Łatwiej pobić syna hetmańskiego, niż hetmana; łatwiej podjazd, niż całe wojsko.

— Et — myślał stary kozak — nasz ataman lepiejby zrobił, żeby o własnej skórze, nie o dziewczynie, myślał. Pod Czehrynem możnaby się przez Dniepr przeprawić, a stamtąd, póki czas, na Sicz umknąć. Tu, między księciem Jaremą a hetmanami, ciężko mu teraz będzie usiedzieć.

Tak rozmyślając, posuwał się szybko wraz ze swymi semenami, w kierunku Suły, którą przebyć zaraz za Demianówką musiał, chcąc do Prohorówki się dostać. Dojechali do Mohylnej, nad samą rzeką leżącą. Tu los po-

służył Antonowi, bo jakkolwiek Mohylna, również jak i Demianówka, była pusta, zastał jednak promy gotowe i przewoźników, którzy przepawali chłopstwo uciekające ku Dnieprowi. Zadnieprze nie śmiało samo pod ręką księżęcą powstać, ale za to ze wszystkich wsi, osad i slobód chłopstwo uciekało, by się z Chmielnickim połączyć i pod jego znaki zaciągnąć. Wieść o zwycięstwie Zaporża pod Żółtymi wodami przeleciała jak ptak przez całe Zadnieprze. Dziki lud nie mógł usiedzieć spokojnie, chociaż tam właśnie żadnych prawie ucisków nie doznawał, bo jako się rzekło, księżę, niemiłosierny dla buntów, był prawdziwym ojcem spokojnych osiedleńców, komisarze zaś jego bali się czynić krzywd powierzonemu sobie ludowi. Ale lud ten, niedawno ze zbójców w rolników zmieniony, przykrzył sobie prawo, surowość rządów i porządek, uciekał więc tam, kędy nadzieja dzikiej swobody zabłysła, W wielu wioskach uciekły do Chmielnickiego nawet i baby. W Czabanówce i w Wysokiem wyszła cała ludność, spaliwszy za sobą chaty, aby nie było gdzie wracać. W tych wioskach, w których zostało jeszcze trochę ludu, zbrojono się na gwałt.

Anton począł wypytywać zaraz przewodników, czyli wieści z Zadnieprza nie mieli. Wieści były, ale sprzeczne, pomieszane, niejasne. Mówiono, że Chmiel bije się z hetmany: lecz jedni twierdzili, że pobit, drudzy, że zwycięski. Jakiś chłop, uciekający ku Demianówce, mówił, że hetmani wzięci w niewolę. Przewoźnicy podejrzewali, że to szlachcic przebrany, ale nie śmieli go zatrzymać, bo słyszeli także, że księżęce wojska niedaleko. Jakoś strach mnożył wszędzie liczbę wojsk księżęcych i czynił z nich wszędobylskie zastępy, gdyż pewno nie było w tej chwili ani jednej wioski na całym Zadnieprzu, w którejby nie

mówiono, że księżę tuż, tuż. Anton spostrzegł, że wszędzie biorą jego oddział za podjazd kniazia Jeremy.

Ale wnet uspokoił przewoźników i począł ich wypytywać o chłopów demianowskich.

— A jakże. Byli, my ich przeprawili na drugą stronę — rzekł przewoźnik.

— A dziad był z nimi?

— Był.

— I niemowa z dziadem, małe pachole?

— Jako żywo.

— Jak wyglądał dziad?

— Nie stary, gruby, oczy miał jak u ryby, na je-dnem bielmo.

— To on! — mruknął Anton i pytał dalej: — A pachole?

— Oj! otcze atamane! każe prosto cheruwym. Takoho my i ne baczyły.

Tymczasem dopłynęli do brzegu.

Anton wiedział już, czego się trzymać.

— Ej! przywieziemy mołodycię atamanowi — mru-
czał sam do siebie. Potem zwrócił się do semenów: —
W konie!

Pomknęli jak stado spłoszonych dropiów, choć droga była trudna, bo kraj w jary popękany. Ale wjechali w jeden wielki, na dnie którego, przy krynicy, był jakoby gościniec, przez naturę uczyniony. Jar szedł aż do Kawrajca, lecieli więc, kilkadziesiąt stajań, bez wypoczynku, a Anton na najlepszym koniu naprzód. Już było widać szerokie ujście jaru, gdy nagle Anton osadził konia, aż mu zadnie kopyta zazgrzytały na kamieniach.

— Szczo ce?

Ujście zaćmiło się nagle ludźmi i końmi. Jakaś ja-

zda wchodziła w parów i formowała się szóstkami. Było ich ze trzysta koni. Anton spojrział i lubo stary był wojownik, wszelkich niebezpieczeństw zwyczajny, przecie serce zadygotało mu w piersi, a na lice wystąpiła bladeść śmiertelna.

Poznał dragonów księcia Jeremiego.

Uciekać było zapóźno, ledwie dwieście kroków dzieliło zastęp Antona od dragonów, a zmęczone konie semenów nie uszłyby daleko przed pogonią. Tamci też, dostrzegłszy ich, puścili się z miejsca rysią. Po chwili otoczono semenów ze wszystkich stron.

— Co wy za ludzie? — spytał groźno porucznik.

— Bohunowi! — rzekł Anton, widząc, że trzeba prawdę mówić, bo sama barwa zdradzi. Ale poznawszy porucznika, którego widywał w Perejasławiu, wykrzyknął zaraz z udaną radością: — Pan porucznik Kuszel! Sława Bohu!

— A to ty, Anton — rzekł porucznik, przyjrzawszy się essaulowi. — Co wy tu robicie? Gdzie wasz ataman?

— Każe, pane, hetman W. wysłał naszego atamana do księcia wojewody, prosząc o pomoc, tak ataman pojechał do Łubniów, a nam tu kazał włóczyć się po wsiach, by zbiegów łapać.

Anton łął jak najęty, ale ufał w to, że skoro chorągiew dragonów idzie od strony Dniepru, nie może przeto jeszcze wiedzieć ani o napaści na Rozłogi, ani o bitwie pod Wasiłówką, ani o żadnych imprezach Bohunowych.

Wszelako porucznik rzekł:

— Rzekłby kto, do rebelii chcecie się przekraść.

— Ej, pane poruczniku — rzekł Anton — żeby

my chcieli do Chmiela, takby my nie byli z tej strony Dniepru.

— Prawda jest — rzecze Kuszel — prawda oczywista, której ci nie mogę negować. Ale ataman nie zastanie księcia wojewody w Łubniach.

— O! a gdzież książę?

— Był w Przyłuce. Może dopiero wczoraj do Łubniów ruszył.

— To i szkoda. Ataman ma pismo od hetmana do księcia, a z przeproszeniem waszej miłości, czy to wasza miłość z Zolotonoszy wojsko prowadzi?

— Nie. My stali w Kalenkach, a teraz dostali rozkaz, jak i wszystko wojsko, żeby do Łubniów ścigać, skąd książę całą potęgą wyruszy. A wy dokąd idziecie?

— Do Prohorówki, bo tam chłopstwo się przeprawia.

— Dużo już uciekło?

— Oj bahato! bahato!

— No, to jedźcie z Bogiem.

— Dziękujemy pokornie waszej miłości. Niech Bóg prowadzi.

Dragoni rozstąpili się i poczet Antona wyjechał z pośród nich ku ujściu jaru.

Minąwszy ujście, Anton stanął i słuchał pilnie, a gdy już dragoni zniknęli mu z oczu i ostatnie echa po nich przebrzmiały, zwrócił się do swoich semenów i rzekł:

— Wiecie durnie, że gdyby nie ja, toby wy za trzy dni na palach w Łubniach pozdychali. A teraz w konie, choćby ostatni dech z nich wyprzeć.

I ruszyli z kopyta.

— Dobra nasza! — myślał Anton — podwójnie dobra nasza; raz, żeśmy skórę całą unieśli, a powtóre,

że ci dragoni nie szli z Zolotonoszy i że Zagłoba minął się z nimi, bo gdyby ich był napotkał, tedy byłby już przed wszelką pogonią bezpieczny.

Jakoż istotnie był to termin dla pana Zagłoby nader niepomyślny, w którym fortuna zgola mu nie dopisała, że się nie natknął na pana Kuszla i jego chorągiewkę, gdyż byłby od razu ocalony i wolen od wszelkiej obawy.

Tymczasem w Prohorówce uderzyła w niego, jak piorun, wieść o klęsce korsuńskiej. Już po drodze do Zolotonoszy, po wsiach i chutorach, chodziły słuchy o wielkiej bitwie, nawet o zwycięstwie Chmiela, ale pan Zagłoba nie dawał im wiary, wiedział bowiem z doświadczenia, że między ludem wieść każda rośnie i rośnie do niebывałych rozmiarów i że, zwłaszcza o przewagach kozackich, lud ten chętnie cuda sobie opowiada. Ale w Prohorówce trudno było już dłużej wątpić. Prawda straszna i złowroga biła obuchem w głowę. Chmiel tryumfował, wojsko koronne było zniesione, hetmani w niewoli, cała Ukraina w ogniu.

Pan Zagłoba w pierwszej chwili stracił głowę. Był bowiem w strasznym położeniu. Fortuna nie dopisała mu i po drodze, bo w Zolotonoszy nie znalazł żadnej załogi. Miasto wrzało przeciw Lachom, a stara forteczka była opuszczona. Nie wątpił on ani chwili, że Bohun szuka go i że prędzej czy później trafi na jego ślady. Kluczył wprawdzie szlachcic, jak ścigany szarak, ale znał na wyłot ogara, który go ścigał, i wiedział, że ten ogar nie da się zbić z tropu. Miał więc pan Zagłoba poza sobą Bohuna, przed sobą morze chłopskiego buntu, rzezie, pożogi, zagony tatarskie, tłumy rozbestwione.

Uciekać w takim położeniu, było to zadanie prawie niepodobne do spełnienia, zwłaszcza uciekać z dziew-

czyną, która, lubo przebrana za dziadowskie pacholę, zwracała wszędy uwagę swoją nadzwyczajną pięknnością.

Zaiste, było od czego głowę stracić.

Ale pan Zagłoba nigdy na długo jej nie tracił. Wśród największego zamętu w mózgownicy, widział doskonale to jedno, a raczej czuł najwyraźniej, że Bohuna boi się sto razy bardziej niż ognia wody, buntu, rzezi i samego Chmielnickiego. Na samą myśl, że mógłby dostać się w ręce straszego watałki, skóra na panu Zagłobie cierpła. „Tenby mi dał lupnia! — powtarzał sobie co chwila. — A tu przedemną morze buntu!”

Pozostawał jeden sposób ocalenia: porzucić Helenę i zostawić ją na bożej woli, ale tego pan Zagłoba uczynić nie chciał.

— Nie może być — mówił do niej — musiałaś mi waćpanna czegoś zadać, co będzie miało ten skutek, że mi przez waćpannę skórę na jaszczur wyprawia.

Ale porzucić jej nie chciał i do głowy nawet nie dopuszczał tej myśli. Cóż więc miał robić?

— Ha! — myślał — księcia szukać nie czas! Przedemną morze, więc dam nurka w ono morze, przynajmniej się skryję, a Bóg da, to i na drugi brzeg przepłynę.

I postanowił przeprowić się na prawy brzeg dniewy.

Ale w Prohorówce nie było to rzeczą łatwą. Pan Mikołaj Potocki pozabierał jeszcze dla Krzeczowskiego i wyprawionych z nim wojsk wszystkie dumbasy, szuhaleje, promy, czajki i „pidizdki“, to jest mniejsze czolna i łodzie, począwszy od Perejasławia, aż do Czehryna. W Prohorówce był tylko jeden dziurawy prom. Na ten prom czekały tysiące ludzi zbiegłych z okolicznego Zandnieprza. W całej wiosce zajęte były wszystkie chaty,

obory, stodoły chlewy i drożyzna niesłychana. Pan Zagłoba naprawdę musiał lirą a pieśnią na kawalek chleba zarabiać. Przez całą dobę nie mogli się przeprawić, bo prom zepsuł się dwa razy, musiano go więc naprawiać. Noc spędzili z Heleną, siedząc na brzegu rzeki, razem z gromadami pijanego chłopstwa, przy ogniskach. A noc była wietrzna i chłodna. Kniaziówna upadała ze znużenia i bólu, bo chłopskie buty poczyniły jej rany na nogach. Bała się, czy nie zachoruje obłożnie. Twarz jej zczerniała i zbladła, cudne oczy przygasły, co chwila dobijała ją obawa, że może być poznana pod przebraniem, albo że niespodzianie nadejdzie pogoń Bohunowa. Też noc nakarmiono jej oczy straszny widokiem. Chłopi sprowadzili od ujścia Rosi kilku szlachty, chcących przed nawalą tatarską schronić się do państwa Wiśniowieckiego, i pomordowali ich nad brzegiem okrutnie. Wiercono im świdrami oczy, a głowy zgnieciono między kamieniami. Prócz tego w Prohorówce było dwóch żydów z rodzinami. Tych rozszalała tłuszcza wrzuciła do Dniepru, a gdy nie chcieli zaraz iść na dno, pograżano ich samych, żydowice i żydzięta, za pomocą długich oseków. Towarzyszyły temu wrzaski i pijaństwo. Podchmieleni mołojcy gzili się z podchmielonemi mołodyciami. Straszne wybuchy śmiechu brzmiały złowrogo na ciemnych brzegach dniewprowych! Wiatr rozrzucił ogniska, czerwone główne i iskry, porwane wichurą, leciały konać na fali. Chwilami zrywał się popłoch. Od czasu do czasu jakiś głos pijacki, ochryply, wołał w ciemnościach: „Ludy spasajtes, Jarema ide!!“ I tłum rzucał się na oślep ku brzegowi, tratował się, spychał w wodę. Raz mało nie roztratowano Zagłoby i kniaziówny. Była to piekielna noc, a zdawała się nie mieć końca. Zagłoba wyżebrał kwartę wódki, sam pił

i kniaziównę zmuszał do picia, bo inaczej zemdlałaby lub wpadła w gorączkę. Nakoniec fala dniewrowa poczęła bielić się i połyskiwać. Świtało. Dzień robił się chmurny, posepny, blade. Zagłoba chciał co prędzej przeprowić się na drugą stronę. Szczęściem i prom też naprawiono. Ale ścisk stał się przy nim okropny.

— Miejsce dla dziada, miejsce dla dziada — krzyczał Zagłoba, trzymając przed sobą między wyciągniętymi rękoma Helenę i broniąc jej od ścisku. — Miejsce dla dziada! Do Chmielnickiego i do Krzywonosy idę! Miejsce dla dziada, dobrzy ludzie, lube mołojcy, żeby was czarna śmierć wydusiła, was i dzieci wasze! Nie widzę dobrze, wpadnę w wodę, pacholę mi utopicie. Ustąpcie ditki, żeby paraliż powytrząsał wam wszystkie członki, żebyście polegli, żebyście na palach pozdychali!

Tak wrzeszcząc, klnąc, prosząc i rozpychając tłum swymi potężnymi łokciami, wpełchnął naprzód Helenę na prom, a potem, wgramoliwszy się sam, zaraz począł znowu wrzeszczeć:

— Dosyć już was tu, czego się tak pchacie, prom zatopicie, jak was tyle się tu napcha. Dosyć, dosyć! przyjdzie kolej i na was, a jeśli nie przyjdzie, mniejsza z tem.

— Dosyć, dosyć! — wołali ci, którzy dostali się na prom. — Na wodę! na wodę!

Wiosła wyprężyły się i prom począł oddalać się od brzegu. Bystra fala zaraz go zniosła nieco z biegiem rzeki, w kierunku Demontowa.

Przebyli już połowę szerokości koryta, gdy na prohorowskim dały się słyszeć krzyki, wołania. Zamieszanie okropne wszczęło się między tłumami, które zostały nad wodą; jedni uciekali jak szaleni ku Domontowu, drudzy

wskakiwali w wodę, inni krzyczeli, machali rękoma, lub rzucałi się na ziemię.

— Co to? co się stało? — pytano na promie.

— Jarema! — krzyknął jeden głos.

— Jarema, Jarema! uciekajmy! — wołali inni.

Wiosła poczęły bić gorączkowo o wodę, prom mknął jak kozacka czajka po fali.

W tejsze chwili jacyś konni ukazali się na prohorowskim brzegu.

— Wojska Jaremy! — wołano na promie.

Konni biegali po brzegu, kręcili się, wypytywali o coś ludzi — wreszcie poczęli krzyczeć na płynących:

— Stój! stój!

Zagłoba spojrzal i zimny pot oblał go od stóp do głowy — poznał kozaków Bohunowych.

Rzeczywiście był to Anton ze swymi semenami.

Ale jako się rzekło, pan Zagłoba nigdy na długo głowy nie tracił; przykrył oczy ręką, niby to, jako człek źle widzący, wpatrywać się musiał czas jakiś, wreszcie poczał krzyczeć, jakby go kto ze skóry obdzierał:

— Ditki! to kozacy Wiśniowieckiego! O dla Boga i Świętej Przekzystej! prędej do brzegu! Już my tamtych, co zostali, odzależujemy, a porąbać prom, bo inaczej pohybel nam wszystkim!!

— Prędej, prędej, porąbać prom! — wołali inni.

Zrobił się krzyk, wśród którego nie było słychać nawoływań od strony Prohorówki. W tej chwili prom zgrzytnął o żwir brzegowy. Chłopi poczęli wyskakiwać, ale jedni nie zdążyli jeszcze wysiąść, gdy drudzy rwali już burty promu, bili siekierami w dno. Deski i oderwane szczapy poczęły latać w powietrzu. Niszczono nieszczęsny

statek z wściekłością, rwano na sztuki i kawałki, przestraszonych zaś dodawał siły burzącym.

A przez ten czas pan Zagłoba krzyczał:

— Rąb, tłucz, rwij, pal — ratuj się! Jarema idzie! Jarema idzie!

Tak krzyząc, wycelował swoje zdrowe oko na Helenę i począł niemi mrugać znacząco.

Tymczasem z drugiego brzegu krzyki wzmogły się na widok niszczenia statku, ale że było zbyt daleko, przeto nie można było zrozumieć, co krzyczano. Wymachiwania rękami podobne były do gróźb i zwiększyły tylko pośpiech w niszczeniu.

Statek zniknął po chwili, ale nagle ze wszystkich piersi znów wyrwał się okrzyk grozy i przerażenia:

— Skaczut w wodu! plynut k'nam!! — wrzeszczeli chłopci.

Jakoż naprzód jeden konny a za nim kilkadziesiąt innych wparło konie w wodę i puściło się wplaw do drugiego brzegu. Był to czyn szalonej niemal śmiałości, gdyż z wiosny wezbrana fala płynęła potężniej niż zwykle, tworząc tu i ówdzie liczne wiry i zakręty. Porwane pędem rzeki konie nie mogły płynąć wprost, fala zaczęła je znosić z nadzwyczajną szybkością.

— Nie dopłyną! — krzyczeli chłopci.

— Potoną!

— Sława Bohu! O! o! już koń jeden zanurzył się.

— Na pohybel-że im!

Konie przepłynęły trzecią część rzeki, ale woda znosiła je w dół coraz silniej. Widocznie zaczęły tracić siły, zwolna też zanurzały się coraz głębiej. Po chwili siedzący na nich mołojcy byli już do pasa w wodzie. Przeszedł czas jakiś. Nadbiegli chłopci z Szelepuchy patrzeć, co się

dzieje: już tylko lby końskie wyglądały nad falą, a mołojcom woda dochodziła do piersi. Ale też przepłynęli już pół rzeki. Nagle jeden leb i jeden mołojec zniknął pod wodą, a za nim drugi, trzeci, czwarty i piąty... liczba płynących zmniejszała się coraz bardziej. Po obu stronach rzeki zapanowało w tłumach głucho milczenie, ale szli wszyscy z biegiem wody, żeby widzieć, co się stanie. Już dwie trzecie rzeki przebyte, liczba płynących zmniejszyła się jeszcze, ale słyhać już ciężkie chrapanie koni i głosy zachęcające mołojców; już widać, że niektórzy dopłyną.

Nagle głos Zagłoby rozległ się wśród ciszy:

— Hej! ditki! do piszczeli na pohybel kniaziowym!

Buchnęły dymy, zahuczały wystrzały. Krzyk z rzeki zabrzmiał rozpaczliwie i po chwili konie, mołojcy, wszystko znikło. Rzeka była pusta, tylko gdzieś już dalej, w rozkrętach fal, zaczerniał czasem brzuch koński, czasem mignęła krasna czapka mołojca.

Zagłoba patrzył na Helenę i mrugał...

ROZDZIAŁ VI

Książę wojewoda ruski, zanim pana Skrzetuskiego, siedzącego na zgliszczach Rozłogów spotkał, wiedział już o kłęsce korsuńskiej, gdyż mu o niej pan Polanowski, towarzysz książęcy husarski, w Sabotynie doniósł. Poprzednio bawił książę w Przyluce i stamtąd pana Bogusława Maszkiewicza do hetmanów z listem wysłał, pytając, gdzieby mu się z całą potęgą stawić rozkazali. Gdy jednak pana Maszkiewicza z odpowiedzią hetmanów długo nie było widać, ruszył książę ku Perejasławiu, wysyłając na wszystkie strony podjazdy, oraz rozkazy, by te pułki, które jeszcze po Zadnieprzu tu i owdzie były rozrzucone, do Łubniów jak najspieszniej ściągaly.

Ale przyszły wieści, że kilkanaście chorągwi kozackich, na granicach ku Tatarszczyźnie w polankach stojących, rozsypało się, lub też do buntu poszło. Tak więc widział książę swe siły nagle uszczuplone i zgryzł się tem niemało, bo nie spodziewał się, by ci ludzie, których tylekroć do zwycięstw prowadził, kiedykolwiek opuścić go mogli. Jednakże po spotkaniu z panem Polanowskim i po odebraniu wieści o niesłychanej kłęsce, takową przed wojskiem zataił i ciągnął dalej ku Dnieprowi, chcąc iść na oślep, w środek burzy i buntu, i albo

kłeskę pomścić, niesławę wojsk zetrzeć, albo samemu krew rozlać. Sądził przytem, że musiało się coś, a może i sporo wojska koronnego z pogromu ocalić. Ci, gdyby jego sześciotysięczną dywizją wzmogli, mógłby się z nadzieją zwycięstwa z Chmielnickim zmierzyć.

Stanąwszy tedy w Perejasławiu, polecił małemu panu Wołodyjowskiemu i panu Kuszłowi, by swoich dragonów na wszystkie strony, do Czerkas, do Mantowa, Siekiernej, Buczacza, Stajek, Trechtymirowa, Rzyszczowa rozesłali, dla sprowadzenia wszelkich statków i promów, jakieby się w okolicy znalazły. Poczem wojsko miało się z lewego brzegu do Rzyszczowa przeprawić.

Wysłańcy dowiedzieli się od spotykanych tu i owdzie zbiegów o kłesce, ale we wszystkich onych miejscach ani jednego statku nie znaleźli, gdyż, jako już było wspomniane, połowę ich hetman w. koronny dawno dla Krzeczowskiego i Barabasza zabrał, resztę zaś zbuntowana na prawym brzegu czerń, z obawy przed księciem, poniszczyła. Wszelako dostał się pan Wołodyjowski samodzielnie na prawy brzeg, kazawszy z pni zbić na prędce tratwę. Tam schwytał kilkunastu kozaków, których przed księciem stawił. Od nich dowiedział się książę, o potwornych rozmiarach buntu i straszliwych owocach, jakie kłeska korsuńska już zrodziła. Cała Ukraina, co do jednej głowy, powstała. Bunt rozlewał się tak właśnie, jak powódź, która tocząc się równiną, w mgnieniu oka coraz większe i większe przestrzenie zajmuje. Szlachta broniła się w zamkach i zameczkach. Ale wiele z nich już zdobyto.

Chmielnicki rósł z każdą chwilą w siły. Schwytni kozacy podawali już kwotę jego wojsk na dwieście tysięcy ludzi, a za parę dni siły te mogły zdwoić się łatwo.

Dlatego po bitwie stał jeszcze w Korsuniu, a zarazem korzystając z chwili spokoju, wprowadzał ład w swoje niezliczone zastępy. Czerni dzielił na pułki, wyznaczył pułkowników z atamanów i co doświadczeńszych essaulów zaporoskich — wyprawiał podjazdy, lub całe dywizye dla dobywania pobliskich zamków. Zważywszy to wszystko, książe Jeremi widział, iż i dla braku statków, których przygotowanie dla 6.000 wojska zajęłoby kilka tygodni czasu, i dla wybijalej nad wszelką miarę potęgi nieprzyjaciela, nie masz sposobu przeprowadzenia się za Dniepr w tych okolicach, w których obecnie zostawał. Na radzie wojennej: pan Polanowski, pułkownik Baranowski, strażnik pan Aleksander Baranowski, pan Wolodyjowski i Wurcel byli zdania, by na północ ku Czernihowu ruszyć, któren za głuchymi lasami leżał, stamtąd iść na Lubecz i tam dopiero ku Brahimowi się przeprawiać. Była to droga długa i niebezpieczna, bo za czernihowskimi lasami leżały ku Brahimowi olbrzymie błota, przez które i piechocie niełatwo się było przeprawiać, a cóż dopiero ciężkiej jeździe, wozom i artylerji. Księciu wszelako przypadła do smaku ta rada, pragnął tylko raz jeszcze przed tą długą, a jak się spodziewał, i niepowrotną drogą, na swem Zadnieprzu tu i owdzie się ukazać, by wybuchu zaraz niedopuszczyć, szlachtę pod swe skrzydła zgarnąć, grozą przejąć i pamięć owej grozy między ludem zostawić, która pod niebytność pana, sama jedna miała być stróżem kraju i opiekunem tych wszystkich, co z wojskiem pociągnąć nie mogli. Prócz tego księżna Gryzelda, panny Zbaraskie, fraucymer, dwórcały i niektóre regimenta, mianowicie piechoty, były jeszcze w Łubniach, postanowił więc książe pójść na ostatnie pożegnanie do Łubniów.

Wojska ruszyły tegoż samego dnia, a na czele pan Wołodyjowski ze swymi dragonami, którzy, choć wszyscy bez wyjątku Rusini, przecie w kluby dyscypliny ujęci i w żołnierza regularnego zmienieni, wiernością prawie wszystkie inne chorągwie przewyższali. Kraj był jeszcze spokojny. Gdzieniedzie potworzyły się już kupy hultajów, rabując zarówno dwory, jak i chłopów. Tych znacznie po drodze wygnieciono i na pale powbijano. Ale chłopstwo nigdzie nie powstało. Umysły wrzały, ogień był w chłopskich oczach i duszach, zbrojono się po cichu, uciekano za Dniepr. Wszelako strach panował jeszcze nad głodem krwi i mord. To tylko za złą wróżbę na przyszłość poczytanem być mogło, że w tych nawet wioskach, w których chłopci nie puścili się dotąd do Chmiela, uciekali za zbliżaniem się wojsk książęcych, jakby w obawie, by im straszny książę z twarzy nie wyczytał tego, co w sumieniach się kryło, i z góry nie pokarał. Karał on jednakże tam, gdzie najmniejszą oznakę knującego się buntu znalazł, a jako naturę miał i w nagradzaniu i w karaniu niepohamowaną, karał bez miary i litości. Można było rzec, iż po dwóch stronach Dniepru błędziły podówczas dwa upiory — jeden dla szlachty — Chmielnicki, drugi dla zbuntowanego ludu — księżę Jeremi. Szeptano sobie między ludem, że gdy ci dwaj się zetną, chyba słońce się zaćmi i wody po wszystkich rzekach poczerwieją. Ale starcie nie było blizkiem, bo ów Chmielnicki, zwycięzca z pod Żółtych wód, zwycięzca z pod Korsunia, ów Chmielnicki, który rozbił w puch wojska koronne, wziął do niewoli hetmanów i teraz stał na czele setek tysięcy wojowników, po prostu bał się tego pana z Łubniów, który chciał go szukać za Dnieprem. Wojska książęce przebyły właśnie Słeporód, sam

zaś ksiązę zatrzymał się dla wypoczynku w Filipowie, gdy dano mu znać, że przybyli wysłańcy Chmielnickiego z listem i proszą o posłuchanie. Ksiązę kazał im się stawić natychmiast. Weszło tedy sześciu zaporozców do podstarościńskiego dworku, w którym stał ksiązę i weszło dość hardo, zwłaszcza najstarszy z nich, ataman Sucharuka, pamiętny na pogrom korsuński i na swą świeżą pułkownikowską szarzę. Ale gdy spojrzeli na oblicze księcia, wnet ogarnął ich strach tak wielki, że padłszy mu do nóg, nie śmieli słowa przemówić.

Ksiązę, siedząc w otoczeniu co przedniejszego rycerstwa, kazał im podnieść się i pytał, z czym przybyli.

— Z listem od hetmana — odparł Sucharuka.

Na to ksiązę utkwiał w kozaku oczy i rzekł spokojnie, lubo z przyciskiem na każdym słowie:

— Od łotra, hultaja i rozbójnika, nie od atamana!

Zaporozcy pobledli, a raczej posinieli tylko, i spuściwszy głowy na piersi, stali w milczeniu u drzwi.

Tymczasem ksiązę kazał panu Maszkiewiczowi wziąć list i czytać.

List był pokorny. W Chmielnickim, lubo już po Korsuniu, lis wziął górę nad lwem, wąż nad orłem, bo pamiętał, że pisze do Wiśniowieckiego ¹⁾. Łasił się może, by uspokoić i tem łatwiej ukąsić, ale lasił się. Pisał, iż co się stało, z winy Czaplińskiego się stało; a że hetmanów również spotkała fortuny odmienność, tedy to nie jego, nie Chmielnickiego wina, ale zlej ich doli i uciśków, jakich na Ukrainie kozacy doznają. Prosi on je-

¹⁾ Samoił Wieliczko, str. 79. Pisał Chmielnicki do księcia: „żeby tedi o toje szczosia z hetmanami koronnemi stało, on, książę Wiśniowiecki ne urażalsia i gniewa swojeho k'nemu, Chmielnickomu, prostyraty ne izwolil“.

dnak księcia, by się o to nie urażał i przebaczyć mu to raczył, za co on zostanie zawsze powolnym i pokornym książęcym sługą; aby zaś łaskę książęcą dla wysłanników swych zjednać i od srogości książęcego gniewu ich zbawić, oznajmia, iż towarzysza usarskiego, pana Skrzetuskiego, którego na Siczy był pojman, zdrowo wypuszcza.

Tu następowały skargi na pychę pana Skrzetuskiego, że listów od Chmielnickiego nie chciał do księcia brać, czem godność jego hetmańską i całego wojska zaporoskiego wielce sprostponował. Tejtó właśnie pysze i poniewierce, jakie ustawicznie od Lachów kozaków spotykały, przypisywał Chmielnicki wszystko, co się stało, począwszy od Żółtych wód, aż do Korsunia. Wreszcie list kończył się zapewnieniami żalu i wierności dla Rzeczypospolitej, oraz zaleceniem pokornych służb, wedle książęcej woli.

Sluchając tego listu, sami wysłańcy byli zdziwieni, nie wiedzieli bowiem poprzednio, co się w piśmie onem znajduje, a przypuszczali, że prędzej obelgi i harde wyzwania, niż prośby. Jasnem im tylko było, że Chmielnicki nie chciał wszystkiego na kartę przeciw tak wsławionemu wodzowi stawić, i zamiast całą potęgą na niego ruszyć, zwlekał, pokorą ludził, oczekiwał widocznie, by się siły książęce w pochodach i walkach z pojedynczymi watahami wykruszyły, słowem: widocznie bał się księcia. Wysłańcy spokojnieli więc jeszcze bardziej i w czasie czytania pilnie oczyma w twarzy książęcej czytali, czy czasem śmierci swej nie wyczytają. I choć idąc, byli na nią gotowi, przecie teraz strach ich zdejmował. A książę słuchał spokojnie, jeno od chwili do chwili powieki na oczy spuszczał, jakby chcąc utajone w nich gromy zatrzymać, i widać było jak na dłoni, że gniew straszny

trzyma na wodzy. Gdy skończono list, nie ozwał się ni słowa do posłańców, tylko kazał Wołodyjowskiemu wziąć ich precz i pod strażą zatrzymać, sam zaś, zwróciwszy się do pułkowników, ozwał się w następujące słowa:

— Wielką jest chytrość tego nieprzyjaciela, bo albo mię chce owym listem uspić, by na uspionego napaść, albo-li w głąb Rzeczypospolitej pociągnie, tam układ zawrze, przebaczenie od powolnych stanów i króla uzyska, a wtenczas będzie się czuł bezpiecznym, bo gdybym go dłużej chciał wojować, tedy nie on już, ale ja postąpiłbym wbrew woli Rzeczypospolitej i za rebelizantabym uchodził.

Wurcel aż się za głowę złapał.

— O vulpes astuta!

— Co tedy radzicie czynić, mości panowie? — rzekł książę. — Mówcie śmiało, a potem ja wam swoją wolę oznajmię.

Stary Zaćwilichowski, który już od dawna porzucał Czehryn, z księciem się był połączył, rzekł:

— Niechże się stanie wedle woli waszej książęcej mości, ale jeśli radzić wolno, tedy powiem: że zwykłąś sobie bystrością Wasza Książęca Mość intencye Chmielnickiego wyrozumiał, gdyż takie one są, a nie inne; mniemałbym przeto, że na list jego nic nie potrzeba zważać, ale księżną panią w poprzód ubezpieczywszy, za Dniepr iść i wojnę rozpocząć, nim Chmielnicki jakowe układy zawiąże; wstydby to bowiem i dyshonor był dla Rzeczypospolitej, by takie insulta płazem puścić miała. Zresztą (tu zwrócił się do pułkowników) czekam zdania waciów, mego za nieomylnie nie podając.

Strażnik obozowy, pan Aleksander Zamojski, w szablę się uderzył.

— Mości chorąży, senectus przez was mówi i sapientia. Trzeba leć urwać tej hydrze, póki zaś się nie rozrośnie i nas samych nie pożre.

— Amen! — rzekł ksiądz Muchowiecki.

Inni pułkownicy, zamiast mówić, poczęli za przykładem pana strażnika trzaskać szablami a sapać, a zgrzytać — pan Wurcel zaś zabrał głos w ten sposób:

— Mości książę! Kontempt to nawet jest dla imienia waszej książęcej mości, iż ów lotr pisać się do W. K. mości odważył, bo ataman kozzowy nosi w sobie preeminencją od Rzeczypospolitej potwierdzoną i uznaną, czem nawet kurzeniowi zasłaniać się mogą. Ale to jest hetman samozwańczy, którego nieinaczej, jak za zbójcę uważany być może, w czem pan Skrzetuski chwalebnie się spostrzegł, gdy listów jego do W. K. Mości brać nie chciał.

— Tak też i ja myślę — rzekł książę — a ponieważ jego samego nie mogę dosięgnąć, przeto w osobach swych wysłanników ukaranym zostanie.

To rzekłszy, zwrócił się do pułkownika tatarskiej nadwornej chorągwi.

— Mości Wierszu! każ waść swoim Tatarom tych kozaków pościnać, dla naczelnego zaś palik zastrugać i nie mieszkając go zasadzić.

Wierszuł pochylił swą rudą jak płomień głowę i wyszedł, a ksiądz Muchowiecki, który zwykle księcia hamował, ręce złożył, jak do modlitwy, i w oczy mu błagalnie patrzył, pragnąc łaskę wypatrzeć.

— Wiem, książę, o co ci chodzi — rzekł książę wojewoda — ale nie może być. Trzeba tego, i dla okrucieństw, które oni tam za Dnieprem spełniają, i dla godności naszej, i dla dobra Rzeczypospolitej. Trzeba, aby

się dowodnie okazało, iż jest ktoś, co się jeszcze tego watażki nie lęka i jak zbója go traktuje, któren choć pokornie pisze, przecie zuchwale postępuje, i na Ukrainie jakby udzielny ksiązę sobie poczyna, i taki paroksyzm na Rzeczpospolitę sprowadza, jakiego z dawna nie doznała.

— Mości ksiązę, on pana Skrzetuskiego, jako pisze, odesłał — rzekł nieśmiało ksiądz.

— Dziękując w jego imieniu, że go z rezunami równasz. — Tu ksiązę zmarszczył brwi: — Wreszcie dość o tem. Widzę — mówił dalej — zwracając się do pułkowników — że waszmościowie wszyscy sufragia za wojną dajecie; taka jest i moja wola. Pójdziemy tedy na Czernihów, zabierając szlachtę po drodze, a pod Brahimem się przeprawimy, zaczem ku południowi ruszyć nam wypadnie. Teraz do Łubniów!

— Boże nam pomóż! — rzekli pułkownicy.

W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Roztworowski, namiestnik wołoskiej chorągwi, wysłany przed dwoma dniami w trzysta koni na podjazd.

— Mości ksiązę — zawołał — rebelia szerzy się! Rozłogi spalone, w Wasiłowce chorągiew do nogi wybita.

— Jak, co, gdzie? — pytano ze wszystkich stron.

Ale ksiązę skinął ręką, by milczano, i sam pytał:

— Kto to uczynił — hultaje, czy jakowe wojsko?

— Mówią, że Bohun.

— Bohun?

— Tak jest.

— Kiedy się to stało?

— Przed trzema dniami.

— Szedłeś waść śladem? Dogałeś? schwytales języka?

— Szedłem śladem, dognać nie mogłem, gdyż po

trzech dniach było zapóźnie. Wieściom po drodze zbierał: uciekali z powrotem ku Czehrynowi, potem się rozdzielili. Połowa poszła ku Czerkasom, połowa ku Zołotonoszy i Prohorówce.

Na to pan Kuszel:

— A tom ja spotkał ten oddział, któren szedł ku Prohorówce, o czem W. K. mości donosiłem. Powiadali się być wysłanymi od Bohuna, by uciezki chłopstwa za Dniepr nie dopuszcząć, przeto ich puściłem wolno.

— Głupstwo waść zrobił, ale cię nie winuję. Trudno się tu nie mylić, gdy zdrada na każdym kroku i grunt pod nogami piecze — rzekł książe.

Nagle ułapił się za głowę.

— Boże wszechmogący! — zakrzyknął — przypominam sobie, co mnie Skrzetuski powiadał, że Bohun na niewinność Kurcewiczówny się zasadził. Rozumiem teraz, czemu Rozłogi spalone. Dziewka musi być porwana. Hej, Wołodyjowski! sam tu! Weźmiesz waść pięćset koni i ku Czerkasom jeszcze raz ruszysz; Bychowiec w pięćset Wołochów niech na Zołotonoszę do Prohorówki idzie. Koni nie żalować; któren mi dziewczynę odbije, Jeremiówkę w dożywocie weźmie. Ruszać! Ruszać!

Poczem do pułkowników:

— Mości panowie, a my na Rozłogi do Łubniów!

Tu pułkownicy wysypali się z pod starościńskiego dworku i skoczyli do swoich chorągwi. Rękodajni pobiegli na koń siadać — księciu też dzianeta cisawego sprowadzono, którego zwykle w pochodach zażywał. Za chwilę chorągwie ruszyły i wyciągnęły się długim, barwistym i błyszczącym węzem po filipowieckiej drodze.

Wedle kołowrotu, krwawy widok uderzył żołnierskie oczy. Na płocie w chróściach widać było pięć od-

ciętych głów kozacych, które patrzyły na przechodzące wojska martwemi białkami otwartych oczu, a opodal już za kołowrotem, na zielonym pagórku, rzucał się jeszcze i drgał, zasadzony na pal, ataman Sucha-ruka. Ostrze przeszło już pół ciała — ale długie godziny konania znaczyły się jeszcze nieszczęsnemu atamanowi, bo i do wieczora mógł tak drgać, zanimby śmierć go uspokoiła. Teraz zaś nietylko żyw był, ale oczy straszne zawracał za chorągwiami, w miarę, jak która przechodziła; oczy które mówiły: „bogdaj was Bóg pokarał, was, i dzieci i wnuki wasze do dziesiątego pokolenia, za krew, za rany, za męki; bogdajecie szczęśli, wy i wasze plemię; bogdaj wszystkie nieszczęścia w was były; bodajecie konali ciągle i ni umrzeć, ni żyć nie mogli“. A choć to prosty był kozak, choć konał nie w purpurze, ani w złotogłowi, ale w sinym żupaniku, i nie w komnacie zamkowej, ale pod golem niebem, na palu, przecie owa męka jego, owa śmierć krążąca mu nad głową okryły go powagą, taką siłę włożyły w jego spojrzenie, takie morze nienawiści w jego oczy, iż wszyscy dobrze zrozumieli, co chciał mówić — i chorągwie przejeżdżały w milczeniu koło niego, a on w złotych blaskach południa, górował nad nimi i świecił na świeżo ostruganym palu, jako pochodnia...

Księżę przejechał, okiem nie rzuciwszy, ksiądz Muchowiecki krzyżem nieszczęsnego przeżegnał i już mijali wszyscy, aż jakies pacholę z pod usarskiej chorągwi, nie pytając się nikogo o pozwolenie, zatoczyło konikiem na wzgórze i przyłożywszy pistolet do ucha ofiary, jednym strzałem skończyło jej mękę. Zadrżeli wszyscy na tak zuchwały i wykraczający przeciw wojennej dyscyplinie postępek i znając surowość księcia, zgola już za zgu-

bionego pacholka uważali; ale ksiązę nie mówił nic: czy udawał że nie słyży, czy też tak w myślach pograżony, dość, że odjechał dalej spokojnie i wieczorem dopiero kazał wołać pacholka.

Stanął wyrostek ledwie żywy przed pańskim obliczem i myślał, że właśnie ziemia rozpada mu się pod nogami. A ksiązę spytał:

— Jak cię zowią?

— Żeleński.

— Ty strzeliłeś do kozaka?

— Ja — wyjąkało blade jak płótno pachole.

— Przecześnie to uczynił?

— Gdyż na mękę patrzeć nie mogłem.

Ksiązę zamiast się rozgniewać, rzekł:

— Oj, napatrzysz ty się ich postępków, że od tego widoku litość od ciebie jako anioł odleci, ale żeś dla litości swoje zaważył życie, przeto ci skarbnik w Łubniach dziesięć czerwonych złotych wypłaci i do mojej osoby na służbę cię biore.

Dziwili się wszyscy, iż tak skończyła się owa sprawa, ale wtem dano znać, że podjazd od blizkiej Zolotonosy przyjechał i umysły zwróciły się w inną stronę.

ROZDZIAŁ VII.

Późnym wieczorem, przy księżycu doszły wojska do Rozłogów. Tam pana Skrzetuskiego na swej Kalwaryi zastały siedzącego. Rycerz, jak wiadomo, z bólu i męki zupełnie się zapamiętał, a gdy dopiero ksiądz Muchowiecki do przytomności go wrócił, oficerowie wzięli go między siebie, witać i pocieszać zaczęli, a osobliwie pan Longinus Podbipełta, któren już od ćwierci w chórągwi Skrzetuskiego był sowitym towarzyszem. Gotów mu też był towarzyszyć we wzdychaniach i płakaniu i zaraz ślub nowy na jego intencją uczynił, że wtorki do śmierci suszyć będzie, jeśli Bóg w jakikolwiek sposób zesle namiestnikowi pocieszenie. Tymczasem poprowadzono pana Skrzetuskiego do księcia, któren w chłopskiej chacie się zatrzymał. Ten, gdy swego ulubieńca ujrzał, nie rzekł ni słowa, tylko mu ramiona otworzył i czekał. Pan Jan rzucił się natychmiast z wielkiem płakaniem w owe ramiona, a księżę do piersi go cisnął, w głowę całował — przyczem obecni oficerowie widzieli lzy w jego dostojnych oczach.

Po chwili dopiero mówić począł:

— Jako syna cię witam, gdyż tak myślałem, iż cię już nie ujrzę więcej. Znieśże mężnie twoje brze-

mię, i na to pamiętaj, że tysiące będziesz miał towarzyszków w nieszczęściu, którzy potracą żony, dzieci, rodziców, krewnych i przyjaciół. A jako kropla ginie w oceanie, niechże tak twoja boleść w morzu powszechnej boleści utonie. Gdy na ojczyznę miłą tak straszne przyszy terminą, kto mężem jest i miecz przy boku nosi, ten się płakaniu nad swoją stratą nie odda, ale na ratunek tej wspólnej matce pośpieszy i albo w sumieniu zyska uspokojenie, albo sławną śmiercią poleże i koronę niebieską, a z nią wiekuistą szczęśliwość posiadzie.

— Amen! — rzekł kapelan Muchowiecki.

— O mości księżę, wolałbym ją zmarłą widzieć — jęczał rycerz.

— Płacze, bo wielką jest twoja strata i my z tobą płakać będziem, gdyż nie do pogan, nie do dzikich Scytów, ani Tatarów, jeno do braci i towarzyszków życzliwych przyjechałeś, ale tak sobie powiedz: dziś płaczę nad sobą, a jutro już nie moje, bo to wiedz, iż jutro na bój ruszamy.

— Pójdę z waszą księżącą mością na kraj świata, ale pocieszyć się nie mogę, bo mi tak bez niej ciężko, że ot, nie mogę, nie mogę...

I biedny żołnierzysko, to się za głowę chwycił, to palce w zęby wkładał i gryzł je, by jęki potłumić, bo go wichura rozpaczy znowu targala.

— Rzekłeś: stań się wola Twoja! — mówił surowo ksiądz.

— Amen, amen! Woli jego się poddaję, jeno... z bólem... nie mogę dać rady — odpowiedział przerywanym głosem rycerz.

I widać było, jak się łamał, jak się pasował, aż

męka jego wszystkim lzy wycisnęła, a czulsi, jako pan Wołodyjowski i pan Podbięta, strumienie prawdziwe wylewali. Ten ostatni ręce składał i powtarzał załóżnie:

— Braciszku, braciszku, pohamuj się!

— Słuchaj — rzekł nagle książę — mam wieść, że Bohun stąd ku Łubniom gonił, bo mi w Wasiłówce ludzi wysiekl. Nie desperujże naprzód, bo może on jej nie dostał, gdyż pocóżby się ku Łubniom puszczał?

— Jako żywo, może to być! — zakrzyknęli oficerowie. — Bóg cię pocieszy.

Pan Skrzetuski oczy otworzył, jakby nie rozumiał co mówią, nagle nadzieja zaświtała i w jego umyśle, więc rzucił się jak długi do nóg książęcych.

— O mości książę! życie, krew! — wołał.

I nie mógł więcej mówić. Zesłabł tak, iż pan Longinus musiał go podnieść i posadzić na ławce, ale już znać mu było z twarzy, że się owej nadziei uchwycił, jak tonący deski, i że go boleść opuściła. Zaś inni rozdmuchiwali ową iskrę, mówiąc, że może swoją kniaziównę w Łubniach znajdzie. Poczem przeprowadzono go do innej chaty, a następnie przyniesiono miodu i wina. Namiestnik chciał pić, ale dla ściśniętego gardła nie mógł — natomiast towarzysze wierni pili, a podpiwszy, poczęli go ścisnąć, całować i dziwić się nad jego chudością i oznakami choroby, które na twarzy nosił.

— Jako Piotrowin wyglądasz! — mówił gruby pan Dzik.

— Musieli cię tam w Siczy insultować, jeść i pić nie dawać?

— Powiedz, coć cię spotykało?

— Kiedyindziej opowiem — mówił słabym głosem pan Skrzetuski. — Poranili mię i chorowałem.

— Poranili go! — wołał pan Dzik.

— Poranili, choć posła! — odrzekł pan Śleszyński.

I obaj patrzyli na się ze zdumieniem nad zuchwałością kozacką, a potem zaczęli się ścisnąć, z wielkiej ku panu Skrzetuskiemu przychylności.

— A widziałeś Chmielnickiego?

— Tak jest.

— Dawajcie go nam sam! — krzyczał Migurski — wnet go tu będziemy bigosowali.

Na takich rozmowach zeszła noc. Nad ranem dano znać, że i ten drugi podjazd, który w dalszą drogę ku Czerkasom był posłany, wrócił. Podjazd oczywiście Bohuna nie dognał, ani nie schwycił, wszelako przywiózł dziwne wiadomości. Sprowadził on wielu spotkanych na drodze ludzi, którzy przed dwoma dniami Bohuna widzieli. Ci mówili, iż watażka widocznie kogoś gonił, wszędy bowiem rozpytywał, czy nie widziano grubego szlachcica, uciekającego z kozaczką. Przytem śpieszył się bardzo i leciał na złamanie karku. Ludzie owi zaręczali także, że nie widzieli, aby Bohun jaką pannę uwoził, która gdyby była, tedyby się jej dopatrzyli niezawodnie, gdyż semenów niewiele przy Bohunie się znajdowało. Nowa otucha, ale i nowa troska wstąpiła w serce pana Skrzetuskiego, gdyż relacye owe były po prostu dla niego niezrozumiałe.

Nie rozumiał bowiem, dlaczego Bohun gonił początkowo w stronę Łubniów, rzucił się na przydyum wasiłowskie, a potem nagle zwrócił się w stronę Czerkas. Że Heleny nie porwał, to zdawało się być pewnem, bo pan Kuszel spotkał oddział antonowski, w którym

jej nie było, ludzie zaś, sprowadzeni teraz od strony Czerkas, nie widzieli jej przy Bohunie. Gdzież więc być mogła, gdzie się schroniła? Ucieklali? Jeśli tak, to w którą stronę? Dla jakich powodów mogła uciekać nie do Łubniów, ale ku Czerkasom lub Zolotonoszy? A jednak oddziały Bohunowe gonili i polowały na kogoś koło Czerkas i Prohorówki? Ale czemu znowu rozpytywały się o szlachcica z kozaczkiem. Na wszystkie te pytania nie znajdował namiestnik odpowiedzi.

— Radźcieże, mówcie, tłumaczcie, co to się znaczy?— rzekł do oficerów — bo moja głowa nic po tem.

— Przecie myślę, że ona musi być w Łubniach — rzecze pan Migurski.

— Nie może to być — odparł chorąży Zaćwili-chowski — bo gdyby ona była w Łubniach, tedy Bohun co prędzej do Czehrynaby się schronił, nie zaś pod hetmanów się podsuwał, o których pogromie nie mógł jeszcze wiedzieć. Jeżeli zaś semenów podzielił i gnał w dwie strony, to już mówię waści, nie za kim innym, jeno za nią.

— A przecz o starego szlachcica i o kozaczka pytał?

— Nie potrzeba na to wielkiej sagacitatis, aby odgadnąć, że jeśli uciekała, to nie w białogłowskich szatach ale chyba w przebraniu, aby śladu za sobą nie dawać. Tak tedy mniemam, iż ten kozaczek, to ona.

— O, jako żywo, jako żywo! — powtórzyli inni.

— Ba, ale kto ów szlachcic?

— Tego ja nie wiem — mówił stary chorąży — ale o to możnaby się i rozpytać. Musieli przecie chłopci widzieć, kto tu był i co się zdarzyło. Dawajcieno tu sam gospodarza tej chaty.

Oficerowie skoczyli i wkrótce przywiedli za kark z obory „pidsusidka“.

— Chłopie — rzekł Zaćwilichowski — a byleś, gdy kozacy z Bohunem na dwór napadli?

Chłop, jak zwykle, począł się przysięgać, że nie był, że niczego nie widział, i o niczem nie wie, ale pan Zaćwilichowski wiedział, z kim ma do czynienia — więc rzekł:

— O wierę, pogański synu, żeś ty siedział pod lawą, gdy dwór rabowali. Powiedz to innemu — ot, tu leży czerwony złoty, a tam czeladnik z mieczem stoi — obieraj! W ostatku i wieś spalimy, krzywda ubogim ludziom przez ciebie się stanie.

Dopieroż „pidsusidok“ jął opowiadać, co widział. Gdy kozacy hulać na majdanie przede dworem poczęli, tedy poszedł z innymi zobaczyć, co się dzieje. Słyszeli, że kniaziowa i kniazie pobici, ale że Mikołaj atamana poranił, któren też leży, jak bez duszy. Co się z panną stało, nie mogli dopytać, ale drugiego dnia świtaniem zasłyszeli, że uciekła z jednym szlachcicem, który z Bohunem przybył.

— Ot, co jest! ot co jest! — mówił pan Zaćwilichowski. — Masz, chłopie, czerwony złoty, widzisz, żeć krzywda się nie dzieje. A ty widział tego szlacheica, czy to kto z okolicy?

— Widział ja, pane, ale to nie tutejszy.

— A jakże wyglądał?

— Gruby, pane, jak piec, z siwą brodą. A prokli-
naw kak didko! Ślepy na jedno oko.

— O dla Boga! — rzecze pan Longinus — taż to chyba pan Zagłoba, albo kto? a?

— Zagłoba? Czekać wać! Zagłoba. Mogłoby to być!

Oni w Czechrynie się z Bohunem powąchali, pili i w kości grali. Może to być. Jego to konterfekt.

Tu pan Zaćwilichowski zwrócił się znów do chłopca:

— I to ów szlachcic z panną uciekł?

— Tak jest. Tak my słyszeli.

— A wy znacie Bohuna dobrze?

— Oj! oj! pane. On tu przecie miesiącami prze-
siadywał.

— A może ów szlachcic za jego wolą ją uwiózł?

— Gdzietam, pane! On Bohuna związał i żupani-
kiem okręcił, a pannę, mówili, porwał, że tyle ją oko
ludzkie widziało. Ataman tak wyl, jak siromacha. Do
dnia kazał się między konie uwiązać i do Łubniów po-
gnał, ale nie zgonił, potem też gnał w inną stronę.

— Chwała bądź Bogu! — rzecze Migurski — to
ona może być w Łubniach, bo że gonili i ku Czerka-
som, to nic nie znaczy; nie znalazłszy jej tam, próbo-
wali tu.

Pan Skrzetuski klęczał już i modlił się żarliwie.

— No, no! — mruzczał stary chorąży — nie spo-
dziewałem się po Zagłobie tego animuszu, by on z tak
bitnym mężem, jako jest Bohun, zadrzeć się ośmielił.
Prawda, że panu Skrzetuskiemu bardzo był życzliwy za
ów trojniak łubniański, któryśmy razem w Czechrynie
pili, i nie raz mnie o tem mówił i zacnym kawalerem
go nazywał... No, no! aż mnie się w głowie nie mieści,
bo i za Bohunowe pieniądze wypił on przecie nie mało.
Ale by Bohuna miał związać, a pannę porwać, tak śmia-
łego postępku od niego nie wyglądałem, gdyżem miał
go za warcholę i za tchórza. Obrotny on jest, ale kolo-
rysta z niego wielki, a u takich ludzi cała odwaga zwy-
kle w gębie spoczywa.

— Niechże on sobie będzie jaki chce, dość, że kniaziównę z rąk rozbójnickich wy dostał — rzecze pan Wołodyjowski. A że, jak widać, na fortelach mu nie zbywa, więc pewnikiem tak z nią umknie, by od nieprzyjaciół był bezpieczny.

— Jego własne gardło w tem — odpowiedział Migurski.

Poczem zwrócili się do pana Skrzetuskiego:

— Pociesz się, towarzyszu miły!

— Jeszcze ci wszyscy będziemy družbowali!

— I popijemy się na weselu.

Zaćwilichowski dodał:

— Jeśli on uciekał za Dniepr, a o pogromie korsuńskim się dowiedział, to powinien był do Czernihowa się zwrócić, a w takim razie w drodze go dognamy.

— Za pomyślny koniec trosków i umartwień naszego przyjaciela! — zawołał Śleszyński.

Poczęto wznosić wiwaty dla pana Skrzetuskiego, kniaziówny, ich przyszłych potomków i pana Zagłoby i tak schodziła noc. Świtaniem zatrałono wsiadanego — wojska ruszyły do Łubniów.

Pochód odbywał się szybko, gdyż hufce książęce szły bez taborów. Chciał był pan Skrzetuski z tatarską chorągwią naprzód skoczyć, ale zbyt był osłabiony, zresztą książę trzymał go przy swej osobie, bo życzył mieć relacją z namiestnikowego posłowania do Siczy. Musiał więc rycerz sprawę zdać, jako jechał, jak go na Choroty cy napadli i do Siczy powlekli, tylko o swych certayach z Chmielnickim zamilczał, by się nie zdawało, że sobie chwałbę czyni. Najbardziej zalterowała księcia wiadomość o tem, że stary Grodzicki prochów nie miał i że przeto długo bronić się nie obiecywał.

— Szkoda to jest niewypowiedziana — mówił — bo siłaby ta forteca mogła rebelii przeszkadzać i wstrętów czynić. Mąż też to wielki jest pan Grodzicki, prawdziwie Rzeczypospolitej decus et praesidium. Czemuż on jednak do mnie po prochy nie przysłał? Byłbym mu był z piwnic lubniańskich udzielił.

— Sądził widać, że hetman w. ex officio powinien był o tem pamiętać — rzekł pan Skrzetuski.

— A wierzę... — rzekł książę i umilkł.

Po chwili jednak mówił dalej:

— Wojennik to stary i doświadczony, hetman w., ale zbyt on dufał w siebie i tem się zgubił. Wszakże on całą tę rebelią lekceważył i gdym mu się z pomocą kwapił, wcale nie chciwie mnie wyglądał. Nie chciał się z nikim sławą dzielić, bał się, że mnie wiktoryą przypiszą...

— Tak i ja mniemam — rzekł poważnie Skrzetuski.

— Batogami zamierzał Zaporozże uspokoić i ot, co się zdarzyło. Bóg pychę skarzał. Pychą też to, Bogu samemu nieznośną, ginie ta Rzeczpospolita i podobno nikt tu nie jest bez winy...

Książę miał słuszość, gdyż nawet i on sam nie był bez winy. Nie tak to dawno jeszcze, jak w sprawie z panem Aleksandrem Koniecpolskim o Hadziacz książę wjechał w cztery tysiące ludzi do Warszawy, którym rozkazał, aby, jeśli będzie zmuszony do przysięgi w senacie, do izby senatorskiej wpadli i wszystkich siekli. A czynił to nie przez co innego, jeno także przez pychę, która nie chciała pozwolić, by go do przysięgi pociągano, słowom nie wierząc.

Może w tej chwili przypomniał sobie oną sprawę,

bo się zamyślił — i jechał dalej w milczeniu, błędząc oczyma po szerokich stepach, okalających gościniec — a może myślał o losach tej Rzeczypospolitej, którą kochał ze wszystkich sił swej gorącej duszy, a dla której zdawał się zbliżać dies irae et calamitatis.

Aż też, po południu, pokazały się z wysokiego brzegu Suły wydęte kopułki cerkwi lubniańskich, błyszczący dach i śpiczaste wieże kościoła Św. Michała. Wojska powoli wchodziły i zeszło aż do wieczora. Sam książę udał się natychmiast na zamek, w którym, wedle naprzód wysłanych rozkazów, wszystko miało być do drogi gotowe; chorągwie zaś roztasowywały się na noc w mieście, co nie było rzeczą łatwą, bo zjazd był wielki. Wskutek wieści o postępach wojny domowej na prawym brzegu i wskutek wrzenia między chłopstwem, całe szlacheckie Zadnieprze zważyło się do Łubniów. Przyciągała szlachta z dalekich nawet okolic, z żonami, dziećmi, czeladzią, końmi, wielbłędami i całemi stadami bydła. Pozjeżdżali się także komisarze książęcy, podstarościowie, najrozmaitsi oficyaliści stanu szlacheckiego, dzierżawcy, żydzi — słowem wszyscy, przeciw którym bunt ostrze noża mógł zwrócić. Rzekłbyś odprawował się w Łubniach jakiś wielki doroczny jarmark, bo nie brakowało nawet kupców moskiewskich i Tatarów astrachańskich, którzy na Ukrainę z towarem ciągnąc, tu się przed wojną zatrzymali. Na rynku stały tysiące wozów najrozmaitszego kształtu, o kołach wiązanych wiciami, i o kołach bez szprych z jednej sztuki drzewa wyciętych; teleg kozackich, szarabanów szlacheckich. Goście, co przedniejsi, mieścili się w zamku i gospodach, drobiazg zaś i czeladź w namiotach, obok kościołów. Porozpalano ognie na ulicach, przy których warzono jadło. A wszędy ścisk, za-

mieszanie i gwar, jak w ulu. Najrozmaitsze stroje i najrozmaitsze barwy; żołnierstwo książęce z pod różnych chorągwi: hajdacy, pajucy, żydzi w czarnych oponczach, chłopstwo, ormianie w fioletowych myckach, Tatarzy w tołubach. Pełno języków, nawoływań, przekleństw, płaczu dzieci, szczekania psów i ryku bydła. Tłumy te witały z radością nadchodzące chorągwie, bo w nich widziały pewność opieki i zbawienia. Inni poszli pod zamek wrzeszczeć na cześć księcia i księżnej. Chodziły też najrozmaitsze wieści między tłumem, to że księżę zostaje w Łubniach, to że wyjeżdża aż hen ku Litwie, gdzie trzeba będzie za nim jechać; to nawet, że już pobił Chmielnickiego. A księżę po przywitaniu się z małżonką i oznajmieniu o jutrzejszej drodze, patrzył frasobliwie na one gromady wozów i ludzi, którzy mieli ciągnąć za wojskiem i być mu kulą u nóg, opóźniając szybkość pochodu. Pocieszał się tylko myślą, że za Brahinem, w spokojniejszym kraju, wszystko to się rozproszy, po rozmaitych kątach pochowa i ciężyc przestanie. Sama księżna z fraucymerem i dworem miała być odesłaną do Wiśniowca, aby księżę z całą potęgą, bezpiecznie i bez przeszkód, mógł w ogień ruszyć. Przygotowania na zamku były już zrobione, wozy z rzeczami i kosztownościami spakowane, zapasy zgromadzone, dwór choćby zaraz do wsiadania na wozy i konie gotowy. A oną gotowość sprawiła księżna Gryzelda, która duszę w nieszczęściu miała tak wielką, jak księżę — i prawie mu wyrównywała energią i nieugiętością charakteru. Widok ten bardzo pocieszył księcia, choć serce rozdzierało się na myśl, że przychodzi opuścić gniazdo łubniańskie, w którym tyle szczęścia zażył, tyle sławy zdobył. Zresztą smutek ten podzielali wszyscy, i wojsko, i służba i cały dwór; bo

też wszyscy byli pewni, że gdy książę w dalekich stronach będzie walczył, nieprzyjaciel nie zostawi Łubniów w spokojności, ale się na tych kochanych murach zemści za wszystkie ciosy, jakie z rąk książęcych poniesie. Nie brakowało więc płaczu i lamentów, osobliwie między plcią niewieścią i tymi, którzy się już tu porodzili i groby rodzicielskie zostawiali.

ROZDZIAŁ VIII.

Pan Skrzetuski, który pierwszy przed chorągwiami do zamku skoczył, o kniaziównę i Zagłobę pytając, oczywiście ich tu nie znalazł. Ni tu ich widziano, ani o nich słyszano, jakkolwiek były już wieści o napadzie na Rozłogi i o zniesieniu wasiłowskiego prezydyum. Zamknął się tedy rycerz w swojej kwaterze, w cekhauzie, razem z zawiedzioną nadzieją — i żal, i obawa i troski na nowo do niego przyleciały. Ale opędzał się im, jak ranny żołnierz opędza się na pobojuwisku krukom i kawkom, które się ku niemu zgromadzają, by ciepłą krew pić i świeże mięso szarpać. Krzepił się myślą, że Zagłoba, tak w fortele obfity, przecie się może wykręci i do Czernihowa, po otrzymaniu wiadomości o zniesieniu hetmanów, się schroni. Przypomnił też sobie w porę owego dziada, którego jadąc do Rozłogów spotkał, a który, jak sam powiadał, przez jakiegoś czorta z odzieży wraz z pacholkiem odarty, trzy dni goły w oczeretach kahamlickich siedział, bojąc się na świat wychylić. Przyszła nagle myśl p. Skrzetuskiemu, że to Zagłoba musiał dziada obedrzeć, aby dla siebie i dla Heleny przebranie zdobyć. Nie może to inaczej być! — powtarzał sobie namiestnik — i ulgi wielkiej na tę myśl doznawał, gdyż takie przebranie bar-

dzo ucieczkę ułatwiało. Spodziewał się też, że Bóg, który nad niewinnością czuwa, Heleny nie opuści, a chcąc łaskę Jego tembardziej dla niej zjednać, postanowił sam z grzechów się oczyścić. Wyszedł tedy z cekhauzu i szukał księdza Muchowieckiego, a znalazłszy go pocieszającego niewiasty, o spowiedź prosił. Ksiądz powiódł go do kaplicy, zaraz siadł do konfesyonału i słuchać począł. Wysłuchawszy, naukę dawał, budował, w wierze utwierdzał, pocieszał i gromił. A gromił w ten sens, iż nie wolno jest chrześcijaninowi w moc bożą wątpić, a obywatelowi więcej nad swem własnem, niż nad ojczyzną nieszczęściem płakać, gdyż prywatnie to jest swego rodzaju mieć więcej lez dla siebie, niż dla publiki — i więcej swego kochania żałować, niż klęsk powszechnych. Poczem te klęski, ten upadek i hańbę ojczyzny w tak wzniosłych i żałośliwych wyraził słowach, że zaraz wielką miłość dla niej w sercu rycerza rozniecił, od której własne nieszczęścia tak mu zmalowały, że prawie ich dostrzedz nie mógł. Oczyścił też go z zawziętości i nienawiści, jaką przeciw kozakom w nim spostrzegł. „Których gromić będziesz — mówił jako nieprzyjaciół wiary, ojczyzny, jako sprzymierzeńców pogaństwa, ale jako swoim krzywdziicielom przebaczysz, z serca odpuścisz — i mścić się nie będziesz. A gdy tego dokażesz, tedy widzę już, że Bóg cię pocieszy i kochanie twoje tobie odda i spokój tobie ześle...”

Poczem go przeżegnał, pobłogosławił i wyszedł, krzyżem mu za pokutę do rana, przed Chrystusem rozpiętym, leżeć kazawszy.

Kaplica była pusta i ciemna, jeno dwie świece migotały przed ołtarzem, kładąc blaski różowe i złote na twarz Chrystusa, wykowaną z alabastru, a pełną ślody-

czy i cierpienia. Godziny całe upływały, a namiestnik leżał bez ruchu, niby martwy — ale też czuł coraz wyraźniej, że gorycz, rozpacz, nienawiść, ból, troski, cierpienie, odwijają mu się od serca, wypelzają mu z piersi i pełzną jak węże, i kryją się gdzieś, w ciemnościach. Uczuł, że lżej oddycha, że jakoby wstępują w niego nowe zdrowie, nowe siły, że w głowie robi mu się jaśniej i błogość jakaś ogarnia — słowem: przed tym ołtarzem i przed tym Chrystusem znalazł wszystko, cokolwiek mógł znaleźć człowiek tamtych wieków, człowiek wiary niewzruszonej, bez śladu i cienia zwątpienia.

Nazajutrz był też namiestnik jakby odrodzony. Rozpoczęła się praca, ruch i krętanina, bo był to dzień odjazdu z Łubniów. Oficerowie od rana mieli lustrować chorągwie, czy konie i ludzie w należyтым porządku, następnie wyprowadzać na błonia i szykować do pochodu. Książę słuchał mszy świętej w kościele św. Michała, poczem wrócił do zamku i przyjmował deputacje od greckiego duchowieństwa i od mieszczan z Łubniów i z Chorola. Zasiadł tedy na tronie, w sali malowanej przez Helma, w otoczeniu co przedniejszego rycerstwa, i tu go burmistrz łubniański, Hruba, żegnał po rusku w imieniu wszystkich miast, do dzierżawy zadnieprzańskiej należących. Prosił go naprzód, żeby nie odjeżdżał i nie zostawiał ich jako owiec bez pasterza, co słysząc inni deputaci, składając ręce, powtarzali: „ne odjizaj! ne odjizaj!“ — a gdy książę odpowiedział, iż nie może to być — padli mu do nóg, dobrego pana żalując, lub udając żal, gdyż mówiono, że wielu z nich, mimo całej laskawości księżęcej, bardziej sprzyjało kozakom i Chmielnickiemu. Ale zamożniejsi bali się motłochu, co do którego była obawa, że zaraz po wyjeździe księcia z wojskiem powstanie.

Książę odpowiedział, że ojcem starał się im być, nie panem, i zaklinał ich, by wytrwali w wierności dla majestatu i Rzeczypospolitej, wspólnej wszystkim matki, pod której skrzydłami krzywd nie cierpieli, w spokoju żyli, w zamożność wzrastali, jarczma żadnego nie doznając, któregooby postronni włożyć na nich nie zniechali. Podobnemiż słowy pożegnał i duchowieństwo greckie, poczem nadeszła godzina wyjazdu. Dopieroż płacze i lamenty służby rozległy się po całym zamczysku. Panny z fraucymeru mdlały, a panny Anny Borzobohatej ledwie się docucić mogli. Sama księżna tylko siadała z suchemi oczyma do karety i z podniesioną głową, bo dumna pani wstydziła się pokazywać ludziom cierpienia. Tłumy zaś ludu stały pod zamkiem, w Łubniach, bito we wszystkie dzwony, popi żegnali krzyżami wyjeżdżających, korowód powozów, szarabanów i wozów zaledwie mógł się przecisnąć przez zamkową bramę.

Wreszcie i sam książę siadł na konia. Chorągwie po pułkach zniżyły się przed nim, uderzono na wałach z dział; płacze, gwar ludu i okrzyki pomieszały się z głosem dzwonów, z wystrzałami, z dźwiękami trąb wojennych, z luczeniem kotłów. Ruszono.

Naprzód szły dwie tatarskie chorągwie pod Roztworowskim i Wierszulem, potem artylerya pana Wurcla, piechoty obersztera Machnickiego, za niemi jechała księżna z fraucymerem i cały dwór, wozy z rzeczami, za niemi wołoska chorągiew pana Bychowca i wreszcie komput wojska, górne pułki ciężkiej jazdy, chorągwie pancerne i usarskie, pochód zaś zamykała dragonia i semenowie.

Za wojskiem ciągnął się nieskończony i pstry jak wąż orszak wozów szlacheckich, wiozących rodziny tych

wszystkich, którzy po wyjeździe księżym nie chcieli zostawać na Zadnieprzu.

Surmy po pulkach grały, ale serca były ściśnięte. Każdy, patrząc na owe mury, myślał sobie w duszy: „miły domie, zali cię zobaczą jeszcze w życiu?” Wyjechać łatwo, ale wrócić trudno. A przecie każdy część jakąś duszy w tych miejscach zostawiał i pamięć słodką. Więc wszystkie oczy zwracały się po raz ostatni na zamek, na miasto, na wieże kościołów, i kopuły cerkwi i dachy domów. Każdy wiedział, co tu zostawiał, a nie wiedział, co go tam czekało w owej sinej dali, ku której dążył tabor...

Żal więc był we wszystkich duszach. Miasto wołało za odjeżdżającymi głosami dzwonów, jakby prosząc i zaklinając ze swej strony, by go nie opuszczano, nie wystawiano na niepewność, na złe losy przyszłe; wołało, jakby tym żalonym dźwiękiem dzwonów chciało się żegnać i utrwalić w pamięci...

Więc choć pochód oddalał się — głowy były ku miastu zwrócone, a we wszystkich obliczach czytałeś pytanie:

— Zali nie ostatni raz?

Tak jest! Z tego całego wojska i tłumu, z tych tysięcy, które w tej chwili szły z księciem Wiśniowieckim, ani on sam, ani nikt nie miał już ujrzeć więcej ni miasta, ni kraju.

Trąby grały. Tabor posuwał się z wolna, ale ciągle — i po jakimś czasie miasto poczęło przesłaniać się mgłą błękitną, domy i dachy zlewały się w jedną masę, mocno w słońcu świecąca. Wtedy księżę wypuścił naprzód konia i wjechał na wysoką mogiłę, stanął nieruchomie i patrzył długo. Toż ten gród błyszczący

teraz w słońcu i cały ten kraj widny z mogiły, to było dzieło jego przodków i jego własne. Wiśniowieccy bowiem zmienili te głuche dawniej pustynie na kraj osiadły, otworzyli je ludzkiemu życiu i rzecz można, stworzyli Zadnieprze. A największą część tego dzieła spełnił sam książę. On budował te kościoły, których wieże, ot, błękitnieją tam nad miastem, on wzmógł miasto, on połączył je traktami z Ukrainą, on trzebił lasy, osuszał bagna, wznosił zamki, zakładał wsie i osady, sprowadzał mieszkańców, tępił łupieżców, bronił od inkursyi tatarskich, utrzymywał spokój dla rolnika i kupca pożądaný, wprowadził panowanie prawa i sprawiedliwości. Przez niego ten kraj żył, rozwijał się i kwitnął. On był mu duszą i sercem — a teraz przyszło to wszystko porzucić.

I nie tej fortuny olbrzymiej, równej całým księstwom niemieckim, żałował książę, ale się do tego dzieła rąk własnych przywiązał; wiedział, że gdy jego tu zbraknie, wszystkiego zbraknie że praca lat całych od razu zostanie zniszczona, że trud pójdzie na marne, dzicz się rozpęta, pożary ogarną wsie i miasta, że Tatar będzie poił konie w tych rzekach, bór porośnie na zgliszczach i że jeśli Bóg da wrócić — wszystko, wszystko wypadnie poczynać na nowo — a może już tych sił nie będzie i czasu zbraknie i ufności takiej jak pierwej nie stanie. Tu zeszyły lata, które były dlań chwałą przed ludźmi, zasługą przed Bogiem — a teraz chwała i zasługa mają się z dymem rozwiać..

Więc też dwie lzy stoczyły mu się zwolna na policzki.

Były to ostatnie lzy, po których zostały w tych oczach same tylko błyskawice.

Koń książęcy wyciągnął szyję i zarżał, a rzeniu

temu odpowiedziały zaraz inne pod chorągwiami. Te głosy ocuciły księcia z zadumy i napełniły go otuchą. A toż zostaje mu jeszcze sześć tysięcy wiernych towarzyszków, sześć tysięcy szabel, z którymi świat mu otwarty, a których czeka, jak jedyne go zbawienia, pogiębiona Rzeczpospolita. Idylla zadnieprzańska skończona, ale tam, gdzie działa grzmia, gdzie wsie i miasta płoną, gdzie po nocach z rżeniem koni tatarskich i wrzaskiem kozackim miesza się płacz niewolników, jęki mężów, niewiast i dzieci — tam pole otwarte i sława zbawcy i ojca ojczyzny do zdobycia... Któż po ten wieniec sięgnie, któż będzie ratował tak pohańbioną, chłopskimi nogami zdeptaną, upokorzoną, konającą ojczyznę, jeśli nie on — księżę — jeśli nie te wojska, które owo tam, na dole, zbrojami ku słońcu świecą i migocą?...

Tabor przechodził właśnie koło stóp mogiły, a na widok księcia, stojącego z buławą w rękę na szczycie pod krzyżem, wszystkim żołnierzom wydarł się naraz z piersi okrzyk:

— Niech żyje księżę! Niech żyje wódz nasz i hetman Jeremi Wiśniowiecki!

I setki chorągwi zniżyły się do nóg jego, husarye wydały karwaszami dźwięk groźny, kotły huknęły do wtóru okrzykom.

Wtedy księżę wydobyl szablę i wzniosłszy ją wraz z oczami ku niebu, tak mówił:

— Ja, Jeremi Wiśniowiecki, wojewoda ruski, księżę na Łubniach i Wiśniowcu, przysięgam Tobie Boże w Trójcy Świętej jedyny i Tobie Matko Najświętsza, jako podnosząc tę szablę przeciw hultajstwu, od którego ojczyzna jest pohańbiona, póty jej nie złożę, póki mi sił i życia stanie, póki hańby owej nie zmyję, każdego nieprzyja-

ciela do nóg Rzeczypospolitej nie zegnę, Ukrainy nie uspokoję i buntów chłopskich we krwi nie utopię. A jako ten ślub ze szczerego serca czynię, tak mi Panie Boże dopomóż — amen!

To rzekłszy, stał jeszcze przez chwilę, patrząc w niebo, poczem zwolna zjechał z mogiły ku chorągwiom. Wojska doszły na noc do Basani, wsi pani Krynickiej, która przyjęła księcia, klęcząc we wrotach, bo już ją byli chłopci we dworze oblegali, którym z pomocą co wierniejszej czeladzi się opędzała, gdy nagle przyście wojsk ocaliło ją i jej dziewiętnaścioro dzieci, a w tem samych panien czternaście. Księżę, kazawszy napastników pochwytać, wysłał Poniatowskiego, rotmistrza kozackiej chorągwi, ku Kaniowu, który tejże nocy przywiódł pięciu zaporozców z wasiutyńskiego kurzenia. Uczestniczyli oni wszyscy w bitwie korsuńskiej i przypieczeni ogniem, zdali dokładną o niej księciu relacją. Zapewnili również, że Chmielnicki jeszcze jest w Korsuniu. Tuhaj-bej zaś z jasyrem, z łupami i z oboma hetmanami udał się do Czehryna, skąd do Krymu miał jechać. Słyszeli także, że Chmielnicki prosił go bardzo, aby wojsk zaporoskich nie opuszczał i przeciw księciu szedł, wszelako murza nie chciał się na to zgodzić, mówiąc, iż po zniesieniu wojsk i hetmanów, sami kozacy mogą już sobie poradzić, on zaś nie będzie dłużej czekał, bo jassyryby mu wymarł. Badani o siły Chmielnickiego, podawali je na dwieście tysięcy, ale dość ładajskich, a dobrych tylko pięćdziesiąt, to jest zaporozców i kozaków pańskich, albo grodowych, którzy się do buntu przyłączyli.

Po otrzymaniu tych wiadomości, pokrzepił się na duchu księżę, spodziewał się bowiem także za Dnieprem

znacznie w potęgę urosnąć, przez szlachtę, zbiegów wojska koronnego i poczty pańskie. Zaczem nazajutrz rano udał się w dalszą drogę.

Za Perejasławiem weszły wojska w olbrzymie, głuche lasy, ciągnące się wzdłuż biegu Trubieży aż do Kozielca i dalej pod sam Czernihów. Był to schyłek maja — upały straszliwe. W lasach, miasto chłodu, było tak duszno, iż ludziom i koniom powietrza brakło do oddechu. Bydło, prowadzone za taborem, padało co krok, lub zwietrzywszy wodę, biegło ku niej jak szalone, przewracając wozy i powodując zamieszanie. Zaczęły też i konie padać, zwłaszcza w ciężkiej jeździe. Noce były nieznośne dla niezmiernej ilości robactwa i zbyt silnego zapachu żywicy, którą z powodu upałów drzewa ronily obficie, niż zwykle.

Wleczono się tak cztery dni, nakoniec piątego upał stał się nadnaturalny. Gdy przyszła noc, konie zaczęły chrapać, a bydło ryczeć żałościwie, jakoby przewidując jakieś niebezpieczeństwo, którego ludzie nie mogli się jeszcze domyśleć.

— Krew wietrzą! — mówiono z taboru, między tłumami uciekających rodzin szlacheckich.

— Kozacy gonią nas! bitwa będzie!

Na te słowa niewiasty podniosły lament — wieść doszła do czeladzi, wszczął się popłoch i zamieszanie — wozy jęły się prześcigać wzajemnie, albo zjeżdżać z traktu na oślep w las, w którym więzły między drzewami.

Ale ludzie przysłani przez księcia przywrócili szybko porządek. Rozesłano na wszystkie strony podjazdy, by się przekonać, czy rzeczywiście jakie niebezpieczeństwo nie groziło.

Pan Skrzetuski, który na ochotnika z wołoszą po-

szedł, wrócił pierwszy nad ranem, a wróciwszy, udał się natychmiast do księcia.

— Co tam? — spytał Jeremi.

— Mości księżę, lasy się palą.

— Podpalone?

— Tak jest. Schwytalem kilku ludzi, którzy wyznali, iż Chmielnicki wysłał ochotnika, któryby za waszą księżęcą mością szedł, a ogień, jeśli wiatr będzie pomyslny, podkładał.

— Żywcemby nas chciał upiec, bitwy nie staczając. Dawać tu tych ludzi!

Za chwilę przyprowadzono trzech czabanów, dzikich, głupich, przestraszonych, którzy natychmiast przyznali się, iż istotnie kazano im lasy podpalić.

Wyznali także, że i wojska były już za księciem wyprawione, ale te szły ku Czernihowu inną drogą, bliżej Dniepru.

Tymczasem przybyły i inne podjazdy, a każdy przywiózł też samą wieść:

— Lasy się palą.

Ale księżę nie zdawał się tem bynajmniej trwożyć.

— Pogański to sposób — rzekł — ale nie potem! Ogień nie przejdzie za rzeki, idące do Trubieży.

Jakoż istotnie do Trubieży, wzdłuż której posuwał się ku północy tabor, wpadało tyle rzeczek, tworzących tu i owdzie szerokie bagna, iż nie było obawy, aby ogień mógł się przez nie przedostać. Potrzeba było chyba za każdą z nich na nowo bór podpalać.

Podjazdy sprawdziły wkrótce, iż tak czyniono. Codziennie też sprowadzały podpalaczy, którymi ubierano sosny przydrożne.

Ogień szerzył się gwałtownie, ale wzdłuż rzeczek

ku wschodowi i zachodowi, nie ku północy. Nocami niebo czerwienilo się, jak okiem dojrzał. Niewiasty śpiewały od wieczora do świtania pieśni pobożne. Przerazony dziki zwierz z płonących borów chronił się na trakt i ciągnął za taborem, mieszając się ze stadami domowego bydła. Wiatr naniósł dymów, które przesłoniły cały widnokrąg. Wojska i wozy posuwały się jak we mgle gęstej, przez którą wzrok nie sięgał. Piersi nie miały czem oddychać, dym gryzł oczy — a wiatr napędzał go coraz więcej. Światło słoneczne nie mogło się przebić przez te tumany i nocami było widniej, niż w dzień, bo świeciły luno. Bór zdawał się nie mieć końca.

Wśród takich to płonących lasów i dymów prowadził Jeremi swoje wojska. Przytem nadeszły wieści, że nieprzyjaciel idzie drugą stroną Trubieży, ale nie wiadano, jak wielką była jego potęga — wszelako Tatarzy Wierszula sprawdzili, że był jeszcze bardzo daleko.

Tymczasem pewnej nocy przyjechał do taboru pan Suchodolski z Bodenek, z tamtej strony Desny. Był to dawny dworzaniin rękodajny księcia, który przed kilkoma laty na wieś się przeniósł. Uciekał i on przed chłopstwem, ale przywiózł wieść, o której nie wiadano jeszcze w wojsku.

Wielka też zrobiła się konsternacya, gdy zapytany przez księcia o nowiny, odpowiedział:

— Zle, mości księżę! O pogromie hetmańskim już wiecie, zarówno jak i o śmierci królewskiej?

Księżę, który siedział na małym taboreciku podróznym przed namiotem, zerwał się na równe nogi:

— Jakto, król umarł?

— Miłościwy pan oddał ducha w Mereczu, jeszcze

na tydzień przed pogromem korsuńskim — rzekł Suchodolski.

— Bóg w miłosierdziu swoim nie dał mu dożyć takiej chwili — odpowiedział książę. Poczem za głowę się wzięwszy, mówił dalej: — Straszne to czasy nadchodzą na tę Rzeczpospolitą. Konwokacye i elekcye — interregnum, niezgody i machinacye zagraniczne teraz, gdy potrzebaby, aby cały naród w jeden miecz w jednych rękę się zmienił. Bóg chyba odwrócił od nas oblicze swoje i w gniewie swym za grzechy chłostać nas zamierza. Toż tę pożogę sam tylko król Władysław mógł ugasić, gdyż dziwną on miał miłość między kozactwem, a prócz tego wojenny był pan.

W tej chwili kilkunastu oficerów, między nimi Zaćwilichowski, Skrzetuski, Baranowski, Wurcel, Machnicki Polanowski zbliżyło się do księcia, który rzekł:

— Mości panowie, król umarł!

Głowy odkrywały się, jak na komendę. Twarze spoważniały. Wieść tak niespodziana mowę wszystkim odjęła. Po chwili dopiero wybuchnął żal powszechny.

— Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie — rzekł książę.

— I światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki!

Wkrótce potem książę Muchowiecki zaintonował „dies irae” i wśród tych lasów, wśród tego dymu pogrzebienie niewypowiedziane ogarnęło serca i dusze. Wszystkim zdawało się, jakby jakaś oczekiwana odsiecz zawiodła, jakby już teraz wobec groźnego nieprzyjaciela sami zostali na świecie... i nie mieli na nim nikogo więcej, ino swego księcia.

To też wszystkie oczy zwróciły się ku niemu i nowy węzeł został między nim, a żołnierstwem związany.

Tegoż dnia wieczorem, książę rzekł do Zaćwilichowskiego tak, iż słyszeli go wszyscy:

— Potrzeba nam króla wojownika, to też jeśli Bóg pozwoli, byśmy dali nasze kreski na elekcyi, damy je za królewiczem Karolem, któren więcej od Kazimierza ma wojennego animuszu.

— Vivat Carolus rex! — zawołali oficerowie.

— Vivat! — powtórzyły usarye, a za niemi całe wojsko.

I nie spodziewał się zapewne książę-wojewoda, że te okrzyki, brzmiące na Zadnieprzu, wśród głuchych lasów czernihowskich, dojdą aż do Warszawy i że mu buławę wielką koronną z rąk wytrącą.

ROZDZIAŁ IX.

Po dziewięciodniowym pochodzie, którego pan Maszkiewicz był Ksenofontem, i trzydniowej przeprawie przez Desnę, przyszły wreszcie wojska do Czernihowa. Przed wszystkimi wszedł pan Skrzetuski z wołoszą, którego umyślnie książę do zajęcia miasta wykomenderował, aby się mógł prędzej o kniaziównę i Zaglobę rozpytać. Ale tu również, jak i w Łubniach, ani w mieście, ani na zamku nikt o nich nie słyszał. Przepadli gdzieś bez śladu, jak kamień w wodzie, i rycerz sam już nie wiedział, co o tem myśleć. Gdzie się mogli schronić? Przecie nie do Moskwy, ani do Krymu, ani na Sicz? Pozostawało jedno przypuszczenie, iż przeprawili się przez Dniepr, ale w takim razie znaleźli się od razu w środku burzy. Tam rzezie, pożogi, pijane tłumy czerni, zaporozcy i Tatarzy, przed którymi nawet i przebranie Heleny nie chroniło, bo dzicz pogańska chętnie zagarniała w jassyr chłopców dla wielkiego na nich na targach stambulskich pokupu. Przychodziło nawet do głowy panu Skrzetuskemu straszliwe podejrzenie, że może umyślnie Zagloba w tamtą stronę ją powiodł, ażeby Tuhaj-bejowi ją sprzedać, który mógł hojniej od Bohuna go nagrodzić — i ta myśl prawie go o szaleństwo przypra-

wiała, ale uspokajał go w tem znacznie pan Longinus Podbipięta, który Zaglobę poznał dawniej od Skrzetuskiego.

— Braciszku, mości namiestniku — mówił — wybijże sobie to z głowy. Jużże ten szlachcic tego nie uczynił. Było i u Kurcewiczów dosyć skarbów, któreby mu Bohun chętnie odstąpił, taż gdyby chciał dziewczynę gubić, gardłaby nie narażał i do fortuny doszedł.

— Prawda jest — mówił namiestnik — ale czemuż za Dniepr, a nie do Łubniów, lub do Czernihowa z nią uciekał?

— Jużże ty się uspokój, mileńki. Ja tego Zaglobę znam. Pił on ze mną i zapożyczał się u mnie. O pieniądze on nie dba ani o swoje, ani o cudze. Swoje ma, to straci — cudzych nie odda, ale żeby miał na takie postęпки się puszczać, tego po nim się nie spodziewam.

— Lekki to jest człek, lekki — mówił Skrzetuski.

— To może i lekki, ale frant, który każdego w pole wywiedzie i ze wszystkich niebezpieczeństw się wykręci. A jako tobie ksiądz prorockim duchem przepowiedział, iż ci ją Bóg powróci — tak i będzie, gdyż słuszną to jest, aby wszelki szczerzy afekt był wynagrodzony, którą ufnością pocieszaj się, jako ja się pocieszam.

Tu pan Longinus sam począł wzdychać ciężko, a po chwili dodał:

— Popytajmyż się jeszcze w zamku, może oni choć przechodzili tędy.

I pytali się wszędzie, ale napróżno — nie było żadnego śladu nawet i przejścia zbiegów. W zamku pełno było szlachty z żonami i dziećmi, która się tu

przed kozakami zawarła. Książę namawiał ich, by szli z nim razem i przestrzegali, że kozacy idą za nim w tropy. Nie śmieli oni uderzyć na wojsko, ale było prawdopodobnem, że po odejściu księcia pokuszą się o zamek i miasto. Szlachta jednak w zamczku dziwnie była zaślepiona.

— Bezpieczni tu jesteśmy za lasami — odpowiadał księciu. — Nikt tu do nas nie przyjdzie.

— A przecie ja owe lasy przeszedłem — mówił książę.

— To wasza książęca mość przeszła, ale hultajstwo nie przejdzie. Ho! ho! nie takie to lasy.

I nie chcieli iść, trwając w swoim zaślepieniu, które potem srodze przyplacili, gdyż po odejściu księcia rychło nadciągnęli kozacy. Zamek bronił się mężnie przez trzy tygodnie, poczem został zdobyty i wszyscy w nim w pień wycięci. Kozacy dopuszczali się strasznych okrucieństw, rozdzierając dzieci, paląc niewiasty na wolnym ogniu — i nikt nie zemścił się nad nimi.

Książę tymczasem, przyszedłszy do Lubecza nad Dniepr, tam wojsko dla odpoczynku rozłożył, sam zaś z księżną, dworem i ciężarami jechał do Brahina, położonego wśród lasów i błot nieprzebytych. W tydzień później przeprowiło się i wojsko. Ruszono następnie do Babicy pod Mozyr — i tam w święto Bożego Ciała wybiła godzina rozstania się, bo księżna z dworem miała jechać do Turowa do pani wojewodziny wileńskiej, ciotki swojej, książę zaś z wojskiem w ogień ku Ukrainie.

Na ostatnim pożegnalnym obiedzie byli oboje księstwo, fraucymer i co przedniejsze towarzystwo. Ale wśród panien i kawalerów nie było zwykłej wesołości, bo nie

jedno tam żołnierskie serce krajało się na myśl, że za chwilę trzeba będzie porzucić tę wybraną, dla którejby się chciało żyć, bić i umierać, nie jedne jasne lub ciemne oczy dziewczęce zachodziły łzami z żalu, iż on odjedzie na wojnę, między kule i miecze, między kozaki i dzikie Tatary... odjedzie i może nie wróci...

To też, gdy księżę przemówił, żegnając żonę i dwór, panniątka zapiszczały jedna w drugą żalostnie, jak kocięta, rycerze zaś, jako to silniejszego ducha, powstali z miejsc swoich i chwyciwszy za główne szabel, krzyknęli razem:

— Zwycięzimy i powrócimy!

— Dopomóż wam Bóg! — odpowiedziała księżna.

Na to rozległ się okrzyk, aż okna i ściany się zatrzęsały.

— Niech żyje księżna pani! niech żyje matka nasza i dobrodziejka!

— Niech żyje! niech żyje!

Kochali ją też żołnierze za jej przychylność dla rycerstwa, za jej wielką duszę, hojność i laskawość, za opiekę nad ich rodzinami. Kochał ją nad wszystko księżę Jeremi, bo to były dwie natury, jakby dla siebie stworzone, kubek w kubek do siebie podobne, obie ze złota i spiżu ulane.

Więc wszyscy szli ku niej i każdy klękał z kielichem przed jej krzesłem, a ona za głowę każdego ścisnąwszy, kilka słów laskawych przemówiła. Skrzetuskiemu zaś rzekła:

— Niejeden tu podobno rycerz szkaplerzyk, albo wstążeczkę na waletę dostanie, a że nie masz tu tej, od którejś waćpan najbardziej pragnął, przeto przyjm odemnie, jakby od matki.

To rzekłszy, zdjęła krzyżyczek złoty, turkusami usiany, i zawiesiła go na szyi rycerza, którego rękę jej ze czcią ucałował.

Znać było, że ksiązę był bardzo kontent z tego, co pana Skrzetuskiego spotkało, gdyż w ostatnich czasach jeszcze bardziej go polubił za to, iż godność książęcą, posługując na Siczy, ochronił — i listów od Chmielnickiego brać nie chciał. Tymczasem ruszono się od stołu. Panny, chwyciwszy w lot słowa księżnej do pana Skrzetuskiego wyrzeczone i biorąc je za zgodę i pozwolenie, zaraz też poczęły wydobywać, ta szkaplerz, ta szarfę, ta krzyżyk — co widząc, rycerze obces każdy do swojej, jeśli nie wybranej, to przynajmniej do najmilszej. Sunął tedy Poniatowski do Żytyńskiej, Bychowiec do Bohowitynianki, bo tę sobie w ostatnich czasach upodobał, Roztworowski do Żukówny, rudy Wierszuł do Skoropackiej, oberszter Machnicki, choć stary, do Zawiejskiej, jedna tylko Anusia Borzobohata-Krasieńska, choć najpiękniejsza ze wszystkich, stała pod oknem sama i opuszczona. Lice jej zarumieniło się, oczki nakryte powiekami strzelały z ukosa, jakby gniewem, a zarazem i prośbą, by jej nie czyniono takiego afrontu, zaś zdrajca Wołodyjowski zbliżył się i rzekł:

— Chciałem też i ja prosić pannę Annę o jakąś pamiątkę, ale się tej chęci wyrzekł, gdyżem tak mniemał, że dla zbyt wielkiego tłoku się nie docisnę.

Policzki Anusi zapalały jeszcze ogniściej, wszelako bez chwili namysłu odrzekła:

— Z innychbyś waćpan rąk, nie z moich, chciał pamiątki, ale jej nie dostaniesz, bo tam, jeśli nie za ciasno, to dla waszeci za wysoko.

Cios był dobrze wymierzony i podwójny, bo po

pierwsze, zawierał przymówkę do małego wzrostu rycerza, a powtóre, do jego afektu dla księżniczki Barbary Zbaraskiej. Pan Wołodyjowski kochał się naprzód w starszej Annie, ale gdy tę zaswatano, przeboleł i w cichości ofiarował serce Barbarze, sądząc, że nikt się tego nie domyśla. Więc też, gdy o tem od Anusi zasłyszał, choć to niby szermierz pierwszej wody i na szable i na słowa, skonfundował się tak, że języka w gębie zapomniał i tylko jąkał nie do rzeczy:

— Waćpanna także mierzysz wysoko, bo tak właśnie, jak głowa pana... Podbipięty..

— Wyższy on istotnie od waćpana i mieczem i polityką — odparła rezolutna dziewczyna. — Dziękuję też, żeś mi go przypomniał. Dobrze i tak!

To rzekłszy, zwróciła się ku Litwinowi:

— Mości panie, zbliż się jeno waćpan. Chcę też i ja mieć swojego rycerza, a już nie wiem, czybym mogła na męniejszej piersi oną szarfę przewiązać.

Pan Podbipięta oczy wytrzeszczył, jakby nie wierząc sobie czy dobrze słyszy, nareszcie jak rzuci się na kolana, aż podłoga zatrzeszczała:

— Dobrodziejko moja, dobrodziejko!

Anusia przewiązała szarfę, a potem małe rączki znikły całkiem pod płowymi wąsami pana Longina, rozlegało się tylko mlaskanie i mruczenie, którego słuchając, pan Wołodyjowski rzekł do porucznika Migurskiego:

— Przysięgłbyś, że niedźwiedź pszczoły psowa i miód wyjada.

Poczem odszedł z pewną złością, bo czuł w sobie Anusine żądło, a przecie kochał się w niej także swego czasu.

Ale już też i książę począł się z księżną żegnać —

i w godzinę później dwór ruszył do Turowa, wojska zaś ku Prypeci.

W nocy na przeprawie, gdy budowano tratwy do przeniesienia dział, a usarye pilnowały robót — rzekł pan Longinus do Skrzetuskiego:

— Ot, braciszku, nieszczęście!

— Coś się stało? — pytał namiestnik.

— A to te wieści z Ukrainy!

— Jakie?

— Powiadali przecie zaporozcy, że Tuhaj-bej odszedł z ordą do Krymu.

— To i cóż z tego? Na to przecież nie będziesz płakał.

— Owszem, braciszku, boś mnie powiedział — i miałeś słuszność — co? że — kozackich głów liczyć nie mogę, a skoro Tatarzy odeszli, tak skądże ja wezmę trzech głów pogańskich, gdzie ich szukać będę? A mnie one, ach jak potrzebne!

Skrzetuski, choć sam strapiony, uśmiechnął się i odrzekł:

— Zgaduję, o co ci chodzi, bom widział, jak cię dziś na rycerza pasowano.

Na to pan Longinus ręce złożył:

— Tak, bo pocóż dłużej skrywać, polubiłem, braciszku, polubiłem... Ot, nieszczęście!

— Nie martw się. Nie wierzę ja w to, by Tuhaj-bej już odszedł, a zresztą będziesz miał pogaństwa jak tych komarów nad głową.

Rzeczywiście całe chmury komarów unosiły się nad końmi i ludźmi, bo wojska weszły w kraj błot nieprzebytych, lasów bagnistych, łąk rozmiękłych, rzek, rzeczek

i strumieni, w kraj pusty, głuchy, jedną puszczą szumiącą,
o którego mieszkańcach mawiano w owych czasach:

„Dał dla córeczki
Szlachcic Hołota
Dziegiu dwie beczki
Grzybów wianuszek,
Wjunów garnuszek,
I lechę błota“.

Na błocie owem rosły wprawdzie nietylko grzyby, ale wbrew owym rytmom i wielkie fortuny pańskie. Wszelako w tej chwili ludzie książeńcy, którzy w znacznej części wychowali się i wyrosli na suchych wysokich stepach zadnieprzańskich, nie chcieli oczom własnym wierzyć. Wszakżeż i tam były miejscami bagna i lasy, ale tu cały kraj zdawał się jednym bagnem. Noc była pogodna, jasna — i przy blasku księżyca, jak okiem sięgnąć, nie zajrzałeś sążnia suchego gruntu. Kępy tylko czerniły się nad wodą, lasy zdawały się z wody wyrastać, woda chlupotała pod nogami końskimi, wodę wyciskały koła wozów i armat. Wurcel wpadł w desperacyą. „Dziwny pochód — mówił — pod Czernihowem groził nam ogień, a tu woda nas zalewa“. Rzeczywiście, ziemia wbrew przyrodzeniu nie dawała tu stałej podpory nogom, ale gięła się, trzęsła, jakby się chciała rozstąpić i pochłonać tych, co się po niej poruszali.

Wojska przez Prypeć przeprowały się cztery dni, potem niemal codziennie trzeba było przebywać rzeki i rzeczulki, płynące w rozkisłym gruncie. A nigdzie mostu. Lud cały na łodziach, w szuhalejach. Po kilku dniach wszczęły się i mgły i deszcze. Ludzie dobywali ostatnich sił, by się na koniec wydostać z tych zaklętych okolic. A książę śpieszył, pędził. Kazał walić całe lasy, układać

drogi z okrągłaków i szedł naprzód. Żołnierz też, widząc jak nie szczędził sił własnych, jak od rana do nocy był na koniu, wojska sprawował, nad pochodem czuwał, wszystkim osobiście zawiadywał — nie śmiał szemrać, choć trud był prawie nad siły. Od rana do nocy lgnąć i moknąć, oto był wspólny los wszystkich. Koniom róg począł zlażyć z kopyt — wiele ich od armat odpadło, więc piechota i dragoni Wołodyjowskiego sami ciągnęli działa. Najgórniesze pułki, jako usarye Skrzetuskiego, Zaćwilichowskiego i pancerni, brały się do siekier, do moszczenia dróg. Był to sławny pochód o chłodzie, wodzie i głodzie, w którym wola wodza i zapal żołnierzy łamały wszystkie przeszkody. Nikt tedy dotychczas nie odważył się z wiosny, przy rozlaniu wód, wojsk prowadzić. Szczęściem pochód nie był ani razu żadnym napa dem przerwany. Lud tam cichy, spokojny, nie myślał o buncie, a choć później podburzany przez kozaków i zachęcany przykładem, nie chciał garnąć się pod ich znaki. Toż i teraz spoglądał sennem okiem na przechodzące zastępy rycerzy, którzy wynurzali się z borów i bagien, jakby zakłęci, a przechodzili jak sen; dostarczał przewodników, spełniał cicho i posłusznie wszystko, czego od niego żądano.

Co widząc, książę powściągał surowie wszelką swawolę żołnierską i nie płynęły za wojskiem jęki ludzkie, przekleństwa i narzekania, a gdy po przejściu wojsk została w jakiej dymnej wiosce wieść, że to książę Jarema przechodził — ludzie potrząsali głowami: „Wżen win dobryj!” — mówili sobie z cicha.

Nakoniec po dwudziestu dniach nadludzkich trudów i wysień, wychyliły się wojska książęce w kraj zbuntowany; „Jarema ide! Jarema ide!” rozlegało się po całej

Ukrainie, aż hen, po dzikie pola, do Czehryna i Jahorliku. „Jarema ide!“ rozlegało się po miastach, wsiach, chutorach i pasiekach i na tę wieść, kosy, widły i noże wypadły z rąk chłopskich, twarze bladły, kupy swawolne pomykały nocami ku południowi, jak stada wilków przed odgłosem rogów myśliwskich; Tatar zabłąkany dla grabieży zeskakiwał z konia i ucho co chwila do ziemi przykladał; w niezdobytych jeszcze zamkach i zameczkach bito w dzwony i śpiewano „Te Deum laudamus!“

A ów groźny lew położył się na progu zbuntowanego kraju i odpoczywał.

Sily zbierał.

ROZDZIAŁ X.

Tymczasem Chmielnicki, postawszy czas jakiś w Korsuniu, do Białocerkwi się cofnął i tam stolicę swą założył. Orda zapadła koszem z drugiej strony rzeki, rozpuszczając zagony po całym województwie kijowskiem. Niepotrzebnie się też martwił pan Longinus Podbipięta, że mu głów tatarskich nie stanie. Pan Skrzetuski słusznie przewidywał, że zaporozcy, schwytani przez pana Poniatowskiego pod Kaniowem, fałszywą dali wiadomość: Tuhaj-bej nietylko nie odszedł, ale nawet do Czehryna się nie ruszał. Co więcej, nowe czambuły nadciągnęły ze wszystkich stron. Przyszli carzykowie azowski i astrański, którzy nigdy przedtem w Polsce nie bywali, w cztery tysiące wojowników, przyszło dwanaście tysięcy hordy nohajskiej, dwadzieścia tysięcy bilgorodzkiej i budziackiej, wszystko zakłęci ongi Zaporozża i kozactwa nieprzyjaciele, dziś bracia i na krew chrześcijańską zaprzysięgli sprzymierzeńcy. Nakoniec przybył i sam Chan Islan Girej, z dwunastoma tysiącami perekopców. Cierpiała od tych przyjaciół cała Ukraina, cierpiał nietylko stan szlachecki, ale i lud ruski, któremu palono wioski zabierano dobytek, a samych chłopów, niewiasty i dzieci pędzono w jassy. W tych czasach mord, pożogi i krwi

wylania, jeden tylko dla chłopu był ratunek: uciec do obozu Chmielnickiego. Tam z ofiary stawał się zbójem i sam własną ziemię niszczył, ale przynajmniej żywota był bezpieczny. Nieszczęsny kraj! — Gdy bunt w nim wybuchł, pokarał go naprzód i spustoszył pan Mikołaj Potocki, potem zaporozcy i Tatarzy, którzy niby dla oswobodzenia go przyszli, a teraz zawisł nad nim Jeremi Wiśniowiecki.

Uciekał też kto mógł do obozu Chmielnickiego, uciekała nawet i szlachta, gdy innego środka ocalenia nie było. Dzięki temu, Chmielnicki rósł w siły, i że nie zaraz ruszył w głąb Rzeczypospolitej, że leżał długo w Białocerkwi, to przeważnie dlatego, by ład w te rozrūkane i dzikie żywioły wprowadzić.

Jakoż w żelaznym jego ręku zmieniały się one szybko w bojową potęgę. Kadry z wyćwiczonych zaporozców były gotowe, podzielono czerń na pułki, wyznaczono pułkowników z dawnych atamanów koszowych, pojedyncze oddziały wysyłano na zdobywanie zamków, by je do boju zaprawić. A bitny to był z natury lud, do wojny tak jak żaden inny sposobny, do broni przywykły, przez napady tatarskie z ogniem i krwawem obliczem wojny oswojony.

Poszło więc dwóch pułkowników, Handża i Ostap, na Nesterwar, który zdobyli, ludność żydowską i szlachecką w pień wycięli. Czetwertyńskiemu kniaziowi własny jego młynarz głowę na progu zamkowym obciął — a z księżnej Ostap niewolnicę swoją uczynił. Szli inni w inne strony i powodzenie towarzyszyło ich orężowi, bo strach serca „Lachom“ odjął — strach „temu narodowi niezwycajny“, którego broń z rąk wytrącał i sił zbawiał.

Nieraz bywało pułkownicy nagabywali Chmielnickiego: „Czemu zaś ku Warszawie nie ruszasz, ale spoczywasz, z czarownicami czary odprawujesz i gorzalką się zalewasz, a Lachom się obaczyć od strachu i wojska zebrać pozwalasz?” Nieraz też czern pijana wyla po nocach, oblegała kwaterę Chmielnickiego, żądając, by ją na „Lachiw“ prowadził. Chmielnicki podniósł bunt i dał mu siłę straszliwą, ale teraz ją miarkował, że już siła owa jego samego pcha ku nieznannej przyszłości, więc często chmurnem okiem w ona przyszłość spoglądał i zbadać ją usiłował — i sercem wobec niej się trwożył.

Jako się rzekło, wśród tych pułkowników i atamanów on jeden wiedział, ile jest straszliwej potęgi w pozornej bezsilności Rzeczypospolitej. Podniósł bunt, zbił pod Żółtymi wodami, zbił pod Korsuniem, starł wojska koronne — a co dalej?

Zbierał tedy pułkowników do rady i wodząc po nich krwawemi oczyma, przed którymi drżeli wszyscy, stawiał im ponuro toż samo pytanie: „Co dalej? czego wy chcecie?”

— Iść do Warszawy? to tu książę Wiśniowiecki przyjdzie, żony i dzieci wasze jako piorun pobije, ziemię a wodę tylko zostawi, a potem i on za nami do Warszawy z całą potęgą szlachecką, która się do niego przyłączy, pociągnie — i we dwa ognie wzięci, zginiem, jeśli nie w bitwach, to na palach...

Na przyjaźń tatarską liczyć nie można. Oni dziś z nami, jutro przeciw nam się odwrócą i do Krymu popędzą, albo panom nasze głowy sprzedadzą.

— Ano, co dalej, mówcie? Iść na Wiśniowieckiego? to on siłę naszą i tatarską całą na sobie zadzierzy,

a przez ten czas wojska się zbiorą i z głębi Rzeczypospolitej w pomoc mu ruszą. Wybierajcie...

I potrwożeni pułkownicy milczeli, a Chmielnicki mówił:

— Czemużeście to zmaleli? czemu więcej nie przecie na mnie, bym ku Warszawie ciągnął? Gdy tedy nie wiecie co czynić, na mnie to zdajcie, a Bóg da, swoją i wasze głowy ocalę i kontentacyą dla wojska zaporoskiego i wszystkich kozaków otrzymam.

Jakoż pozostawał jeden sposób: układy. Chmielnicki dobrze wiedział, ile tą drogą można w Rzeczypospolitej wymódz; liczył, że sejmy prędzej na znaczną kontentacyą się zgodzą, niż na podatki, zaciągi i wojnę, która musiałaby być i długą i trudną. Wiedział wreszcie, że w Warszawie jest potężna partya, a na jej czele sam król, o którego śmierci wieść jeszcze nie doszła ¹⁾ i kanclerz i wielu panów, którzy radziby wzrost olbrzymich fortun magnackich na Ukrainie powstrzymać, z kozaków siłę dla rąk królewskich stworzyć, wieczysty pokój z nimi zawrzeć i one tysiące zebrane do postromej wojny użyć. W tych warunkach mógł i dla siebie Chmielnicki znamenitą szarzę zyskać, buławę hetmańską z królewskiego ramienia otrzymać i dla kozaków nieprzeliczone ustępstwa osiągnąć.

Oto dlaczego leżał długo pod Białocerkwią. Zbroił się, uniwersały na wszystkie strony rozsylał, lud ściągał, całe armie tworzył, zamki pod moc swoją zagarniał, bo wiedział, że tylko z silnym układać się będą, ale w głąb Rzeczypospolitej nie ruszał.

¹⁾ 12 czerwca pod Białocerkwią nie wiadano jeszcze o śmierci króla.

O! gdyby na mocy układów pokój mógł zawrzeć — wtedy tem samem albo broń z ręki Wiśniowieckiego wytrąci — albo — jeśli książ jej nie złoży, to nie on, Chmielnicki, ale książ będzie rebelizantem, wbrew woli króla i sejmów wojnę wiodącym.

Naówczas ruszy on na Wiśniowieckiego — ale już z królewskiego i Rzeczypospolitej mandatu — i wybije wtedy ostatnia godzina nie tylko dla kniazia, ale dla wszystkich ukraińskich królewiatek, dla ich fortun i latyfundiów.

Tak myślał samozwańczy hetman zaporoski, taki gmach na przyszłość budował. Ale na rusztowaniach, pod on gmach przygotowanych, siadało często czarne plectwo trosk, zwątpień, obaw — i krakało złowrogo.

Będzie-li dość silną pokojowa partya w Warszawie, zaczną-li z nim układy? Co powie sejm i senat, zatkną-li tam uszy na jęki i wołania ukraińskie, zamkną oczy na łuny pożarów?...

Czy nie przeważą wpływ panów, owe niezmierne latyfundiary posiadających, o których ochronę im iść będzie? I czy ta Rzeczpospolita tak się już przeraziła, że mu przebaczy to, iż się z Tatary połączył?

A z drugiej strony szarpało duszę Chmielnickiego zwątpienie, czy i ów bunt nie zanadto się już rozpalil i rozwinął. Czy owe zdziczałe masy dadzą się wtłoczyć w jakie karby? Dobrze — on, Chmielnicki, pokój zawrze, a rezuny pod jego imieniem dalej mord i pożogę szerzyć będą — albo się też na jego głowie swych zawiedzionych nadziei pomszczą. Toż to rzeka wezbrana, morze, burza! Straszne położenie! Gdyby wybuch był słabszy, tedyby nie układano się z nim, jako ze sła-

bym — ponieważ bunt jest potężny, więc układy siłą rzeczy mogą się rozbić.

I co będzie?

Gdy takie myśli opadły ciężką głowę hetmana, natychmiast zamykał się w swej kwaterze i pił dnie całe i nocę. Wówczas między pułkownikami i czernią rozchodziła się wieść: „hetman pije!” i za przykładem jego pili wszyscy, karność się rozpręgała, mordowano jeńców, bito się wzajemnie, rabowano łupy — rozpoczynał się sądny dzień, panowanie zgrozy i okropności. Białocerkiew zmieniała się w piekło prawdziwe.

Aż pewnego dnia, do pijanego hetmana wszedł szlachcic Wychowski, pod Korsuniem do niewoli wzięty i na sekretarza hetmańskiego awansowany. Wszedłszy, począł trząść bez ceremonii opoja, aż go wreszcie porwał za ramiona, na tapczanie posadził i ocucił.

— A ce szczo takie jakie lycho? — pytał Chmielnicki.

— Mości hetmanie, wstawaj i oprzytomnij — odpowiedział Wychowski. — Poselstwo przyszło!

Chmielnicki zerwał się na równe nogi i w jednej chwili otrzeźwiał.

— Hej! — wołał na pacholę kozackie, siedzące w progu — deliä, kołpak i buławę!

A potem do Wychowskiego:

— Kto przyjechał? Od kogo?

— Książdz Patroni Łasko z Huszczy, od pana wojewody braclawskiego.

— Od pana Kisiela?

— Tak jest.

— Sława Otcu i Synu, sława Swiatomu Duchu i Swiatoj Preczystoj!! — mówił, żegnając się, Chmielnicki.

I twarz mu pojaśniała, wypogodziła się — rozpoczynano z nim układy.

Ale tegoż dnia przyszły i wieści wprost przeciwne pokojowemu poselstwu pana Kisiela.

Doniesiono, iż księżę, wypocząwszy wojsku strudzonemu pochodem przez lasy i błota, wstąpił w kraj zbuntowany; że bije, pali, ścina; że podjazd wysłany pod Skrzetuskim rozbił dwutysięczną watahę kozaków i czerni — i wytępił ją co do nogi; że sam księżę wziął szturmem Pohrebyszcz, majątność księząt Zbarazkich — i ziemię a wodę tylko zostawił. Opowiadano przerażające rzeczy o tym szturmie i zdobyciu Pohrebyszcz — było to bowiem gniazdo najzaciętszych rezunów. Księżę miał powiedzieć do żołnierzy: „mordujcie ich tak, by czuli że umierają“ ¹⁾. Więc też żołnierstwo najdzikszych dopuszczało się okrucieństw. Z całego miasta nie ocalała jedna żywa dusza. Siedmiuset jeńców powieszono, dwustu wbito na pale. Mówiono również o wierceniu oczu świdrami, o paleniu na wolnym ogniu. Bunt zgasł od razu w całej okolicy. Mieszkańcy albo puciekali do Chmielnickiego, albo przyjmowali pana Łubniańskiego na klęczkach, z chlebem i solą, wyjąc o miłosierdzie. Pomniejsze watahy wszystkie były starte — a w lasach, jak twierdzili zbiegowie z Samhorodka, Spiczyna, Pleskowa i Wachnówki, nie było jednego drzewa, na którymby kozak nie wisiał.

I działo się to wszystko pod bokiem Białocerkwi i krociowej armii Chmielnickiego.

To też Chmielnicki, gdy się o tem dowiedział,

¹⁾ Rudawski twierdzi, iż słowa owe były wyrzeczone w Niemirowie.

począł ryczeć, jak ranny tur. Z jednej strony układy, z drugiej miecz. Jeśli ruszy na księcia, będzie to oznaką, że nie chce układów, proponowanych przez pana z Brusilowa.

Jedyna nadzieja pozostawała w Tatarach. Chmielnicki zerwał się i ruszył do Tuhaj-bejowej kwatery.

— Tuhaj-beju, mój przyjacielu! — rzekł po oddaniu zwykłych salamów — jakoś mnie pod Żółtą wodą i pod Korsuniem ratował, tak i teraz mnie ratuj. Przyszedł tu poseł od wojewody braclawskiego z pismem, w którym mnie wojewoda obiecuje kontentacją, a wojsku zaporoskiemu powrót do dawnych swobód, pod warunkiem, żebym wojny zaprzestał, co ja uczynić muszę, chcąc swoją szczerłość i dobrą chęć pokazać. A tymczasem przysły tu wieści od niedruga mojego, księcia Wiśniowieckiego, że Pohrebyszcze wyciął i nikogo nie żywił — i dobrych molojców moich wycina, na pale wbija — i świdrami oczy wierci. Na którego ja ruszyć nie mogąc, do ciebie z pokłonem przyszedłem, abys ty na tego mojego i swojego niedruga z Tatary ruszył, gdyż inaczej wkrótce on tu na nasze obozy nastąpi.

Murza, siedząc na kupie kobierców, pobranych pod Korsuniem, lub złupionych po dworach szlacheckich, kiwał się czas jakiś w tył i naprzód, oczy zamrużył, jakby dla lepszego namysłu, nareszcie odrzekł:

— Alla! ja tego uczynić nie mogę.

— Czemu? — pytał Chmielnicki.

— Bom i tak już dosyć dla ciebie bejów i czausów pod Złotą wodą i pod Korsuniem wytracił, po cóż mam jeszcze tracić? Jarema to wielki wojownik! Ruszę na niego, gdy i ty ruszysz, ale sam nie. Nie głupim w jednej bitwie wszystko, com dotąd zyskał, utracić —

lepiej mi czambuły po łup i jassyry wysłać. Dostyc ja już dla was, psów niewiernych, uczynił. I sam nie pójdę i chanowi będę odradzał. Rzekłem.

— Pomoc mi zaprzysiągłeś.

— Tak jest, alem przysięgał obok ciebie, nie za ciebie wojować. Idźże ty precz!

— Jam ci jassyry z mego własnego ludu pozwolił, łupy oddał, hetmanów oddał.

— Bo gdybyś nie oddał, tobym ja ciebie im oddał.

— Do chana pójdę.

— Idźże precz, capie, mówię ci.

I kończaste zęby murzy już zaczęły błyskać z pod warg. Chmielnicki poznał, że niema co tu robić, a dłużej nastawać niebezpiecznie, więc wstał i rzeczywiście udał się do chana.

Ale od chana takąż samą odebrał odpowiedź. Tatarzy mieli swój rozum i szukali własnej korzyści. Zamiast ważyć się na walną bitwę z wodzem, który za niezwycięzonego uchodził, woleli zagony rozpuszczać i bogacić się bez krwi przelewu.

Chmielnicki wrócił wściekły do swej kwatery i z desperacyi już do gąsiora się zabierał, ale mu go Wychowski wyrwał z ręki.

— Nie będziesz pił, mości hetmanie — rzekł. — Posel jest, trzeba posła odprawić.

Chmielnicki wpadł w gniew straszliwy.

— Ja ciebie i posła każę na pal wbić!

— A ja ci gorzalki nie dam. Nie wstydźe ci, gdy cię fortuna tak wysoko wyniosła, wódką się, jak prostemu kozakowi, zalewać? Tfu, tfu, mości hetmanie, nie może tak być. Wieść o przybyciu posła już się rozeszła. Wojsko i pułkownicy chcą na radę. Tobie nie pić teraz,

ale kuć żelazo, póki gorące — bo teraz możesz pokój zawrzeć i wszystko co chcesz otrzymać, potem będzie zapóźno, a gardło moje i twoje w tem. Wysłać tobie zaraz poselstwo do Warszawy i króla o łaskę prosić...

— Mądra ty głowa — rzekł Chmielnicki. — Każ uderzyć w dzwon na radę, a na majdanie powiedz pułkownikom, że zaraz wyjdę.

Wychowski wyszedł, a po chwili ozwał się dzwon na radę, na którego głos wnet wojska zaporoskie poczęły się zbierać. Zasiedli więc dowódcy i pułkownicy: straszliwy Krzywonos, prawa Chmielnickiego ręka, Krzeczowski, miecz kozacki, stary i doświadczony Filon Dziedziała, pułkownik kropiwnicki, Fedor Łoboda perejasławski, okrutny Fedoreńko kalnicki, dziki Puszkareńko połtawski, który samym czabanom przewodził; Szumejko niżyński, ognisty Czarnota hadziacki, Jakubowicz czehryński, dalej Nosacz, Hładki, Adamowicz, Głuch, Puljan, Panicz — nie wszyscy, bo niektórzy byli na wyprawach, a niektórzy na tamtym świecie, których już ksiązę Jeremi tam wysłał.

Tatarzy nie byli tym razem wezwani na naradę. Towarzystwo zebrało się obok na majdanie, cisnącą się czerń odpędzano kijami, a nawet kiścieniami, przyczem i zabójstw nie brakło.

Nakoniec ukazał się i sam Chmielnicki, przybrany w czerwień, w kołpaku i z buławą w ręku. Obok niego szedł biały jak gołąb ksiądz błahocześciwy Patroni Łasko, a z drugiej strony Wychowski, z papierami w ręku.

Chmiel, zasiadłszy między pułkownikami, siedział przez chwilę w milczeniu — poczem zdjął kołpak na znak, iż narada się rozpoczyna, wstał i tak mówić począł:

— **Mości panowie pułkownicy i atamani dobrodziejstwo!** Wiadomo wam, jako dla wielkich, a niewinnie cierpianych krzywd naszych, musieliśmy za broń uchwycić, a z pomocą najjaśniejszego carza krymskiego o dawne wolności i przywileje, odjęte nam bez woli króla Jegomości, od paniąt się upomnieć, którą imprezę Bóg błogosławił i spuściwszy na nieszczerych tyranów naszych strach, wcale im niezwycajny, nieprawdy i uciski ich pokarał, a nam znacznemi wiktoryami wynagrodził, za co mu wdzięcznem sercem powinniśmy dziękować. Gdy tedy pycha ich pokaraną została, należy myśleć nam, aby rozlew krwi chrześcijańskiej powstrzymać, co nam Bóg miłosierny i nasza blahocześciwa wiara nakazuje, a szabli póty z ręki nie puszczać, póki nam za wolą najjaśniejszego króla Jegomości nasze dawne wolności i przywileje nie będą powrócone. Pisz mi tedy pan wojewoda braclawski, iż się to może stać, co i ja tak myślę, gdyż nie my to, ale panięta, Potoccy, Kalinowscy, Wiśniowieccy i Koniecpolscy, z posłuszeństwa Majestadowi i Rzeczypospolitej wyszli, których żeśmy ukarali, przeto nam się słuszna kontentacya i nagroda od majestatu i stanów należy. Proszę ja więc moście panów dobrodziejów i łaskawców moich, abyście pismo wojewody braclawskiego, mnie, przez ojca Patroniego Łaska, szlachcica wiary blahocześciwej przysłane, przeczytali i mądrze postanowili, aby rozlew krwi chrześcijańskiej był wstrzymany, a nam kontentacya uczyniona i nagroda za posłuszeństwo i wierność Rzplitej oddana.

Chmielnicki nie pytał, czy wojna ma być zaniechaną, ale żądał postanowienia, aby była zaniechaną, zaraz przeto niechętni podnieśli szemranie, to zaś po chwili

zmieniło się w krzyki groźne, którym głównie Czarnota hadziacki przewodził.

Chmielnicki milczał, patrzył tylko uważnie skąd wychodzą protesty i opornych sobie w pamięci notował.

Tymczasem powstał Wychowski z listem Kisielowym w rękę. Kopią pisma poniósł Zórko, aby ją odczytać „towarzystwu“, więc tam i tu zapadła cisza głęboka.

Wojewoda poczynął list w te słowa:

„Mci Panie Starszy wojska Rzeczypospolitej Zaporoskiego, z dawna mnie miły panie i przyjacielu!

„Gdy wiele jest takich, którzy o WMci, jako o nieprzyjacielu Rzplitej, rozumieją, ja nietylko zostawam sam cale upewnionym o WMci wiernym ku Rzplitej affekcie, ale i innych w tem upewniam IMP. Panów Senatorów, kolegów moich. Trzy rzeczy mnie upewnniają: pierwsza, iż lubo od wieków wojsko Dnieprowe sławy i wolności swoich przestrzega, ale wiary swojej zawsze królom, panom i Rzplitej dotrzymywa. Druga, że naród ruski nasz w wierze swej prawowiernej tak stateczny, że woli każdy z nas zdrowie swoje pokładać, niżli tę wiarę czemkolwiek naruszyć. Trzecia, że lubo różne bywają (jako i teraz się stało, żal się Boże), wewnętrzne krwie rozlania, przecie jednak ojczyzna nam wszystkim jest jedna, w której się rodzimy, wolności naszych zażywamy, i nie masz prawie we wszystkim świecie innego państwa i drugiego podobnego ojczyźnie naszej w prawach i swobodach. Dlatego zwykliśmy wszyscy jednostajnie tej matki naszej korony całości przestrzegać; a chociaż bywają różne dolegliwości (jako to na świecie), to jednak rozum każe uważać, że łatwiej domówić się w państwie wolnem, co którego z nas boli, niżli stra-

ciwszy tę matkę, już drugiej takiej nie naleść, ani w chrześcijaństwie, ani w pogaństwie...”

Łoboda perejasławski przerwał czytanie:

— Prawdu każe — rzekł głośno.

— Prawdu każe! — powtórzyli inni pułkownicy.

— Ne prawdu, bresze psiwira! — wrzasnął

Czarnota.

— Milcz! sam psiwira.

— Wy zdrajcy. Na pohybel wam!

— Na pohybel toby.

— Słuchać, czekać dalej! czytać! on nasz *czołowik*.

Słuchać, słuchać!

Burza zbierała się na dobre, ale Wychowski jął dalej czytać, więc uciszyło się znowu.

Pisał wojewoda w dalszym ciągu, iż wojsko zaporoskie powinno mieć do niego ufność, gdyż wie dobrze, że on tej samej będąc krwi i wiary, życzliwym mu być musi; przypominał jako w nieszczęsnem krwi wylaniu pod Kumejkami i pod Starcem udziału nie brał, następnie wzywał Chmielnickiego, aby wojny poprzestał, Tatarów odprawił, albo na nich oręż obrócił — i w wierności dla Rzplitej się utrwalił. Wreszcie list kończył się w następujące słowa:

„Obiecuję waszmości, tak jakom synem Cerkwi bożej i jako dom mój ze krwi narodu ruskiego starożytnej idzie, że sam będę pomocny do wszystkiego dobrego. Wiecie WMć bardzo dobrze, że i na mnie w tej Rzplitej (za łaską Bożą) cokolwiek zależy, i bezemnie ani wojna uchwalona być może, ani pokój stanowiony, a ja pierwszy wewnętrznej wojny nie życzę” etc...

Powstały zaraz tedy tumulty za i przeciw, ale list w ogóle podobał się i pułkownikom i nawet towarzy-

stwu. Niemniej przeto w pierwszej chwili nie można było niczego zrozumieć, ani dosłyszeć dla wielkiej furii, z jaką nad pismem rozprawiano. „Towarzystwo“ podobne było zdala do wielkiego wiru, w którym wrzało, kotłowało się i huczało mrowie ludzkie. Pułkownicy potrzęsali piernaczami i przyskakiwali sobie z pięściami do oczu. Widziałeś twarze czerwone, rozpalone oczy, pianę na ustach, a wszystkim partyzantom dalszej wojny przewodził Erazm Czarnota, który wpadł w szal prawdziwy. Chmielnicki też, patrząc na jego wściekłość, blizkim był wybuchu, przed którym cichło zwykle wszystko, jak przed rykiem lwa. Ale pierwaj jeszcze wskoczył na ławę Krzczowski, piernaczem machnął i krzyknął głosem do grzmotu podobnym:

— Czabanować wam, nie radzić, raby pogańskie!

— Cicho! Krzczowski chce mówić! — krzyknął pierwszy Czarnota — który spodziewał się, iż przesławny pułkownik za wojną będzie przemawiał.

— Cicho! cicho! — wrzeszczeli inni.

Krzczowski był niezmiernie szanowany między koźactwem, a to dla wielkich usług, które oddał, dla wielkiej głowy wojennej i, dziwna rzecz — dlatego, iż był szlachcic. Uciszyło się więc zaraz i wszyscy czekali z ciekawością, co powie; sam Chmielnicki utkwiał w niego wzrok niespokojny.

Ale Czarnota mylił się, przypuszczając, iż pułkownik za wojną wystąpi. Krzczowski bystrym swym umysłem zrozumiał, iż teraz, albo nigdy mógł uzyskać od Rzplitej owe starostwa i dostojęństwa, o których marzył. Odgadł, że przy pacyfikacyi kozaków, jego przed wielą innymi będą się starali ująć i zaspokoić, czemu pan Krakowski, jako w niewoli będący, nie będzie

mógł przeszkadzać — więc też odezwał się w takie słowa:

— Rzecz moja bić, nie radzić; ale gdy do rady przyszło, poczuwam się też do tego, abym swoje zdanie powiedział, gdyżem na taki wasz fawor jak i inni, jeżeli nie lepiej, zarobił. Poto my wojnę podniecili, aby nam nasze wolności i przywileje zostały powrócone, a pisze wojewoda braclawski, że tak być ma. Więc albo będzie, albo nie będzie. Jeśli nie będzie, tak wojna, a jeśli będzie — pokój! Poco darmo krew lać? Niech nas zaspokoja, a my czerń uspokoimy i wojna ustanie; nasz baćko Chmielnicki mądrze to wszystko ułożył i obmyślił, aby my po stronie najjaśniejszego króla jegomości stanęli, którego nagrodę za to nam da, a jeśli panięta się sprzeciwią, tedy pozwoli nam z niemi pohulać — i pohulamy. Tegobym tylko nie radził, by Tatarów odprawiać: niech koszem na Dzikich polach zapadną i leżą, póki nam wóz lub przewóz.

Chmielnicki rozjaśnił twarz, słysząc te słowa, a pułkownicy w ogromnej już większości poczeli wołać, by wojnę zawiesić i posłów do Warszawy wysłać, a pana z Brusilowa prosić, by sam dla układów przybył. Czarnota krzyczał jeszcze i protestował, ale pułkownik oczy groźne w niego utkwil i rzekł:

— Ty Czarnota, hadziacki pułkowniku, o wojnę i krwi przelanie wołasz, a gdy pod Korsuniem szli na cię petyhorcy pana Dmochowskiego, toś jak *pidswynok* kwiczał: „braty ridnyje, spasajte!” i uciekałeś przed całym twoim pułkiem.

— Łżesz! — wrzasnął Czarnota — jać się nie boję ni Lachiw, ni ciebie.

Krzeczowski piernacz w rękę ścisnął i ku Czar-

noce skoczył — inni też poczęli pięściami okładać hadziackiego pułkownika. Tumult znowu zaczął się wzmaczać. Na majdanie „towarzystwo“ ryczało, jak stado dzikich żubrów.

Wtem powstał znowu sam Chmielnicki.

— Moście panowie pułkownicy dobrodziejstwo! — rzekł. — Zaczem ustanowiliście, aby posłów do Warszawy wysłać, którzy służby nasze wierne najjaśniejszemu królowi jegomości zalecą i o nagrodę prosić będą. Ale też kto chce wojny, ten ją mieć może — nie z królem, nie z Rzeczpospolitą, by my z niemi nigdy wojny nie prowadzili, ale z największym niedrugiem naszym, którego już cały od krwi kozackiej czerwony, którego pod Starcem jeszcze się w niej umazał i teraz mazać się nie przestaje, w nieżyczliwości dla wojsk zaporoskich trwając. Do którego ja pismo i posłów wysłałem, prosząc, aby onej nieżyczliwości zaniechał, a on ich tyrańsko pomordował, odpowiedzią żadną mnie, starszego waszego, nie uczciwszy, przez co kontempt całemu wojsku zaporoskiemu wyrządził. A teraz z Zadnieprza przyszedł, i Pohrebyszcze w pień wyciął, niewinnych ludzi pokarał, nad którym ja rzewnemi łzami płakał. Potem, jako mnie dziś rano dali znać, do Niemirowa on poszedł i także nikogo nie żywił. A gdy Tatarzy dla strachu i bojaźni ruszyć na niego nie chcą, rychło patrzeć, jak on tu przyjdzie, aby i nas niewinnych ludzi wygubić, przeciw woli przychylnego nam Najjaśniejszego króla Jegomości i całej Rzeczpospolitej, bo on w pysze swej o nikogo nie dba, a jako się teraz buntuje, tak zawsze się jest gotów przeciw woli J. K. M. zbuntować..

W zgromadzeniu zrobiło się bardzo cicho — Chmielnicki odsapnął i mówił dalej:

— Bóg nam nad hetmanami wiktoryą nagroził, ale on gorszy od hetmanów i od wszystkich królewiat, dyabelski syn, samą nieprawdą żyjący. Na którego, gdybym ja sam ruszył, tedyby on w Warszawie, przez przyjaciół swych, krzyczeń nie omieszkał, iż pokoju nie chcemy, i przed Jego królewską Mością niewinność nasząby oskarżał. Co aby się nie stało, potrzeba, iżby król Jegomość i cała Rzplita wiedziała, iż ja wojny nie chcę i cicho siedzę, a on pierwszy na nas wojną nastaje — przeto ja ruszyć nie mogę, bo i do układów z panem wojewodą braclawskim zostać muszę, ale by on, dyabelski syn, siły naszej nie złamał, trzeba mu się zastawić i potęgę jego tak zgubić, jakeśmy pod Żółtymi wodami i pod Korsuniem niedrugów naszych, panów hetmanów zgubili. O to więc proszę, abyście waszmościowie na niego na ochotnika ruszyli, a ja do króla Jegomości pisać będę, iż to się stało bezemnie i dla koniecznej obrony naszej przed jego, Wiśniowieckiego, nieżyczliwością i napaścią.

Głuche milczenie panowało w zgromadzeniu.

Chmielnicki mówił dalej:

— Który tedy z waszmościów na ów przemysł wojenny wyjdzie, temu ja wojska dosyć dam, dobrych mołojców, i armatę dam i ludu ognistego, aby z pomocą bożą, niedruga naszego mógł znieść i wiktoryą nad nim otrzymać...

Ani jeden z pułkowników nie wysunął się naprzód.

— Sześćdziesiąt tysięcy wybranego komunika dam! — rzekł Chmielnicki.

Cisza.

A przecież byli to wszystko nieustraszeni wojownicy, których okrzyki wojenne odbijały się nieraz o mury

Carogrodu. I może właśnie dlatego każdy z nich obawiał się utracić zdobytej sławy w spotkaniu ze straszliwym Jeremim.

Chmielnicki wodził oczyma po pułkownikach, którzy pod wpływem tego spojrzenia wzrok spuszczały ku ziemi. Twarz Wychowskiego przybrała wyraz szatańskiej złościwości.

— Znam ja mołojca — rzekł posepnie Chmielnicki — którenby przemówił w tej chwili i od tej wyprawy się nie wybiegał, ale go niemasz między nami...

— Bohun! — rzekł jakiś głos.

— Tak jest. Zniósł on już regiment Jeremy w Wasilówce, jeno go poszczerbili w tej potrzebie, i leży teraz w Czerkasach, ze śmiercią-matką walczy. A gdy jego niemasz, nikogo niemasz, jak widzę! Gdzie sława kozacka, gdzie Pawluki, Nalewajki, Łobody i Ostranice?

Wtem niski, gruby człowiek, z twarzą siną, ponurą, rudym jak ogień wąsem nad skrzywionemi ustami i zielonemi oczyma, powstał z lawy, wysunął się ku Chmielnickiemu i rzekł:

— Ja pójdę.

Był to Maksym Krzywonos.

Okrzyki zabrzmiały „na sławu“, on zaś wsparł się piernaczem w bok i tak mówił chrapliwym, urywanym głosem:

— Nie myśl, hetmanie, żeby ja się bał. Jaby od razu się podjął — ale myślał: są lepsi! Ale kiedy tak, to pójdę. Wy co? wy głowy i ręce, a u mnie niema głowy, tylko ręce a szabla. Raz maty rodyła! Wojna mnie mać i siostra. Wiśniowiecki reżet — i ja budu; on wiszajet, i ja budu. A ty mnie, hetmanie, mołojców

dobrych daj, bo czernią nie z Wiśniowieckim to poczynać. Tak i pójdę — *samkiw budowaty, byty, risaty, wiszaty! Na pohybel im, białoruczkym!*

Drugi ataman wysunął się naprzód.

— Ja z toboju, Maksym!

Był to Puljan.

— I Czarnota hadziacki i Hładki mirhorodzki i Nosacz ostreński pójdą z tobą! — rzekł Chmielnicki.

— Pójdziemy — ozwali się jednogłośnie, bo już ich przykład Krzywonosy zachęcił i duch w nich wstąpił.

— Na Jeremu! na Jeremu! — zagrzmiały okrzyki w zgromadzeniu. — Koli! koli! — powtórzyło towarzystwo i po pewnym czasie narada zmieniła się w pijatykę. Pułki wyznaczone z Krzywonosem piły na śmierć — bo też i szły na śmierć. Mołojcy sami dobrze o tem wiedzieli, ale już w ich sercach nie było strachu. „Raz maty rodyla“ — powtarzali za swym wodzem i dlatego też sobie już nic nie żalowali, jako zwyczajnie przed śmiercią. Chmielnicki pozwałal i zachęcał — czerni szła za ich przykładem. Tłumy zaczęły śpiewać pieśni w sto tysięcy głosów. Rozproszono konie powodowe, które szalejąc po obozie i wzbijając tumany kurzawy, wszczęły nieopisany nieład. Goniono je z krzykiem, zgiełkiem i śmiechami; znaczne watahy włóczyły się nad rzeką, strzelały z samopalów, parły się i cisnęły do kwatery samego hetmana, który kazał je wreszcie Jakubowiczowi rozpędzać. Wszczęły się bójk i zamęt, dopóki deszcz ulewny nie zapędził wszystkich pod szalasy i wozy.

Wieczorem burza rozhulała się na niebie. Grzmoty przewalały się z jednego końca chmur w drugi, błyska-

nia oświecały całą okolicę, to białem, to czerwonym światłem.

Przy blaskach ich wyruszał z obozu Krzywonos, na czele sześćdziesięciu tysięcy co przedniejszych, wybranych wojowników i czerni.

ROZDZIAŁ XL

Szedł tedy Krzywonos z Białocerkwi, na Skwyrę i Pohrebyszcze, ku Machnówce, a gdzie przeszedł, ginęły nawet ślady ludzkiego życia. Kto do niego nie przystał, pod nożem ginął. Palono nawet zboża na pniu, lasy i sady, a księżę tymczasem prowadził na swoją rękę zniszczenie. Po wycięciu Pohrebyszcz i krwawym chrzcie, jaki pan Baranowski Niemirowowi sprawił, wygniotły jeszcze wojska kilkanaście znacznych watah i stanęły obozem pod Rajgrodem, gdyż miesiąc to już upływał, jak nie zsiadały z konia, i trud je nadwątlil i śmierć je znacznie umniejszyla. Trzeba było odpocząć, gdy ręce tych kosiarzy od krwawej košby pomdlały. Wahał się nawet księżę i rozmyślał, czyby nie pójść na czas jakiś do spokojniejszego kraju, dla odpoczynku i pomnożenia wojsk, a zwłaszcza koni, które podobniejsze były do szkieletów zwierzęcych, niż do żywych stworzeń, gdyż od miesiąca ziarna nie zaznały, stratowaną trawą tylko żyjąc. A wtem po tygodniowym postoju dano znać, że posiłki idą. Księżę zaraz wyjechał na spotkanie — i istotnie spotkał pana Janusza Tyszkiewicza, wojewodę kijowskiego, który nadchodził w półtora tysiąca ludzi dobrych, a z nim pan Krzysztof Tyszkiewicz, podsędek braclawski, młody pan

Aksak, prawie pacholę jeszcze, z dobrze okrytą własną chorągiewką usarską, i wiele szlachty, jako panowie Sieniutowie, Połubińscy, Żytyńscy, Jelowiccy, Kierdeje, Bohusławscy, jedni z pocztami, drudzy bez, razem całej siły blisko dwa tysiące koni, prócz czeladzi. Ucieszył się więc książę bardzo i wdzięcznie pana wojewodę do swej kwatery zaprosił, którego nie mógł się oddziwić jej ubóstwu i prostocie. Bo książę, o ile w Łubniach żył po królewsku, o tyle na wyprawach, chcąc przykład dać żołnierstwu, żadnych wygód sobie nie pozwalał. Stał więc w jednej izbie, do której pan wojewoda kijowski zaledwie mógł się, z powodu swej ogromnej tuszy, przez wązkie drzwi przecisnąć, aż się kazał rękodajnemu z tyłu pchać. W izbie prócz stołu, ław drewnianych i tapczana, okrytego skórą końską, nie było nic więcej, jeno jeszcze sienik przy drzwiach, na którym sypiał pacholik, zawsze do posług gotowy. Ta prostota zdziwiła bardzo wojewodę, którego wygodę lubił i z kobiercami się woził. Wszedł tedy i ze zdumieniem na księcia poglądał, dziwiąc się, jak mógł tak wielki duch mieścić się w takiej prostocie i takim ubóstwie. Widywał on czasem księcia na sejmach w Warszawie, był mu nawet zdala pokrewnym, ale go bliżej nie znał. Dopiero gdy z nim mówić począł, poznał zaraz, że ma z nadzwyczajnym człowiekiem do czynienia. I on, stary senator i stary żołnierz rubacha, którego kolegów senatorów po ramieniu klepał, księciu Dominikowi Zasławskiemu mówił: „mój łaskawco!“ i z samym królem był poufale, nie mógł się na takową poufałość z Wiśniowieckim zdobyć, chociaż książę przyjął go uprzejmie, bo mu był wdzięczny za posiłki.

— Mości wojewodo — rzekł — Bogu chwała, ize-

ście przybyli ze świeżym ludem, bom też już ostatnim tchem gonil.

— Widziałem ja po żołnierzach waszej księżęcej mości, iż się napracowali niebożęta, co i mnie trapi nie-mało, gdyżem tu z prośbą przybył, byś W. K. M. na ratunek mnie pośpieszył.

— A czy pilno?

— Periculum in mora, periculum in mora! Nadcią-gnęło hultajstwa kilkadziesiąt tysięcy, a nad nimi Krzy-wonos, któren jakom słyszał na W. K. M. był komende-rowany, ale dostawszy języka, iżes W. K. M. ku Konstan-tywu ruszył, tam pociągnął, a teraz po drodze mnie Ma-chnówkę obległ i takie spustoszenia poczynił, iż żaden język tego wypowiedzieć nie jest w możności.

— Słyszałem ja o Krzywonosie i tum go czekał, ale skoro mnie minął, widzę, że sam go szukać muszę. Istotnie, rzecz nie cierpi zwłoki. Siła w Machnówce jest załogi?

— Jest w zamku dwieście Niemców, bardzo do-brych, którzy wytrzymają jeszcze czas jakiś. Ale co naj-gorszej, to iż do miasta zjechało się sporo szlachty z ro-dzinami, miasto zaś, jeno wałem i częstokolem obronne, długo oporu stawiać nie może.

— Istotnie, rzecz nie cierpi zwłoki — powtórzył książę.

A potem zwróciwszy się ku pacholikowi:

— Żeleński! — rzekł — biegaj po pułkowników.

Wojewoda kijowski siadł tymczasem na ławie i sa-pał — trochę się przytem za wieczerzą oglądał, gdyż był głodny, a lubił jeść dobrze.

Wtem rozległy się zbrojne stąpania i weszli ofice-rowie książęcy — czarni, wychudli, brodaci, z pozapa-

danemi oczyma, ze śladami niewypowiedzianych trudów na twarzy. Skłonili się w milczeniu księciu, gościom i czekali co powie.

— Mości panowie — rzekł książę — czy konie u toków?

— Tak jest.

— Gotowe?

— Jako zawsze.

— To dobrze. Za godzinę ruszamy na Krzywonosą.

— Hę? — rzekł wojewoda kijowski i spojrział ze zdziwieniem na pana Krzysztofa, podsędką braclawskiego.

A książę mówił dalej:

— Imć Poniatowski i Imć Wierszuł ruszą pierwsi. Za nimi pójdzie Baranowski z dragonią, a w godzinę żeby mi i armaty Wurcla wyszły.

Pułkownicy, skłoniwszy się, opuścili izbę — i po chwili rozległy się trąbki, grające wsiadanego. Wojewoda kijowski takiego pośpiechu się nie spodziewał, a nawet sobie nie życzył, gdyż był zmęczony i zdrożony. Liczył on na to, że z dzionek u księcia wypocznie i jeszcze zdąży — a tu przychodziło zaraz, nie śpiąc, nie jedząc, na koń siadać.

— Mości książę — rzekł — a czy zajdą żołnierze wasi do Machnówki, bo widziałem, strasznie fatigati, a to droga daleka.

— Niech waszą mość o to głowa nie boli. Jak na śpiewanie idą oni na bitwę.

— Widzę ja to, widzę. Siarczysty żołnierz, ale bo to i mój lud podrożony.

— Mówiłeś wasza mość: periculum in mora.

— Tak jest, ale możeby przez noc odpocząć. **My** z pod Chmielnika idziemy.

— **Mości wojewodo**, my z Łubniów, z Zadnieprza.

— Cały dzień byliśmy w drodze.

— **My cały miesiąc.**

To rzekłszy, księżę wyszedł, by osobiście szyk pochodowy sprawić, a wojewoda oczy na podsędką, pana Krzysztofa, wytrzeszczył, dłońmi po kolanach uderzył i mówił:

— Ot, mam, czegom chciał. Dalibóg, oni mnie tu głodem zamorzą. O to w gorącej wodzie kąpani! Przychodzę o pomoc, myślę, że po wielkich molestacyach za dwa, trzy dni ruszą, a tu i odetchnąć nie dadzą. Niechże ich kaduk porwie! Puśliko mi nogę przetarło, co mi je zdrajca pacholek źle przypiął, w brzuchu mi kruczy... niechże ich kaduk porwie! Machnówka Machnówką, a brzuch brzuchem! Jam też stary żołnierz, więcej jam może od nich wojny zażywał — ale nie tak lap, cap! To dyabły, nie ludzie, nie śpią, nie jedzą — tylko się biją. Jak mi Bóg miły, tak oni nigdy nie jedzą. Widziałeś, panie Krzysztofie, tych pułkowników — czy nie wyglądają jak spectra? co?

— Ale fantazyja u nich ognista — odpowiedział pan Krzysztof, który żołnierz był zamilowany. — Miły Boże! ile to zamieszania i nieładu po innych obozach, gdy ruszać przyjdzie, ile bieganiny, szykowania wozów, posyłania po konie — a tu słyszycie waszmość? — oto już lekkie chorągwie wychodzą.

— A juści, że tak jest! desperacyja! — mówił wojewoda.

A młody pan Aksak dłonie swoje chłopięce złożył:

— Ach, wielki to wódz, ach, wielki to wojennik! — mówił z uniesieniem.

— U waści mleko pod nosem! — huknął na niego wojewoda. — Cunctator także był wielki wódz! — rozumiesz wasze?

Wtem wszedł ksiązę:

— Mości panowie, na koń! ruszamy!

Wojewoda nie wytrzymał.

— Każże W. K. M. dać co zjeść, bom głodny! — wykrzyknął z wybuchem złego humoru.

— A mój mości wojewodo! — rzekł ksiązę, śmiejąc się i biorąc go w ramiona — wybaczenie, wybaczenie; całem sercem, ale na wojnie człek o tych rzeczach zapomina.

— A co, panie Krzysztofie, czy nie mówilem, że oni nie jedzą? — rzecze wojewoda, zwracając się do podśędka braclawskiego.

Ale wieczerza nie długo trwała i w parę godzin później nawet i piechoty wyszły już z Rajgrodu. Ciągnęły wojska na Winnicę i Lityń ku Chmielnikowi. Po drodze natknął się Wierszuł na zagonek tatarski w Sawerówce, który wraz z panem Wołodyjowskim wygnietli do szczętu, oswobodziwszy kilkaset dusz jassyru, samych prawie dziewcząt. Tamże rozpoczął się już kraj spustoszony, pełen śladów Krzywonosowej ręki. Strzyżawka była spalona, a ludność jej wymordowana w straszny sposób. Widocznie nieszczęśnicy stawili opór Krzywonosowi, za który dziki wódz oddał ich mieczom i płomieniom. U wejścia do wsi wisiał na dębie sam pan Strzyżowski, którego ludzie Tyszkiewicza zaraz poznali. Wisiał nagi zupełnie, a na piersiach miał okropny naszyjnik, złożony z głów ponawłóczonych na powróż. Były to głowy jego sześciorga dzieci i żony. W samej wsi, spalonej zresztą do szczętu, ujrzały chorągwie po obu stronach drogi, długi szereg „świec“ kozackich, to jest ludzi z wzniesio-

nemi nad głową rękoma, poprzywiązywanych do żerdzi wbitych w ziemię, obwiniętych słomą, oblanych smołą i zapalonych od dłoni. Większa ich część miała poupalane tylko ręce, gdyż deszcz przeszkodził widocznie dalszemu gorzeniu. Ale straszne były te trupy z powykrzywianemi twarzami, wyciągające ku niebu czarne kikuty. Zapach zgnilizny rozchodził się dookoła. Nad słupami kotłowały się chorowody wron i kawek, które za zbliżeniem się wojska zrywały się z wrzaskiem z bliższych słupów, by siać na dalszych. Kilku wilków pomknęło przed chorągwiami ku zaroślom. Wojska posuwały się w milczeniu straszliwą aleją i liczyły „świece“. Było ich trzysta kilkadziesiąt. Minęli wreszcie ową nieszczęsną wioskę i odetchnęli świeżem powietrzem polnem. Ale ślady zniszczenia szły dalej. Była to pierwsza połowa lipca. Zboża już prawie dochodziły, spodziewano się bowiem wczesnych żniw. Ale całe lany były częścią spalone, częścią stratowane, zwikłane, wdeptane w ziemię. Zdawałoby się mogło, że huragan przeszedł przez niwy. Jakoż i przeszedł po nich huragan najgroźniejszy ze wszystkich — wojny domowej. Żołnierze ksiązęcy widzieli nieraz żyzne okolice, spustoszone po napadzie Tatarów, ale podobnej zgrozy, podobnej wściekłości zniszczenia nie widzieli nigdy w życiu. Lasy popalono tak samo, jak zboża. Gdzie ogień drzew nie pożarł, tam odarł z nich ognistym językiem liść i korę, opalił oddechem, odymił, poczernił — i drzewa więc sterczały, jak szkielety. Pan wojewoda kijowski patrzył i oczom nie wierzył. Miedziaków, Zhar, Futory, Słoboda — jedno zgłiszcze! Gdzieniegdzie chłopci uciekli do Krzywonosy, kobiety zaś i dzieci poszły w jassyr owego zagonu ordy, który Wierszuł z Wołodyjowskim wygnietli. Na ziemi pustoszą, na niebie stada wron, kruków, kawek, sę-

pów, które pozlatywały się, Bóg wie skąd, na kozacze żniwo... Ślady przejścia wojsk stawały się coraz świeższe. Napotymano raz w raz złamane wozy, trupy bydłce i ludzkie, jeszcze nie popsute, potłuczone garnki, miedziane kotły, wory z zamokłą mąką, zgliszcza jeszcze dymiące, stogi świeżo napoczęte i rozrzucone. Książę parł chorągwie ku Chmielnikowi, nie dając im odetchnąć, stary zaś wojewoda za głowę się chwycił, powtarzając żalśnie:

— Moja Machnówka! moja Machnówka! widzę już, iż nie zdążymy.

Tymczasem w Chmielniku przysła wiadomość, że nie sam stary Krzywonos, ale syn jego Machnówkę w kilkanaście tysięcy ludzi oblega i że on to naczynił tak nieludzkich spustoszeń po drodze. Miasto, wedle tego co głosili wieści, było już zdobyte. Kozacy, dostawszy go, wyrznęli w pień szlachtę i żydów, szlachcianki zaś pobrali do swego taboru, gdzie oczekiwał je los gorszy od śmierci. Ale zameczek, pod wodzą pana Lwa, bronił się jeszcze. Kozacy szturmowali go z klasztoru Bernardynów, w którym wysiekli zakonników. Pan Lew, goniąc ostatkiem sił i prochów, nie obiecywał się dłużej trzymać nad jedną noc.

Zostawił więc książę piechoty, działa i główne siły wojska, którym kazał iść do Bystrzyka, sam zaś z wojewodą, panem Krzysztofem, panem Aksakiem, w dwa tysiące komunika na pomoc skoczył. Stary wojewoda już hamował, bo głowę stracił: „Machnówka przepadła, przyjdziemy zapóźno! lepiej poniechać, a innych miejsc bronić i w prezydya je zaopatrzyć” — powtarzał. Ale książę nie chciał słuchać. Pan podsędek braclawski naglił, a wojska rwały się do boju. „Skorośmy tu przyszli, nie odejdziemy bez krwi” — mówili pułkownicy. I ruszono naprzód.

Aż w pół mili od Machnówki, kilkunastu jeźdźców, pędząc co koń wyskoczy, zabiegło wojsku drogę. Był to pan Lew z towarzyszami. Ujrzawszy go, wojewoda kijowski odgadł natychmiast, co się stało,

— Zamek zdobyty! — krzyknął.

— Tak jest! — odpowiedział pan Lew i w tejże chwili omdlał, bo był posieczony i postrzelany, więc krew go uszła. Ale inni poczęli opowiadać, co się stało. Niemców na murach wybito do nogi, gdyż woleli umierać, niż się poddawać — pan Lew przebił się przez gęstwą czerni i wylamane bramy, wszelako w izbach na wieży bronilo się kilkudziesięciu szlachty — tym należało śpiesznie dać ratunek.

Ruszono więc z kopyta. Po chwili ukazało się na górze miasto i zamek, a nad niemi ciężka chmura dymów od wszczętego pożaru. Dzień już zapadał. Na niebie paliły się olbrzymie zorze purpurowe i złote, które wojska zrazu za lunę poczytały. Przy tych blaskach widać było pulki zaporozców i zbite masy czerni, płynące przez bramy na spotkanie wojsk tem śmielej, że nikt w mieście nie wiedział o przybyciu księcia, sądzono bowiem, że sam tylko wojewoda kijowski nadciąga z odsieczą. Znać wódka osłepiła ich zupełnie, albo świeże zdobycie zamku natchnęło pychę niezmierną, gdyż śmiało zstąpili z góry i dopiero na równinie poczęli się szykować do bitwy, z ochotą wielką, grzmiąc w kotły i lituary. Na ten widok, okrzyk radości wyrwał się ze wszystkich polskich piersi, a pan wojewoda kijowski miał sposobność po raz wtóry podziwiać sprawność chorągwi książęcych. Zatrzymawszy się na widok kozactwa, stanęły od razu w szyku bojowym, ciężka jazda we środku, lekkie na

skrzydłach, tak iż nic nie należało poprawiać i można było z miejsca zaczynać.

— Panie Krzysztofie, co to za lud! — rzekł wojewoda. — Od razu stanęli w ordynku. Mogliby oni i bez wodza bitwy staczać!

Księżę wszelako, jako wódz przezorny, przelatował z buławą w ręku, między chorągwiami, od skrzydła do skrzydła, opatrywał, ostatnie dawał rozkazy. Zorze odbijały się w jego srebrnym pancerzu i podobny był do jasnego płomienia, latającego między szeregami, ile że wśród ciemnych zbroic sam jeden świecił mocno.

Stanęły tedy: w środku, w pierwszej linii, trzy chorągwie — pierwsza, którą sam wojewoda kijowski sprawował, druga młodego pana Aksaka, trzecia pana Krzysztofa Tyszkiewicza; za niemi, w drugiej linii, dragonia pod panem Baranowskim, a wreszcie olbrzymia husarya książęca — przy niej, jako sprawca, pan Skrzetuski.

Skrzydła zajęli Wierszuł, Kuszel i Poniatowski. Armaty nie było, gdyż Wurcel został w Bystrzyku.

Księżę poskoczył do wojewody i buławą skinął.

— Za swoje krzywdy poczynaj wasza mość najpierwszy!

Wojewoda z kolei machnął buzdyganem — pochylili się żołnierze w kulbakach i ruszyli. A zaraz po sposobie prowadzenia chorągwi można było poznać, iż wojewoda, choć ciężki i kunktator, bo wiekiem przygnieciony, przecie żołnierz jest doświadczony i mężny. Nie zerwał on z miejsca chorągwi do największego impetu, by sił oszczędzić, ale prowadził zwolna, powiększając pęd w miarę, jak ku nieprzyjacielowi się zbliżał. Sam też biegł w pierwszym szeregu, z buzdyganem w ręku, pacholik mu tylko pod ręką trzymał koncerz długi i ciężki,

nie za ciężki jednak na jego rękę. Czerni też sypnęła się ku chorągwi piechotą, z kosami i cepami, by pierwszy impet powstrzymać i zaporozcom atak ułatwić. Gdy więc nie dzieliło ich więcej nad kilkadziesiąt kroków, poznali wojewodę Machnowiczanie po olbrzymim wzroście i tuszy, a poznawszy, wołać zaczęli:

— Hej, jaśnie wielmożny wojewodo, żniwa blizkie, czemu to poddanym wychodzić nie każesz? Czolem, jasny pane! już mi ci ten brzuch przewiercimy.

I grad kul posypał się na chorągiew, ale szkody nie uczynił, bo szła już jak wichur. Zderzyli się tedy mocno. Rozległ się stukot cepów i brzęk kos o pancerze, krzyki i jęki. Kopie otwarły bramę w zbitej masie czerni, przez którą rozhukane konie wpadły jak orkan, tratując, przevalając, miażdżąc. I jako na łące, gdy stanie szereg kosiarzy, bujna trawa znika przed nimi, a oni idą naprzód, machając drągami od kos, tak właśnie pod cięciami mieczów szeroka lawica czerni zwęzła się, topniała, nikła — a parta pierściami końskimi, nie mogąc ustać na miejscu, poczęła się kolebać. Wreszcie zagrzmiął krzyk: „ludy, spaszajtes!” i cała masa, rzucając kosy, cepy, widły, samopały, rzuciła się w dzikim popłochu na stojące w tyle pułki zaporozców. Ale zaporozcy, bojąc się, by uciekający tłum nie zawichrzył ich szeregów, nadstawili mu spisy, więc czerni, widząc tę zaporę, rzuciła się z wyciem rozpaczliwym w obie strony, wnet jednak zegnali ją na nowo Kuszal i Poniatowski, którzy od skrzydeł książęcych właśnie ruszyli.

A zaś wojewoda, idąc po trupach czerni, stanął w obliczu zaporozców i gnał ku nim, oni zaś ku niemu, chcąc na impet impetem odpowiedzieć. I tak właśnie uderzyli się o siebie, jako dwie fale z przeciwnych stron

idące, które przy zderzeniu grzebień pienisty utworzą. Tak konie wspięły się przed końmi, jeźdźcy jak wał — a szable nad wałem jak piana. I poznał wojewoda, że to nie z czernią robota, ale z ciętym i wyćwiczonym żołnierzem zaporoskim. Dwie linie parły się wzajem, gięły, jedna drugiej przegiąć nie mogąc. Trup padał gęsty, bo tam mąż uderzał na męża, miecz na miecz. Sam wojewoda, zasadziwszy za pas buzdygan, a porwawszy koncerz od pacholika, pracował w pocie czoła, sapiąc jak miech kowalski. Przy nim dwóch panów Sieniutów, panowie Kierdeje, Bohusławscy, Jelowiccy i Połubińscy uwijali się, jak w ukropie. Ale po stronie kozackiej srożył się najbardziej Iwan Burdabut, z kalnickiego pułku podpułkownik, kozak olbrzymiej siły i statury, tem straszniejszy, że i konia miał takiego, który na równi z panem walczył. Niejeden tedy towarzysz zdarł rumaka i cofnął się, by się z owym centaurem nie spotkać, szerczącym śmierć i spustoszenie. Skoczyli ku niemu bracia Sieniutowie, ale koń Burdabutowy schwycił młodszego, Andrzeja, zębami za twarz i zmiążdżył ją w mgnieniu oka, co widząc starszy, Rafał, ciął bestyę nad oczami. Zranił ją, ale nie zabił, bo szabla na guz mosiężny na naczółku trafiła. Jemu zaś Burdabut w tej chwili wepchnął sztych pod brodę i życia go zbawił. Tak polegli obaj bracia, panowie Sieniutowie, i leżeli w pozłocistych pancerzach w kurzawie, pod kopytami rumaków; zaś Burdabut rzucił się jak płomień w dalsze szeregi i porwał zaraz kniazia Połubińskiego, szesnastoletnie pacholę, któremu odciął prawe ramię wraz z ręką. Widząc to, pan Urbański chciał pomścić śmierć krewniaka i w samą twarz Burdabutowi z pistoletu wypalił, ale chybił, ucho mu tylko odstrzelił i krwią go oblał. Straszny był wtedy Burdabut i jego koń,

obaj czarni jak noc, obaj krwią złani, obaj z dzikiemi oczyma i rozdętymi nozdrzami, szalejący jak burza. Nie wybiegał się od śmierci z jego ręki i pan Urbański, któremu głowę, jak kat, jednym zamachem uciął, i stary osmdziesiątletni pan Żytyński i dwóch panów Nikczemnych — a inni cofać się poczęli z przerażeniem, zwłaszcza że za Burdubatem błyskało sto innych szabel zaporoskich i sto spis w krwi już zmoczonych.

Dojrzał nakoniec dziki watażka wojewodę i wydawszy okropny krzyk radości, rzucił się ku niemu, obalając po drodze konie i jeźdźców — a wojewoda się nie cofał. Dufając w siłę niepospolitą, sapnął jak ranny odyniec, wzniósł koncerz nad głowę i wspiąwszy konia, ku Burdabutowi skoczył. I byłby pewnie nadszedł ostatni kres jego, pewno już Parka w nożyce nić jego żywota schwyciła, którą potem w Okrzei przecięła, gdyby nie Silnicki, pacholik szlachecki, którego jak błyskawica na watażkę się rzucił i w pół go chwycił, nim szablą został przeszyty. Bo gdy się Burdabut z nim zabawiał, krzyknęli panowie Kierdeje o ratunek dla wojewody; wnet skoczyło kilkadziesiąt ludzi, którzy go od watażki przedzielili, zaczęła bitwa zawiązała się zacięta. Ale zmorzony pułk wojewodzin począł się już uginać przed przemocą zaporoską, cofać i mieszać, gdy pan Krzysztof, podsędek bradawski, i pan Aksak ze świeżemi chorągwiami nadbiegli. Wprawdzie i nowe pułki zaporoskie ruszyły w tej chwili do boju, ale przecie poniżej stał jeszcze książę z dragonami Baranowskiego i hussaryą pana Skrzetuskiego, którzy dotychczas nie brali w potrzebie udziału.

Zawrzała więc na nowo krwawa rzeźba, a tymczasem mrok już zapadał. Lecz pożar ogarnął skrajne domy miasta. Łuna oświeciła pobojowisko i widać było dosko-

nale obie linie, polską i kozacką, łamiące się pod górą, widać było barwy proporców i nawet twarze. Już też pan Wierszuł, pan Poniatowski i pan Kuszel byli także w ogniu i pracy, bo starszy czerń, bili się na skrzydłach kozackich, które pod ich naciskiem poczęły cofać się ku górze. Długa linia walczących wygięła się dwoma końcami ku miastu i poczęła wyginać się coraz bardziej, bo gdy skrzydła polskie awansowały, środek, party przez przeważne siły kozackie, ustępował ku księciu. Poszły trzy nowe pułki kozackie, by go rozerwać, ale w tej chwili ksiązę pchnął dragonów pana Baranowskiego i ci pokrzepili siły walczących.

Przy księciu została sama hussarya — z daleka rzekłbyś: bór ciemny, co prosto z pola wyrasta, groźna ławica żelaznych męzów, koni i kopij. Powiew wieczorny szeleścił nad nimi proporcami, a oni stali cicho, nie rwąc się bez rozkazu do boju — cierpliwi, bo wytrawni i w tylu bitwach doświadczeni i wiedzący, że ich udział krwawy nie minie. Między nimi ksiązę w srebrnej zbroi, ze złotą buławą w ręku, wyteżał oczy na bitwę — a z lewej strony pan Skrzetuski, trochę bokiem na końcu stojący. Rękaw jako porucznik na ramieniu zawinał i trzymając w potężnej, gołej do łokcia ręce koncerz zamiast buzdygana, czekał spokojnie komendy.

A ksiązę lewą dłonią oczy przeciw pożarowi nakrył i patrzył na bitwę. Środek polskiego półksiężycyca obsuwał się z wolna ku niemu, zmagany przez przemoc, bo nie na długo wsparł go pan Baranowski, ten sam, którego Niemirów wyciął. Widział więc ksiązę, jak na dłoni, pracę ciężką żołnierzy. Wydłużona błyskawica szabel to wznosiła się nad czarną linią głów, to nikła w zamachach. Konie bez jeźdźców wypadały z tej ławy walczących

i rżąc, biegły po równinie z rozwianemi grzywami, na tle pożaru do bestyj piekielnych podobne. Czasem chorągiew kraśna, powiewająca nad cizbą, zapadała nagle w tłum, by nie podnieść się więcej. Ale wzrok księcia biegł poza linię walczących, aż na górę ku miastu, gdzie na czele dwóch pułków wybranych stał sam młody Krzywonos, czekając na chwilę, by się rzucić w środek walczących i złamać nadwątlone szyki polskie zupełnie.

Skoczył nareszcie, biegnąc ze strasznym krzykiem wprost na dragonów Baranowskiego, ale na tę chwilę czekał także i ksiązę.

— Prowadź! — krzyknął do Skrzetuskiego.

Skrzetuski koncerz w górę podniósł i żelazna nawała ruszyła naprzód.

Nie biegli długo, bo linia bojowa zbliżyła się do nich znacznie. Dragoni Baranowskiego rozstąpili się z błyskawiczną szybkością w prawo i lewo, by przystęp hussaryi do kozaków otworzyć, oni zaś runęli przez te wrota całym ciężarem na zwycięskie już sotnie Krzywonosowe.

— Jeremi! Jeremi! — zawołali hussarze.

— Jeremi! — powtórzyło całe wojsko.

Straszne imię dreszczem trwogi ścisnęło serca zaporożców. W tej chwili dopiero poznali, iż to nie wojewoda kijowski, lecz sam ksiązę dowodzi. Zresztą nie mogli oni stawić oporu hussaryi, która samym swoim ciężarem druzgotała ich tak, jak walący się mur druzgoce stojących pod nim ludzi. Jedynym ratunkiem dla nich było rozstąpić się na obie strony, puścić hussaryę przez siebie i z boków na nią uderzyć; ale te boki były już pilnowane przez dragonią i przez lekkie chorągwie Wierszula, Kuszla i Poniatowskiego, którzy, spędziwszy skrzydła kozackie, zepchnęli je we środek. Teraz postać walki zmie-

niła się, bo owe lekkie chorągwie utworzyły jakby ulicę, środkiem której lecieli w szalonym zapędzie hussarze, gnąc, łamiąc, pchając, waląc ludzi i konie, a przed nimi uciekało z rykiem i wyciem kozactwo ku górze i miastu. Gdyby skrzydło Wierszula zdołało się zejść ze skrzydłem Poniatowskiego, byliby otoczeni i wycięci do szczętu. Wszelako ni Wierszul, ni Poniatowski nie mogli tego dokonać, dla zbytnej nawały uciekających, bili więc tylko z boku, aż ręce od cięć im mdały.

Młody Krzywonos, choć mężny i dziki, gdy zrozumiał, że własne niedoświadczenie przychodzi mu takiemu wodzowi jak księżę przeciwstawić, stracił całkiem głowę i umykał na czele innych ku miastu. Uciekającego spostrzegł pan Kuszal z boku stojący, który na krótką metę tylko widział, przyskoczył więc koniem i w pysk młodego watażkę szablą trzasnął. Nie zabił, bo ostrze wstrzymała podpinka, ale zalał go krwią i tembardziej serca pozbawił.

Wszelako o mało sam czynu tego życiem nie przypłacił, bo w tej chwili rzucił się na niego Burdabut na czele resztek kalnickiego pułku.

Dwakroć próbował on stawić czoło hussarzom, ale dwakroć jakoby siłą nadprzyrodzoną odparty i rozgromiony, musiał ustępować wraz z innymi. W końcu sprawiwszy ostatki, postanowił z boku na Kuszla uderzyć i przez jego dragonów na wolne się pole wydostać. Nim jednak zdołał ich rozerwać, zapchała się owa droga wiodąca ku miastu i górze tak dalece, że szybka ucieczka stała się niemożliwą. Hussarze wobec tego natłoku ludzi wstrzymali impet i skruszywszy kopie, mieczami ciąć tłumy poczęli. Zapanowała walka zmieszana, bezładna, dzika, bezpardonowa, wrząca w tłoku, zgiełku, gorącu,

wśród wyziewów ludzkich i końskich. Trup padał na trupa, kopyta końskie grzęzły w drgających ciałach. Gdzie-niegdzie masy tak skłębiły się, że nie było miejsca na zamach dla szabli; tam bito się głoźniami, nożami i pięściami, konie poczęły kwiczyć. Tu i owdzie ozwały się głosy: „pomyłujcie Lachy!”. Głosy te wzmagaly się, mnożyły, zagłuszały brzęk mieczów, zgrzyt żelaza o kości, chrapanie i straszną czkawkę konających — „pomyłujcie pany!” rozlegało się coraz żałośniej — ale miłosierdzie nie świeciło nad tą lawicą walczących; jak słońce nad burzą, świecił im pożar.

Jeden Burdabut na czele swoich kalnickich ludzi o miłosierdzie nie prosił. Brakło mu miejsca do walki, więc czynił sobie rum nożem. Starł się naprzód z bruchatym panem Dzikim i pchnąwszy go w brzuch, z konia zwałił, a ten krzyknąwszy: „o Jezu” już się więcej z pod kopyt, które mu tratowały wnętrzości, nie podniósł. Wtedy zaraz przybyło miejsca, więc Burdabut już szablą rozrąbał głowę wraz z hełmem towarzyszowi Sokolskiemu, potem obalił razem z końmi panów Pryjama i Certowicza; miejsce otworzyło się szersze. Młody Zenobiusz Skalski ciał go w głowę, ale szabla zwinęła mu się w rękę i uderzyła płazem, watażka zaś jego pięścią na odlew w twarz uderzywszy, zabił na miejscu. Ludzie kalniccy szli za nim, siekąc i gindzałami kłując: „Charakternik! charakternik!” poczęli wołać hussarze. „Żelazo się jego nie ima! Mąż szalony!” On zaś istotnie miał pianę na wąsach, a wściekłość w oczach. Dojrzał narreszcie Skrzetuskiego i poznałszy oficera po odwiniętym rękawie, runął na niego.

Wszyscy dech zatrzymali w piersiach i bitwę przezwali, patrząc na walkę dwóch najstraszliwszych rycerzy.

Pan Jan się bowiem wołaniem: „charakternik” nie strwożył — ale gniew zawrzał mu w duszy na widok tyłu spustoszeń, zgrzytnął więc zębem i z furją natarł na watażkę. Zwarli się więc, aż konie na zadach przysiadły. Rozległ się świst żelaza i nagle szabla watażki rozleciała się w kawałki pod cięciem polskiego koncerza. Już się zdawało, że żadna moc nie wyratuje Burdabuta, gdy on skoczył, zczepił się z panem Skrzetuskim tak, iż obaj jedno zdawali się tworzyć ciało — i nożem nad gardłem hussarza błysnął.

Teraz Skrzetuskiemu śmierć stanęła w oczach, bo ciąć już mieczem nie mógł. Ale szybki jak błyskawica, puścił miecz, który na rzemyku zawisł, a ręką za rękę watażki chwycił. Przez chwilę dwie te ręce drgały konwulsyjnie w powietrzu, ale żelazny to musiał być uścisk pana Skrzetuskiego, bo watażka zawył jak wilk i w oczach wszystkich nóż wypadł mu ze zdrtwiałych palców, jak wyluskwione ziarno z kłosa. Wtedy Skrzetuski rękę zgniecioną mu puścił i za kark ucapiwszy, przygiął straszny leb aż do kuli kulbaki, lewą zaś dłonią buzdygan z za pasa wychwycił, gruchnął raz, drugi — watażka zaharczał i spadł z konia.

Jęknęli na ten widok ludzie kalniccy i biegli pomóc — w tej chwili jednakże rzuciła się na nich hussarya i wycięła co do nogi.

Na drugim zaś końcu ławy hussarskiej bitwa nie ustawała ani na chwilę, bo tłok był mniejszy. Tam, przepasany Anusią szarfą, szalał pan Longinus ze swoim zerwikapturem. Nazajutrz po bitwie rycerze ze zdziwieniem oglądali te miejsca, a pokazując sobie ręce poodwalane wraz z ramionami, rozcięte głowy od czoła do brody, ciała rozchlastane straszliwie na dwie połowy,

całą drogę ludzkich i końskich trupów, szeptali wzajem do siebie: „patrzcie, tu walczył Podbipięta!“ Sam książę trupy oglądał i choć nazajutrz bardzo był różnemi wieściami stroskany, dziwić się raczył, bo takich cięć zgoła dotąd w życiu nie widział.

Ale tymczasem walka zdawała się zbliżać ku końcowi. Ciężka jazda ruszyła znowu naprzód, goniąc przed sobą pułki zaporoskie, które pod górę ku miastu się chroniły. Reszcie uciekających przecięły odwrót chorągwie Kuszla i Poniatowskiego. Otoczeni, bronili się z rozpaczą, póki nie wyginęli do nogi, lecz śmiercią swoją zbawili innych, bo gdy w dwie godziny potem pierwszy Wierszul z nadwornymi Tatary wszedł do miasta, już tam ani jednego kozaka nie zastał. Nieprzyjaciel, korzystając z ciemności, bo deszcze zgasiły pożar, nabrał w lot czczych wozów w mieście i otaborzywszy się z szybkością, kozakom tylko właściwą, za miasto za rzekę uszedł, zniszczywszy za sobą mosty.

Uwolniono owych kilkudziesięciu szlachty, broniących się w zamczku. Prócz tego kazał książę Wierszulowi pokarać mieszczan, którzy się byli z kozactwem połączyli, a sam ruszył w pogoń. Ale taboru bez armat i piechoty zdobyć nie mógł. Nieprzyjaciel, zyskawszy na czasie przez spalenie mostów, gdyż rzekę daleko groblą należało obchodzić, uchodził tak szybko, iż pomęczone konie książęcej jazdy zaledwie go doścignąć mogły. Atoli kozacy, lubo sławni z obrony w taborach, nie bronili się tak mężnie, jak zwykle. Straszna pewność, iż sam książę ich ściga, tak dalece odebrała im serca, że zupełnie o swem ocaleniu zwątpili. I byłby pewnie na nich przyszedł kres, bo po całonocnej strzelaninie urwał już pan Baranowski czterdzieści wozów i dwie armat, gdyby

nie wojewoda kijowski, któren się dalszej pogoni sprzeciwił i swoich ludzi cofnął. Przyszło o to między nim a księciem do ostrych przymówek, które wielu pułkowników słyszało.

— Czemuz to, wasza mość — pytał książę — chcesz teraz nieprzyjaciela poniechać, gdyś w bitwie z taką rezolucją przeciwko niemu stawał? Sławę, której wieczorem nabyłeś, rankiem przez opieszalność swą utracisz.

— Mości książę — odparł wojewoda — nie wiem, jaki duch w was mieszka, alem ja człowiek z ciała i kości, po pracy spoczynku potrzebuję — i moi ludzie także. Zawsze ja będę na nieprzyjaciela tak szedł, jakom dziś szedł, gdy czoło stawi, ale pobitego już i uciekającego nie będę gonił.

— Wybić ich do nogi! — zakrzyknął książę.

— I cóż z tego? — rzecze wojewoda. — Tych wybljemy, przyjdzie starszy Krzywonos. Popali, poniszczy, dusz nagubi, jako ten w Strzyżawce nagubił — i za zaciekłość naszą nieszczęśni ludzie zapłacą.

— O, widzę — już zawołał z gniewem książę — że wasza mość wraz z kanclerzem i z tymi ich regimentarzami do pokojowej fakcyi należysz, któraby układami chciała bunt gasić, ale przez Bóg żywy! nie będzie z tego nic, póki u mnie szabla w garści!

A Tyszkiewicz na to:

— Nie do fakcyi ja już należę, ale do Boga, bom stary i wkrótce mi przed nim stanąć przyjdzie. A że nie chcę, by mnie zbyt wielkie brzemień krwi, w wojnie domowej przelanej, obciążało, temu się wasza książęca mość nie dziw... Jeżeliś zaś W. K. M. krzyw o to, żeć cię regimentarstwo minęło, tedy tak powiem: z męstwa należało ci się słusznie, wszelako może i lepiej, żeć go nie

dali, bo tybyś bunt, ale z nim razem i tę nieszczęsną ziemię, we krwi utopił.

Jowiszowe brwi Jeremiego ściągnęły się, kark mu napęczniał, a oczy poczęły ciskać takie błyskawice, że wszyscy obecni struchleli o wojewodę, ale wtem zbliżył się szybko pan Skrzetuski i rzekł:

— Wasza książęca mość, są wieści o starszym Krzywonosie.

Zaraz więc umysł księcia w inną zwrócił się stronę i gniew na wojewodę w nim osłabł. Tymczasem wprowadzono przybyłych z wieściami czterech ludzi, w tem dwóch starych blahoczestywych księży, którzy, ujrawszy księcia, rzucili się przed nim na kolana.

— Ratuj, władzyko, ratuj! — powtarzali, wyciągając ku niemu ręce.

— Skąd wy? — pytał księżę.

— My z Połonnego. Starszy Krzywonos obległ zamek i miasto; jeśli twoja szabla nad jego karkiem nie zawisnie, tedy zginiemy wszyscy.

Na to księżę:

— O Połonnem ja wiem, iż się tam siła ludu schroniło, ale jak mnie doniesiono, najwięcej Rusinów. Zasługa to wasza przed Bogiem, iż zamiast połączyć się z buntem, opór mu dajecie, przy matce stawając, jednak boję się zdrady jakowej od was, takiej, jak w Niemirowie doznałem.

Na to posłańcy poczęli przysięgać na wszystkie świętości niebieskie, że jako zbawiciela, tak księcia wyczekują i myśl zdrady w głowie im nawet nie powstała. Jakoż i szczerze mówili. Krzywonos bowiem, obległszy ich w pięćdziesiąt tysięcy ludu, poprzysiął im zgubę dlatego właśnie, że będąc Rusinami, nie chcieli się z buntem łączyć.

Księżę przyrzekł im pomoc, ale ponieważ główne siły jego były w Bystrzyku, musiał więc na nie czekać. Wysłańcy odeszli z pociechą w sercu — on zaś zwrócił się do wojewody kijowskiego i rzekł:

— Przebaczenie wasza mość! Widzę już sam, iż trzeba Krzywonoska zaniechać, aby Krzywonosa osiągnąć. Młodszy dłużej na powrót może poczekać. Sądzę też, iż mnie nie odstąpicie w tej nowej imprezie.

— Jako żywo! — rzecze wojewoda.

Wnet ozwały się trąby, oznajmiając chorągwiom, zagnanym za taborem, by się ściągały na powrót. Trzeba też było spocząć i dać „oddech” koniom. Wieczorem nadciągnęła cała dywizya z Bystrzyka, a z nią poseł pan Stachowicz, od wojewody braclawskiego. Pisał pan Kisiel do księcia list pełen uwielbienia, że jako drugi Maryusz ojczyznę z ostatniej toni ratuje, pisał też o radości, jaką przybycie księcia z Zadnieprza we wszystkich sercach wzbudziło, wieszował mu zwycięstw — ale w końcu listu pokazały się przyczyny, dla których był pisany, Oto pan z Brusilowa oświadczał, że układy rozpoczęte, że on sam z innymi komisarzami udaje się do Białocerkwi i ma nadzieję Chmielnickiego powstrzymać i ukontentować. Nakoniec prosił księcia, by do czasu układów nie nastawał tak bardzo na kozaków i o ile można, kroków wojennych zaprzestał.

Gdyby doniesiono księciu, że całe jego Zadnieprze zniszczone, a wszystkie grody z ziemią zrównane, nie bolałby tak srodze, jako się nad tym listem rozboleł. Byli przy tem obecni pan Skrzetuski, pan Baranowski, pan Zaćwilichowski, obaj Tyszkiewiczowie i Kierdeje. Księżę rękoma oczy zakrył, w tył głowę przewrócił, jakoby strzałą w serce trafiony.

— Hańba! hańba! Boże! dajże mnie już poledz prędeż, abym na takie rzeczy nie patrzył.

Cisza zapanowała głęboka między obecnymi, a ksiązę mówił dalej:

— Nie chcę ja żyć w tej Rzeczypospolitej, bo dziś wstydzic się za nią przychodzi. Oto czerń kozacka i chłopska zalała krwią ojczyznę, z pogaństwem się przeciw własnej matce połączyła. Pobici hetmani, zniesione wojska, zdeptana sława narodu, zgwałcony majestat, popalone kościoły, wyrżnięci księza, szlachta, pohańbione niewiasty, a na te klęski i na tę hańbę, na której wspomnienie samo pomarliby nasi przodkowie — czemże odpowiada ta Rzeczpospolita? Oto ze zdrajcą, z hańbicielem swym, ze sprzymierzeńcem pogan układy rozpoczyna i kontentacją mu obiecuje. O Boże! daj śmierć, powtarzam, bo nie żyć nam na świecie, którzy dyshonor ojczyzny czujemy i głowy dla niej niesiemy w ofierze.

Wojewoda kijowski milczał, a pan Krzysztof, podsedek braclawski, ozwał się po chwili:

— Pan Kisiel nie stanowi Rzeczypospolitej.

Ksiązę na to:

— Nie mów mnie waszmość o panu Kisielu, bo wiem dobrze, iż ma on całą partya za sobą: utrafił on w myśl prymasa, i kanclerza, i księcia Dominika i wielu panów, którzy dziś w czasie interregnum rządu w Rzeczypospolitej sprawują i majestat jej przedstawiają, a raczej hańbią ją słabością wielkiego narodu niegodną, bo nie układami, ale krwią ten ogień gasić należy — bo lepiej dla narodu rycerskiego ginąć, niż się upodlić i kontempt całego świata dla siebie obudzić.

I znowu ksiązę zakrył rękoma oczy — widok był to zaś tak żaloszny tego bólu i żalu, że pułkownicy zgoła

nie wiedzieli, co czynić ze łzami, które im do oczu nabiegły.

— Mości książę — ośmielił się ozwać Zaćwilichowski — niechże oni szermują językiem, my mieczem będziemy dalej szermować.

— Zaiste — odpowiedział książę — i na tę myśl rozdziera się serce, co czynić nam dalej przystoi? Oto, mości panowie, słysząc o klęsce ojczyzny, przyszliśmy tu przez płonące lasy i nieprzebyte błota, nie śpiąc, nie jedząc, ostatnich sił dobywając, by tę matkę naszą od zagłady i hańby ratować. Ręce mdleją nam od pracy, głód skręca kiszki, rany bolą — my zaś na trud nie baczym, byle nieprzyjaciela pohamować. Mówiono na mnie, że krzyw, iż mnie regimentarstwo minęło. Niechże cały świat sądzi, czy godniejsi ci, co je dostali, a ja Boga i waszmościów na świadki biorę, że tak jak i wy, nie dla nagrody i dostojenstw niosę krew swą w ofierze, ale z czystej ku ojczyźnie miłości. Ale gdy my ostatni dech z piersi wydajemy — cóż nam donoszą? Oto że panowie w Warszawie, a pan Kisiel w Huszcy kontentacją dla tego nieprzyjaciela obmyślają ¹⁾. Hańba! hańba!!!

— Zdrajca Kisiel! — zawołał pan Baranowski.

¹⁾ W tym czasie pisał książę do wojewody braclawskiego, między innymi, co następuje: „*O, raczej było umierać potrzeba, aniżeli takich doczekać czasów, które sławę tych zacnych narodów tak turpiter deformatunt et irreparabile zostawili w synach koronnych damnum*“. A w końcu listu znajduje się dopisek: „*Jeżeli za zniesieniem wojska kwarcianego i pobraniem hetmanów do więzienia, kontentacją otrzyma Chmielnicki i przy dawnych wolnościach zostawać będzie, z tem hultajstwem, ja w tej ojczyźnie wolę nie żyć i nam lepsza rzecz umierać, aniżeli by pogaństwo i hultajstwo miało nam panować*“. Księga pamiętnicza 28, 55.

Na to pan Stachowicz, człowiek poważny i śmiały, wstał, i zwracając się ku Baranowskiemu, rzekł:

— Przyjacielem panu wojewodzie braclawskiemu będąc i posługując od niego, nie pozwolę, by go tu zdrajca zwali. I jemu też broda od zgryzoty zbielała — a ojczyźnie służy tak jak rozumie, może mylnie, ale uczciwie!

Księżę nie słyszał tej odpowiedzi, bo pograżył się w myślach i w boleści. Baranowski nie śmiał też w obecności jego burdy robić, więc tylko oczy swe stalowe utkwil w panu Stachowiczu, jakby mu chciał rzec: „znajdę cię!” i rękę na głowni miecza położył — tymczasem jednak Jeremi ocucił się z zamyslenia i rzekł ponuro:

— Niema tu innego wyboru, jeno albo posłuszeństwo złamać (boć w czasie bezkrólewia oni władzę sprawują), albo honor ojczyzny, dla któregośmy pracowali, poświęcić...

— Z nieposłuszeństwa wszystko zle w tej Rzeczypospolitej płynie — rzekł poważnie wojewoda kijowski.

— Więc pozwolimy na pohańbienie ojczyzny? Więc jeśli jutro nam każą, byśmy z powrozem u szyi do Tuhaj-beja i Chmielnickiego poszli, tedy i to dla posłuszeństwa uczynim?

— Veto! — ozwał się pan Krzysztof, podsędek braclawski.

— Veto! — powtórzył pan Kierdej.

Księżę zwrócił się do pułkowników:

— Mówcie, starzy żołnierze! — rzekł.

Pan Zaćwilichowski głos zabrał:

— Mości księżę, ja mam lat siedmdziesiąt, jestem Rusin blahoczestywy, byłem komisarzem kozackim i ojcem mnie sam Chmielnicki nazywał. Prędejbym powi-

nien za układami przemawiać, ale jeśli mi rzecz przyjdzie: *hańba* albo *wojna*, tedy jeszcze do grobu zstępując, powiem: wojna!

— Wojna! — powtórzył pan Skrzetuski.

— Wojna, wojna! — powtórzyło kilkanaście głosów, między niemi pan Krzysztof, panowie Kierdeje, Baranowski i prawie wszyscy obecni.

— Wojna! wojna!

— Niechże się stanie wedle słów waszych — odrzekł poważnie książę — i buławą w otwarty list pana Kisiela uderzył.

ROZDZIAŁ XII

W dzień później, gdy wojska zatrzymały się w Rylcowie, książę zawołał pana Skrzetuskiego i rzekł:

— Siły nasze słabe i zmorzone, a Krzywonos ma sześćdziesiąt tysięcy ludu i jeszcze codziennie w potęgę rośnie, bo czerń do niego napływa. Na wojewodę kijowskiego też liczyć nie mogę, gdyż w duszy również on do pokojowej partii należy i choć idzie ze mną, ale niechętnie. Trzeba nam skąd posiłków. Owóż dowiaduję się, że niedaleko od Konstantynowa stoją dwaj pułkownicy: Osiński z gwardyą królewską i Korycki. Weźmiesz dla bezpieczeństwa sto semenów nadwornych i pójdziesz do nich z moim listem, aby zaś się pośpieszyli i bez zwłoki do mnie przyszli, bo za parę dni na Krzywonosa uderzę. Z wszelkich funkcji nikt mi się lepiej od ciebie nie wywiązuje, dlatego też ciebie posyłam — a to jest ważna rzecz.

Pan Skrzetuski skłonił się i tegoż wieczoru ku Konstantynowu ruszył na noc, by przejść niepostrzeżenie, bo tu i owdzie kręciły się Krzywonosowe podjazdy, albo kupy czerni, która czyniła zbójckie zasadzki po lasach i gościńcach, książę zaś nakazał bitew unikać, aby zwłoki nie było. Idąc tedy cicho, świtaniem doszedł do Wiso-

watego stawu, gdzie się na obu pułkowników natknął i w sercu się na widok ich mocno uradował. Osiński miał gwardyą dragońską, wyborną, na cudzoziemski ład wyćwiczoną, i Niemców. Korycki zaś tylko piechotę niemiecką, z samych prawie weteranów z trzydziestoletniej wojny złożoną. Był to żołnierz tak straszny i sprawny, że w rękę pułkownika jako jeden miecz działał. Oba pułki były przytem obficie pokryte i w strzelbę zaopatrzone. Usłyszawszy, że do księcia mają iść, podnieśli zaraz radosne okrzyki, bo tęsknili za bitwami, a wiedzieli, że pod żadną komendą tyle ich nie będą zażywać. Na nieszczęście, obaj pułkownicy dali odpowiedź odmowną, gdyż obaj należeli do komendy księcia Dominika Zasławskiego i mieli wyraźne rozkazy, by się z Wiśniowieckim nie łączyli. Napróżno pan Skrzetuski tłumaczył im, jakiejby to sławy mogli nabyć, pod takim wodzem służąc, i jak wielkie krajowi oddać przysługi — nie chcieli słuchać, twierdząc, iż subordynacya ma być dla wojskowych ludzi najpierwszem prawem i obowiązkiem. Mówili natomiast, że w takim tylko razie mogliby się z księciem połączyć, gdyby ocalenie ich pułków tego wymagało. Odjechał więc pan Skrzetuski mocno strapiony, bo wiedział ile księciu będzie bolesnym nowy ten zawód i jak dalece wojska jego są istotnie znużone i wyczerpane pochodami, ustawicznym ścieraniem się z nieprzyjacielem, tępieniem pojedynczych watah, wreszcie ustawicznym czuwaniem, głodem i niewywczasem. Mierzyć się w podobnych warunkach z dziesięćkroć liczniejszym nieprzyjacielem było prawie niepodobieństwem, widział więc jasno pan Skrzetuski, że zwłoka w działaniach wojennych przeciw Krzywonosowi, musi nastąpić, bo

trzeba dać dłuższą folgę wojsku i czekać na napływ świeżej szlachty do obozu.

Temi myślami przejęty, pan Skrzetuski wracał na powrót do księcia na czele swoich semenów, a musiał iść cicho, ostrożnie i tylko nocą, aby uniknąć podjazdów Krzywonosowych i licznych luźnych band, złożonych z kozactwa i czerni, nieraz bardzo potężnych, które gromadziły w całej okolicy, paląc dwory, wycinając szlachtę i łowiąc uciekających po gościńcach. Tak przeszedł Baklaj i wjechał w bory mszynieckie, gęste, pełne zdradliwych jarów i rozlogów. Szczęściem po niedawnych deszczach służyła mu piękna pogoda w tej podróży. Noc była pyszna, lipcowa, bez księżyca, ale usiana gwiazdami. Semenowie szli wąską dróżką leśną, prowadzeni przez służących borowych mszynieckich, ludzi bardzo pewnych i znających swoje bory doskonale. W lesie panowała cisza głęboka, przerywana tylko trzaskiem suchych gałązek pod kopytami końskimi — gdy nagle do uszu pana Skrzetuskiego i semenów doszedł daleki jakiś szmer, podobny do śpiewu przerywanego okrzykami.

— Stój! — rzekł cicho pan Skrzetuski, i zatrzymał linię semenów. — Co to jest?

Stary borowy przysunął się ku niemu:

— To panie waryaty chodzą teraz po lesie i krzyczą, ci, co im się od okropności w głowie pomieszało. My wczoraj spotkali jedną szlachciankę, co chodzi, panie, po sosnach patrzy i woła: dzieci! dzieci! Widno jej chłopci dzieci porznęli. Na nas oczy wytrzeszczyła i poczęła pisać, że aż nogi pod nami zadrżały. Mówią, że po wszystkich lasach takich jest dużo.

Pana Skrzetuskiego, choć był rycerzem bez trwogi, dreszcz przeszedł od stóp do głów.

— A może to wiley wyją? Z daleka rozeznąć nie można — rzekł.

— Gdzie tam, panie. Wilków teraz w lesie niema; wszystkie poszły do wsiów, gdzie mają trupów dostatek.

— Straszne czasy — odrzekł na to rycerz — w których wiley we wsiach mieszkają, a w lasach obłąkani ludzie wyją! Boże! Boże!

Przez chwilę zapanowała znów cisza, słychać było tylko szum, zwykły w wierzchołkach sosen, ale po chwili owe dalekie odgłosy wzmogły się i stały wyraźniejsze.

— Hej! — rzekł nagle borowy. — Tam na to patrzy, że jakaś większa kupa ludzi jest. Waszmościowie tu postójcie, albo idźcie wolno naprzód, a my pójdziem z towarzyszem obaczyć.

— Idźcie — rzekł pan Skrzetuski. — Tu będziem czekali.

Borowi znikli. Nie było ich z godzinę; już pan Skrzetuski zaczął się niecierpliwić, a nawet podejrzewać, czy mu jakiej zdrady nie gotują, gdy nagle jeden wynurzył się z ciemności.

— Są, panie! — rzekł zbliżając się do Skrzetuskiego.

— Kto?

— Chłopy rezuny.

— A siła ich jest?

— Będzie ze dwustu. Niewiadomo, panie, co począć, bo leżą w wąwozie, przez który droga nam wypada. Ognie palą, jeno blasku nie widać, bo w dole. Straży nijakich nie mają: można do nich podejść na strzelenie z łuku.

— Dobrze! — rzekł pan Skrzetuski i zwróciwszy

się do semenów, począł dwom starszym wydawać rozkazy.

Wnet orszak ruszył żywo przed siebie, ale tak cicho, że tylko trzaskanie gałązek mogło zdradzić pochód; strzemię nie zadzwoniło o strzemię, szabla nie zabrzękła, konie zwyczajne podchodzeń i napadów szły wilczym chodem, bez parskania i rżenia. Przybywszy na miejsce, gdzie droga skręcała się nagle, semenowie ujrzeli zaraz zdała ognie i niewyraźne postacie ludzkie. Tu pan Skrzetuski podzielił ich na trzy oddziały, z których jeden pozostał na miejscu, drugi poszedł krawędzią wzdłuż wąwozu, by zamknąć przeciwległe ujście, a trzeci, zsiadłszy z koni i czolgając się na brzuchach, położył się na samej krawędzi, tuż nad chłopskimi głowami.

Pan Skrzetuski, który znajdował się w owym środkowym oddziale, spojrzawszy w dół, widział jak na dłoni, w odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków, całe obozowisko: ognisk paliło się dziesięć, ale nie płonęły zbyt jaskrawo, wisiały w nich bowiem kotły z jedzeniem. Zapach dymu i warzonych mięs dochodził wyraźnie do nozdrzy pana Skrzetuskiego i semenów. Naokół kotłów stali lub leżeli chłopci, pijąc i gwarząc. Niektórzy mieli w ręku flasze z wódką, inni wspierali się na spisach, na których ostrzach osadzone były, jako trofea, ścięte głowy mężczyzn, kobiet i dzieci. Blask ognia odbijał się w ich martwych żrenicach i wyszczerzonych zębach, tenże sam blask oświecał twarze chłopskie dzikie, okrutne. Tuż pod samą ścianą jaru kilkunastu z nich spało, chrapiąc głośno — inni gwarzyli, inni poprawiali ogniska, które strzelały wówczas do góry snopami złotych iskier. Przy największem ognisku

siedział, zwrócony plecami do ściany wąwozu i do pana Skrzetuskiego, barczysty stary dziad — i brzdąkał na lirze, naokoło niego skupiło się półkołem ze trzydziestu reżunów.

Do uszu pana Skrzetuskiego doszły następujące słowa:

— Hej didu! pro kozaka Hołotu!

— Nie! — wołali inni — pro Marusiu Bohusławku!

— Do czorta z Marusiu! o panu z Potoka! o panu z Potoka! — wołały najliczniejsze głosy.

„Did“ uderzył silniej w lirę, odchrząknął i począł śpiewać:

„Stań, obernysia, hłań zadywysia, kotory majesz mnoho ¹⁾,
Że równy budesz tomu, w ktoroho ne majesz niczoho,
Bo toj sprawujet, szczo wsim kierujet sam Boh myłostywe,
Wsi naszymy sprawy, na swojej szali ważył sprawedywe.
Stań, obernysia, hłań zadywysia, kotory wysoko
Umom litajesz, mudrosty znajesz, szyroko, hłuboko...“

Tu „did“ przerwał na chwilę i westchnął, a za nim poczęli wzdychać i chłopci. Coraz też ich więcej zbierało się koło niego — a i pan Skrzetuski, choć wiedział, że już wszyscy jego ludzie muszą być w pogotowiu, nie dawał hasła do napadu. Ta noc cicha, płonąca ogniska, dzikie postacie i pieśń o panu Mikołaju Potockim jeszcze niedośpiewana, wzbudziły w rycerzu

¹⁾ Zacytowane ułamki wyjęte są ze współczesnej pieśni, zapisanej w Latopiscu, czyli Kronice Joachima Jerlicza. Wydawca przypuszcza, że pieśń ułożył sam Jerlicz, ale niczem przypuszczenia nie popiera. Chociaż z drugiej strony polonizmy, których się autor pieśni dopuścił, zdradzają jego narodowość.

jakieś dziwne myśli, jakieś uczucia i tęsknotę, z których sam sobie sprawy zdać nie umiał. Niezagojone rany jego serca otworzyły się, ścisnął go żal głęboki za niedawną przeszłością, za utraconem szczęściem, za owemi chwilami ciszy i spokoju. Zadumał się i rozżalił — a tymczasem „did“ śpiewał dalej:

„Stań, obernysia, hłań zadywysia, kotory wojujesz,
Łukom, strylamy, porochom, kulami i meczem szyrmujeasz,
Bo też rycere i kawalere peredtym buwały,
Tym wojowały, od tohoż mecza sami umirały!
Stań, obernysia, hłań zadywysia i skiń z sercia butu,
Nawerny oka, kotory z Potoka idziesz na sławutu.
Newennyje duszy beresz za uszy, wolnost' odejmujesz,
Korola ne znajesz, rady ne dbajesz, sam sobie sejmujesz.
Hej porażajsia ne zapalajsia, bo ty rejmentarujesz,
Sam buławoju, wszem polskim kraju, jak sam chcesz kierujesz“.

„Did“ znów ustał, a wtem kamyk wysunął się z pod opartej na nim ręki jednego z semenów i począł się toczyć z szelestem na dół. Kilku chłopów zakryło oczy rękoma i poczęło patrzeć bystro w górę ku lasowi; wtedy pan Skrzetuski uznał, iż czas nadszedł i wypalił w środek tłumu z pistoletu.

— Bij! morduj! — krzyknął — i trzydziestu semenów dało ognia, tak prawie, jak w twarz chłopstwu, a po wystrzeleniu, z szablami w rękę zsunęli się błyskawicą po pochyłej ścianie wąwozu, między przerażonych i zmieszanych rezunów.

— Bij, morduj! — zabrzmiało przy jednym ujściu wąwozu.

— Bij, morduj! — powtórzyły dzikie głosy przy drugim.

— Jeremi! Jeremi!

Napad tak był niespodziany, przerażenie tak straszne iż chłopstwo, choć zbrojne, prawie żadnego nie dawało oporu. Już i tak opowiadano w obozach zbuntowanej czerni, że Jeremi przy pomocy złego ducha może być i bić jednocześnie w kilku miejscach, a teraz to imię, spadłszy na nieoczekujących niczego i bezpiecznych — istotnie jak imię złego ducha — wytrąciło im broń z ręki. Zresztą spisy i kosy nie dały się użyć w ciasnym miejscu, więc też przyparci, jak stado owiec, do przeciwległej ściany jaru, rąbami szablami przez łby i twarze, bici, przebijani, deptani nogami, wyciągali z szaleństwem strachu ręce i chwytając nieublagane żelazo, ginęli. Cichy bór napelniał się złowrogim wrzaskiem bitwy. Niektórzy starali się ujsć przez prostopadłą ścianę jaru i drapiąc się, kalecząc sobie ręce, spadali na sztychy szabel. Niektórzy ginęli spokojnie, inni ryczeli litości, inni zasłaniali twarze rękoma, nie chcąc widzieć chwili śmierci, inni znów rzucali się na ziemię, twarzą na dół, a nad świstem szabel, nad wyciem konających górował krzyk napastników: „Jeremi, Jeremi“ — krzyk, od którego włosy powstawały na chłopskich głowach i śmierć tem straszniejszą się wydawała.

A dziad gruchnął w łeb lirą jednego z semenów, aż się przewrócił, drugiego złapał za rękę, by cięciu szablą przeszkodzić, i ryczał ze strachu jak bawół.

Inni, spostrzegli go, biegli rozsiekać, aż przypadł i pan Skrzetuski:

— Żywcem brać! żywcem brać! — krzyknął.

— Stój! — ryczał dziad — jam szlachcic. Loquor latine! Jam nie dziad! Stójcie, mówię wam, zbóje, skurczybyki, kobyle dzieci.

Ale dziad nie skończył jeszcze litanii, gdy pan

Skrzetuski w twarz mu spojrzal i krzyknął, aż się ściany parowu echem ozwały:

— Zagłoba!

I nagle rzucił się na niego, jak dziki zwierz, wpił mu palce w ramiona, twarz przysunął do twarzy i trzęsąc nim, jak gruszką, wrzasnął:

— Gdzie kniaziówna! gdzie kniaziówna?

— Żyje, zdrowa, bezpieczna! — odkrzyknął dziad. — Puść waćpan do dyabła, bo duszę wytrzesiesz.

Wtedy, tego rycerza, którego pokonać nie mogła ani niewola, ani rany, ani boleść, ani straszliwy Burdabut, pokonała wieść szczęsna. Ręce mu opadły, na czoło wystąpił pot obfity, obsunął się na kolana, twarz zakrył rękoma i oparłszy się głową o ścianę jaru, trwał w milczeniu — widać Bogu dziękował.

Tymczasem docięto reszty nieszczęsnych chłopów, kilkunastu związano, którzy katu mieli być oddani w obozie, aby zeznania z nich wydobył, zaś inni leżeli porozciągani i martwi. Bitwa ustala — zgiełk uciszył się. Semenowie zbierali się koło swego wodza i widząc go klęczącego pod skałą, poglądali na niego niespokojnie, nie wiedząc, czy nie ranny. On zaś wstał, a twarz miał taką jasną, jakby mu zorze w duszy świeciły.

— Gdzie ona jest? — spytał Zagłoby.

— W Barze.

— Bezpieczna?

— Zamek to potężny, żadnej inwazyi się nie boi. Ona w opiece jest u pani Sławoszewskiej i u mniszek.

— Chwała bądź Bogu Najwyższemu! — rzekł rycerz, a w głosie drgało mu głębokie rozrzewnienie. — Dajże mnie waść rękę. Z duszy, z duszy dziękuję.

Nagle zwrócił się do semenów.

— Siła jest jeńców?

— Simnadiat' — odpowiedzieli żołnierze.

Na to pan Skrzetuski:

— Potkała mnie wielka radość i miłosierdzie jest we mnie. Puścić ich wolno.

Semenowie uszom swoim wierzyć nie chcieli. Tego zwyczaju nie bywało w wojskach Wiśniowieckiego.

Skrzetuski zmarszczył z lekka brwi.

— Puścić ich wolno — powtórzył.

Semenowie odeszli, ale po chwili starszy essaul wrócił i rzekł:

— Panie poruczniku, nie wierzą, iść nie śmia.

— A pęta mają rozcięte?

— Tak jest.

— Tedy ostawić ich tutaj, a sami na koń.

W pół godziny później, orszak posuwał się znów wśród ciszy wąską dróżyną. Zeszedł też księżyc, który poprzemikał długimi białymi pasmami do środka boru i rozświetlił ciemne głębie. Pan Zagłoba i Skrzetuski, jadąc na czele, rozmawiali ze sobą.

— Mówże mnie waszmość o niej wszystko, co tylko wiesz — rzekł rycerz. — To tedy waszmość ją z rąk Bohunowych wyrwałeś?

— A ja, jeszcze mu łeb na odjezdnem obwiązał, by krzyżeć nie mógł.

— O toś waszmość postąpił wybornie, jak mnie Bóg miły! Ale jakżeście się do Baru dostali?

— Ej, silaby mówić, i to podobno będzie innym razem, bom okrutnie fatigatus, w gardle mi zaschło od śpiewania chamom. Nie masz waszmość czego się napić?

— Mam manierczynę z gorzalką — oto jest!

Pan Zagłoba uchwycił blaszankę i przechylił do ust; rozległy się długie grzdykania, a pan Skrzetuski niecierpliwy, nie czekając ich końca, pytał dalej:

— A zdroważ ona?

— Co tam! — odparł pan Zagłoba — na suche gardło każda zdrowa.

— Aleć ja o kniaziównę pytam.

— O kniaziównę? Jako łania.

— Bądźże chwala Bogu najwyższemu! Dobrze jej tam w Barze?

— Że i w niebie lepiejby jej być nie mogło. Dla jej gładkości wszystkie corda lgną do niej. Pani Sławoszewska tak ją miłuje, jakby właśnie rodzoną. A co tam się kawalerów w niej kocha, tegobyś waszmość na różańcu nie zliczył, jeno że ona tyle o nich dba, ile ja teraz o waściną prózną manierkę, stałym ku waszmości afektem płonąć.

— Niechże jej Bóg da zdrowie, onej najmilszej — mówił radośnie pan Skrzetuski. — Tak że to mię wdzięcznie wspomina?

— Czy waści wspomina? Mówię waćpanu, że i sam już nie rozumiał, skąd się tam w niej powietrza na tyle wzdychać bierze. Aż się wszyscy litują, a najbardziej mniszeczki, bo je sobie przez swoją słodkość całkiem zjednała. Toż ona i mnie wyprawiła na one hazardy, których o mało zdrowiem nie przypłaciłem, żeby to koniecznie do waści iść a dowiedzieć się, czyś żyw i zdrów. Chciała też nieraz posłańców wyprawiać, ale nikt się nie chciał podjąć, więcem się w końcu zlitował i do waszegom obozu się wybrał. Jakoż gdyby nie przebranie, pewnobym głową nałożył. Ale mnie

za dziada chłopcy wszędy mają, bo i śpiewam bardzo pięknie.

Pan Skrzetuski aż zaniemówił z radości. Tysiąc myśli i wspomnień cisnęło mu się do głowy; Helena jak żywa stanęła mu przed oczyma taka, jaką ją widział ostatni raz, w Rozlogach, przed samym na Sicz wyjazdem: więc śliczna, zarumieniona, smukła, z temi jej oczyma czarnemi jak aksamit, pełnemi niewysłowionych ponęt. Zdawało mu się teraz, że ją widzi, że czuje ciepło bijące od jej policzków, że słyszy jej słodki głos. Wspomnił ową przechadzkę w sadzie wiśniowym i kukulkę, i te pytania, które jej zadawał, i wstyd Heleny, gdy im dwunastu chłopczyków wykukala — więc dusza prawie wychodziła z niego, serce aż omdlało z kochania i radości, przy której wszystkie przeszłe cierpienia były jakby kropla przy morzu. Sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Chciał krzyczeć, to znów na kolana padać i znów Bogu dziękować; to wspominać, to pytać i pytać bez końca!

Wreszcie zaczął powtarzać:

— Żyje, zdrowa!

— Żyje, zdrowa! — odrzekł jak echo pan Zagłoba.

— I ona to waści wysłała?

— Ona.

— A list waść masz?

— Mam.

— Dawaj!

— Zaszyty i przecie noc. Hamuj się waść.

— Całkiem nie mogę. Sam waszmość widzisz.

— Widzę.

Odpowiedzi pana Zagłoby stawały się coraz lakoniczniejsze, w końcu kiwnął się raz, drugi — i usnął.

Skrzetuski widział, że niema rady, więc napowrót oddał się rozmyślaniom. Przerwał je dopiero tętent koni jakiegoś znacznego oddziału jeźdźców, zbliżającego się szybko. Był to Poniatowski z nadwornymi kozakami, którego ksiązę naprzeciw wysłał, z obawy, aby co złego Skrzetuskiego nie spotkało.

ROZDZIAŁ XIII.

Łatwo zrozumieć, jak przyjął książę relacją, którą mu świtaniem pan Skrzetuski uczynił, o odmowie Osińskiego i Koreckiego. Wszystko tak się składało, iż trzeba było tak wielkiej duszy, jak miał ów żelazny książę, by się nie ugiąć, nie zwątpić i ręk nie opuścić. Próżno miał olbrzymią fortunę na utrzymanie wojsk rujnować, próżno miał się miotać, jak lew w sieci, próżno urywać jedna po drugiej głowy buntu, dokazywać cudów męstwa, wszystko napróżno! Nadchodziła chwila, w której musiał poczuć własną bezsilność, cofnąć się gdzieś daleko w spokojne kraje i pozostać niemym świadkiem tego, co działo się na Ukrainie. I któż to go tak ubezwładnił? — oto nie miecze kozackie, ale niechęć swoich. Czyż nie słusznie spodziewał się, ruszając w maju z Zadnieprza, że gdy jako orzeł z góry na bunt uderzy, gdy w powszechnem przerażeniu i popłochu pierwszy szablę nad głową wzniesie, wnet cała Rzeczpospolita w pomoc mu przyjdzie i swą siłę, swój miecz karzący, w jego ręce powierzy? Tymczasem cóż się stało? Król umarł, a po jego śmierci regimentarstwo oddano w inne ręce — jego zaś, księcia, ostentacyjnie pominięto. Było to pierwsze ustępstwo, uczynione Chmielnickiemu — i nie z powodu utraconej go-

dnosci cierpiała dusza księcia, ale cierpiała na myśl, że ta zdeptana Rzeczpospolita tak już upadła nisko, iż nie chce walki na śmierć, iż cofa się przed jednym kozakiem i układami woli zuchwałą jego prawicę powstrzymać. Od chwili zwycięstwa pod Machnówką, coraz gorsze wiadomości przychodziły do obozu: więc naprzód wieść o układach przez pana Kisielea przysłana, potem wieść o zalaniu Polesia wołyńskiego przez fale buntu — nakoniec odmowa ze strony pułkowników, wykazująca jasno, jak dalece główny regimentarz, ksiązę Dominik Zasławski-Ostrogski, był nieprzyjaźnie dla Wiśniowieckiego usposobiony. Właśnie podczas niebytności pana Skrzetuskiego, przybył do obozu pan Korsz-Zienkowicz z doniesieniem, iż całe Owrućkie w ogniu już stoi. Lud tam cichy, nie rwał się do buntu, ale przyszli kozacy pod Krzczowskim i Półksiężycem i gwałtem zmuszali czerni, by się garnęła w ich szeregi. Dwory więc, miasteczka zostały popalone, szlachta, która nie uszła — wycięta, a między innymi stary pan Jelec, dawny sługa i przyjaciel domu Wiśniowieckich. Ułożył sobie tedy ksiązę, że po połączeniu się z Osińskim i Koreckim zniesie Krzywonosą, a potem na północ ku Owrućkowi ruszy, aby porozumiewszy się z hetmanem litewskim, w dwa ognie wziąć buntowników. Ale te wszystkie plany upadały teraz z powodu zakazu, danego obydwom pułkownikom przez księcia Dominika. Jeremi bowiem, po wszystkich pochodach, bitwach i trudach, nie był dość silny, by się z Krzywonosą mierzyć, zwłaszcza że i wojewody kijowskiego nie był pewien. Pan Janusz bowiem naprawdę duszą i sercem należał do partyi pokojowej. Ugiął on się przed powagą i potęgą Jeremiego i musiał z nim iść, ale im bardziej widział ową powagę zachwianą, tem

skłonniejszym był do stawienia oporu wojowniczym chęciom książęcym, co też się zaraz pokazało.

Zdawał więc sprawę pan Skrzetuski, a książę słuchał go w milczeniu. Wszystkie starszyzna była obecna posłuchaniu, wszystkie twarze sposepniały na wieść o odmowie pułkowników — a oczy zwróciły się na księcia, któren rzekł:

— Więc to książę Dominik przysłał im zakaz?

— Tak jest. Pokazywali mi go na piśmie.

Jeremi wsparł się rękami o stół i twarz ukrył w dłonie. Po chwili zaś mówił:

— Zaiste, jest to więcej, niż człowiek przenieść może. Zali ja jeden mam pracować i zamiast pomocy, jeszcze impedimentów doznawać? Zali to nie mogłem, hen! aż ku Sandomierzu, do swoich majątności pójść i tam spokojnie siedzieć? A przeczem tego nie uczynił, jeśli nie dla miłości ku ojczyźnie? Oto mi nagroda teraz za trudy, za uszczerbek w fortunie, za krew...

Książę mówił spokojnie, ale taka gorycz, taki ból drgał w jego głosie, że wszystkie serca ścisnęły się żalem. Starzy pułkownicy, weterani z pod Putywła, Starca, Kumejków, i młodzi zwycięzcy z ostatniej wojny, poglądali na niego z niewysłowioną troską w oczach, bo wiedzieli, jaką ciężką walkę stacza z samym sobą ten żelazny człowiek, jak strasznie musi cierpieć jego duma od upokorzeń, które się na niego zwały. On, książę „z bożej miłości” — on, wojewoda ruski, senator Rzeczypospolitej, musiał ustępować takim Chmielnickim i Krzywonosom; on, monarcha prawie, który niedawno jeszcze przyjmował posłów postronnych władców, musiał się cofnąć z pola chwały i zamknąć w jakim zameczku, czekając na rezultat wojny, którą inni prowadzić będą, albo upokarzających

układów. On, stworzony do wielkich przeznaczeń, czując siłę, by im sprostać — musiał się uznać bezsilnym...

Cierpienie to, razem z trudami, odbiło się na jego postaci. Wychudł znacznie, oczy mu wpadły, czarna jak skrzydło kruka czupryna siwieć poczęła. Ale jakiś wielki, tragiczny spokój rozlał się po jego twarzy, bo duma broniła mu zdradzić się z cierpieniem.

— Ha, niechże tak będzie! — rzekł — pokażemy tej niewdzięcznej ojczyźnie, iż nietylko wojować, ale i zginąć dla niej potrafimy. Zaiste, wolałbym sławniejszą śmiercią w jakiej innej wojnie poledz, niż przeciw chłopstwu, w domowej zawierusze, ale trudno!

— Mości książę — przerwał wojewoda kijowski — nie mów W. K. Mość o śmierci, bo choć nie wiadomo, co komu Bóg przeznaczył, ale przecie jeszcze może do niej daleko. Uwielbiam ja wojenny geniusz i rycerski animusz W. K. Mości, ale przecie nie mogę brać za złe ani vice-rexowi, ani kanclerzowi, ani regimentarzom, że tę wojnę domową starają się układami zahamować, boć się to brania krew w niej leje, a z obopólnej zawziętości któż, jeśli nie zewnętrzny nieprzyjaciel, będzie korzystał?

Książę popatrzył długo w oczy wojewodzie i rzekł dobitnie:

— Zwycięzonym łaskę okażcie, to ją przyjmą z wdzięcznością i pamiętać będą; u zwycięzców w pogardę tylko pójdziecie. Bogdaj temu ludowi nikt nigdy krzywd nie był czynił! Ale gdy raz bunt rozgorzał, tedy nie układami, ale krwią gasić go trzeba. Inaczej hańba i zguba nam!...

— Prędsza zguba, gdy na własną rękę wojnę prowadzić będziemy — odpowiedział wojewoda.

— Czy to znaczy, że wasza mość nie pójdiesz dalej ze mną?

— Mości książe! Boga na świadka biorę, że nie stanie się to ze zlej ku wam woli, ale sumienie mnie mówi, iżbym na oczywistą zgubę ludzi moich nie wystawiał — boć to krew droga i przyda się jeszcze Rzeczypospolitej.

Książe zamilkł, a po chwili zwrócił się ku swoim pułkownikom.

— Wy, starzy towarzysze, nie opuście mnie przecie, nieprawda?

Na te słowa pułkownicy, jakoby jedną siłą i wolą popchnięci, rzucili się ku księciu. Niektórzy całowali jego szaty, inni obejmowali kolana, inni ręce ku górze podnosząc, wołali:

— My przy tobie do ostatniego tchu, do ostatniej krwi!

— Prowadź! prowadź! bez żołdu służyć będziem!

— Mości książe! i mnie przy sobie umierać pozwól! — wołał, zapłoniony jak panna, młody pan Aksak.

Widząc to, nawet wojewoda kijowski był wzruszony, a książe od jednego do drugiego chodził, ścisnął każdego za głowę i dziękował. Zapalał wielki ogarnął starszych i młodszych. Z oczu wojowników sypały się iskry, ręce co chwila chwytaly za szable.

— Z wami żyć, z wami umierać! — mówił książe.

— Zwyciężymy! — wołali oficerowie. — Na Krzywonosą! pod Połonne! kto chce nas opuścić, niechaj to uczyni. Obejdziemy się bez pomocy. Nie chcemy się dzielić ni chwałą, ni śmiercią!

— Mości panowie! — rzekł na to książe. — Wola jest moja, abyśmy, nim na Krzywonosą ruszymy, zażyli

choć krótkiego spoczynku, któreby siły nasze mógł re-
staurować. Oto już trzeci miesiąc idzie, jak nie zsiadamy
prawie z koni. Od trudów, niewywczasów i zmienności
aury już ciało odpada nam od kości. Koni nie mamy,
piechoty nasze boso chodzą. Pójdziem tedy pod Zbaraż,
tam się odżywim i wypocznem — może też coś żoł-
nierzy skupi się do nas i z nowemi siłami ruszymy
w ogień.

— Kiedy wasza książęca mość rozkaże ruszyć? —
pytał stary Zaćwilichowski.

— Bez zwłoki, stary żołnierzu, bez zwłoki!

Tu książę zwrócił się do wojewody:

-- A wasza miłość dokąd się chcesz udać?

-- Pod Gliniany, bo słyszę, że tam się wojska kupią.

— Tedy odprowadzimy waszą mość aż do spokojnej
okolicy, aby wam się przypadek jaki nie trafił.

Wojewoda nie odrzekł nic, bo mu się stało jakoś
niesmaczno. On księcia opuszczał, a książę mu jeszcze
troskliwość okazywał i odprowadzić go zamierzał. Była-li
to ironia w słowach księcia — wojewoda nie wiedział,
niemniej przeto zamiaru swego nie zaniechał, bo pułko-
wnicy książęcy coraz niechętniej na niego patrzyli i ja-
snem było, że w każdym innym, mniej karnem wojsku,
tumulty przeciw niemu powstał.

Sklonił się więc i wyszedł — pułkownicy też po-
rozchodzili się, każdy do swojej chorągwi, aby je do po-
chodu sprawić, został tylko z księciem sam Skrzetuski.

— Jaki tam żołnierz pod temi chorągwiami? —
spytał książę.

— Tak przedni, że lepszego nie znaleźć. Dragonia
moderowana na niemiecki ład, a w gwardyi pieszej sami

weterani z trzydziestoletniej wojny. Gdym ich ujrzał, myślałem, że triarii rzymscy.

— Siła ich jest?

— Dwa pułki z dragonią, razem trzy tysiące ludzi.

— Szkoda, szkoda, wielkich rzeczy możnaby z taką pomocą dokazać!

Cierpienie widocznie odmalowało się na twarzy księcia. Po chwili rzekł, jakby sam do siebie:

— Niestety to wybrano takich regimentarzy, na te czasy klęski! Ostroróg byłby dobry, gdyby wymową a łaciną można tę wojnę zażegnać; Koniecpolski, dziewierz mój, z krwi wojowników, ale młodzik, bez doświadczenia — a Zasławski ze wszystkich najgorszy. Znam ja jego od dawna. Człek to małego serca i miałkiego umysłu. Jego rzecz nad dzbanem drzemać, nie wojska sprawować... Tego ja głośno nie mówię, by nie sądzono, iż mnie invidia podnieca, ale straszne klęski przewiduję. I to teraz, teraz właśnie, tacy ludzie wzięli ster w dłonie! Boże, Boże, odwróć ten kielich! Co się też stanie z tą ojczyzną? Gdy o tem myślę, śmierci prędkiej pragnę, bom też już zmorzony bardzo i mówię ci, niedługo odejdę. Dusza się rwie do wojny, ale ciała sił braknie.

— Wasza książęca mość powinienbyś więcej zdrowia chronić, bo całe ojczyźnie siła na niem zależy, a już też znać, że trudy bardzo W. K. Mość poszczerbiły.

— Ojczyzna znać inaczej myśli, gdy mnie pominęto; i teraz szablę mi z ręki wytrącają.

— Gdy Bóg da, królewicz Karol infulę na koronę zmieni, będzie wiedział, kogo wynieść, a kogo karać, wasza K. Mość za dość potężny jesteś, by o nikogo teraz nie dbać.

— Pójdę też swoją drogą.

Książę nie spostrzegł się może, że torem innych „królewiat” politykę na własną rękę prowadził, ale gdyby się w tem i obaczył, byłby jej nie odstąpił, bo to jedno czuł dobrze, iż honor Rzeczypospolitej ratuje.

I znów nastąpiła chwila milczenia, którą wkrótce przerwało rżenie koni i głosy trąbek obozowych. Chorażowie szykowały się do pochodu. Głosy te zbudziły księcia z zamyślenia, trząsnął głową, jakby cierpienie i złe myśli chciał strząsnąć, poczem rzekł:

— A drogę miałeś spokojną?

— Spotkałem w lasach mszynieckich sporą watahę chłopstwa, na dwieście ludzi, którą starłem.

— Dobrze. A jeńców wziąłeś, bo to teraz ważna rzecz?

— Wziąłem, ale...

— Ale kazałeś już ich sprawić? tak?

— Nie, W. K. Mość! puściłem ich wolno.

Jeremi spojrział ze zdziwieniem na Skrzetuskiego, poczem brwi jego ściągnęły się nagle.

— Cóż to? czy i ty do pokojowej partii już należysz? Co to znaczy?

— W. K. Mość! języka przywiozłem, bo między chłopstwem był przebrany szlachcic, który został żyw. Zaś innych puściłem, bo Bóg łaskę na mnie zesłał i pocieszenie. Karę chętnie poniosę. Ten szlachcic, to jest pan Zagłoba, którego mnie wieść o kniaziównie przyniósł.

Książę zbliżył się żywo do Skrzetuskiego.

— Żyje, zdrowa?

— Bogu najwyższemu chwała! — tak jest.

— I gdzie się schroniła?

— Jest w Barze.

— To potężna forteca. Mój chłopcze! — (tu książę

ręce w górę wyciągnął i wzięwszy głowę pana Skrzetuskiego, ucałował go kilkakroć w czoło) — raduję się twoją radością, bo cię jak syna kocham.

Pan Jan ucałował serdecznie rękę księżęcą i choć od dawna już byłby za niego chętnie krew przelał, przecie poczuł teraz na nowo, iż na jego rozkaz skoczyłby i w piekło gorejące. Tak ów groźny i okrutny Jeremi umiał sobie jednać serca rycerstwa.

— No, nie dziwię ci się, żeś tych chłopów puścił. Ujdzie ci to bezkarnie. Ale to ćwik ten szlachcic. To on ją tedy aż z Zadnieprza do Baru przeprowadził? Chwała Bogu! W tych ciężkich czasach i dla mnie to prawdziwa pociecha. Ćwik to, ćwik musi być nie lada! A dawajno tu tego Zagłobę!

Pan Jan raźno ku drzwiom ruszył, ale w tej chwili rozwarły się one nagle i ukazała się w nich płomienista głowa pana Wierszula, którego z nadwornymi Tatary na daleki podjazd był posłany.

— Mości książę! — zawołał, oddychając ciężko. — Połonne Krzywonos wziął, ludzi dziesięć tysięcy w pień wyciął, niewiast, dzieci.

Pułkownicy zaczęli się znowu schodzić i cisnąć koło Wierszula, przyleciał i wojewoda kijowski, książę zaś stał zdumiały, bo się nie spodziewał takiej wieści.

— Toż tam sama Ruś się zamknęła! To chyba nie może być!

— Jedna dusza żywa z miasta nie wyszła.

— Słyszysz wasza mość — rzekł książę, zwracając się do wojewody. — Prowadźcie układy z takim nieprzyjacielem, którego swoich nawet nie szczędzi.

Wojewoda sapnął i rzekł:

— O dusze pleskie! kiedy tak, niechże dyabli porwą wszystko. Pójdę jeszcze z waszą książęcą mością!

— A toś mi brat! — rzekł książę.

— Niech żyje wojewoda kijowski! — zakrzyknął stary Zaćwilichowski.

— Niech żyje zgoda!

A książę zwrócił się znów do Wierszula:

— Gdzie ruszą z Połonnego? niewiadomo?

— Podobno pod Konstantynów.

— O na Boga! to pułki Osińskiego i Koryckiego są zgubione, bo z piechotą ujść nie zdążą. Trzeba urazy zapomnieć i w pomoc im ruszyć. Na koń! na koń!

Twarz książęca zajaśniała radością, a rumieniec oblał na nowo wychudłe policzki, bo droga sławy znów stanęła przed nim otworem.

ROZDZIAŁ XIV.

Wojska minęły Konstantynów i zatrzymały się w Rosołowcach. Wyliczył bowiem książę, iż gdy Korycki i Osiński powezmą wiadomość o wzięciu Poloniego, muszą na Rosołowce się cofać, a jeśli nieprzyjaciel zechce ich gonić, to niespodzianie między całą siłą książęcą, jakoby w pułapkę, wpadnie i tem pewniej klęskę poniesie. Jakoż przewidywania te spełniły się w większej części. Wojska zajęły pozycye i stały cicho, w gotowości do bitwy. Większe i mniejsze podjazdy rozeszły się na wszystkie strony z obozu. Książę zaś, z kilku pułkami, stanął we wsi i czekał. Aż wieczorem Tatarzy Wierszula dali znać, iż od strony Konstantynowa zbliża się jakaś piechota. Usłyszawszy to, książę wyszedł przede drzwi swej kwatery w otoczeniu oficerów, a z nimi kilkadziesiąt znaczniejszego towarzystwa, by patrzeć na owo wejście. Tymczasem pułki, oznajmiwszy się odgłosem trąb, zatrzymały się przede wsią, a dwaj pułkownicy biegli co prędzej zadyszani przed księcia, aby mu służby swoje ofiarować. Byli to Osiński i Korycki. Ujrawszy Wiśniowieckiego, a przy nim wspañiałą świtę rycerstwa, zmieszali się bardzo, niepewni przyjęcia, i skłoniwszy się nisko, czekali w milczeniu co powie.

— Fortuna kołem się toczy i pysznych poniża — rzekł książę. — Nie chcieliście waszmościowie przyjść na zaprosiny nasze, teraz zaś sami przychodzicie.

— Wasza książęca mość! — rzekł śmiało Osiński. — Duszą całą chcieliśmy pod W. K. Mością służyć, ale zakaz był wyraźny. Kto go wydał, niech zań odpowiada. My prosim o przebaczenie, choć niewinni, bo jako wojskowi, musieliśmy słuchać i milczeć.

— To książę Dominik rozkaz odwołał? — pytał książę.

— Rozkaz nie został odwołany — rzekł Osiński — ale już nas nie obowiązuje, gdyż jedyny ratunek i ocalenie wojsk naszych w łasce Waszej Książęcej mości, pod którego komendą odtąd żyć, służyć i umierać chcemy.

Słowa te pełne siły męskiej i postać Osińskiego, jak najlepsze wywarły na księciu i towarzyszach wrażenie. Był to bowiem słynny żołnierz, i choć młody jeszcze, bo nie więcej czterdziestu lat liczył, pelen już wojennej praktyki, której w armiach cudzoziemskich nabył. Każde żołnierskie oko spoczywało też na nim chętnie. Wysoki, prosty jak trzcina, z podczesanym do góry złotym wąsem i szwedzką brodą, strojem i postawą przypominał zupełnie pułkowników z trzydziestoletniej wojny. Korycki, z pochodzenia Tatar, w niczem do niego nie był podobny. Małego wzrostu i krępy, spojrzenie miał posępne i dziwnie wyglądał w cudzoziemskim ubiorze, nielicującym z jego wschodnimi rysami. Dowodził pułkiem niemieckiej wybranej piechoty i sływał zarówno z męstwa, jak z mrukliwości i żelaznej dyscypliny, w której żołnierzy swych utrzymywał.

— Czekamy rozkazów Waszej Książęcej mości — rzekł Osiński.

— Dziękuję za rezolucją waszmościów, a usługi przyjmuję. Wiem, iż żołnierz słuchać musi i jeśliim po wasciów posyłał, to dlatego, że o zakazie nie wiedział. Nie jedną odtąd złą i dobrą chwilę ze sobą przeżyjemy, ale spodziewam się, iż waszmościowie radzi będziecie z nowej służby.

— Byleś W. K. Mość był z nas rad i z naszych pułkowników.

— Dobrze! — rzekł książę. — Daleko nieprzyjacieli za wami?

— Podjazdy blisko, ale główna siła dopiero na ranoby tu zdążyć mogła.

— Dobrze. Tedy mamy czas. Każcież waszmościowie przejść waszym pułkom przez majdan, niech je zobaczę, abym poznał, jakiego to przywiedliście mi żołnierza i czy siła będzie z nim można dokazać.

Pułkownicy wrócili do pułków i w kilka pacierzy weszli na ich czele do obozu. Towarzystwo z pod górnych chorągwi książęcych sypnęło się jak mrowie, aby widzieć nowych towarzyszków. Szła więc naprzód dragonia królewska, pod kapitanem Gizą, w ciężkich chelmach szwedzkich z wysokimi grzebieniami. Konie pod nimi podolskie, ale dobrane i dobrze wypasione, żołnierz świeży, wypoczęty, w jaskrawej i błyszczącej odzieży, wspaniale na pozór odbijał od wymizerowanych regimentów książęcych, odzianych w podartą i wypłowiałą od deszczów i słońca barwę. Za nimi szedł z pułkiem Osiński, w końcu Korycki. Szmer pochwalny rozległ się między książęcem rycerstwem na widok głębokich szeregów niemieckich. Kolety na nich jednostajne czerwone, na ramionach połyskujące muszkiety. Szli po trzydziestu w rzędzie, krokiem jednostajnym, jakby szedł jeden czło-

wiek, silnym i grzmiącym. A wszystko chłopcy rosłe, ple-
czyste — żołnierz stary, który w niejednym kraju i nie-
jednym ogniu bywał, po większej części weterani z trzy-
dziestoletniej wojny, sprawni, karni i doświadczeni.

Gdy nadeszli przed księcia, Osiński krzyknął: „halt!“
i pułk zatrzymał się, jak w ziemię wkopany, oficerowie
podnieśli trzciny do góry, a chorąży wzniosł chorągiew
i chwiejąc nią po trzykroć, zniżył ją przed księciem.
„Vorwärts!“ zawołał Osiński, „Vorwärts!“ powtórzyli ofi-
cerowie — i pułk ruszył znów naprzód. Tak samo, a nie-
mal jeszcze sprawniej, zaprezentował swoich Korycki, na
który widok uradowały się wszystkie serca żołnierskie,
a Jeremi, znawca nad znawcami, aż się w boki wsparł
z zadowolenia i patrzył i uśmiechał się, bo właśnie pie-
choty mu brakło, a pewien był, że lepszej trudnoby mu
było w całym świecie znaleźć. Czuł się też na siłach
wzmógłony i spodziewał się wielkich dzieł wojennych
dokonać. Towarzystwo zaś rozmawiało o różnych rze-
czach wojskowych i rozmaitych żołnierzach, których po
świecie widzieć można.

— Dobra jest piechota zaporoska, szczególnie do
obrony z za okopu, mówił pan Sleszyński, ale ci jej wy-
trzymają, bo wyćwiczeni.

— Ba! wiele lepsi! — odparł pan Migurski.

— Wszelako to ciężki lud — rzecze pan Wierszuł. —
Żeby tak na mnie, podjąłbym się z moimi Tatury we
dwa dni tak ich zmorzyć, iż trzeciego jużbym ich jako
barany mógł wyrzynać.

— Co waś gadasz! Niemcy dobrzy żołnierze.

A na to ozwał się pan Longinus Podbipięta swoją
śpiewną litewską mową:

— Jaktó Bóg w miłosierdziu swoim różne nacye

różnemi cnotami obdarzył. Jako słyshałem, nie masz w świecie nad naszą jazdę, a znowu ani nasza, ani węgierska piechota porównać się z niemiecką nie może.

— Bo Bóg jest sprawiedliwy — rzecze na to pan Zagłoba. — Waści naprzykład dał wielką fortunę, wielki miecz i ciężką rękę, a za to mały dowcip.

— Już się do niego przypił, jak końska pijawka — rzekł, śmiejąc się, pan Skrzetuski.

A pan Podbipięta oczy zmrużył i rzekł ze zwykłą sobie słodyczą:

— Słuchać hadko! Waści dał język pono za długi.

— Jeśli utrzymujesz, że źle zrobił, dając mi taki, jaki mam, tedy pójdziesz do piekła, razem ze swoją czystością, bo woli Jego chcesz kontrować.

— Et, kto tam waści przegada. Gadasz i gadasz.

— A wieszże waćpan, czem człowiek różni się od zwierząt?

— A czem?

— Oto rozumem i mową.

— Ot, dalże mu, dał! — rzecze pułkownik Mokrski.

— Jeżeli tedy waćpan nie pojmujesz, dlaczego w Polsce najlepsza jazda, a u Niemców piechota, to ja ci to wytłumaczę.

— No, dlaczego? dlaczego? — spytało kilka głosów.

— Oto gdy Pan Bóg konia stworzył, przyprowadził go przed ludzi, żeby zaś jego dzieło chwalili. A na brzegu stał Niemiec, jako to się oni wszędy wcisną. Pokazuje tedy Pan Bóg konia i pyta się Niemca: co to jest? A Niemiec na to: Pferd! — Co? — powiada Stwórca — to ty na moje dzieło: „pfe!“ mówisz? a nie będziesz ty za to, plucho, na tem stworzeniu jeździł — a jeśli będziesz, to kiepsko. To rzekłszy, Polakowi konia

darował. Oto dlaczego polska jazda najlepsza, a zaś Niemcy jak poczęli piechotą za Panem Bogiem drałować, a przepraszać, tak się na najlepszą piechotę wyrobili.

— Bardzoś to waść misternie wykalkulował — rzekł pan Podbipięta.

Dalszą rozmowę przerwali nowi goście, nadbiegli z doniesieniem, iż jeszcze jakieś wojsko do obozu się zbliża, które nie może być kozackie, bo nie od Konstantynowa, ale całkiem z innej strony, od rzeki Zbrucz nadciąga. Jakoż we dwie godziny później, weszły te chorągwie z takim grzmieniem trąb i bębnow, że aż książę się rozgniewał i posłał do nich rozkaz, by byli cicho, bo nieprzyjaciel w pobliżu. Pokazało się, iż był to pan strażnik koronny Samuel Łaszcz, sławny zresztą awanturnik, krzywdziiciel, warchoł i zabijaka, ale żołnierz wielki. Wiódł on ośmiuset ludzi takiego jak sam pokroju, częścią szlachty, częścią kozaków, którzyby wszyscy, na dobrą sprawę, wisieć powinni. Ale książę Jeremi nie zrażał się swawolą tego żołnierstwa, dufając, że w jego rękach zmienić się na pokorne owieczki muszą, a zaś zaciekłością i męstwem inne braki nagrodzą. Był to tedy szczęśliwy dzień. Wczoraj jeszcze książę, zagrożony odejściem wojewody kijowskiego, już był postanowił wojnę aż do chwili przybytku sił zawiesić i do spokojniejszego kraju się na czas jakiś uchylić — dziś stał znów na czele blisko dwunastotysięcznej armii, a choć Krzywonos pięć razy tyle liczył, jednak ze względu, iż większość wojsk zbuntowanych składała się z czerni, obie siły za równe poczytywane być mogły. Teraz też książę już ani myślał o odpoczynku. Zamknąwszy się z Łaszczem, wojewodą kijowskim, Zaćwilichowskim, Machnickim i Osińskim, naradzał się nad dalszą wojną. Krzywonosowi na-

zajutrz postanowiono wydać bitwę, a gdyby nie nadszedł, tedy mieli iść ku niemu w odwiedzinę.

Noc zapadła już głęboka, ale od czasu ostatnich deszczów, które pod Machnówką tak bardzo dokuczały żołnierzom, pogoda utrwaliła się wyborna. Na ciemnym sklepieniu niebios świeciły roje gwiazd złotych. Księżyc wytoczył się wysoko i ubielił wszystkie dachy rosołowskie. W obozie nikt spać nie myślał. Wszyscy odgadli jutrzejszą bitwę i gotowali się do niej, gwarząc po staremu, śpiewając i wielkie sobie rozkosze obiecując. Oficerowie i znaczniejsze towarzystwo, wszyscy w wybornych humorach, zebrali się naokół wielkiego ogniska i zabawiali się szklankami.

— Mówże zaś waćpan dalej — wołali na Zagłobę. — Gdyście tedy przez Dniepr przeszli, cóżeście czynili i jakim sposobem dostaliście się do Baru?

Pan Zagłoba wychylił kwartę miodu i rzekł:

„...Sed jam nox humida coelo praecipitat
Suadentque sidera cadentia somnos,
Sed si tantus amor casus cognoscere nostros,
Incipiam*

— Moi mości panowie! gdybym zaczął wszystko szczegółowie opowiadać, tedy i dziesięciu nocyby nie starczyło, a pewnie i miodu, bo stare gardło, jak stary wóz, smarować trzeba. Dość, gdy waćpaństwu powiem, iżem do Korsunia, do obozu samego Chmielnickiego, z kniaziówną poszedł i z tego piekła bezpiecznie ją wprowadził.

— Jezus Marya! toś chyba waćpan czarował! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Co prawda, to czarowałem — odpowiedział pan Zagłoba — bom się też tego piekielnego kunsztu, jeszcze

za młodych lat, od jednej czarownicy w Azji wyuczył, która zakochawszy się we mnie, wszystkie arcana czar-noksięskiej sztuki mi dywulgowwała. Ale wiele czarować nie mogłem, bo sztuka na sztukę. Pełno tam wrózków i czarownic koło Chmielnickiego, ci tyle mu dyablów do usług posprowadzali, iż on nimi jak chłopami robi. Spać idzie, to mu dyabeł musi buty ściągać; szaty mu się zakurzą, to je dyabli ogonami trzepią, a on jeszcze gdy pijany, tego lub owego w pysk, że to — powiada — źle służysz!

Pobożny pan Longinus przeżegnał się i rzekł:

— Z nimi moce piekielne, z nami niebieskie.

— Byliby też mnie czarni zdradzili przed Chmiel-nickim, kto jest i kogo prowadzę, alem ich pewnym spo-sobem zaklął, że milczeli. Bałem się też, żeby Chmiel-nicki mnie nie poznał, bom się z nim w Czehrynie, rok temu, ze dwa razy u Dopuła zetknął; było też i kilku innych znajomych pułkowników, ale cóż. Brzuch mnie spadł, broda wyrosła do pasa, włosy do ramion, prze-branie resztę zmieniło — więc nikt nie poznał.

— Toś waćpan widział samego Chmielnickiego i mówileś z nim?

— Czym widział Chmielnickiego? Tak, jako wasz-mościów widzę. Przecie on mnie jako szpiega na Po-dole wysłał, żebym jego manifesty chłopstwu po drodze rozdawał. Piernacz mnie dał dla bezpieczeństwa od Ordy, tak że już z pod Korsunia jechałem wszędy bezpiecznie. Jak mnie chłopci, albo niżowi spotkali, tak ja im pier-nacz pod nos i mówię: „powąchajcie to, ditki, i idźcie do dyabła!“ Kazałem też sobie dawać wszędy jeść i pić suto, a oni dawali — i podwody także, czemum był rad i już ciągle na moją niebogę kniaziównę patrzyłem, aby

po takich wielkich fatygach i strachu wyczęła. Mówię tedy waćpaństwu, że nimem dojechał do Baru, to już się tak odżywiła, że mało sobie ludziska tam w Barze oczu za nią nie powypatrywali. Jest tam wiele gładkich panien, gdyż się szlachta z dalekich okolic pojeżdżała, ale tak im właśnie do niej, jako sowom do kraski. Miłują ją też ludzie — a i waszmościowie byście ją miłowali, gdybyście znać mogli.

— Pewnie, że nie byłoby inaczej! — rzekł mały pan Wołodyjowski.

— Ale czemużes waszmość aż do Baru wędrował? — pytał pan Migurski.

— Bom sobie powiedział, że nie stanę, póki do bezpiecznego miejsca nie przybędę — więc też i małym zameczkom nie ufałem, myśląc, że przecie bunt może do nich dojść. A do Baru choćby i doszedł, toby sobie zęby na nim połamał. Tam pan Andrzej Potocki potężnie mury obsadził i tyle dba o Chmiela, ile ja o prózną szklanę. Co waszmościowie myślicie, żem źle uczynił, tak daleko od ognia odjeżdżając? A toż mnie pewnie ów Bohun gonił, a gdyby był dogonił, tedy mówię waszmościom, marcepanby ze mnie dla psów zrobił. Wy jego nie znacie, ale ja go znam. Niech go tam dyabli porwą! Póty nie będę miał spokoju, póki jego nie powieszą. Dajże mu Boże tak szczęśliwy koniec — amen! Pewnie też nikogo sobie tak nie zakarbował, jako mnie. Brr! gdy o tem pomyślę, aż mnie się zimno robi. Dlatego to i napików chętniej teraz zażywam, chociaż z natury pić nie lubię.

— Co waćpan mówisz — odezwał się pan Podbięta — toż pijesz, brateńku, jak zóraw studzienny.

— Nie zaglądał waćpan do studni, bo mądrego na

dnie nie obaczysz. Ale mniejsza z tem. Jadąc tedy z pier-naczem i manifestami Chmielnickiego, wielkich przeszkód nie doznałem. Przybywszy do Winnicy, znalazłem tam chorągiew obecnego tu w obozie pana Aksaka, alem się przecie dziadowskiej skóry jeszcze nie pozbywał, bom się chłopstwa bał. Jenom się manifestów zbyt. Jest tam ry-marz, któren się zowie Suhak, i dla zaporozców szpie-gował, a wiadomość Chmielnickiemu posyłał. Przez tego manifesty odesłałem, wypisawszy na nich takie senten-cye, że chyba go Chmiel każe ze skóry obedrzeć, gdy je przeczyta. Ale tymczasem, pod samym Barem, taka mnie przygoda spotkała, że mało przy brzegu nie utonął.

— Jakże to było? jakże?

— Spotkałem pijanych żołnierzy, swawolników, którzy usłyszeli, jakom do kniaziówny mówił: *waćpanna*, bom się też nie bardzo już i strzegł, jako to blisko swoich. Tak tedy: co to za dziad i co to za szczególnie chłopię, do którego się mówi: „waćpanna?“ Kiedy spoj-rzą na kniaziównę: aż tu uroda jak malowanie! Dalejże do nas. Ja w kął moją niebogę, zastawiłem ją sobą i do szabli...

— To dziw — przerwał Wołodyjowski — żeś wać-pan za dziada przebrany będąc, miał szablę przy boku.

— He? — rzekł Zagłoba — że miałem szablę? A kto waćpanu powiedział, że miałem szablę? Nie miałem, je-nom żołnierską pochwycił, co leżała na stole. Bo to było w karczmie w Szypińcach. Położyłem w mgnienu oka dwóch napastników. Ci do bandoletów! Krzyczę: stójcie, sobaki, bom szlachcic! Aż tu wołają: „alt! alt!“ jedzie podjazd! Pokazało się, że to nie był podjazd, jeno pani Sławoszevska z eskortą, którą syn w pięćdziesiąt koni odprowadzał — młode chłopię. Dopiero tamtych poha-

mowali. A ja do pani z oracyą. Takem ją rozczulił, że zaraz jej upusty w oczach się otworzyły. Wzięła kniaziównę do karety i ruszyliśmy do Baru. Ale myślicie waćpaństwo, że na tem koniec? Gdzie tam...

Nagle pan Sleszyński przerwał opowiadanie:

— Patrzcie no waszmościowie — rzekł — czy to tam świt, czy co?

— O! nie może być! — odparł pan Skrzetuski. — Za wczesna pora.

— To w stronie Konstantynowa!

— Tak jest. Ano widzicie: coraz jaśniej!

— Jako żywo, to luna!

Na te słowa twarze spowaźniały, wszyscy zapomnieli o opowiadaniu, zerwali się na równe nogi.

— Luna! luna! — powtórzyło kilka głosów.

— To Krzywonos nadszedł z pod Połonnego.

— Krzywonos z całą potęgą.

— Przednie straże musiały podpalić miasto, lub wsie pobliskie.

A wtem zabrzmiały ciche trąbki alarmowe; jednocześnie stary Zaćwilichowski pojawił się nagle między rycerstwem.

— Mości panowie! — rzekł — przyszły podjazdy z wieściami. Nieprzyjaciel w oczach! zaraz ruszamy! Do chorągwi! do chorągwi!...

Oficerowie ruszyli co prędzej do swoich pułków. Czeladź potłumiła ogniska i po chwili ciemność zapanowała w obozie. Tylko w dali, od strony Konstantynowa, niebo czerwieniło się coraz szerzej, coraz silniej, przy którym blasku bladły i gasły stopniowo gwiazdy. I znów zabrzmiały ciche trąbki. Grano wsiadanego przez munsztuk. Niewyraźne masy ludzi i koni poczęły się poru-

szac. Śród ciszy słychać było tętent koni, miarowe kroki piechurów, a wreszcie głuchy turkot armat Wurcla; czasem zabrzękły muszkiety, lub rozległy się głosy komendy. Było coś groźnego i złowrogiego w tym nocnym pochodzie, przysłoniętym pomroką, w tych głosach, szmerach, brzękaniu żelaztwa, polysku zbroi i mieczów. Chorągwie spuszczały się ku konstantynowskiej drodze i płynęły nią w stronę pożaru, podobne do jakiegoś olbrzymiego smoka czy węża, pełznącego wśród ciemności. Ale pyszna lipcowa noc miała się już ku schyłkowi. W Rosołowcach poczęły kury pisać, podając sobie głosy przez całe miasto. Miła drogi dzieliła Rosołowce od Konstantynowa, więc zanim wojska w wolnym pochodzie przeszły połowę drogi, z poza łuny pożarnej wychyliła się i jutrzienka biała, jakby przerażona, i nasycala coraz bardziej światłem powietrze, wydobywając z cienia lasy, zagaje, białą wstęgę gościńca i idące po nim wojska. Teraz wyraźnie można już było odróżnić ludzi, konie i zbite szeregi piechurów. Podniósł się ranny, chłodny wietrzyk i łopotał chorągwiami nad głowami rycerzy.

Szli naprzód Tatarzy Wierszulla, za nimi kozacy Poniatowskiego, potem dragonia, armaty Wurcla, a piechoty i husarye na ostatku. Pan Zagłoba jechał przy Skrzetuskim, ale wiercił się jakoś na kulbace i widać było, że wobec blizkiej bitwy niepokój go ogarnia.

— Mości panie? — rzekł do Skrzetuskiego, szepcząc cicho, jakby się bał, by go kto nie podsłuchał.

— A co waszmość powiesz?

— Czy to husarzy pierwsi uderzą?

— Mówiłeś waćpan, żeś stary żołnierz, a nie wiesz, że husarzy konserwuje się do rozstrzygnięcia bitwy, w chwili, gdy nieprzyjaciel najbardziej siły wyteży.

— Wiem ci ja to, wiem, alem się chcial upewnić. Nastala chwila milczenia. Poczem pan Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej i pytał dalej:

— Czy to Krzywonos z całą potęgą?

— Tak jest.

— A ile prowadzi?

— Razem z czernią sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

— O do dyabła! — rzekł pan Zagłoba.

Skrzetuski uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie myśl waćpan, że ja się boję — szeptał dalej Zagłoba — ale mam krótki oddech i nie lubię tłoku, bo gorąco, a jak gorąco, to już nic po mnie. Bodaj to w pojedynkę sobie radzić! Człek przynajmniej fortelów może zażyć, a tu nic i po fortelach. Nie głowa, jeno ręce wygrywają. Tu ja głupi przy panu Podbipięcie. Mam na brzuchu te dwieście czerwonych złotych, co mi je książę darował, ale wierzaj mi waszmość, że brzuch wolalbym mieć gdzieindziej. Tfu! tfu! nie lubię ja tych wielkich bitew! Niech je zaraza tłucze!

— Nic waści nie będzie. Nabierz ducha.

— Ducha? Tego ja się tylko przecie boję, że męstwo roztropność we mnie zwycięży. Nadtom zapalczywy. A miałem zły omen: gdyśmy siedzieli przy ognisku, dwie gwiazdy spadły. Kto je wie? może która moja.

— Za dobre uczynki Bóg waszmości nagrodzi i w zdrowiu zachowa.

— Byle mi zawczasie nagrody nie obmyślił.

— Czemużeś nie został przy taborach?

— Myślałem, że przy wojsku bezpieczniej.

— Bo i tak jest. Obaczysz waćpan, że to nic wielkiego. My już zwyczajni, a consuetudo altera natura. Ot, już Słucz i Wiszowaty staw.

Istotnie, wody Wiszowatego stawu, oddzielone od Słuczy długą groblą, zabłysły w oddaleniu. Wojska zatrzymały się naraz na całej linii.

— Czy to już? — spytał pan Zagłoba.

— Książę szyk będzie sprawiał — odparł pan Skrzetuski.

— Nie lubię tłoku! — powtarzam waści — nie lubię tłoku.

— Husarya na prawe skrzydło! — rozległ się głos służbowego, który od księcia przypadł do pana Jana.

Rozwidniło się zupełnie. Luna zbladła w blaskach wschodzącego słońca, złociste promienie odbiły się w ostrzach husarskich kopii i zdało się, że nad rycerzami płoną tysiące świec. Po sprawieniu szyków, wojsko, nie ukrywając się już dłużej, zaśpiewało w jeden głos: „*Witajcie podwoje zbawienia!*“ Potężna pieśń rozbiegła się po rosach, uderzyła się o bór sosnowy i odbita echem, wzleciała ku niebu.

Nareszcie brzeg po drugiej stronie grobli zaczernił się, jak okiem sięgnąć, chmarami kozactwa; pułki płynęły za pułkami, konni zaporozcy, zbrojni w długie spisy, pieszy lud z samopalami i fale chłopstwa, zbrojnego w kosy, cepy i widły. Za nimi widać było, jak we mgle, olbrzymi tabor, niby miasto ruchome. Skrzypienie tysięcy wozów i rzenie koni dochodziło aż do uszu książęcych żołnierzy. Kozactwo jednak szło bez zwykłych wrzasków, bez wycia i zatrzymało się po drugiej stronie grobli. Dwie przeciwne potęgi patrzyły czas jakiś na się w milczeniu.

Pan Zagłoba, trzymając się ciągle przy Skrzetuskim, spoglądał na owo morze ludzkie i mrucał:

— Jezu Chryste, pocóżes stworzył tyle tego tała-

łajstwa! To chyba sam Chmielnicki z czernią i wszystkimi wszami. Nie rozpustaże to, powiedz mi waszmość? Czapkami nas pokryją. A tak dobrze przedtem bywało w Ukrainie! Wałą się i wałą! bogdaj was dyabli w piekle walili! I wszystko to na naszą skórę. Bogdaj ich nosaczna zżarła!...

— Nie klnij waść. Dziś niedziela.

— A prawda, dziś niedziela, lepiejby o Bogu pomyśleć. Pater noster qui es in coelis... Żadnego respektu od tych łajdaków spodziewać się nie można... Sanctificetur nomen tuum... Co to się będzie dzieć na tej grobli!... Adveniat regnum tuum... Już we mnie dech zaparło... Fiat voluntas tua... Bodajeście wyzdychali, hamany mężobójcze!... Patrzno waść! Co to?

Oddział złożony z kilkuset ludzi oderwał się od czarnej masy i sunął bezładnie ku grobli.

— To harcownik — rzecze pan Skrzetuski. — Zraz nasi ku nim wyjadą.

— Czy to już koniecznie bitwa się zacznie?

— Jak Bóg na niebie.

— Niech to dyabli porwą. (Tu zły humor pana Zagłoby nie miał już miary). A waść, to patrzysz jakby na teatrum w mięsopust — wykrzyknął z niechęcią do Skrzetuskiego — jakby nie o waści skórę chodziło!

— My już zwyczajni — mówiłem.

— I pewnie na harce ruszysz?

— Nie bardzo to przystoi rycerzom z pod górnych znaków na pojedynek z takim nieprzyjacielem się bić; nie czyni tego, kto powagę kocha. Ale w tych czasach nikt nie ma względu na godność.

— Idą już i nasi, idą — wykrzyknął pan Zagłoba.

widząc kraśną linię dragonów Wołodyjowskiego, posuwającą się truchtem ku grobli.

Za nimi ruszyło po kilkanaście ochotnika z pod każdej chorągwi. Poszli między innymi: rudy Wierszuł, Kuszal, Poniatowski, dwóch Karwiczów, a z pod husarskiego znaku pan Longinus Podbipięta.

Odległość między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać gwałtownie.

— Pięknych rzeczy będziesz wać świadkiem — rzekł Skrzetuski do pana Zagłoby. — Uważ szczególnie Wołodyjowskiego i Podbipiętę. Wielcy to rycerze. Dojrzysz ich wać?

— Dojrzę.

— To patrz, sam się rozłakomisz.

ROZDZIAŁ XV.

Ale wojownicy, zbliżywszy się do siebie, zatrzymali konie i poczęli naprzód się lżyć wzajemnie.

— Bywajcie! bywajcie! zaraz tu psy waszem padłem nakarmimy! — wołali książęcy żołnierze.

— Wasze i dla psów się nie godzi.

— Pognijecie w tym stawie, zbóje bezecni!

— Komu pisano, te zgnije. Was tu prędzej ryby oszczypią.

— Z widłami do gnoju, chamy! Lepiej wam to przystoi, niż szabla.

— Chociaż my chamy, ale synki nasze będą szlachta, bo się z waszych panienek porodzą!

Jakiś kozak, widno zadnieprzański, wysunął się naprzód i złożywszy dłonie koło ust, wołał potężnym głosem:

— U kniazia dwie synowice! powiedzcie mu, żeby je Krzywonosowi przysłał...

Panu Wołodyjowskiemu aż pociemniało w oczach z wściekłości, gdy to bluźnierstwo usłyszał, i w tejże chwili wypuścił konia na zaporożca.

Poznał go zdała pan Skrzetuski, stojąc na prawem skrzydle z husarzami, i krzyknął na Zagłobę:

— Wołodyjowski leci! Wołodyjowski! patrz waś! tam! tam!

— Widzę! — wołał pan Zagłoba. — Już go dopadł! Już się biją! Raz! dwa! dalejże po nim! Widzę doskonale! Ocho, już! To gracz, niech go las ogarnie!

Istotnie w drugim złożeniu bluźnierca padł na ziemię, jak gromem rażony — i padł głową ku swoim, na złą im wróżbę.

A wtem wyskoczył drugi, ubrany w czerwony kontusz, zdarty z jakiegoś szlachcica. Dopadł on pana Wołodyjowskiego trochę z boku, ale koń mu w chwili samego cięcia utknął. Pan Wołodyjowski zaś zwrócił się i wtedy to można było poznać mistrza, bo dłonią tylko samą poruszył, robiąc ruch tak lekki i miękki, że prawie niewidoczny, a jednak szabla zaporozca furknęła w górę, pan Wołodyjowski zaś za kark go ucapił i porwał wraz z koniem ku swoim.

— Braty rydnyje, spasajte! — wołał jeniec.

Ale oporu nie dawał, wiedząc, że w razie najmniejszego, szablą będzie natychmiast przeszyty — jeszcze konia piętami bił, by podązał — i tak go wiódł pan Wołodyjowski, jak wilk kozę.

Sypnęło się na ten widok z obu stron po kilkunastu wojownika, bo więcej na wąskiej grobli nie mogło się pomieścić. Przypadali tedy do siebie pojedynczo. Mąż zwierał się z mężem, koń z koniem, szabla z szablą i był to cudny widok tego szeregu pojedynków, na które oba wojska patrzyły z największą ciekawością, wróżąc sobie z nich o dalszem powodzeniu. Poranne słońce świeciło nad walczącymi, a powietrze tak było przezroczyście, że prawie twarze można było z obu stron odróżnić. Myślałby kto, patrząc zdala, że to

turniej jakowy, lub zabawa. Czasem jednak koń wyla-tywał z zamętu bez jeźdźca; czasem trup wpadał z grobli w jasną szybę wody, która rozpryskiwała się w złote iskry, a potem szła kolistą falą od brzegu coraz dalej, i dalej.

Rosło serce żołnierzom obu wojsk, patrzącym na męstwo swych rycerzy, i ochota do boju. Każdy ku swoim ślał życzenia; nagle pan Skrzetuski w ręce klasnął, aż zadźwięczały karwasze, i wykrzyknął:

— Wierszuł zginął! padł razem z koniem — patrzcie, siedział na tym białym!

Ale Wierszuł nie zginął, chociaż istotnie padł razem z koniem, bo przewrócił obydwóch olbrzymi Puljan, dawny kozak księcia Jeremiego, dziś drugi po Krzywonosie dowódca. Był to słynny harcownik i nigdy tej gry nie opuszczał. Silny tak, iż z łatwością mógł złamać dwie od razu podkowy, uchodził za niezwycięzonego w pojedynczej walce. Przewróciwszy Wierszuła, uderzył na dzielnego oficera Kuroszlachcica i przeciął go strasznie, bo prawie aż do kulbaki. Inni cofnęli się przerażeni, co widząc, pan Longinus zwrócił ku niemu swoją inflancką kobyłę.

— Pohybnesz! — krzyknął Puljan, widząc zuchwałego męża.

— Cóż robić? — odpowiedział pan Podbipięta, wznosząc szablę do cięcia.

Nie miał on jednak swego zerwikaptura, bo go do zbyt wielkich celów przeznaczył, aby się nim w pojedynczej walce posługiwać; zostawił go więc w rękach wiernego pacholka przy szeregu; miał zaś tylko lekką batorówkę o błękitnawej, pisanej złotem klindze. Wytrzymał pierwsze jej cięcie Puljan, choć zaraz poznał,

że ma z nielada zapaśnikiem do czynienia, bo mu aż szabla w garści zadrżała — wytrzymał jednak i drugie i trzecie, poczem, czy większą przeciwnika biegłość w szermierce poznał, czy może wobec obu stron swoją straszliwą siłą pochlubić się pragnął, czy, przyparty do skraju grobli, obawiał się, aby nie być przez ogromne bydlę pana Longina do wody wepchniętym, dość, że odbiwszy ostatnie cięcie, konia z koniem bokami zestosował i wpół Litwina w potężne ramiona uchwycił.

I zczepili się tak, jako dwa niedźwiedzie, gdy o samice w czasie rui walczą, owinęli się koło siebie jak dwie sosny, które z jednego pnia wyrósłszy, wzajemnie się okręcają i prawie jedno drzewo utworzą.

Wszyscy dech wstrzymali i w milczeniu patrzyli na walkę tych zapaśników, z których każdy za największego silacza między swymi uchodził. Oni zaś — rzekłbyś: naprawdę zrosli się w jedno ciało — bo długi czas pozostali bez ruchu. I tylko twarze ich stały się czerwone, i tylko z żył, które wyskoczyły im na czoła, z wygiętych jak łuki grzbietów, można było pod tym straszliwym spokojem poznać nadludzkie wytężenie ramion, które gniotły się nawzajem w uścisku.

Nakoniec obaj poczęli dygotać. Ale stopniowo twarz pana Longina stawała się coraz czerwieńsza, a twarz watażki coraz sińsza. Uplynęła jeszcze chwila. Niepokój patrzących wzrastał. Nagle milczenie przerwał głuchy, przyduszony głos:

— Puskaj..

— Nie... braciaszku!.. — odpowiedział drugi głos.

Jeszcze chwila: wtem chrobotnęło coś okropnie, dał się słyszeć jęk, jakby z podziemia — fala czarnej

krwi buchnęła z ust Puljana i głowa mu zwisła na ramię.

Wtedy pan Longinus podniósł go z kulbaki i zanim patrzący mieli czas pomyśleć, co się stało, przerzucił go na swoje siodło, poczem ruszył rysią ku swoim.

— Vivat! — krzyknęli wiśniowieccy.

— Na pohybel! — odpowiedzieli zaporozcy.

I zamiast się zmieszać klęską swego wodza, tem zacieńiej uderzyli na nieprzyjaciół. Zawrzała walka tłumna, którą ciasnota miejsca tem zacieklejszą czyniła. I byłiby molojcy, mimo całego męstwa, ulegli pewnie większej szermierskiej wprawie przeciwników, gdyby nie to, że od taboru Krzywonosowego dały się nagle słyszeć trąby, wołające ich do odwrotu.

Cofnęli się natychmiast, a przeciwnicy, postawszy chwilę, by okazać, iż odzierżyli pole, zawrócili również ku swoim. Grobla opustoszała, zostały tylko na niej trupy ludzkie i końskie, jakby zapowiedź tego, co się dzieć będzie — i czerniała ta droga śmierci między dwoma wojskami — jeno lekki powiew wiatru pomarszczył gładką powierzchnię jeziora i zaszumiał żałośnie w liściach wierzb, stojących tu i owdzie nad brzegami stawu.

Tymczasem ruszyły Krzywonosowe pułki, jakby nieprzejrzane okiem stada szpaków i siewek. Szła naprzód czerń, za nią sforna piechota zaporoska, i sotnie konne, i ochotnicy Tatarowie i artylerya kozacka, a wszystko bez wielkiego ładu. Pchali się jedni przez drugich, szli „na głowę“, pragnąc liczbą niezmierną sforsować groblę, a potem zalać i pokryć wojsko książęce. Dzikie Krzywonos wierzył w pięść i szablę, nie w sztukę wojenną, dlatego parł całą siłą do ataku i kazał pułkom

idącym z tyłu popychać przednie, aby choć po niewoli iść musiały. Kule armatnie poczęły pluskać po wodzie naksztalt dzikich łabędzi i nurów, nie czyniąc zresztą, z powodu odległości, szkody w książęcych wojskach, ustawionych w szachownicę po drugiej stronie stawu. Powódź ludzka załaza groblę i szła naprzód bez przeszkody; część owej fali, dosięgnąwszy rzeki, szukała przez nią przeprawy, i nie znajdując, wracała znów ku grobli — i szli tak gęsto, że, jak później mówił Osiński, po łbach konno możnaby było przejechać, i pokryli tak groblę, że piędzi wolnej ziemi nie zostało.

Patrzył na to Jeremi z wyższego brzegu i brwi marszczył, a z oczu szły mu błyskawice ku tym tłumom, widząc zaś bezład i przepychanie się Krzywonosowych pułków, rzekł do obersztera Machnickiego:

— Po chłopsku nieprzyjaciel z nami poczyna i na sztukę wojenną nie dbając, oblawa idzie, ale nie dojdzie.

Tymczasem, jakby wbrew jego słowom, doszli już do połowy grobli i zatrzymali się zdziwieni i zaniepokojeni milczeniem wojsk książęcych. Ale właśnie w tej chwili zrobił się ruch między temi wojskami — i cofnęły się, zostawiając między sobą a groblą obszerne puste półkole, które miało być polem walki.

Poczem piechoty Koryckiego rozstąpiły się, odsłaniając zwrócone ku grobli paszcze armat Wurcla, a w kącie, utworzonym przez Słucz i groblę, połyskiwały w nadbrzeżnych zaroślach muszkiety Niemców Osińskiego.

I zaraz dla ludzi wojny widocznem było, na czyją tu stronę musi paść zwycięstwo. Tylko tak szalony watażka, jak Krzywonos, mógł porywać się na bitwę w takich warunkach, w których całą potęgą nie mógłby zdo-

być nawet przeprawy, gdyby Wiśniowiecki chciał mu jej bronić.

Ale księżę umyślnie postanowił puścić część jego sił za groblę, by ją otoczyć i zetrzeć. Wielki wódz korzystał z zaślepienia przeciwnika, którego nawet i na to nie baczył, że ludziom swoim, walczącym na drugim brzegu, będzie mógł przychodzić w pomoc tylko wązkim przejściem, przez które znaczniejszych oddziałów niepodobna od razu przeprowadzić. Więc praktycy wojenni patrzyli ze zdumieniem na czyn Krzywonosy, którego nic nie zmuszało do tak szalonego kroku.

Zmuszała go tylko ambicya i pragnienie krwi. Oto watażka dowiedział się, że Chmielnicki, pomimo przewagi wysłanych pod Krzywonosem sił, lękając się o rezultat bitwy z Jeremim, szedł całą potęgą swoim w pomoc. Do Krzywonosy przyszły rozkazy, by bitwy nie staczał. Ale właśnie dlatego Krzywonos postanowił ją stoczyć — i śpieszył się.

Wziąwszy Polonne, rozsmakował się we krwi i nie chciał się nią dzielić, dlatego śpieszył się. Straci połowę ludzi — to cóż z tego! Ale resztą zaleje szczuple siły książęce i w pień wytnie. Głowę Jeremiego poniesie Chmielnickiemu w podarunku.

Tymczasem fale czerni dosięgły końca grobli, nakoniec przeszły ją i rozlały się po owem półkolu, zostawionem przez wojska Jeremiego. Ale w tejże chwili ukryta piechota Osińskiego dała im w bok ognia; z armat Wurcla wykwitły długie smugi dymu, ziemia zatrzęsła się od huku i bitwa rozpoczęła się na całej linii.

Dymy przesłoniły brzegi Słuczy, staw, groble i samo pole, tak iż nic nie było widać; czasem tylko zamigotały czerwone barwy dragonów, czasem błysnęły grze-

bienie nad lejącymi hełmami i wrzało w onej chmurze okropnie. W mieście bito we wszystkie dzwony, których jęk żaloszny mieszał się z basowym rykiem armat. Z taboru walily ku grobli coraz nowe i nowe pulki.

Te zaś, które ją przeszły i dostały się na drugą stronę stawu, rozciągnawszy się w mgnieniu oka w długą linią, uderzily z wściekłością na księżące chorągwie. Bitwa rozciągnęła się od jednego końca stawu aż do skrętu rzeki i błotnistych łąk, ówczesnego mokrego lata zalanych.

Czerń i niżowi musieli zwyciężyć lub zginąć, mając za sobą wodę, ku której spierały ją ataki piechoty i jazdy księżącej.

Gdy husarya ruszyła naprzód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, bo zresztą i nie mógł inaczej uczynić, bez narażenia się na stratowanie. Leciał tedy, przymknawszy oczy, a w głowie latały mu z błyskawicową szybkością myśli! „Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa, mądry ginie!” Potem ogarnęła go złość na wojnę, na kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kląć — i modlić się. Powietrze świszczalo mu w uszach, tamowało oddech w piersi — nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy i cóż ujrzal: oto kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów... a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące, wściekle. Wtedy porwała go ostatnia pasya na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli do dyabła, że leżli w oczy i że zmuszali go do bitwy. Chcecie, to macie! — pomyślał — i zaczął ciąć ślepo na wszystkie strony. Czasem przecinał powie-

trze, a czasem czuł, iż ostrze mu grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie czuł, że jeszcze żyje, i to dodawało mu nadzwyczajnie otuchy. Bij! zabij! — ryczał jak bawół — nakoniec owe wściekle twarze znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają? — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest! — Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to szlachcie stawacie?

I skoczył między uciekających, minął wielu i zamieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przyparli niżowców do brzegów Słuczy, porośniętych dość gęsto drzewami — i gnali ich wzdłuż brzegu do grobli, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń poczyna się pod nim rozpierać, a jednocześnie spadło nań coś ciężkiego i obwinęło mu całą głowę, tak iż otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie! ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie zmorzony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących koło siebie jeźdźców, potem cały ten huragan przeleciał i naokół nastąpiła względna cisza.

I znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć przez jego głowę.

— Co to jest? co się stało? Jezus Maryja! wzięto mnie w niewolę!

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę tak samo, jak on niegdyś Bohunowi. Ten ciężar, który czuje na ramieniu, to dłoń hajdamacka. Ale czemuż go nie prowadzą, lub nie zabijają? czemu stoi w miejscu?

— Puszczaj, chamie! — krzyknął wreszcie przydużonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj, chamie! Daruję cię zdrowiem.

Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, ale znowu bez skutku. Zatknięte bydłę rozkraczyło się jeszcze szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasya pochwyciła nieszczęsnego jeńca i dobywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie w tył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową zasłone, obwijając mu głowę, i zerwał ją w mgnieniu oka.

— Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdala tylko widać w dymie przelatujących kraśnych dragonów Wolodyjowskiego, a o kilkanaście staj dalej migocą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków, zawracając je z pola ku wodzie.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający kozak cisnął je tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachtą pokryła mu głowę.

Ujrawszy to wszystko i zrozumiawszy dokładnie, mąż ów oprzytomniał zupełnie.

— Aha! — rzekł — zdobyłem chorągiew. Jako? mozem nie zdobył? Jeśli justycya nie polegnie także w tej bitwie, tedy pewien jestem nagrody. O chamy! szczęście wasze, iż mi się koń rozparł. Nie znałem się, mniemając, iż fortelom mogę ufać więcej, niż męstwu. Mogę się do czegoś więcej w wojsku przydać, niż do zjadania sucharów. O dla Boga! znowu tu jakaś wataha leci. Nie tędy, psubraty, nie tędy! Żeby tego konia wilcy zjedli! — Bij! — zabij!

Istotnie nowa wataha kozaków gnała ku panu Zagłobie, wyjąc nieludzkimi głosami, a na karku jej siedzieli pancerni Polanowskiego. I byłby może pan Zagłoba znalazł śmierć pod kopytami, gdyby nie to, że husaryja Skrzetuskiego, wytopiwszy tych, za którymi szła w pościgu, wracała teraz, by wziąć we dwa ognie owe nadbiegające oddziały. Co widząc, zaporozcy rzucili się w wodę, na to tylko, by uszedłszy mieczów, znaleźć śmierć w błotach i głębokich dołach. Inni, którzy padli na kolana, błagając o litość, marli pod cięciami. Pogrom stał się straszliwy i powszechny, ale najstraszliwszy na grobli. Wszystkie oddziały, które ją przeszły, zostały starte w owem półkolu, utworzonym przez wojsko książęce. Te, które jeszcze nie przeszły ginęły pod nieustającym ogniem armat Wurcla i salwami piechoty niemieckiej. Nie mogły iść naprzód, ani w tył, gdyż Krzywonos wganiał coraz nowe pułki, które pchając się, prac idących przed sobą, zaparły jedyną drogę ucieczki. Rzekłbyś, Krzywonos zaprzysiął sobie wygubić własnych ludzi, którzy stłaczali się, dusili, bili się pomiędzy sobą, padali, wskakiwali w wodę po

obu stronach — i tonęli. Z jednego końca czerniały masy uciekających, z drugiego masy idących naprzód, w środku: góry i wały trupów, jęki, krzyk, pozbawiony dźwięków ludzkich, szal strachu, zamieszanie, chaos. Cały staw zapelniał się trupami ludzi i koni. Wody wystąpiły z brzegów.

Chwilami działa miłkły. Wówczas grobla, nakształt paszczy armatniej, wyrzucała tłumy zaporozców i czerni, które rozbiegały się po półkolu i szły pod miecz czekającej na nie jazdy, a Wurcel poczynął grać na nowo; deszczem żelaza i ołowiu zamykał groblę, wstrzymując przypływ posiłków.

W tych krwawych zapasach upływały całe godziny.

Krzywonos, wściekły, spieniony, jeszcze nie dawał za wygraną i rzucał tysiące młojców w paszczę śmierci.

Po drugiej zaś stronie Jeremi, ubrany w srebrne blachy, stał konno na wysokiej mogile, zwanej za owych czasów Krużą mogiłą — i patrzył.

Twarz miał spokojną, wzrok jego ogarniał całą groblę, staw, brzegi Słuczy i biegł aż do miejsca, w którym, owity w błękitną mgłę oddalenia, stał olbrzymi tabór Krzywonosowy. Oczy księcia nie schodziły z tego zbiorowiska wozów, nakoniec zwrócił się do grubego wojewody kijowskiego i rzekł:

— Dziś już nie zdobędziemy taboru.

— Jakto W. K. Mość chciałbyś...?

— Czas prędko leci. Zapóźno! Patrz wasza mość, oto i wieczór.

Istotnie od chwili wyjazdu harcowników, bitwa, podsycana uporem Krzywonosy, trwała już tak długo,

że słońce miało czas przebiegnąć cały swój luk codzienny i kłoniło się ku zachodowi. Lekkie, wysokie chmurki, zwiastujące pogodę, a rozproszone jak stada białorunych owieczek po niebie, poczęły się czerwienić i schodzić gromadami z pól niebieskich. Dopływ kozactwa do grobli ustawał zwolna, a te pułki, które już wstąpiły na nią, cofały się w popłochu i nieładzie.

Bitwa kończyła się, a kończyła dlatego, iż rozżarte zgraje opadły w końcu Krzywonosą, wołając z rozpaczą i wściekłością:

— Zdrajco! wygubisz nas! Psie krwawy! Sami cię zwiążem i Jaremie wydamy, a tak życie okupimy. Na pohybel tobie, nie nam!

— Jutro wydam wam kniazia i całe wojsko, albo sam zginę — odpowiadał Krzywonos.

Ale spodziewane to *jutro* miało dopiero nastąpić, a obecne *dzis* było dniem pogromu i klęski. Kilka tysięcy najdzielniejszych niżowych mołojców, nie licząc czerni, poległo na polu bitwy, lub potopiło się w stawie i w rzece. Blizko dwa tysiące wzięto w niewolę. Poległo czternastu pułkowników, nie licząc sotników, essaulów i rozmaitej starszyny. Drugi po Krzywonosie wódz, Pułjan, żywcem, lubo ze strzaskanemi żebrami, dostał się w moc nieprzyjaciół.

— Jutro wszystkich wyreżem! — powtarzał Krzywonos. — Gorzalki, ni jadła, pierwej w gębę nie wezmę!

A tymczasem w przeciwnym obozie rzucano zdobyte chorągwie pod nogi strasznego księcia. Każden ze zdobywców ciskał swoją, tak, iż utworzył się z nich stos niemały, było bowiem wszystkich czterdzieści. A gdy z kolei przechodził pan Zagłoba, zwałił swoją z taką

mocą i hukiem, że aż ratyszczce pękło, co widząc, księżę zatrzymał go i pytał:

— A waść to własnymi rękami zdobyłeś ów znak?

— Do usług Waszej K. Mości!

— Widzę tedy, żeś nietylko Ulises, ale i Achilles.

— Prosty ja żołnierz, jeno pod Aleksandrem Macedońskim służę.

— Ponieważ lafy waść nie bierzesz, niechże ci skarbnik jeszcze dwieście czerwonych złotych za tak cnotliwy twój proceder wypłaci.

Pan Zagłoba za kolana księcia chwycił i rzekł:

— W. K. Mość! większa to laska, niż moje męstwo, które radeby się we własnej modesty ukryć.

Zaledwie widzialny uśmiech błąkał się po czarniawej twarzy pana Skrzetuskiego, ale rycerz milczał i później nawet ani księciu, ani nikomu o niespokojnościach pana Zagłoby przed bitwą nie wspomniał — zaś pan Zagłoba odszedł z miną tak sierdzistą, że widząc go, żołnierze z pod innych chorągwi pokazywali go palcami, mówiąc:

— Ten ci to jest, co dziś najwięcej dokazywał.

Noc zapadła. Po obu stronach rzeki i stawu zapłonęły tysiące ognisk i dymy, jako kolumny, wzniosły się ku niebu. Strudzony żołnierz krzepił się jadem, gorzalką — lub ducha sobie do jutrzejszej bitwy dodawał, opowiadając czyny dzisiejszej. Ale najgłośniej rozprawiał pan Zagłoba, chwając się tem, czego dokażał, i tem, czego by mógł dokazać, gdyby mu się koń nie rozparł.

— Już to mówię waszmościom — rzekł, zwracając się do oficerów książęcych i szlachty z pod chorągwi Tyszkiewicza — że wielkie bitwy dla mnie nie nowina;

doświadczyłem ich niemało i na Multanach, i w Turczech, ale żem pole zależał, bałem się — nie nieprzyjaciół, bo ktoby się tam chamstwa bał! — ale własnej zapalczywości, gdyż zaraz myślałem, iż mnie zbyt daleko uniesie.

— Jakoż i uniosła waści.

— Jakoż i uniosła! Spytajcie pana Skrzetuskiego. Jakem tylko ujrzał pana Wierszula, padającego z koniem, zaraz chciałem, nie pytając na pomoc mu skoczyć. Ledwo mnie towarzysze powstrzymali.

— Tak jest! — rzecze pan Skrzetuski — musieliśmy waści hamować.

— Ale! — przerwał Karwicz — gdzie jest Wierszul?

— Pojechał już na podjazd, nie zna on spoczynku.

— Uważcie tedy, mości panowie — mówił p. Zagłoba, niekontent, że mu przerwano opowiadanie — jakom tę chorągiew zdobył...

— To Wierszul nie ranny? — pytał znów Karwicz.

— ...Nie pierwszą to już zdobyłem w życiu, ale żadna nie przysła mi z taką pracą...

— Nie ranny, jeno potłuczony — odpowiedział Azulewicz, Tatar — i wody się napił, bo padł głową do stawu.

— To się dziwię, że ryby nie pozdychały — rzekł z gniewem pan Zagłoba — bo od takiej ognistej głowy musiała się woda zagotować.

— Wszelako wielki to kawaler!

— Nie tak zbyt wielki, skoro dość było na niego pół-Jana. Tfu, z waszmościami dogadać się nie można! Moglibyście się też odemnie nauczyć, jak zdobywać chorągwie na nieprzyjacielu...

Dalszą rozmowę przerwał młodziuchny pan Aksak, który w tej chwili zbliżył się do ogniska.

— Nowiny przynoszę waszmościom! — rzekł dźwięcznym, półdziecięcym głosem.

— Nianka pieluch nie uprała, kot mleko zjadł i farfurka się stłukła — mruknął pan Zagłoba.

Ale pan Aksak nie zważał na tę przymówkę do swego chłopięcego wieku i rzekł:

— Pułjana ogniem pieką...

— Będą psi mieli grzanki! — przerwał pan Zagłoba.

— ...I czyni zeznania. Układy zerwane. Pan z Brusłowa mało nie szaleje. Chmiel idzie z całą potęgą w pomoc Krzywonosowi.

— Chmiel? cóż to Chmiel? Kto tu sobie co robi z Chmiela? Idzie Chmiel, będzie piwo, beczka ortę! Drwiemy z Chmiela!... — trzepał pan Zagłoba, tocząc przytem groźnie i dumnie oczyma po obecnych.

— Idzie więc Chmiel, ale Krzywonos na niego nie czekał i dlatego przegrał...

— Grał duda, grał — aż przegrał...

— Sześć tysięcy mołojców jest już w Machnówce. Wiedzie ich Bohun.

— Kto? kto? — spytał nagle zgola innym głosem Zagłoba.

— Bohun.

— Nie może być!

— Tak zeznaje Pułjan.

— Maszże babo placek! — zawołał żałośnie pan Zagłoba. — Prędkoż oni tu mogą być?

— We trzech dniach. Wszelako do bitwy idąc, nie będą tak śpieszyć, by koni nie zegnać.

— Ale ja będę śpieszył! — mruknął szlachcic. — Anieli pańscy, ratujcież mnie od tego lajdaka. Oddałbym chętnie moją zdobytą chorągiew, byle ten paliwoda kark skręcił, nim tu dojdzie. *Spero*, że nie będziem też tu długo czekać. Pokazaliśmy Krzywonosowi, co umiemy, a teraz czasby spoczynku zażyć. Nienawidzę tak owego Bohuna, że bez abominacyi wspomnieć jego dyabelskiego nazwiska nie mogę. Otom się wybrał! Nie mogłem to w Barze siedzieć? Licho mnie tu przyniosło...

— Nie trwóż się waść — szepnął Skrzetuski — bo wstyd! Między nami nic ci nie grozi.

— Nic mi nie grozi? Wać go nie znasz! On się już może gdzie między ogniami ku nam czolgnie. (Tu pan Zagłoba obejrzał się niespokojnie wokoło.) A i na waści on równie zawzięty, jak na mnie.

— Dajże mi Boże z nim się spotkać! — rzekł pan Skrzetuski.

— Jeśli to ma być łaska, to wolę jej nie doznać. Opuuszczę mu chętnie, jako chrześcijanin, wszystkie krzywdy, ale pod warunkiem, że go na dwa dni przedtem powieszą. Nie trwożę się ja, ale waść nie uwierzysz nawet, jak nadzwyczajna abominacya mnie porywa! Lubię ja wiedzieć, z kim mam do czynienia: z szlachcicem, to z szlachcicem, z chłopem, to z chłopem; ale to dyabel jakiś wcielony, z którym nie wiedzieć czego się trzymać. Ważyłem ja się na niemałe z nim rzeczy, ale jakie oczy zrobił, gdym mu łeb obwιάzywał, tego ja waści nie wypowiem i w godzinę śmierci pamiętać będę. Nie chcę budzić licha, póki śpi. Na raz sztuka. Waszmości też powiem, żeś jest niewdzięcznikiem i o tę niebogę nie dbasz...

— A to quo modo?

— Bo — rzecze pan Zagłoba, odciągając rycerza od ogniska — waść swoim wojennym humorom i fantazyi dogadzając, wojujesz i wojujesz, a ona tam lacrimis się każdego dnia zalewa, napróżno responsu czekając. Czegoby inny nie uczynił, ale jużby dawno mnie wyprawił, mając w sercu afekt prawdziwy i nad jej tęsknością zlitowanie.

— Myślisz tedy waść do Baru wracać?

— Choćby dziś, bo i mnie jej żal.

Pan Jan oczy tęskne ku gwiazdom podniósł i tak mówił:

— Nie pomawiajże mnie waszmość o nieszczerłość, bo Bóg mi świadek, że kawałka chleba do ust nie wezmę, ni nędznego ciała snem nie pokrzepię, żebym wprzód o niej nie pomyślał, a już to w sercu mojem nikt stal-szej nad nią rezydencyi mieć nie może. A żem waszmości z responsem nie wyprawiał, to dlatego, żem sam chciał jechać, aby kochaniu folgę dać, i nie zwłócząc, ślubem się wiekuistym z nią połączyć. A niemasz takowych skrzydeł na świecie, ani takiego lotu, którymby tam lecieć nie chciał, do tej niebogi mojej...

— To czemu waść nie lecisz?

— Bo mi przed bitwą tego czynić nie wypadało. Żołnierzem i szlachcicem jestem, przeto o honor dbać muszę...

— Ale dziś jest po bitwie, ergo... możemy ruszyć, choć zaraz...

Pan Jan westchnął.

— Jutro uderzymy na Krzywonosą...

— Tego to ja, widzi waść, nie rozumiem. Pobiłście młodego Krzywonosę, przyszedł stary Krzywonos;

pobijecie starego Krzywonosą, przyjdzie młody ten tam... (żeby w złą godzinę nie wymówić) ...Bohun, pobijecie jego, przyjdzie Chmielnicki. Co u dyabła! Jak tak pójdzie, to się lepiej waść od razu zesforuj z panem Podbipiętą; będzie dudek z czystością plus Imię Skrzetuski, summa fecit: dwóch dudków i czystość. Dajno waćpan pokój, bo dalibóg! pierwszy będę kniaziównę namawiał, żeby waści rogi przyprawiała, a tam pan Jędrzej Potocki, jak ją ujrzy, to aż skrami parska, czekać tylko, jak zarzy końską manierą. Tfu u licha! żeby mi to jaki młodziak powiadał, który bitwy nie zaznał i reputacją czynić sobie dopiero potrzebuje, tobym rozumiał, ale nie waść, coś się krwie ożłopał jak wilk, a pod Machnowką, jak mnie powiadano, zabiłeś jakiegoś smoka piekielnego, czy ludojada. *Juro* na ten miesiąc niebieski, że waść coś tu kręcisz, albo się tak już rozłakomił, że krew wolisz, niż łożnicę.

Pan Skrzetuski mimowoli na księżyc spojrział, kóren na wysokiem wyiskrzonem niebie płynął, jak srebrny korab nad obozem.

— Mylisz się waść — rzekł po chwili. — Nie we krwi ja smakuję, ani też na reputacją zarabiam, ale nie godzi mi się porzucać towarzyszków w ciężkiej potrzebie, gdy chorągiew *nemine excepto* ma stawiać. W tem honor kawalerski, a to jest święta rzecz. Co zaś do wojny, potrwa ona niezawodnie, gdyż zbyt się już rozwielnomniło tałatajstwo; wszelako skoro Krzywonosowi idzie na pomoc Chmielnicki, to będzie przerwa. Albo jutro Krzywonos pole nam da, albo nie. Jeśli da, to z pomocą Bożą słuszne otrzyma ćwiczenie, a potem musimy iść do spokojniejszego kraju, by też tchu trochę piersiami złapać. Wszak to już dwa miesiące przeszło, jak nie

śpimy, nie jemy, jeno się bijem i bijem, dzień i noc dachu nad głową nie mając, na wszystkie nawalności elementów narażeni. Książę to wielki wódz, ale i roztropny. Nie porwie się on tak na Chmielnickiego, w kilka tysięcy ludzi przeciw krociom. Wiem też, że pójdzie ku Zbarażu, tam się odżywi, żołnierzków nowych pozbiera, szlachta się z całej Rzeczypospolitej do niego zbiegnie — i dopieroż na wałną rozprawę ruszymy. Jutro tedy ostatni dzień pracy, a pojutrze będę już mógł z waszmością, z czystym sercem do Baru ruszyć. I to jeszcze waści dla uspokojenia dodam, że ów Bohun żadną miarą na jutro nie zdąży i w bitwie nie weźmie udziału, a choćby też i wziął, mam nadzieję, że jego chłopska gwiazda nietylko przy książęcej, ale i przy mojej rycerskiej zblednie.

— Belzebub to jest wcielony. Mówilem waści, że nie lubię tłoku, ale on gorszy od tłoku, choć *repeto*, że nie tyle bojaźni, ile wstrętu do niego przewyciężyć nie mogę. Ale dobrze. Mniejsza z tem! Jutro tedy garbowanie chłopskich grzbietów, a potem drała do Baru! Oj! będąż się te śliczne oczy śmiały na waćpana *con-spectus*; oj! będzieże się to liczko płonąć. A już to, powiem waści, że i mnie do niej tęskno, bo ją jako ojciec miłuję. I nie dziw. Synów *legitime natos* nie mam, fortuna daleko, bo aż w Turczech, gdzie mi ją pogańscy komisarze kradną, i żyję jako sierota na tym świecie, a na starość chyba do pana Podbipięty do Myszykiszek na rezydenta pójde.

— Będzie to inaczej, niech waści głowa nie boli. Za to, coś dla nas uczynił, już też ci nadto wdzięczności okazać nie możemy.

Dalszej rozmowie przeszkodził jakiś oficer, który, przechodząc tuż obok, spytał:

— A kto tam stoi?

— Wierszul! — zawołał pan Skrzetuski, poznając po głosie. — Z podjazdu?

— Tak jest. A teraz od księcia.

— Co tam słyhać?

— Bitwa jutro. Nieprzyjaciel groblę poszerza, mosty na Styrcze i na Słuczy stawi, chcąc się do nas dostać koniecznie.

— A cóż ksiązę na to?

— Ksiązę powiedział: dobrze!

— I nic więcej?

— Nic. Nie kazał przeszkadzać, a tam siekiery aż huczą! Do rana będą pracować.

— Języka dostałeś?

— Porwałem siedmiu. Wszyscy zeznają, iż o Chmielnickim słyszeli, że idzie, ale podobno jeszcze daleko. Co za noc!

— Widno jak w dzień. A jak ci tam po upadku?

— Kości bolą. Idę podziękować naszemu Herkulesowi, a potem spać, bom strudzon. Żeby choć ze dwie godzin przedrzemać!

— Dobranoc!

— Dobranoc!

— Pójdź i waszmość — rzekł pan Skrzetuski do Zagłoby — bo późno, a jutro praca.

— A pojutrze podróż — przypomniał pan Zagłoba.

Poszli i odmówiwszy pacierze, pokładli się koło ognia. Wkrótce też ogniska poczęły gasnąć jedne po drugich. Obóz obwijała ciemność — i tylko księżyc rzucał nań srebrne blaski, którymi rozświecał coraz to nowe grupy śpiących. Ciszę przerywało tylko ogólne, potężne chrapanie i nawoływania strażników, czuwających za obozem.

Ale sen nie na długo skleił ciężkie powieki żołnierzy. Zaledwie pierwszy brzask zabielił cienie nocy, gdy we wszystkich końcach obozu zabrzmiały trąbki na „wstawaj!”

W godzinę potem książę, ku wielkiemu zdziwieniu rycerstwa, cofał się na całej linii.

ROZDZIAŁ XVI.

Ale było to cofanie się lwa, który potrzebuje miejsca do skoku.

Księżę umyślnie puścił Krzywonosą za przeprawę, by tem większą zadać mu klęskę. W samym początku bitwy uderzył po koniu i począł niby uciekać, co widząc, niżowcy i czerń rozerwali swe szyki, aby go dogonić i otoczyć. Wtedy księżę zwrócił się nagle i całą jazdą od razu na nich uderzył, tak strasznie, że ani przez chwilę oporu dać nie mogli. Gnano ich tedy milę do przeprawy, potem przez mosty, groble i pół mili aż do taboru, siekąc i mordując bez miłosierdzia, a bohaterem dnia tego był szesnastoletni pan Aksak, którego pierwszy uderzył i pierwszy popłoch rozniósł. Z takim też tylko wojskiem, starem i wyćwiczonem, mógł księżę na podobne puszczać się fortele i ucieczkę zmyślać, która w każdym innych szykach mogła na prawdziwą się zmienić. Ale za to drugi ten dzień daleko cięższą jeszcze skończył się dla Krzywonosą klęską. Pobrano wszystkie połowe działa, mnóstwo chorągwi, między niemi kilkanaście koronnych, wziętych przez zaporozców pod Korsuniem. Gdyby piechoty Koryckiego, Osińskiego i armaty Wurcla mogły za jazdą nadążyć, wzięto by za jednym zamachem i tabor. Ale nim nadeszły, zrobiła się noc

i nieprzyjaciel oddalił się już znacznie, tak że go niepodobna było osiągnąć. Wszelako Zaćwilichowski zdobył połowę taboru, a w nim ogromne zapasy broni i żywności. Czerń już po dwakroć porywała Krzywonosą, chcąc go księciu wydać, i zaledwie obietnicą natychmiastowego powrotu do Chmielnickiego zdołał się z jej rąk uratować. Uciekał też z pozostałą połową taboru, dziesiątkowany, zbity, zrozpaczony i nie oparł się aż w Machnówce, dokąd nadszedłszy, Chmielnicki kazał go, w chwili pierwszego gniewu, za szyję do armaty na łańcuchu przykuć.

I dopiero gdy pierwszy gniew minął, wspomniał hetman zaporoski, że przecie nieszczęsny Krzywonos cały Wołyń krwią oblał, że Połonne zdobył, tysiące dusz szlacheckich na tamten świat wysłał, a ciała zostawił bez pogrzebu i wszędy był zwycięski, dopóki się z Jeremim nie spotkał. Za te zasługi ulitował się nad nim hetman zaporoski i nietylko od armaty go zaraz kazał odczepić, ale do dowództwa go przywrócił i na Podole, na nowe zdobycze i rzezie wysłał.

A tymczasem książę ogłosił swemu wojsku tyle pożądaną wypoczynek. W ostatniej bitwie poniosło też i ono znaczne straty, zwłaszcza przy szturmach jazdy na tabor, z za którego bronili się kozacy równie zacięcie, jak z ręcznie. Poległo wówczas do pięćset żołnierza. Pułkownik Mokrski, ciężko ranny, wkrótce ducha wyzionął; postrzelony był, lubo nieszkodliwie, i pan Kuszel, i Polanowski, i młody pan Aksak, a pan Zagłoba, który oswoiwszy się z tłokiem, mężnie razem z innymi stawał, uderzony dwukrotnie cepem, rozchorzał na krzyże i ruszyć się nie mogąc, na powózce Skrzetuskiego jak martwy leżał.

Pomieszał więc los zamiar jechania do Baru, bo nie mogli ruszyć zaraz, tembardziej, że księżę pana Skrzetuskiego na czele kilku chorągwi aż pod Zasław wysłał, by tam zebrane kupy czerni wydusił. Poszedł rycerz, słowa o Barze przed księciem nie wspomniawszy, i przez pięć dni palił i ścinał, póki okolicy nie oczyścił.

Nakoniec i ludzie strudzili się już bardzo nieustanną walką, dalekimi pochodami, zasadzkami, czuwaniem, postanowił więc wracać do księcia, o którym miał wiadomość, że do Tarnopola się udał.

Wigilią powrotu, zatrzymawszy się w Suchorzynkach nad Chomorem, rozłożył pan Jan chorągwie po wsi, a sam stanął na nocleg w chacie chłopskiej, ponieważ zaś wielce był niewywczaśsem i pracą wyczerpany, zasnął zaraz i spał kamiennym snem całą noc.

Nad ranem, w pół senny jeszcze, w pół przebudzony, jał majaczyć i marzyć. Dziwne obrazy poczęły mu się przesuwać przed oczyma. Więc zdawało mu się naprzód, że jest w Łubniach, jakby z nich nigdy nie wyjeżdżał, że śpi w swojej izbie w cekhauzie i że Rzędzian, jako zwykle rankiem, krząta się koło jego odzieży i do wstawania mu ją przygotowują.

Zwolna jednakże jawa poczęła rozpraszać przywidzenia. Przypomniał sobie rycerz, iż jest w Suchorzynkach nie w Łubniach — jedna tylko postać pacholika nie rozplywała się we mgle. I widział go ciągle pan Skrzetuski siedzącego pod oknem, na zydlu, i zajętego smarowaniem rzemieni u pancerza, które od upału pokurczyły się były znacznie.

Wszakże ciągle jeszcze myślał, że to senna mara broi, więc przymknął na nowo oczy.

Po chwili otworzył je. Rzędzian siedział ciągle pod oknem.

— Rzędzian! — krzyknął pan Jan — tyżeś to, czyli twój duch?

A chłopak przestraszył się nagłego wołania, więc pancierz upuścił z brzękiem na podłogę, ręce rozstawił i rzekł:

— O dla Boga! czego to jegomość tak krzyczy? Zaś tam jaki duch! Żyw jestem i zdrowy!

— I wrócilesz?

— Albo to mnie jegomość wypędzał?

— Pójdź tu do mnie, niech cię uścisnę!

Wierny pacholik przypadł do pana i za kolana objął, a zaś pan Skrzetuski całował go w głowę z radością wielką i powtarzał:

— Żyw jesteś! żyw jesteś!

— O mój jegomość! od radości mówić nie mogę, że też jegomościę ciało jeszcze w zdrowiu oglądam... O dla Boga!... jeno jegomość tak wrzasnął, że ażem pancierz upuścił... Rzemieniska się pokurczyły... widać nijkiej posługi jegomość nie miał. Chwałaż ci, Boże, chwała... o moje panisko kochane!

— Kiedyżeś przyjechał?

— A dziś w nocy.

— I czemużeś mnie nie obudził?

— O! miałbym budzić!? Rano przyszedłem szatki wziąć...

— Skądżeś przyjechał?

— A z Huszczy.

— Cóż tam robił? co się z tobą działo? mów, opowiadaj!

— To, widzi jegomość, przyjechali kozacy do Hu-

szczy pana wojewodę braclawskiego rabować i palić, a ja tam już pierwiej byłem, bom tam z ojcem Patronim Łaską przyjechał, któren mnie do Chmielnickiego do Huszczy zabrał; bo jego do Chmielnickiego pan wojewoda z listami przysłał. Więc ja się z nim zabrałem z powrotem, a teraz kozacy Huszczę spalili i ojca Patroniego, za jego serce ku nam, zamordowali, coby pewnie i pana wojewodę potkało, gdyby się tam znajdował, choć on także blahocześciwy i wielki ich dobrodziej...

— Mówże tedy jasno i nie mieszaj, bo zrozumieć nie mogę. Toś ty u kozaków, u Chmiela przesiadywał, czy jak?

— Juści że u kozaków. Bo jak mnie ogarnęli w Czehrynie, tak mnie mieli za swego i trzymali. Niechno się jegomość ubiera. Mój Boże, a takie wszystko poniszczzone, że i w rękę niema co wziąć. Bodajże cię... Mój jegomość, już też niech się jegomość nie sierdzi, zem ja tego listu, co jegomość z Kudaku pisał, w Rozłogach nie oddał, ale mi go ten złodziej Bohun wydarł; gdyby nie ów gruby szlachcic, to i żywotabym zbył.

— Wiem, wiem. Nie twoja wina. Ten gruby szlachcic jest w obozie. On mi wszystko opowiadał, tak właśnie jak było. A też i pannę Bohunowi wykradł, która w dobrem zdrowiu w Barze żywie.

— O! to chwała Bogu! wiedziałem też, że jej Bohun nie dostał. To już pewno weselisko niezadługo.

— Pewnie, że tak. Stąd zaraz ruszymy wedle ordynansu do Tarnopola, a stamtąd do Baru.

— Bogu najwyższemu dzięki. Chybaż on się powiesi — ów Bohun — ale już jemu czarownica przepowiadała, że on tej, o której myśli, nigdy nie dostanie i że Lach ją posiędzie, a ten Lach, to pewnie jegomość.

— Skądże ty o tem wiesz?

— Bom słyszał. Muszę już ja dokumentnie wszystko jegomości opowiedzieć, a jegomość niech się tymczasem ubiera, bo też i śniadanie dla nas warzą. Owóż, jakem wyjechał tą czajką z Kudaku, takeśmy jechali okrutnie długo, bo pod wodę, a do tego popsowała nam się czajka i trzeba było naprawiać. Jedziemy tedy, jedziemy, mój jegomość, jedziemy...

— Jedzicie, jedzicie!... — przerwał zniecierpliwiony pan Jan.

— I przyjechaliśmy do Czehryna. A co mnie tam spotkało, to już jegomość wie.

— To już wiem.

— Owóż, leżę ja w stajni, świata Bożego nie widzę. A wtem przyszedł Chmielnicki, zaraz po odjeździe Bohunowym, z okrutną siłą zaporoską. A że to poprzednio pan hetman wielki pokarał czehryńców za afekt dla zaporozców, i wiele ludzi było w mieście pobitych i poranionych, więc oni myśleli, że ja także z tych i dlatego nietylko mnie nie dobili, ale jeszcze dali wygodę, opatrunek i Tatarom wziąć nie dozwolili, chociaż oni im na wszystko pozwalają. Przyszedłszy ja tedy do przytomności, myślę, co mam robić? A ci złodzieje pod Korsuń przez ten czas poszli i tam panów hetmanów pobili. O mój jegomość, co moje oczy widziały, tego nie wypowiedzieć! Oni zaś nic nie ukrywali, wstydu nijakiego nie znając i że to za swego mię mieli. A ja myślę: uciekać, czy nie uciekać? Alem widział, że bezpieczniej zostać, póki się lepsza okazyja nie trafi. Kiedy to zaczęli zwozić z pod Korsunia makaty, rzędy, srebra, kredensy, klejnoty... oj! oj! mój jegomość — mało, że mi się serce nie rozpukeło i oczy z głowy nie wylazły.

To ci tacy zbóje, sześć łyżek srebrnych za talera, a potem za kwartę wódki sprzedawali, a guz złoty, albo zapinkę, albo trzęsienie od czapki, to mogłeś i za pół kwarty dostać. Tak ja sobie myślę: co mam po próżnicy siedzieć, niechże skorzystam. Da-li Bóg wrócić kiedy do Rzędzian, na Podlasie, gdzie rodziciele mieszkają, to im oddam, bo oni tam mają proces z Jaworskimi, co już pięćdziesiąt lat trwa, a nie ma za co go dłużej prowadzić. Więc nakupiłem mój jegomość tyle wszelakiego dobra, żem na dwa konie ładować musiał, mając to sobie za pocieszenie w smutkach moich, bo mi za jegomością okrutnie było tęskno.

— Oj, Rzędzian, zawsześ jednaki! Ze wszystkiego musisz mieć korzyść.

— Że mnie Bóg pobłogosławił, to cóż złego. Ja przecie nie kradnę, a że mnie jegomość dał trzosik na drogę do Rozłogów, to oto jest! Moje prawo oddać, bom też do Rozłogów nie dojechał.

Tak mówiąc, pacholek odpiął pas, wyjął trzosik i położył go przed rycerzem, a pan Skrzetuski uśmiechnął się i rzekł:

— Kiedy ci tak dobrze szło, toś pewnie odemnie bogatszy, ale już trzymaj i ten trzosik.

— Dziękuję pokornie jegomości. Zebrało się trochę — Boża łaska! Będą się rodziciele cieszyć i dziadus, co ma dziewięćdziesiąt lat. A już Jaworskich, to chyba do ostatniego grosza sprocesują i z torbami ich puszczą. Jegomość też skorzysta, bo już tego pasa kropiastego, co mi go jegomość w Kudaku obiecał, nie będę przypominał, choć mi się bardzo udał.

— Boś już przypomniał! — o taki synu! Prawdziwy z ciebie lupus insatiabilis! Nie wiem ja, gdzie

ten pas — aleć, skorom obiecał, to dam, nie ten, to inny.

— Dziękuję pokornie jegomości — rzekł pacholik, obejmując pańskie kolana.

— Mniejsza z tem! prawie dalej, coć spotkało.

— Bóg tedy dał korzyść między rozbójnikami. Jeno tem się trapiłem, żem nie wiedział, co się z jegomością dzieje i tem, że Bohun pannę zagarnął. Aż tu dają znać, że on w Czerkasach leży, ledwie żyje, bo przez kniaziów poszczerbion. Tak ja do Czerkas: jak to jegomość wie, że umiem plaster przyłożyć i rany opatrzyć. A już mnie z tego znali. Tak mnie tam Doniec pułkownik wysłał i sam ze mną pojechał, bym onego zbója opatrywał. Dopieroż mi ciężar z serca spadł, bom się dowiedział, że nasza panna uszła z onym szlachcicem. Poszedłem tedy do Bohuna. Myślę: pozna, nie pozna? A on w gorączce leżał, więc z początku nie poznał. Później zaś poznał, i mówi mi: „Tyś z listem do Rozłogów jechał?” Rzeknę: „ja”. — A on znowu: „Tom ja ciebie w Czehrynie rozszczepił?” — „Tak jest”. — „To ty (prawi) służysz panu Skrzetuskiemu?” Dopiero kiedy nie zacznę lgać: „Nikomu ja już (mówię) nie służę. Więcej ja krzywd niż dobrego w tej służbie zaznał, więc wołałem na swobodę do kozaków pójść, a waszmości już dziesięć dni pilnuję i do zdrowia doprowadzę!” Więc on uwierzył i do wielkiej ze mną konfidencyi przyszedł. Dowiedziałem się też od niego, że Rozłogi spalone, że kniaziów dwóch zabił, a inni, zasłyszawszy o tem, chcieli naprzód do naszego księcia iść, ale że nie mogli, więc do wojska litewskiego uciekli. Ale najgorzej, jak tego grubego szlachcica wspo-

niał — to tak zębami, mówię jegomości, zgrzytał, jakby kto orzechy gryzł.

— Długo chorował?

— Długo, długo, bo zrazu mu się rany goiły, potem się zaś otwierały, gdyż się z początku nie zaszanovał. Mało ja się to nocy przy nim wysiedziałem (żeby go usiekli!) — jak przy kim dobrym. A trzeba jegomości wiedzieć, że ja sobie na zbawienie duszy poprzysiągł, że mu za moją krzywdę zapłacę i tego ja, mój jegomość, dotrzymam, choćbym całe życie miał za nim chodzić — bo mnie niewinnego tak sponiewierał i potłukł jako psa, a ja też nie żaden cham jestem. Już on musi zginąć z mojej ręki, chyba go kto inny wcześniej zabije. To mówię jegomości, że ze sto razy miałem okazją, bo często nikogo przy nim nie było, prócz mnie. Myślałem sobie tedy: zali mam go pchnąć — czy nie? — Ale mi było wstyd tak go zgnać w łożu leżącego.

— To ci się chwali, żeś go aegrotum et inermem nie mordował. Chłopska byłaby to sprawa, nie szlachecka.

— Ano widzi jegomość, ja też tak samo myślałem. Jeszczem sobie wspomniał, że jak mnie z domu rodziciele wyprawiali, tak mnie dziadus przeżegnał i powiada: „Pamiętaj kpie, żeś szlachcic i ambicyą miej, wiernie służ, ale poniewierać się nie daj“. Mówił też, że jak szlachcic po chłopsku sobie postąpi, to pan Jezus płacze. A jam spamiętał termin i tego się wystrzegam. Musiałem więc okazji poniechać. A tu konfidencya co-raz to większa! Nieraz pyta mnie: „czem ja tobie nagrodzę?“ — To ja: „czem waszmość będziesz chciał“. I nie mogę się skarżyć, opatrzył mnie hojnie, a ja też

wziąłem, bo myślę sobie: poco ma w zbójceckich rękach zostawać. Przez niego i inni też mi dawali, bo mówię jegomości, że tam żaden tak kochany nie jest, jako on, i od niżowych i od czerni, chociaż w całej Rzeczpospolitej niemasz szlachcica, którenby taki kontempt dla czerni miał, jak on..

Tu Rzędzian począł głową kręcić, jakby sobie coś przypominał i czemuś się dziwił, a po chwili tak dalej mówić począł:

— Dziwny to jest człek i trzeba przyznać, że ma wcale szlachecką fantazyą. A tę pannę — to on miłuje! miłuje! mocny Boże! Jak tylko trochę ozdrowiał, przychodziła do niego Dońcówna, żeby mu to wróżyć. I wróżyła, ale nic dobrego. Bezecna to olbrzymka, z dyablami w komitywę wchodzi.. ale dziewczysko hoże. Jak się zaśmieje, to przysiągłbyś, że kobyła na łące rzy. Zębiska białe pokazuje, taka mocna, że pancierz może rozdrzeć, a jak chodzi, aż się ziemia trzęsie. I widać z dopuszczenia Bożego coś sobie do mnie upatrzyła, że jej się uroda moja podobała. To, bywało, nie przejdzie koło mnie, żeby mnie za łeb, albo za rękaw nie pociągnąć, albo nie szturchnąć — i nieraz mówi: „chodź!” A jam się bał, żeby mi czarny gdzie na osobności karku nie skręcił, bo zarazby wszystko com zebrał przepadło. Więc jej odpowiadam: „mało to masz innych!” A ona: „udałeś mi się, chociażś dzieciuch! udałeś mi się”. „Poszła precz, basetlo!” To ona znów: „udałeś mi się! udałeś mi się!”

— I widziałeś wróżby?

— Widziałem, słyszałem. Dymiska jakieś, syki, piski, jakieś cienia, ażem truchlał. Ona zaś w środku stojąc, brwi czarne w kozła postawi i powtarza: „Lach

przy niej! Lach przy niej! czyłu! huku — czyłu!.. Lach przy niej!“ To znów pszenicy na sito nasypie i patrzy, a ziarnka to tak chodzą, jak robactwo i „czyłu! huku! czyłu! Lach przy niej!“ — Ej! mój jegomość! żeby to nie taki zbój, toby żal było patrzeć na tę jego desperacyą po każdej wróżbie. Bywało: zblednie jak giezło, na wznak padnie, ręce nad głową załamie, i zawodzi i skowytą, i prosi się i przeprasza panienkę, że jako gwałtownik do Rozłogów przyszedł, że braci jej pobił: „gdzie ty zazula, gdzie ty jedyna! (prawi) — ja na rękę ciebie nosił — a teraz nie żyć mnie bez ciebie!.. Już ja cię (prawi) ręką nie tknę, twój rab będę, byle oczy na cię patrzyły“. To znów pana Zagłobę wspomni i zgrzyta i zębami łoże kąsa, póki go sen nie obali, ale jeszcze i przez sen jęczy, a wzdycha.

— Ale nigdy mu dobrze nie wróżyła?

— Już potem nie wiem, mój jegomość, bo on ozdrowiał, a ja się też od niego odczepilem. Przyjechał ksiądz Łasko, więc mnie Bohun to zrobił, że mogłem z nim do Huszczy jechać. Oni tam zbójce wiedzieli, że dobra wszelakiego trochę mam, a jam też nie ukrywał, że jadę rodzicieli wspomódz.

— I nie zrabowali cię?

— Może byliby to uczynili, ale szczęściem Tata-rów wtedy nie było, a kozacy nie śmieli dla strachu przed Bohunem. Zresztą już oni mnie całkiem za swego mają. Kazał mi przecie sam Chmielnicki słuchać, a donosić, co się będzie u wojewody braclawskiego mówiło, jeśli się jacy panowie zjadą... Niech mu tam kat świecił! Przyjechałem tedy do Huszczy, aż tu przyszły podjazdy Krzywonosowe i ojca Łaska zabiły — a jam połowę swojego dobra zakopał, a z połową tu uciekłem, zasły-

szawszy, że jegomość gromi koło Zaslawia. Bogu najwyższemu niech będzie chwała, że jegomości w do-
brem zdrowiu i humorze zastał i że się jegomości we-
selisko szykuje... To już będzie koniec wszystkiego złego.
Mówilem ja tym złodziejom, co na księcia, naszego pana,
szli, że już nie wrócą. Mają teraz! Może też i wojna się
już skończy.

— Gdzie tam! Teraz się z samym Chmielnickim
dopiero zacznie.

— A jegomość będzie po weselu wojował?

— Zaś myślałeś, że mnie tchórz we weselu obleci?

— Ej, nie myślałem. Wiem ja, że kogo obleci, to
jegomości nie obleci, jeno tak się pytam, bo jak rodzi-
cielom odwiozę to, com zebrał, chciałbym też z jegomo-
ścią pójść. Może też Bóg mi dopomoże z mojej krzywdy
się Bohunowi wypłacić, bo kiedy zdradą nie przystoi, to
gdzież ja jego znajdę, jeśli nie w polu. On się nie bę-
dzie chował...

— Takiś zawzięty?

— Każdy niech będzie przy swoim. A ja jakom
sobie obiecał, tak i do Turczehbym za nim pojechał.
Już nie może inaczej być. A teraz ja z jegomością do
Tarnopola pojedę — a potem na wesele. Ale czemu to
jegomość do Baru na Tarnopol jedzie? Wždyć to nie
po drodze.

— Bo muszę chorągwie odprowadzić.

— Rozumiem, mój jegomość.

— Teraz daj co zjeść! — rzekł pan Skrzetuski.

— Już ja o tem myślałem. Brzuch to grunt.

— Zaraz po śniadaniu ruszymy.

— To i chwała Bogu, choć koniska mam zmize-
rowane okrutnie.

— Każę ci dać powodnego. Będiesz już na nim jeździł.

— Dziękuję pokornie jegomości — rzekł Rzędzian, uśmiechając się z zadowoleniem na myśl, że licząc trzosik i pas kropiasty, trzeci to już go dar spotyka.

ROZDZIAŁ XVII.

Jechał więc pan Skrzetuski na czele chorągwi książęcych do Zbaraża nie do Tarnopola, bo przyszedł nowy ordynans, że tam ma iść, a po drodze opowiadał wierzniemu pacholikowi swoje własne przygody, jako w niewolę na Siczy był pojman, jako długo w niej przebył i ile przecierpiał, zanim go Chmielnicki wypuścił. Szli wolno, bo choć wozów i ciężarów nie prowadzili, wszelako droga wypadła im krajem tak zniszczonym, że o żywność dla ludzi i koni z największym trudem trzeba się było starać. Gdzieniegdzie spotykali gromady ludzi wynędzniałych, zwłaszcza kobiet z dziećmi, które Boga prosiły o śmierć, lub nawet o niewolę tatarską, gdyż przynajmniej jeśćby im w pętlach dawano. A był to przecie czas żniw w tej bujnej, mlekiem i miodem płynącej ziemi, ale podjazdy Krzywonosowe zniszczyły wszystko, co się tylko zniszczyć dało, a resztki mieszkańców żywiły się korą drzewną. Dopiero w pobliżu Jampola weszli rycerze w kraj wojną jeszcze nietyle zmordowany i już mając wywczasys lepsze i spyży obfitość, szli śpiesznemi pochodami ku Zbarażowi, do którego w pięć dni od wyruszenia z Suchorzyniec dojechali.

W Zbarażu zjazd był wielki. Książę Jeremi zatrzy-

mał się tam z całym wojskiem, a prócz tego zjechało się żołnierstwa i szlachty niemało. Wojna wisiała w powietrzu, o niej tylko mówiono; miasto i okolica roily się zbrojnym ludem. Partya pokojowa w Warszawie, podtrzymywana w nadziejach swych przez pana Kisiela, wojewodę braclawskiego, nie wyrzekła się wprawdzie jeszcze układów i zawsze wierzyła, iż można będzie nimi burzę zażegnać, ale zrozumiała jedno, że układy natenczas tylko skutek mieć będą, gdy na poparcie ich stanie potężna armia. To też konwokacya odbyła się wśród groźb wojennych i grzmotów, jakie zwykły burzę poprzedzać. Ogłoszono pospolite ruszenie, ściągano wojska kwarciane, a choć kanclerz i regimentarze jeszcze wierzyli w pokój, przecie humor wojenny przeważał w duszach szlacheckich. Pogromy dokonane przez Wiśniowieckiego rozpały wyobraźnię. Umysły płonęły żądzą zemsty nad chłopstwem i żądzą odwetu za Żółte wody, za Korsuń, za krew tylu tysięcy męczeńską śmiercią zmarłych, za hańbę i upokorzenia... Imię straszego księcia rozblysło słonecznym blaskiem sławy — było na wszystkich ustach, we wszystkich sercach, a z tem imieniem w parze rozlegało się od brzegów Bałtyku, aż po Dzikie pola, złowrogie słowo: wojna!

Wojna! wojna! Zwiastowały ją i znaki na niebie, i rozplomienione twarze ludzkie, i błyskania mieczów, i nocne wycie psów przed chatami i rzenie koni krew wietrzących. Wojna! Herbowy lud po wszystkich ziemiach, powiatach, dworach i zaściankach wyciągał stare zbroice i miecze z lamusów, młodzież śpiewała pieśni o Jeremim, a niewiasty modliły się przed oltarzami. I ruszyły się zbrojne ludyszcza, zarówno w Prusach, Inflantach, jak w Wielkopolsce i rojnem Mazowszu aż

hen! do bożych szczytów tatrzańskich i ciemnych borów Beskidu.

I wojna leżała w sile rzeczy. Rozbójniczy ruch Zaporozża i ludowe powstanie ukraińskiej czerni potrzebowały jakichś wyższych hasel, niż rzeź i rozbój, niż walka z pańszczyzną i z magnackimi latyfundiami. Zrozumiał to dobrze Chmielnicki i korzystając z tlejących rozdrażnień, z obopólnych nadużyć i ucisków, jakich nigdy w onych surowych czasach nie brakło, socyalną walkę zmienił w religijną, rozniecił fanatyzm ludowy i zaraz w początkach przepaść między oboma obozami wykopał — przepaść, którą nie pergaminy i układy, ale krew tylko mogła wypełnić.

I pragnąc z duszy układów, siebie tylko i własną potęgę chciał ubezpieczyć — a potem?... Co miało być potem, hetman zaporoski nie myślał, a w przyszłość nie patrzył i nie dbał o nią.

Nie wiedział jednak, że owa stworzona przezeń przepaść tak jest wielka, iż żadne układy nie wyrównają jej nawet na taki czas, jakiego on sam, Chmielnicki, mógł potrzebować. Bystry polityk, nie odgadł, iż nie będzie mógł w spokoju krwawych owoców swego żywota spożywać.

A jednak łatwo to było zgadnąć, że gdzie na przeciw siebie staną uzbrojone krocie, tam pergaminem do spisywania aktów będą błonia, a piórami miecze i włócznie.

Toczyły się tedy wypadki siłą rzeczy ku wojnie — i nawet ludzie prości instynktem tylko wiedzeni odgadawali, że nie może być inaczej, a w całej Rzeczpospolitej coraz więcej oczu zwracało się na Jeremiego, którego od początku wojnę na śmierć i życie głosił.

W cieniu tej olbrzymiej postaci nikli coraz bardziej kanclerz i wojewoda braclawski i regimentarze, a między nimi potężny książe Dominik, głównym mianowany wodzem. Nikła ich powaga, znaczenie i malała karność dla władzy, którą piastowali. Kazano wojsku i szlachcie ściągać ku Lwowu, a potem ku Glinianom, jakoż i szły coraz większe zastępy. Ściągała się kwarta, za nią ziemianie poblizszych województw, ale zaraz nowe wypadki poczęły grozić powadze Rzeczypospolitej. Oto nie tylko mniej karne chorągwie pospolitego ruszenia, nie tylko prywatne, ale i regularne kwarciane, stanąwszy na miejscu zboru, wypowiedziały posłuszeństwo regimentarzom i wbrew rozkazom ruszały do Zbaraża, aby się oddać pod rozkazy Jeremiego. Tak naprzód uczyniły województwa kijowskie i braclawskie, których szlachta już przedtem w znacznej części pod Jeremim służyła, za nimi poszły ruskie, lubelskie, za nimi wojska koronne — i już nie trudno było powiedzieć, że wszystkie inne pójdą ich śladem.

Pominięty a zapomniany umyślnie Jeremi siłą rzeczy stawał się hetmanem i naczelnym wodzem całej potęgi Rzeczypospolitej. Szlachta i wojsko, oddane mu duszą i ciałem, czekało tylko jego skinienia. Władza, wojna, pokój, przyszłość Rzeczypospolitej spoczęły w jego rękę.

I rósł jeszcze z każdym dniem, bo każdego dnia nowe walily do niego chorągwie i tak zolbrzymiał, że cień jego począł padać nie tylko na kanclerza, i regimentarzy, ale na senat, na Warszawę i całą Rzeczpospolitą.

W niechętnych mu kołach kanclerskich w Warszawie i w regimentarskim obozie, w otoczeniu księcia Dominika i u wojewody braclawskiego poczęto prze-

bąkiwać o jego niepomiernej ambicyi i zuchwałości; przypominano sprawę o Hadziacz, jako to zuchwały książę przyjechał w cztery tysiące ludzi do Warszawy i wszedłszy do senatu, gotów był rąbać wszystkich, samego króla nie wyłączając.

„Czegóż od takiego człowieka się spodziewać i jakimże musi być teraz — mówiono — po owym Ksenofontowym odwróceniu z Zadnieprza, po wszystkich przewagach wojennych i tylu wiktoryach, które go tak niezmiernie wysławily? W jakąż nieznośną pychę musiał go wznieść ów fawor żołnierstwa i szlachty? Kto mu się dziś oprze? Co się stanie z Rzeczpospolitą, gdy jeden obywatel do takiej potęgi dochodzi, że może deptać wolę senatu, odejmować władzę wyznaczonym przez Rzplitą wodzom? Zali on istotnie królewicza Karola koroną ozdobić zamierza? Maryusz on jest — to prawda, ale daj Bóg, żeby w nim nie było Marka Koryolana lub Katyliny, gdyż pychą i ambicyą obydwom wyrównywa.“

Tak mówiono w Warszawie i w kołach regimentarskich, szczególnie u księcia Dominika, z którym emulacya Jeremiego niemałe już szkody Rzeczypospolitej przyniosła — a ów Maryusz siedział tymczasem w Zbarażu chmurny, niezbadany. Świeże zwycięstwa nie rozpromieniły mu twarzy. Gdy bywało nowa jaka chorągiew kwarciana, albo powiatowa pospolitego ruszenia przytoczyła się do Zbaraża, to wyjeżdżał naprzeciw, jednym rzutem oka oceniał jej wartość i zaraz w zadumę popadał. Żołnierze z krzykiem garnęli się do niego, padali przed nim na kolana, wołając: „witaj, wodzu niezwycięzony! Herkulesie słowiański! do gardła stać przy tobie będziemy!“ — on zaś odpowiadał: „czołem wasz-

mościom! na Chrystusowym my wszyscy ordynansie, a moja szarża za niska, bym był szafarzem krwi waszmościów!* — i wracał do siebie, od ludzi uciekał, w samotności z myślami się łamiąc. Tak upływały dnie całe. A tymczasem miasto wrzało rojami coraz to nowego żołnierstwa. Pospolitalcy pili od rana do nocy, chodząc po ulicach, wyprawiając hałasy i burdy z oficerami cudzoziemskiego autoramentu. Regularny żołnierz, czując również cugle dyscypliny rozwolnione, używał na winie, jedle i kościach. Codziennie nowi goście, więc nowe uczty i zabawy z mieszczankami. Wojska zawały wszystkie ulice, stały i po wsiach okolicznych, a co za rozmaitość koni, oręża, ubiorów, piór, kolczug, misiurek, barw rozmaitych województw! Rzekłbyś odpust jaki walny, na który połowa Rzeczypospolitej zjechała. Leci więc czasem karetą pańską, pozłocista lub purpurowa, koni przy niej sześć lub ośm z piórami, pajucy z węgierska lub po niemiecku, nadworni janczarowie, kozacy, Tatarzy, tam znów kilku towarzyszków, świecących jedwabiem i aksamitami, bez pancerzy, rozpiera tłumy końmi anatolskimi lub perskimi. Trzęsienia u czapek i zapinki pod szyją migają ognikami od brylantów i rubinów — a wszystko ustępuje im z drogi dla powagi znaku. Tam znów przed gankiem puszy się oficer od lanowej piechoty, w świeżym, błyszczącym kolecie, z długą trzcina w rękę i pychę na twarzy, a mieszczańskiem sercem w piersi; ówdzie migają grzebieniaste chełmy dragonów, kapelusze niemieckiej piechoty, rogatywki pospolitego ruszenia, kapuzy, kołpaki rysie. Czeladź, w rozmaitych barwach uwija się jak w ukropie, na posługach. Tu i ówdzie ulica zapchana wozami; tam wozy wchodzą dopiero, skrzypiąc niemilosiernie, wszędy

pełno krzyków, nawoływań: „z drogi!” — przekleństw czeladzi, zwad, bójek, rżenia koni. Co mniejsze uliczki tak zawałone słomą, sianem, że i przecisnąć się niepodobna.

A wśród tych świetnych strojów, migających wszystkimi barwami tęczy, wśród jedwabów, aksamitów, tyftyków, altembasów migocących, migotania brylantów, jakże dziwnie wyglądają pułki Wiśniowieckiego, wynędzniałe, obdarte, wychudzone, w zardzewiałych pancerzach, spłowiałych barwach i podartych mundurach! Towarzysze z pod najpoważniejszych znaków wyglądają jak dziady, gorzej czeladzi innych pułków, ale wszyscy czołem przed tymi lachmanami, przed tą rdzą i tą mizeryą, bo to znamiona bohaterów. Wojna, zła matka, własne dzieci jako Saturn pożera, a których nie pożre, to poobgryza, jak pies kości. Te spłowiałe barwy, to dżdże nocne, to pochody wśród nawalności elementów, albo słonecznej spiekoty; ta rdza na żelazie, to krew niestarta swoja, albo nieprzyjacielska, albo obie razem. To też Wiśniowieccy wszędzie rej wodzą. Oni opowiadają po szynkowniach i kwaterach, a inni tylko słuchają. I czasem którego ze słuchających aż porwie spazm za gardło, rękami po łędźwiach się uderzy i krzyknie: „A niechże waściów kule biją! chybaście dyabły nie ludzie!” A Wiśniowieccy: „Nie nasza to zasługa, ale takiego wodza, któremu równego nie wydał jeszcze orbis terrarum.” Więc wszystkie uczyty kończą się okrzykami: vivat Jeremi! vivat księżę wojewoda! wódz nad wodze i hetman nad hetmany!...

Szlachta, gdy się popije, wypada na ulice i z rusznic a muszkietów pali, a że Wiśniowieccy ostrzegają ją, że do czasu tylko swoboda, że przyjdzie chwila,

gdy księżę ich weźmie w ręce i taką dyscyplinę zaprowadzi, o jakiej jeszcze nie słyszeli, więc tembardziej owego czasu używają. „Gaudeamus, póki wolno — wołają. — Gdy pora na posłuch przyjdzie, będziemy słuchali, bo jest kogo, bo to nie *dsiecina*, nie *łacina*, nie *piersyna!*“ — I nieszczęśliwy księżę Dominik najgorzej zawsze wychodził, bo melody go na otręby języki żołnierskie. Opowiadano, jako się po całych dniach modli, a wieczorem wisi na uchu dzbana i co na brzuch splunie, to jedno oko otworzy i pyta: „co takiego?“ Mówiono także, że na noc „jalapam“ zażywa, i że tyle bitew widział, ile ma ich na kobiercach, holenderską sztuką wyhaftowanych. Już tam nikt go nie bronił i nikt nie żalował, a najbardziej kęsał ci, którzy w jawnej z karnością wojskową stanęli niezgodzie.

Wszelako i nad tymi jeszcze celował w przekąsach i wyśmiewaniu pan Zagłoba. Już on się był ze swego bólu w krzyżach wyleczył i teraz był w swoim żywiole. Ile zaś zjadał i wypijał, daremnie spisywać, bo rzecz wiarę ludzką przechodzi. Chodziły za nim i otaczały go ustawiczne kupy żołnierzy i szlachty, a on rozprawiał, opowiadał i drwił z tych, którzy go podejmovali. Patrzył też z góry, jako stary żołnierz, na owych, którzy szli na wojnę, i z całą wyższością doświadczenia mawiał im: „Tyle waszmościów moderunki wojny zaznały, ile mniszki mężów; szaty macie świeże i larendogrą pachną, ale choć to piękny zapach, wszelako w pierwszej bitwie postaram się od waszmościów pod wiatr trzymać. Oj! kto nie wachał wojennego czosnku, nie wie, jakie on lzy wyciska! Nie przyniesie jejmość rano piwa grzanego, ani polewki winnej! Poopadają waszmościom brzuchy, zeschniecie się jak

twaróg na słońcu. Możecie mnie wierzyć. Experiencya grunt! Bywało się w różnych okazyach, bywało! zdobyło się niejedną chorągiewkę, ale już to muszę waszmościom powiedzieć, że żadna nie przyszła mi tak ciężko, jako ta pod Konstantynowem. Niech dyabli porwą tych zaporozców. Siódme poty, mówię waszmościom, ze mnie poszły, nimem za ratyszczę uchwycił. Spytajcie pana Skrzetuskiego, tego, który Bardabuta zabił, on to na własne oczy widział i admirował. Ale też teraz krzyknijcie jeno kozakowi nad uchem: „Zagłoba!“ — obaczycie, co wam powie. Ale co tu waszmościom prawić, którzyście jeno *muscas* po ścianach packą bili, więcej nikogo.“

— Jakże to było? jakże? — pytali młodzi.

— A cóż to waszmościowie chcecie, żeby mi się język od kręcenia się w gębie zapalił, jak oś w wozie?

— To trzeba polać! wina! — wołała szlachta.

— Chyba że tak! — odpowiadał pan Zagłoba i rad, że znalazł wdzięcznych słuchaczy, opowiadał im wszystko ab ovo, od podróży do Galaty i od ucieczki z Rozlogów, aż do zdobycia chorągwi pod Konstantynowem, oni zaś słuchali z otwartymi ustami, czasem mruczeli, gdy sławiąc własne męstwo, zanadto ich niedoświadczenie poniewierał, ale zapraszali i poili codzien w innej kwaterze.

Bawiono się tedy wesoło i huczno w Zbarażu, aż się stary Zaćwilichowski i inni poważniejsi dziwili, że księżę tak długo na owe gody pozwalał; on zaś siedział ciągle w swojej kwaterze — widać umyślnie żołnierstwu folgę dał, by przed nowymi bojami wszystkiego dobrego zażyło. Tymczasem przyjechał Skrzetuski i zaraz wpadł jak w wir, jak w ukrop jaki.

Chciało się też i jemu odpoczynku w kole towarzyszków posmakować, ale jeszcze bardziej chciało mu się do Baru, do kochanej jechać i wszystkich zgryzot dawnych, wszystkich obaw i utrapień, w jej słodkiem objęciu zapomnieć. Więc nie zwłócząc, do księcia szedł, by zdać sprawę z wyprawy pod Zasław i pozwolenie na wyjazd uzyskać.

Znalazł księcia zmienionego do niepoznania, aż się widokiem jego przeraził — i w duchu się pytał: Tenże to jest wódz, któregom pod Machnówką i Konstantynowem widział? — Bo też przed nim stał człowiek, brzemieniem trosk pochylony z wpadłemi oczyma i spieczonemi usty, jakoby ciężką chorobą wewnętrzną trapiiony. Zapytany o zdrowie, odrzekł krótko i sucho, że jest zdrowy, rycerz zaś dłużej pytać nie śmiał — więc zdawszy sprawę z podjazdu, zaraz jął prosić, by mógł na dwa miesiące chorągiew opuścić, dopóki by się nie ożenił i żony do Skrzetuszewa nie odwiózł.

Na to księżę jakby się ze snu obudził. Zwykła mu dobroć rozlała się po chmurnem obliczu i przygarnawszy pana Skrzetuskiego, rzekł:

— Koniec więc twojej męki. Jedź, jedź, niech cię błogosławi Bóg. Sambym chciał być na twem weselu, bom to i Kurcewiczównie, jako córce Wasyla, i tobie, jako przyjacielowi powinien, ale w tych czasach już mi to niepodobieństwo się ruszyć. Kiedy chcesz jechać?

— Wasza książecka mość — choćby dziś!

— To jedź jutro. Nie możesz sam jechać. Dam ci trzystu Wierszułowych Tatarów, abys zaś ją bezpiecznie odprowadził. Z nimi najprędzej dojedziesz, a potrzebni ci będą, bo tam kupy hultajstwa się włóczą.

Dam ci i list do pana Jędrzeja Potockiego, ale nim go napiszę, nim Tatarzy przyjdą, nim się wreszcie ty wybierzesz, do jutra wieczór zejdzie.

— Jak wasza książęca mość rozkaże. Ale jeszcze śmiem prosić, aby Wołodyjowski i Podbipięta mogli także ruszyć ze mną.

— Dobrze. Przyjdźże jeszcze jutro na pożegnanie i błogosławieństwo. Chciałbym też i twojej kniaziównie jaki upominek posłać. Zaczna to krew. Bądźcieże szczęśliwi, boście siebie warci.

Rycerz już klęczał i obejmował kolana ukochanego wodza, którego jeszcze powtórzył kilkakrotnie:

— Niech ci Bóg szczęści! niech ci Bóg szczęści! No, przyjdź jeszcze jutro.

Ale rycerz nie podnosił się i nie odchodził, jakby chciał jeszcze o coś prosić, nakoniec wybuchnął:

— Wasza książęca mość!

— A co jeszcze powiesz? — pytał łagodnie książę.

— Wasza książęca mość wybaczy śmiałości, ale... mnie się serce kraje i od żalu wielkiego śmiałość przychodzi: co waszej książęcej mości jest? Zali troski gnębia, czy choroba?

Książę położył mu rękę na głowie:

— Ty tego wiedzieć nie możesz! — rzekł ze słodyczą w głosie. — Przyjdź jeszcze jutro.

Pan Skrzetuski wstał i odszedł ze ściśniętym sercem.

Wieczorem przyszedł do jego kwatery stary Zaćwilichowski, a z nim mały Wołodyjowski, pan Longinus Podbipięta i pan Zagłoba. Zasiedli za stołem, a wtem Rzędzian wszedł do izby, niosąc kusztyki i antalek.

— W imię Ojca i Syna! — zawołał pan Zagłoba. — To widzę waści pachół zmartwychwstał.

Rzędzian zbliżył się i za kolana go objął.

— Nie zmartwychwstałem ja, alem nie umarł dzięki pono temu, żeś mnie jegomość ratował.

A pan Skrzetuski na to:

— I do Bohuna potem na służbę przystał.

— To będzie miał w piekle promocyą — rzekł pan Zagłoba. Potem, zwracając się do Rzędziana: — Nie musiałeś ty tam w tej służbie rozkoszy zażyć; naści talara na pociechę.

— Dziękuję pokornie jegomości — rzekł Rzędzian.

— On! — zawołał pan Skrzetuski — to frant na cztery nogi kuty. U kozaków łup wykupował, a co ma, tegobyśmy obaj z waćpanem nie kupili, choćbyś waćpan wszystkie swoje posiadłości w Turczach sprzedał.

— To tak? — rzekł pan Zagłoba. — Trzymajże sobie swojego talara i rośnij, lube drzewko, bo jeśli nie na Bożą mękę, to choć na szubienicę się przydasz. Dobrze temu pachółkowi z oczu patrzy. (Tu pan Zagłoba chwycił za ucho Rzędziana i targając je lekko, mówił dalej). Lubię frantów i toć prorokuję, że wyjdiesz na człowieka, jeśli bydlęciem nie zostaniesz. A jak cię tam twój pan, Bohun, wspomina — co?

A Rzędzian uśmiechnął się, bo mu pochlebily słowa i kares — i odparł:

— O mój jegomość, a jak on jegomości wspomina, to aż skry zębami krzesze.

— Idź do dyabła! — zawołał z nagłym gniewem pan Zagłoba. — Co mi tu będziesz bredził!

Rzędzian wyszedł — oni zaś poczęli rozmawiać o jutrzejszej podróży i o szczęśliwości niezmiernej, jaka pana Jana czeka. Miód poprawił wprędce humor panu Zagłobie, który zaraz zaczął Skrzetuskiemu domawiać i o chrzcinach napomykać, to znowu o zapalach pana Jędrzeja Potockiego dla kniaziówny. Pan Longinus wzdychał. Pili i radowali się w duszy. Aż wreszcie rozmowa weszła na konjunktury wojenne i na księcia. Skrzetuski, który kilkanaście dni w obozie nie był, pytał:

— Powiedzcież mi waszmościowie, co się naszemu księciu stało? Toż to inny człowiek. Już ja tego wszystkiego nie rozumiem. Bóg mu dawał wiktoryą za wiktoryą. Że go tam przy regimentarstwie pominęli, to i cóż? to za to teraz wszystko wojsko do niego się wali, tak że bez niczyjej łaski hetmanem zostanie i Chmielnickiego zetrze... a on widać czegoś się trapi i trapi!...

— Może mu się pedogra zaczyna — rzecze pan Zagłoba; — jak mnie czasem w wielkim palcu łupnie, to przez trzy dni mam melankolią.

— A ja wam, bratenki, powiem — rzekł, kiwając głową, pan Podbipięta. — Nie słyszałem ja tego sam od księdza Muchowieckiego, alem słyszał, że tam komuś mówił, dlaczego ksiązę udęczone... Ja tam sam nie mówię: łaskawy to pan, dobry i wielki wojownik, co mnie tam jego sądzić, ale jakoby ksiądz Muchowiecki... zresztą czy ja wiem, czy co?

— No, patrzcieże waszmościowie na tego Litwina! — zawołał pan Zagłoba. — Nie mam ja dworować z niego, kiedy on ludzkiej mowy nie zna. Cóżes waszmość chciał powiedzieć? Kołujesz, kołujesz, jako zając wedle kotliny, a w sedno nie możesz utrafić.

— Cóżś waszmość naprawdę slyszal? — spytał pan Jan.

— At! kiedy bo to... jakoby mówili, że ksiązę za duzo krwi rozlal. Wielki to wódz, ale miary w karaniu nie zna, i teraz podobno wszystko widzi czerwono — w dzień czerwono i w noc czerwono, jakoby go czerwony oblok otaczał..

— Nie praw waść głupstw! — huknął z gniewem stary Zaćwilichowski. — Babskie to plotki. Nie było dla hultajstwa lepszego pana czasu pokoju, a że dla buntowników litości nie zna, to i cóż? To zasługa, nie grzech. Jakichże to mąk, jakich kar byłoby zanadto dla tych, którzy tę ojczyznę we krwi utopili, którzy Tatarom własny lud w niewolę wydawali, nie chcąc znać Boga, majestatu, ojczyzny, zwierchności? Gdzie mi waszmość pokażesz monstra podobne, gdzie takie okrucieństwa, jakich się oni dopuszczali nad niewiastami i małemi dziećmi, gdzie takie zbrodnie potworne? I na to pala a szubienicy zanadto?! Tfu, tfu! waść masz żelazną rękę, ale serce niewieście. Widziałem, jakie stękał, gdy Puljana przypiekali, i mówiłeś, że wolałbyś go był na miejscu ubić. Ale ksiązę nie jest baba — wie jak nagradzać, jak karać. — Co mi tu waść będziesz koszalki prawil!

— Toż ja mówiłem, ojcze, że nie wiem — tłómaczył się pan Longinus.

Ale staruszek sapał jeszcze długo i ręką po mlecznej czuprynie się gładził i mrucał:

— Czerwono! hm! czerwono!... to zaś coś nowego! W głowie temu, co to wymyślił, zielono nie czerwono!

Nastala chwila ciszy, tylko przez okna dochodził wrzask hulaszcejsz szlachty.

Mały Wołodyjowski przerwał panujące w izbie milczenie.

— Cóż wy, ojczy, myślicie? co może być naszemu panu?

— Hm! — rzekł starzec. — Ja mu nie konfident, więc nie wiem. Nad czemś on się namyśla, sam ze sobą się łamie. Duszne to jakieś walki, nie może być inaczej — a im dusza większa, tem męka cięższa...

I nie mylił się stary rycerz, bo oto w tej chwili ów książę, wódz, zwycięzca, leżał w prochu w swojej kwaterze, przed krucyfiksem i toczył jedną z najzaciętszych walk w swem życiu.

Straże na zamku zbaraskim obwoływały północ, a Jeremi ciągle jeszcze rozmawiał z Bogiem i z własną duszą wyniosłą. Rozum, sumienie, miłość dla ojczyzny, duma, poczucie własnej siły i wielkich przeznaczeń, zmieniły się w jego piersi w zapaśników i wiodły ze sobą bój zacięty, od którego pękała pierś, pękała głowa i ból targał wszystkie jego członki. Oto wbrew woli prymasa, kanclerza, senatu, regimentarzów, wbrew woli rządu, szły do tego zwycięzcy wojska kwarciane, szlachta, cudze chorągwie prywatne — słowem cała Rzeczpospolita oddawała mu się w ręce, uciekała pod jego skrzydła, losy swoje powierzała jego geniuszowi i przez najlepszych swych synów wołała: „ratuj, bo ty jeden ratować możesz!“ Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a pod Zbarażem stanie sto tysięcy wojowników, gotowych na bój śmiertelny ze smokiem wojny domowej. Tu obrazy przyszłości, oblane jakimś niezmiernem światłem sławy i potęgi, poczęły się przesuwac przed oczyma kniazia. Zadrzą ci, którzy go pominąć i upokorzyć chcieli — a on porwie te żelazne hufce rycerstwa i powiedzie je

w stepy ukraińskie do takich zwycięstw, do takich tryumfów, o jakich dzieje jeszcze nie słyszały. I książę czuje w sobie siłę odpowiednią — z ramion strzelają mu skrzydła, jakby skrzydła świętego Michała Archanioła. Oto zmienia się w tej chwili w jakiegoś olbrzyma, którego zamek cały, cały Zbaraż, cała Ruś objąć nie może. Na Boga! on zetrze Chmielnickiego! on zdepcze bunt — on spokój ojczyźnie powróci! Widzi rozległe błonia, krocie wojsk, słyszy huk armat, bitwa! bitwa! pogrom niesłychany, niebywały! Krocie ciał, krocie chorągwi zaścielają step zboczony, a on tratuje po cieleśku Chmielnickiego i trąby grają zwycięstwo, a głos leci od mórz do mórz... Książę zrywa się i ręce do Chrystusa wyciąga, a naokół jego głowy płonie jakieś czerwone światło: „Chryste! Chryste! — woła — Ty wiesz! Ty widzisz, iż ja to uczynić potrafię, rzeknij mi, iżem powinien!”

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczy, taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto. „Na chwałę to Twoją!” — woła księżę — „non mihi! non mihi! sed nomini Tuo da gloriam!” Na chwałę wiary i Kościoła, całego chrześcijaństwa! O Chryste! Chryste!” I nowy obraz mknie przed oczyma bohatera. Nie na zwycięstwie nad Chmielnickim kończy się ta droga. Książę bunt pożarliwszy, jego się ciałem jeszcze utuczy, jego siłami zolbrzymieje, krocie kozaków do kroców szlachty przyłączy i pójdzie dalej; na Krym uderzy, straszliwego smoka w jego własnej jamie dosięgnie, krzyż zatknie tam, gdzie dotąd nigdy dzwony wiernych na modlitwę nie wzywały.

Albo też pójdzie w te ziemie, które raz już książę Wiśniowieccy kopytami końskimi stratowali i granice

Rzeczypospolitej, a z niemi kościoła, do ostatnich krańców ziemi rozciągnie...

Gdzie to koniec tego pędu? gdzie koniec sławy, siły, potęgi? — niemasz go wcale...

Do komnaty zamkowej wpada białe światło miesiąca, ale zegary biją późną godzinę i kury pieją. Dzień zejdzie już niedługo, ale będzie-li to dzień, w którym, obok słońca na niebie, nowe słońce na ziemi zaświeci?

.

Tak jest! — Dzieckiem byłby ksiązę, nie mężem, gdyby tego nie uczynił, gdyby dla jakichbądź powodów przed głosem tych przeznaczeń się cofał. Oto czuje już pewien spokój, który widocznie na niego zlał Chrystus miłosierny — niechże będzie za to pochwalon! — Już myśli trzeźwiej, lżej i oczyma duszy położenie ojczyzny i wszystkich spraw jasno ogarnia. Polityka kanclerza i tych tam panów z Warszawy, również jako wojewody braclawskiego jest zła — i dla ojczyzny zgubna. Zdeptać naprzód Zaporozę, ocean krwi z niego wytoczyć, złamać je, zniweczyć, zgnieść, zwyciężyć, a potem dopiero przyznać pokonanym wszystko — ukrócić wszelkie nadużycia, wszelkie uciski, zaprowadzić ład, spokój; mogąc dobić — do życia wrócić — oto droga jedynie tej wielkiej, wspaniałej Rzeczypospolitej godna. Może dawniej, dawniej, można było obrać inną — dziś — nie! Do czegoż mogą bowiem doprowadzić układy, gdy naprzeciw siebie stoją krocie tysięcy zbrojnych, a choćby je zawarto — jakąż siłę mieć mogą? Nie! nie! to senne mary, to urojenia, to wojna rozciągnięta na wieki całe, to morze łez i krwi na przyszłość!... Niech się uchwycą

tamtej jedynej drogi, wielkiej, szlachetnej, potężnej — a on niczego więcej nie będzie ni chciał, ni pożądał. Osiedzie napowrót w swych Łubniach i będzie czekał cicho, póki go przeraźliwe trąby Gradywa na nowo do czynu nie powołają...

Niech się uchwycą? Ale kto? Senat? sejmy burzliwe? kanclerz? prymas, czy regimentarze? Kto, prócz niego, tę wielką myśl rozumie? i kto wykonać ją może? Niech się znajdzie taki — to zgoda! — Ale gdzie jest taki? kto ma siłę? — On jeden — nikt więcej! — Do niego idzie szlachta, do niego ściągają wojska, w jego rękę miecz Rzeczypospolitej. Przecie Rzeczpospolitą, nawet gdy pan jest na tronie, a cóż dopiero gdy pana niema, rządzi wola tegoż narodu. Ona — to suprema lex! A wypowiada się nietylko na sejmach, nietylko przez posłów, senat i kanclerzy, nietylko przez pisane prawa i manifesty, ale jeszcze silniej, jeszcze dobitniej jeszcze wyraźniej — czynem. Kto tu rządzi — stan rycerski — a oto ten stan rycerski ściąga się do Zbaraża i mówi mu: tyś jest wodzem. Cała Rzeczpospolita bez wotów władzę mu oddaje, siłą faktów, i powtarza: tyś jest wodzem. I on miałby się cofać? Jakiejże jeszcze nominacyi potrzebuje? Od kogo ma jej czekać? Czy od tych, którzy Rzeczpospolitą zgubić, a jego upokorzyć usiłują?

Za co? za co? Czy za to, że gdy wszystkich ogarnęła panika, że gdy hetmani w jassyr poszli, wojska zginęły, panowie kryli się po zamkach, a kozak postawił nogę na piersi Rzeczypospolitej, a on jeden tylko zepchnął tę stopę i podnosił z prochu zemdlałą głowę tej matki — poświęcił dla niej wszystko, życie, fortunę, uratował od hańby, od śmierci — on zwycięzca!!

Kto tu zasłużeńszy, niech tedy bierze tę władzę! Komu się słuszniej należy, niech w tego rękach spocznie. On chętnie zrzeknie się tego ciężaru, chętnie Bogu i Rzeczypospolitej powie: „puście sługę w pokoju“ — bo oto znużon już bardzo i sił zbawion, a przytem i tego pewien, że pamięć jego, ni grób, nie zaginie.

Ale gdy niemasz nikogo takiego — po dwakroć i trzykroć byłbym dziecięciem, nie mężem, gdyby tej władzy, tej słonecznej drogi, tej świetnej, ogromnej przyszłości, w której jest ratunek Rzeczypospolitej, jej sława, potęga, szczęście, miał się wyrzekać.

I dlaczego?

Kniaź znowu głowę dumnie podniósł i płonący wzrok jego padł na Chrystusa, ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczał taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto...

Dlaczego? Bohater skronie rozpalone rękoma przycisnął... Może i jest odpowiedź. Co znaczą te głosy, które wśród złotych i tęczyowych widzeń sławy, wśród szumu przyszłych zwycięstw, wśród przeczuć wielkości i potęgi, tak nieubłaganie wołają mu do duszy: „ach! stój nie-szczęśny!“ Co znaczy ów niepokój, który nieustraszoną pierś jego dreszczem jakiejś trwogi przejmuje? Co znaczy, że gdy on najjaśniej i najdowodniej okazuje sobie, że władzę wziąć powinien, coś mu tam w przepaściach sumienia szeptem: „sam się ludzisz, duma cię uwodzi, szatan pychy królestwa ci obiecuje?“

I znów straszna walka zawrzała w duszy księcia, znów porwał go wicher trwogi, niepewności i zwątpień.

Co czyni szlachta, która do niego, zamiast do regimentarzów, ciągnie? Prawo depcze. Co czyni wojsko? dyscyplinę łamie. I on obywatel, on żołnierz, ma sta-

wać na czele bezprawia? ma je swoją powagą okrywać? ma pierwszy dawać przykład niekarność, samowoli, nieposzanowania praw, i to wszystko dlatego tylko, by władzę o dwa miesiące pierwej zagarnąć, boć jeśli królewicz Karol na tron obrany będzie, to i tak ta władza go nie minie? On to ma dawać tak straszliwy przykład wiekom potomnym? Cóż bowiem się stanie? Dziś tak uczyni Wiśniowiecki, jutro Konięcpolski, Potocki, Firlej, Zamojski lub Lubomirski? A gdy każdy, bez uwagi na prawo i karność, gwoli własnej ambicyi działać rozpocznie; gdy dzieci pójdą wzorem ojców i dziadów, jakąż to przyszłość czeka ów kraj nieszczęsny? Robactwo samowoli, nierząd, prywaty toczą już i tak pień tej Rzeczypospolitej; pod siekierą wojny domowej próchno się sypie, uschłe gałęzie z drzewa odpadają — co się stanie, gdy ci, którzy chronić je powinni i strzedz jak źrenicy oka — sami ogień podkładać będą? Co się stanie? Jezu! Jezu!

Chmielnicki też dobrem publicznem się osłania i nie czyni nic innego, jeno przeciw prawu i zwierzchności powstaje.

Kniazia dreszcz przeszedł od stóp do głowy. Ręce załamał: „Zali ja mam być drugim Chmielnickim — o Chryste!”

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczał taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto.

Książ szarpał się dalej. Jeśli on władzę weźmie, a kanclerz, senat i regimentarze zdrajcą i buntownikiem go ogłoszą — to co będzie? Druga wojna domowa? A przytem czy to Chmielnicki jest największym i najgroźniejszym wrogiem tej Rzeczypospolitej? Wszak nie raz były w nią jeszcze większe potęgi, wszak gdy dwie-

ście tysięcy żelaznych Niemców szło pod Grunwaldem na pulki Jagiellowe; gdy pod Chocimem pół Azyi stanęło do boju, zguba jeszcze bliższą się zdawała — a cóż się stało z temi wrogami potęgami? Nie! Rzeczpospolita wojen się nie lęka i nie wojny ją zgubią! Ale czemuż to wobec takich zwycięstw, takiej utajonej siły, takiej sławy, ona, która pogromiła Krzyżaków i Turków... taka jest słaba i niedołężna, że przed jednym kozakiem przyklęka? Że sąsiedzi rwą jej granice, że wysmiewają ją narody, że głosu jej nikt nie słucha, o gniew jej nie dba, a wszyscy zgubę przewidują?

Ach! to właśnie duma i ambicya magnatów, to czyny na własną rękę, to samowola tego przyczyną. Wróg najgorszy, to nie Chmielnicki, ale nieład wewnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, niesnaski, rozterki, zamęt, niedołęstwo, prywata, niekarność — niekarność przedewszystkiem. Drzewo gnije i próchnieje od środka. Rychło czekać, jak pierwsza burza je zwali — ale parrycyda ten, kto do takiej roboty ręce przykładą, przeklęty on i dzieci jego do dziesiątego pokolenia!!...

Idźże teraz, zwycięzco z pod Niemirowa, Pohrebyszcz, Machnówki i Konstantynowa; idź, kniaziu-wojewodo, idź odejmij władzę regimentarzom, zdepcz prawo i zwierzchność i dawaj przykład potomnym, jak w matce targać wnętrzności.

Strach, rozpacz i obłąkanie wybiło się na twarzy kniazia... Krzyknął okropnie i chwyciwszy się rękami za czuprynę, padł w proch przed Chrystusem.

I kajał się kniaz i bił dostojną głową w kamienną posadzkę, a z piersi jego wydobywał się głuchy głos:

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!..

Różana jutrznia wstała już na niebie, a potem przyszło złote słońce i oświeciło salę. W gzymsach począł się świegot wróbli i jaskólek. Książ wstał i poszedł zbudzić pacholika Żeleńskiego, śpiącego z drugiej strony drzwi.

— Biegaj — rzekł mu — do ordynansowych i każ im zwołać tu do mnie pułkowników, którzy stoją w zamku i w mieście, tak kwarcianych, jak i z pospolitego ruszenia.

W dwie godziny później sala poczęła się napełniać wąsatemi i brodatemi postaciami wojowników. Z książęcych ludzi przyszedł stary Zaćwilichowski, Polanowski, Skrzetuski z panem Zagłobą, Wurcel, oberzter Machnicki, Wołodyjowski, Wierszuł, Poniatowski, wszyscy niemal oficerowie, aż do chorążych, prócz Kuszla, któren był ku Podolu, na podjazd, wysłany. Z kwarty byli obecni Osiński i Korycki. Wielu znaczniejszej szlachty z pospolitego ruszenia nie można było z pierzyn powyciągać, ale przecie i tych zebrała się garść niemała — a między niemi personaci z różnych ziem, od kasztelanów, aż do podkomorznych... Brzmiały szmery, rozmowy i szumiało jak w ulu, a wszystkie oczy były zwrócone na drzwi, przez które miał się książę ukazać.

Wtem umilkło wszystko. Książę wszedł. Twarz miał spokojną, pogodną — i tylko zaczerwienione, beżsennością oczy i ściągnięte rysy świadczyły o przebytej walce. A przez ową pogodę, a nawet słodycz przebijała się powaga i nieugięta wola,

— Mości panowie! — rzekł. — Dzisiejszej nocy roz-

mawiałem z Bogiem i własnym sumieniem, co mnie uczynić należy: oznajmuję przeto waszmościom, a wy oznajmijcie całemu rycerstwu, iż dla dobra ojczyzny i zgody potrzebnej w czasach klęski, poddaję się pod komendę regimentarżów.

Głuche milczenie zapanowało w zgromadzeniu.

W południe tegoż dnia, na podworczu zamkowym stało trzystu Wierszułowych Tatarów, gotowych do drogi z panem Skrzetuskim, a na zamku ksiązę wyprawiał obiad starszyźnie wojskowej, który zarazem miał być pożegnalną ucztą dla naszego rycerza. Posadzono go tedy przy księciu, jako „pana młodego“, a za nim zaraz siedział pan Zagłoba, gdyż wiadano, iż jego to sprawność i odwaga ocaliły „pannę młodą“ z ostatniej toni. Ksiązę był wesół, bo brzemię z serca zrzucił i wznosił kielichy na pomyślność przyszłego stadła. Ściany i okna drżały od krzyków rycerzy. W przedpokojach czyniła wrzawę służba, między którą Rzędzian rej wodził.

— Mości panowie! — rzekł ksiązę — niechże ten trzeci kielich będzie dla przyszłej konsolacyi. Walne to gniazdo. Daj Bóg, aby jabłka nie popadały daleko od jabłoni. Niech z tego Jastrzębca godne rodzica Jastrzębczyki się rodzą!

— Niech żyją! niech żyją!

— Na podziękowanie! — wołał Skrzetuski, wychylając ogromny kielich małmazyi.

— Niech żyją! niech żyją!

— Crescite et multiplicamini!

— Jużes to waszmość z pół chorągiewki powinien wystawić! — rzekł, śmiejąc się, staruszek Zaćwilichowski.

— Zaskrzetuszczy wojsko z kretešem! już ja go znam! krzyknął Zagłoba.

Szlachta ryknęła śmiechem. Wino szło do głów. Wszędy widać było czerwone twarze, ruszające się wąsy; humory stawały się z każdą chwilą lepsze.

— Kiedy tak — wołał rozochocony pan Jan — to już się waszmościom muszę przyznać, że mi kukulka dwunastu chłopczyków wykukała.

— Dalibóg! wszystkie bociany od roboty pozdychają! wołał pan Zagłoba.

Szlachta odpowiedziała nowym wybuchem śmiechu i śmieli się wszyscy, aż się sala jakoby grzmotem rozlegała.

Wtem, w progu sali, ukazało się jakieś posępne widmo, okryte kurzem — i na widok stołu, uczyty i rozpromienionych twarzy, zatrzymało się we drzwiach, jakby wahając się, czy wejść dalej.

Książę dostrzegł je pierwszy, brwi zmarszczył, oczy przesłonił i rzekł:

— A kto tam? A! to Kuszel! Z podjazdu! Co słychać! jakie nowiny!

— Bardzo złe, mości książę — rzekł dziwnym głosem młody oficer.

Nagła cisza zapanowała w zgromadzeniu, jakby je kto urzekł. Kielichy niesione do ust zawisły w połowie drogi, wszystkie oczy zwróciły się na Kuszla, na którego zmęczonej twarzy malowała się boleść.

— Lepiejbyś tedy ich waść nie powiadał, gdym przy kielichu wesół — rzekł książę — ale gdyś już zaczął, to dokończ.

— Mości księżę, wolałbym i ja nie być puszczykiem, bo mi ta wiadomość przez usta nie chce się precisnąć.

— Co się stało? Mów!

— Bar... wzięty!

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

OGNIEM I MIECZEM

III

P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM VIII

OGNIEM I MIECZEM

TOM III



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANOZYCA I SPÓŁKI.

Henryk Sienkiewicz

OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH

TOM III

WYDANIE SIÓDME

NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

MANISZEWSKI i MEINHART

KSIEGARNIA I SKŁAD NUT
w Lwowie, plac Halicki 3.

WARSZAWA

GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Февраля 1901 г.

ROZDZIAŁ I.

Pewnej pogodnej nocy, na prawym brzegu Waładynki, posuwał się w kierunku Dniestru orszak jeźdźców, złożony z kilkunastu ludzi.

Szli bardzo wolno, prawie noga za nogą. Na samym przedzie, o kilkadziesiąt kroków przed innymi, jechało dwóch jakoby w przedniej straży, ale widocznie nie mieli żadnego do strażowania i czujności powodu, bo przez cały czas rozmawiali ze sobą, zamiast dawać baczenie na okolicę — i zatrzymując co chwila konie, oglądali się na resztę orszaku, a wówczas jeden z nich wołał:

— Pomału tam! pomału!

I orszak zwalniał jeszcze kroku, zaledwie posuwając się naprzód.

Nakoniec, wysunąwszy się z za wzgórza, które osłaniało go swym cieniem, orszak ów wszedł na przestwór oblany światłem księżyca i wtedy to można było zrozumieć ostrożność pochodu: oto w środku karawany, idące obok siebie dwa konie, dźwigały przywiązaną do sioდეk kołyskę, w kołysce zaś leżała jakaś postać.

Srebrne promienie oświecały bladą jej twarz i zamknięte oczy.

Za kołyską jechało dziesięciu zbrojnych. Po spisach bez proporców można w nich było poznać kozaków. Niektórzy prowadzili konie juczne, inni jechali luzem, ale o ile dwaj jadący na przedzie zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na okolicę, o tyle ci oglądali się niespokojnie i trwożliwie na wszystkie strony.

A jednak okolica zdawała się być zupełną pustynią.

Ciszę przerywały tylko uderzenia kopyt końskich i wołanie jednego z dwóch jadących na przedzie jeźdźców, który od czasu do czasu powtarzał swą przestrozę:

— Pomału! ostrożnie!

Nakoniec zwrócił się do swego towarzysza:

— Horpyna, daleko jeszcze? — spytał.

Towarzysz, którego zwano Horpyną, a który w istocie był przebraną po kozacku olbrzymią dziewczką, popatrzył w gwieździste niebo i odrzekł:

— Niedaleko. Będziemy przed północą. Miniemy Wraże uroczyszcze, miniemy Tatarski rozłóg, a tam już zaraz Czortowy jar. Oj! źleby tam przejeżdżać po północku, nim kur zapieje. Mnie można, ale wam źleby było, źle!

Pierwszy jeździec wzruszył ramionami.

— Wiem ja — rzekł — że tobie czort bratem, ale na czorta są sposoby.

— Czort nie czort, a sposobu niema — odparła Horpyna. — Żeby ty, sokole, na całym świecie schowania dla swojej kniaziówny szukał, toby ty lepszego nie znalazł. Już i tędy nikt po północku nie przejdzie, chyba ze mną, a w jarze jeszcze żywy człowiek nogi nie postawił. Chce kto wróżby, to przed jarem stoi i czeka, póki nie wyjdę. Nie bój ty się. Nie przyjdą tam ani Lachy, ani Tatary, ani nikt, nikt. Czortowy jar straszny, sam zobaczysz.

— Niech sobie będzie straszny, a ja mówię, że przyjdę, ile razy zechcę.

— Byleś w dzień przychodził.

— Kiedy zechcę. A stanie czort w poprzek, to za rogi wezmę.

— Ej Bohun! Bohun!

— Ej Dońcówna, Dońcówna! ty się o mnie nie troszcz. Weźmie mnie czort, czy nie weźmie to nie twoja sprawa, ale to ci powiadam: radź ty sobie ze swoimi czortami, jak chcesz, byle na kniaziównę bieda nie przyszła, bo jeśli jej się co stanie, to ciebie z moich rąk ni czorty, ni upiory nie wydrą.

— Raz mnie już topili, jeszcze jak my nad Donem z bratem mieszkali, drugi raz już mi w Jampolu mistrz głowę golił — a dlatego mi nic. Ale to inna rzecz. Ja z przyjaźni dla ciebie będę jej strzegła, by jej i włos na głowie od duchów nie spadł, a przed ludźmi u mnie bezpieczna. Już ci się ona nie wymknie.

— A ty sowo! jeśli tak mówisz, to czemu ty mnie wróżyła na biedę, czemu ty mi hukala nad uchem: „Lach przy niej! Lach przy niej?!“

— To nie ja mówiła, to duchy. Ale się może zmieniło. Jutro ci powrózę na wodzie w kole młyńskim. Na wodzie wszystko dobrze widać, jeno trzeba długo patrzeć. Sam zobaczysz. Ale ty wściekły pies, powiedzieć ci prawdę, to się sierdzisz i za obuch łapiesz...

Rozmowa urwała się, słychać było tylko uderzenia kopyt o kamienie i jakieś głosy dochodzące od strony rzeki, podobne do sykania koników polnych.

Bohun nie zwrócił najmniejszej uwagi na owe głosy, które jednak wśród nocy mogły dziwić — podniósł twarz ku księżycowi i zamyślił się głęboko.

— Horpyna! — rzekł po chwili.

— Czego?

— Ty czarownica, ty musisz wiedzieć: czy prawda, że jest takie ziele, że jak się go kto napije, to musi pokochać? Lubystka, czy jak?

— Lubystka. Ale na twoją będę nic i lubystka nie poradzi. Jeśliby kniaziówna innego nie kochała, to tylko dać jej się napić, ale jeśli kocha, to wiesz, co się stanie?

— Co?

— To jeszcze bardziej tego innego pokocha.

— Przepadnijże ty ze swoją lubystką! Umiesz ty źle wróżyć, a poradzić nie umiesz.

— To słuchaj: znam ja inne ziele, co w ziemi rośnie. Kto się go napije, dwa dni i dwie nocy jak pień leży, o świecie nie wie. Tego ja jej ziela dam — a potem...

Kozak zatrząsł się na siodle i utkwil w czarownicy swe świecące w ciemności oczy.

— Co ty kraczesz? — spytał.

— Taj hodi! — zawołała wiedźma i wybuchnęła ogromnym, podobnym do rżenia klaczy, śmiechem.

Śmiech ów rozległ się złowrogim echem w rozpadlinach jarów.

— Suko! — rzekł watażka.

Poczem oczy jego gasły stopniowo, popadał znów w zamyslenie, nakoniec począł mówić, jakby sam do siebie:

— Nie, nie! Kiedy my Bar brali, ja pierwszy wpadł do klasztoru, by jej przed pijanicami bronić i leć strzaskać każdemu, ktoby się jej dotknął, a ona się nożem pchnęła — i teraz o Bożym świecie nie wie. Dotknę

jej ręką, to się znów pchnie, albo do rzeki skoczy — nie upilnujesz nieszczęsny!

— Ty w duszy Lach, nie kozak, kiedy po kozacku nie chcesz dziewczyny zniewolić...

— Żeby ja był Lach! — zawołał Bohun — żeby ja był Lach!

I za czapkę obu rękoma się chwycił, bo jego samego ból chwycił.

— Musiała cię urzec ta Laszka — mruknęła Horpyna.

— Ej, chyba urzekła — odrzekł żałośnie. — Niechby mnie pierwsza kula nie minęła, niechbym na palu sobacze życie skończył... Jednej ja chcę na świecie i ta jedna mnie nie chce!

— Durny! — zawołała z gniewem Horpyna — toć ty ją masz!

— Stulże ty pysk! — zawołał z wściekłością kozak. — A jak się ona zabije, to co? ciebie rozerwę, siebie rozerwę, leć o kamień rozbiję, ludzi będę gryzł jak pies. Jaby duszę za nią oddał, sławę kozacką, oddał, uciekłyby za Jahorlik hen! od pułków za świat, aby z nią, z nią żyć, przy niej zdychać... Ot co! A ona się nożem pchnęła, i przez kogo? przezemnie! Nożem się pchnęła! słyszysz?

— Nic jej nie będzie. — Nie umrze.

— Jakby umarła, to jaby ciebie ćwiekami do drzwi przybił.

— Mocy ty żadnej nad nią nie masz.

— Nie mam, nie mam. Jaby wolał, żeby ona mnie nożem pchnęła — niechby i zabiła, byłoby lepiej.

— Głupia Laszka. Otby po dobrej woli przyhołubiła się do ciebie. Gdzie lepszego znajdzie?

— Spraw ty to, a ja ci garnek dukatów nasypię, a perel drugi. My w Barze wzięli lupu niemało i przedtem brali.

— Ty bogaty jak książę Jerema — i sławny. Ciebie, mówią, sam Krzywonos się boi.

Kozak ręką machnął.

— Co mnie z tego, koły serdce bołyt...

I znowu zapadło milczenie. Brzeg rzeki stawał się coraz dziwszy, pustszy. Białe światło księżycy nadawało fantastyczne kształty drzewom i skałom. Nakoniec Horypyna rzekła :

— Tu Wraże uroczyszcze. Trzeba razem jechać.

— Czemu?

— Tu niedobrze.

Zatrzymali konie i po chwili orszak idący z tyłu złączył się z nimi.

Bohun wspiął się na strzemionach i zajrzał w kołyskę.

— Spyt? — spytał.

— Spyt — odpowiedział stary kozak — sładko jak detyna.

— Ja jej na sen dała — odrzekła wiedźma.

— Pomału, ostrożno — mówił Bohun — wlepiając oczy w uszpioną — szczyby wy jej ne rozbudyły. Misiac jej prosto w lyczko zahładaje, serdeńku mojemu.

— Tycho swityt, ne rozbudyt — szepnął jeden z molojców.

I orszak ruszył dalej. Wkrótce przybyli nad Wraże uroczyszcze. Było to wzgórze, leżące tuż przy rzece, niskie i oble jak leżąca na ziemi okrągła tarcza. Księżyc zalewał je zupełnie światłem, rozświecając białe, porzrucane po całej jego przestrzeni kamienie. Gdzieniegdzie

leżały one pojedynczo, gdzieniegdzie tworzyły kupy, jakoby szczątki jakichś budowli, zburzonych zamków i kościołów. Miejscami sterczały płyty kamienne, posadzone końcem w ziemi, naksztalt nagrobków na cmentarzyskach. Całe wzgórze podobne było do jednego wielkiego rumowiska. I może niegdyś, dawno, za czasów Jagiellowych, krzewiło się tu życie ludzkie — dziś wzgórze owo i cała okolica, aż po Raszków, była głuchą pustynią, w której gnieździł się tylko dziki zwierz, a nocami duchy przekłete odprawiały swoje korowody.

Jakoż zaledwie orszak wspiał się do połowy wysokości wzgórza, trwający dotychczas lekki powiew zmienił się w prawdziwy wichur, który począł oblatywać wzgórze z jakimś posępnym, złowróżbyim świstem i wówczas mołojcom wydało się, że między owemi rumowiskami odzywają się jakieś ciężkie westchnienia, jakby wychodzące z ugniecionych piersi, jakieś żalosne jęki, jakieś śmiechy, płacze i kwilenia dzieci. Całe wzgórze poczęło się ożywiać, wołać różnymi głosami. Z za kamieni zdawały się wyglądać wysokie ciemne postacie, cienie dziwacznych kształtów prześlizgiwały się cicho między głazami, w dali, w pomroce błyskały jakieś światelka, podobne do oczu wilczych, nakoniec z drugiego końca wzgórza, z pomiędzy najgęstszych kup i zwalisk, ozwało się niskie gardłowe wycie, któremu zawtórowały zaraz inne.

— Siromachy? — szepnął młody kozak, zwracając się do starego essaula.

— Nie, to upiory — odpowiedział essaul jeszcze ciszej.

— O Hospody pomyłuj! — zawołali z przerażeniem inni, zdejmując czapki i żegnając się pobożnie.

Konie poczęły tulić uszy i chrapać. Horpyna jadąca na czele orszaku mruczała półgłosem niezrozumiałe słowa, jak gdyby pacierz dyabelski. Dopiero gdy przybyli na drugi kraniec wzgórza, odwróciła się i rzekła:

— No, już. Tu już dobrze. Trzymać ja je musiała zakłębem, bo bardzo głodne.

Westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi. Bohun z Horpyną wysunęli się znów naprzód, a molojcy, którzy przed chwilą tłumili oddech, poczęli szeptać do siebie i rozmawiać. Każdy przypomniał sobie, co mu się kiedy z duchami lub upiorami przytrafiło.

— Żeby nie Horpyna, to myby nie przeszli — mówił jeden.

— Mocna wid'ma.

— A nasz ataman i did'ka ne boitsia. Nie patrzył, nie słuchał, jeno się na swoją molojycię oglądał.

— Żeby jemu się to zdarzyło, co mnie, toby nie był taki bezpieczny — rzekł stary essaul.

— A co się wam zdarzyło, ojczce Owsiwuju?

— Jechał ja raz z Reimentarówki do Hulapola, a jechał nocą koło mogił. Wtem baczu, hyc coś z tyłu z mogiły na kulbakę. Obejrzę się: dziecko — sineńkie, bladeńkie!... Widno Tatary z matką w jassyr prowadzili i umarło bez chrztu. Oczki mu goreją jak świeczki i kwili, kwili! Skoczyło mi z kulbaki na kark, aż tu czuję: kąsa za uchem. O Hospody! upiór. Alem to na Wołoszy długo służywał, gdzie upiorów więcej niż ludzi i tam są na nie sposoby. Zeskoczyłem z konia i gindzałem w ziemię. Zgiń! przepadnij! a ono jęknęło, chwyciło się za głownię od gindzała i po ostrzu spłynęło pod murawę. Przeciąłem ziemię na krzyż i pojechałem.

— To na Wołoszy tyle upiorów, ojczce?

— Co drugi Wołoch, to po śmierci będzie upiór — i wołoskie najgorsze ze wszystkich. Tam ich nazywają brukolaki.

— A kto mocniejszy, ojcie, did'ko czy upiór?

— Did'ko mocniejszy, ale upiór zawziętszy. Did'ka jak potrafisz zażyć, to ci będzie służył, a upiory do niczego, tylko za krwią wietrzą. Ale zawsze did'ko nad nimi ataman.

— A Horpyna nad did'kami reimentaruje.

— Pewnie, że tak. Póki jej życia, póty reimentarstwa. No, żeby ona nie miała nad nimi władzy, toby jej ataman swojej zuzuli nie oddał, bo brukolaki na dziewczynską krew najłakomsze.

— A ja słyszał, że ony do duszy niewinnej nie mają przystępu.

— Do duszy nie mają, ale do ciała mają.

— Oj szkodaby krasawicy! Krew to z mlekiem! Wiedział nasz bat'ko, co w Barze brać.

Owsiwuj językiem klasnął.

— Niema co mówić. Złotaja Laszka...

— A mnie jej, ojcie, żal — mówił młody kozak. — Jak my ją w kołyskę kładli, to rączki białe składała, a tak prosiła i prosiła: ubij, każe, ne huby, każe, ne-szczastlywoj!

— Nie będzie jej źle.

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się Horpyny.

— Hej, mołojcy — rzekła wiedźma — to Tatarski rozłóg, ale nie bójcie się, tu tylko jedna noc w roku straszna, a Czortowy jar i mój hutor już zaraz.

Jakoż wkrótce dały się słyszeć szczekania psów. Orszak wszedł w gardło jaru, biegnącego prostopadle od rzeki, a tak wążkiego, że ledwie czterech konnych

mogło w nim obok siebie postępować. Na dnie owej rozpadliny płynęła krynica, mieniać się w świetle księżycowym jak wąż i biegnąc wartko do rzeki. Ale w miarę, jak orszak posuwał się naprzód, strome i urwiste ściany rozszerzały się coraz bardziej, tworząc dość obszerny rozłóg, wznoszący się lekko w górę i zamknięty z boków skałami. Grunt gdzieniegdzie pokryty był wysokimi drzewami. Wiatr tu nie wiał. Długie czarne cienie kładły się od drzew na ziemię, a na przestrzeniach oblatnych światłem księżycy świeciły mocno jakieś białe, okrągłe, lub wydłużone przedmioty, w których mołojcy ze strachem poznali czaszki i piszczele ludzkie. Oglądali się też z nieufnością naokół, znacząc od czasu do czasu krzyżami piersi i czoła. Wtem w dali błysło z pomiędzy drzew światelko, a jednocześnie nadbiegły dwa psy straszne, ogromne, czarne, ze świecącymi oczyma, szcękając i wyjąc na widok ludzi i koni. Na głos Horpyny uciszyły się wreszcie i poczęły obiegać wokół jeźdźców, chrapiąc przytem i charcząc ze zdyszenia.

— Niesamowite — szeptali mołojcy.

— To nie psy — mruknął stary Owsiwuj głosem, zdradzającym głębokie przekonanie.

Tymczasem z za drzew ukazała się chata, za nią stajnia, dalej zaś i wyżej jeszcze jedna ciemna budowla. Chata napozór była porządna i duża — w oknach jej błyszczalo światło.

— To moja sadyba — rzekła do Bohuna Horpyna — a tamto młyn, co zboża nie miele, jeno nasze, ale ja worożycha z wody na kole wróżę. Powróżę i tobie. Mołodycia w świetlicy będzie mieszkać, ale kiedy chcesz ściany przybrać, to ją trzeba na drugą stronę tymczasem przenieść. Stójcie i z koni!

Orszak zatrzymał się, Horpyna zaś poczęła wołać:

— Czeremis, huku! huku! Czeremis!

Jakaś postać z pękiem zapalonego luczywa w rękę wyszła przed chatę i wzniosłszy ogień w górę poczęła w milczeniu przypatrywać się obecnym.

Był to stary człek, potwornie szpetny, mały, prawie karzeł, z płaską kwadratową twarzą i skośnymi podobnymi do szczelin oczyma.

— Co ty za czort? — spytał go Bohun.

— Ty jego nie pytaj — rzekła olbrzymka — on ma język obcięty.

— Pójdź tu bliżej.

— Słuchaj — mówiła dalej dziewczka — a możebyś mołodycię do młyna zanieść? Tu mołojcy będą przybierać świetlicę i éwieki wbijać, to się rozbudzi.

Kozacy, zsiadłszy z koni, poczęli odwiązywać ostrożnie kołyskę. Sam Bohun czuwał nad wszystkim z największą troskliwością i sam dzwignął w głowach kołyskę, gdy przenoszono ją do młyna. Karzeł, idąc naprzód, świecił luczywem. Kniaziówna, napojona przez Horpynę odwarem ziół usypiających, nie rozbudziła się wcale, tylko powieki drgały jej cokolwiek od światła luczywa. Twarz jej nabierała życia od tych czerwonych blasków. Może też kołysały dziewczynę sny cudne, bo się uśmiechała słodko w czasie tego pochodu, podobnego do po-grzebu. Bohun patrzył na nią i zdawało mu się, że serce chyba mu rozsadzi żebra w piersiach. „Myleńka moja, zuzula moja!” — szeptał cicho — i groźne choć piękne lica watażki złagodniały i płonęły wielkim ogniem miłości, która go ogarnęła i ogarniała coraz bardziej, tak jak zapomniany przez wędrowca płomień ogarnia dzikie stepy.

Idąca obok Horpyna mówiła :

— Gdy się z tego snu rozbudzi, zdrowa będzie. Rana się goi, zdrowa będzie...

— Sława Bohu! sława Bohu! — odpowiadał watażka.

Tymczasem molojcy poczęli przed chatą zdejmować ogromne juki z sześciu koni i wyladowywać zdobyte wziętą w makatach, kobiercach i innych kosztownościach w Barze. Rozpalono w świetlicy obfity ogień i gdy jedni znosili coraz to nowe opony, inni przystosowywali je do drewnianych ścian izby. Bohun nie tylko pomyślał o klatce bezpiecznej dla swego ptaka, ale postanowił ją przybrać, by ptakowi niewola nie zdawała się zbyt nieznośna. Wkrótce też nadszedł z młyna i sam pilnował roboty. Noc upływała i księżyc zdjął już swoje białe światło z wierzchołków skał, a w świetlicy słychać jeszcze było przytłumione stukanie młotów. Prosta izba stawała się coraz podobniejsza do komnaty. Nakoniec, gdy już ściany były obwieszane, a tok wymoszczony, przyniesiono napowrót senną kniaziównę i złożono ją na miękkich wezłowiach.

Potem uciszyło się wszystko. Tylko w stajni jeszcze przez jakiś czas rozlegały się wśród ciszy wybuchy śmiechu, podobne do końskiego rżenia; — to młoda wiedźma, baraszkując na sianie z molojcami, rozdawała im kulaki i całusy.

ROZDZIAŁ II.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy nazajutrz dzień kniaziówna otworzyła ze snu oczy.

Wzrok jej padł naprzód na pułap i zatrzymał się na nim długo, poczem obiegł całą komnatę. Wracająca przytomność walczyła jeszcze w dziewczynie z resztkami snu i marzeń. Na twarzy jej odmalowało się zdziwienie i niepokój. Gdzie jest? skąd się wzięła i w czyjej jest mocy? Czy śni jeszcze, czy widzi na jawie? Co znaczy ten przepych, który ją otacza? Co się z nią działo dotąd? W tej chwili straszne sceny wzięcia Baru stały nagle przed nią, jakby żywe. Przypomniała sobie wszystko: rzeź tysięcy narodu, szlachty, mieszczan, księży, zakonnic i dzieci — pomazane krwią twarze czerni, szyje i głowy poobwijane w dymiące jeszcze trzewia, pijane wrzaski, ów sądny dzień wycinanego w pień miasta — nakoniec zjawienie się Bohuna i porwanie. Przypomniała sobie i to, jak w chwili rozpaczycy padła na nóż nadstawiony własną ręką — i zimny pot operlił teraz jej skroń. Widać nóż ześliznął się jej po ramieniu, bo czuje tylko trochę bólu, ale zarazem czuje, że żyje, że wraca jej siła i zdrowie, pamięta wreszcie, że długo, długo wieszono ją gdzieś w kołysce. Ale gdzie jest teraz? Czy

w zamku jakim, czy uratowana, odbita, bezpieczna? I znowu obiega oczyma komnatę. Okienka w niej jak w chacie chłopskiej, małe, kwadratowe i świata przez nie nie widać, bo zamiast szyb zasłaniają je błony białe. Byłaby to rzeczywiście chata chłopska? Ale nie może być, bo świadczy przeciw temu niezmierny przepych wewnętrzny. Zamiast pułapu zwiesza się nad dziewczyną jedna ogromna opona z purpurowego jedwabiu w złote gwiazdy i księżyce, ściany niezbyt przestronne, ale całkiem przybrane w makaty, na podłodze leży różnowzory kobierzec, jakby żywymi kwiatami usłany. Okap na kominie pokryty perskim tyftykiem, wszędy złote frendzle, jedwabie, aksamity, począwszy od ścian pułapu, aż do poduszek, na których spoczywa jej głowa. Jasne światło dzienne, przesiąkając przez błony okienek, rozświeca wnętrze, ale i gubi się w tych purpurach, ciemnych fioletach i szafirach aksamitu, tworząc jakąś uroczą tęczową pomrokę. Kniaziówna dziwi się, oczom nie wierzy. Czy to czary jakie, czy nie wojska księcia Jeremiego odbiły ją z rąk kozackich i złożyły w którym z książęcych zamków?

Dziewczyna złożyła ręce.

— Święta, Przczysta! spraw, aby tak się stało, aby pierwsza twarz, która się we drzwiach ukáže, była twarzą obrońcy i przyjaciela.

Wtem przez ciężką lamową kotarę doszły do niej płynące z daleka dźwięki teorbanu i jednocześnie jakiś głos począł nucić do wtóru znaną pieśń:

„Oj cei lubosti
„Hirsze od słabosti!
„Słabost' perebudu,
„Zdorow-że ja budu,

„Wirnoho kochania,
„Po wik ne zabudu.“

Kniaziówna podniosła się na łożu, ale w miarę jak słuchała, oczy jej otwierały się coraz szerzej z przerażenia — wreszcie krzyknęła strasznie i rzuciła się jak martwa na poduszki.

Poznała głos Bohuna.

Ale krzyk jej przedostał się widocznie również przez ściany świetlicy, bo po chwili ciężka kotara zaszeleściła i sam watażka ukazał się w progu.

Kurcewiczówna zakryła oczy rękoma, a zbieleła i trzęsące się jej wargi powtarzały jakby w gorączce:

— Jezus Marya! Jezus Marya!

A jednak widok, który ją tak przeraził, byłby uradował niejedne oczy dziewczęce, bo aż luna biła od ubioru i twarzy tego mołojca. Dyamentowe guzy jego żupana migotały jak gwiazdy na niebie, nóż i szabla skrzyły się od klejnotów, żupan ze srebrnej lamy i czerwony kontusz podwoiły piękność jego smagłego oblicza i tak stał przed nią wysmukły, czarnobrewy, przepyszny, najpiękniejszy ze wszystkich mołojców Ukrainy.

Ale oczy miał zamglone, jakby gwiazdy tumanem przysłonięte i patrzył na nią prawie z pokorą, a widząc, że strach nie ustępuje z jej twarzy, począł mówić niskim i smutnym głosem:

— Nie bój się, kniaziówno!

— Gdziem jest? gdziem jest? — pytała, poglądając na niego przez palce.

— W bezpiecznem miejscu, daleko od wojny. Nie bój się, duszo ty moja miła. Ja cię tu z Baru przywiózł, żeby się tobie krzywda nie stała od ludzi, albo od

wojny. Już tam nikogo w Barze nie żywili kozacy, tyś jedna żywa wyszła.

— Co tu waćpan robisz, dlaczego mnie przesładujesz?

— Ja ciebie przesładuję! Mój Boże miły! — i watażka ręce rozłożył i począł głową kiwać, jak człowiek, którego wielka niesprawiedliwość spotyka.

— Ja się waćpana boję okrutnie.

— I czemu się boisz — jeśli każesz, ode drzwi się nie ruszę — ja rab twój. Mnie tu na progu siedzieć i w oczy ci patrzeć. Ja ci zła nie chcę, za co ty mnie nienawidzisz? Hej, Boże miły! ty się w Barze nożem pchnęła na mój widok, choć ty mnie dawno знаła i wiedziała, że ja cię bronić idę. Toć ja nie obcy człowiek dla ciebie, ale druh serdeczny, a ty się nożem pchnęła, kniaziówno!

Blade policzki kniaziówny oblały się nagle krwią.

— Bom wolala śmierć, niż hańbę — rzekła — i przysięgam, że jeśli mnie nie uszanujesz, to się zabiję, choćbym też i duszę zgubić miała.

Z oczu dziewczyny strzelił ogień — i widział watażka, że nie ma co żartować z tą krwią Kurcewiczowską, książęcą, bo w uniesieniu dotrzyma tego, czem grozi, a drugim razem lepiej nadstawi noża.

Więc nie odrzekł nic, tylko postąpił parę kroków pod okno i siadłszy na ławie pokrytej złotą lamą, zwiesił głowę.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Bądź ty spokojna — rzekł. — Póki ja trzeźwy, póki mnie gorzałka-matka głowy nie zapali, póty ty dla mnie jak obraz w cerkwi. A od czasu jak ja ciebie w Barze znalazł, przestałem pić. Przedtem ja pił, pił, biedę

moją gorzałką-matką zalewał. Co było robić? Ale teraz do ust nie wezmę ni słodkiego wina, ni palanki.

Kniaziówna milczała.

— Popatrzę na cię, — mówił dalej — oczy krasnem liczkami ucieszę — taj pójdę.

— Wróc mnie wolność — rzekła dziewczyna.

— Albo ty w niewoli? ty tu pani. I gdzie chcesz wracać? Kurcewiczowie wyginęli, ogień pożarł wieś i grody, kniazia w Łubniach niema, idzie on na Chmielnickiego, a Chmielnicki na niego, wszędy wojna, krew się leje, wszędy pełno kozaków i ordyńców i żołnierstwa. Kto cię uszanuje? kto się ciebie uzali, kto cię obroni, jeśli nie ja?

Kniaziówna oczy ku górze wzniosła, bo wspomniała, że przecie jest ktoś na świecie, ktoby przygarnął i uzalił się i obronił — ale nie chciała wymówić jego nazwiska, by lwa srogiego nie drażnić — jednocześnie zaś głęboki smutek ścisnął jej serce. Czy jeszcze żyje ten, za którym tęskniła jej dusza? Będąc w Barze wiedziała, że żyje, bo zaraz po wyjeździe Zagłoby doszło jej uszu nazwisko pana Skrzetuskiego, wraz z wieściami o zwycięstwach groźnego księcia. Ale od tej pory ileż to już upłynęło dni i nocy, ile mogło się zdarzyć bitew, ile osiągnąć go niebezpieczeństw! Wieści o nim mogły ją teraz dochodzić tylko przez Bohuna, którego pytać nie chciała i nie śmiała.

Więc głowa opadła jej na poduszki.

— Zali mam więzaniem tu pozostać? — pytała z jeżem. — Com ja waćpanu uczyniła, że chodzisz za mną jak nieszczęście?

Kozak podniósł głowę i począł mówić tak cicho, że zaledwie było go słycać:

— Co ty mnie uczyniła — ne znaju, ale to znaju, że jeśli ja tobie nieszczęście, to i ty mnie nieszczęście. Żeby ja ciebie nie pokochał, byłby ja wolny jak wiatr w polu i na sercu swobodny i na duszy swobodny, a sławny jak sam Konasewicz Sahajdaczny. Twoje to liczko mnie nieszczęście, twoje to oczy mnie nieszczęście; ni mnie wola miła, ni sława kozacza! Co mnie były krasawice, póki ty z dziecka na pannę nie wyrosła. Raz ja wziął galereę z najkrajniejszymi mołodyciami, bo je sultanowi wieźli — i żadna serca nie zabrała. Poigrały kozaki-braty, a potem ja każdej kamień kazał do szyi i w wodę. Nie bał ja się nikogo, nie dbał o nic — wojną na pogan chodził, łup brał — i jak kniaź w zamku, tak ja był na stepie. A dziś co? Ot, siedzę tu — i rab, o dobre słowo u ciebie żebrzę i wyżebrać nie mogę — i nie słyshał go nigdy, nawet i wtedy, gdy cię bracia i stryjna za mnie swatali. Oj, żeby ty dziewczyno była dla mnie inna, żeby ty była inna, nie stałoby się to, co się stało; nie byłby ja twoich krewnych pobił, nie byłby ja się z buntem i chłopami bratał; ale przez ciebie ja rozum stracił. Tyby mnie gdzie chciała zawiodła — jaby ci krew oddał, duszęby oddał. Ja teraz ot cały we krwi szlacheckiej ubroczon, ale dawniej ja tylko Tatarów bił, a tobie łup przywoził — żeby ty w złocie i klejnotach chodziła jak cheruwym Bożyj — czemu ty mnie wtedy nie kochała? Oj ciężko, oj ciężko! żal sercu mojemu. Ni z tobą żyć, ni bez ciebie, ni zdala, ni z blizka — ni na górze, ni na dolinie — hołubko ty moja, serdeńko ty moje! No daruj ty mnie, że ja przyszedł po ciebie do Rozłogów po kozacku, z szablą i ogniem, ale ja był pijany gniewem na kniaziów i gorzałkę po drodze pił — zbój nieszczęsny. A potem, jak ty mi uciekła, tak ja po

prostu jak pies wyl, i rany bolały, i jeść nie chciał i śmierci-matki prosił, żeby zabrała — a ty chcesz, by ja cię teraz oddał, by utracił cię na nowo — hołubko ty moja, serdeńko ty moje!

Watażka przerwał, bo mu głos urwał się w gardle i stał się prawie jęczący, a twarz Heleny to rumieniła się, to bladła. Im więcej niezmiernej miłości było w słowach Bohuna, tem większa przepaść otwierała się przed dziewczyną, bez dna, bez nadziei ratunku.

A kozak odpoczął chwilę, opanował się i tak dalej mówił:

— Proś, czego chcesz. Ot, patrz, jak ta izba przybrana — to moje, to łup z Baru, na sześciu koniach ja dla ciebie to przywiózł — proś czego chcesz — złota żółtego, szat świecących, klejnotów jasnych, rabów pokornych. Ja bogaty, swego mam dość i Chmielnicki mnie dobra nie pożałuje i Krzywonos nie pożałuje, ty będziesz jak księżna Wiśniowiecka, zamków ci nazdobywam, pół Ukrainy ci daruję — bo choć ja kozak, nie szlachcic, ale ataman buńczuczny, podemną dziesięć tysięcy molojców chodzi, więcej niż pod kniazem Jeremą. Proś, czego chcesz, byleś nie chciała uciekać odemnie — byleś została ze mną, hołubko, a pokochała!

Kniazówna poniosła się na poduszkach bardzo blada — ale jej słodka, przecudna twarz wyrażała taką niezłomną wolę, dumę i siłę, że ta gołąbka podobniejszą była w tej chwili do orłęcia.

— Jeśli waćpan mej odpowiedzi czekasz — rzekła — to wiedz, iż choćbym miała wiek w twojej niewoli przejechać, nigdy, nigdy cię nie pokocham, tak mi dopomóż Bóg!

Bohun pasował się przez chwilę sam ze sobą.

— Ty mi takich rzeczy nie mów — rzekł chra-
pliwym głosem.

— Ty mi o swem kochaniu nie mów, bo mi od
niego wstyd, gniew i obraza. Jam nie dla ciebie.

Watażka wstał.

— A dla kogo że ty, kniaziówno Kurcewiczówno?
a czyjaby ty była w Barze, żeby nie ja?

— Kto mnie życie ratuje, by mi dać hańbę i nie-
wolę, ten mój wróg, nie przyjaciel.

— I ty myślisz, żeby cię chłopcy zabili? Strach
myśleć!...

— Nóżby mnie zabił, tyś mi go wydarł.

— I nie oddam, bo ty musisz być moja — wy-
buchnął kozak.

— Nigdy! wolę śmierć.

— Musisz i będziesz.

— Nigdy!

— No, żeby ty nie była ranna, to po tem, co ty
mi rzekła, jaby dziś jeszcze pchnął molojców do Rasz-
kowa i mnicha za łeb kazał przyprowadzić, a jutro jaby
był twój mąż. Taj co? męża grzech nie kochać i nie
przyhołubić. Hej! ty panno wielmożna, tobie miłość ko-
zacka obraza i gniew. A kto ty taka, że ja dla ciebie
chłop? Gdzie twoje zamki, i bojary i wojska? Czemu
tobie gniew, czemu tobie obraza? Ja cię wojną wziął,
ty branka. Oj, żeby ja był chłop, jaby cię nahajem po
białych plecach rozumu nauczył i bez księdzaby się twoją
krasą nasycił — żeby ja był chłop, nie rycerz!

— Anieli niebiescy, ratujcie mnie! — szepnęła
kniaziówna.

A tymczasem coraz większa wściekłość wzbierała
na twarzy kozaka i gniew chwycił go za włosy.

— Ja wiem — mówił — czemu tobie obraza, czemu ty mi odporna! Dla innego chowasz swój wstyd dziewiczy — ale nic z tego, jakom żyw, jakom kozak! Szlachciec hołota! oczajdusza Lach nieszczery! Na pohybelże jemu! Ledwie spojrzal, ledwie w tańcu zakręcił, i całą wziął, a ty kozacze cierp, lbem tłucz! Ale ja jego dostanę i ze skóry każę go obedrzeć, ćwiekami nabić. Wiedz ty, że idzie Chmielnicki na Lachów, a ja idę z nim — i twego hołubka odnajdę, choćby pod ziemią, a jak wrócę, to ci wrażą jego głowę na gościniec pod nogi kinę.

Helena nie słyszała ostatnich słów atamana. Ból, gniew, rany, wzruszenie, przestrasz, zbawiły ją sił — i słabość niezmierna rozeszła się po wszystkich jej członkach, oczy i myśli jej zgasły — i padła zemdlona.

Watażka stał czas jakiś blady z gniewu, z pianą na ustach — wtem dostrzegł tę martwą głowę zwieszoną w tył bezwładnie i z ust jego wyrwał się ryk prawie nieludzki.

— Wże po nej! Horpyna! Horpyna! Horpyna!
I na ziemię runął.

Olbrzymka wpadła co ducha do świetlicy.

— Szczo z toboju?

— Ratuj! ratuj! — wołał Bohun. — Zabił ja ją — duszu moju, światło moje.

— Szczo ty zduriw?

— Zabił, zabił! — jęczał watażka i ręce nad głową łamał.

Ale Horpyna, zbliżywszy się do kniaziówny, wnet poznała, że to nie śmierć, jeno omdlenie ciężkie i wyprawiwszy za drzwi Bohuna, zaczęła ją ratować.

Kniaziówna otworzyła po chwili oczy.

— No, doniu, nic ci — mówiła czarownica. — Ty się widać jego przelekle i pomroka cię chwyciła — ale pomroka przejdzie, a zdrowie przyjdzie. Ty jak orzech dziewczyna, tobie długo jeszcze na świecie żyć i szczęścia używać.

— Ktoś ty jest? — spytała słabym głosem kniaziówna.

— Ja? sługa twoja — bo on tak kazał.

— Gdzie ja jestem?

— W Czortowym jarze. Szczera tu pustynia, nikogo tu nie zobaczysz, prócz niego.

— Czy i ty tu mieszkasz?

— Tu nasz chutor. Ja Dońcówna, brat mój pod Bohunem pułkownikuje, dobrych mołojców wodzi, a ja tu siedzę — i będę ciebie pilnowała w tej komnacie złocistej. Z chaty terem! — aż luna bije! to on dla cię wszystko to przywiózł.

Helena popatrzyła w hożą twarz dziewczki i twarz ta wydała jej się pełną szczerości.

— A będziesz ty dobra dla mnie?

Białe zęby młodej wiedźmy zabłysły w uśmiechu.

— Będę. Zaśbym nie była! — rzekła — ale i ty bądź dobrą dla atamana. On sokół, on sławny mołojec, on ci...

Tu wiedźma schyliła się do ucha Heleny i zaczęła jej coś szeptać, wkońcu wybuchnęła śmiechem.

— Precz! — krzyknęła kniaziówna.

ROZDZIAŁ III.

Rankiem, w dwa dni później, Dońcówna z Bohunem siedzieli pod wierzbą, wedle młyńskiego koła i patrzyli na piniącą się na niem wodę.

— Będiesz jej pilnowała, będziesz jej strzegła, oka z niej nie spuścisz, żeby nigdy z jaru nie wychodziła — mówił Bohun.

— U jaru ku rzece wążka szyja, a tu miejsca dosyć. Każ szyję kamieniami zasypać, a będziem tu jak w garnku na dnie; jak mnie będzie trzeba, to sobie wyjście znajdę.

— Czemże wy tu żyjecie?

— Czeremis pod skałami kukurydzą sadzi, wino sadzi i ptaki w sidła łapie. Z tem, co ty przywiózł, nie będzie jej niczego brakować, chyba ptasiego mleka. Nie bój się, już ona z jaru nie wyjdzie i nikt się o niej nie dowie, byle twoi ludzie nie rozgadali, że ona tu jest.

— Ja im kazał przysiądz. Oni wierni molojcy nie rozgadają, choćby z nich pasy darli. Ale ty sama mówiła, że tu ludzie przychodzą do cię jako do worożychy.

— Czasem z Raszkowa przychodzą, a czasem jak zasłyszą, to i Bóg wie skąd. Ale zostają przy rzece, do jaru nikt nie wchodzi, bo się boją. Ty widział kości. Byli tacy, co chcieli przyjść, to ich kości leżą.

— Ty ich mordowała ?

— Kto mordował, to mordował! Chce kto wróżby, czeka u jaru, a ja do koła idę. Co zobaczę w wodzie, to pójdę i powiem. Zaraz i dla ciebie będę patrzyła, jeno nie wiem, czy się co pokaże, bo nie zawsze widać.

— Byleś co złego nie zobaczyła.

— Jak będzie co złego, to nie pojedziesz. I takbyś lepiej nie jechał.

— Muszę. Do mnie Chmielnicki pismo do Baru pisał, żeby ja wracał i Krzywonos przykazywał. Teraz na nas Lachy z wielką siłą idą, więc i my musimy do kupy.

— A kiedy wrócisz ?

— Ne znaju. Będzie wielka bitwa, jakiej jeszcze nie bywało. Albo nam śmierć, albo Lachom. Jeśli nas pobiją, to tu się schronię, jeśli my pobijemy — to wrócę po moją zuzulę i do Kijowa z nią pojedę.

— A jak zginiesz ?

— Od tego ty worożycha, żebym wiedział.

— A jak zginiesz ?

— Raz maty rodyła.

— Ba ! A co ja mam z dziewczyną, wtedy robić ?
Głowę jej ukręcić, czy jak ?

— Dotknij ty jej ręką, a ja cię każę wołami na pal nawlec.

Watażka zamyślił się ponuro.

— Jeśli zginę, tak ty jej powiedz, żeby mnie ona prostyla.

— Hej, newdiaczna to Laszka, że za takie kochanie cię nie kocha. Żeby tak na mnie, jaby ci nie była oporna — hu ! hu !

To mówiąc, Horpyna trąciła po dwakroć kulą-
kiem w bok watażkę i pokazała mu wszystkie zęby
w uśmiechu.

— Idźże ty do czorta! — rzekł kozak.

— No, no! wiem ja, że ty nie dla mnie.

Bohun zapatrzył się w spienioną wodę na kole,
jakby sam chciał sobie wróżyć.

— Horpyna? — rzekł po chwili.

— A co?

— Jak ja pojedę, czy ona będzie za mną tużyla?

— Kiedy ty nie chcesz jej po kozacku zniewolić,
to może i lepiej, że sobie pojedziesz.

— Ne chcuzu, ne mohu, ne smiju! Ja wiem, że
onaby umarła.

— To może i lepiej, że pojedziesz. Póki ona cię
widzi, nie chce cię i znać, ale jak posiedzi ze mną
i z Czeremisem miesiąc, dwa — będziesz jej zaraz
milszy.

— Żeby ona była zdrowa, tak wiem, coby ja zro-
bił. Sprowadziłby popa z Raszkowa i kazał sobie ślub
dać, ale teraz się boję, bo jak się przełęknie — duszę
odda. Samaś widziała.

— Dajże ty pokój. A poco tobie pop i ślub. Nie
szczery ty kozak — nie! Ja tu nie chcę ni popa, ni księ-
dza. W Raszkowie stoją Tatarzy dobrucy, jeszczeby ty
ich na kark nam sprowadził, a jakby sprowadził, tak
tyleby widział kniaziównę. Co tobie do głowy przyszło?
Jedźże sobie i wracaj.

— A ty patrz w wodę i mów, co ujrysz. Mów
prawdę, a nie lżyj, choćby ty mnie nieżywego ujrziała.

Dońcówna zbliżyła się do koryta młyńskiego i pod-
niosła drugą zastawę, wstrzymującą wodę krynicznego

wodospadu; wnet wartka fala napłynęła zdwojonym pędem przez koryto; koło zaczęło się obracać szybciej, aż wreszcie zakrył je pył wodny; zbita na miazgę piana kłębiła się pod kołem, jak ukrop.

Wiedźma wbila swoje czarne oczy w owe wary i chwyciwszy się za warkocze koło uszu, poczęła wołać:

— Huku! huku! pokaż się! W kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, zły ty, czy dobry, pokaż się!

Bohun zbliżył się i siadł przy niej. Twarz jego wyrażała obawę i gorączkową ciekawość.

— Widzę! — krzyknęła wiedźma.

— Co widzisz?

— Śmierć mojego brata. Dwa woły Dońca na pal naciągają.

— Do czorta z twoim bratem! — mruknął Bohun, który czego innego chciał się dowiedzieć.

Przez chwilę słyhać było tylko hurgot koła, obracającego się jakby z wściekłością.

— Sina u mego brata głowa, sineńka, kruki go dziobią! — rzekła wiedźma.

— Co więcej widzisz?

— Nic. — O jaki siny! Huku! huku! w kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, pokaż się! — Widzę.

— A co?

— Bitwa! Lachy uciekają przed molojcami.

— A ja gonię?

— Widzę i ciebie. Ty się z małym rycerzem potykasz. Hur! hur! hur! Ty się małego rycerza strzeż.

— A kniaziówna?

— Niema jej. Widzę cię znowu, a przy tobie ktoś, kto cię zdradzi. Twój druh nieszczerzy.

Bohun pożerał oczyma to piany, to Horpynę — i jednocześnie pracował głową, by pomódz wróżbom.

— Jaki druh?

— Nie widzę. Nie wiem, stary, czy młody.

— Stary! pewno stary!

— Może i stary.

— To wiem, kto to. On mnie już raz zdradził. Stary szlachcic z siwą brodą i z białem okiem. Na pohybelże jemu! Ale on mnie nie druh.

— On dybie na ciebie. Widzę znowu. Czeka! jest i kniaziówna! jest, w wianku rucianym, w białej sukni, nad nią jastrząb.

— To ja.

— Może i ty. Jastrząb... czy sokół? Jastrząb!

— To ja.

— Czeka! Już nie widać... W kole dębowem, w pianie białej... O! o! mnogo wojska, mnogo mołojców, oj, mnogo, jak drzew w lesie, jak bodiaków w stepie, a ty nad wszystkimi, przed tobą trzy buńczuki noszą.

— A kniaziówna przy mnie?

— Niema jej, ty w obozie.

Znowu nastala chwila milczenia. Koło huczało, aż się cały młyn trząsł.

— Hej, co tu krwi! co tu krwi! co trupów, wilcy nad nimi, krucy nad nimi! — zaraza nad nimi. Same trupy! same trupy! hen! hen! tylko trupy, nie widać nic, tylko krew!

Nagle powiew wiatru zwał tuman z koła — a je-

dnocześnie wyżej, nad młynem, ukazał się potworny Czeremis, z wiązką drzewa na plecach.

— Czeremis, załóż stawidło! — zawołała dziewczka.

To rzekłszy, poszła umywać ręce i twarz w strudze, a karzeł zahamował tymczasem wodę.

Bohun siedział zamysłony. Zbudziło go dopiero nadejście Horpyny.

— Ty nic więcej nie widziała? — spytał ją.

— Co się pokazało, to się pokazało, nic więcej nie obaczę.

— A nie łcesz?

— Na głowę brata, prawdę mówiłam. Jego na pal wsadzą. Wołami za nogi naciągną. Mnie jego żal. Hej, nie jemu jednemu śmierć pisana! Co się trupów pokazało! nigdy tyle nie widziałam; będzie wielka wojna na świecie.

— A ją ty widziała z jastrzębiem nad głową?

— Tak jest.

— I ona była w wianku?

— W wianeczku i w białej sukni.

— A skąd ty wiesz, że ten jastrząb to ja? Ja tobie o tym młodym Lachu szlachcicu powiadał — może to on.

Dziewka zmarszczyła brwi i zadumała się.

— Nie — rzekła po chwili, wstrząsając głową: — kołyby buw Lach, toby buw orel.

— Sława Bohu! sława Bohu! Pójdę ja teraz do mołojców, żeby konie do drogi gotowali. W nocy ruszymy.

— Tak i koniecznie pojedziesz.

— Chmiel przykazywał i Krzywonos przykazywał. Ty dobrze widziała, że będzie wielka wojna, bo to samo ja w Barze, w piśmie od Chmiela, czytał.

Bohun wprawdzie nie umiał czytać, ale wstydził się tego — bo nie chciał za prostaka uchodzić.

— To i jedź! — rzekła wiedźma. — Ty szczęśliwy — hetmanem zostaniesz, ja ot, tak nad tobą trzy buńczuki widziała, jako te palce widzę.

— I hetmanem zostanę i kniaziównę za żynku wezmę — mnie nie chłopkę brać.

— Z chłopką tyby inaczej gadał — ale tej ci wstyd. Ty powinien być Lachem.

— Jaże ne hirszy.

To rzekłszy, Bohun poszedł do stajni, do moloj-ców — a Horpyna jedzenie warzyć.

Wieczorem konie były gotowe do drogi, ale watażce niesporo było odjeżdżać. Siedział na pęku kobierców, w świetlicy, z teorbanem w rękę i patrzył na swoją kniaziównę, która już podniosła się z łoża, ale zasunawszy się w drugi kąt izby, odmawiała cicho różaniec, nie zwracając żadnej uwagi na watażkę, tak jakby go wcale w świetlicy nie było. On przeciwnie, śledził z pod ściany oczyma każdy jej ruch, łowił uszami każde westchnienie — i sam nie wiedział, co ze sobą zrobić. Co chwila otwierał usta, by rozpocząć rozmowę i słowa nie chciały mu wychodzić z gardła. Onieśmiewiała go twarz blada, milcząca, z wyrazem pewnej surowości w brwiach i ustach. Tego wyrazu nie widywał poprzednio na niej Bohun. I mimowoli przypomniał sobie podobne wieczory w Rozłogach i stanęły mu w myśli jakoby żywe: jako siadali on i Kurcewicze naokół dębowego stołu. Stara kniahini łuszczyła słoneczniki, kniazie rzucali kości z kubka — on wpatrywał się w śliczną kniaziównę, tak jak i teraz się wpatruje. Ale wówczas bywał szczęśliwy, wówczas gdy opowiadał swe

wyprawy z siczowymi — ona słuchała — i czasem jej czarne oczy spoczywały na jego twarzy, a rozchylone usta malinowe świadczyły, z jakim słucha zajęciem. Teraz ani spojrzała. Wówczas bywało, gdy grywał na teorbanie, ona i słuchała i patrzyła, a jemu aż serce tajało. I dziw nad dziwy: on przecie teraz jej pan, on ją wziął zbrojną ręką, ona jego branka, jego niewolnica — może jej rozkazywać, a przecie wówczas czuł się i bliższym jej i równiejszym jej stanem. Kurcewicze byli jego bracia, więc ona ich siostra, była mu nietylko zuzulą, sokołem, najmilszą czarnobrewą, ale jakby i krewniaczką. A teraz siedzi przed nim pani dumna, chmurna, milcząca, niemilosierna. Ej, gniew w nim wrze. Pokazałby on jej, co to kozaka poniewierać, ale on tę niemilosierną panią kocha — krewby za nią wytoczył, a ile razy gniew go za pierś pochwyci — to jakby jakaś niewidzialna ręka chwytą go za czub, jakiś głos huknie w ucho: stój! Zresztą, ot, wybuchał już jak płomień i potem lbem tłukł o ziemię. Tyle było z tego. Więc wije się kozaczysko, bo czuje, że on jej cięży w tej izbie. Niechby się uśmiechnęła, słowo dobre dała — to padłby jej do nóg i pojechał do czorta, by całą swoją zgryzotę, gniew, poniewierkę w lackiej krwi utopić. A tu on jak niewolnik przed tą kniaziówną. Żeby to on jej dawniej nie znał, żeby to była Laszka wzięta z pierwszego szlacheckiego dworu, miałby więcej śmiałości — ale to kniaziówna Helena, o którą on się Kurcewiczom kłaniał, za którą i Rozłogi i wszystko, co miał, chciał oddać. Tem mu większy wstyd chłopem być przy niej, tem mniej do niej śmiały.

Czas upływa, z przed chaty dochodzi szmer rozmów molojców, którzy pewnie już na kulbakach siedzą

i na atamana czekają, a ataman w męce. Jasny płomień lucywa pada na jego twarz, na bogaty kontusz i na teorban — a ona, żeby choć spojrzała! Atamanowi i gorzko, i gniewno, i tęskno i głupio. Chciałby się pożegnać czule, a boi się tego pożegnania, że nie będzie takie, jakiegoby z duszy pragnął, boi się, że odjedzie z goryczą, z gniewem, z bólem.

Ej, żeby to nie była kniaziówna Helena, kniaziówna Helena nożem pchnięta, śmiercią z własnej ręki grożąca, a miła, a miła! im okrutniejsza i dumniejsza, tem milsza!...

Wtem koń zarżał za oknem.

Watażka zebrał odwagę.

— Kniaziówno — rzekł — już mnie czas w drogę.
Helena milczała.

— A ty mnie nie powiesz: z Bogiem?

— Jedź waćpan z Bogiem! — rzekła poważnie.

Kozakowi ścisnęło się serce: powiedziała to, czego chciał, ale on chciał inaczej.

— No, wiem ja — rzekł — że ty na mnie gniewna, że ty mnie nienawidzisz, ale to ci powiem, że inny gorszyby był dla ciebie odemnie. Ja cię tu przywiózł, bo nie mógł inaczej, ale co ja ci złego zrobił? Czy nie obchodził się z tobą jak się godziło, jak z korolewną? Sama powiedz. Czy to ja już taki zbój, że ty mnie dobrego słowa nie dasz? A przecie ty w mojej mocy.

— W Bożej jestem mocy — rzekła z tą samą jak i poprzednio powagą — ale że waćpan się przy mnie hamujesz, dziękuję i za to.

— To już pojedę, chociaż z takim słowem. Może pożałujesz, może zatęsknisz!

Helena milczała.

— Żal cię tu samą zostawiać — mówił Bohun — żal odjeżdżać, ale mus. Lżejby było, żeby ty się uśmiechnęła, żeby krzyżyk ze szczerego serca dała. Co ja mam uczynić, żeby cię przejednać?

— Wróc mi wolność, a Bóg ci wszystko odpuści, i ja ci odpuszczę i błogosławić ci będę.

— No, może jeszcze będziesz — rzekł kozak — może ty jeszcze pożałujesz, żeś taka była dla mnie sroga.

Bohun chciał kupić chwilę pożegnania, choćby za pół-obietnicę, której dotrzymać nie myślał — i dokazał swego, bo światło nadziei błysnęło w oczach Heleny i surowość z jej twarzy znikła. Splotła dłonie przy piersiach i utkwiała w niego wzrok jasny.

— Byłżebyś ty...

— No, ne znaju — rzekł cicho kozak, bo go i wstyd i litość chwyciły jednocześnie za gardło. — Teraz ja nie mogę, nie mogę — orda w dzikich polach leży, czambuły wszędy chodzą — od Raszkowa dobrucy Tatarzy idą — ne mohu, bo strach, ale jak wrócę... Ja przy tobie detyna. Ty ze mną co chcesz zrobisz. Ne znaju... ne znaju!...

— Niech cię Bóg natchnie, niechże cię Święta Przczysta natchnie... Jedź z Bogiem.

I wyciągnęła ku niemu rękę. Bohun skoczył i wpil w nią wargi — nagle podniósł głowę, napotkał jej wzrok poważny — i rękę puścił. Natomiast, cofając się ku drzwiom, bił pokłony w pas po kozacku, bił jeszcze we drzwiach i wreszcie zniknął za kotarą.

Wkrótce przez okna doszedł żywszy gwar roz-

mowy, brzęk broni, a później słowa pieśni połamanej
na kilkanaście głosów:

Bude sława sławna
Pomeż kozakami,
Pomeż druhami,
Na dowhija lita,
Do kińca wika...

Głosy i tętent oddalały się i cichły coraz bardziej.

ROZDZIAŁ IV.

— Cud jawny już Pan Bóg raz nad nią okazał — mówił pan Zagłoba do Wołodyjowskiego i Podbipięty siedząc w kwaterze Skrzetuskiego — cud jawny, mówię, że mi ją pozwolił z tych rąk sobaczych wyrwać i przez całą drogę ustrzedz — ufajmy, że się jeszcze nad nią i nad nami zmiłuje. Byle tylko żywa była. A tak mi coś szeptem, że on ją znowu porwał. Bo uważcie waszmościowie: przecie, jako nam języki powiadały, on po Puljanie przy Krzywonosie drugim sprawcą został — żeby go dyabli sprawili! — a więc przy wzięciu Baru musiał być.

— Mógł jej nie odnaleźć w owym tłumie nieszczęsnych; przecie tam na dwadzieścia tysięcy ludu wycięto — rzecze pan Wołodyjowski.

— To jego waść nie znasz. A jabym przysiągł, iż on wiedział, że ona jest w Barze. Owóż nie może być inaczej, tylko on ją z rzezi salwował i gdzieś wywiózł.

— Nie wielką nam waść pociechę powiadasz, bo na miejscu pana Skrzetuskiego wolałbym, żeby zginęła, niż żeby miała w jego plugawych rękach zostawać.

— I to nie pociecha, bo jeśli zginęła, to pohanbiona...

— Desperacya! — rzecze Wołodyjowski.

— Och, desperacya! — powtórzył pan Longinus.

Zagłoba począł szarpać wąs i brodę, nakoniec wybuchnął:

— A żeby ich parchy zjadły, cały ten ród arcy-pieski! żeby z ich bebeczów poganie cięciwy pokręcili! Bóg stworzył wszystkie nacye, ale ich dyabeł, takich synów, sodomitów! Bodaj im wszystkie ich maciory zjawiały!

— Nie znalazłem ja tej słodkiej panny — mówił smutnie pan Wołodyjowski — ale wolałbym, żeby mnie samego nieszczęście pościgło.

— Raz ja ją w życiu widziałem, ale gdy ją wspomnę, z żalu żyć hadko! — rzekł pan Longinus.

— To wam — wołał pan Zagłoba — a cóż mnie, którym ją ojcowskim afektem umiłował i z toni takiej wyprowadził — cóż mnie?

— A cóż panu Skrzetuskiemu? — pytał Wołodyjowski.

I tak desperowali rycerze, a następnie pograżyli się w milczeniu.

Pierwszy ocknął się pan Zagłoba.

— Zali już niema rady? — spytał.

— Jeśli rady niema, to obowiązek jest pomścić — odpowiedział Wołodyjowski.

— Oby Bóg dał prędzej walną bitwę! — westchnął pan Longinus. — Mówią o Tatarach, że już się przeprawili i w polach koszem zapadli.

Na to pan Zagłoba:

— Nie może być, abyśmy ją niebogę tak zostawili, niczego dla jej ratunku nie przedsiębiorąc. Dość ja już się po świecie starych kości natłukłem, lepiejby

mi teraz gdzie w spokoju, w jakiej piekarni dla ciepła legiwać, ale dla tej niebogi pójdę jeszcze choćby do Stambułu, choćbym na nowo chłopską siermięgę miał włożyć i teorban wziąć, na którego bez abominacyi spojrzeć nie mogę.

— Waćpan tak w fortele obfity, wymyślże co — rzekł pan Podbipięta.

— Siła mnie już sposobów przez głowę przechodziło. Żeby choć połowę takich miał ksiązę Dominik, toby już Chmielnicki wypatroszony za zadnie nogi na szubienicy wisiał. Mówilem już o tem i ze Skrzetuskim, ale z nim się teraz nie można niczego dogadać. Bolesć się w nim zapiekła i nurtuje go gorzej choroby. Wy jego pilnujcie, żeby mu się rozum nie pomieszał. Często się trafia, że od wielkich smutków mens poczyna robić jak wino, aż w końcu skiśnie.

— Bywa to, bywał — rzekł pan Longinus.

Pan Wołodyjowski poruszył się niecierpliwie i spytał:

— Jakież tedy są waści sposoby?

— Moje sposoby? Owóż naprzód musimy się dowiedzieć, czy ona nieboga najmilsza — niech ją anieli strzegą od wszystkiego złego! — żywa jeszcze, a dowiedzieć się mozem dwojakim sposobem: albo znajdziemy między książęcymi kozakami ludzi wiernych i pewnych, którzy się podejmą niby to do kozaków uciec, pomieszać się między Bohunowymi ludźmi i od nich czegoś się dowiedzieć...

— Ja mam dragonów Rusinów! — przerwał Wołodyjowski — ja takich ludzi znajdę.

— Czekaj waść... albo złapać języka z tych hultajów, którzy Bar brali, czy czego nie wiedzą. Wszyscy oni patrzą w Bohuna jak w tęczę, że to im się jego

dyabelska fantazyja podoba : pieśni o nim śpiewają, — żeby im gardziele poropiały! — i jeden drugiemu baja o tem, co zrobił i o tem, czego nie zrobił. Jeśli on naszą niebogę porwał, to się przed nimi nie ukryło.

— To można i ludzi posłać swoją drogą i o języka się starać swoją drogą — zauważył pan Podbipięta.

— Trafleś waść w sedno. Jeśli się dowiemy, że żyje — to jest najglówniejsza rzecz. Wtedy, skoro waszmościowie szczerem sercem Skrzetuskiemu pomagać chcecie, to oddacie się pod moją komendę, bo mam najwięcej experyencyi. Poprzebieramy się za chłopów i postaramy się dowiedzieć, gdzie on ją ukrył — a jak raz będziemy wiedzieć, to już głowa moja w tem, że jej dostaniemy. Najwięcej ważę ja i Skrzetuski, bo Bohun nas zna, a jakby poznał — no, toby nas matki rorodzone potem nie poznały, ale waszmościów obydwóch nie widział.

— Mnie widział — rzekł pan Podbipięta — ale mniejsza z tem.

— Może też jego Pan Bóg poda w nasze ręce! — zawołał pan Wołodjowski.

— Już ja go tam nie chcę widzieć — mówił dalej Zagłoba. — Niech tam kat na niego patrzy. Trzeba ostrożnie poczynać, by całej imprezy nie popsować. Nie może to być, aby on jeden o jej ukryciu wiedział, a już to ręczę waszmościom, że bezpieczniej kogo innego się pytać.

— Może też ludzie nasi wysłani się dowiedzą. Jeśli tylko książę pozwoli, wybiorę pewnych i wyślę choćby jutro.

— Książę pozwoli, ale czy się dowiedzą, wątpię.

Posłuchajcie waszmościowie: przychodzi mnie do głowy i drugi sposób, oto abyśmy zamiast ludzi wysłać, albo języków łapać, sami poprzehierali się po chłopsku i ruszyli, nie mieszkając.

— O, nie może to być! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Czemu nie może być?

— To chyba waśc służby wojennej nie znasz. Gdy chorągwie *nemine excepto* stawają, to jest święta rzecz. Choćby ojciec i matka konali, to towarzysz ci nie pójdzie wtędy *permissyi* odjazdu prosić, bo przed bitwą to jest największy dyshonor, jakiego się żołnierz dopuścić może. Po bitwie walnej, gdy nieprzyjaciel rozproszon, można, ale nie przedtem. I uważ waśc: Skrzetuskiemu pierwszemu chciało się zrywać i lecieć i ratować, a ani pary nie puścił. Reputacyę on już ma, księżę go kocha, a ani się odezwał, bo swój obowiązek zna. To jest, widzisz waszmość, służba publiczna, a tamto prywatna. Nie wiem, jak tam gdzieindziej, choć mniemam, że wszędzie tak samo, ale u księcia naszego wojewody niebywała rzecz *permissya* przed bitwą, jeszcze u oficerów! Choćby się też i dusza podarła Skrzetuskiemu, nie poszedłby z taką propozycyą do księcia.

— Rzymianin on jest i rygorysta, wiem — mówił pan Zagłoba — ale żeby tak kto księciu podszeptał, możeby jemu i waszmościom z własnej woli dał *permissyę*.

— Ani to jemu w umyśle nie postoi. Księżę całą Rzeczpospolitę ma na głowie. Cóż waćpan myślisz, teraz tu najważniejsze sprawy się walą, całego narodu ty-czące — żeby on się czyjąś prywatą zajmował? A choćby też, co jest niepodobne, nieproszony *permissyę* dał, tedy

jak Bóg na niebie, niktby z nas teraz z obozu nie wyruszył, bo i my też pierwsze służby ojczyźnie nieszczęsnej, nie sobie powinni.

— Wiem ci ja o tem, wiem i służbę z dawnych czasów znam, dlatego też powiedziałem waszmości, że ten sposób przeszedł mi jeno przez głowę, ale nie powiedziałem, że w niej siedzi. Zresztą, prawdę rzekłszy, póki potęga hultajska stoi nienaruszona, niewielebyśmy mogli wskórać, ale gdy będą pobici, ścigani, gdy własne gardła będą tylko ratować, wtedy i zapuścić się śmiało między nich możemy i łatwiej wieści z nich wydobyć. Oby tylko jak najprędzej reszta wojska nadciągnęła, bo inaczej na śmierć się chyba pod tym Czolhańskim kamieniem zamartwimy. Żeby tak przy naszym księciu była komenda, jużbyśmy ruszali, ale księżę Dominik często gęsto widać popasa, kiedy go dotąd niema.

— We trzech dniach już się go spodziewają.

— Dajże go Boże jak najprędzej! Wszakże pan podczaszy koronny dziś nadciąga?

— Tak jest.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Skrzetuski.

Rysy jego, rzekłbyś, boleść z kamienia wykowała, taki bił od nich chłód i spokój.

Dziwno było patrzeć na tę twarz młodą a tak surową i poważną, jakby na niej uśmiech nigdy nie powstał — i zgadłbyś łatwo, że gdy ją śmierć zetnie, wiele w niej już nie zmieni. Broda wyrosła panu Janowi do wpół piersi, w której to brodzie, śród czarnego jak kručze pióra włosa, wily się tu i owdzie srebrne nitki.

Towarzysze i wierni przyjaciele odgadywali w nim raczej boleść, bo jej nie okazywał. Wreszcie był przy-

tomny, na pozór spokojny, w służbie swej żołnierskiej jeszcze prawie niż zwykle pilniejszy i cały blizką wojną zajęty.

— Mówiliśmy tu o nieszczęściu waszmości, które zarazem jest i nasze — rzekł pan Zagłoba — gdyż Bóg świadkiem, niczem się pocieszyć nie możemy. Ale jałowy byłby to sentyment, gdybyśmy waćpanu lzy jeno wylewać pomagali, przeto postanowiliśmy i krew wylać, by oną niebogę, jeśli chodzi jeszcze po ziemi, z niewoli wyrwać.

— Bóg zapłać — rzecze pan Skrzetuski.

— Pójdziemy z tobą choćby do obozu Chmielnickiego — mówił pan Wołodyjowski, poglądając niespokojnie na przyjaciela.

— Bóg zapłać — powtórzył pan Jan.

— Wiemy — mówił Zagłoba — żeś waćpan sobie poprzysiągł szukać jej żywej czy martwej, przeto gotowiśmy choćby dziś...

Skrzetuski, siadłszy na ławie, oczy wbił w ziemię i nie odrzekł nic — aż złość porwała pana Zagłobę. Zaliiby on miał zamiar jej zaniechać? — pomyślał. — Jeśli tak, niechże mu Bóg sekunduje! Niemasz widzę ani wdzięczności, ani pamięci na świecie. Ale znajdą się tacy, którzy będą ją jeszcze ratować, chyba bym wprzód ostatnią parę wypuścił.

W izbie zapanowało milczenie, przerywane tylko westchnieniami pana Longina. Tymczasem mały Wołodyjowski zbliżył się do Skrzetuskiego i trącił go w ramię:

— Skąd wracasz? — rzekł.

— Od księcia.

— I co?

— Wychodzę na noc podjazdem.

— Daleko?

— Aż pod Jarmolińce, jeśli będzie wolna droga. Wołodyjowski spojrział na Zagłobę i zrozumieli się od razu.

— To ku Barowi? — mruknął Zagłoba.

— Pójdziemy z tobą.

— Musisz iść po permissyę i spytać, jeśli księżę innej ci roboty nie przeznaczył.

— To chodźmy razem. Mam też i o coś innego spytać.

— I my z wami — rzekł Zagłoba.

Wstali i poszli. Kwatera książęca była dość daleko, na drugim końcu obozu. W przedniej izbie zastali też pełno oficerów z pod różnych chorągwi, bo wojska ze-wsząd nadciągały do Czolhańskiego kamienia, wszyscy zaś biegli służby swoje księciu polecić. Pan Wołodyjowski musiał dość długo czekać, nim wraz z panem Podbipiętą przed obliczem pańskim stanąć mogli, ale zato księżę od razu pozwolił i samym jechać i dragonów-rusinów kilku wysłać, którzyby, zmyśliwszy ucieczkę z obozu, poszli do Bohunowych kozaków i tam się o kniaziównę wypytywali. Do Wołodyjowskiego zaś rzekł:

— Sam ja funkcyę różne Skrzetuskiemu wynajduję, bo widzę, że się boleść w nim zamknęła i że go stoczy, a szkoda mi go niewypowiedziana. Nicze on wam o niej nie mówił?

— Mało co. W pierwszej chwili zerwał się, żeby między kozaków na oslep iść, ale przypomniał sobie, że to teraz chorągwie nemine excepto stoją i żeśmy na ojczyzny ordynansie, którą przed wszystkim ratować

trzeba i dlatego u Waszej K. Mości wcale nie był. Bóg jeden wie, co się w nim dzieje.

— I doświadcza go też ciężko. Czuwajże wasze nad nim, bo widzę, żeś mu wiernym przyjacielem.

Pan Wołodyjowski skłonił się nisko i wyszedł, bo w tej chwili wszedł do księcia wojewoda kijowski z panem starostą stobnickim, z panem Denhofem, starostą sokalskim i z kilku innymi dygnitarzami wojskowymi.

— I cóż? — spytał go Skrzetuski.

— Jadę z tobą, jeno wpierw muszę pójść do swojej chorągwi, bo mam kilku ludzi gdzieś wysłać.

— Chodźmy razem.

Wyszli, a z nimi pan Podbipięta, Zagłoba i stary Zaćwilichowski, który szedł do swojej chorągwi. Niedaleko namiotów chorągwi dragońskiej Wołodyjowskiego spotkali pana Łaszczę, idącego, a raczej taczającego się, na czele kilkunastu szlachty, gdyż i on i towarzysze jego byli zupełnie pijani. Na ten widok pan Zagłoba westchnął. Pokochali się oni bowiem jeszcze pod Konstantynowem z panem strażnikiem koronnym z tej przyczyny, iż pod pewnym względem mieli natury tak podobne, jak dwie krople wody. Pan Łaszczę bowiem, choć rycerz straszliwy, dla pogaństwa jak mało kto groźny, był zarazem przesławnym hulaką, ucztownikiem, kosterą, którego czas od bitew, modlitew, zajazdów i zabijatyk wolny lubił nadewszystko spędzać w kole takich ludzi, jak pan Zagłoba, pić na umór i krotofil słuchać. Był to warchoł na wielką rękę, który sam jeden tyle wzniecał niepokoju, tyle razy przeciw prawu wykroczył, że w każdym innem państwie byłby dawno głową nałożyl. Ciężyla też na nim niejedna kondemnata, ale on

nawet w czasie pokoju niewiele sobie z nich robił, a teraz w czasie wojny tembardziej wszystko poszło w zapomnienie. Z księciem połączył się był jeszcze pod Rosłowcami i niemałe usługi pod Konstantynowem oddał, ale od chwili odpoczynku w Zbarażu stał się prawie nieźnośny przez hałasy, które wzniecał. Swoją drogą niktby nie zliczył i nie spisał, ile pan Zagłoba wina u niego wypił, ile się nagadał i naopowiadał z wielką gospodarza uciechą, któren też go codziennie zapraszał.

Ale od wieści o wzięciu Baru pan Zagłoba sposepniał, stracił humor, werwę i więcej pana strażnika nie odwiedzał. Myślał nawet pan Łaszcz, że gdzieś od wojska ów jowialny szlachcic odjechał, gdy nagle zobaczył go teraz przed sobą.

Wyciągnął tedy ku niemu ręce i rzekł:

— Witamże waćpana. Czemu to do mnie nie zajdziesz? co porabiasz?

— Panu Skrzetuskiemu towarzyszę — odparł posepnie szlachcic.

Pan strażnik nie lubił Skrzetuskiego za powagę i przezywał go sensatem, zaś o nieszczęściu jego wiedział doskonale, bo był obecny na owej uczcie w Zbarażu, w czasie której wieść przyszła o wzięciu Baru. Ale jako z natury człek wyuzdany, a do tego w tej chwili spity, nie uszanował boleści ludzkiej i chwyciwszy porucznika za guz od żupana, spytał:

— To acpan za panną płaczesz? — a gładka była — co?

— Puść mnie waszmość pan! — rzekł Skrzetuski.

— Czekał.

— Za służbą idąc, nie mogę być rozkazom J. M. pana powolny.

— Czekaj! — mówił Łaszcz z uporem pijanego człowieka. — Tobie służba, nie mnie. Mnie tu nikt nic do rozkazania nie ma.

Poczem zniżywszy głos, powtórzył pytanie:

— A gładka była, co?

Brwi porucznika zmarszczyły się.

— Tedy powiem waszmości panu, że bolączki lepiejby nie tykać.

— Nie tykać? Nie bój się. Jeśli była gładka, to żyje.

Twarz Skrzetuskiego powlokła się śmiertelną bladeścią, ale się pohamował i rzekł:

— Mości panie... bym nie zapomniał, z kim mówię...

Łaszcz wytrzeszczył oczy.

— Co to grozisz aspan? aspan mnie?... dla jednej gamratki?

— Ruszajże, mości strażniku, w swoją drogę — huknął, trzęsąc się ze złości stary Zaćwilichowski.

— A wy chłystki, szaraki, sługusy! — wrzeszczał strażnik. — Mości panowie, do szabel!

I wydobywszy swoją, skoczył nią do Skrzetuskiego, ale w temże mgnieniu oka żelazo świsnęło w rękę pana Jana i szabla strażnika furknęła jak ptak w powietrzu, on sam zaś zachwiał się z rozmachu i padł jak długi na ziemię.

Pan Skrzetuski nie dobijał, jeno stał błądny jak trup, jakby oduszony, a tymczasem zerwał się tumult. Z jednej strony skoczyli żołnierze strażnikowi, z drugiej dragoni Wołodyjowskiego sypnęli się jak pszczoły z ula. Rozległy się krzyki: „bij! bij!“ Wielu nadlatywało, nie

wiedząc, o co idzie. Szable poczęły szczełkać, tumult lada chwila mógł zmienić się w walną bitwę ogólną. Na szczęście towarzysze Łaszczka, widząc, iż coraz przybywało wiśniowiecczyków, wytrzeźwiawszy ze strachu, porwali pana strażnika i poczęli z nim uchodzić.

I z pewnością, gdyby pan strażnik miał do czynienia z innym, mniej karnem wojskiem, byliby go roznieśli na szablach w drobne szmaty, ale stary Zaćwili-chowski, oprzytomniawszy, krzyknął tylko „stój!” i szable schowały się do pochew.

Niemniej zawrzało w całym obozie, a echo tumultu doszło do uszu książęcych, zwłaszcza iż pan Kuszel, będący na służbie, wpadł do izby, w której książę z wojewodą kijowskim, ze starostą stobnickim i panem Denhofem obradował — i krzyknął:

— Mości książę, żołnierze szablami się sieką!

W tej chwili pan strażnik koronny, blady i bezprzytomny z wściekłości, ale już trzeźwy, wleciał jak bomba.

— Mości książę, sprawiedliwości! — wołał. — W tym obozie jak u Chmielnickiego, ni na krew, ni na godność względu nie mają! Szablami dygnitarzy koronnych sieką! Jeśli mi W. K. M. sprawiedliwości nie wymierzysz, na gardło nie skążesz, to ja sam sobie ją wymierzę.

Książę porwał się z za stołu.

— Co się stało? kto waszmości pana napastował?

— Twój oficer — Skrzetuski.

Prawdziwe zdumienie odbiło się na twarzy księcia.

— Skrzetuski?

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Zaćwili-chowski.

— Mości książe, ja byłem świadkiem — rzekł.

— Ja tu nie racye dawać przyszedłem, jeno kary żądać — wołał Łaszcz.

Książę zwrócił się ku niemu i utkwil w niego oczy.

— Powoli, powoli! — rzekł z cicha i z przyciskiem.

Było coś tak strasznego w jego oczach i przyciszonym głosie, że strażnik, choć słynny z zuchwałości, zamilkł nagle, jakby mowę stracił, a panowie aż przybledli.

— Mów waść! — rzekł książę do Zaćwilichowskiego.

Zaćwilichowski opowiedział rzecz całą, jak nieszlachetnym i niegodnym, nietylko dygnitarza, ale i szlachcica, sentymentem powodowany pan strażnik, począł przeciw boleści pana Skrzetuskiego bluźnić, a następnie z szablą się na niego rzucił; jaką moderacją, jego wiekowi prawdziwie niezwykłą, okazał namiestnik, tylko na wytrąceniu napastnikowi oręża poprzestając — nakoniec staruszek tak skończył:

— A jako mnie Wasza Książęca Mość zna, iż do siedmdziesięciu lat łgarstwo warg moich nie skalalo i póki żyw będę nie skala, tak pod przysięgą jednego słowa w relacyi mojej zmienić nie mogę.

Książę wiedział, że słowo Zaćwilichowskiego złotu równe, a przytem zbyt dobrze znał Łaszcz. Ale na razie nie odrzekł nic, jeno wziął pióro i począł pisać.

Skończywszy, spojrzal na pana strażnika.

— Sprawiedliwość będzie waszmości panu wymierzona — rzekł.

Pan strażnik usta otworzył i chciał coś mówić, ale słowa mu jakoś nie dopisały, więc wsparł się w bok, skłonił się i wyszedł dumnie z izby.

— Zeleński — rzekł ksiązę — oddasz to pismo panu Skrzetuskiemu.

Pan Wołodyjowski, który namiestnika nie odstępował, strapił się nieco, widząc wchodzącego ksiązęcego pacholika, był bowiem pewny, że wypadnie im przed księciem zaraz się stawić. Tymczasem pacholik zostawił list i nic nie mówiąc, wyszedł, a Skrzetuski przeczytałszy go, podał przyjacielowi.

— Czytaj — rzekł.

Pan Wołodyjowski spojrział i wykrzyknął:

— Nominacya na porucznika!

I chwyciwszy za szyję Skrzetuskiego, ucałował oba jego policzki.

Pełne porucznikowstwo w husarskiej chorągwi było niemal dygnitaryatem wojskowym. Tej, w której służył pan Skrzetuski, rotmistrzem był sam ksiązę, a porucznikiem nominalnym pan Suffczyński z Sieńczy, człowiek już stary i dawno z czynnej służby wybyły. Pan Jan od dawna sprawował de facto obowiązki i jednego i drugiego, co zresztą w podobnych chorągwiach, w których dwa pierwsze stopnie bywały nieraz tytularnemi tylko godnościami, przytrafiało się często. Rotmistrzem królewskiej chorągwi bywał sam król, prymasowskiej prymas, porucznikami w obydwóch wysocy dygnitarze dworscy — sprawowali zaś chorągwie istotnie namiestnicy, których z tego powodu w zwykłej mowie porucznikami i pułkownikami zwano. Takim faktycznym porucznikiem, vel pułkownikiem, był pan Jan. Ale między faktycznem sprawowaniem urzędu, między godnością w potocznej mowie dawaną a istotną, była jednak wielka różnica. Obecnie, na mocy nominacyi, pan Skrze-

tuski stawał się jednym z pierwszych oficerów księcia wojewody ruskiego.

Ale gdy przyjaciele rozplywali się z radości, winszując mu nowego zaszczytu, twarz jego nie zmieniła się ani na chwilę i pozostała tak samo surową i kamienną, bo już nie było takich godności a dostojęństw na świecie, któreby mogły ją rozjaśnić.

Wstał jednak i poszedł dziękować księciu, a tymczasem mały Wołodyjowski chodził po jego kwatery, zacierając ręce.

— No, no! — mówił — porucznik nominowany w husarskiej chorągwi! W takich młodych latach jeszcze się to chyba nikomu nie zdarzyło.

— Żeby mu Bóg wrócił tylko szczęście! — rzekł Zagłoba.

— Ot, co jest! ot, co jest! Uważaliście, że ani drgnął.

— Wolalby się on tego zrzec — rzekł pan Longinus.

— Mości panie — westchnął Zagłoba — coś dziwnego! Jabym oto te moje pięć palców za nią oddał, chociażem nimi chorągiew zdobył.

— Tak to tak!

— Ale to pan Suffczyński musiał umrzeć? — zauważył Wołodyjowski.

— Pewnie, że umarł.

— Kto też namiestnictwo weźmie? Chorąży młodzik i dopiero od Konstantynowa funkcję sprawuje.

Pytanie to pozostało nierozstrzygnięte — ale odpowiedź na nie przyniósł z powrotem sam porucznik Skrzetuski.

— Mości panie — rzekł do pana Podbipięty — ksiązę mianował waści namiestnikiem.

— O Boże! Boże! — jęknął pan Longinus, skłaniając jak do modlitwy ręce.

— Tak samo mógłby jego inflancką kobylę mianować — mruknął Zagłoba.

— No, a podjazd? — spytał pan Wołodyjowski.

— Jedziemy, nie mieszkając — odpowiedział pan Skrzetuski.

— Siła kazał ksiązę ludzi wziąć?

— Jedną kozacką, drugą wołoską chorągiew, razem pięciuset ludzi.

— Hej, to wyprawa, nie podjazd, ale kiedy tak, to czas nam w drogę.

— W drogę, w drogę! — powtórzył pan Zagłoba. — Może też Bóg nam dopomoże, że wieści jakowej zasięgniemy.

W dwie godziny później, równo z zachodem słońca, czterej przyjaciele wyjeżdżali z Czolhańskiego kamienia ku południowi, prawie zaś jednocześnie opuszczał obóz wraz ze swymi ludźmi pan strażnik koronny. Patrzyło na ten odjazd mnóstwo rycerstwa z pod różnych chorągwi, nie szczędząc okrzyków i uragań; oficerowie cisnęli się koło pana Kuszla, któren opowiadał, z jakich przyczyn pan strażnik został wypędzony i jak się to odbyło.

— Ja mu nosilem rozkaz księcia — mówił pan Kuszel — i wierzajcie waszmościowie, iż periculosa to była misya, bo gdy go wyczytał, począł tak ryczeć, jak wół, gdy go żelazem cechują. Na mnie się też do nadziei porwał, dziw, iż nie uderzył, ale zdaje się, iż przez okno ujrzał Niemców pana Koryckiego, otaczających kwaterę, i moich dragonów z bandoletami w rękę. Dopiero wziął krzyczeć: „Dobrze! dobrze! odejdę, kiedy

mnie wypędzają! Pójdę do księcia Dominika, któren mnie wdzięczniej przyjmie! Nie będę (prawi) z dziadami służył, ale się pomszczę (krzychał), jakem Łaszcz! jakem Łaszcz! — i z tego chłystka (prawi) muszę mieć satysfakcyę!* Myślałem, że go jad zaleje — a stół to dzobał nadziakiem ze złości raz przy razie. I powiem waszmościom, że nie jest pewien, czy się co złego panu Skrzetuskiemu nie przytrafi, bo ze strażnikiem niema żartów. Zawzięty to jest człek i dumny, któren jeszcze żadnej urazy płazem nie puścił, a odważny i przytem i dygnitarz.

— Co się zaś ma Skrzetuskiemu trafić sub tutela księcia pana — rzekł jeden z oficerów. — I pan strażnik, choć na wszystko gotowy, będzie się rachował z taką ręką.

Tymczasem porucznik, nie wiedząc nic o ślubach, jakie przeciw niemu pan strażnik czynił, oddalał się coraz bardziej od obozu na czele swego oddziału, kierując się ku Ożygowcom w stronę Bohu i Medwiedówki. Chociaż już wrzesień powarzył liście na drzewach, noc była pogodna i ciepła jak w lipcu, bo taki to już był cały ów rok, w którym prawie nie było zimy, a wiosną zakwitło wszystko już wówczas, gdy przeszłych lat legiwał jeszcze głęboki śnieg na stepach. Po dość mokrem lecie, pierwsze miesiące jesieni nastaly suche a łagodne, o białych dniach i widnych księżycowych nocach. Jechali tedy po łatwej drodze, nie strażując zbyt mocno, bo byli jeszcze zbyt blisko obozu, aby jaki napad miał grozić — jechali żwawo: namiestnik z kilkunastoma końmi na przedzie, a za nim Wołodyjowski, Zagłoba i pan Longinus.

— Obaczcie no waszmościowie, jako się światło

miesiąca kładzie na owem wzgórzu — szeptał pan Zagłoba — przysiągłbyś, że dzień. Mówią, że tylko w czasie wojen bywają takie noce, aby dusze, wyszłe z ciał, lbów sobie nie rozbijały po ciemku o drzewa, jako wróble w stodole o krokwie, i łatwiej drogę znalazły. Dziś też jest piątek, dzień Zbawiciela, w którym zjadliwe humory z ziemi nie wychodzą i złe moce nie mają przystępu do człowieka. Czuję, że mi lżej jakoś i nadzieja we mnie wstępuje.

— Żeśmy to już przecie wyjechali i jakowys ratunek przedsiębierzem — to grunt! — rzecze Wołodyjowski.

— Najgorzej to w umartwieniu na miejscu siedzieć — mówił dalej Zagłoba — gdy na koń siędziesz, zaraz ci desperacya od trzęsienia się coraz niżej zlatuje, aż ją w końcu i zgola wytrzęsiesz.

— Nie wierzę ja — szepnął Wołodyjowski — aby tak wszystko można wytrząść — exemplum: affekt, któren się niby kleszcz w serce wpija.

— Gdy jest szczery — rzecze pan Longinus — to choćbyś się z nim, jako z niedźwiedziem borykał, zmoże cię.

To rzekłszy, pan Longinus ulżył wezbranej piersi westchnieniem, podobnem do sapnięcia miecha kowalskiego, zaś mały Wołodyjowski podniósł oczy ku niebu, jakby szukał między gwiazdami tej, która księżniczee Barbarze świeciła.

Konie poczęły parskać w całej chorągwi, a pocztowi odpowiadali im: „zdrów, zdrów!“ — potem uciszyło się wszystko, aż jakiś tęskny głos poczał śpiewać w tylnych szeregach:

„Jedziesz na wojnę, nieboże,
„Jedziesz na wojnę!
„Noce ci będą na dworze,
„A dzionki znojne...“

.

— Starzy żołnierze mówią, że konie zawsze pry-
chają na dobrą wróżbę, co mnie i ojciec nieboszczyk
jeszcze powiadał — rzekł Wołodyjowski.

— Coś mnie jakoby w ucho szepcze, że nie na-
próżno jedziemy — odpowiedział Zagłoba.

— Dajże Bóg, aby i porucznikowi jakowaś otucha
w serce wstąpiła — westchnął pan Longinus.

Zagłoba począł głową kiwać i kręcić, jak człowiek,
któren z jakąś myślą się nie może uporać, a nakoniec
ozwał się:

— Całkiem mnie co innego w głowie siedzi i mu-
szę się już chyba przed waćpanami z tej myśli spuścić,
gdyż mi jest wcale nieznośna: oto czyście waściowie nie
zauważyli, że od niejakiego czasu Skrzetuski — nie
wiem — może dyssimiluję — ale taki jest, jakby naj-
mniej z nas wszystkich o salwowaniu onej niebogi myślał.

— Gdzie zaś — odpowiedział Wołodyjowski —
humor to tylko u niego taki, aby to nic nikomu nie wy-
znać. Nigdy on nie był inny.

— To swoją drogą, ale jeno sobie waszmość przy-
pomnij: gdyśmy mu nadzieję pokazowali, mówił: „Bóg
zapłać!“ i mnie i waćpanu, tak negligenter, jakby o lada
jaką sprawę chodziło, a Bóg widzi, czarnaby to była
z jego strony niewdzięczność, bo co się ta nieboga za
nim napłakała i natęskniła, tegoby na wołowej skórze
nie spisać. Na własne oczy to widziałem.

Wołodyjowski potrzęsnał głową.

— Nie może to być, aby on jej zaniechał — rzekł — choć prawda, że pierwszym razem, gdy mu ją z Rozlogów ów dyabeł porwał, desperował tak, iżśmy się o jego mentem obawiali, a teraz daleko więcej okazał upamiętania. Ale jeśli mu Bóg spokój w duszę wlał i siły dodał, to i lepiej. Jako szczerzy przyjaciele powinniśmy się z tego cieszyć.

To rzekłszy, Wołodyjowski konia spał i posunął się naprzód ku Skrzetuskiemu, a zaś Zagłoba jechał czas jakiś w milczeniu, wedle pana Podbipięty.

— Czy wasze nie tego mniemania, co i ja, że gdyby nie amory, siła złego nie stałaby się na świecie?

— Co komu Pan Bóg przeznaczył, to go i tak nie minie — odparł Litwin.

— A waćpan to nigdy g'rzeczy nie odpowiesz. To inna sprawa, a to inna. Przez cóż Troja zburzona? he? Albo to i ta wojna nie o ryżą kosę? Zachciało się Chmielowi Czaplńskiej, czy też Czaplńskiemu Chmielnickiej, a my dla ich żądz grzesznych karki kręcimy.

— Bo to niepoczciwe amory, ale są i zacne, od których chwala Boża się przymnaża.

— Terazś waćpan lepiej utrafil. A prędkoż sam w onej winnicy pracować poczniesz? Słyszałem, żeć szarfą na wojnę przewiązano.

— Braciaszku!... Braciaszku!...

— Ale trzy głowy na zawadzie stają, co?

— Ach! tak ono i jest!

— To ci powiem: machnij dobrze i utnij od razu: Chmielnickiemu, chanowi i Bohunowi.

— Żeby się to tylko chcieli ustawić! — odrzekł rozrzewnionym głosem pan Longin, wznosząc ku niebu oczy.

Tymczasem Wołodyjowski jechał długo wedle Skrzetuskiego i spoglądał w milczeniu z pod hełmu na jego martwą twarz, aż wreszcie trącił strzemieniem w jego strzemię.

— Janie — rzekł — źle, że się zapamiętywasz.

— Ja się nie zapamiętywam, jeno się modłę — odpowiedział Skrzetuski.

— Święta to jest i chwalebna rzecz, aleś ty nie zakonnik, byś na samej modlitwie poprzestawał.

Pan Jan zwrócił zwolna swoją męczeńską twarz ku Wołodyjowskiemu i spytał głuchym, pełnym śmiertelnej rezygnacji głosem:

— Powiedzże, Michale, co mnie pozostaje więcej jak habit?..

— Pozostaje ci ją ratować — odpowiedział Wołodyjowski.

— Tak też i uczynię — do ostatniego oddechu. Ale choćbym ją też i żywą odnalazł, zali to nie będzie zapóźno? Strzeż mnie Boże, bo o wszystkim mogę myśleć, tylko nie o tem, strzeż Boże rozumu mojego! Już ja niczego więcej nie pragnę, jeno wyrwać ją z tych rąk potępionych, a potem niech ona znajdzie taki przytułek, jakiego i ja będę szukał. Widać woli Bożej nie było... Daj mnie się modlić, Michale, a krwawej rany nie tykaj..

Wołodyjowskiemu ścisnęło się serce; chciał jeszcze było pocieszać, o nadziei mówić, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło i jechali dalej w głuchem milczeniu, tylko wargi pana Skrzetuskiego poruszały się szybko w modlitwie, przez którą chciał widocznie myśli okropne odpędzić, a małego rycerza, gdy spojrzał przy świetle księżycy na tę twarz, aż strach zdjął, bo mu się

wydało, że to jest zupełnie twarz mnicha, surowa, wynędzniała, przez posty i umartwienia.

A wtem ów głos znowu zaczął śpiewać w tylnych szeregach :

„Znajdziesz po wojnie, nieboże,
„Znajdziesz po wojnie,
„Pustki z powrotem w komorze,
„Ran w skórze hojnie.“

ROZDZIAŁ V.

Pan Skrzetuski szedł ze swym podjazdem w ten sposób, że we dnie wypoczywał w lasach i jarach, pilnie rozstawiając strażę, a nocami tylko posuwał się naprzód. Zbliżywszy się do jakiej wioski, zwykle otaczał ją tak, aby noga nie wyszła, brał żywność, paszę dla koni, a przedewszystkiem zbierał wieści o nieprzyjacielu, poczem wychodził, nie czyniąc ludziom nic złego, wyszedłszy zaś, zmieniał nagle drogę, aby nieprzyjaciel nie mógł się we wsi dowiedzieć, w którą podjazd udał się stronę. Celem wyprawy było dowiedzieć się, czy Krzywonos ze swemi czterdziestoma tysiącami ludzi oblega dotąd Kamieniec, czy też, rzuciwszy bezowocne oblężenie, idzie w pomoc Chmielnickiemu, aby razem z nim stanąć do walnej rozprawy, a dalej co robią dobrucy Tatarzy? — czy już Dniestr przeszli i połączyli się z Krzywonosem — czy z tamtej strony jeszcze leżą. Ważne to były dla obozu polskiego wiadomości i regimentarze sami powinni się byli o nie starać, ale że nie przyszło im to, jako niedoświadczonym ludziom do głowy, przeto książe wojewoda ruski wziął na siebie ten ciężar. Jeżeli by bowiem pokazało się, że Krzywonos wraz z białogrodzkiemi i dobruckiemi hordami porzucił

oblężenie niezdobyciego Kamieńca i do Chmielnickiego dążył — tedy należało jak najprędzej na tego ostatniego uderzać, zanimby do najwyższej potęgi nie wyrósł. Tymczasem general-regimentarz, książę Dominik Zasławski-Ostrogski, nie śpieszył się i w chwili wyjazdu Skrzetuskiego dopiero za dwa, lub trzy dni spodziewano się go w obozie. Widocznie ucztował swym zwyczajem po drodze i miał się dobrze, a tymczasem mijala najlepsza pora złamania potęgi Chmielnickiego i książę Jeremi rozpaczał na myśl, że jeśli wojna tak dalej prowadzoną będzie, to nietylko Krzywonos i ordy zadniestrzańskie na czas do Chmielnickiego przybędą, ale i sam chan na czele wszystkich sił perekopskich, nohajskich i azowskich.

Jakoż i były wieści w obozie, że chan już Dniepr przebył i że w dwieście tysięcy koni dzień i noc na zachód dąży, a książę Dominik nie przybywał i nie przybywał.

Coraz też było prawdopodobniejszem, że wojska stojące pod Czolhańskim kamieniem muszą stanąć do rozprawy z potęgą pięćkroć liczniejszą i że w razie klęski regimentarzy, nic już nie przeszkodzi nieprzyjacielowi wtargnąć do serca Rzeczypospolitej, pod Kraków i Warszawę.

Krzywonos tem był niebezpieczniejszy, że na wypadek, gdyby regimentarze chcieli się posunąć w głąb Ukrainy, on, idąc z pod Kamieńca wprost na północ, aż pod Konstantynów, mógł im zagrozić odwrót, a w każdym razie wówczas byliby wzięci we dwa ognie. Przeto pan Skrzetuski postanowił nietylko wywiedzieć się o Krzywonosie, ale go i powstrzymać. Przejęty ważnością swego zadania, od spełnienia którego los całego wojska w części zależał, ważył porucznik chętnie życie

swoje i swoich żołnierzy; jednakowoż przedsięwzięcie owo i tak za szalone poczytywanem byćby mogło, gdyby młody rycerz miał zamiar wstępny bojem w pięciuset ludzi powstrzymać czterdziestotysięczną Krzywonosową watahę, posilkowaną przez białogrodzkie i dobruckie ordy. Ale pan Skrzetuski zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby się na szaleństwa rzucać — i wiedział doskonale, że w razie bitwy, w godzinę fala przejdzie po trupach jego i towarzyszy — chwycił się więc innych środków. Oto naprzód rozpuścił wieść między własnymi żołnierzami, że idą tylko jako przednia straż całej dywizyi straszego księcia i wieść tę rozpuszczał wszędzie, we wszystkich chutorach, wioskach i miasteczkach, które wypadało mu przechodzić. Jakoż rozeszła się ona lotem błyskawicy wzdłuż Zbrucza, Smotrycza, Studzienicy, Uszki, Kałusiku, z ich biegiem dostała się do Dniestru i leciała dalej, jakby wiatrem gnana, od Kamieńca aż do Jahorlika. Powtarzali ją baszowie tureccy w Chocimiu i zaporożcy w Jampolu i Tatarzy w Raszkanie. I znów rozległ się ów znany okrzyk: „Jerema idzie!” od którego zamierały serca zbuntowanego ludu i który dźwięczał z przerażenia, niepewny dnia ani godziny.

A nikt nie wątpił w prawdę wieści. Regimentarze uderzą na Chmiela, a Jerema na Krzywonosą — to leżało w porządku rzeczy. Sam Krzywonos uwierzył i ręce mu opadły. Co miał robić? Ruszyć na księcia? Toż pod Konstantynowem inny duch był w czerni i większe siły, a jednak zostali pobici, zdziesiątkowani, ledwie z życiem uszli. Krzywonos był pewien, że jego molojcy będą się bili jak wściekli przeciw każdym innym wojskom Rzeczypospolitej i przeciw każdemu innemu wodzowi, ale

za zbliżeniem się Jaremy, pierzchną jak stado labędzi przed orłem, jak stepowe puchy przed wiatrem.

Czekać księcia pod Kamieńcem było jeszcze gorzej. Krzywonos postanowił rzucić się na wschód, aż hen ku Braławowi, ominąć swego złego ducha i dążyć do Chmielnickiego. Pewnym był wprawdzie, że tak kolując na czas nie zdąży, ale przynajmniej na czas się o rezultacie dowie i o własnym ratunku pomyśli.

A wtem przyleciały z wiatrem nowe wieści, że Chmielnicki już pobit — puszczał je, jak i poprzednie, umyślnie pan Skrzetuski; wówczas, w pierwszej chwili, nie wiedział już nieszczęsny watażka co począć.

Następnie postanowił tembardziej na wschód ruszyć, jak najdalej się w stepy posunąć — może też spotka Tatarów i przy nich się schroni.

Ale przedewszystkiem chciał się upewnić, dlatego pilnie wypatrywał między swymi pułkownikami, kogoby znalazł na wszystko gotowego a pewnego, by go z podjazdem po języka wysłać. Ale wybór był trudny, chętnych brakło i trzeba było koniecznie znaleźć takiego człowieka, którenby na wypadek dostania się w ręce nieprzyjaciela ni pieczony ogniem, ni nawlekany na pal, ni lamany kołem nie wydał planów ucieczki.

Nakoniec Krzywonos znalazł.

Pewnej nocy kazał wołać do siebie Bohana i rzekł mu:

— Słyszysz, Jurku, mój przyjacielu! idzie na nas Jarema z potęgą wielką — zginąć przyjdzie nieszczęsnym!

— Słyszałem i ja, że idzie. My już z wami, baćku, o tem mówili — ale czemu nam ginąć?

— Ne zderżymo. Innemuby zdzierżyli, Jaremie nie. Mołojcy się jego boją.

— A ja się jego nie boję — ja mu pulk w Wasilówce na Zadnieprzu wyciął.

— Wiem ja to, że ty się jego nie boisz. Twoja sława kozacka, mołojecka, warta jego kniaziowej, ale ja mu bitwy dać nie mogę, bo mołojcy nie zechcą... Przypomnij, co na radzie mówili, jako się na mnie do szabel i kścienci rzucali, że ich na rzeź chcą prowadzić.

— To idźmy do Chmiela, tam zażyjemy krwi i zdobyczy.

— Mówią, że Chmiel już od regimentarzy pobit.

— Temu ja nie wierzę, ojczu Maksymie. Chmiel lis, bez Tatarów nie uderzy na Lachów.

— Tak i ja myślę, ale trzeba wiedzieć. Wtedyby my wrażego Jaremę obeszli i z Chmielem się połączyli, ale trzeba wiedzieć! Ot, żeby się kto Jaremy nie bał, a z podjazdem poszedł i języka porwał, jaby mu czapkę czerwonych złotych nasypał.

— Ja pójdę, ojczu Maksymie, nie czerwonych szukać, ale sławy kozackiej, mołojeckiej.

— Ty drugi po mnie ataman, a ty chcesz iść? Będziesz ty jeszcze pierwszym atamanem nad kozakami, nad dobrymi mołojcami, bo ty się Jaremy nie boisz. Idźże ty sokole, a potem czego chcesz żądaj. No ja ci powiem: żeby ty nie poszedł, to jaby poszedł sam, ale mnie nie można.

— Nie można, bo jakbyście wy, ojczu, wyszli, takby mołojcy krzyknęli, że hołowu spasajete i rozlecieliby się na cały świat; a jak ja pójdę, tak im serca przybędzie.

— A siła komunika ci dać?

— Nie wezmę ja dużo, z małą watahą łatwiej się ukryć i podejść — ale z pięciuset dobrych molojców dajcie, a już moja głowa, że wam języków przywiozę i nie pocztowych, ale towarzyszków, od których się wszystkiego dowiedziecie.

— Jedźże zaraz. Z Kamieńca już z dział biją na radość i na spalenie Lachom, a na pohybel nam niewinnym.

Bohun odszedł i zaraz jął gotować się do drogi. Molojcy jego, jako nieodmiennie bywało w takich okazjach, pili na zabój, „nim śmierć matka przytuli“, on zaś pił z nimi, aż parsknął gorzalką, szalał, hulał, następnie kazał beczkę dziegiu zatoczyć, i jak był w altembasach i sajietach, rzucił się w nią we wszystkim, zanurzył się raz, drugi, wraz z głową — i wykrzyknął:

— Czarny ja teraz, jako noc-matka, lackie oczy nie dojrzą.

I wytarzawszy się na perskich kobiercach zdobytych, skoczył na koń, i pojechał i za nim poczapali, wśród pomroki nocnej, wierni molojcy, przeprowadzani okrzykiem:

— Na sławu! na szczastie!

Tymczasem pan Skrzetuski dotarł już do Jarmoliniec, tam trafiwszy na opór, sprawił krwawy chrzest mieszczanom i zapowiedziawszy, że nazajutrz kniaź Jarema nadejdzie, dał odpoczynek strudżonym koniom i żołnierzom.

Poczem, zebrawszy na naradę towarzyszków — rzekł im:

— Dotąd Bóg nam szczęści. Miarkuję też po terrorze, jaki chłopstwo ogarnia, iż zgola mają nas za prze-

dnia, straż książęcą i wierzą, że cała potęga idzie za nami. Ale musimy pomyśleć, aby się zaś nie obaczyli, widząc, iż jedna kupa kupą wszędzie chodzi.

— A długoż my tak będziemy chodzić? — spytał pan Zagłoba.

— Póki o Krzywonosie nie będziemy wiedzieć, co postanowił.

— Ba, to i na bitwę może do obozu nie zdążymy.

— Być to może — odrzekł pan Skrzetuski.

— Mości panie, wielcem z tego nie rad — rzekł szlachcic. — Zaprawiło się trocha ręce na hultajstwie pod Konstantynowem, zdobyło się tam coś na nich. Ale to psu mucha! palce świerzbią...

— Może tu waszeć więcej bitew zażyjesz, niż sam myślisz — odparł poważnie pan Skrzetuski.

— O! a to quo modo? — pytał dość niespokojnie Zagłoba.

— Bo lada dzień możem się natknąć na nieprzyjaciela, a choć nie po to tu jesteśmy, by mu orężem drogę zagrażać, przecie wypadnie się bronić. Ale wracam do materyi: trzeba nam więcej kraju zająć, aby w kilku miejscach na raz o nas wiedziano, tu i owdzie opornych wyciąć, by się groza rozniosła, a wszędy wieści puszczać; dlatego mniemam, iż wypadnie nam się rozdzielić.

— Tak i ja mniemam — rzecze Wołodyjowski — będziem im się w oczach mnożyć i ci, co uciekną do Krzywonosy, o krocjach będą gadali.

— Mości poruczniku, waszmość tu wodzem, tedy rozporządź — rzekł Podbipięta.

— Pójdę ja na Zinków, ku Sołodkowcom, a jak będę mógł, to dalej — mówił Skrzetuski — waćpan.

mości namiestniku Podbięto, idź prosto na dół ku Tatarzyskom — ty, Michale, pojedź pod Kupin, a pan Zagłoba potrze do Zbrucza koło Satanowa.

— Ja? — rzecze pan Zagłoba.

— Tak jest. Waćpan człowiek przemyślny i pełen fortelów; myślałem, że chętnie podejmiesz się tej imprezy, ale jeśli nie, to czwarty oddział weźmie Kosmacz, wachmistrz.

— Weźmie, ale pod moją komendą — zawołał Zagłoba, którego nagle oślniła myśl, iż będzie wodzem osobnego oddziału. — Jeslim się pytał dlaczego, to że mi się żal było z wami rozłączać.

— Czy jeno masz waćpan eksperyencyę w rzeczach wojskowych? — spytał Wołodyjowski.

— Czy mam eksperyencyę? Jeszcze żaden bocian nie myślał o tem, aby z waści prezent ojcu i matee zrobić, gdym ja już większe podjazdy, jako ten cały jest, wodził. Wiek życia w wojsku przesłużyłem i dotądbym służył, gdyby nie to, że jak mnie raz spleśniały suchar w brzuchu stanął, to mi trzy lata siedział. Musiałem za bezoarem do Galaty jeździć, o której peregrynacyi szczegółowo waćpanom w swoim czasie opowiem, gdyż teraz pilno mi w drogę.

— Jedź więc waćpan, a wieści przed sobą puuszczaj, że Chmielnicki już pobit i że księżę Płoskirow już minął — rzekł pan Skrzetuski. — Ladajakiego języka nie bierz, ale gdybyś napotkał podjazdy z pod Kamieńca, to staraj się porwać takich, którzyby o Krzywonosie mogli dać wiadomości, bo ci, co ich mamy, dają relacye sprzeczne.

— Obym samego Krzywonosą napotkał, niechby mu przyszła chętka na podjazd wyjechać, zadalębym

mu pieprzu z imbierem ! Nie bójcie się waszmościowie, nauczę ja hultajów śpiewać — ba, nawet i tańcować!

— We trzech dniach zjedziem się napowrót w Jarmolińcach, a teraz każdy w swoją drogę! — rzekł Skrzetuski. — A ludzi proszę waszmościów oszczędzać.

— We trzech dniach w Jarmolińcach ! — powtórzyli Zagłoba, Wołodyjowski i Podbipięta.

ROZDZIAŁ VI.

Gdy pan Zagłoba znalazł się sam, na czele swego oddziału, zrobiło mu się zrazu jakoś niesmaczno, a nawet wcale straszno, i dużo byłby za to dał, żeby mieć koło siebie Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, albo pana Longina, których w duszy najmocniej podziwiał i przy których czuł się zupełnie bezpieczny, tak ślepo wierzył w ich obrotność i męstwo.

Jechał więc z początku dość posępnie na czele swego oddziału i rozglądając się podejrzliwie na wszystkie strony, myślą mierzył niebezpieczeństwa, na jakie mógł się natknąć, i mruzczał:

— Zawsze raźniejby było, żeby który z nich był tutaj. Do czego Bóg kogo przeznaczył, do tego stworzył, a ci trzej powinni byli bąkami się porodzić, bo na krwi lubią siadać. Tak im właśnie na wojnie, jako innym przy dzbanie, albo jako rybom we wodzie. W to im graj. Brzuchy mają lekkie, ale ręce ciężkie. Skrzetuskiego widziałem przy robocie i wiem jako jest peritus. Tak on trzepie ludzi, jak mnichy pacierze. Jego to rzemiosło ulubione. Ów Litwin, co własnej głowy nie ma, a trzech obcych szuka, nic na szwank nie wystawia; najmniej znam tego małego fircyka, ale osa też to musi

być nielada, miarkując z tego, com pod Konstantynowem widział i co mnie Skrzetuski o nim powiadał — osa to musi być! Szczęściem niedaleko on odemnie ciągnie i myślę, że najlepiej zrobię, jak się z nim połączę, bo jeśli wiem dokąd iść, to niech mnie kaczkę zdepczą.

Pan Zagłoba uczuł się bardzo samotnym na świecie — aż się sam swej samotności użalił.

— Tak to, tak! — mruzczał. — Każdy ma się na kogoś obejrzyć, a ja co? Ni towarzysza, ni ojca, ni matki. Sierotam jest — i kwita!

W tej chwili wachmistrz Kosmacz zbliżył się ku niemu:

— Mości komendancie, dokąd idziemy?

— Dokąd idziemy? — powtórzył pan Zagłoba — co? Nagle wyprostował się w siodle i wąs pokręcił.

— Do Kamieńca, jeśli taka będzie moja wola! Rozumiesz, mości wachmistrzu?

Wachmistrz skłonił się i cofnął w milczeniu do szeregów, nie zdając sobie sprawy, dlaczego się komendant rozsierdził, pan Zagłoba zaś cisnął jeszcze okolicy kilka groźnych spojrzeń, następnie uspokoił się i mruzczał dalej:

— Jeśli do Kamieńca pójde, pozwolę sobie dać sto kijów w pięty, turecką modą. Tfu! tfu! żeby który z tamtych był przy mnie, więcej czułbym w sobie ducha. Co ja pocznę ze stem ludzi? Wolalbym być już sam, bo wówczas człek w fortele dufa. A teraz za dużo nas, by fortelami wojować, a za mało do obrony. Bardzo to niefortunna myśl przyszła Skrzetuskiemu do głowy, żeby podjazd rozdzielać. I gdzie ja pójde? Wiem co za mną, ale kto mnie powie, co przedemną, i kto mi zaręczy, czy dyabli tam jakiej pułapki nie ustawili? Krzywonos

i Bohun! Dobra sfora! Żeby ich dyabli obłuszczyli! Boże mnie broń przynajmniej od Bohuna. Skrzetuski życzy sobie się z nim spotkać — wysłuchaj go Panie! Życzę mu tego, czego sobie sam życzy, bom mu przyjaciel — amen! Dotrę do Zbrucza i wrócę do Jarmoliniec, a języków więcej im przywiode, niż sami chcą. O to nie trudno.

Wtem Kosmacz zbliżył się ku niemu.

— Mości komendancie, jakowychś jeźdźców za wzgórzem widać.

— Niech jadą do dyabła! Gdzie? gdzie?

— A no tam, za górą. Znaki widziałem.

— Wojsko?

— Zdaje się wojsko.

— Niech ich psi kąsają. A siła ich?

— Niewiadomo, bo daleko. Byśmy się tu za one skały ukryli, wpadniemy na nich niespodzianie, bo tędy im droga. Jeśli to potęga za wielka, to pan Wołodyjowski niedaleko, strzały usłyszysz i na pomoc skoczysz.

Panu Zagłobie odwaga uderzyła niespodzianie do głowy, jak wino. Być może, że to desperacja dała mu taki do czynu pochop; być może nadzieja, że pan Wołodyjowski jeszcze blisko, dość że gołą szablą błysnął, oczyma zatoczył straszliwie i zakrzyknął:

— Ukryć się za skały! — wpadniemy na nich niespodzianie! Pokażemy tym hultajom...

Sprawni żołnierze książęcy z miejsca zawrócili pod skały i w mgnieniu oka ustawili się w szyku bojowym, gotowi do niespodzianego napadu.

Upłynęła godzina; nakoniec dał się słyszeć gwar zbliżających się ludzi, echo niesło nutę wesółych pieśni, a po chwili jeszcze, do uszu czatujących w zasadzce, do-

szły odgłosy skrzypków, dud i bębena. Wachmistrz zbliżył się znów do pana Zagłoby i rzekł:

— To nie wojsko, panie komendancie, nie kozacy, to wesele.

— Wesele? — rzekł Zagłoba. — Zagramże ja im, niech poczekają!

To rzekłszy, ruszył koniem, za nim wyjechali żołnierze i ustawili się szeregiem na drodze.

— Za mną! — krzyknął groźnie Zagłoba.

Linia ruszyła klusem, potem galopem — i okrążywszy skałę, stanęła nagle tuż przed gromadą ludzi, zmieszanych i strwożonych niespodzianym widokiem.

— Stój! stój! — wołano z obu stron.

Było to istotnie chłopskie wesele. Naprzód jechali konno dudziarz, teorbanista, skrzypek i dwaj „dowbysze“, trochę już pijani, wycinając od ucha skoczne kołomyjki. Za nimi panna młoda, hoża dziewczyna, w ciemnym żupanie i z włosami rozpuszczonymi na ramiona. Otaczały ją družki, śpiewające pieśni i niosące ponawlekane na ręce wieńce — a wszystkie dziewczki na koniach, siedzące po męsku, wystrojone, ubrane w polne kwiaty, wyglądały zdala jak zastęp kraśnych kozaków. W drugim szeregu jechał na dzielnym koniu pan młody, wśród družbów, z wieńcami na długich, podobnych do spis tyczkach — orszak zamykali rodzice nowożeńców i goście, wszyscy konno; jedynie beczki z gorzałką, miodem i piwem jechały na lekkich wymoszczonych słomą wózkach, bełkocąc smakowicie po nierównej kamienistej drodze.

— Stój! stój! — wołano z obu stron; poczem orszak weselny pomieszał się. Dziewczęta podniosły krzyk przeraźliwy i cofnęły się w tył, zaś parobcy i starsi

drużbowie skoczyli naprzód, by pierściami zasłonić młodzie przed niespodzianym napadem.

Pan Zagłoba skoczył tuż przed nich i machając szablą, świecąc nią w oczy przerażonemu chłopstwu, począł wrzeszczeć:

— Ha! skórczybyki, psie chwosty, rebelizanty! Do buntu wam się zachciało! Za Krzywonosem trzymacie, lajdaki? na przeszpiegi jeździecie? drogę wojsku tamujecie? na szlachtę rękę podnosicie? Dam ja wam, pieskie dusze bezecne! W dyby pokuć każę, na pal powbijając, o szelmy! o poganie! Teraz za wszystkie zbrodnie zapłacicie!

Stary i biały jak gołąb drużba zeskoczył z konia, zbliżył się do szlachcica i chwyciwszy go pokornie za strzemień, począł klaniać się w pas, a błagać:

— Zmiłujcie się, jasny rycerzu, nie gubcie biednych ludzi. Bóg nam świadek, my niewinni, nie do buntu my idziemy, my z cerkwi, z Husiatyna, naszego krewniaka Dymitra, kowala, z bondarówną Ksenią wieńczyli. My z weselem, z korowajem.

— To niewinni ludzie, panie — szepnął wachmistrz.

— Precz mi! To szelmy! Od Krzywonosy na wesele przyszli — huknął Zagłoba.

— Kołyb jeho trastia mordowała! — zawołał starzec. — My jego na oczy nie widzieli, my biedni ludzie. Zmiłujcie się, jasny pane, dozwólcie przejść, my nikomu zła nie czynimy, a swoją powinność znamy.

— Do Jarmoliniec w łykach pójdziecie!...

— Pójdziemy gdzie każecie, panie! Wam rozkazywać, nam słuchać! Ale wy nam łaskę zróbcie, jasny rycerzu! przykażcie panom żołmirom, żeby oni nam zła

nie czynili, a sami — wybaczcie prostakom — i oł, bi-
jem czołem pokornie; wypijcie z nami na szczęście uwień-
czonym... Wypijcie, wasza miłość, na radość prostym lu-
dziom, jako Bóg i święta ewangelia nakazuje.

— Jeno nie myślcie, bym wam folgował. gdy wy-
piję! — rzekł ostro pan Zagłoba.

— Nie, panie! — zawołał z radością dziad — my
nie myślim! Hej grajki! — zakrzyknął na muzykę — za-
grajcie dla jasnoho lycara, bo jasny lycar dobry, a wy
mołojcy skoczcie po miód, po słodki, dla jasnego lycara;
on biednych ludzi nie ukrzywdzi. Skoro chłopci, skoro!
Diakujem, pane!

Mołojcy kopnęli się co ducha do beczek, a tym-
czasem zawarczały bębenki, zapiszczały rażno skrzypki,
dudziarz wydał policzki i począł miętosić dudę pod pa-
chą, družbowie potrząsali wieńcami na tykach, co wi-
dząc, żołnierze poczęli się coraz bardziej przysuwać, wasy
kręcić, uśmiechać się i przez plecy mołojców na mołod-
dycie poglądać. Zabrzmiały na nowo pieśni — i strach
minął, nawet gdzieniegdzie ozwały się radosne: „u-ha!
u-ha!”

Ale pan Zagłoba nie rozchmurzył się od razu —
nawet gdy mu dano kwartę miodu, mruzczał jeszcze
z cicha: „A szelmy, a lajdaki!” Nawet gdy już wasy za-
nurzył w ciemnej powierzchni napitku, brwi jego nie
rozmarszczyły się jeszcze; podniósł głowę i mrużąc
oczy, mlaskając wargami, począł smakować trunek —
następnie zdziwienie, ale i oburzenie, odbiło się na jego
twarzy.

— Co to za czasy! — mruknął. — Chamy taki
miód piją. Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz?

To rzekłszy, przechylił kwartę i wypróżnił ją do dna.

Tymczasem przyszedli ośmieleni weselnicy prosić go całą gromadą, by zła nie czynił i puścił wolno, a między nimi przysłała i panna młoda, Ksenia, nieśmiała, drżąca, ze łzami w oczach, a zapłonią i śliczna jak zorza. Zbliżywszy się, złożyła ręce: „Pomyłujcie, pane!” i całowała żółty but pana Zagłoby — serce w szlachcicu od razu jak wosk zmiękło.

Popuściwszy skórzanego pasa, począł w nim grzebać, a wygrzebawszy ostatnie czerwone złote, które mu swego czasu dał książę, rzekł do Kseni:

— Naści! Niechże ci Bóg błogosławi, jako i wszelkiej niewinności.

Tu wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej, bo mu owa wysmukła, czarnobrewa Ksenia przypominała kniaziównę, którą kochał po swojemu pan Zagłoba. „Gdzie ona teraz nieboga i czy jej tam pilnują święci anieli?” — pomyślał — i całkiem był już rozczulony, gotów z każdym ścisnąć się i bratać.

Weselnicy zaś, widząc jego wspaniały czyn, poczęli hukać z radości, a śpiewać, a cisnąć się do niego, całować poły. „Dobry on! — powtarzano w tłumie — złoty Lach! czerwinci daje — zła ne robyt, dobry pane! Na sławu! na szczastie!” Skrzypek aż się trząsł, tak ciało od ucha, dudziarzowi oczy na wierzch wylazły, „dowbyszom” ręce ustawały. Stary bondar, tchórzem widocznie podszyty, trzymał się aż dotąd w tyle, teraz wysunął się naprzód i wraz z żoną bondarową i starą kowalichą, matką pana młodego, nuż klaniać się w pas, a do chutoru na wesele zapraszać, że to sława takiego mieć gościa i dla młodych pomyslna wróżba — że inaczej krzywda im będzie. Za nimi klaniał się pan młody i czarnobrewa Ksenia, która, choć prosta młodociana, od razu po-

znała, że jej prośba najwięcej może. A družbowie krzy-
czeli, że chutor niedaleko, nie będzie rycerzowi z drogi,
stary zaś bondar, bogaty, nie takiego miodu wytoczy.
Pan Zagłoba spojrział po żołnierzach: ruszali wszyscy
wasami jak zające, różne sobie rozkosze w tańcu i na-
pitkach obiecując, więc choć nie śmieli prosić, by jechać,
zlitował się nad nimi pan Zagłoba — i po chwili on,
družbowie, młodycie i żołnierze ruszyli w najpiękniejszej
zgodzie do chutoru.

Chutor istotnie był niedaleko, a stary bondar bo-
gaty, więc i wesele było szumne, popili się wszyscy mo-
cno, a pan Zagłoba tak się rozochocił, że do wszystkiego
był pierwszy. Zaczęły się tedy dziwne obrządki. Stare
baby zawiadły Ksenię do komory i zamknęły się tam
z nią; bawiły długo, poczem wyszły i oświadczyły, że mo-
lodycia, jak gołąbka, jak lilia! Wtedy radość zapano-
wała w zgromadzeniu, podniósł się krzyk: „Na sławu!
na szczastie!” — kobiety jęły klaskać w ręce i krzyzczać:
„A szczo? ne kazały!” — parobcy zaś tupali nogami
i kaźden tańczył w pojedynkę z kwartą w ręku, którą
przed drzwiami komory „na sławu” wypijał. Tańczył tak
i pan Zagłoba, tem tylko zacność swego urodzenia dy-
stygnowując, że nie kwartą, ale półgarncówką pił przed
drzwiami. Potem bondarowie i kowalicha wprowadzili
młodego Dymitra do komory — ale że młody Dymitr
ojca nie miał, więc pokłoniono się panu Zagłobie, by go
zastąpił — a on zgodził się i poszedł z innymi. Przez
ten czas uciszyło się w izbie, tylko żołnierze, pijący na
majdanie przed chatą, krzyk czynili, hallakując z radości
po tatarsku i paląc z bandoletów. Lecz największa ra-
dość i hulatyka zaczęły się dopiero wówczas, gdy rodzice
pojawił się napowrót w izbie. Stary bondar ścisnął z ra-

dości kowalicę, parobcy przychodzili do bondarowej i podejmowali ją pod nogi, a niewiasty sławiły ją, że tak ustrzegła córeczki, jako oka w głowie, jak hołubki i lilii ¹⁾), poczem puścił się z nią w tany pan Zagłoba. Poczęli więc dreptać naprzeciw siebie, a on w ręce klasał i w prysiudach przysiadł i tak podskakiwał, i tak podkowami bił w podłogę, że aż drzazgi z desek leciały i pot obfity spływał mu z czoła. Poszli ich śladem inni, kto mógł — w izbie, kto nie mógł — na podwórku, młodycie z młojcami i żołnierzami. Bondar coraz nowe beczki kazał wytaczać. Wreszcie wytoczyło się całe wesele z izby na majdan — zapalono stopy z suchych bodiaków i łuczywa, bo zapadła już noc głęboka i hulatyka zmieniła się w pijatykę na umór, żołnierze palili z bandoletów i muszkietów, jakby w czasie bitwy.

Pan Zagłoba czerwony, spocony, chwiejący się na nogach, zapomniał, co się z nim dzieje, gdzie jest; przez dymy, które mu były z czupryny, widział twarze biesiadników, ale choćby go na pal wbijano, nie umiałby powiedzieć, kto są ci biesiadnicy. Pamiętał, że jest na weselu — ale na czyjem? Ha! pewnie pana Skrzetuskiego z kniaziówną! Ta myśl wydała mu się najprawdopodobniejszą, utkwiała mu wreszcie jak gwóźdź w głowie i taką napelniła go radością, że począł wrzeszczeć jak opętany: „Niech żyją! Panowie bracia, kochajmy się!” — i coraz nowe spełniał półgarncówki: „W twoje ręce, panie bracie! Zdrowie naszego księcia pana! Żeby się nam dobrze działo! Bogdaj ten paroksyzm ojczyznę minął!” — Tu zalał się łzami i potknął się, idąc do beczki — i po-

¹⁾ Wesele chłopskie z owych czasów opisuje naoczny świadek Beauplan.

tykał się coraz więcej, bo na ziemi, jakby na pobojo-wisku, leżało mnóstwo ciał nieruchomych. „Boże! — za-wołał pan Zagłoba — niemasz już męstwa w tej Rzeczypospolitej. Jeden pan Łaszcz pić potrafi, drugi Za-głoba — a reszta! Boże! Boże!” I oczy żałośnie ku niebu podniósł, a wtem postrzegł, że ciała niebieskie nie tkwią już spokojnie naksztalt złotych gwoździ w firmamencie, ale jedne trzęsą się, jakoby chciały z oprawy wyskoczyć, drugie zataczają koła, trzecie tańczą naprzeciw siebie kozaka — więc zdumiał się okrutnie pan Zagłoba i rzekł do swej duszy zdumionej:

— Zali ja jeden tylko nie pijany in universo?

Ale nagle i ziemia, tak samo jak gwiazdy, zatrzę-sła się szalonym wirem i pan Zagłoba runął jak długi na ziemię.

Wkrótce opadły go sny straszne. Zdało mu się, iż jakieś zmory usiadły mu na piersiach, że go gniołą i przy-tłaczają do ziemi, że wiążą mu ręce i nogi. Jednocześnie o uszy odbijały mu się wrzaski i jak gdyby huk wy-strzałów; jakieś jaskrawe światło przechodziło przez jego zamknięte powieki i raziło mu oczy blaskiem niezno-śnym. Chciał się zbudzić, otworzyć oczy i nie mógł. Czuł, iż dzieje się z nim coś niezwykłego, że głowa zwiesza mu się w tył, jak gdyby go niesiono za ręce i nogi... Potem zdjął go jakiś strach; było mu źle, bardzo źle, bardzo ciężko. Wracała mu przez pół przytomność — ale dziwna — bo w towarzystwie takiej niemocy, jakiej nigdy w życiu nie doznawał. I jeszcze raz próbował się poruszyć, ale gdy mu się nie udało, rozbudził się lepiej i odemknął powieki.

Wówczas wzrok jego napotkał parę oczów, które wpijały się w niego chciwie, a były to czarne źrenice

jak węgiel i tak złowrogie, że rozbudzony już zupełnie pan Zagłoba pomyślał w pierwszej chwili, że to dyabeł na niego patrzy — i znów przymknął powieki i znów je prędko otworzył. Owe oczy patrzyły wciąż uporczywie — i twarz wydała się znajomą: nagle pan Zagłoba zadygotał do szpiku kości, oblał go zimny pot, a po krzyżach przeszło mu aż do nóg tysiące mrówek.

Poznał twarz Bohuna.

ROZDZIAŁ VII

Zagłoba leżał związany w kij do własnej szabli, w tej samej izbie, w której odbywało się wesele, a straszliwy watażka siedział opodal na zydlu i pał oczy przerażeniem jeńca.

— Dobry wieczór waści! — rzekł, dojrawszy otwarte powieki swej ofiary.

Pan Zagłoba nie odrzekł nic, ale w jednym mgnieniu oka oprzytomniał tak, jakby kropli wina do ust nie brał, jeno mrówki, doszedłszy mu do pięt, wróciły się do góry aż do głowy, a szpik w kościach stał się zimny jak lód. Mówią, że człowiek tonący w ostatnim momencie widzi jasno całą swoją przeszłość, że przypomina wszystko — i zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje; — taką jasność widzenia i pamięci posiadał w tej chwili pan Zagłoba, a ostatniem słowem tej jasności był cichy, niewypowiedziany ustami okrzyk:

— Ten mi dopiero da łupnia!

A watażka powtórzył spokojnym głosem:

— Dobry wieczór waszmości.

— Brr! — pomyślał Zagłoba — wołałbym, by wpadł w furę.

— Nie poznajesz mnie, panie szlachcic?

— Czołem, czołem? Jak zdrowie?

— Nieźle. A waścinem, to już ja sam się zajmę.

— Nie prosiłem Boga o takiego doktora i wątpię, abym mógł strawić twoje lekarstwa, ale dziej się wola Boża.

— No, ty mnie kurował, teraz ja się tobie wywdzięczę. My stare druchy. Pamiętasz, jak ty mnie głowę obwiązywał w Rozłogach — co?

Oczy Bohuna poczęły świecić jak dwa karbunkuly a linia wąsów przedłużała się w straszliwym uśmiechu.

— Pamiętam — rzekł Zagłoba — że mogłem cię nożem pchnąć — i nie pchnąłem.

— A ja to ciebie pchną? albo cię myślę pchnąć? Nie! ty dla mnie lubczyk — kochańczyk; ja ciebie będę strzegł, jak oka w głowie.

— Zawsze mówiłem, że zacny z ciebie kawaler — rzekł Zagłoba, udając, że bierze za dobrą monetę słowa Bohuna, a jednocześnie przez głowę przeleciała mu myśl: — Już widać on mi specyał jakowys obmyśli; nie umrę po prostu.

— Ty dobrze mówił — ciągnął Bohun — ty także zacny kawaler; tak my się szukali i znaleźli.

— Co prawda, tom cię nie szukał, ale dziękuję za dobre słowo.

— Podziękujesz ty mi jeszcze lepiej niezadługo, i ja tobie podziękuję za to, że ty mnie mołodycię z Rozłogów do Baru wywiódl. Tam ja ją i znalazł, a teraz, ot! na weseleby ciebie prosił, ale to nie dziś i nie jutro — teraz wojna, a ty stary człowiek, może nie dożyjesz.

Zagłoba, mimo straszliwego położenia, w jakim się znajdował, nadstawił uszu.

— Na wesele? — mruknął.

— A co ty myślał? — mówił Bohun — czy to ja chłop, żeby ja bez popa niewolił, albo mnie nie stać na to, żeby ja w Kijowie ślub brał? Nie dla chłopca ty ja do Baru przywiódł, ale dla atamana i hetmana...

— Dobrze! — pomyślał Zagłoba.

Poczem zwrócił głowę ku Bohunowi:

— Każ mnie rozwiązać — rzekł.

— Poleż, poleż, ty w drogę pojedziesz, a ty stary, tobie odpocząć przed drogą.

— Ty mój przyjaciel, tak ja cię do drugiego mojego przyjaciela zawiodę, do Krzywonosy. Już my oba pomyślemy, żeby tobie tam było dobrze.

— Będzie mi ciepło! — mruknął szlachcic i znowu mrówki poczęły mu chodzić po grzbiecie.

Nakoniec począł mówić:

— Wiem, że ty do mnie rankor masz, ale niesłusznie, niesłusznie — Bóg widzi. My żyli razem i w Czehrynie niejeden gąsior wypili, bo miałem dla cię affekt ojcowski, za twoją fantazyę rycerską, jakiej lepszej nie znalazłeś na całej Ukrainie. Ot co? Czym ja tobie w drogę wchodził? Żebym ja był wtedy z tobą do Rozłogów nie jeździł, tobyśmy do tej pory w dobrej przyjaźni żyli — a pocóżem jechał, jeśli nie z życzliwości ku tobie? I żebyś się nie był wściekł, żebyś nie był mordował onych nieszczęsnych ludzi — Bóg na mnie patrzy — nie byłbym ci wchodził w drogę. Co mnie się do cudzych spraw mieszać! Wolalbym, żeby dziewczyna była twoja, niż czyja inna. Ale przy twoich tatarskich zalotach sumienie mnie ruszyło, że to przecie szlachecki dom. Sambyś nie inaczej postąpił. Mogłem cię przecie z tego świata zgładzić, z większym moim pożytkiem — a przeczem tego nie uczynił? Bom szlachcic i wstyd mi było. Zawstydzę

się i ty, bo wiem, że się nademną chcesz znęcać. Dziewczynę i tak masz w ręku — czego odemnie chcesz? Zalim jej nie strzegł, jak oka w głowie — tego twojego dobra? Żeś ją uszanował, znać że i w tobie jest rycerski honor i sumienie, ale jakże to jej podasz rękę, którą w mojej krwi niewinnej ubroczysz? Jako to jej powiesz: tego czleka, któren cię przez chłopstwo i Tatarstwo przeprowadził, na mękim wydal? Zawstydzę się i puść mnie z tych pętów i z tej niewoli, w którą mnie zdradą pochwyciłeś. Młodyś jest i nie wiesz, coć potkać może — a za moją śmierć Bóg cię będzie karał na tem, co ci najmilsze.

Bohun wstał z zudła, blady z wściekłości, i zbliżywszy się do Zagłoby, zaczął mówić przyduszonym przez furę głosem:

— Wieprzu nieczysty, pasy drzeć z ciebie każę, na wolnym ogniu spale, ćwiekami nabiję, na szmaty rozerwę!

I w przystępie szaleństwa pochwycił za nóż wiążący u pasa — przez chwilę ścisnął go konwulsyjnie w pięści — już, już ostrze zaświeciło panu Zagłobie w oczach, ale watażka pohamował się, nóż wepchnął z powrotem w pochwę i zakrzyknął:

— Mołojcy!

Sześciu zaporozców wpadło do izby.

— Wziąć to ścierwo lackie i w chlewie rzucić, a strzedz, jak oka w głowie.

Kozacy porwali pana Zagłobę, dwóch za ręce i za nogi, jeden z tyłu za czuprynę — i wyniósłszy z izby, przenieśli przez cały majdan, nakoniec porzucili go na gnoju w stojącym opodal chlewie. Poczem drzwi się zamknęły i jeńca otoczyła zupełna ciemność — jeno przez

szpary między belkami i przez dziury w poszyciu przedzierało się tu i owdzie blade światło nocne. Po chwili oczy pana Zagłoby przyzwyczały się do pomroki. Rozejrzał się dokoła i ujrzał, że w chlewie niema świń, ani molojców. Rozmowy tych ostatnich dochodziły go zresztą wyraźnie przez wszystkie cztery ściany. Widocznie cały budynek obstawiony szczelnie, ale mimo tych straży pan Zagłoba oddechnął głęboko.

Przedewszystkiem żył. Gdy Bohun błysnął nad nim nożem, był pewien, że już ostatnia jego chwila wybiła — i Bogu ducha polecał, co prawda, z największym strachem. Ale widocznie Bohun postanowił go zakonserwować na śmierć nierównie wymyślniejszą. Pragnął nie tylko się zemścić, ale i nasycić się zemstą nad tym, który wydarł mu krasawicę, i sławę jego molojecką nadwęrzył, a samego śmiesznością okrył, spowiwszy go jak dziecko. Była to tedy smutna dla pana Zagłoby perspektywa, ale na razie pocieszała go jednak myśl, że jeszcze żyje, że prawdopodobnie do Krzywonosy go powiodą i tam dopiero na pytki wezmą — że więc ma kilka, a może i więcej dni przed sobą, tymczasem zaś leży sobie oto w chlewie, samotny, i może wśród ciszy nocnej o fortelach pomyśleć.

To była jedna dobra strona sprawy, ale gdy o złych pomyślał, znowu mrówki poczęły mu tysiącami chodzić po grzbiecie.

Fortele!...

— Gdyby tu wieprz, albo świnia leżała w tym chlewie — mrucał pan Zagłoba — miałyby ich więcej niż ja, boby jej nie związywali w kij do własnej szabli. Niechby Salomona tak związali, nie był mądrzejszy od własnych pludrów, albo od mego napiętka. O Boże,

Boże, za co mnie tak karzesz! Na tyłu ludzi na świecie, tego jednego złodzieja najbardziej uniknąć pragnąłem — i takie moje szczęście, że go właśnie nie uniknął. Będę miał skórę wyczesaną, jak świebodzińskie sukno. Żeby to inny mnie złapał, tobym deklarował, że do buntu przystaję, a potem umknął. Ale i innyby nie uwierzył, a cóż dopiero ten. Czuję, że mnie serce zamiera. Dyabli mnie tu przynieśli — o Boże, Boże, ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogę, o Boże! Boże!

Po chwili jednak pomyślał pan Zagłoba, że gdyby miał wolne ręce i nogi, łatwiejby mógł jakichkolwiek fortelów się chwycić. A nużby popróbowal? Byle tylko szablę zdołał z pod kolan wysunąć, reszta poszłaby łatwiej. Ale jak ją tu wysunąć? przewrócił się na bok — źle — pan Zagłoba zamyslił się głęboko.

Następnie zaczął się kołysać na własnym grzbiecie coraz prędzej i prędzej — a za każdym takim ruchem posuwał się o pół cala naprzód. Zrobiło mu się gorąco, czupryna zapociła mu się gorzej niż w tańcu i chwilami ustawał i spoczywał, chwilami przerywał pracę, bo zdało mu się, że któryś z mołojców idzie ku drzwiom — i znów rozpoczynał z nowym zapalem, nakoniec przysunął się do ściany.

Wówczas zaczął się kiwać inaczej, bo nie od głowy ku nogom, ale z boku na bok, tak, że za każdym razem uderzał z lekka w ścianę końcem szabli, która wysuwała się przez to z pod kolan, przechylając się coraz bardziej ku wewnątrz, na stronę rękojęści.

Serce zaczęło bić w panu Zagłobie jak młotem, bo ujrzał, że to sposób może być skuteczny.

I pracował dalej, starając się jak najciszej uderzać i tylko wówczas, gdy rozmowa mołojców głużyła

lekkie uderzenia. Przyszła nareszcie chwila, że koniec pochwy znalazł się na jednej linii z łokciem i kolanem i że dalsze kiwania się ku ścianie nie mogły go już wypychać.

Tak, ale natomiast z drugiej strony zwieszała się już znaczna część szabli, i wiele cięższa, biorąc na uwagę rękojeść.

Na rękojeści był krzyżyk, jako zwykle przy karabelach; pan Zagłoba liczył na ów krzyżyk.

I po raz trzeci począł kołysać się, ale tym razem celem jego usiłowań było odwrócenie się nogami do ściany. Dopiąwszy i tego, jął posuwać się wzdłuż. Szabla jeszcze tkwiła między podkolanami a rękoma, ale rękojeść zawadzała co chwila o nierówności gruntu — na koniec krzyżyk zawadził silniej — pan Zagłoba kiwnął się ostatni raz i przez chwilę radość przydwożdziła go na miejscu.

Szabla wysunęła się zupełnie.

Szlachciec zdjął wówczas ręce z kolan, a chociaż dłonie miał jeszcze związane, uchwycił niemi szablę napowrót. Pochwę przytrzymał nogami i wyciągnął ze-
leżce.

Rozciąć pęta na nogach było teraz dziełem jednej chwili.

Trudniej było z dłońmi. Pan Zagłoba musiał ułożyć szablę na gnoju, tyłcem od dołu, ostrzem do góry, i trzeć o owe ostrze postronki dopóty, dopóki ich nie rozciął.

Co gdy uczynił, był nietylko wolny od pęt — lecz i uzbrojony.

Odetchnął też głęboko, poczem przetęgnął się i zaczął Bogu dziękować.

Ale od rozcięcia pęt, do uwolnienia się z rąk Bohunowych, było jeszcze bardzo daleko.

— Co dalej? — pytał samego siebie pan Zagłoba.

I nie znalazł odpowiedzi. Chlew naokoło obstawiony molojcami; było ich tam razem ze stu, mysz nie mogłaby się wymknąć niepostrzeżona, a cóż dopiero człowiek tak tęgi, jak pan Zagłoba.

— Widzę, że zaczynam w piętę gonić — rzekł sam do siebie — a mój dowcip tyle wart, żeby nim buty wysmarować, chociaż i smarowidła lepszego można u węgryzów na jarmarku kupić. Jeśli mnie Bóg nie zesła jakiej myśli, to pójdę wronom na pieczeń, ale jeśli zechce, to się ofiaruję w czystości trwać, jako pan Longinus.

Głośniejsza rozmowa molojców za ścianą przerwała mu dalsze rozmyślenia, poskoczył więc i ucho przyłożył do szpary między belkami.

Wysuszone sosnowe belki odbijały głosy jak pudło teorbanu — słowa dochodziły wyraźnie.

— A gdzie my stąd pojedziemy, ojczy Owsiwuju? — pytał jeden głos.

— Ne znaju, pewno do Kamińca — odparł drugi.

— Ba, konie ledwo nogami włóczą — nie dojdą.

— Dlatego tu i stoimy; do rana wypoczną.

Nastąpiła chwila milczenia, potem pierwszy głos ozwał się ciszej, jak poprzednio:

— A mnie się widzi, ojczy, że ataman z pod Kamińca za Jampol ruszy.

Zagłoba wstrzymał oddech w piersi.

— Milcz, jeśli ci młoda głowa miła! — brzmiała odpowiedź.

Nastąpiła chwila milczenia, tylko z za innych ścian dochodziło szeptanie.

— Wszędy są, wszędy pilnują! — mruknął Zagłoba. I poszedł ku przeciwległej ścianie.

Tym razem doszedł go chrzęst żutych obroków i parskanie koni, które widocznie stały tuż, a między nimi molojcy rozmawiali leżący, bo głosy dochodziły z dołu.

— Hej — mówił jeden — my tu jechali nie śpiąc, nie jedząc, koniom nie popasając po to, by na pale w obozie Jaremy poszli.

— To już pewno, że on tu jest?

— Ludzie, co z Jarmoliniec uciekli, widzieli go, jako ciebie widzę. Strach co mówią: wielki on jak sosna, w łbie dwie główne, a koń pod nim smok.

— Hospody pomyśluj!

— Nam tego Lacha z żołnierzami zabrać i uciekać.

— Jak uciekać? Konie i tak zdychają.

— Źle, braty ridnyje. Żeby ja był atamanem, tak jaby temu Lachowi szyję uciął i do Kamińca choć piechotą wracał.

— Jego ze sobą pod Kamieniec weźmiemy. Tam z nim atamany nasze poigrają.

— Pierwej z wami dyabli poigrają — mruzczał Zagłoba.

Jakoż mimo całego strachu przed Bohunem, a może właśnie dlatego, przysiągł sobie, że się żywcem nie da wzięć. Jest wolny od pęt, szablę ma w ręku — będzie się bronił. Rozsiekają go, to rozsiekają; ale żywcem nie wezmą.

Tymczasem parskanie i stękanie koni, widocznie

nadzwyczajnie zdrożonych, zgłuszyło dalszą rozmowę, a natomiast poddało pewną myśl panu Zagłobie.

— Żebym to mógł przez tę ścianę się przedostać, a na konia niespodzianie skoczyć! — myślał. — Jest noc — nimby się obaczyli, co się stało, jużbym im uszedł z oczu. Po tych jarach i rozłogach przy słońcu trudno gonić, a cóż dopiero w ciemnościach, dajże mi Boże sposobność!

Ale o sposobność nie było łatwo. Trzebaby chyba było ścianę rozwalić, a na to trzeba było być panem Podbipiętą — lub się podkopać jak lis — a i wówczas pewnieby usłyszeli, zobaczyli i ucapili zbiega za kark, nimby nogą strzemięcia sięgnął.

Do głowy panu Zagłobie cisnęły się tysiące fortełłów, ale właśnie dlatego, że ich było tysiące, żaden nie przedstawiał się jasno.

— Nie może już inaczej być, jeno skórą zapłacę — pomyślał.

I ruszył ku trzeciej ścianie.

Nagle uderzył głową o coś twardego, zmacał: była to drabinka. Chlew nie był świński, ale bawoli, i do połowy długości miał strych, służący za skład słomy i siana. Pan Zagłoba bez chwili namysłu wylazł na górę.

Poczem siadł, odetchnął i począł zwolna wciągać za sobą drabinkę.

— No, tom jest i w fortecy! — mruknął. — Choćby też i drugą drabinę znaleźli, nieprędko się tu dostaną. Jeśli pierwszego lba, który się tu wychyli, nie rozwalę na dwoje, to się pozwolę na schab uwędzić. O do diabła! — rzekł nagle — istotnie będą mnie mogli nietylko uwędzić, ale upiec i na lój przetopić. Ale niech tam! chcą chlew spalić — dobrze! żywcem mnie tembardziej

nie dostaną, a wszystko mi jedno, czy mnie krucy zdziobią surowego, czy piezzonego. Byłem tych zbójceckich rąk uszedł, o resztę nie dbam i mam nadzieję, że jeszcze jakoś to będzie.

Pan Zagłoba łatwo przechodził widać od ostatniej rozpaczki do nadziei. Jakoż niespodzianie taka w niego wstąpiła ufność, jakby już był w obozie księcia Jeremiego. A jednak położenie jego nie poprawiło się o wiele. Siedział na strychu i mając szablę w garści, mógł istotnie długo przystępu bronić. Ot, i wszystko. Ale ze strychu do wolności było droga, jak z pieca na leb — z tą jeszcze różnicą, że w dole czekały szable i spisy mołojców, czyhających pod ścianami.

— Jakoś to będzie! — mruknął pan Zagłoba i zbliżywszy się do dachu, począł zlekka rozrywać i unosić poszycie, aby sobie „prospectus“ na świat otworzyć.

Poszło mu to z łatwością, gdyż mołojcy rozmawiali ciągle pod ścianami, chcąc zabić nudę czuwania, a przyszem wstał dość silny wiatr i głużył powiewem wśród pobliskich drzew szelest unoszonych snopków.

Po pewnym czasie dziura była gotowa — pan Zagłoba wetknął w nią głowę i począł rozglądać się naokoło.

Noc poczyniała już ustępować, a na wschodnią stronę nieba wstępował pierwszy brzask dnia, więc przy bładem świetle ujrzał pan Zagłoba cały majdan zapelniony końmi, przed chatą szeregi śpiących mołojców, powyciągane nakształt długich niewyraźnych linii, dalej żóraw studzienny i koryto, w którym świeciła woda, a obok nich znów szereg śpiących ludzi i kilkunastu mołojców z golemi szablami w rękę, przechadzających się wzdłuż owego szeregu.

— To moi ludzie, których w łyka wzięto — mruknął szlachcic. — Ba! — dodał po chwili — żeby to byli moi ale księżęcy. Dobrym byłem im wodzem, nie ma co mówić! Zawiodłem ich psu w gardło. Wstyd będzie oczy pokazać, jeśli mnie Bóg wróci wolność. A wszystko przez co? przez amory i napitki. Co mnie było do tego, że się chamy żenią? Tyle miałem do roboty na tem weselu, ile na psiem. Wyrzekam się tego zdrajcy miodu, któren włazi w nogi, nie w głowę. Wszystko złe na świecie z pijaństwa, bo gdyby nas byli trzeźwych napadli, byłbym jako żywo otrzymał wiktoryą i Bohuna w chlewie zamknął.

Tu wzrok pana Zagłoby padł znowu na chatę, w której spał watażka, i zatrzymał się na jej drzwiach.

— O śpij, złodzieju — mruknął — śpij! niech ci się przyśni, żeć dyabli luszcza, co cię i tak nie minie. Chciałeś z mojej skóry przetak uczynić, spróbuj tu wleść do mnie na górę, a obaczymy, czy ci twojej tak nie posiekam, że się i psom na buty nie zda. Żebym się tylko mógł stąd wyrwać, żebym się mógł wyrwać. Ale jak?

Rzeczywiście zadanie było prawie nie do spełnienia. Cały majdan tak był zapchany ludźmi i końmi, że choćby pan Zagłoba zdołał wydostać się z chlewa, choćby zsunawszy się z dachu, skoczył na jednego z tych koni, które stały tuż pod chlewem, nie zdołałby żadną miarą dotrzeć nawet do wrót, a cóż dopiero wydostać się za wrota.

A jednak zdawało mu się, że dokonał większej połowy zadania: był wolny, uzbrojony i siedział pod strychem, jakoby w fortecy.

— Cóż u licha — myślał — czy potom się z łyk uwolnił, żeby się na nich powiesić?

I znowu fortele poczęły mu huczeć w głowie, ale było ich takie mnóstwo, że ani rusz wybrać.

Tymczasem szarzało coraz bardziej. Okolice chaty poczęły się wychylać z cienia, dach chaty powłókl się jakoby srebrem. Już pan Zagłoba mógł dokładniej odróżnić pojedyncze grupy na majdanie, już dojrzał czerwoną barwę swych ludzi, leżących koło studni — i baranie kożuchy, pod którymi spali mołojcy wedle chaty.

Nagle jakaś postać podniosła się z szeregu śpiących i poczęła iść wolnym krokiem przez majdan, zatrzymując się tu i ówdzie koło ludzi i koni; chwilę pogadała z mołojcami, pilnującymi jeńców, i nakoniec zbliżyła się do chlewa. Pan Zagłoba sądził w pierwszej chwili, że to jest Bohun, zauważył bowiem, że strażnicy rozmawiali z ową postacią, tak jak podwładni z przelożonym.

— Ej! — mruknął — żebym to miał teraz guldynkę w rękę, nauczyłbym cię, jak to nogami się nakrywać.

W tej chwili postać owa podniosła głowę i na twarz jej padł szary blask świtu — to nie był Bohun, ale sownik Hołody, którego pan Zagłoba poznał natychmiast, bo go znał doskonale jeszcze z tych czasów, gdzie dostrzymywał Bohunowi kompanii w Czehrynie.

— Chłopczy! — rzekł Hołody — a nie śpicie?

— Nie, bat'ku, choć i chce się spać. Czasby nas zmienić.

— Zaraz was zmienią. A wraży syn nie uciekł?

— Oj, oj! Chyba dusza z niego uciekła, ojczu, bo się ani ruszył.

— Szczwana to liszka. A obaczcie no, co się z nim dzieje, bo on gotów się w ziemię zapaść.

— Zaraz! — odrzekło kilku molojców, zbliżając się ku drzwiom chlewa.

— Stoczcie też i siana ze stropu. Konie wytrzeć! Ze wschodem ruszamy.

— Dobrze, bat'ku.

Pan Zagłoba, porzuciwszy co tchu swoje stanowisko przy dziurze w dachu, przyczołgał się do otworu w stropie. Jednocześnie usłyszał skrzyp drewnianej zawory i szelest słomy pod nogami molojców. Serce biło mu młotem w piersi, a ręką ścisnął głównię szabli, ponawiając sobie w duchu śluby, że prędzej da się spalić razem z chlewem, lub na sieczkę pociąć, niż żywcem wziąć. Spodziewał się też, że lada chwila molojcy podniosą wrzask straszliwy, ale się omylił. Czas jakiś słychać było, jak chodzili coraz to śpieszniej po całym chlewie, nareszcie jeden ozwał się:

— Jaki tam czort? nie mogę go zmacać! My go ot tu rzucili.

— Niesamowity, czy co? Skrzesz ognia, Wasyl, ciemno tu jak w lesie.

Nastąpiła chwila milczenia; Wasyl szukał widocznie hubki i krzesiwa, drugi zaś molojec począł wołać z cicha:

— Pane szlachcic, odezwij się.

— Całuj psa w ucho! — mruknął Zagłoba.

Wtem żelazo poczęło szczełkać o krzemień, sypnął się rój iskier i rozświecił ciemne wnętrze chlewa i głowy molojców, przybrane w kapuzy, poczem zapadła ciemność jeszcze głębsza.

— Niema! niema! — wołały gorączkowe głosy.

Wówczas jeden z molojców poskoczył ku drzwiom.

— Bat'ku Hołody! bat'ku Hołody!

— Co takiego? — pytał sotnik, ukazując się we drzwiach.

— Niema Lacha!

— Jakto niema?

— W ziemię zapadł! Niema nigdzie. O Hospody pomiluj! My ogień krzesali — niema!

— Nie może być. Oj, byłoby wam od atamana! Uciekł czy co? pospalicie się?

— Nie, bat'ku, my nie spali. Z chlewa on nie wyszedł naszą stroną.

— Cicho! nie budzić atamana — jeśli nie wyszedł, to musi gdzieś być. A wy wszędzie szukali?

— Wszędzie.

— A na stropie?

— Jak jemu było na strop leżeć, kiedy był w łykach.

— Durny ty! Żeby on się nie rozwiązał, toby tu był. Szukać na stropie. Skrzesać ognia!

Sypnęły się znowu iskry. Wieść przeleciała wnet przez wszystkie straże. Poczęto się tłoczyć do chlewa z owym pośpiechem, zwyczajnym w nagłych razach; słyhać było szybkie kroki, szybkie pytania i jeszcze szybsze odpowiedzi. Rady krzyżowały się, jak miecze w boju.

— Na strop! na strop!

— A pilnuj z zewnątrz!

— Nie budzić atamana, bo będzie bieda!

— Niema drabiny!

— Przynieść drugą!

— Niema nigdzie!

— Skoczyć do chaty, czy tam niema?

— O Lach przeklęty!

— Leść po węglach na dach, dachem się przedostać.

— Nie można, bo wystaje i podbity deskami.

— Przynieść spisy. Po spisach tędy wejdziemy. A sobaka! drabinę wciągnął!

— Przynieść spisy! — zabrzmiał głos Hołodego.

Mołojcy skoczyli po spisy, inni zaś popodnosili głowy ku stropowi. Już też rozpierzchłe światło wniknęło przez otwarte drzwi i do chlewa, a przy jego niepewnym blasku widać było kwadratowy otwór stropu, czarny i cichy.

Z dołu ozwały się pojednawcze głosy:

— No, pane szlachcic! Spuść drabinę i zleź. I tak się nie wymkniesz, poco ludzi trudzić. Zleź, zleź!

Cisza.

— Ty mądry człowiek! Żeby tobie to co pomogło, tak tyby siedział, ale że to tobie nie pomoże, tak ty zleziesz dobrowolnie — ty dobry!

Cisza.

— Zleź, a nie, to ci skórę ze lba zedrzymy, łbem na dół w gnój cię zrzucimy!

Pan Zagłoba pozostał równie głuchy na groźby, jak na pochlebstwa, i siedział w ciemnościach, jak borsuk w jamie, gotując się do zaciętej obrony. Tylko szablę coraz mocniej ścisnął, i sapał trochę i w duchu pacierz szeptał.

Tymczasem przyniesiono spisy, związano trzy w pęk i postawiono ostrzami ku otworowi. Panu Zagłobie przemknęła przez głowę myśl, czyby nie porwać ich i nie wciągnąć — ale pomyślał także, że dach może być za

nizko i że nie zdoła ich wciągnąć zupełnie. Zresztą przyniesionoby w tej chwili inne.

Tymczasem cały chlew napelnił się molojcami. Niektórzy świecili łuczywem, inni poznosili najrozmaitsze dragi i drabiny od wozów, które okazały się za krótkie, więc związano je co duchu rzemioniami, bo po spisach trudno istotnie było się wspinać. Jednakże znaleźli się chętni.

— Ja pójdę — wołało kilka głosów.

— Czekać na drabinę! — rzekł Hołody.

— A co szkodzi, ba'ku, popróbować po spisach?

— Wasyl wlezie! — on tak jak kot chodzi.

— To próbuj.

A inni poczęli zaraz żartować:

— Ej ostrożnie! On szablę ma, szyję utnie — obaczysz.

— Sam za łeb złapie i wciągnie, a tam cię opatrzy jak niedźwiedz.

Wasyl nie dał się stropić.

— On znaje — rzekł — że niechby on mnie palcem dotknął, czortaby mu ataman dał zjeść i wy, braty.

Było to ostrzeżenie dla pana Zagłoby, któren siedział cicho, ani mruknął.

Lecz molojcy, jako to zwykle między żołnierzami, wpadli już w dobry humor, bo całe zajście poczęło ich bawić, więc dalej przymawiać Wasylowi.

— Będzie jednym durnym mniej na świecie, na białym.

— On tam nie będzie zważał, jak my jemu zapłacim za twoją szyję. On śmiały molojec.

— Ho! ho! On nie samowity. Czort jego wie, w co

on się tam już zmienił — to czarownik! Ty, Wasyl, nie wiadomo kogo tam znajdziesz w czeluści.

Wasyl, który splunął już w dłonie i obejmował właśnie niemi spisy, wstrzymał się nagle.

— Na Lacha pójdę — rzekł — na czorta nie.

Ale tymczasem związano drabiny i przystawiono je do otworu. Źle było i po nich wchodzić, bo się zaraz wygięły na związaniu i szczeble cienkie trzeszczały pod stopami, które na próbę na najniższym stawiono. Ale począł wchodzić sam Hołody, wchodząc zaś, mówił:

— Ty panie szlachcic widzisz, że to nie żarty. Uparłeś się na górze siedzieć, to siedź, ale się nie broń, bo my cię dostaniem i tak, choćby i cały chlew mieli rozebrać. Ty miej rozum!

Nakoniec głowa jego dotknęła czeluści i pogrążyła się w niej zwolna. Nagle dał się słyszeć świst szabli, kozak krzyknął strasznie, zachwiał się i padł między molojców, z rozwaloną na dwie połowy głową.

— Koli, koli! — zawrzasnęli molojcy.

W całym chlewie powstał straszliwy zamęt, podniosły się krzyki i wołania, które zgłuszył grzmiący głos pana Zagłoby:

— Ha, złodzieje, ludojady, ha basyłyki! do nogi was wytłukę, szelmy parszywe! Poznajcie rycerską rękę. Ludzi uczciwych po nocy napadać! w chlewie szlachcica zamykać — ha lotry! W pojedynkę ze mną, w pojedynkę, albo i po dwóch! Chodźcie no sam! ale lby zostawcie w gnoju, bo poucynam; jakom żyw!

— Koli, koli! — wołali molojcy.

— Chlew spalimy!

— Ja sam spalę, bycze ogony, byle z wami!

— Po kilku! po kilku naraz! — krzyknął stary ko-

zak. — Trzymać drabiny, spisami podpierać, przynieść snopów na lby i dalej... Musimy go dostać!

To rzekłszy, ruszył w górę, a razem z nim dwóch towarzyszków, szczeble poczęły się łamać, drabiny wygięły się jeszcze mocniej, ale przeszło dwadzieścia krzepkich rąk pochwyciło je za drągi, w górze popodpierano spisami. Inni powtykali ostrza spis w otwór, by cięcia szabli zahamować.

W kilka chwil później trzy nowe ciała spadły na głowy stojącym w dole.

Pan Zagłoba, rozgrzany tryumfem, ryczał jak bawół i zionął takie przekleństwa, jakich świat nie słyszał i od jakich dusze niezawodnie zamaryłyby w mołojcach, gdyby nie to, że wściekłość poczęła ich ogarniać. Niektórzy klóli spisami strop, inni darli się na drabinę, chociaż w czeluści czekała śmierć pewna. Nagle krzyk się zrobił przy drzwiach i do chlewa wpadł sam Bohun.

Był bez czapki, tylko w szarawarach i koszuli, w ręku miał gołą szablę, w oczach płomień.

— Przez dach, psiawiary! — krzyknął. — Poszycie rozerwać i żywcem brać.

A Zagłoba, ujrawszy go, ryczał.

— Chamie, pójdź-no tu tylko. Nos i uszy ci obetnę, gardła nie wezmę, bo to kata własność. A co! tchórz cię obleciał? boisz się, parobku? Związać mi tego szelmę, a łaskę znajdziecie. Cóż, wisielcze, což kukło żydowska? sam tu! Wychył jeno lba na strop. Chodź, chodź, będę ci rad — poczęstuję tak, żeć się przypomni i twój ojciec dyabeł i twoja mać gamratka.

Tymczasem krokwie dachu jęły trzeszczeć. Widocznie mołojcy dostali się nań i teraz rwali już poszycie.

Zagłoba dosłyszał, ale strach nie odjął mu sił. Był jakby spity bitwą i krwią.

— Skoczę w ką i tam zginę — pomyślał.

Ale w tej chwili na całym majdanie rozległy się strzały, a jednocześnie kilkunastu mołojców wpadło do chlewa.

— Bat'ku! bat'ku! — krzyczeli w niebogłosy — bywajj!

Pan Zagłoba w pierwszej chwili nie zrozumiał, co się stało — i zdumiał. Spojrzy przez czelusć na dół, aż tam nikogo już niema. Krokwie w dachu nie trzeszczą.

— Co to jest? co się stało? — zawołał głośno. — Ha! rozumiem. Chcą chlew puścić z ogniem i z pistoletów do dachu pałą.

Tymczasem na zewnątrz słyhać było coraz straszniejsze wrzaski ludzkie, tętent koni. Strzały zmieszane z wyciem, szczęk żelaza. Boże! to chyba bitwa! — pomyślał pan Zagłoba i skoczył do swojej dziury w dachu.

Spojrzał — i nogi ugięły się pod nim z radości.

Na majdanie wrzała bitwa, a raczej ujrzał pan Zagłoba straszliwy pogrom Bohunowych mołojców. Napadnięci z nienacka, rażeni ogniem z pistoletów, przykładanych do łbów i piersi, przyparci do plotów, do chaty i do stodoły, cięci mieczami, pchani falą piersi końskich, miażdżeni kopytami, mołojcy ginęli, nie dając prawie oporu. Szeregi żołnierzy przybranych w krasne barwy, siekąc zapamiętałe i naciskając uciekających, nie zezwoliły im się sformować, ni szablą się złożyć, ni odetchnąć, ni dosiąść koni. Broniły się tylko pojedyncze kupy; inni dopinali wśród wrzawy, zamętu i dymu rozluźnione popręgi kulbak i ginęli, zanim zdolali dotknąć nogą strzemienia — inni, rzucając spisy i szable, zmykali pod ploty,

więzli między żerdziami i przeskakiwali przez wierzch, wrzeszcząc i wyjąc nieludzkimi głosami. Zdawało się nieszczęsnym, że sam ksiązę Jeremi spadł na nich niespodzianie jak orzeł, że druzgoce ich cała okrzyki zwycięgo potęga. Nie mieli czasu się opamiętać, obejrzeć: ciężców, i świst szabel i huki wystrzałów gnały ich jak burza, gorący oddech koński oblewał im karki: „ludy, spaszajtes!” rozległo się ze wszystkich stron — „bij, zabij!” — odpowiadali napastnicy.

I dojrzał nakoniec pan Zagłoba małego pana Wołodyjowskiego, jak stojąc wedle wrot na czele kilkunastu żołnierzy, głosem i buławą wydawał innym rozkazy, a niekiedy rzucił się na swym gniadym koniu w zamęt i wówczas ledwo się złożył, ledwie się zwrócił, już padał człowiek, nawet i nie wydawszy okrzyku. O, bo mistrz to był nad mistrzami pan Wołodyjowski — i żołnierz z krwi i kości, więc bitwy nie tracił z oka, ale poprawiwszy tu i owdzie, znowu się wracał — i patrzył, i poprawiał, właśnie jak ów, który kapelą kierując, czasem sam zagra, czasem grać przestaje, a nad wszystkimi ustawicznie czuwa, by każdy swoje odegrał.

Co widząc, pan Zagłoba począł nogami tupać w deski stropu, aż kłęby kurzu powstały, w ręce klasnąć i ryczeć:

— Bij psubraty, bij, morduj, ze skóry łup! siekaj, tnij, wał, rznij, morduj! Dalejże w nich, dalej! na szable ich i w pień!

Tak krzyczał pan Zagłoba i rzucił się, oczy krwią mu zaszły z wysilenia i zaniewidział na chwilę, ale gdy znów wzrok odzyskał, ujrzał jeszcze piękniejszy widok — oto w kupie kilkudziesięciu mołojców pomykał na koniu jak błyskawica Bohun, bez czapki, w koszuli tylko

i hajdawerach, a za nim na czele żołnierzy mały pan. Wołodyjowski. „Bij!“ — krzyknął Zagłoba — „to Bohun!“ — ale głos nie doszedł; tymczasem Bohun z molojcami przez płot, pan Wołodyjowski przez płot, niektórzy zostali — innym konie zwinęły się w skoku. Spojrzał Zagłoba: Bohun na równinę, pan Wołodyjowski na równinę. Wnet rozproszyli się i molojcy w ucieczce i żołnierze w biegu — rozpoczął się pościg pojedynczy. Zagłobie dech zamarł w piersi, oczy ledwie mu z powiek nie wyskoczą, cóż bowiem widzi? Oto jedzie już pan Wołodyjowski na karku Bohuna, jak ogar na dzik, watażka zwraca głowę, nadstawia szablę — „biją się!“ — krzyczy Zagłoba — chwila jeszcze i Bohun pada wraz z koniem, a pan Wołodyjowski, tratując po nim, pędzi za innymi.

Ale Bohun żyw, bo zrywa się z ziemi i pobiegł ku skałom zarośniętym haszczami.

— Trzymaj! trzymaj! — ryczy Zagłoba — to Bohun!

Wtem pędzi nowa wataha molojców, która aż do tej chwili przemykała się z drugiej strony skał, a teraz odkryta, szuka nowej drogi do ucieczki. Za nią w odległości pól stają pędzą żołnierze. Wataha owa dogania Bohuna, ogarnia go, porywa i uprowadza ze sobą. Nakoniec ginie z oczu w zakrętach parowu, a za nią giną i żołnierze.

Na majdanie zapanowała cisza i pustka, bo nawet i żołnierze pana Zagłoby, odbici przez Wołodyjowskiego, dopadłszy koni po molojcach, pognali wraz z innymi za rozproszonym nieprzyjacielem.

Pan Zagłoba spuścił drabinę, zszedł z góry i wyszedłszy z chlewa na majdan, rzekł:

— Wolnym jest...

To rzekłszy począł rozglądać się naokoło. Na majdanie leżało mnóstwo trupów zaporożskich i kilkanaście żołnierskich. Szlachcic chodził między nimi zwolna i oglądał każdego starannie, nakoniec przykląkł nad jednym.

Po chwili podniósł się z blaszaną manierką w ręku.

— Pełna — mruknął.

I przyłożywszy do ust, przechylił głowę.

— Niezła!

Znów obejrzał się naokoło i znów powtórzył, ale już wiele rażniejszym głosem:

— Wolnym jest.

Poczem poszedł do chaty, na progu natknął się na trupa starego bondara, którego mójce zamordowali, i zniknął we wnętrzu. Gdy wyszedł, naokół bioder, na kubraku zawalonym w nawozie, świecił mu pas Bohuna, gęsto przeszywany złotem, za pasem zaś nóż z wielkim rubinem w głowni.

— Bóg wynagrodził męstwo — mruczał — bo i trzosik dość pełny. Ha, zbój plugawy! Mam nadzieję, że się nie wymknie! Ale ten mały fircyk! niech go kule biją. Ciężta sztuka, jak osa. Wiedziałem, że dobry żołnierz, ale żeby tak sobie na Bohunie jechał, jak na łysej koźby, tegom się po nim nie spodziewałem. Że też to w tak małym ciele taki może być animusz i wigor. Bohun mógłby go u pasa na sznurku nosić, jak kozik. Niechże go kule biją! — albo lepiej niech mu Bóg szczęści! Musiał Bohuna nie poznać, bo byłby go dokończył. Fu! jak tu prochem pachnie, aż w nozdrzech wierci! Ależ się też z takich terminów wykręcił, w jakowych jeszcze nie bywałem. Chwała bądź Bogu! No, no, ale żeby tak na Bohunie jechać! Muszę się temu Wołody-

jowskiemu jeszcze przypatrzeć, bo chyba dyabeł w nim siedzi.

Tak rozmawiając, siadł pan Zagłoba na progu chlewa i czekał.

Tymczasem zdala na równinie ukazali się żołnierze wracający z pogromu, a na czele jechał pan Wołodjowski. Ujrawszy Zagłobę, przyspieszył biegu i zeskoczywszy z konia, szedł ku niemu.

— Waćpana to jeszcze oglądam? — pytał zdala.

— Mnie we własnej osobie — rzekł pan Zagłoba. — Bóg waści zapłać, iżes z pomocą przybył.

— Chwalić Boga że w porę — odpowiedział mały rycerz, ściskając z radością dłoń pana Zagłoby.

— Ale skądżeś się waszmość o opresyi, w jakiej tu zostawałem, dowiedział?

— Chłopi dali znać z tego chutoru.

— O! a ja myślałem, że mnie zdradzili.

— Gdzie tam, to dobrzy ludzie. Ledwie z życiem uszli: chłopak i dziewczyna, a co się z resztą weselników stało, nie wiedzą.

— Jeśli nie zdrajcy, to od kozaków pobici. Chutornik leży wedle chaty. Ale mniejsza z tem. Mówże waść, czy Bohun żyw? uciekł?

— Alboż to był Bohun?

— Ten bez czapki, w koszuli i hajdawerach, któregoś waść z koniem obalił.

— Ciąłem go w dłoń; bogdaj to lichu, żem go nie poznał. Ale waść, ale waść, mości Zagłobo, cóżes to waść najlepszego uczynił?

— Com uczynił? — powtórzył pan Zagłoba. — Chodź panie Michale — i patrz!

To rzekłszy, ujął go za rękę i wprowadził do chlewa.

— Patrz — powtórzył.

Pan Wołodyjowski nie widział przez chwilę nic, bo wszedł ze światła, ale gdy już oczy jego oswoiły się nieco z ciemnością, dojrzał ciała leżące nieruchomie na gnoju.

— A tych ludzi kto narzwał? — pytał zdziwiony.

— Ja! — rzekł Zagłoba — pytałeś waść, com uczynił? — więc masz!

— No! — rzekł młody oficer, kręcąc głową. — A jakimże to sposobem?

— Tam się bronilem na górze, a oni szturmowali mnie z dołu i przez dach. Nie wiem, jak długo to było, bo w bitwie człowiek czasu nie liczy. Bohun to był, Bohun ze srogą potęgą i z wyborem ludzi. Popamięta on waćpana, popamięta i mnie! Innym czasem ci opowiem, jako w niewolę popadłem, com wytrzymał i jakom Bohuna splantował, bom i na języki się z nim próbował. Alem dziś tak fatigatus, że ledwie na nogach się trzymam.

— No — powtórzył pan Wołodyjowski — niema co mówić, mężnie waść stawaleś; jeno to powiem, żeś lepszy rębacz, niż wódz.

— Panie Michale — rzecze szlachcic — nie pora rozprawiać. Lepiej Bogu dziękujmy, że nam obydwom tak wielką dziś spuścił wiktoryą, o której pamięć nieprędko między ludźmi zaginie.

Pan Wołodyjowski spojrzał zdumiony na Zagłobę. Jakos dotąd wydawało mu się, że to on sam odniósł ową wiktoryę, którą pan Zagłoba widocznie chciał się z nim podzielić.

Ale popatrzył tylko na szlachcica, pokręcił głową i rzekł:

— Niechże i tak będzie.

W godzinę później obaj przyjaciele, na czele połączonych oddziałów, wyruszyli ku Jarmolińcom.

Z ludzi Zagłoby nie brakło prawie nikogo, gdyż w śnie zaskoczeni, nie stawiali oporu, Bohun zaś, wysłany głównie po języka, kazał żywcem brać, nie mordować.

ROZDZIAŁ VIII.

Bohun, lubo wódz mężny i przezorny, nie miał szczęścia w tej wyprawie, którą pod rzecką dywizję księcia Jeremiego przedsięwziął. Utwierdził się tylko w przekonaniu, że księżę istotnie wyruszył całą potęgą przeciw Krzywonosowi, bo tak mu powiadali więzi w niewolę żołnierze pana Zagłoby, którzy sami wierzyli w to najświęciej, iż księżę ciągnie za nimi. Nie pozostawało więc nic innego nieszczęsnemu atamanowi, jak cofać się co prędzej do Krzywonosy, ale zadanie nie było łatwe. Za ledwie trzeciego dnia zebrała się koło niego wataha złożona z dwustu kilkunastu mołojców; inni albo w boju polegli, albo zostali ranni na polu potyczki, albo blakali się jeszcze wśród jarów i oczeretów, nie wiedząc co czynić, jak się obrócić, dokąd iść. A i ta kupa przy Bohunie nie na wiele była przydatna, bo zbita, za lada alarmem skłonna do ucieczki, zdemoralizowana, przerażona. A był to przecie wybór mołojców; lepszych żołnierzy trudno było w całej Siczy znaleźć. Ale mołojcy nie wiedzieli, z jak małą siłą pan Wołodyjowski na nich uderzył i że, dzięki tylko niespodzianemu napadowi na śpiących i nieprzygotowanych, taką klęskę mógł zadać, i wierzyli najświęciej, że mieli sprawę jeśli nie z samym

księciem, to przynajmniej z potężnym, kilkakroć liczniejszym podjazdem. Bohun wrzał jak ogień; cięty w rękę, strącony, chory, pobity, i wroga zakłętą z rąk wypuścił i sławę nadwyreżył, bo już ci molojcy, którzy w wigilię kłeski do Krymu, do piekła i na samego księcia byliby ślepo za nim poszli, teraz stracili wiarę, stracili ducha i o tem tylko myśleli, jakby gardła całe z pogromu wynieść. A przecie Bohun uczynił wszystko, co wódz uczynić powinien, niczego nie zaniedbał, strażę opodal chutoru poróżstawił i spoczywał dlatego tylko, że konie, które z pod Kamieńca prawie jednym tchem przyszły, całkiem niezdatne były do drogi. Ale pan Wolodyjowski, któremu życie młode zbiegło w podejściach i lowach na Tatarów, podszedł jak wilk nocą pod strażę, pochwytał je, nim zdołały krzyknąć lub wystrzelić — i napadł tak, że oto on, Bohun, w hajdawerach tylko i w koszuli ująć potrafił. Gdy o tem watażka myślał, świat mu czerniał w oczach, w głowie się przewracało i rozpacz kąsała mu duszę, jak pies wściekły. On, który na Czarnem morzu na galery tureckie się rzucał; on, który aż do Perekopu na karkach tatarskich dojeżdżał i chanowi w oczy pożogą ałusów świecił; on, który księciu pod ręką, przy samych Łubniach, regiment w Wasilówce wyciął, musiał uciekać w koszuli i bez czapki — i bez szabli, bo i tę w spotkaniu z małym rycerzem utracił. To też, gdy nikt nie patrzył, na postojach i popasach, watażka chwytal się za głowę i krzyczał: „Gdzie moja sława molojecka, gdzie moja szabladróżka?“ A gdy tak krzyczał, porywał go oblęd dziki i spijał się jak nie Boże stworzenie, poczem na księcia chciał iść, na całą siłę jego uderzyć — i zginąć i przepaść na wieki.

On chciał — ale mołojcy nie chcieli. „Ubij, bat’ku, nie pójdziemy!“ — odpowiadali ponuro na jego wybuchy — i napróżno mu było w napadach szaleństwa szabłą ich siec, z pistoletów twarze osmalać — nie chcieli, nie poszli.

Rzekłbyś, ziemia usuwała się z pod nóg atamana, bo nie tu jeszcze był koniec jego nieszczęść. Bojąc się dla prawdopodobnej pogoni uchodzić wprost na południe i sądząc, że może Krzywonos już oblężenia zaniechał, rzucił się sam ku wschodowi i trafił na oddział pana Podbipięty. Ale czujny jak żóraw pan Longinus nie dał się zejść, pierwszy uderzył na watażkę, rozbił go tem łatwiej, że mołojcy bić się nie chcieli — i podał w ręce panu Skrzetuskiemu, a ten go najpotężniej rozgromił, tak że Bohun, po długim błędzeniu w stepach, w kilkanaście zaledwie koni, bez sławy, bez mołojców, bez zdobyczy i bez języków, dotarł nareszcie do Krzywonosa.

Lecz dziki Krzywonos, tak straszny zwykle dla podwładnych, którym nie dopisało szczęście, tym razem nie rozgniewał się wcale. Wiedział z własnego doświadczenia, co to sprawa z Jeremim, więc przyhołubił jeszcze Bohuna, pocieszał i uspokajał, a gdy watażka zapadł na złą gorączkę, kazał go strzedz i leczyć i pilnować jak oka w głowie.

Tymczasem czterej książęcy rycerze, napelniwszy kraj grozą i przestachem, stanęli szczęśliwie z powrotem w Jarmolińcach, gdzie zatrzymali się na dni kilka, by ludziom i koniom dać odpoczynek. Tam, gdy stanęli w jednej kwaterze, zdawał kolejno każdy panu Skrzetuskiemu sprawę z tego, co go spotkało i czego dokonał — poczem zasiedli przy gąsiorku, aby w przyjaciół-

skiem opowiadaniu ulżyć sercom i dać folgę wzajemnej ciekawości.

Ale wówczas pan Zagłoba mało komu pozwolił przyjść do słowa. Nie chciał słuchać, pragnął, by jego tylko słuchano, jakoż pokazało się, że najwięcej miał do opowiadania.

— Mości panowie! — mówił — popadłem w niewolę — prawda jest! — ale fortuna kołem się toczy. Bohun całe życie bijał, a my dziś jego pobili. Tak to, tak! zwyczajnie na wojnie! Dziś ty garbujesz, jutro ciebie garbują. Ale Bohuna za to Bóg skarał, iż nas śpiących smaczno snem sprawiedliwego napadł i w tak bezecny sposób rozbudził. Ho, ho! myślał, że mnie swoim plugawym językiem przestraszy, a tu mówię waściom, jakem go przycisnął, tak zaraz stracił fantazyę, zmieszał się i wygadał to, czego nie chciał. Co tu długo mówić, żebym w niewolę nie wpadł, nie byłibyśmy mu obaj z panem Michałem klęski zadali, mówię: obaj, bo że w tym terminie magna pars fui, nie przestanę twierdzić do śmierci. Tak mi Boże daj zdrowie! Słuchajcie dalej moich racyj: żebyśmy go z panem Michałem nie pobili, nie byłby mu podbił pięt pan Podbipięta, dalej pan Skrzetuski, a nakoniec, żebyśmy go nie rozgromili, byłby on nas rozgromił — co że się nie stało, kto przyczyną?

— A z waścią, to jak z lizką — rzecze pan Longinus — tu ogonem machniesz, tam się umkniesz, a zawsze się wykręcisz.

— Głupi ogar, co za ogonem bieży, bo i nie dogoni i niczego pocziwego się nie dowącha, a w ostatku wiatr straci. Ilużes waść ludzi postradał?

— Ot, z dwunastu wszystkiego, a kilku rannych, już tam nie bardzo nas bili.

— A waszmość, panie Michale ?

— Ze trzydziestu, bom na nieprzygotowanych uderzył.

— A wasze, panie poruczniku ?

— Tylu, ilu pan Longinus.

— A ja dwóch. Powiedźcież sami, kto lepszy wódz ?

Ot, co jest! Pocóżemy tu przyjechali? po służbie książęcej, wieści o Krzywonosie nałapać, otóż powiem waszmościom, że jam się pierwszy o nim dowiedział i z najlepszych ust, bo od Bohuna, i wiem, że pod Kamieńcem stoi, ale oblężenia myśli zaniechać, bo go tchórz obleciał. To wiem de publicis, ale wiem też jeszcze i coś innego, od czego radość wstąpi waćpaństwu w serca i o czem dotąd nie mówiłem dlatego, że chciałem, abyśmy w kupie o tem radzili; byłem też dotąd niezdrów, bo mnie fatygi obaliły i od tego zbójckiego wiązania w kij wnętrzości we mnie rebelizowały. Myślałem, że mnie krew zaleje.

— Mówże waszmość, na miłość Boską! — zawolał Wołodyjowski. — Zaliżes co o naszej niebodze slyszal?

— Tak jest, niech jej Bóg błogosławi — rzekł Zagłoba.

Pan Skrzetuski podniósł się na całą swą wysokość i usiadł natychmiast — i nastala taka cisza, że slychać bylo brzęczenie komarów na okienku, aż pan Zagłoba zabrał głos znowu:

— Żyje ona, wiem to na pewno i jest w Bohunowem ręku. Moi mości panowie, straszne to ręce, ale przecie Bóg nie pozwolił, aby ją krzywda lub hańba spotkała. Moi mości panowie, to mnie sam Bohun powiadał, którenby prędzej czem innem chelpić się gotów.

— Jak to może być? jak to może być? — pytał gorączkowo Skrzetuski.

— Jeśli lżę, niech mnie piorun zapali — odrzekł poważnie Zagłoba — bo to jest święta rzecz. Słuchajcie co mnie Bohun mówił, gdy sobie chciał drwić ze mnie, nimem go do ostatka splantował: „Cóżes to myślał (prawi), żeś dla chłopą ją do Baru przywiózł? że to ja chłop (prawi), abym ją siłą niewolił? Czy to mnie nie stać, by mnie w Kijowie w cerkwi ślub dali i czerńcy (powiada) żeby mi śpiewali, i żeby trzysta świec mi palili — mnie atamanowi! hetmanowi!“ — i nogami nademną tupał i nożem mi groził, bo myślał, że mnie ustraszy, alem mu powiedział, żeby psy straszyl.

Skrzetuski już się opamiętał, tylko mu się mnisza twarz rozświeciła i grała na niej napowrót obawa, nadzieja, radość i niepewność.

— Gdzie ona tedy jest? gdzie jest? — pytał z pośpiechem. — Jeśliś się i tego waść dowiedział, toś z nieba spadł.

— Tego on mi nie mówił, ale mądrej głowie dość dwie słowie. Uważcie waszmościowie, że ciągle drwił ze mnie, nimem go splantował, i tak znowu powiada: „Naprzód, powiada, do Krzywonosą cię zawiodę, a potem na weselebym cię prosił, ale teraz wojna, więc to jeszcze nieprędko“. Uważcie waszmościowie: jeszcze nie prędko — zatem mamy czas! Powtóre, uważcie także: naprzód do Krzywonosą, potem na wesele, więc żadną miarą niema jej u Krzywonosą, ale gdzieś dalej, gdzie wojna nie doszła.

— Złoty z waści człowiek! — zawołał Wołodyjowski.

— Myślałem tedy naprzód — mówił mile połączony Zagłoba — że może ją do Kijowa odesłał, ale nie,

bo mi rzekł, że na wesele do Kijowa z nią pojedzie; jeżeli tedy pojedzie, to znaczy, że jej tam niema. I za mądry on na to, by ją tam wozić, bo gdyby się Chmielnicki ku Czerwonej Rusi posunął, to Kijowa łatwo litewskie wojska mogą dostać.

— Prawda! prawda! — wykrzyknął pan Longinus. — Ot, jak mnie Bóg miły, niejeden mógłby się z waścią na rozum pomieniać.

— Jeno jabym się nie z każdym mieniał, od strachu, abym zaś boćwiny zamiast rozumu nie kupił, coby mi się między Litwą snadnie przytrafić mogło.

— Już swoje zaczyna — rzekł Longinus.

— Pozwólże waść skończyć. Tak tedy niema jej u Krzywonosy, ni w Kijowie, więc gdzie jest?

— W tem sęk?

— Jeśli waść się domyślasz, to powiedz prędzej, bo mnie ogień pali! — krzyknął Skrzetuski.

— Za Jampolem! — rzekł Zagłoba i potoczył tryumfalnie swoim zdrowem okiem.

— Skąd waść wiesz? — pytał Wołodujowski.

— Skąd wiem? Ot skąd: siedziałem w chlewie, bo mnie w chlewie ów zbój kazał zamknąć, żeby go wieprze za to zećpały! a naokoło gadali ze sobą kozacy. Przykładam tedy ucho do ściany i co słyszę: jeden mówi: „Teraz chyba za Jampol ataman pojedzie“ — a drugi na to: „Milcz, jeśli ci młoda głowa miła“. — Szyję daję, że ona jest za Jampolem.

— O! jako Bóg na niebie! — zakrzyknął Wołodujowski.

— Na Dzikie pola przecie jej nie zaprowadził, więc wedle mojej głowy musiał ją ukryć gdzieś między Jampolem a Jahorlikiem. Bylem też raz w tamtych

stronach, gdy się królewscy i chanowi sędzie zjeżdżali, bo w Jahorliku, jak waćpaństwu wiadomo, pograniczne sprawy się sądzą o zabrane stada, których spraw nigdy nie brak. Pełno tam jest nad całym Dniestrem jarów i zakrytych miejsc i różnych komyszy, w których żyją w chutorach ludzie, co żadnej zwierzchności nie znają, mieszkając w pustyni i bliźnich nie widując. U takich to dzikich pustelników on pewnie ją ukrył, bo mu tam było i najbezpieczniej.

— Ba, ale jak się tam dostać teraz, gdyż drogę Krzywonos zagrađa — rzecze pan Longinus. — Jampol to też, jak słyszałem, gniazdo rozbójnicze.

Na to Skrzetuski:

— Choćbym i dziesięć razy gardło miał stracić, będę ją ratował. Pójdę przebrany i będę szukał — Bóg mnie pomoże — znajdę.

— Ja z tobą, Janie! — rzecze pan Wołodyjowski.

— I ja po dziadowsku z teorbanem. Wierzajcie mi waszmościowie, że najwięcej mam między wami eksperyencyi, a że mnie teorban z ostatkiem obrzydl, więc wezmę dudy.

— Toż i ja się na coś przydam, braciaszki? — rzekł pan Longinus.

— I pewnie — odpowiedział pan Zagłoba. — Jak będzie nam trzeba przez Dniestr się przebrać, to waćpan będziesz nas przenosił, jako święty Krzysztof.

— Dziękuję z duszy waszmościom — rzekł Skrzetuski — i gotowość waszą chętnem przyjmuję sercem. Niemasz to w przeciwnościach nad przyjaciół wiarynych, których, jak widzę, nie pozbawiła mnie Opatrzność. Dajże mnie wielki Boże odsłużyć waszmościom zdrowiem i mieniem.

— Wszyscy my jako jeden mąż! — wykrzyknął Zagłoba. — Bóg zgodę pochwała i obaczycie, iż frukta naszych prac niedługo będziemy oglądali.

— To już nie pozostaje mnie nic innego — mówił po chwili milczenia Skrzetuski — jak chorągiewkę księciu odprowadzić i zaraz w kompanii ruszyć. Pójdziem Dniestrem, hen, na Jampol, aż do Jahorlika i wszędzie będziemy szukali. A gdy, jak mam nadzieję, Chmielnicki już musi być zniesiony, lub nim dojdziemy do księcia, zniesiony będzie, przeto i służba publiczna nie staje nam na przeszkodzie. Pewnie chorągwie ruszą na Ukrainę, by buntu dogasić, ale się tam już bez nas obejdzie.

— A poczekajcie waszmościowie — rzecze Wołodjowski — pewnie po Chmielnickim na Krzywonosa przyjdzie kolej, może więc razem z chorągwiami ku Jampolowi ruszymy.

— Nie, nam tam trzeba być pierwej — odparł Zagłoba — ale najpierwej odprowadzić chorągwie, by mieć wolne ręce. Spodziewam się też, że księżę będzie z nas contentus.

— Szczególniej z waćpana.

— Tak jest, bo mu najlepsze wieści przywożę. Wierzaj mi waćpan, iż nagrody się spodziewam.

— Więc tedy w drogę?

— Do jutra musimy spocząć — rzekł Wołodjowski. — Zresztą niech Skrzetuski rozkazuje, on tu wodzem, ale ja przestrzegam, iż jeśli dziś ruszymy, konie mnie wszystkie popadają.

— Wiem, że to jest niepodobieństwo — rzecze Skrzetuski — ale myślę, iż po dobrych obrokach jutro możemy.

Jakoż nazajutrz ruszono. Wedle ordynansów ksią-

żących mieli się wrócić do Zbaraża i tam czekać dalszych rozkazów. Szli więc na Kuźmin, w bok od Felsztyna ku Wołoczyskom, skąd na Chlebanówkę wiódł stary gościniec do Zbaraża. Drogę mieli przykrą, bo padały deszcze, ale spokojną i tylko pan Longinus, idący w sto koni naprzód, rozgromił kilka kup swawolnych, które się na tyłach wojsk regimentarskich zebrały. Dopiero w Wołoczyskach zatrzymali się znów na nocny wypoczynek.

Ale zaledwie zasnęli snem smacznym po długiej drodze, zbudził ich alarm — i strażę dały znać, że jakiś konny oddział się zbliża. Wnet jednak przyszła wieść, że to Wierszullowa tatarska chorągiew, zatem swoi. Zagłoba, pan Longinus i mały Wołodyjowski natychmiast zebrawi się w izbie Skrzetuskiego, a w ślad za nimi wpadł jak wichher oficer z pod lekkiego znaku, zziajany, cały pokryty błotem, na którego spojrzawszy Skrzetuski, wykrzyknął:

— Wierszull!

— Jam... jest! — mówił przybyły, nie mogąc oddechu złapać.

— Od księcia?

— Tak!... O tchu! tchu!

— Jakie wieści. Już po Chmielnickim?

— Już... po... Rzeczypospolitej!

— Na rany Chrystusa, co waś gadasz? Klęska?

— Klęska, hańba, sromota!... bez bitwy... Popłoch!... O! o!

— Uszom się nie chce wierzyć. Mówże, mów, na Boga żywego!... Regimentarze?...

— Uciekli.

— Gdzie nasz książe?

— Uchodzi... bez wojska... Ja tu od księcia... rozkaz... do Lwowa natychmiast... idą za nami.

— Kto? Wierszull, Wierszull! Opamiętaj się, człowieku! Kto?

— Chmielnicki, Tatarzy.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — zawołał Zagłoba — ziemia się rozstępuje.

Ale Skrzetuski zrozumiał już, o co chodzi.

— Na potem pytania — rzekł — teraz na koń!

— Na koń, na koń!

Kopyta koni pod Wierszullowymi Tatarami szczękały już przed oknami; mieszkańcy zbudzeni nadejściem wojska, wychodzili z domów z latarkami i pochodniami w rękę. Wieść przeleciała całe miasto jak błyskawica. Wnet uderzono we dzwony na trwogę. Ciche przed chwilą miasteczko napelnilo się zgiełkiem, tętentem koni, okrzykami komendy i wrzaskiem żydowskim. Mieszkańcy chcieli uchodzić wraz z wojskiem, zaprzęgano wozy, ładowano na nie dzieci, żony, pierzyny; burmistrz na czele kilku mieszczan przyszedł błagać Skrzetuskiego, by nie odjeżdżał naprzód i odprowadził mieszkańców chociaż do Tarnopola, ale pan Skrzetuski i słuchać go nie chciał, mając wyraźny rozkaz co tchu ruszać do Lwowa.

Ruszyli tedy i dopiero w drodze Wierszull, ochłonnawszy, odpowiadał jak i co się stało.

— Jak Rzeczpospolita Rzeczpospolitą — mówił — nigdy nie poniosła takiej klęski. Nic Cecora, nic Żółte Wody, nic Korsuń!

A Skrzetuski, Wołodyjowski, pan Longinus Podbięta aż na karki koniom się kładli, to się za głowy brali, to ręce ku niebu podnosili.

— Rzecz ludzką wiarę przechodzi — mówili — gdzież był książę?

— Opuszczony, od wszystkiego umyślnie usunięty, swoją nawet dywizją nie władał.

— Kto miał komendę?

— Nikt i wszyscy. Dawno służyć, na wojnie zębę zjadłem, jeszcze takich wojsk i takich wodzów nie widział.

Zagłoba, który nie miał wielkiego afektu dla Wierszulla i mało go znał, począł głową kręcić i cmokać — nakoniec rzekł:

— Mój mości panie, czyli się waćpanu w oczach tylko nie pomieszało, lub czyś częściowej porażki za ogólną klęskę nie poczytał, bo to, co powiadasz, całkiem imaginację przechodzi.

— Że przechodzi, przyznaję, i powiem więcej waści, że szyjębym sobie dał z radością uciąć, gdyby jakim cudem pokazało się, iż się myślę.

— Bo jakimżeś waść sposobem pierwszy po klęsce w Wołoczyskach stanął? Przecież nie chcę przypuścić, żebyś pierwszy dał drała? Gdzież są tedy wojska? którą ręką uciekają? co się z nimi stało? dlaczego uciekający nie uprzedzili waćpana? Na wszystkie owe kwestyje napróżno szukam responsu!

Wierszull w każdym innym czasie nie byłby puścił płazem takich pytań, ale w tej chwili nie mógł myśleć o niczem więcej, jak o klęsce, więc odrzekł tylko:

— Jam pierwszy stanął w Wołoczyskach, gdyż inni uchodzą na Ożygowce, a mnie książę umyślnie pchnął w stronę, gdzie się waćpanów spodziewał, aby was nawalnica nie ogarnęła, gdybyście się zapóźno dowiedzieli, a powtóre dlatego, że pięćset koni, które ma-

cie, to teraz niemała dla niego pociecha, bo dywizya w większej części wyginęła, lub rozproszona.

— Dziwne to rzeczy! — mruknął Zagłoba.

— Strach pomyśleć, desperacya ogarnia, serce się kraje, łzy płyną! — mówił, łamiąc ręce, Wołodyjowski. — Ojczyzna zgubiona, niesława po śmierci — takie wojska rozproszone!... zatracone! Nie może być inaczej, tylko koniec świata i sąd ostateczny się zbliża!

— Nie przerywajcie mu — rzekł Skrzetuski — pozwólcie, aby wszystko opowiedział.

Wierszull zamilkł, jakby siły zbierał, przez chwilę słyhać było tylko pluskanie kopyt w błocie, bo deszcz padał. Noc była jeszcze głęboka i ciemna bardzo, bo chmurna, a w tych ciemnościach, w tym dżdżu dziwnie złowrogo brzmiały słowa Wierszulla, który tak mówić począł:

— Gdybym się nie spodziewał, że w boju polegnę, tobym chyba rozum utracił. Mówiliście waszmościowie o sądzie ostatecznym — i ja tak mniemam, że wprędce on już nastąpi — gdyż wszystko się rozprzęga, złość bierze górę nad cnotą i antychryst już chodzi po świecie. Wyście nie patrzyli na to, co się stało — ale jeśli nawet relacyi o tem znieść nie możecie, cóż ja, którym klęskę i niezmierną hańbę własnymi oczyma oglądał! Bóg nam dał szczęśliwy początek w tej wojnie. Nasz książę, otrzymawszy pod Czołhańskim kamieniem sprawiedliwość z pana Łaszczka, resztę puścił w niepamięć i pogodził się z księciem Dominikiem. Cieszyliśmy się wszyscy z tej concordyi — jakoż było i błogosławieństwo Boże. Książę powtórnie pogromił pod Konstantynowem i samo miasto wziął, bo je nieprzyjaciół po pierwszym szturmie opuścił. Potem ruszyliśmy po Piławce, choć

książę nie radził tam chodzić. Ale zaraz w drodze pokazały się przeciw niemu rozmaite machinacje, niechęci, zawiści i jawne knowania. Nie słuchano go na radach, nie zważano na to, co mówił, a przedewszystkiem usiłowano rozdzielić naszą dywizję, aby jej książę w rękę całej nie miał. Gdyby się sprzeciwił, zwalonoby na niego klęskę, więc milczał, cierpiał, znosił. Zostały tedy lekkie znaki z rozkazu generał-regimentarza w Konstantynowie wraz z Wurclem, z armatami i z oberszterem Machnickim; odłączono pana oboźnego litewskiego Osińskiego i pułk Koryckiego, tak, że przy księciu została tylko huszaryja pod Zaćwilichowskim, dwa regimenty dragonów — i ja z częścią mojej chorągwi. Wszystkiego nie było nad dwa tysiące ludzi. A wtedy już go lekceważono i sam słyszałem, jak mówili klienci księcia Dominika: „Już teraz nie powiedzą po wiktoryi, że za sprawą samego Wiśniowieckiego przyszła“. I głośno opowiadali, że gdyby tak niezmierna sława pokryła księcia, toby i na elekcyi jego kandydat królewicz Karol się utrzymał, a oni chcą Kazimierza. Zarazili fakcyami całe wojska tak, że poczęły się dyskursa w kołach, jakby na sejmie, wysyłanie delegatów — i o wszystkim tam myślano, prócz o bitwie, tak jakby nieprzyjaciel był już pogromion. A owóż, gdybym zaczął opowiadać waszmościom o tych ucztach, o tych wiwatach, o tym przepychu, wiarybym w waszych uszach nie znalazł. Niczem były hufce Pyrrusowe przy onych wojskach, całych od złota, klejnotów i strusich piór. A toż dwieście tysięcy sług i émy wozów szły z nami, konie padały pod ciężarem zlotogłowiów i jedwabnych namiotów, wozy łamały się pod kredensami. Myślałby kto, że na zawojowanie świata całego idziemy. Szlachta z pospolitego ruszenia po całych dniach

i nocach trzaskała batogami: „Ot (mówili) czem chamów uspokoimy, szabli nie dobywając“. A my, starzy żołnierze, przywykli bić się, nie rozprawiać, jużśmy na widok onej pychy niesłychanej przeczuwali coś złego. Dopieroż zaczęły się tumulty przeciw panu Kisielowi, że zdrajca, i za nim, że zacny senator. Siekano się szablami po pijanemu. Strażników obozowych nie było. Nikt ladu nie przestrzegał, nikt dowództwa nie sprawował, każdy robił co chciał, szedł gdzie mu było lepiej, stawał gdzie mu się zdawało, czeladź wzniecała hałasy — o Boże miłosierny! toż to był kulig, nie wyprawa wojenna, kulig, na którym salutem Reipublicae przetańcowano, przepito, przejeżdżono i przefrymarczono w ostatku.

— Jeszcze my żyjemy! — rzekł Wołodyjowski.

— I Bóg jest w niebie — dodał Skrzetuski.

Nastąpiła znów chwila milczenia, poczem Wierszull mówił dalej:

— Zginiemy totaliter, chyba że Bóg cud uczyni, za grzechy nas chłostać przestanie i niezasłużone miłosierdzie okaże. Chwilami ja sam nie wierzę temu, com na własne oczy oglądał i zdaje mi się, że mnie zmora we śnie dusiła...

— Powiadaj waćpan dalej — rzekł Zagłoba; — przyszlście tedy pod Pilawce i co?

— I staliśmy. O czem tam regimentarze radzili, nie wiem; — na sądzie ostatecznym za to odpowiedzą, bo gdyby od razu na Chmielnickiego uderzyli, byłby zniesiony i rozbity jak Bóg w niebie, mimo nieładu, niesforności i tumultów i braku wodza. Już tam popłoch był między czernią, już radzono, jakby Chmielnickiego i starszyznę wydać, a on sam ucieczkę zamierzał. Książę nasz od namiotu do namiotu jeździł, prosił, błagał, gro-

ził: „uderzmy, nim Tatarzy nadejdą, uderzmy!“ — i włosy z głowy wyrwał — a tam się jeden na drugiego oglądał — i nic i nic. Pili, sejmikowali... Przyszły słuchy, że Tatarzy idą — chan w dwieście tysięcy koni — oni radzili i radzili. Książę zamknął się w namiocie, bo go całkiem spostonowali. W wojsku poczęto mówić, że kanclerz zakazał księciu Dominikowi bitwy staczać, że się układy toczą: — wszczął się jeszcze większy nieład — nakoniec Tatarzy przyszli, ale Bóg nam poszczęścił pierwszego dnia, potykał się książę i pan Osiński i pan Łaszcz stawał bardzo dobrze — spędzili ordę z pola, wysiekli znacznie — a potem...

Tu głos Wierszullowi zamarł w piersi.

— A potem? — pytał pan Zagłoba.

— Przyszła noc straszna, niepojęta. Pamiętam, straszowałem z mymi ludźmi, wedle rzeki, gdy na raz słyszę, aż w obozie kozackim biją z armat jak na wiwaty i słycać krzyki. Dopieroż przypomniało mi się, co wczoraj mówiono w obozie, że jeszcze wszystka potęga tatarska nie stanęła, tylko Tuhaj-bej z częścią. Pomyślałem więc: kiedy tam wiwatuja, to już musiał i chan osobą swoją stanąć. Aż tu i w naszym obozie zaczyna się tumult. Skoczyłem sam z kilkoma ludźmi. — Co się stało? — krzykną mi: „Regimentarze uszli!“ Ja do księcia Dominika — niema go! do podczaszego — niema! do chorążego koronnego — niema! Jezu Nazareński! Żołnierze latają po majdanie, krzyk, wrzask, zgiełk, głowniami świecą: gdzie regimentarze? gdzie regimentarze? a inni wołają: „Koni! koni!“ a inni „panowie bracia ratujcie się! zdrada! zdrada!“ ręce do góry podnoszą, twarze obłąkane, oczy wytrzeszczone, tłoczą się, depczą, duszą, siadają na koń, lecą na osłep bez broni. Dopieroż

ciskać hełmy, pancerze, broń, namioty! Aż tu jedzie ksiązę na czele husaryi w srebrnej zbroi: sześć pochodni koło niego niosą, a on stoi w strzemionach i krzyczy: „Mości panowie, jam został, kupą do mnie!” gdzie tam! nie słyszą go, nie widzą, lecą na husaryę, mieszają ją, przewracają ludzi i konie, ledwieśmy księcia samego uratowali — potem po zdeptanych ogniskach, w ciemności, niby wezbrany potok, niby rzeka, wszystko wojsko w dzikim popłochu wypada z obozu, rozprasza się, ginie, ucieka... Nie masz już wojsk, nie masz wodzów, nie masz Rzeczypospolitej, jest tylko hańba niezbyta i noga kozacka na szyi...

Tu pan Wierszull jęczeć począł i konia targać, bo go szal rozpaczy ogarnął; ten szal udzielił się innym i jechali wśród owego dżdżu i nocy jak obląkani.

Jechali długo — pierwszy Zagłoba przemówił:

— Bez bitwy — o szelmy! o takie syny! pamiętajcie, jak wspaniałą postać w Zbarażu czynili? jak sobie zjeść Chmielnickiego bez pieprzu i soli obiecywali. O szelmy!

— Gdzie tam! — krzyknął Wierszull — uciekli po pierwszej bitwie wygranej nad Tatary i czernią, po bitwie, w której nawet pospolite ruszenie jako lwy walczyło.

— Jest w tem palec Boży — rzekł Skrzetuski — ale jest i jakowaś tajemnica, która wyjaśnić się musi...

— Bo gdyby wojsko pierzchło — to się na świecie zdarza — rzekł Wołodyjowski — ale tu wodze pierwsi obóz opuścili, jakby chcąc umyślnie nieprzyjacielowi wiktoryę ułatwić i wojsko na rzeź wydać.

— Tak jest! tak jest! — rzecze Wierszull — mówią też, że to umyślnie uczynili.

— Umyślnie? — na rany Boskie, to nie może być!

— Mówią, że umyślnie — a dlaczego — kto dojdzie! kto zgadnie!

— Żeby ich groby przytłukły, żeby ich rody wyginęły, a jeno pamięć niesławna po nich została! — rzekł Zagłoba.

— Amen! — rzekł Skrzetuski.

— Amen! — rzekł Wołodyjowski.

— Amen! — powtórzył pan Longinus.

— Jeden jest człowiek, któren może ojczyznę jeszcze ratować, jeśli mu buławę i resztę sił Rzeczypospolitej oddadzą, jeden jest, bo o innym już ani wojsko, ani szlachta nie będzie chciała słyszeć.

— Książę! — rzekł Skrzetuski.

— Tak jest.

— Przy nim będziem stać, przy nim zginiemy. — Niech żyje Jeremi Wiśniowiecki! — wykrzyknął Zagłoba.

— Niech żyje! — powtórzyło kilkadziesiąt niepewnych głosów; ale okrzyk zamarł zaraz, bo w chwili, gdy ziemia rozstępowała się pod nogami, a niebo zdało się walić na głowy, nie był czas na okrzyki i wiwaty.

Tymczasem poczęło świtać i w oddaleniu ukazały się mury Tarnopola.



ROZDZIAŁ IX.

Pierwsi rozbitkowie z pod Piławiec dotarli do Lwowa świtaniem dnia 26 września i równo z otwarciem bram miejskich straszna wieść piorunem rozleciała się po całym mieście, wzbudziwszy niedowierzanie w jednych, popłoch w drugich, w innych zaś rozpacziwą chęć obrony. Pan Skrzetuski ze swym oddziałem przybył w dwa dni później, gdy już cały gród był zapchany uciekającym żołnierstwem, szlachtą i uzbrojonym mieszczaństwem. Myślano już o obronie, gdyż lada chwila spodziewano się Tatarów, ale nie wiedziano jeszcze, kto stanie na czele i jak się do dzieła weźmie, dlatego wszędy panował bezład i popłoch. Niektórzy uciekali z miasta, wywożąc rodziny i mienie, okoliczni zaś mieszkańcy szukali w niem schronienia; wyjeżdżający i wjeżdżający zawalali ulice i wzniesali tumulty o przejazd; wszędy było pełno wozów, pak, tłumoków i koni, żołnierzy z pod najrozmaitszych znaków; na wszystkich twarzach czytałeś niepewność, gorączkowe oczekiwanie, rozpacz, lub rezygnacyą. Co chwila przestrasz, jak wir powietrzny, zrywał się niespodzianie — rozlegały się krzyki: „Jadą! jadą!“ i tłumy poruszały się jak fala, czasem biegly na oślep przed siebie, rażone szaleństwem trwogi, dopóki nie pokazało się,

że to najezdza nowy jakiś oddział rozbitków. A oddziałów tych kupiło się coraz to więcej — ale jakże żaloszny widok przedstawiali ci żołnierze, którzy jeszcze niedawno w złocie i piórach szli ze śpiewaniem na ustach, a dumą w oczach na oną wyprawę przeciw chłopstwu! Dziś obdarci, wygłodzeni, znędniali, pokryci błotem, na wyniszczonych koniach, z hańbą w twarzach, podobniejsi do żebraków, niż do rycerzy, litością tylko wzbudzać mogli, gdyby był czas na litość w tem mieście, na którego mury wnet mogła zwalić się cała potęga wroga. I każdy z tych pohańbionych rycerzy tem jedynie się pocieszał, że tak wielu, że tyle tysięcy miał towarzyszków wstydu; wszyscy kryli się w pierwszej godzinie, by następnie, ochłonawszy, rozwodzić skargi, narzekania, rzucać przekleństwa i groźby, włóczyć się po ulicach, pić po szynkowniach i powiększać tylko nieład i trwogę.

Każdy bowiem powtarzał: „Tatarzy tuż! tuż!” — Jedni widzieli pożogi za sobą, inni kłękali na wszystkie świętości, iż przyszło im już odcinać się zagonom. Gromady, otaczające żołnierzy, słuchały z natężeniem tych wieści. Dachy i wieże kościołów usiane były tysiącami ciekawych; dzwony były larum — a tłumy niewiast i dzieci dusiły się po kościołach, w których wśród świec jarzących błyszczał Przenajświętszy Sakrament.

Pan Skrzetuski przeciskał się zwolna od bramy Halickiej ze swoim oddziałem przez zbite masy koni, wozów, żołnierzy, przez cechy mieszczańskie, stojące pod swemi banderyami, i przez pospólstwo, które ze zdziwieniem spoglądało na ową chorągiew, wchodzącą nie w rozsypanie, ale w szyku bojowym do miasta. Poczęło krzyżeć, że pomoc nadchodzi! i znów niczem nieusprawiedliwiona radość ogarnęła tłuszcę, która jęła się cisnąć i chwycić

za strzemiona pana Skrzetuskiego. Zbiegli się też i żołnierze, wołając: „To wiśniowiecczy! Niech żyje książę Jeremi!” Tłok zrobił się tak wielki, że chorągiew zaledwie noga za nogą mogła się posuwać.

Nakoniec naprzeciw ukazał się oddział dragonów z oficerem na czele. Żołnierze rozgarniali tłumy, oficer zaś krzychał: „z drogi! z drogi!” — i płażował tych, którzy mu nie ustępowali dość rychło.

Skrzetuski poznał Kuszla.

Młody oficer powitał serdecznie znajomych.

— Co to za czasy! co to za czasy! — rzekł.

— Gdzie książę? — spytał Skrzetuski.

— Umorzyłbyś go frasunkiem, gdybyś dłużej nie przyjeżdżał. Bardzo się tu za tobą i twoimi ludźmi oglądał. Jest teraz u Bernardynów; mnie wysłano za porządkiem w mieście, ale już Grozwajer tem się zajął. Pojadę z tobą do kościoła. Tam się rada odbywa.

— W kościele?

— Tak jest. Będą księciu buławę ofiarować, bo żołnierze oświadczają, że pod innym wodzem nie chcą bronić miasta.

— Jedźmy! Mnie też pilno do księcia.

Połączone oddziały ruszyły. Po drodze Skrzetuski wypytywał się o wszystko, co działo się we Lwowie, i czyli obrona już postanowiona.

— Właśnie teraz sprawa się waży — rzecze Kuszel. — Mieszczanie chcą się bronić. Co za czasy! ludzie nikczemnych kondycyj okazują więcej serca, niż szlachta i żołnierze.

— A regimentarze? co się z nimi stało? Czyli są w mieście i czyli nie będą księciu przeszkód stawiali?

— Byle on sam nie stawiał! Był lepszy czas na oddanie mu buławy, teraz za późno. Regimentarze oczu nie śmieją pokazać. Książę Dominik popasał tylko w pałacu arcybiskupim i zaraz się wyniósł i dobrze zrobił, bo nie uwierzysz, jaka jest w żołnierzach na niego zawziętość. Już go niema, a jeszcze ciągle krzyczą: „Dawaj go sam, wnet go rozsiekamy!“ — pewnie nie byłby uszedł jakowego przypadku. Pan podczasy koronny pierwszy tu przybył, ba, nawet i na księcia wygadywać począł, ale teraz siedzi cicho, bo i przeciw niemu powstają tumulty. Do oczu mu wszystkie winy wymawiają, a on jeno lzy polyka. W ogólności strach co się dzieje, jakie czasy nadeszły! Mówię ci: dziękuj Bogu, żeś pod Piławcami nie był, żeś stamtąd nie uciekał, bo że nam, którzyśmy tam byli, rozum się nie pomieszał z ostatkim — to chyba cud.

— A nasza dywizya?

— Niema już jej — ledwie coś zostało. Wurcla niema, Machnickiego niema, Zaćwilichowskiego niema. Wurcel i Machnicki nie byli pod Piławcami, bo zostali w Konstantynowie. Tam ich ten belzebub, książę Dominik zostawił, by księcia naszego potęgę osłabić. Nie wiadomo czy uszli, czy ich nieprzyjacieli ogarnął. Stary Zaćwilichowski przepadł jak kamień w wodzie. Dań Bóg, żeby nie zginął.

— A wszystkich żołnierzy siła się tu zebrało?

— Jest dosyć — ale co z nich. Jeden książę mógłby sobie dać z nimi rady, gdyby chciał buławę przyjąć, bo nikogo słuchać nie chcą. Okrutnie się książę o ciebie frasował — i o żołnierzy. Jedyna też to cała chorągiew. Jużesmy cię oplakali.

— Teraz ten szczęśliwy, kogo płaczą.

Przez czas jakiś jechali w milczeniu, poglądając po tłumach, słuchając zgiełku i krzyków: „Tatary! Tatary!” W jednym miejscu ujrzeli straszny widok rozdieranego na sztuki człowieka, którego tłum o szpiegostwo posądził — dzwony bily ciągle.

— Czy orda prędko tu stanie? — spytał Zagłoba.

— Licho ją wie, może dziś jeszcze. To miasto nie będzie się długo bronić, bo nie wytrzyma. Chmielnicki idzie w dwieście tysięcy kozaków, prócz Tatarów.

— Kaput! — odpowiedział szlachcic. — Lepiej nam było jechać dalej na złamanie szyi. Poco my tyle zwycięstw odnieśli?

— Nad kim?

— Nad Krzywonosem, nad Bohunem, dyabeł wie nie nad kim!

— Ale — rzekł Kuszal i zwróciwszy się do Skrzetuskiego, pytał cichym głosem: A ciebie Janie w niczemże Bóg nie pocieszył? nie znalazłeś tego, czegoś szukał? nie dowiedziałeś się przynajmniej czego?

— Nie czas o tem myśleć — zawołał Skrzetuski. — Co ja znacę i moje sprawy wobec tego, co się stało. Wszystko marność i marność, a na końcu śmierć.

— Tak i mnie się widzi, że cały świat niedługo zginie — rzekł Kuszal.

Tymczasem dojechali do kościoła Bernardynów, którego wewnątrz pałało światłem. Tłumy niezmierne stały przed kościołem, ale nie mogły się do środka dostać, bo sznur halebardników zamykał wejście, puszczając tylko znaczniejszych, starszyzną wojskową.

Skrzetuski kazał drugi sznur wyciągnąć swoim ludziom.

— Wejdźmy — rzekł Kuszel. — Pól Rzeczypospolitej jest w tym kościele.

Weszli. Kuszel niewiele przesadził. Co było znakomitszego w wojsku i w mieście, zgromadziło się na radę, więc wojewodowie, kasztelanowie, pułkownicy, rotmistrze, oficerowie cudzoziemskiego autoramentu, duchowieństwo, tyle szlachty, ile kościół mógł pomieścić, mnóstwo wojskowych niższych stopni i kilkunastu rajców miejskich z Grozwajerem na czele, którego mieszczaństwem miał dowodzić. Był także obecny i książę, i pan podczaszny koronny, jeden z regimentarzy — i wojewoda kijowski, i starosta stobnicki, i Wesel, i Arciszewski i pan oboźny litewski Osiński — ci siedzieli przed wielkim ołtarzem tak, aby publicum mogło ich widzieć. Radzono pośpiesznie, gorączkowo, jako zwykle w takich wypadkach: mówcy wstępowali na ławy i zaklinali starszyzną, by nie podawała miasta w ręce wraże bez obrony. Choćby i zginąć przyszło, miasto wstrzyma nieprzyjaciela, Rzeczpospolita ochlonie. Czego brak do obrony? Są mury, są wojska, jest determinacya — wodza tylko trzeba. A gdy tak mówiono, w publiczności zrywały się szmery, które przechodziły w głośne okrzyki — zapal ogarniał zgromadzonych. Zginiemy! zginiemy chętnie! — wołano — hańbę pilawiecką nam zmazać, ojczyznę zasłonić! — I rozpoczynało się trzaskanie szablami, i gołe ostrza migotały przy blasku świec. A inni wołali: uciszyć się! obrady porządkiem! — Bronić się, czy nie bronić? — Bronić! bronić!! wrzeszczało zgromadzenie, aż echo odbite od sklepień powtarzało: bronić się. Kto ma być wodzem? Książę Jeremi — on wódz! on bohater! niech broni miasta, Rzeczypospolitej — niech mu oddadzą buławę i niech żyje!

Wówczas z tysiąca płuc wyrwał się okrzyk tak gromki, że aż ściany zadrżały i szyby zabrzęczały w oknach kościelnych:

— Książę Jeremi! książę Jeremi! Niech żyje! niech żyje! niech zwycięża!

Zabłysło tysiące szabel — wszystkie oczy skierowały się na księcia, a on wstał spokojny, ze zmarszczoną brwią. Uciszyło się natychmiast, jakby kto makiem posiał.

— Mości panowie! — rzekł książę dźwięcznym głosem, który w tej ciszy doszedł do wszystkich uszu. — Gdy Cymbrowie i Teutoni napadli na Rzeczpospolitą rzymską, nikt nie chciał ubiegać się o konsulat, aż go wziął Maryus. Ale Maryus miał prawo go brać, bo nie było wodzów przez senatznaczonych... I jaby się w tej toni od władzy nie wybiegał, chcąc ojczyźnie miłej zdrowiem służyć — ale buławę przyjąć nie mogę, gdyż ojczyźnie, senatowi i zwierzchności bym ubliżył — a samozwańczym wodzem być nie chcę. Jest między nami ten, któremu Rzeczpospolita buławę oddała — jest pan podczaszy koronny...

Tu książę dalej mówić nie mógł, bo za ledwie pana podczaszego wspomniał, powstał straszliwy wrzask, szczękanie szablami; tłum zakołysał się i wybuchnął jak prochy, na które iskra padła. „Precz! na pohybel! pereat!“ — rozlegało się w tłumie — „pereat! pereat!“ — brzmiało coraz potężniej. Podczaszy zerwał się z krzesła, błądy, z kroplami zimnego potu na czole, a tymczasem groźne postacie zbliżyły się ku stallom, ku ołtarzowi — i słychać już było złowrogie: „dawajcie go!“ Książę, widząc na co się zanosi, wstał i wyciągnął prawicę.

Tłumy wstrzymały się, sądząc, że chce mówić; uci-
szyło się w mgnieniu oka.

Ale książę chciał tylko burzę i tumult zażegnać,
rozlewu krwi w kościele nie dopuścić, więc gdy spo-
strzegł, że najgroźniejsza chwila minęła, usiadł napowrót.

O dwa krzesła dalej, przegrodzony tylko przez wo-
jewodę kijowskiego, siedział nieszczęsny podczaszy: siwą
głowę opuścił na piersi, ręce mu zwisły, a z ust wydo-
bywały się słowa przerywane lkaniami:

— Paniel za grzechy moje przyjmuję z pokorą
krzyż.

Starzec mógł wzbudzić litość w najtwardszem sercu,
ale tłum zwykle bywa bezlitosny, więc na nowo wszczy-
nały się hałasy, gdy nagle wojewoda kijowski powstał,
dając znać ręką, że chce przemówić.

Był to towarzysz zwycięstw Jeremiego, dlatego słu-
chano go chętnie.

On zaś zwrócił się do księcia i w najczulszych sło-
wach zaklinał go, by buławy nie odrzucał i nie wahał
się ratować ojczyzny. Gdy Rzeczpospolita ginie, niech
spią prawa, niech ją ratuje nie wódz mianowany, ale
ten, któren najwięcej ratować zdolny — „bierzże ty bu-
ławę, wodzu niezwyciężony! bierz, ratuj! nie miasto samo,
ale całą Rzplite. Oto ustami jej, ja, starzec, błagam cie-
bie, a ze mną wszystkie stany, wszyscy mężowie, nie-
wiasty i dzieci — ratuj! ratuj!”

Tu zdarzył się wypadek, który poruszył wszystkie
serca: niewiasta w żalobie zbliżyła się do ołtarza, rzu-
cając pod nogi księcia złote ozdoby i klejnoty, klękła
przed nim i szlochając głośno, wołała:

— Mienie ci nasze przynosim! życie oddajem w twe
ręce, ratuj! ratuj! — bo giniemy!

Na ten widok senatorowie, wojskowi, a za nimi całe tłumy zaryczały ogromnym płaczem i był jeden głos w tym kościele:

— Ratusz!

Książe zakrył oczy rękoma — a gdy podniósł twarz i w jego źrenicach błyszczały łzy — jednak się wahał. — Co się stanie z powagą Rzeczypospolitej, jeśli on tę buławę przyjmie?!

Wtem wstał podczaszy koronny.

— Jam stary, — rzekł — nieszczęśliwy i przybity. Mam prawo rzec się ciężaru, którego jest nad moje siły, i włożyć go na młodsze barki. Otóż wobec tego Boga ukrzyżowanego i wszystkiego rycerstwa, tobie oddaję buławę — bierz ją.

I wyciągnął oznakę ku Wiśniowieckiemu. Nastąpiła chwila takiej ciszy, że słyszałbyś przelatującą muchę, na koniec rozległ się uroczysty głos Jeremiego.

— Za grzechy moje — przyjmuję.

Wtedy szal opanował zgromadzenie. Tłumy zła-
mały stalle, przypadały do nóg Wiśniowieckiego, ciskały
kosztowności i pieniądze, wieść rozniosła się lotem błyskawicy po całym mieście — żołnierstwo odchodziło od
zmysłów z radości i krzyczało, że chce iść na Chmiel-
nickiego, na Tatarów i sultana! — mieszczanie nie my-
śleli już o poddaniu, ale o obronie do ostatniej kropli
krwi; ormianie znosili dobrowolnie pieniądze do ratusza,
zanim o szacunku poczęto mówić; żydzi w bóżnicy pod-
nieśli wrzask dziękczynny — armaty na wałach oznaj-
miły grzmotem radosną nowinę; po ulicach palono z ru-
sznic, samopalów i pistoletów. Okrzyki: „niech żyje!“
trwały przez całą noc. Ktoś, rzeczy nieświadom, mógłby

sądzić, iż to miasto tryumf jakiś, czy uroczyste święto obchodzi.

A jednak lada chwila trzysta tysięcy nieprzyjaciół — armia większa od tych, jakie cesarz niemiecki lub król francuski mogli wystawić, a dziksza od zastępów Tamerlana, miała obledz mury tego grodu.

ROZDZIAŁ X.

W tydzień później, rankiem dnia 6 października gruchnęła po Lwowie wieść zarówno nieoczekiwana jak straszliwa, że ksiązę Jeremi, zabrawszy większą część wojska, opuścił potajemnie miasto i wyjechał niewiadomo dokąd.

Tłumy zebrały się przed arcybiskupim pałacem — nie chciano początkowo wierzyć. Żołnierze twierdzili, iż jeśli ksiązę wyjechał, to niezawodnie wyjechał na czele potężnego podjazdu, aby zlustrować okolicę. Pokazało się (mówiono), że zbiegowie fałszywe głosili wieści, zapowiadając lada chwila Chmielnickiego i Tatarów, bo oto od 26 września upłynęło dni dziesięć, a nieprzyjaciela jeszcze nie widać. Ksiązę zapewne chciał się naoznie przekonać o niebezpieczeństwie i po sprawdzeniu wieści niezawodnie powróci. Zresztą zostawił kilka regimentów i do obrony wszystko gotowe.

Tak było w istocie. Wszelkie rozporządzenia zostały wydane, miejsca wyznaczone, armaty zatoczone na wały. Wieczorem przybył rotmistrz Cichocki na czele pięćdziesięciu dragonów. Natychmiast opadli go ciekawie, ale on z tłumem rozmawiać nie chciał — i udał się wprost do generała Arciszewskiego; obaj wezwali Groz-

wajera i po naradzie poszli na ratusz. Tam Cichocki oświadczył przerażonym rajcom, że ksiązę wyjechał bezpowrotnie.

W pierwszej chwili opadły wszystkim ręce i jedne zuchwale usta wymówiły słowo „zdrajca!“ Ale wówczas Arciszewski, stary wódz, wstawiony wielkimi czynami w służbie holenderskiej, powstał i w ten sposób do wojskowych i rajców mówić począł:

— Słyszałem słowo bluźniercze, którego bodajby nikt nie był wymówił, bo go desperacya nawet usprawiedliwić nie może. Ksiązę wyjechał i nie wróci — tak jest! Ale jakież to prawo macie wymagać od wodza, na którego barkach zbawienie całej ojczyzny spoczywa, aby jedynie waszego miasta bronił? Coby się stało, gdyby tu ostatek sił Rzeczypospolitej otoczył nieprzyjaciel? Ni zapasów żywności, ni broni na tak wielkie wojsko tu niema — więc to wam powiem, a memu doświadczeniu wierzyć możecie, że im większa potęga byłaby tu zamkniętą, tem krócej obrona trwałaby mogła, bo głód zwyciężyłby nas prędzej od nieprzyjaciela. Bardziej chodzi Chmielnickiemu o osobę księcia, niż o wasze miasto, więc gdy się dowie, że go tu niemasz, że nowe wojska zbiera i z odsieczą przybyć może, łacniej wam będzie folgował i na układy się zgodzi. Dziś szemrzecie, a ja wam powiadam, że ksiązę, opuściwszy ten gród, grożąc Chmielnickiemu z zewnątrz, ocalił was i dzieci wasze. Trzymajcie się, brońcie, zadzierżcie tego nieprzyjaciela czas jakiś, a i miasto ocalić możecie i wiekopomną usługę Rzeczypospolitej oddacie, bo ksiązę przez ten czas siły zbierze, inne fortece opatrzy, przebudzi zdrętą Rzecząpospolitą i na ratunek wam pośpieszy. Jedyną on obrął zbawienia drogę, bo, gdyby tu głodem

9*

zmorzon padł z wojskiem, tedyby już nikt nieprzyjaciela nie wstrzymał, któren poszedłby na Kraków, na Warszawę i całą ojczyznę zalał, nigdzie nie znajdując oporu. Dlatego, zamiast szemrać, śpieszcie na wały bronić siebie, dzieci waszych, miasta i Rzeczypospolitej.

— Na wały! na wały! — powtórzyło kilka śmielszych głosów.

Grozwajer, człowiek, energiczny i śmiały, ozwał się:

— Ciesz się mnie determinacya ichmościów i wiedzcie, że ksiązę nie odjechał bez obmyślenia obrony. Każdy tu wie, co ma robić, i stało się to, co się było stać powinno. Obronę mam w ręku i będę się bronił do śmierci.

Nadzieja na nowo wstąpiła w struchlałe serca — co widząc, Cichocki ozwał się w końcu:

— Jego ksiązęca mość przysłała też waćpanom wiadomość, iż nieprzyjaciel blisko. Porucznik Skrzetuski otarł się skrzydłem o dwutysięczny czambuł, który rozbił. Jeńcy mówią, że sroga potęga idzie za nimi.

Wiadomość ta wielkie wywarła wrażenie; nastąpiła chwila milczenia; wszystkie serca zabiły żywiej.

— Na wały! — rzekł Grozwajer.

— Na wały! na wały — powtórzyli obecni oficerowie i mieszczanie.

A wtem rumor uczynił się za oknami; słychać było zgiełk tysiąca głosów, które zwały się w jeden niezrozumiały szum, podobny do szumu fal morskich — nagle drzwi sali otworzyły się z loskotem, wpadło kilkunastu mieszczan i zanim obradujący mieli czas pytać co zaszło — rozległy się wołania:

— Łuny na niebie! łuny na niebie!

— A słowo stało się ciałem! — rzekł Grozwajer — na wały!

Sala opustoszała — po chwili huk armat wstrząsnął murami miasta, oznajmiając mieszkańcom samego grodu, przedmieść i okolicznych wiosek, że nieprzyjaciel nadciągnął.

Na wschodzie niebo czerwienilo się jak okiem dojrzyć — rzekłbys: morze ognia zbliżało się ku miastu.

Książę tymczasem rzucił się do Zamościa i starszy po drodze czambulik, o którym Cichocki mieszczanom wspominał, zajął się naprawą i opatrzeniem tej potężnej z natury twierdzy, którą też w krótkim czasie niezdobyta uczynił. Skrzetuski, wraz z panem Longinem i częścią chorągwi, został w twierdzy, przy panu Weyherze, staroście waleckim, a książę ruszył do Warszawy, by od sejmu uzyskać środki na zaciągi nowych wojsk i zarazem wziąć udział w elekcyi, gdyby bowiem król-wicz Karol został obrany, tedyby partya wojenna wzięła górę — książę otrzymałby naczelne dowództwo wszystkich sił Rzplitej i musiałoby przyjść do walnej, na śmierć i życie z Chmielnickim rozprawy. Król-wicz Kazimierz, lubo słynny z męstwa i pan wcale wojenny, słusznie uchodził za stronnika polityki kanclerza Ossolińskiego, zatem polityki układów z kozakami i znacznych dla nich ustępstw. Obaj bracia nie szczędzili obietnic i wysilali się na jednanie sobie stronników — dlatego wobec równej siły obydwóch partyi, nikt nie mógł przewidzieć rezultatu elekcyi. Stronnicy kanclerscy obawiali się, aby Wiśniowiecki, dzięki rosnącej coraz sławie i miłości, jaką

posiadał u rycerstwa i szlachty, nie przeważył umysłów na stronę Karola, księżę zaś dla tych samych przyczyn pragnął osobiście popierać swego kandydata. Dlatego ciągnął śpiesznym pochodem do Warszawy, pewny już, że Zamość zdoła długo całą potęgę Chmielnickiego i krymską wytrzymać. Lwów, według wszelkiego prawdopodobieństwa, można było uważać za ocalony, gdyż Chmielnicki nie mógł żadną miarą bawić się długo zdobywaniem tego miasta, mając przed sobą potężniejszy Zamość, któren mu drogę do serca Rzplitej zamykał. Te myśli krzepiły umysł księżęcy i wlewały otuchę w jego serce, tylu tak straszniemi klęskami kraju strapione. Nadzieja wstąpiła weń pewna, że choćby też i Kazimierz został obrany — już wojna jest nieuniknioną i straszliwa rebelia musi w morzu krwi utonąć. Spodziewał się, że Rzeczpospolita jeszcze raz wystawi potężną armię — bo i układy były o tyle tylko możliwe, o ile poparłaby je potężna armia.

Kołysany temi myślami, jechał księżę pod zasłoną kilku chorągwi, mając przy sobie Zagłobę i pana Wołodjowskiego, z których pierwszy kłął się na wszystko, że przeprowadzi wybór księcia Karola, bo umie do szlachty braci gadać i wie, jak jej zażyć — drugi zaś eskortą księcia dowodził. W Siennicy, niedaleko Mińska, czekało księcia mile, chociaż niespodziane spotkanie, zjechał się bowiem z księżną Gryzeldą, która z Brześcia litewskiego do Warszawy dla bezpieczeństwa dażyła, spodziewając się przytem słusznie, że i księżę tam ściągnie. Witali się tedy serdecznie po długiem niewidzeniu. Księżna, lubo duszę miała żelazną, rzuciła się z takim płaczem w objęcia męża, że utulić się przez kilka godzin nie mogła, bo ach! jak często bywały takie chwile,

że już się go nie spodziewała ujrzeć więcej, a tymczasem Bóg dał, że oto wracał sławniejszy niż kiedykolwiek, otoczony taką chwałą, jaka nikogo jeszcze z jego rodu nie opromieniała, największy z wodzów, jedyna całej Rzeczypospolitej nadzieja. Księżna, odrywając się co chwila od jego piersi, spoglądała przez łzy na tę twarz chudą, zczerniałą, na to czoło wyniosłe, które troski i trudy porały w głębokie bruzdy, na oczy zaczerwienione od nocy bezsennych i na nowo zalewała się łzami, a cały fraucymer wtórował jej z głębi wezbranych serc. — Zwolna dopiero księstwo, uspokoiwszy się, poszli do obszernej plebanii miejscowej i tam poczęły się pytania o przyjaciół, dworzan i rycerzy, którzy jakoby do rodziny należeli i z którymi pamięć o Łubniach się zrosła. Uspokoił tedy naprzód księżę troskliwość księżnej o pana Skrzetuskiego, tłumacząc, iż dlatego tylko w Zamościu został, iż w utrapieniach, jakie od Boga mu były zesłane, nie chciał pograżać się w szum stołeczny i wolał w surowej służbie wojennej i w pracy leczyć rany serdeczne. Potem prezentował księżę pana Zaglobę i o czynach jego opowiadał. „Vir to jest incomparabilis, mówił, któren nietylko Kurcewiczównę Bohunowi wydarł, ale ją przez środek obozów Chmielnickiego i Tatarów przeprowadził, potem zaś razem z nami, z wielką swoją sławą, najchwalebniej pod Konstantynowem stawał.“ — Słyszając to, księżna pani nie szczędziła pochwał panu Zaglobie, kilkakrotnie mu rękę do pocałowania podając i lepszą jeszcze kontentację w stosownej porze obiecując — a „vir incomparabilis“ kłaniał się, modestą bohaterstwo osłaniał, to znów się puszył i na fraucymer zerkał, bo choć był stary i niewiele sobie od płci białej obiecywał, przecie miło mu

to było, że tyle o jego męstwie i czynach słyszała. Nie brakło jednak i smutku w tem radosnem skądinąd powitaniu, bo pominawszy już czasy na ojczyznę ciężkie, ileż to razy na pytania księżnej o różnych znajomych rycerzy, książę odpowiadał: „zabit, zabit, zaginion“ — przytem i panny zawodziły, bo niejedno tam między zabitemi drogie nazwisko wymieniono.

Tak radość mieszała się ze smutkiem, lzy z uśmiechami. Ale najbardziej strapiony był mały pan Wołodyjowski, napróżno się bowiem rozglądał i oczyma na wszystkie strony obracał — księżniczki Barbary nie było nigdzie. Co prawda, wśród trudów wojny, wśród ciągłych bojów, potyczek i pochodów, już był ów kawaler trochę o niej zapomniał, gdyż i z natury, o ile do miłości był łatwy, o tyle niezbyt w niej wytrwały; ale teraz, gdy ujrzał znów fraucymer, gdy mu przed oczyma stanęło jako żywe życie lubniańskie, pomyślał sobie, że milejby mu też było, gdy chwila odpoczynku nadeszła i powzdychać i serce na nowo zająć. Więc gdy to się nie zdarzyło, a sentyment jak na złość odżył na nowo, strapił się pan Wołodyjowski ciężko i wyglądał jakby go deszcz ulewny zmoczył. Głowę spuścił na piersi, wąsiki zwykle tak podkrecone w górę, że aż za nozdrza sięgały, jak u chrabąszcza, zwisły mu także ku dołowi, zadarty nos się wydłużył, z twarzy znikła zwyczajna pogoda i stał milczący, nie poruszył się nawet, gdy książę z kolei jego męstwo i nadzwyczajne przewagi wychwalał. Cóż bowiem znaczyły dlań wszystkie pochwały, gdy ona ich słyszeć nie mogła?

Aż zlitowała się nad nim Anusia Borzobohata i choć miewali między sobą sprzeczki, postanowiła go pocieszyć. W tym celu, strzygąc oczyma ku księżnej,

przysuwała się nieznacznie do rycerza i wreszcie znalazła się tuż przy nim.

— Dzień dobry waćpanu — rzekła — dawnośmy się nie widzieli.

— Oj panno Anno — odrzekł melancholicznie pan Michał — siła wody upłynęło i w niewesołych czasach się znów widzimy — i nie wszyscy.

— Pewnie że nie wszyscy, tylu rycerzy poległo!

Tu westchnęła Anusia, po chwili zaś mówiła dalej:

— I my nie w tej liczbie, jako dawniej, bo panna Sieniutówna za męża poszła, a księżniczka Barbara została u pani wojewodziny wileńskiej.

— I pewnie także za męża idzie?

— Nie, nie bardzo ona o tem myśli. A czemu się to waćpan o to dopytuje?

To rzekłszy, Anusia przymrużyła czarne oczęta, tak iż tylko szpareczki pozostały i spoglądała ukośnie z pod rzęs na rycerza.

— Przez życzliwość dla familii — odparł pan Michał.

A Anusia na to:

— Oj to i słusznie, bo też wielką pan Michał ma w księżniczce Barbarze przyjaciółkę. Nieraz pytała: gdzie to ów mój rycerz, któren na turnieju w Łubniach najwięcej głów tureckich zrzucił, za com mu nagrodę dawała? — co porabia? zali żyje jeszcze i o nas pamięta?

Pan Michał podniósł z wdzięcznością oczy na Anusię i po pierwsze ucieszył się, powtóre dostrzegł, że Anusia wyladniała niepomiernie.

— Zali naprawdę księżniczka Barbara tak mówiła? — spytał.

— Jako żywo — i to jeszcze wspominała, jakże waćpan przez fosę dla niej skakał, wtedy gdyś to w wodę wpadł.

— A gdzie teraz pani wojewodzina wileńska?

— Była z nami w Brześciu, a tydzień temu pojechała do Bielska, skąd do Warszawy przybędzie.

Pan Wołodyjowski drugi raz spojrzął na Anusię i nie mógł już wytrzymać.

— A panna Anna — rzekł — już do takowej gładkości doszła, że aż oczy bolą patrzeć.

Dziewczyna uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Pan Michał tak jeno mówi, by mnie skaptować.

— Chciałem swego czasu — rzekł, ruszając ramię rycerz — Bóg widzi chciałem i nie mogłem, a teraz panu Podbipięcie życzę, by był szczęśliwszy.

— A gdzie pan Podbipięta? — spytała cicho Anusia, spuszczać oczki.

— W Zamościu ze Skrzetuskim; został już namiestnikiem w chorągwi i służby pilnować musi, ale gdyby był wiedział kogo tu ujrzy, o! jak Bóg na niebie, byłby wziął permissyę i tu z nami wielkim krokiem nadążył. Wielki to jest kawaler, na wszelką łaskę zasługujący.

— A na wojnie... nie doznał jakowego szwanku?

— Widzi mi się, że waćpanna nie o to chcesz pytać, jeno o te trzy głowy, które ściąć zamierzył?

— Nie wierzę, aby on to naprawdę zamierzył.

— A jednak wierz waćpanna, bo bez tego nie będzie nic. Nie leniwie on też szuka okazji. Pod Machówką ażeśmy jeździli oglądać miejsce, w którym wśród tłumu walczył i sam ksiązę z nami jeździł, bo powiem waćpannie, dużo bitew widziałem, ale takich jatek, pó-

kim żyw, nie będę widział. Kiedy się szarfa, waćpanny do bitwy przepasze — strach, co dokazuje. Znajdzie on swoje trzy głowy, bądź waćpanna spokojna.

— Niechże każdy znajdzie to, czego szuka — rzekła z westchnieniem Anusia.

Za nią westchnął pan Wołodyjowski i wzrok podniósł ku górze, gdy nagle spojrzął ze zdziwieniem w jeden kąt izby.

Z tego kąta patrzyła na niego jakaś twarz gniewna, zapalczywa, a całkiem mu nieznaną, zbrojna w olbrzymi nos i wąsiska do dwóch wiech podobne, które poruszały się szybko jakby z tłumionej pasyi.

Można się było przestraszyć tego nosa, tych oczu i wąsów, ale mały pan Wołodyjowski wcale nie był łatwo płochliwy, więc jako się rzekło, zdziwił się tylko i zwróciwszy się do Anusi, pytał:

— Co to za jakowaś figura, ot, tam w kącie, która spogląda na mnie tak, jakby mnie z kretesem polknąć chciała i wąsiskami rusza, jako właśnie stary kot przy pacierzu.

— To? — rzekła Anusia, ukazując białe ząbki — to jest pan Charlamp.

— Cóż to za poganin?

— Wcale to nie poganin, jeno z chorągwi pana wojewody wileńskiego, rotmistrz petyhorski, któren nas aż do Warszawy odprowadza i tam na wojewodę ma czekać. Niech pan Michał jemu w drogę nie włązi, bo to wielki ludojad.

— Widzę ja to, widzę. Ale skoro to ludojad — przecie są tłustsi odemnie, dlaczegóż na mnie, nie na innych zęby ostrzy?

— Bo... rzekła Anusia i zachychotała z cicha.

— Bo co?

— Bo on się we mnie kocha i sam mi powiedział, że każdego, któryby się do mnie zbliżał, w sztuki posieka, a teraz wierz mi waćpan, że się tylko przez wzgląd na obecność księstwa wstrzymuje, inaczej zarazby poszukał okazji.

— Maszże tobie! — rzecze wesoło pan Wołodyjowski. — To tak, panno Anno? Oj! niedarmośmy, jak widzę, śpiewywali: „jak tatarska orda, bierzesz w jasyr corda!“ Pamiętasz waćpanna? Że też waćpanna nie możesz się ruszyć, żeby się ktoś zaraz nie zakochał!

— Takie to już moje nieszczęście! — odparła, spuszczać oczki, Anusia.

— Ej faryzeusz z panny Anny! A co na to powie pan Longinus?

— Cóż ja winna, że ten pan Charlamp mię przesładuje; ja go nie cierpię i patrzeć na niego nie chcę.

— No, no! patrz waćpanna, aby się przez nią krew nie polała. Podbipiętę choć do rany przyłożyć, ale w rzeczach sentymentu żarty z nim niebezpieczne.

— Niech mu uszy obetnie, jeszcze będę rada.

To rzekłszy, Anusia zakręciła się jak fryga i furknęła na drugą stronę izby do imię Carboniego, do ktora księżnej, z którym zaczęła coś żywo szeptać i rozmawiać, a Włoch oczy wlepił w pułap, jakoby go ekstaza porwała.

Tymczasem Zagłoba zbliżył się do Wołodyjowskiego i począł mrugać krotofilnie swoim zdrowym okiem.

— Panie Michale — spytał — a co to za dzierlatka?

— Panna Anna Borzobohata - Krasieńska, respektowa księżnej pani.

— A gładka bestyjka, oczy jak tarczki, pysio jak malowane, a szyjka — uf!

— Niczego, niczego!

— Winszuję waszmości!

— Dalbys waść pokój. To narzeczona pana Podbięty, albo tak jak narzeczona.

— Pana Podbięty? Bójże się waćpan ran Boskich! przecie on czystość ślubował? A prócz tego, przy takiej między niemi proporcji, chybaby ją za kolnierzem nosił; na wąsach mogłaby mu siadać, jak mucha — cóż znowu?

— Ej, jeszcze go ona w karby weźmie. Herkules był mocniejszy, a przecie białogłowa go usidliła.

— Byle mu tylko rogów nie przyprawiła, choć ja pierwszy o to się postaram, jakem Zagłoba.

— Będzie takich więcej jak waćpan, choć w samej rzeczy z dobrego to gniazda dziewczyna i uczciwa. Płochę to, bo młode i gładkie.

— Zacny z waści kawaler i dlatego ją chwalisz, ale że dzierlatka, to dzierlatka.

— Uroda ludzi ciągnie, exemplum: ten oto rotmistrz okrutnie podobno w niej rozmiłowan.

— Ba! a spojrzno waćpan na tego kruka, z którym ona rozmawia — co to za czort?

— To Włoch Carboni, doktor księżnej.

— Uważ, panie Michale, jak mu się latarnia rozjaśniła i ślepie przewraca, jak w delirium. Ej! źle z panem Longinem! Znam ja się na tem trochę, bom za młodu niejednego doświadczył. W innej porze muszę waćpanu opowiedzieć wszystkie terminy, w jakich bywałem, albo jeśli masz ochotę, to choć zaraz posłuchaj.

Pan Zagłoba począł szeptać coś do ucha małego

rycerza i mrugać silniej niż zwykle, ale wtem nadeszła pora wyjazdu. Księżę siadł z księżną do karety, aby przez drogę nagadać się z nią po długiem niewidzeniu do woli; panny pozajmowały kolaski, a rycerstwo siadło na koń — i ruszono. Naprzód jechał dwór, a wojsko opodał z tyłu, gdyż kraj tu był spokojny i chorągwie tylko dla ostentacyi, nie dla bezpieczeństwa potrzebne. Ciągnęli więc z Siennicy do Mińska, a stamtąd do Warszawy, często gęsto ówczesnym obyczajem popasając. Trakt był tak zapchany, iż zaledwie noga za nogą można się było posuwać. Wszystko dążyło na elekcyę i z okolic poblizszych i z dalekiej Litwy; więc tu i owdzie spotykano dwory pańskie, całe orszaki pozłocistych karet, otoczone hajdukami, olbrzymimi pajukami, ubranymi po turecku, za którymi postępowały nadworne roty, to węgierskie, to niemieckie, to janczarskie, to oddziały kozaków, to wreszcie poważne znaki niezrównanej jazdy polskiej. Każdy ze znaczniejszych starał się stawić i najokazalej i w jak najliczniejszej asystencyi. Obok licznych magnackich kawalkat, ciągnęły i szczuplejsze dygnitarzy powiatowych i ziemskich. Co chwila z kurzawy wychylały się pojedyncze karabony szlacheckie, obite czarną skórą, zaprężone w parę lub cztery konie, a w każdym siedział szlachcic, personat, z krucyfiksem, lub obrazem Najświętszej Panny, zawieszonym na jedwabnym pasie u szyi. Wszyscy zbrojni: muszkiet po jednej stronie siedzenia, szabla po drugiej, a u aktualnych, lub byłych towarzyszków chorągwianych, jeszcze i kopia stercząca na dwa łokcie za siedzeniem. Pod karabonami szły psy legawe lub charty, nie dla potrzeby, boć przecie nie na łowy się zjeżdżano, ale dla pańskiej rozrywki. Z tyłu luzacy prowadzili konie powodowe, pokryte dekami dla

ochrony bogatych siedzeń od deszczu lub kurzawy, dalej ciągnęły wozy skrzypiące o kołach powiązanych wiciami, a w nich namioty i zapasy żywności dla sług i panów. Gdy wiatr chwilami zwiewał kurzawę z traktu na pola, cała droga odsłaniała się i mieniła, jako wąz stubarwny lub jako wstęga misternie ze złota i jedwabiów utkana. Gdzieniedzie, na owej drodze, brzmiały ochocze kapele włoskie, lub janczarskie, zwłaszcza przed chorągwiami koronnego i litewskiego komputu, których również w tym tłumie nie brakło, bo dla asystencyi przy dygnitarzach isć musiały, a wszędy pełno było krzyku, gwaru, nawoływań, pytań i klótni, gdy jedni drugim ustępować nie chcieli.

Raz wraz też doskakiwali konni żołnierze i słudzy i do orszaku książęcego, wzywając do ustąpienia dla takiego to a takiego dygnitarza, lub pytając, kto jedzie. Ale gdy uszu ich doszła odpowiedź: wojewoda ruski! natychmiast dawali znać panom swym, którzy zostawiali drogę wolną, lub jeśli byli na przedzie, zjeżdżali w bok, by widzieć przeciągający orszak. Po popasach kupiła się szlachta i żołnierze, chcąc napoić ciekawe oczy widokiem największego w Rzeczypospolitej wojownika. Nie brakło też i wiwatów, na które książę wdzięcznie odpowiadał, raz z przyrodzonej sobie ludzkości, a powtóre chcąc tą ludzkością kaptować stronników dla królewicza Karola, których też i nakaptował samym swym widokiem niemal.

Z równą ciekawością patrzono na chorągwie książęce, na owych „rusinów“, jak ich nazywano. Nie byli oni już tak obdarci i wynędzniali, jak po konstantynowskiej bitwie, bo książę w Zamościu dał nową barwę chorągwiom, ale zawsze poglądano na nich, jak na cuda

zamorskie, gdyż w mniemaniu mieszkańców blizkich okolic stolicy przychodzili z końca świata. Więc też i dziwy opowiadano o owych stepach tajemniczych i borach, w których się rodzi takie rycerstwo, podziwiano ich pleć ogorzałą, spaloną wichrami z Czarnego morza, ich hardość spojrzenia i pewną dzikość postawy, od dzikich sąsiadów przyjętą.

Ale najwięcej oczu zwracało się po księciu, na pana Zagłobę, który dostrzegłszy, jaki go podziw otacza, spoglądał tak dumnie i hardo, toczył tak strasznie oczyma, iż zaraz szeptano w tłumie: „ten to musi być rycerz między nimi najprzedniejszy!“ A inni mówili: „siła on już musiał dusz z ciał wypędzić, taki smok sierdzisty“ — gdy zaś podobne słowa dochodziły do uszu pana Zagłoby, starał się tylko o to, by jeszcze większą sierdzistością wewnętrzną ukontentowanie pokryć.

Czasem odzywał się do tłumu, czasem szydził, a najwięcej z litewskich komputowych chorągwi, w których poważne znaki nosiły złotą, a lekkie srebrną pętelkę na ramieniu. — „Naści hetkę, panie pętelko!“ — wołał na ten widok pan Zagłoba — więc też niejeden towarzysz sapnął, zgrzytnął, szablą trzasnął, ale pomyślawszy, iż to żołnierz z chorągwi wojewody ruskiego tak sobie pozwala, w ostatku splunął i okazji zaniechał.

Bliżej Warszawy tłumy stały się tak gęste, iż tylko noga za nogą można się było posuwać. Elekcyja obiecywała być liczniejszą niż zwykle, bo nawet szlachta z dalszych ruskich i litewskich okolic, która z przyczyny odległości nie byłaby dla samej elekcyi przybyła, ścigała teraz do Warszawy dla bezpieczeństwa. A przecie dzień wyboru był jeszcze daleko, gdy zaledwie pierwsze posiedzenia sejmu się rozpoczęły; ale ścigano na miesiąc

i dwa naprzód, by ulokować się w mieście, temu i owemu się przypomnieć, tu i owdzie promocyi poszukać, po dworach pańskich jadać i pijać i wreszcie, by po żniwach w stolicy rozkoszy zażyć.

Książę poglądał ze smutkiem przez tafle karety na owe tłumy rycerstwa, żołnierzy i szlachty, na te bogactwa i przepych ubiorów, myśląc, jakąby to siłę można z nich utworzyć — ile wojska wystawić! Czemu to ta Rzeczpospolita, taka silna, ludna i bogata, dzielnem rycerstwem przepelniona, jest zarazem tak mdła, że sobie z jednym Chmielnickim i z dziczą tatarską poradzić nie umie? Czemu? Na krocie Chmielnickiego możnaby krociami odpowiedzieć, gdyby owa szlachta, owo żołnierstwo, owe bogactwa i dostatki, owe pułki i chorągwie chciały tak rzeczy publicznej służyć, jako prywatnie służyły. Cnota w Rzeczypospolitej ginie! — myślał książę — i wielkie ciało psuć się poczyna; męstwo dawne ginie i w słodkich wczasach, nie w trudach wojennych kocha się wojsko i szlachta! Książę miał poniekąd słusność, ale o niedostatkach Rzeczypospolitej myślał tylko jak wojownik i wódz, któren wszystkich ludzi chciałby na żołnierzy przerobić i na nieprzyjaciela poprowadzić. Męstwo mogło się znaleźć i znalazło się, gdy stokroć większe wojny zagroziły wkrótce Rzeczypospolitej. Jej brakło jeszcze czegoś więcej, czego książę-żołnierz w tej chwili nie dostrzegał, ale co widział jego nieprzyjaciel, kanclerz koronny, bieglejszy od Jeremiego statysta.

Lecz oto w siwem i błękitnem oddaleniu zamajaczyły spiczaste wieże Warszawy, więc dalsze księcia rozmyślania rozpięzchły się, a natomiast wydał rozkazy, które oficer służbowy wnet Wołodyjowskiemu, dowódcy eskorty, odniósł. Skoczył wskutek tych rozkazów pan

Michał od kolaski Anusinej, przy której dotąd koniem toczył, do ciągnących znacznie z tyłu chorągwi, aby szyk sprawić i w ordynku dalej już ciągnąć. Zaledwie jednak ujechał kilkanaście kroków, gdy usłyszał, że pędzi ktoś za nim — obejrzał się: był to pan Charlamp, rotmistrz lekkiego znaku pana wojewody wileńskiego i Anusin adorator.

Wołodyjowski wstrzymał konia, bo od razu zrozumiał, że pewnie przyjdzie do jakowegoś zajścia, a lubił z duszy takie rzeczy pan Michał; pan Charlamp zaś zrównał się z nim i z początku nic nie mówił, sapał tylko i wąsami srodze ruszał, widocznie szukając wyrazów — nakoniec ozwał się:

— Czołem, czołem, panie dragan!

— Czołem, panie pocztowy.

— Jak waszmość śmiesz nazywać mnie pocztowym — pytał, zgrzytając zębami, pan Charlamp — mnie towarzysza i rotmistrza? ha?

Pan Wołodyjowski począł podrzucać obuszek, który trzymał w ręku, całą uwagę skupiwszy niby na to tylko, by po każdym młyńcu chwycić go za rękojęść — i odrzekł, jakby od niechcienia:

— Bo po pętelce nie mogę poznać szarzy.

— Waśś całemu towarzystwu uwłaczasz, którego nie jesteś godzien.

— A to dlaczego? — pytał z głupia frant Wołodyjowski.

— Bo w cudzoziemskim autoramencie służysz.

— Uspokójże się waćpan — rzecze pan Michał — choć w dragonach służę, przeciwnie jest towarzysz i to nie lekkiego, ale poważnego znaku pana wojewody —

możesz tedy ze mną mówić, jak z równym, albo jak z lepszym.¹⁾

Pan Charłamp pomiarkował się trochę, poznawszy, iż nie z tak lekką, jak mniemał, osobą ma do czynienia, ale nie przestał zębami zgrzytać, bo go zimna krew pana Michała do jeszcze większej złości doprowadziła — więc rzekł :

— Jak waćpan śmiesz mi w drogę włączyć?

— Ej, widzę waszmość okazyi szukasz?

— Może i szukam i to ci powiem (tu pan Charłamp pochylił się do ucha pana Michała i kończył cichszym głosem), żeć uszy obetnę, jeśli mi przy pannie Annie będziesz zastępował drogę.

Pan Wołodyjowski znów poczał podrzucać obuszek bardzo pilnie, jakby to czas był właśnie na takową zabawę i ozwał się tonem perswazyi:

— Ej dobrodzieju, pozwól jeszcze pożyć — zaniechaj mnie!

— O nie! nic z tego! nie wymkniesz się! — rzekł pan Charłamp, chwytając za rękaw małego rycerza.

— Ja się przecie nie wymykam — mówił łagodnie pan Michał — ale teraz na służbie jestem i z ordynansem księcia pana mojego dążę. Puść waść rękaw, puść, proszę cię, bo inaczej co mnie biednemu robić: chyba tym oto obuchem w leb zajadę i z konia zwałę.

Tu pokorny z początku głos Wołodyjowskiego tak

¹⁾ Towarzysz z pod poważnego znaku nie mógł iść pod komendę nawet generała wojsk cudzoziemskiego autoramentu, przeciwnie nawet, często generał bywał oddawany pod komendę towarzysza; aby tego uniknąć, generałowie i oficerowie regimentów cudzoziemskich, starali się być jednocześnie towarzyszami w polskich. Takim towarzyszem był i pan Wołodyjowski.

jakoś zasyczał jadowicie, że pan Charłamp spojrział z mimowolnem zdziwieniem na małego rycerza i rękaw puścił.

— O! wszystko jedno! — rzekł — w Warszawie dasz mi pole, dopilnuję cie!

— Nie będę się krył, wszelako jakże to nam bić się w Warszawie? raczże mnie waszmość nauczyć! Nie bywałem tam jeszcze w życiu mojem, ja prosty żołnierz, alem słyszał o sądach marszałkowskich, które za wydobycie szabli pod bokiem króla, lub interrexa, gardłem karzą.

— Znać to, żeś waćpan w Warszawie nie bywał i żeś prostak, skoro się sądów marszałkowskich boisz i nie wiesz, że w czasie bezkrólewia kaptur sądzi, z którym sprawa łatwiejsza, a już o waćsine uszy gardła mi nie wezmą, bądź pewien.

— Dziękuję za naukę i często o instrukcyę poproszę, bo widzę, żeś waćpan praktyk nielada i mąż uczony, a ja, jakom tylko infimę minorum praktykował, ledwie *adjectivum cum substantivo* pogodzić umiem i gdybym waćpana chciał, broń Boże, głupim nazwać, to tyle tylko wiem, że powiedziałbym: *stultus*, a nie *stulta*, ani *stultum*.

Tu pan Wołodyjowski począł znów podrzucać obuszek, pan Charłamp zaś aż zdumiał się, potem krew mu uderzyła do twarzy i szablę z pochwy wyciągnął, ale w tem samem mgnieniu oka i mały rycerz, chwyciwszy obuszek pod kolano, swoją błysnął. Przez chwilę patrzyli na się jak dwa odyńce z rozwartemi nozdrzami i z płomieniami w oczach — lecz pan Charłamp zmiarkował się pierwszy, iż z samym wojewodą przysłoby mu mieć sprawę, gdyby na jego oficera jadącego z roz-

kazem napadł — więc też i pierwszy szablisko napowrót schował.

— O! znajdę cię, taki synu! — rzekł.

— Znajdziesz, znajdziesz, boćwino! — rzekł mały rycerz.

I rozjechali się, jeden do kawalkaty, drugi do choągwi, które znacznie się przez ten czas zbliżyły, tak, iż z kłębów kurzawy dochodził już tupot kopyt po twardej trakcie. Pan Michał wnet sprawił jazdę i piechotę do porządnego pochodu i ruszył na czele. Po chwili przyclapał ku niemu pan Zagłoba.

— Czego chciało od ciebie owo straszycie mor-
skie? — spytał Wołodyjowskiego.

— Pan Charlamp? Ej nic, wyzwał mnie na rękę.

— Masz tobie! — rzekł Zagłoba. — Na wylot cię swoim nosem przedziobie. Bacz, panie Michale, gdy się będziecie bili, abys największego nosa w Rzeczypospolitej nie obciął, bo osobny kopiec trzebaby dla niego sypać. Szczęśliwy wojewoda wileński! inni muszą podjazdy pod nieprzyjaciela posyłać, a jemu ten towarzysz z daleka go zawietrzy. Ale za co cię wyzwał?

— Za to, że przy kolasce panny Anny Borzobohatej jechał.

— Ba! trzeba mu było powiedzieć, żeby się do pana Longina do Zamościa udał. Tenby go dopiero poczęstował pieprzem z imbierem. Żle ten boćwinkarz trafił i widać mniejsze ma szczęście od nosa.

— Nie mówiłem mu nic o panu Podbipięcie — rzekł Wołodyjowski — bo nużby mnie zaniechał? Będę się na złość do Anusi z podwójnym ferworem zalecał, chcę też mieć swoją uciechę. A co my w tej Warszawie będziemy mieli lepszego do roboty.

— Znajdziemy, znajdziemy, panie Michale — rzekł, mrugając oczyma, Zagłoba. — Kiedy byłem za młodych lat deputatem do exakcyi od chorągwi, w której służyłem, jeździło się po całym kraju, ale takiego życia jak w Warszawie nigdzie nie znalazłem.

— Mówisz waćpan, że inne jak u nas na Zadnieprzu?

— Ej! co i mówić.

— Bardzom ciekaw — rzekł pan Michał.

A po chwili dodał:

— A tak i temu boćwinkowi wąsy podetnę, bo ma zadługie.

ROZDZIAŁ XI.

Upłynęło kilka tygodni. Szlachty na elekcyą zjeżdżało się coraz więcej. W mieście dziesięćkrotnie zwiększyła się ludność, bo razem z tłumami szlachty napływało tysiące kupców i bazarowników z całego świata, począwszy od Persyi dalekiej, aż do Anglii zamorskiej. Na Woli zbudowano szopę dla senatu, a naokół bielilo się już tysiące namiotów, którymi obszerne błonia całkiem okryte zostały. Nikt jeszcze nie umiał powiedzieć, który z dwóch kandydatów, królewicz Kazimierz, kardynał, czy Karol Ferdynand, biskup plocki, zostanie wybrany. Z obu stron wielkie były starania i usilności. Puszczano w świat tysiące ulotnych pism, opiewających zalety i wady pretendentów — obaj mieli stronników licznych i potężnych. Po stronie Karola stał, jak wiadomo, książę Jeremi, tem groźniejszy dla przeciwników, że zawsze prawdopodobnem było, iż pociągnie za sobą rozmiłowaną w nim szlachtę, od której wszystko ostatecznie zależało. Ale i Kazimierzowi sił nie brakło. Przemawiało za nim starszeństwo, po jego stronie stawały wpływy kanclerza, na jego stronę zdawał się przechylać prymas, za nim obstawała większość magnatów, z których każdy licznych miał klientów, a między magnatami i książęciem Dominik Zasław-

ski-Ostrogski, wojewoda sandomierski. po Piławcach znieślawion wprawdzie bardzo i nawet sądem zagrożony, ale zawsze największy pan w całej Rzeczypospolitej, ba, nawet w całej Europie, i mogący w każdej chwili niezmierny ciężar bogactw na szalę swego kandydata przyrzucić.

Jednakże stronnicy Kazimierza gorzkie nieraz miewali chwile zwątpienia, bo jako się rzekło, wszystko zależało od szlachty, która już od 4 października tłumnie obozowała pod Warszawą i nadciągała jeszcze tysiącami ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, a która w niezmiernej większości opowiadała się przy księciu Karolu, pociągana urokiem imienia Wiśniowieckiego i ofiarnością królewicza na cele publiczne. Królewicz bowiem, pan gospodarny i zamożny, nie zawahał się w tej chwili poświęcić znacznych kosztów na formowanie nowych regimentów wojsk, które pod komendę Wiśniowieckiego miały być oddane. Kazimierz chętnie byłby poszedł za jego przykładem i pewnie nie chciwość go wstrzymała, ale właśnie przeciwnie, zbytnia hojność, której bezpośrednim skutkiem był niedostatek i wieczny brak pieniędzy w skarbcu. Tymczasem obaj żywe prowadzili rokowania. Codziennie latali posłańcy między Nieporętem a Jabłonną. Kazimierz w imię swego starszeństwa i miłości braterskiej zaklinał Karola, by ustąpił — biskup zaś opierał się, odpisywał, iż nie godzi mu się gardzić szczęściem, które go spotkać może, „gdyż to szczęście in liberis suffragiis Rzplitej i komu Pan obiecał“ — a tymczasem czas płynął, sześciotygodniowy termin zbliżał się i razem z nim groza kozacka, bo przyszły wieści, że Chmielnicki, porzuciwszy oblężenie Lwowa, któreń się po kilku sztur-

mach okupił, stanął pod Zamościem i dzień i noc do tej ostatniej zasłony Rzeczypospolitej szturmuje.

Mówiono również, że oprócz posłów, których Chmielnicki do Warszawy wysłał z listem i oświadczeniem, iż jako szlachcic polski za Kazimierzem głos daje, kryło się między tłumami szlachty i w samym mieście pełno przebranej starszyny kozackiej, której nikt rozpoznać nie umiał, bo poprzybywali jako szlachta słuszna i zamożna, w niczem się od innych elektorów, zwłaszcza z ziem ruskich, nie różniąc — nawet i mową. Jedni, jak mówiono, przekradali się dla prostej ciekawości, aby się elekcji i Warszawie przypatrzeć, inni na przespiesi, dla zasiągnięcia wieści, co o przyszłej wojnie mówią, ile wojsk myśli Rzplita wystawić i jakie na zaciągi obmyśli fundusze? Może było i dużo prawdy w tem, co o owych gościach mówiono, bo między starszszą zaporoską wielu było zkozaczonych szlachciców, którzy i łaciny nieco zarwali, a przeto nie było ich po czem poznać, zresztą na dalekich stepach wogóle nie kwitła łacina i tacy kniazie Kurcewicze nie umieli jej tak dobrze, jak Bohun i inni atamani.

Ale gadania podobne, których pełno było i na polu elekcyjnym i w mieście, wraz z wieściami o postępach Chmielnickiego i podjazdach kozoacko-tatarskich, które jakoby aż po Wisłę docierały, napelniały niepokojem i trwogą dusze ludzkie, a nieraz stawały się przyczyną tumultów. Dość było między zebraną szlachtą rzucić na kogo podejrzenie, iż jest przebrany zaporozcem, aby go w jednej chwili, nim zdołał się usprawiedliwić, rozniesiono w drobne strzępy na szablach. W ten sposób ginąć mogli ludzie niewinni i powaga obrad była znieważana, zwłaszcza że obyczajem ówczesnym niezbyt prze-

strzegano i trzeźwości. Kaptur postanowiony „propter securitatem loci“ nie mógł sobie dać rady z ciągłymi burdami, w których siekano się z lada powodu. Ale jeśli ludzi statecznych, przejętych miłością dobra i spokoju, oraz niebezpieczeństwem, jakie ojczyźnie groziło, martwiły owe tumulty, siekaniny i pijatyki, natomiast i szalapuci, kosterzy i warchołowie czuli się jakoby w swoim żywiole, uważali że to ich właśnie czas, ich żniwo — i tem śmieiej dopuszczali się różnych zdrożności.

Nie trzeba zaś mówić, że między nimi rej wodził pan Zagłoba, którą to hegemonią zapewniła mu i wielka sława rycerska i nienasycone pragnienie, poparte możnością picia, i język tak wyprawny, że żaden inny wyrównać mu nie mógł, i wielka pewność siebie, której nic zachwiać nie zdołało. Chwilami miewał on jednak napady „melankolii“ — wówczas zamykał się w izbie lub w namiocie i nie wychodził, a jeśli wyszedł, bywał w gniewliwym humorze, skłonny do zwady i bójki naprawdę. Zdarzyło się nawet, iż w takim usposobieniu poszczerbił mocno pana Duńczewskiego, Rawianina, za to tylko, iż przechodząc o jego szablę zawadził. Pana Michała tylko wówczas obecność znosił, przed którym uskarżał się, iż go tęskność za panem Skrzetuskim i za „niebogą“ trawi. „Opuściliśmy ją, panie Michale, mawiał, wydaliśmy ją jako judasze w bezbożne ręce — już wy mnie się waszem „nemine excepto“ nie zasłaniajcie! Co się z nią dzieje, panie Michale — powiedz?“

Napróżno pan Michał tłumaczył mu, że gdyby nie Piławce, toby „niebogi“ szukali, ale że teraz, gdy przegrodziła ich od niej cała potęga Chmielnickiego, jest to rzecz niepodobna. Szlachcic nie dawał się pocieszyć, tylko

w jeszcze większą pasyą wpadał, klnąc na czem świat stoi *pierzynę, dziecinę i łacinę*.

Ale owe chwile smutku krótko trwały. Zwykle potem pan Zagłoba, jakoby chcąc sobie wynagrodzić czas stracony, hulał i pił jeszcze więcej niż zwykle; czas spędzał pod wiechami, w towarzystwie największych opojów, lub stołecznych gamratek, w czym pan Michał wiernie dotrzymywał mu towarzystwa.

Pan Michał, żołnierz i oficer wyborny, nie miał w sobie jednak na szeląg tej powagi, jaką np. w Skrzetuskim wyrobiły nieszczęścia i cierpienie. Obowiązek swój względem Rzeczypospolitej rozumiał Wołodyjowski w ten sposób, że bił kogo mu kazano — o resztę nie dbał, na sprawach publicznych się nie rozumiał; klęskę wojskową gotów był zawsze oplakiwać, ale ani do głowy mu nie przyszło, że warcholstwo i tumulty tyle są rzeczy publicznej szkodliwe, ile i klęski. Był to słowem młodzik wietrznik, który, dostawszy się w szum stołeczny, utonął w nim po uszy i przyczepił się jak oset do Zagłoby, bo ten był mu mistrzem w swawoli. Jeździł więc z nim i między szlachtę, której przy kielichu niestworzone rzeczy opowiadał Zagłoba, kaptując zarazem stronników dla królewicza Karola, pił z nim razem, w potrzebie osłaniał go, kręcili się obaj i po polu elekcyjnym i w mieście jak muchy w ukropie — i nie było kąta, do którego by nie wleźli. Byli i w Nieporęcie, i w Jabłonnie i na wszystkich ucztach, obiadach u magnatów i pod wiechami, byli wszędy i uczestniczyli we wszystkim. Pana Michała świerzbiała młoda ręka, chciał się pokazać i okazać zarazem, że szlachta ukraińska lepsza niż inna, a żołnierze książeńcy nad wszystkich. Więc jeździli umyślnie szukać awantur, między łączyca-

nów, jako do korda najsprawniejszych, a głównie między partyzantów księcia Dominika Zasławskiego, ku którym obaj szczególną czuli nienawiść. Zaczepiali tylko co znamienitszych rębajłów, których sława była niezachwiana i ustalona, i z góry układali zaczepki. „Waszmość dasz okaza, mawiał pan Michał, a ja potem wystąpię“. Zagłoba, biegły bardzo w szermierce i do pojedynku z bratem szlachcicem wcale nie tchórz, nie zawsze zgadzał się na zastępstwo, zwłaszcza w zajściach z Zasławczykami, ale gdy z jakim łączyckim graczem przyszło mieć do czynienia, poprzestawał na dawaniu okazji, gdy zaś już szlachcic rwał się do szabli i wyzywał, wtedy pan Zagłoba mawiał: „Mój mospanie! jużbym też nie miał sumienia, gdybym na śmierć oczywistą waćpana narażał, sam się z nim potykając; spróbuj się lepiej z tym to moim synalkiem i uczniem, bo nie wiem, czy i jemu sprostasz.“ Po takich słowach wysuwał się pan Wołodyjowski ze swymi zadartymi wąsikami, zadartym nosem i miną gapia i czy go przyjmowano, czy nie, puszczał się w taniec, a że istotnie mistrz to był nad mistrzami, więc po kilku złożeniach kładł zwykle przeciwnika. Takie to sobie obaj z Zagłobą wymyślali zabawy, od których ich sława między niespokojnymi duchami i między szlachtą rosła, ale szczególniejszą sławą pana Zagłoby, bo mówiono: „Jeśli uczeń taki, jakież mistrz być musi“. Jednego tylko pana Charłampa Wołodyjowski nigdzie przez długi czas odnaleźć nie mógł — myślał nawet, że go może na Litwę napowrót w jakich sprawach wysłano.

W ten sposób zeszło sześć blisko tygodni, w czasie których i rzeczy publiczne posunęły się znacznie naprzód. Wyteżona walka między braćmi kandydatami, zabiegi ich stronników, gorączka i wzbudzenie namię-

tności w partyzantach, wszystko przeszło prawie bez śladu i pamięci. Wiadomo już było wszystkim, że Jan Kazimierz będzie wybrany, bo królewicz Karol bratu ustąpił i dobrowolnie zrzekł się kandydatury. Dziwna rzecz, że w tej chwili wiele głos Chmielnickiego zaważył, gdyż spodziewano się powszechnie, że podda się powadze króla, zwłaszcza takiego, który w jego myśl obrany został. Jakoż te przewidywania sprawdziły się w znacznej części. Za to dla Wiśniowieckiego, który ani na chwilę, jak ongi Kato, nie przestawał upominać, aby owa zaporska Kartagina została zburzona — taki obrót rzeczy był nowym ciosem. Teraz musiały już wejść na porządek spraw układy. Książę wiedział wprawdzie, że te układy albo od razu nie doprowadzą do niczego, albo wkrótce siłą rzeczy zostaną zerwane i widział wojnę w przyszłości, ale niepokój ogarniał go na myśl, jaki będzie los tej wojny. Po układach uprawniony Chmielnicki będzie jeszcze silniejszy, a Rzeczpospolita słabszą. I kto poprowadzi jej wojska przeciw tak wstawionemu jak Chmielnicki wodzowi? Zali nie przyjdą nowe klęski, nowe pogromy, które do ostatka siły wyczerpią? Bo książę nie ludził się i wiedział, że jemu, najzarliwyszemu stronnikowi Karola, nie oddadzą buławy. Kazimierz obiecał wprawdzie bratu, że jego stronników, tak jak i swoich, będzie miłował, Kazimierz miał duszę wspaniałą — ale Kazimierz był stronnikiem polityki kanclerza — kto inny więc weźmie buławę — nie książę — i biada Rzplitej, jeśli to nie będzie wódz od Chmielnickiego bieglejszy. Na tę myśl podwójny ból uciskał duszę Jeremiego — bo i obawa o przyszłość ojczyzny i to nieznośne uczucie, jakie ma człowiek, który widzi, że zasługi jego będą pominięte, że sprawiedliwość nie będzie mu oddana i że

inni nad nim głowę podniosą. Nie byłby Jeremi Wiśniowieckim, gdyby nie był dumnym. On czuł w sobie siły do dźwignia buławy — i na nią zasłużył — więc cierpiał podwójnie.

Mówiono nawet między oficerami, że książe nie będzie czekał końca elekcji i że z Warszawy wyjedzie — ale nie była to prawda. Książe nietylko nie wyjechał, ale odwiedził nawet królewicza Kazimierza w Nieporęcie, od którego z niezmierną laskawością został przyjęty, poczem wrócił do miasta na dłuższy pobyt, którego wymagały sprawy wojskowe. Chodziło o uzyskanie środków na wojsko — o co pilnie nastawał książe. Przytem za Karolowe pieniądze tworzyły się nowe regimenta dragonów i piechoty. Jedne wysłano już na Ruś, drugie dopiero należało do ładu przyprowadzić. W tym celu rozsyłał książe na wszystkie strony oficerów biegłych w rzeczach organizacyi wojskowej, aby owe pułki przyprowadzali do pożądanego stanu. Został wysłany Kuszal i Wierszull, a wreszcie przyszła kolej i na Wołodyjowskiego.

Pewnego dnia wezwano go przed oblicze księcia, któren taki mu dał rozkaz:

— Pojedziesz wać na Babice i Lipków do Zaborowa, gdzie czekają konie dla regimentu przeznaczone; tam je opatrzysz, wybrakujesz i zapłacisz panu Trzaskowskiemu, a następnie przyprowadzisz je dla żołnierzy. Pieniądze za tym moim kwitem, tu w Warszawie, od płatnika odbierzesz.

Pan Wołodyjowski wziął się rażno do roboty, pieniądze odebrał i tegoż dnia obaj z Zagłobą ruszyli do Zaborowa, w samodziśnięć, i z wozem, który wiozł pieniądze. Jechali wolno, bo cała okolica z tamtej strony

Warszawy roila się od szlachty, służby, wozów i koni; wioski aż po Babice były tak zapchane, że we wszystkich chałupach mieszkali goście. Łatwo było i o przygodę w natłoku ludzi różnych humorów — jakoż mimo największych starań i skromnego zachowania się, nie uniknęły jej i dwaj przyjaciele.

Dojechawszy do Babic, ujrzeli przed karczmą kilkunastu szlachty, która właśnie siadała na koń, aby jechać w swoją drogę. Dwa oddziały, pozdrowiwszy się wzajemnie, już miały się pominąć, gdy nagle jeden z jeźdźców spojrzał na pana Wołodyjowskiego i nie rzekłszy ani słowa, puścił się rysią ku niemu.

— A tuś mi bratku! — zakrzyknął — chowałeś się, alem cię znalazł — nie ujdiesz mi teraz! Hej! mości panowie! — zakrzyknął na swoich towarzyszków — a czekajcie-no trocha! Mam temu oficerkowi coś powiedzieć, i chciałbym, abyście świadkami moich słów byli.

Pan Wołodyjowski uśmiechnął się z zadowoleniem, bo poznał pana Charłampa.

— Bóg mi świadkiem, żem się nie chował — rzekł — i sam waćpana szukałem, aby się go zapytać, czyliś rannor jeszcze dla mnie zachował, ale cóż! nie mogliśmy się spotkać.

— Panie Michale — szepnął Zagłoba — po służbie jedziesz!

— Pamiętam — mruknął Wołodyjowski.

— Stawaj do sprawy! — wrzeszczał Charłamp. — Mości panowie! obiecałem temu młodzikowi, temu gołowawosowi, że mu uszy obetnę — i obetnę, jakem Charłamp! oba, jakom Charłamp! Bądźcie świadkami waszmościowie, a ty, młodziku, stawaj do sprawy!

— Nie mogę, jak mnie Bóg miły, nie mogę! — mówił Wołodyjowski — pofolgujże mi wasze choć parę dni.

— Jakto, nie możesz? tchórz cię obleciał? Jeśli w tej chwili nie staniesz, toć oplazuję, aż ci się dziadek i babka przypomni. O bąku! o gzie jadowity, w drogę wchodzić umiesz, naprzykrzać się umiesz, językiem kąsać umiesz, a do szabli cię niema!

Tu wmieszał się pan Zagłoba.

— Widzi mi się, że waszmość w piętękę gonisz — rzekł do Charłampa — i bacz, żeby cię ten bąk naprawdę nie ukąsił, bo wtedy żadne plastry nie pomogą. Tfu! do dyabła, czy nie widzisz, że ten oficer za służbą jedzie? Spójrz na ten wóz z pieniędzmi, które do regimentu wieziemy, i zrozum, do kaduka, iż strażując przy skarbie, ten oficer swoją osobą nie rozporządza i pola dać ci nie może. Kto tego nie rozumie, ten kiep, nie żołnierz. Pod wojewodą ruskim służym i nie takich bijaliśmy jak waćpan, ale dziś nie można, a co się odwlecze, to nie uciecze.

— Jużci pewno, że kiedy z pieniędzmi jada, to nie mogą — rzekł jeden z towarzyszków Charłampa.

— A co mnie do ich pieniędzy! — krzyczał niepoohamowany pan Charłamp — niech mi pole daje, bo inaczej plazować zacznę.

— Pola dziś nie dam, ale parol kawalerski dam — rzekł pan Michał — że się stawię za trzy lub cztery dni, gdzie chcecie, jak tylko sprawy po służbie załatwię. A nie będziecie się waszmościowie tą obietnicą kontentować, to każę cyngłów ruszać, bo będę myślał, że nie ze szlachtą i nie z żołnierzami, ale z rozbójnikami mam do czynienia. Wybierajcie tedy, do wszystkich dyabłów, gdyż nie mam czasu tu stać!

Słyszając to, eskortujący dragoni zwrócili natychmiast rury muszkietów ku napastnikom, a ten ruch, również jak i stanowcze słowa pana Michała, widocznie wywarły wrażenie na towarzyszach pana Charłampa. „Już też pofolguj, mówili mu, sameś żołnierz, wiesz co to służba, a to pewna, że satysfakcją otrzymasz, bo to śmiała jakaś sztuka, jak i wszyscy z pod ruskich chorągwi. Pohamuj się — póki prosim.“

Pan Charłamp rzucał się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie zmiarkował, że albo towarzyszków rozgniewa, albo ich na niepewną walkę z dragonami narazi — więc zwrócił się do Wołodyjowskiego i rzekł:

— Dajesz tedy parol, że się stawisz.

— Sam cię poszukam, choćby za to, że o taką rzecz dwa razy pytasz. Stawię się w czterech dniach; dziś mamy środę, niechże będzie w sobotę po południu, we dwie godzin. Obieraj miejsce.

— Tu w Babicach siła gości — rzekł Charłamp — mogłyby jakowe impedimenta się zdarzyć. Niechże będzie tu obok w Lipkowie, tam już spokojniej i mnie niedaleko, bo nasze kwatery w Babicach.

— A waćpanów taka sama będzie liczna kompania jak dziś? — pytał przezorny Zagłoba.

— O, nie trzeba! — rzekł Charłamp — przyjadę tylko ja i panowie Sieliccy, moi krewni. Waszmościowie też, spero, bez dragonów staniecie.

— Może u was w asystencyi wojskowej do pojedynku stają — rzekł pan Michał — u nas niema takiej mody.

— Tedy w czterech dniach, w sobotę, w Lipkowie? — rzekł Charłamp. — Znajdziem się przed karczmą, a teraz z Bogiem!

— Z Bogiem! — rzekł Wołodyjowski i Zagłoba.

Przeciwnicy rozjechali się spokojnie. Pan Michał był uszczęśliwiony z przyszłej zabawy i obiecywał sobie zrobić prezent panu Longinowi z obciętych wąsów petyhorca. Jechał więc w dobrej myśli do Zaborowa, gdzie zastał i królewicza Kazimierza, którego tam na łowy przyjechał. Wszelako pan Michał z daleka tylko widział przyszłego pana, bo śpieszył się. We dwa dni sprawy ułatwił, konie obejrzał, zapłacił pana Trzaskowskiego, wrócił do Warszawy i na termin, ba nawet o godzinę wcześniej stanął w Lipkowie, wraz z Zagłobą i panem Kuszlem, którego na drugiego świadka zaprosił.

Zajechawszy przed karczmę, którą żyd trzymał, weszli do izby, aby gardła trochę miodem przepłukać i przy szklenicy zabawiali się rozmową.

— Parchu, a pan jest w domu? — pytał karczmarza Zagłoba.

— Pan w mieście.

— A siła u was szlachty stoi w Lipkowie?

— U nas pusto. Jeden tylko pan stanął tu u mnie, i siedzi w alkierzu — bogaty pan ze służbą i końmi.

— A czemu do dworu nie zajechał?

— Bo widać naszego pana nie zna. Zresztą dwór zamknięty od miesiąca.

— A może to Charłamp? — rzekł Zagłoba.

— Nie — rzekł Wołodyjowski.

— Ej! panie Michale, mnie się widzi, że to on.

— Co znowu!

— Pójdę, zajrzę, kto to jest. Żydzie, a dawno ten pan stoi?

— Dziś przyjechał, niema dwóch godzin.

— A nie wiesz skąd on jest?

— Nie wiem, ale musi być z daleka, bo konie miały zniszczone; ludzie mówili, że z za Wisły.

— Czemu on tedy aż tu w Lipkowie stanął?

— Kto jego wie?

— Pójdę, zobaczę — powtórzył Zagłoba — może kto znajomy.

I zbliżywszy się do zamkniętych drzwi alkierza, zapukał w nie ręką i ozwał się:

— Mości panie, można wejść?

— A kto tam? — ozwał się głos ze środka.

— Swój — rzekł Zagłoba, uchylając drzwi. — Z przeproszeniem waszmości, może nie w porę? — dodał, wsadzając głowę do alkierza.

Nagle cofnął się, drzwiami trzasnął, jakoby śmierć zobaczył. Na twarzy jego malował się przestach w połączeniu z największym zdumieniem, usta otworzył i spoglądał obląkanemi oczyma na Wołodyjowskiego i Kuszla.

— Co waćpanu jest? — pytał Wołodyjowski.

— Na rany Chrystusa! cicho! — rzekł Zagłoba — tam! Bohun!

— Kto? co się waści stało?

— Tam... Bohun!

Obaj oficerowie podnieśli się na równe nogi.

— Czy waść rozum stracił? Miarkuj się: kto?

— Bohun! Bohun!

— Nie może być?

— Jakom żyw! jak tu przed wami stoję, klnę się na Boga i wszystkich świętych.

— Czegożeś się waść tak stropił? — rzekł Wołodyjowski. — Jeśli on tam jest, to Bóg podał go w nasze ręce. Uspokój się waść. Jestżeś pewny, że to on?

— Jako że z waćpanem mówię. Widziałem go, szaty przewdziewa.

— A on waćpana widział?

— Nie wiem, zdaje się, że nie.

Wołodyjowskiego oczy zaiskrzyły się jak węgle.

— Żydzie! — rzekł z cicha, kiwając gwałtownie ręką. — Chodź tu! Czy są drzwi z alkierza?

— Niema, jeno przez tę izbę.

— Kuszel pod okno! — szepnął pan Michał. — O, już nam teraz nie ujdzie!

Kuszel nie mówiąc ni słowa, wybiegł z izby.

— Przyjdź waćpan do siebie — rzekł Wołodyjowski. — Nie nad waściny, ale nad jego karkiem zguba wisi. Co on ci może uczynić? — nic.

— Ja też jeno ze zdziwienia nie mogę ochłonąć! — odparł Zagłoba, a w duchu pomyślał: — Prawda! czego ja się mam bać? Pan Michał przy mnie — niech się Bohun boi!

I nasrożywszy się okrutnie, chwycił za rękojeść szabli.

— Panie Michale, już on nie powinien nam ująć!

— Czy to jeno on? bo mi się jeszcze wierzyć nie chce. Coby on tu robił?

— Chmielnicki go na przeszpiegi przysłał. To najpewniejsza rzecz! Czekaj, panie Michale. Chwycimy go i postawimy kondycją: albo kniaziównę odda, albo zagrozimy mu, że go wydamy sprawiedliwości.

— Byle kniaziównę oddał, jechał go sęk!

— Ba, ale czy nas nie za mało? dwóch i Kuszel trzeci? Będzie on się bronił, jak wściekły, a ludzi też ma kilku.

— Charłamp z dwoma przyjedzie — będzie nas
szczęściu! dość! — cyt!

W tej chwili otworzyły się drzwi i Bohun wszedł
do izby.

Nie musiał on poprzednio dostrzedz zagląającego
do alkierza Zagłoby, gdyż teraz na jego widok drgnął
nagle i jakoby płomień przeleciał mu przez oblicze,
a ręka z szybkością błyskawicy spoczęła na głównej szabli — ale wszystko to trwało jedno mgnienie oka. Wnet ów płomień zgasł w jego twarzy, która jednak przybladła nieco.

Zagłoba patrzył nań i nie mówił nic — ataman również stał milczący; w izbie słyszałbyś przelatującą muchę — i ci dwaj ludzie, których losy płątały się w tak dziwny sposób, udawali w tej chwili, że się nie znają.

Trwało to dość długo. Panu Michałowi wydawało się, że upływają wieki całe.

— Żydzie — rzekł nagle Bohun — daleko stąd do Zaborowa?

— Niedaleko — odparł żyd. — Wasza mość zaraz jedzie?

— Tak jest — rzekł Bohun i skierował się ku drzwiom izby, wiodącym do sieni.

— Za pozwoleniem — zabrzmiał głos Zagłoby.

Watażka zatrzymał się od razu, jakby w ziemię wrósł, i zwróciwszy się ku Zagłobie, wpil w niego swe czarne, straszne źrenice.

— Czego waść życzysz? — spytał krótko.

— Ej, bo mnie się zdaje, że my się skądś znamy. A czy my się to nie na weselu w chutorze, na Rusi widzieli?

— A tak jest! — rzekł hardo watażka, kładąc znowu rękę na głowni.

— Jak zdrowie służy? — pytał Zagłoba. — Bo waćpan tak jakoś nagle wtedy z chutoru wyjechał, że i pożegnać się nie miałem czasu.

— A waszmość tego żałował?

— Pewnie, że żalowałem, bylibyśmy potańcowali; kompania się zwiększyła. (Tu pan Zagłoba wskazał na Wołodyjowskiego). Właśnie ten oto kawaler nadjechał, który radby się był z waścią bliżej poznać.

— Dość tego! — krzyknął pan Michał, wstając nagle — zdrajco, aresztuję cię!

— A to jakim prawem? — spytał ataman, podnosząc dumnie głowę.

— Boś buntownik, wróg Rzeczypospolitej i na przespiergi tu przyjechałeś.

— A waść coś za jeden?

— O! nie będę się tobie wywodził, ale mi się nie wymkniesz!

— Zobaczmy! — rzekł Bohun. — Nie wywodziłbym się i ja waszmości ktom jest, gdybyś mnie jako żołnierz na szable wyzwał, ale skoro aresztem grozisz, to ci się wywiode: oto jest list, który od hetmana zaporoskiego do królewicza Kazimierza wiozę i nie znalazłszy go w Nieporęcie, do Zaborowa z nim jadę. Jakże to mnie będziesz teraz aresztował?

To rzekłszy, Bohun spojrzał dumnie i szydersko na Wołodyjowskiego, a pan Michał zmieszał się bardzo, jak ogar, który czuje, że mu się zwierzyna wymyka, i nie wiedząc, co ma począć, zwrócił pytający wzrok na Zagłobę. Nastąpiła ciężka chwila milczenia.

— Ha! — rzekł Zagłoba — trudno! Skoro jesteś

posłańcem, tedy cię już aresztować nie możemy, ale z szablą się temu oto kawalerowi nie nadstawiaj, bo już raz przed nim umykał, aż ziemia jęczała.

Twarcz Bohuna powlokła się purpurą, bo w tej chwili poznał Wołodyjowskiego. Wstyd i zraniona duma zagrały naraz w nieustraszonym watałce. Wspomnienie to ucieczki paliło go, jak ogień. Była to jedyna niestarta plama na jego sławie molojeckiej, którą nad życie, nad wszystko kochał.

A nieubłagany Zagłoba ciągnął dalej z zimną krwią:

— Ledwieś i hajdawerków nie zgubił, aż litość tego kawalera tknęła i życie ci darował. Tfu! mości molojcz, białogłowską masz twarz, ale i białogłowskie serce. Byleś odważny ze starą kniaziowną i z dzieciuchem kniazim, ale z rycerzem dudy w miech! Listy tobie wozić, panny porywać, nie na wojnę chodzić. Jak mnie Bóg miły, na własne oczy widziałem, jak hajdawerki oblatywały. Tfu! tfu! Ot i teraz o szabli gadasz, bo list wiesz. Jakże to nam się z tobą potykać, gdy tem pismem się zasłaniasz? Piasek w oczy, piasek w oczy, mości molojcz! Chmiel dobry żołnierz, Krzywonos dobry, ale wielu jest między kozactwem drapichrustów.

Bohun posunął się nagle ku panu Zagłobie, a pan Zagłoba zasunął się również szybko za pana Wołodyjowskiego tak, że dwaj młodzi rycerze stanęli przed sobą oko w oko.

— Nie od strachu ja przed waćpanem uciekał, ale by ludzi ratować — mówił Bohun.

— Nie wiem dla jakich tam przyczyn umykałeś, ale wiem, żeś umykał — rzecze pan Michał.

— Wszędy dam waści pole, choćby tu zaraz.

— Wyzywasz mnie? — pytał, przymrużając oczy, Wołodyjowski.

— Ty mnie sławę molojecką wziął, ty mnie po-
hańbił! mnie twojej krwi potrzeba.

— To i zgoda — rzekł Wołodyjowski.

— Volenti non fit iniuria — dodał Zagłoba. — Ale
któż królewiczowi list odda?

— Niechże was głowa o to nie boli; to moja
sprawa!

— Bijcie się tedy, kiedy nie może być inaczej —
mówił Zagłoba. — Gdyby ci się też poszczęściło, mości
watażko, z tym oto kawalerem — bacz, że ja drugi staję.
A teraz chodź, panie Michale, przed sień, mam coś pil-
nego powiedzieć.

Dwaj przyjaciele wyszli i odwołali Kuszla z pod
okna alkierza, poczem Zagłoba rzekł:

— Mości panowie, zła nasza sprawa. On naprawdę
ma list do królewicza — zabijemy go, to kryminal. Po-
mniście, że kaptur „propter securitatem loci“ w dwóch
milach od pola elekcyi sądzi — a to wszakże quasi po-
sel! Ciężka sprawa! Musimy się chyba potem gdzie scho-
wać, albo może księżę nas osłoni — inaczej może być
źle. A znowu puszczać go wolno — jeszcze gorzej. Je-
dyna to sposobność oswobodzenia naszej niebogi. Gdy
go nie będzie na świecie, łatwiej ją odszukamy. Bóg sam
widocznie chce jej i Skrzetuskiemu pomódz — ot, co jest!
Radźmy, mości panowie.

— Wać przecie znajdziesz jaki fortel? — rzekł
Kuszel.

— Już to przez mój fortel sprawilem, że on sam
nas wyzwiał. Ale trzeba świadków, obcych ludzi. Moja
myśl jest, aby na Charłampa zaczekać. Biorę to na sie-

bie, że on pierwszeństwa ustąpi i w potrzebie będzie świadczył, jakośmy zostali wyzwani i musieliśmy się bronić. Trzeba się też i od Bohuna wywiedzieć lepiej, gdzie dziewczynę ukrył. Jeśli ma zginąć, nic mu po niej — może powie, gdy go zakniemy. A nie powie — to i tak lepiej, by nie żył. Trzeba wszystko przezornie i roztropnie czynić. Głowa pęka, mości panowie.

— Któż się będzie z nim bił? — pytał Kuszel.

— Pan Michał pierwszy, ja drugi — rzekł Zagłoba.

— A ja trzeci.

— Nie może być — przerwał pan Michał — ja się jeden biję i na tem koniec. Położy mnie, to jego szczęście — niechże jedzie zdrów.

— O! jam mu już zapowiedział — rzekł Zagłoba — ale jeśli tak waszmościowie postanowicie, to ustąpię.

— No, jego wola, czy i z waćpanem ma się bić, ale więcej z nikim.

— Chodźmy tedy do niego.

— Chodźmy.

Poszli — i zastali Bohuna w głównej izbie popijającego miód. Watażka już był spokojny zupełnie.

— Posłuchajno waćpan — rzekł Zagłoba — bo to są ważne sprawy, o których chcemy z tobą pomówić. Waćpan wyzwalesz tego kawalera — dobrze, ale trzeba ci wiedzieć, że skoro posłujesz, to cię prawo broni, boć do politycznego narodu, nie między dzikie bestye przyjechałeś. Owóz nie możemy ci dać pola inaczej, chyba przy świadkach zapowiesz, żeś sam z własnej ochoty wyzwiał. Przyjedzie tu kilku szlachty, z którymi mieliśmy się pojedynkować — przed nimi to oświadczysz — my zaś damy ci kawalerski parol, że jeśliś się poszczęści

z panem Wołodyjowskim, tedy odjedziesz wolno i nikt ci nie będzie stawiał przeszkód, chyba że jeszcze ze mną zmierzyć się zechcesz.

— Zgoda — rzekł Bohun. — Powiem przy owej szlachcie i ludziom moim zapowiem, aby list odwieźli i Chmielnickiemu powiedzieli, jeśli zginę, że ja sam wyzwał. A poszczęści mnie Bóg z tym kawalerem sławę młojecką odzyskać, tak i waćpana jeszcze potem na szabelki poproszę.

To rzekłszy, spojrział Zagłobie w oczy, a Zagłoba zmieszał się nieco, kaszlnął, splunął i odrzekł:

— Zgoda. Gdy się z tym moim uczniem popróbujesz, poznasz, jaką ze mną będziesz miał robotę. Ale mniejsza z tem. Jest drugie punctum ważniejsze, w którym do sumienia twego się odwołujemy, gdyż luboś kozak, chcemy cię jako kawalera traktować. Waćpan porwałś kniaziównę Helenę Kurcewiczównę, narzeczoną naszego towarzysza i przyjaciela, i trzymasz ją w ukryciu. Wiedz, że gdybyśmy cię o to zapoznawali, nicby ci nie pomogło, że cię Chmielnicki posłem swoim kreował, bo to jest raptus puellae, gardłowa sprawa, któraby tu wnet sądzona była. Ale gdy do bitwy masz iść i możesz zginąć, wejdź w siebie, co się z tą niebogą stanie, gdy zginiesz? Żali jej zła i zguby chcesz ty, który ją miłujesz? zali ją pozbawisz opieki, na hańbę i nieszczęście wydasz? zali katem jej i po śmierci jeszcze chcesz zostać?

Tu głos pana Zagłoby zabrzmiał niezwykłą mu powagą, a Bohun pobladł — i pytał:

— Czego wy odemnie chcecie?

— Wskaż nam miejsce jej uwięzienia, abyśmy na wypadek twojej śmierci mogli ją odnaleźć i narzeczo-

nemu oddać. Bóg będzie miał litość nad twoją duszą, jeśli to uczynisz.

Watażka wsparł głowę na dłoniach i zamyslił się głęboko, a trzej towarzysze pilnie śledzili zmiany w tej ruchliwej twarzy, która nagle oblała się takim smutkiem tkliwym, jakby na niej nigdy gniew, ani wściekłość, ani żadne srogie uczucia nie grały i jakby ten człowiek tylko do kochania i tęsknoty był stworzony. Długi czas trwało milczenie, aż wreszcie przerwał je głos Zagłoby, który drżał, mówiąc następujące słowa:

— Jeżeliś zaś ją już pohańbił, niechże cię Bóg potępi, a ona niech choć w klasztorze znajdzie schronienie...

Bohun podniósł oczy wilgotne, rozczęsknione i tak mówił:

— Jeśli ja ją pohańbił? Ot! nie wiem jak wy miłujecie, panowie szlachta, rycerze i kawalery, ale ja kozak, ja ją w Barze od śmierci i hańby ochronił, a potem w pustynię wywiózł — i tam jak oka w głowie pilnował, palca na nią nie skrzywił, do nóg padał i czołem bił, jak przed obrazem. Kazała precz iść, tak poszedł — i nie widział jej więcej, bo wojna-matka trzymała.

— Bóg to waści na sądzie policzy! — rzekł, odcchnawszy głęboko, Zagłoba. — Ale zali ona tam bezpieczna? Tam Krzywonos i Tatary!

— Krzywonos pod Kamieńcem leży, a mnie do Chmielnickiego posłał pytać, czy pod Kudak ma iść — i już pewno poszedł, a tam, gdzie ona jest, niema ni kozaków, ni Lachów, ni Tatarów — ona tam bezpieczna.

— Gdzie ona tedy?

— Słuchajcie, panowie Lachy! Niech będzie jak chcecie — powiem ja wam, gdzie ona jest i wydać ją

zażę, ale za to wy mnie dajcie kawalerski wasz parol, że jeśli mnie Bóg poszczęści, tak wy nie będziecie już jej szukać. Wy za siebie przyrzeczenie i za pana Skrzetuskiego, a ja wam powiem.

Trzej przyjaciele spojrzeli po sobie:

— My tego nie mogę uczynić! — rzekł Zagłoba.

— O, jako żywo nie mogę! — wykrzyknęli Kuszal i Wołodyjowski.

— Tak? — rzekł Bohun i brwi jego ściągnęły się, a oczy zaiskrzyły. — Czemuż to wy, panowie Lachy, nie możecie tego uczynić?

— Bo pan Skrzetuski jest nieobecny, a oprócz tego wiedz o tem, że żaden z nas szukać jej nie przestanie, choćbyś i pod ziemię ją ukrył.

— Tak wyby taki targ ze mną uczynili: ty kozackie duszę oddaj, a my tobie szablą! O nie doczekacie! A co to wy myśleli, że u mnie szabla kozacka nie ze stali? — że już nademną, jak krucy nad ścierwem, kraczenie? A czemu to mnie ginąć, nie wam? Wam trzeba mojej krwi, a mnie waszej! zobaczymy, kto czyjej dostanie.

— Więc nie powiesz?

— A poco mnie mówić? — Na pohybelże wam wszystkim!

— Na pohybel tobie! Warteś, by cię na szablach roznieść.

— Spróbujcie — rzekł watażka, wstając nagle.

Kuszal i Wołodyjowski porwali się również z ławy. Groźne spojrzenia poczęły się krzyżować, wezbrane gniewem piersi oddychały mocniej i nie wiadomo, do czegooby było doszło, gdyby nie Zagłoba, który spojrzawszy w okno, wykrzyknął:

— Charłamp ze świadkami przyjechał!

Jakoż po chwili rotmistrz petyhorski, wraz z dwoma towarzyszami, panami Sielickimi, weszli do izby. Po pierwszych powitaniach, Zagłoba wziął ich na stronę i począł rzecz wyluszczać.

A prawil tak wymownie, że wnet przekonał, zwłaszcza iż zapewnił, że pan Wołodyjowski prosi tylko o krótką zwłokę i wnet po walce z kozakiem stanąć jest gotów. Tu pan Zagłoba począł opowiadać, jak stara i straszna jest nienawiść wszystkich żołnierzy księcia do Bohuna, jako on jest wrogiem całej Rzeczypospolitej i jednym z najokrutniejszych rebelizantów, wreszcie jak kniaziównę porwał, pannę ze szlacheckiego domu i narzeczoną szlachcica, którego jest zwierciadłem wszystkich cnót rycerskich. „A gdy waszmościowie szlachtą jesteście i do braterstwa się poczuwacie, wspólna tedy to jest nasza krzywda, którą się stanowi całemu w osobie jednego wyrządza — zali więc ścierpicie, aby nie została pomszczona?”

Pan Charłamp czynił w początku trudności i mówił, że skoro tak jest, to należy Bohuna natychmiast rozsiekać, „a pan Wołodyjowski niechaj po staremu ze mną staje”. Musiał mu na nowo tłómaczyć pan Zagłoba, dlaczego to nie może być i że nawet nie po rycersku byłoby w tyłu na jednego napadać. Szczęściem pomogli mu panowie Sieliccy, obaj ludzie rozsądni i stateczni, aż dał się nakoniec uparty Litwin przekonać, i na zwłokę zezwolił.

Tymczasem Bohun poszedł do swoich ludzi i powrócił z esaulem Eljaszeńkiem, któremu zapowiedział, jako do bitwy dwóch szlachty wyzwiał, poczem powtórzył głośno to samo wobec pana Charłampa i panów Sielickich.

— My zaś oświadczamy — rzekł Wołodyjowski — iż jeśli wyjdiesz zwyciężcą z walki ze mną, tedy od woli twej zależy, czy jeszcze zechcesz bić się z panem Zagłobą, a w żadnym razie nikt więcej cię nie będzie wyzywał, ani też kupą na cię nie napadną, i odjedziesz gdzie zechcesz — na co parol kawalerski dajem i waszmościów teraz przybyłych prosimy, aby ze swej strony także to przyrzekli.

— Przyrzekamy — rzekli uroczyście Charlamp i dwaj Sielicy.

Wówczas Bohun wręczył list Chmielnickiego do królewicza Eljaszeńce i rzekł:

— Ty ceje pyśmo korolewiczu widdasz i koły ja pohybnu, tak ty skażesz i jomu i Chmielnickomu, szczo moja wyna buła, i szczo ne zdradoju mene zabyły.

Zagłoba, któren pilne miał oko na wszystko, zauważył, że na ponurej twarzy Eljaszenki nie odbił się najmniejszy niepokój — widać zbyt był pewny swego atamana.

Tymczasem Bohun zwrócił się dumnie do szlachty.

— No, komu śmierć, komu życie — rzekł. — Mózem iść.

— Czas, czas! — odrzekli wszyscy — zasadzając poły od kontuszów za pasy i biorąc pod pachy szable.

Wyszli przed karczmę i skierowali się ku rzeczce, która płynęła wśród zarośli glogów, dzikich róż, tarek i choiny. Listopad postrącał wprawdzie liść z krzewin, ale gęstwa była tak zbita, że czerniała jakoby wstęga kiru, het przez puste pola aż ku lasom. Dzień był wprawdzie blady, ale pogodny tą melancholiczną pogodą jesieni, pełną słodyczy. Słońce bramowało łagodnie złotem obnażone gałęzie drzew i rozświecało żółte wydmy pias-

czyste, ciągnące się nieco opodal prawego brzegu rzeczki. Zapaśnicy i ich świadkowie szli właśnie ku owym wydmom.

— Tam się zatrzymamy — rzekł Zagłoba.

— Zgoda — odpowiedzieli wszyscy.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy, nakoniec zbliżył się do Wołodyjowskiego i szepnął:

— Panie Michale...

— A co?

— Na miłość Boską, panie Michale, starajże się! W twojem teraz ręku los Skrzetuskiego, wolność kniaziówny, twoje własne życie i moje, bo broń Boże na ciebie przygody, ja sobie z tym zbójem nie dam rady.

— To czemuś go waść wyzywał?

— Słowo się rzekło. Ufałem w ciebie, panie Michale, ale ja już stary, oddech mam krótki, zatyka mnie, a ten gładzysz może skakać jak cyga. Cięty to ogar, panie Michale.

— Postaram się — rzekł mały rycerz.

— Boże ci dopomóż. Nie trać ducha!

— Zaś tam!

W tej chwili zbliżył się ku nim jeden z panów Sielickich.

— Cięta jakaś sztuka ten wasz kozak — szepnął — Tak sobie z nami poczyna, jak równy, jeśli nie jak lepszy. Hu! co za fantazyja! musiała się jego matka na jakiego szlachcica zapatrzeć.

— E! — rzekł Zagłoba — prędzej się jaki szlachcic na jego matkę zapatrzył.

— I mnie się tak widzi — rzekł Wołodyjowski.

— Stawajmy! — zawołał nagle Bohun.

— Stawajmy, stawajmy!

Stanęli. Szlachta półkolem. Wołodyjowski i Bohun naprzeciw siebie.

Wołodyjowski, jako to człowiek w takich rzeczach wytrawny, choć młody, naprzód nogą piasek zmacał, czy twardy, poczem rzucił okiem naokoło, chcąc wszystkie nierówności gruntu poznać, i widać było, że sprawy wcale nie lekceważył. Przecie przychodziło mu mieć do czynienia z rycerzem na całą Ukrainę najslawniejszym, o którym lud pieśni śpiewał i którego imię — jak Ruś szeroka — aż do Krymu było znane. Pan Michał, prosty porucznik dragonów, wiele sobie po owej walce obiecywał, bo albo śmierć sławną, albo równie sławne zwycięstwo, więc niczego nie zaniedbał, aby się godnym takiego przeciwnika okazać. Dlatego niezwykłą także miał w twarzy powagę, którą dojrawszy, Zagłoba aż przeląkł się. „Traci fantazyą — pomyślał — już po nim, a zatem i po mnie!”

Tymczasem Wołodyjowski, zbadawszy dokładnie grunt, począł odpinać kurtę.

— Chłodno jest — rzekł — ale się rozgrzejemy.

Bohun poszedł za jego przykładem i zrzucili obaj zwierzchnie ubranie tak, że pozostali tylko w hajdawerach i w koszulach — następnie poczęli zawijać na prawej ręce rękawy.

Ale jakżeż marnie wyglądał mały pan Michał przy rosłym i silnym atamanie! prawie go nie było widać. Świadkowie z niepokojem spoglądali na szeroką pierś kozaka, na olbrzymie mięśnie, widne z pod zawiniętego rękawa, podobne do sęków i węzłów. Zdawało się, iż to mały kogucik staje do walki z potężnym jastrzębiem stepowym. Nozdrza Bohuna rozwarły się, jakby zawczasu krew wietrząc, twarz skróciła się mu tak, iż czarna grzywa zdawała się do brwi sięgać, i szabla drgała mu

w ręku — oczy drapieżne utkwil w przeciwnika i czekał komendy.

A pan Wołodyjowski spojrzal jeszcze pod światło na ostrze szabli, ruszył żółtymi wąsikami i stanął w pozycji.

— Jatki tu proste będą! — mruknął do Sielickiego Charlamp.

Wtem zabrzmiał trochę drżący głos Zagłoby:

— W imię Boże, zaczynajcie!

ROZDZIAŁ XII.

Świsnęły szable i ostrze szczęknęło o ostrze. Wnet zmienił się plac boju, bo Bohun natarł z taką wściekłością, że pan Wołodyjowski uskokzył w tył kilka kroków i świadkowie również musieli się cofnąć. Błyskawicowe zygzaki szabli Bohuna były tak szybkie, że przerażone oczy obecnych nie mogły za nimi nadążyć — zdało im się, że pan Michał całkiem jest nimi otoczony, pokryty i że Bóg jeden chyba zdoła go wyrwać z pod tej nawałności piorunów. Ciosy zwały się w jeden nieustający świst, pęd poruszanego powietrza uderzał o twarze. Furya watażki wzrastała: ogarniał go dziki szal bojowy i parł przed sobą Wołodyjowskiego jak huragan — a mały rycerz cofał się ciągle i tylko się bronił: wyciągnięta jego prawica nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko sama zataczała bez ustanku małe, ale szybkie jak myśl półkola, i chwycił szalone cięcia Bohunowe, ostrze podstawił pod ostrze, odbijał i znów się zasłaniał i jeszcze się cofał, oczy utkwil w oczach kozaka i wśród wężowych błyskawic wydawał się spokojny, jeno na policzki wystąpiły mu plamy czerwone.

Pan Zagłoba przymknął oczy — i słyszał tylko cios za ciosem, zgrzyt za zgrzytem.

— Broni się jeszcze! — pomyślał.

— Broni się jeszcze! — szeptali panowie Sieliccy i Charlamp.

— Już przyparty do wydmy — dodał cicho Kuszel. Zagłoba znów otworzył oko i spojrział.

Plecy Wołodyjowskiego opierały się prawie o wydme, ale widocznie nie był dotąd ranny, jeno rumieńce na jego twarzy stały się żywsze, a kilka kropel potu wystąpiło mu na czoło.

Serce Zagłoby zabiło nadzieją.

— Przecie i z pana Michała gracz nad gracze — pomyślał — a i tamten znuży się nareszcie.

Jakoż twarz Bohuna stała się blada, pot perlił mu także czoło, ale opór podniecał tylko jego wściekłość: białe kły błysnęły mu z pod wąsów, a z piersi wydobywało się chrapanie wściekłości.

Wołodyjowski nie spuszczał go z oka i bronił się ciągle.

Nagle, poczuwszy za sobą wydme, zebrął się w sobie — już patrzącym zdało się, że padł, a on tymczasem pochylił się, skurczył, przysiadł — i rzucił całą swoją osobą, niby kamieniem, w pierś kozaka.

— Atakuje! — wykrzyknął Zagłoba.

— Atakuje! — powtórzyli inni.

Tak było w istocie: watażka cofał się teraz, a mały rycerz, poznawszy już całą siłę przeciwnika, nacierał tak zwawo, że świadkom dech zamarł w piersi; widocznie poczynął się rozgrzewać — małe oczki sypały skry; przysiadł i zrywał się, zmieniał w jednym mgnieniu pozycye, zataczał kręgi naokół watażki i zmuszał go do obracania się na miejscu.

— O mistrz! o mistrz! — wołał Zagłoba.

— Zginiesz! — ozwał się nagle Bohun.

— Zginiesz! — odpowiedział jak echo Wołodyjowski.

Wtem kozak sztuką, najbieglejszym tylko szermierzom znaną, przerzucił nagle szablę z prawej ręki do lewej i dał cios od lewicy tak okropny, że pan Michał, jakby piorunem rażony, padł na ziemię.

— Jezus Marya! — krzyknął Zagłoba.

Ale pan Michał padł umyślnie i właśnie dlatego szabla Bohunowa przecięła tylko powietrze, mały rycerz zaś zerwał się jak dziki kot i całą niemal długością ostrza ciał straszliwie w odkrytą pierś kozaka.

Bohun zachwiał się, postąpił krok, ostatniem wysileniem dał ostatnie pchnięcie; pan Wołodyjowski odbił je z łatwością, uderzył jeszcze po dwakroć w pochylony łeb — szabla wysunęła się z bezwładnych rąk Bohuna i padł twarzą na piasek, który wnet zaczerwienił się pod nim szeroką kałużą krwi.

Eljaszenko, obecny przy bitwie, rzucił się na ciało atamana.

Świadkowie przez jakiś czas nie mogli słowa przemówić, a pan Michał milczał także; wsparł się obu rękoma na szabelce i oddychał ciężko.

Zagłoba pierwszy przerwał milczenie:

— Panie Michale, pójdź w moje objęcia — rzekł z rozczuleniem.

Otoczyli go tedy kołem.

— To waść gracz pierwszej wody! Niech waść kule biją! — mówili panowie Sieliccy.

— Waść widzę z cicha pęk! — rzekł Charłamp. — Stanę ja waszmości, żeby nie mówiono, iżem się uląkł,

ale choćbyś i mnie miał waszmość tak pochlastać, zawsze winszuję, winszuję!

— Et, dalibyście sobie waszmościowie pokój, bo w rzeczy nie macie się o co bić — mówił Zagłoba.

— Nie może być, bo tu chodzi o moją reputację — odparł petyhorzec — za którą chętnie dam gardło.

— Nic mi po waścinem gardle, zaniechajmy się lepiej — rzecze Wołodyjowski — gdyż prawdę waćpanu powiedziałwszy, tom mu tam w drogę, gdzie myślisz, nie wchodził. Wejdzie tam waćpanu kto inny, lepszy ode mnie, ale nie ja.

— Jakto?

— Parol kawalerski.

— To już dajcie sobie pokój! — wołali Sieliccy i Kuszel.

— Niechże i tak będzie — rzekł Charłamp, otwierając ramiona.

Pan Wołodyjowski padł w nie i poczęli się całować, aż echo rozlegało się po wydmach — pan Charłamp zaś mówił:

— Niechże waści nie znam, żebyś zaś tak pochlastał podobnego wielkoluda! A i szablą umiał on też obracać.

— Anim się spodziewał, żeby taki był fechtmistrz, i skąd on się mógł tego wyuczyć?

Tu uwaga powszechna zwróciła się znów na leżącego watażkę, którego Eljaszenko obrócił przez ten czas twarzą do góry i z płaczem szukał w nim znaków życia. Twarzy Bohuna nie można było rozeznąć, bo pokryły ją sople krwi, która wypłynęła z ran w głowę zadanych i wnet ścięła się na chłodnem powietrzu. Koszula na pierśiach również była cała we krwi, ale dawał jeszcze

znaki życia. Widocznie był w konwulsyi przedśmiertnej, nogi jeno drgały, a palce skrzywione naksztalt szponów darły piasek. Zagłoba spojrział i machnął ręką.

— Ma dosyć! — rzekł — żegna się ze światem.

— Aj! — rzekł jeden z Sielickich, spoglądając na cialo — to już trup.

— Ba, prawie na dzwona pocięty.

— Nielada to był rycerz — mruknął, kiwając głową Wołodyjowski.

— Wiem coś o tem — dodał Zagłoba.

Tymczasem Eljaszenko chciał dzwignąć i unieść nie-
szczęsnego atamana, ale że był człowiek dość wątły i nie-
młody, a Bohun prawie do olbrzymów należał — więc
nie mógł. Do karczmy było kilka staj, a Bohun lada
chwila mógł skonać, essaul, widząc to, zwrócił się do
szlachty.

— Pany — wołał, składając ręce. — Na Spasa
i Światuju Przeczystoju pomożite! Ne dajcie szczob win
tut kiszczesz jak sobaka. Ja staryj ne zdłużaju, a lude
daleko...

Szlachta spojrziała po sobie. Zawziętość przeciw Bo-
hunowi znikła już we wszystkich sercach.

— Pewnie, że trudno go tu jak psa zostawić —
mruknął pierwszy Zagłoba. — Skorośmy z nim na po-
jedynek stanęli, to już on dla nas nie chłop, ale żoł-
nierz, któremu taka pomoc się należy. Kto ze mną go
poniesie, mości panowie?

— Ja — rzekł Wołodyjowski.

— To go ponieście na mojej burce — dodał Char-
lamp.

Po chwili Bohun leżał już na opońcy, której końce
pochwycili Zagłoba, Wołodyjowski, Kuszel i Eljaszenko —

i cały orszak, w towarzystwie Charłampa i panów Sielickich udał się wolnym krokiem ku karczmie.

— Twarde ma życie — rzekł Zagłoba — jeszcze się rusza. Mój Boże, żeby mnie kto powiedział, że na jego niankę wyjdę i że go będę tak niósł, myślałbym, że kpi ze mnie. Zbyt mam czule serce, sam wiem o tem, ale trudno! Jeszcze mu i rany opatrzę. Mam nadzieję, że na tym świecie już się nie spotkamy więcej, niechże mile mię wspomina na tamtym.

— To myślisz waszmość, że on żadną miarą nie wyżyje? — pytał Charłamp.

— On? nie dalbym za jego żywot starego wiechcia. Tak już było napisano i nie mogło go minąć, bo choćby mu się było z panem Wołodyjowskim powiodło, toby moich rąk nie uszedł. Ale wolę, że się tak stało, bo już i tak krzyki są na mnie, jako na mężobójcę bez litości. A co ja mam robić, jak mi kto w drogę wlezie? Panu Duńczewskiemu pięćset złotych basarunku musiałem zapłacić, a wiadomo waszmościom, że dobra ruskie nijakiej teraz intraty nie przynoszą.

— Prawda, że to waszmościów do szcztetu tam splądrowano! — rzekł Charłamp.

— Uf! Ciężki ten molojec — mówił dalej Zagłoba — ażem się zasapał! Splądrowano, bo splądrowano, ale mam też nadzieję, że nam sejm jakowąż prowizyi obmyśli — inaczej na śmierć pochudniemy. Ciężki też on, ciężki! Patrzcie waszmościowie, znowu zaczyna krwawić; skoczno waćpan, panie Charłamp, do karczmy, żeby żyd chleba z pajęczyną zagniół. Nie pomoże to wiele temu nieboszczykowi, ale opatrunek chrześcijańska rzecz i lżej mu będzie umierać. Żywo, panie Charłamp.

Pan Charłamp wysunął się naprzód i gdy nakoniec

wniesiono watażkę do izby, Zagłoba wnet zabrał się z wielką znajomością rzeczy i wprawą do opatrunku. Krew zatamował, rany pozalepiał, poczem zwrócił się do Eljaszenki:

— A ty dziadu tu niepotrzebny — rzekł. — Jedź co prędzej do Zaborowa, proś, żeby cię przed oblicze pańskie puszczono i list oddaj, a opowiedz coś widział, tak wszystko jak było. Jeśli zelżesz, będę wiedział, bom królewicza jegomości zaufany, i szyję ci uciąć każę. Chmielnickiemu też kłaniaj się odemnie, bo mnie zna i miłuje. Pogrzeb sprawimy twemu atamanowi uczciwy, a ty rób swoje, po kątach się nie włócz, bo cię gdzie zatłuką, nim się zdołasz wywieść ktoś taki. Bywaj zdrów! ruszaj, ruszaj!

— Pozwólcie panie zostać choć dopóty, dopóki nie ostygnie.

— Ruszaj, mówię ci! — rzekł groźnie Zagłoba — a nie, to cię każę chłopom do Zaborowa odstawić. A kłaniaj się Chmielnickiemu.

Eljaszenko pokłonił się w pas i wyszedł, Zagłoba zaś rzekł jeszcze do Charłampa i Sielickich:

— Wyprawilem tego kozaka, bo co on tu ma jeszcze do roboty, a niechże go naprawdę gdzie zatłuką, co łatwo się może zdarzyć, to na nasby winę zwalono. Pierwsi zasławczycy i pokurcze kanclerscy wrzeszczeliby na całe gardło, że ludzie księcia wojewody wymordowali, wbrew prawom Boskim, całe poselstwo kozackie. Ale mądra głowa na wszystko poradzi. Nie damy się tym gładzyszom, tym luszczybochenkom, tym podwikarzom w kaszy zjeść, a i waćpanowie też świadczcie w potrzebie, jak się wszystko odbyło i że on to sam nas wyzwiał. Muszę też jeszcze wójtowi tutejszemu przykazać, aby go

tam jakoś pochował. Nie wiedzą tu oni, kto to taki, będą myśleli, że to szlachcic i pochowają uczciwie. Nam też czas w drogę, panie Michale, bo trzeba jeszcze księciu wojewodzie zdać relację.

Chrapliwy oddech Bohuna przerwał dalsze słowa pana Zagłoby.

— Ocho, już dusza szuka sobie drogi — rzekł szlachcic. — Już też i ciemno się robi; po omacku pójdzie na tamten świat. Ale skoro tej naszej nieszczęsnej niebogi nie pohańbił, to dajże mu Boże wieczny odpoczynek — amen! Jedźmy, panie Michale. Z serca odpuszczam mu wszystkie winy, choć co prawda, więcej ja jemu w drogę lazęm, niż on mnie. Ale teraz koniec. Bywajcie waszmościowie zdrowi, miło mi było poznać tak zacnych kawalerów. Pamiętajcie jeno świadczyć w potrzebie.

ROZDZIAŁ XIII.

Książę Jeremi przyjął wieść o porąbaniu Bohuna dość obojętnie, zwłaszcza gdy się dowiedział, iż są ludzie, nie z pod jego chorągwi, gotowi w każdej chwili złożyć świadectwo, iż Wołodyjowski został wyzwany. Gdyby rzecz nie działa się na kilka dni przed ogłoszeniem wyboru Jana Kazimierza, gdyby walka kandydatów trwała jeszcze, niezawodnie nie omieszkaliby przeciwnicy Jeremiego, a na ich czele kanclerz i książę Dominik, ukuć przeciw niemu broni z tego zajścia, mimo wszelkich świadków i świadectw. Ale po ustąpieniu Karola umysły zajęte były czem innym i łatwo było zgadnąć, że cała sprawa utonie w niepamięci.

Mógł ją podnieść chyba Chmielnicki dla okazania, jakich to coraz nowych krzywd doznaje, książę jednak słusznie spodziewał się, iż królewicz, przesyłając odpowiedź, wspomni, lub każe od siebie powiedzieć, jakim sposobem zginął wysłaniec, a Chmielnicki nie będzie śmiał wątpić o prawdzie słów królewskich.

Chodziło bowiem księciu o to tylko, by nie narobiono politycznej wrzawy z powodu jego żołnierzy. Z drugiej strony, ze względu na Skrzetuskiego, rad był nawet książę z tego, co się stało, bo odzyskanie Kurce-

wieczny było istotnie teraz daleko prawdopodobniejsze. Można ją było odnaleźć, odbić lub wykupić — a kosztów, choćby jak największych, pewno nie byłby oszczędzał książę, byle ulubionego rycerza z boleści wybawić i szczęście mu powrócić.

Pan Wołodyjowski szedł było z wielkim strachem do księcia, gdyż chociaż wogóle mało był płochliwy, bał się jednak jak ognia każdego zmarszczenia brwi wojewody. Jakież tedy było jego zdumienie i radość, gdy książę, wysłuchawszy relacji i pomyślawszy przez chwilę nad tem, co się stało, zdjął kosztowny pierścień z palca i rzekł:

— Chwałę moderacyę waszmościów, iżście pierwsi go nie napadli, bo wielkie i szkodliwe mogły stąd powstać na sejmie hałasy. Ale jeśli kniaziówna się odnajdzie, to Skrzetuski będzie wam winien dozgonną wdzięczność. Dochodziły mnie słuchy, mości Wołodyjowski, że jak inni języka w gębie, tak waść szabelki w pochwie dotrzymać nie umiesz, za co należałaby ci się kara. Skoro jednak w sprawie przyjaciela stanąłeś i reputacyę naszych chorągwi z tak zawołanym junakiem utrzymałeś, to już weź ten pierścień, abyś miał jakową dnia tego pamiątkę. Wiedziałem, żeś dobry żołnierz i gracz na szale, aleś to podobno mistrz nad mistrze.

— On? — rzecze Zagłoba. — Onby dyabłu w trzecim złożeniu rogi obciął. Jeśli Wasza Książęca Mość każe mi kiedy szyję uciąć, proszę, aby nikt inny, jeno on ją odrąbał, bo przynajmniej od razu na tamten świat pójdę. On Bohuna nawpół przez pierś przeciął, a potem jeszcze go dwa razy przez rozum przejechał.

Książę kochał się w sprawach rycerskich i w do-

brych żołnierzach, więc uśmiechnął się z zadowoleniem i spytał:

— Znalazleście waść kogo równej siły na szable?

— Jeno mnie raz Skrzetuski trochę wyszczerbił, ale też i ja jego, wtedy, gdy to nas Wasza Książęca Mość pod bramę obydwóch wsadził — a z innych możeby i pan Podbipięta mi wytrzymał, bo ma siłę nadludzką — i bez mała Kuszel, gdyby miał lepsze oczy.

— Niech mu Wasza K. Mość nie wierzy — rzekł Zagłoba — jemuby nikt nie wytrzymał.

— A Bohun długo się bronil?

— Ciężką miałem robotę — rzekł pan Michał. — Umiał on i do lewicy przerzucać.

— Bohun sam mnie powiadał — przerwał Zagłoba — iż się z Kurcewiczami po całych dniach dla wprawy bijal i sam widziałem w Czehrynie, że z innymi to czynił.

— Wiesz co, mości Wołodyjowski — rzekł z udaną powagą książę — jedź pod Zamość, wyzwij Chmielnickiego na rękę i za jednym zamachem uwolnij Rzplitą od wszystkich klęsk i kłopotów.

— Za rozkazem W. K. Mości pojedę, byle Chmielnicki chciał mi stanąć — odpowiedział Wołodyjowski.

Na to książę:

— My żartujemy, a świat ginie! Ale pod Zamość musicie waszmościowie naprawdę jechać. Mam wiadomości z kozackiego obozu, iż gdy tylko wybór królewicza Kazimierza będzie promulgowany, Chmielnicki od oblężenia ustąpi i cofnie się aż na Ruś, co uczyni z prawdziwego lub symulowanego afektu do króla Jegomości, lub też dlatego, że pod Zamościem snadnieby się jego potęga mogła złamać. Wtedy musicie jechać, opowie-

dzieć Skrzetuskiemu, co się stało, by ruszył kniaziówny szukać. Powiedzcie mu, żeby sobie z chorągwi moich przy staroście waleckim wybrał tylu pocztowych, ilu będzie do ekspedycji potrzebował. Zresztą przeszlę mu przez was permissyę i dam list, bo mi jego szczęście wielce na sercu leży.

— Wasza Książęca Mość ojcem nas wszystkich jesteś — rzekł Wołodyjowski — dlatego po wiek życia w wiernych służbach trwać chcemy.

— Nie wiem, czyli nie głodna wkrótce u mnie będzie służba — rzekł książę — jeśli mi cała fortuna zadnieprzańska przepadnie, ale póki starczy, póty co moje, to wasze.

— O! — wykrzyknął pan Michał. — Nasze to chudopacholskie fortuny do Waszej K. Mości zawsze będą należały.

— I moja z innemi! — rzekł Zagłoba.

— Jeszcze tego nie trzeba — odparł łaskawie książę. — Mam też nadzieję, iż jeśli wszystko utracę, to Rzeczpospolita chociaż o dzieciach moich będzie pamiętała.

Książę, mówiąc to, widocznie miał chwilę jasnowiedzenia. Rzplita bowiem w kilkanaście lat później oddała jego jedynemu synowi, co miała najlepszego — to jest koronę, ale tymczasem olbrzymia fortuna Jeremiego istotnie była zachwiana.

— Tośmy się wywinęli — mówił Zagłoba, gdy obaj z Wołodyjowskim wyszli od księcia. — Panie Michale, możesz być pewien promocyi. Pokażno ten pierścień. Dalibóg, wart on ze sto czerwonych złotych, bo kamień bardzo piękny. Spytaj się jutro jakiego Ormianina na bazarze. Możnaby za takową kwotę i w jedle

i w napoju i w innych delicyach opływać. Cóż myślisz, panie Michale? Żołnierska to maksyma: dziś żyję, jutro gniję, a sens z niej taki, że na jutro nie warto się oglądać. Krótkie życie ludzkie, krótkie, panie Michale. Najważniejsze to, że już cię będzie odtąd ksiązę w sercu nosił. Dalby on był dziesięć razy tyle, żeby Skrzetuskiemu z Bohuna prezent zrobić, a tyś to uczynił. Możesz się spodziewać wielkich łask, wierzaj mi. Mało to ksiązę wsiów rycerstwu dożywotnie puścił, albo i zgoła podarował? Co tam taki pierścień! Pewnie i ciebie jakowa intrata spotka, a w ostatku jeszcze cię ksiązę z jaką krewniaczką swoją ożeni.

Pan Michał aż podskoczył.

— Skąd waść wiesz, że...

— Że co?

— Chciałem powiedzieć: co też waści w głowie? Jakżeby taka rzecz stać się mogła?

— Alboż to się nie trafia? alboż nie szlachcic? alboż to nie wszystka szlachta sobie równa? Mało to kaźden magnatus ma dalekich krewnych i krewniaczek między szlachtą, które to krewniaczki później za swych zacniejszych dworzan wydaje? Przecie podobno i Suffczyński z Sieńczy ma też jakąś daleką krewnę Wiśniowieckich. Wszyscyśmy bracia, panie Michale, wszyscyśmy bracia, choć jedni drugim służym, gdyż wspólnie od Jafeta pochodzimy, a cała różnica w fortunie i urzędach, do których kaźdy dojść może. Podobno gdzieindziej są dyferencye znaczne między szlachtą, ale parszywa też to szlachta! Rozumiem dyferencye między psami, jako są legawce, charty misterne, lub ogary głosem goniące, ale uważ, panie Michale, że ze szlachtą nie może tak być

oboyśmy psubratami nie szlachtą byli, której hańby dla tak wdzięcznego stanu Panie Boże nie dopuść!

— Słusznie waszmość mówisz — rzecze Wołodyjowski — ale przecie Wiśniowieccy, królewski to prawie ród.

— A ty, panie Michale, zali nie możesz być królem obran? Ja pierwszy, gdybym się uparł, tobiebym właśnie dał kreskę, jako pan Zygmunt Skarszewski, który przysięga, że za sobą samym będzie głosował, jeśli się tylko w kości nie zagra. Wszystko, chwalić Boga, u nas in liberis suffragiis — i chudopacholstwo to nasze, nie urodzenie, w drodze nam staje.

— Otóż to właśnie! — westchnął pan Michał.

— Cóż robić! Zrabowano nas ze szczętem i zginiemy, jeśli nam Rzplita jakowych prowentów nie obmyśli — zginiemy marnie! Cóż dziwnego, że człowiek, choć z natury i wstrzemięźliwy, lubi się napić w takich opresyach? Pójdźmy chyba, panie Michale, napić się po szklanceczce cienkusza, może się choć trochę pocieszymy.

Tak rozmawiając, doszli do Starego miasta i wstąpili do winiarni, przed którą kilkunastu pacholków trzymało szuby i burki pijącej w środku szlachty. Tam siadłszy za stołem, kazali sobie podać gąsiorek i poczęli się naradzać, co im teraz po pobiciu Bohuna począć wypada.

— Jeśli się sprawdzi, że Chmielnicki od Zamościa ustąpi i pokój nastanie, tedy kniaziówna już nasza — mówił Zagłoba.

— Trzebaby nam jak najprędzej do Skrzetuskiego. Już go też nie opuścimy, póki się dziewczyna nie odnajdzie.

— Pewnie, że razem pojedziemy. Ale teraz niema sposobu dostać się do Zamościa.

— To już wszystko jedno, byle nam Bóg później poszczęścił.

Zagłoba wychylił szklanicę.

— Poszczęści, poszczęści! — rzekł. — Wiesz, panie Michale, co ci powiem?

— Co takiego?

— Bohun zabit!

Wołodyjowski spojrział ze zdziwieniem:

— Ba, któż wie lepiej odemnie?

— Żeby ci się ręce święciły, panie Michale! Ty wiesz i ja wiem: patrzyłem, jakeście się bili, patrzę na waćpana teraz — i przecie muszę sobie ciągle powtarzać, bo mi się czasem zdaje, że to tylko sen takowy miałem. Co za troska ubyła, co za węzeł twoja szabla przecięła! Niechże cię kule biją! bo dalibóg, że i wypowiedzieć to się nie da. Nie, nie mogę wytrzymać! pójdź, niech cię jeszcze raz uściskam, panie Michale! Zali uwierzysz, że gdym cię poznał, pomyślałem sobie: at! chłystek! — a tu piękny chłystek, co Bohuna tak pochlaśtał. Niema już Bohuna, ni śladu, ni popiołu, zabit na śmierć, na wieki wieków amen!

Tu Zagłoba począł ścisnąć i całować Wołodyjowskiego, a pan Michał rozczulił się, jakby właśnie Bohuna żałował — w końcu jednak uwolnił się z objęć pana Zagłoby i rzekł:

— Nie byliśmy przy jego śmierci, a twarda to sztuka — nuż wyżyje?

— Na Boga, co waćpan mówisz! — rzekł Zagłoba. — Gotowem jutro jechać do Lipkowa i najpiękniejszy pogrzeb mu sprawić, byle tylko umarł.

— I po co waść pojedziesz? Przecie go rannego nie dobijesz. A z szablą to tak bywa: kto nie puści ducha od razu, ten najczęściej się wylize. Szabla to nie kula.

— Nie, nie może być! Już przecie rzeźić zaczynał, gdyśmy wyjeżdżali. O, wcale nie może być! Samem mu rany opatrywał. Piersi miał roztworzone jako wierzaje. Dajmy mu już spokój, bo wypatroszyleś go jak zajaca. Nam trzeba do Skrzetuskiego jak najprędzej, jemu pomódz, jego pocieszyć, bo zamrze od zgryzoty ze szczętem.

— Albo mnichem zostanie — sam mnie to mówił.

— Co dziwnego. I jabym na jego miejscu to uczynił. Nie znam zaciejszego kawalera, ale też i nieszczęśliwszego nie znam. Oj, ciężko go Bóg doświadcza, ciężko!

— Przystań już waszmość — mówił trochę pijany Wołodyjowski — bo nie mogę lez utrzymać.

— A jaż to mogę? — odparł Zagłoba. — Taki zacny kawaler, taki żołnierz... a i ona! waćpan jej nie znasz... robaczek to taki kochany!

Tu zawył pan Zagłoba niskim basem, bo istotnie bardzo kochał kniaziównę, a pan Michał wtórował mu trochę cieniem — i pili wino zmieszane ze łzami, a potem, spuściwszy głowy na piersi, siedzieli czas jakiś posepnie, aż wreszcie Zagłoba uderzył pięścią w stół.

— Panie Michale, czemu my płaczemy? Bohun zabit!

— A prawda — rzekł Wołodyjowski.

— Cieszyć się nam raczej wypada. Kpami będziemy, jeśli jej teraz nie odszukamy.

— Jedźmy — rzekł, wstając pan Michał.

— Naplijmy się! — poprawił Zagłoba. — Bóg da, że jeszcze ich dzieci będziemy do chrztu trzymali, a wszystko dlatego, żeśmy Bohuna usiekli.

— Dobrze mu tak! — dokończył Wołodyjowski, nie postrzegając się, że już pan Zagłoba dzieli się z nim zasługą uśmiercenia Bohuna.

ROZDZIAŁ XIV.

Nakoniec zabrzmiało „Te Deum laudamus“ w warszawskiej katedrze i „pan siadł na majestacie“, huczały działa, biły dzwony — i otucha poczęła wstępować we wszystkie serca. Przecie minął już czas bezkrólewia, czas zawichrzeń i niepokojów, tem straszniejszy dla Rzeczypospolitej, iż przypadł w chwilach powszechnej klęski. Ci, co drżeli na myśl grożących niebezpieczeństw, teraz, gdy elekcyja odbyła się nad podziw zgodnie, odetchnęli głęboko. Wielom zdawało się, iż bezprzykładna wojna domowa minęła już raz na zawsze i że nowoobranemu panu pozostaje tylko sąd nad winnymi. Jakoż nadzieję tę podtrzymywało i zachowanie się samego Chmielnickiego. Kozacy pod Zamościem, szturmując zaciekle do zamku, głośno jednak oświadczali się za Janem Kazimierzem. Chmielnicki słał przez księdza Huncla Mokrskiego listy pełne poddańczej wierności, a przez innych posłańców pokorne prośby o łaskę dla siebie i wojska zaporoskiego. Wiedzano też, że król, zgodnie z polityką kanclerza Ossolińskiego, pragnie znaczne kozakom poczynić ustępstwa. Jak niegdyś przed pilawiecką klęską wojna, tak teraz pokój był na wszystkich ustach. Spodziewano się, że po tylu klęskach Rzecz-

pospolita odetchnie i pod nowem panowaniem ze wszystkich ran się wygoi.

Nareszcie wyjechał Śniarowski z listem królewskim do Chmielnickiego i wkrótce rozeszła się wieść radosna, że kozacy ustępują z pod Zamościa, ustępują aż na Ukrainę, gdzie spokojnie oczekiwać będą rozkazów królewskich i komisji, która rozpatrzeniem ich krzywd ma się zająć. Zdawało się, że po burzy tęcza siedmiobarwna zawisła nad krajem, zwiastująca ciszę i pogodę.

Nie brakło wprawdzie niepomyślnych wróżb i przepowiedni, ale wobec pomyślnej rzeczywistości nie przywiązywano do nich wagi. Król pojechał do Częstochowy, by naprzód opiekunce Boskiej za wybór podziękować i pod opiekę dalszą się oddać, a następnie do Krakowa na koronację. Za nim pociągnęli dygnitarze, Warszawa opustoszała, zostali w niej tylko „exules“ z Rusi, którzy do swych zrujnowanych fortun wracać jeszcze nie śmieli, lub też nie mieli po co.

Księżę Jeremi, jako senator Rzeczypospolitej, musiał udać się z królem, Wołodyjowski zaś i Zagłoba, na czele jednej chorągwi dragońskiej, pociągnęli śpiesznymi pochodami do Zamościa, by Skrzetuskiemu szczęśliwą nowinę o przygodzie Bohunowej zwiastować, a następnie razem na poszukiwanie kniaziówny wyruszyć.

Pan Zagłoba opuszczał Warszawę nie bez pewnego żalu, bo w tym niezmiernym zjeździe szlachty, w gwarze elekcyjnym, w ciągłych hulankach i burdach, na wspólną z Wołodyjowskim czynionych, było mu tak dobrze, jak rybie w morzu. Ale pocieszał się myślą, że wraca do życia czynnego, do poszukiwań, przygód i fortelów, których obiecywał sobie nie skąpić, a zresztą miał on swoją opinię o niebezpieczeństwach stołecznych

którą w następujący sposób Wołodyjowskiemu wyluszczał:

— Prawda jest, panie Michale — mówił — że dokonaliśmy wielkich rzeczy w Warszawie, ale broń Boże dłuższego pobytu, tak, mówię ci, zniewieścielibyśmy, jak ów sławny Kartagińczyk, którego słodkość aury w Kapui ze szczętem zdebilitowała. A najgorsze ze wszystkiego białogłowy. One każdego do zguby doprowadzą, bo to sobie zauważ, że niemasz nic zdradliwszego nad niewiastę. Człowiek się starzeje, ale go jeszcze ciągną...

— Et, dalbyś waćpan pokój — przerwał Wołodyjowski.

— Sam ja to sobie często powtarzam, bo czasby było się ustatkować — jeno krew mam jeszcze zbyt gorącą. W tobie jest więcej flegmy, a we mnie sama cholera. Ale mniejsza z tem. Zaczniemy teraz inne życie. Już też bywało, przykrzyło mi się nieraz bez wojny. Chorągiewkę mamy dobrze okrytą, a tam pod Zamościem dokazują jeszcze kupy swawolne, to się z niemi, idąc po kniaziównę, zabawimy. Obaczymy też i Skrzetuskiego i tego wielkoluda, tego żórawia litewskiego, tę tykę chmielową, pana Longina, bośmy go też siłą czasu nie widzieli.

— Waćpan tęsknisz po nim, a jak go widzisz, to spokoju mu nie dajesz.

— Bo co się odezwie, to tak, jakby twój koń ogniem ruszył; a ciągnie każde słowo jak szewc skórę. Wszystko u niego w siłę przeszło, nie w głowę. Jak kogo weźmie w ramiona, to mu żebra przez skórę powyciska, niemasz zaś takowego dziecka w Rzeczypospolitej, któreby go najśnadniej na hak przywieść nie mo-

gło. Słychanaż to rzecz, żeby człek takiej fortuny taki był hebes?

— Zaś on naprawdę ma taką fortunę?

— On? Jakem go poznał, trzos miał taki wypchany, że się opasać nim nie mógł i tak go nosił, jako wędzoną kielbasę. Można było nim jak kijem machać, ani się zgiął. Sam mnie mówił, ile ma wsiów: Myszykiszki, Psikiszki, Pigwiszki, Syruciany, Ciapuciany, Kapuściany (raczej Kapuściana — ale głowę), Baltupie — ktoby tam pamiętał te wszystkie pogańskie nazwy! Z pół powiatu do niego należy. Wielki to u boćwinków ród Podbiętiowie.

— A nie koloryzujesz waść trocha o owych majątnościach?

— Ja nie koloryzuję, bo powtarzam to, com od niego słyżał, a on przecie póki życia nie zełgał, bo zresztą i na to za głupi.

— No, to będzie Anusia panią całą gębą. Ale co o nim waćpan mówisz, że głupi, na to się żadną miarą zgodzić nie mogę. Stateczny to mąż i tak roztropny, że w potrzebie nikt lepszej rady nie udzieli, a że nie frant, to trudno. Nie każdemu dał Pan Bóg tak obrotny język, jak waści. Co to gadać! wielki to rycerz i najzacniejszy człowiek, a dowód: że waćpan sam go miłujesz i rad go ujrzysz.

— Skaranie z nim Boże — mruknął Zagłoba. — Dłategom tylko rad, że mu będę panną Anną przypiekał.

— Tego ja waćpanu czynić nie radzę, bo to jest rzecz niebezpieczna. Jego choćby do rany przyłożyć, ale w takowym terminie pewnieby stracił cierpliwość.

— Niechby stracił. Uszybym mu obciął, jak panu Duńczewskiemu.

— Dajno waćpan pokój. Nieprzyjacielowi nie życzylbym próbować.

— No, no, niech go jeno obaczę.

Życzenie to pana Zagłoby spełniło się prędzej, niż myślał. Dojechawszy do Końskowoli, postanowił Wołodziejowski zatrzymać się na odpoczynek, bo konie były już mocno zdrażone. Któż więc opíše zdziwienie obydwóch przyjaciół, gdy wszedłszy do ciemnej sieni zajazdu, w pierwszym spotkanym szlachciu rozpoznali pana Podbipiętę.

— Jakże się waszmość masz! siła czasu! siła czasu! — wołał Zagłoba. — A że cię to kozacy nie usiekli w Zamościu!

Pan Podbipięta brał z kolei obydwóch w ramiona i obcałowywał po policzkach.

— O to, żeśmy się spotkali, co? — powtarzał z radością.

— Gdzie jedziesz? — pytał Wołodziejowski.

— Do Warszawy, do księcia pana.

— Księcia niema w Warszawie. Pojechał do Krakowa z królem Jegomością, przed którym ma nieść jabłko na koronacy.

— A mnie pan Weyher do Warszawy wyprawił z listem i z zapytaniem, gdzie książęce regimenta mają iść, bo już, chwalić Boga, w Zamościu niepotrzebne.

— To i nie potrzebujesz nigdzie jechać, bo my wieziemy ordynanse.

Pan Longinus zasepił się, bo z duszy życzył sobie dotrzeć do księcia, zobaczyć dwór i szczególnie jedną małą osóbkę na tym dworze.

Zagłoba począł mrugać znacząco na Wołodziejowskiego.

— A tak i do Krakowa pojedę — rzekł po chwili namysłu Litwin. — Kazali mnie list oddać, to oddam.

— Chodźmy do izby, każemy sobie piwa zagrzać — rzekł Zagłoba.

— A wy gdzie jedziecie? — pytał po drodze Longinus.

— Do Zamościa, do Skrzetuskiego.

— Porucznika niema w Zamościu.

— Masz babo placek! Gdzież on jest?

— Koło Choroszczyna gdzieś, gromi kupy swawolne. Chmielnicki cofnął się, ale jego pułkownicy po drodze palą, rabują i ścinają. Na tych starosta walecki odkomenderował pana Jakóba Regowskiego, żeby ich znosił...

— I Skrzetuski jest z nim także.

— Takoż. Ale oni osobno chodzą, bo wielkie są między nimi emulacye, o których waszmościom później opowiem.

Tymczasem weszli do izby. Zagłoba kazał zagrzać trzy garnce piwa, poczem, zbliżywszy się do stołu, za którym Wołodyjowski z panem Longinem już zasiedli, rzekł:

— Bo waćpan, panie Podbipięta, nie wiesz największej i szczęśliwej nowiny, żeśmy z panem Michałem Bohuna na śmierć usiekli.

Litwin aż się z ławy podniósł.

— Braciaż wy rodzeni, możesz to być?

— Jak nas tu żywych widzisz.

— I wy jego we dwóch usiekli?

— Tak jest.

— Oto nowina! a Boże, Boże! — mówił Litwin,

plasnawszy w dłonie. — Mówisz waćpan: we dwóch! — jakto we dwóch?

— Bom go naprzód przez fortele do tego doprowadził, że nas wyzwiał — rozumiesz wasze? — poczem pan Michał pierwszy stanął i tak go, mówię waści, pokrajał, jak wielkanocne prosię, rozebrał go jak pieczonego kapłona — rozumiesz wasze?

— To waść drugi nie stawał?

— No patrzcie się! — rzekł Zagłoba — widzę, że waść musiałeś sobie krew puszczać i ze słabości na umyśle szwankujesz. Rozumiałeś, że będę z trupem stawał, albo że leżącego już będę docinał?

— Bo mówileś waść, żeście go we dwóch usiekli.

Pan Zagłoba ramionami ruszył.

— Świętej cierpliwości z tym człowiekiem. Panie Michale, zali nie obydwóch nas Bohun wyzwiał?

— Tak jest — rzecze Wołodyjowski.

— Pojąłeś waść teraz?

— Niech i tak będzie — odparł Longinus. — To pan Skrzetuski szukał Bohuna pod Zamościem, a jego tam już nie było.

— Jakto go Skrzetuski szukał?

— Muszę już ja widzieć wszystko ab ovo waćpanom opowiedzieć, właśnie tak, jak się odbyło — rzekł pan Longinus. — Zostaliśmy tedy, jak wiecie, w Zamościu, a wy ruszyliście do Warszawy. Na kozaków nie czekaliśmy zbyt długo. Przyszły ich chmary nieprzejrzane z pode Lwowa, że okiem wszystkich z murów nie objąłeś. Ale nasz książę tak Zamość opatrzył, że byliby pod nim dwa lata stali. Myśleliśmy, że nie będą wcale szturmowali i wielki był z tego powodu między nami smutek, bo każdy sobie rozkosze z ich kłęski obie-

cywał, a że byli z nimi i Tatarzy, więc ja także miałem nadzieję, że mnie Pan Bog miłosierny da moje trzy głowy...

— Proś go waćpan o jedną, proś o jedną, a dobrą — przerwał Zagłoba.

— A waćpan zawsze taki sam — słuchać hadko — rzekł Litwin. — Myśleliśmy tedy, że nie będą szturmowali, oni tymczasem, jako to szaleni w swej zatwardziałości, zaraz wzięli się do budowania machin, a potem nuż szturmować! Pokazało się później, że Chmielnicki sam nie chciał, ale Czarnota, ich oboźny, wziął na niego napadać i mówić, że to go tchórz obleciał — że już z Lachami myśli się bratać — więc Chmielnicki pozwolił i pierwszego Czarnotę posłał. Co się działo, braciaszki, tego ja wam nie wypowiem. Świata z za dymu i z za ognia nie było widać. Poszli z początku odważnie, zasypali fosę, darli się na mury; aleśmy im tak przygrzali, że potem i od murów i od własnych machin pouciekali; dopiero wypadliśmy za nimi w cztery chorągwie i narznęliśmy jak bydła.

Wołodyjowski zatarł ręce.

— Uch! żałuję, że nie był na tym festynie! — wykrzyknął z uniesieniem.

— I ja byłbym się tam przydał — rzekł ze spokojną pewnością Zagłoba.

— A już wtedy najwięcej dokazywali pan Skrzetuski i pan Jakób Regowski — mówił dalej Litwin — obaj wielcy kawalerowie, ale zgoła sobie nieprzyjaźni. Zwłaszcza pan Regowski krzywił się na Skrzetuskiego i byłby niezawodnie szukał okazji, gdyby nie to, że pan Weyher pod gardłem zabronił pojedynków. Nie rozu-

mieliśmy z początku, o co panu Regowskiemu chodzi, aż i wyszło na wierzch, że to krewny pana Łaszczka, którego księżę z powodu pana Skrzetuskiego, jako pamiętacie, z obozu wypędził. Stąd złość w Regowskim do księcia, do nas wszystkich, a zwłaszcza do porucznika, stąd i emulacja między nimi, która obu w tem oblężeniu wielką sławą okryła, bo się jeden nad drugiego wysadzał. Obaj byli pierwsi i na murach i w wyścijkach, aż wreszcie sprzykrzyło się Chmielnickiemu szturmować i regularne rozpoczął oblężenie, nie zaniedbując przytem i fortelów, któreby go do zdobycia miasta mogły doprowadzić.

— Tyle samo on albo i więcej ufa w chytróść! — rzekł Zagłoba.

— Szalony człowiek, a przytem i obscurus — mówił dalej Podbipięta — sądził, że pan Weyher jest Niemiec, widać nie słyszał o wojewodach pomorskich tego nazwiska, bo napisał list, chcąc starostę do zdrady namówić, jako cudzoziemca i jurgieltnika. Dopieroż mu pan Weyher odpisał, co zacy jest i jako się źle z pokusą do niego wybrał. Ten list, żeby to pokazać lepiej swój walor, chciał koniecznie starosta przez kogoś znacniejszego, nie przez trębacza wysłać, a że to się jak na zgubę między tak dzikie bestye idzie, nie było chętnych między towarzystwem. Inni się też na godność oglądali, więc ja się podjąłem — i tu słuchajcie, bo co najciekawsze, to się dopiero zaczyna.

— Słuchamy pilnie — rzekli dwaj przyjaciele.

— Pojechałem tedy i zastałem hetmana pijanego. Przyjął mnie jadownicie, zwłaszcza gdy list przeczytał i buławą groził — a ja, polecając pokornie duszę Bogu, tak sobie wszystko myślałem: już też, jeśli mnie tknie,

tak mu pięścią głowę rozbiję. Co było robić, braciaszki kochane — co?

— Zacie to było ze strony waćpana tak myśleć — rzekł z pewnem rozrzewnieniem Zagłoba.

— Ale go pułkownicy mitygowali i drogę mu do mnie zagradzali — mówił pan Longinus — a najbardziej jeden młody, tak śmiały, że go w pól brał i odciągał, mówiąc: „nie pójdziesz, baćku, upileś się“. Patrzą ja, kto mnie tak broni i dziwię się jego śmiałości, że taki z Chmielnickim konfident — aż to Bohun.

— Bohun? — wykrzyknęli Wołodyjowski i Zagłoba.

— Tak jest. Poznałem go, bom go w Rozłogach widział — i on mnie takż. Słyszę: mówi do Chmielnickiego: „to mój znajomy“. A Chmielnicki, jako to prędką u pijaków rezolucya, odpowiada: „kiedy on twój znajomy, synku, tak dać jemu pięćdziesiąt talarów — a ja dam respons“. I dał mi respons, a co do talarów rzekłem, by bestyi nie drażnić, żeby je dla hajduków schował, bo nie moda towarzyszowi musztuluków brać. Odprawili mnie z namiotu dość uczciwie — ale ledwom wyszedł, przychodzi do mnie Bohun: „My się w Rozłogach widzieli“ mówi. „Tak jest (rzekę) jenom się wtedy nie spodziewał, braciaszku, że cię w tym obozie ujrzę“. — A on na to: „nie własna wola, ale nieszczęście zagnało!“ W rozmowie powiedziałem mu, jakeśmy to jego za Jarmolińcami pobili. „Jam nie wiedział, z kim mam do czynienia (rzekł mi na to) i w rękę byłem zacięty, a ludzi miałem do niczego, bo myśleli, że to sam książ Jarema ich bije“. I myśmy nie wiedzieli (powiadam), bo żeby pan Skrzetuski wiedział, że to ty, tedyby jeden z was już nie żył.

— Pewnieby tak było, ale cóż on na to? — pytał Wołodyjowski.

— Zalterował się mocno i odwrócił rozmowę. Opowiadał mi, jako Krzywonos wysłał go z listami do Chmielnickiego pod Lwów, żeby wczasu trochę zażył, a Chmielnicki nie chciał go napowrót odesłać, bo go zamyslał do innych posylek użyć, jako mającego prezen-cyę. Nakoniec pyta: „gdzie pan Skrzetuski?” — a gdym mu powiedział, że w Zamościu, rzekł: „to się może spotkamy” — i z tem go pożegnałem.

— Już zgaduję, że go zaraz potem Chmielnicki wysłał do Warszawy — mówił Zagłoba.

— Tak jest, ale czekajże waćpan. Wróciłem tedy do fortecy i zdałem sprawę panu Weyherowi z poselstwa. Była już późna noc. Nazajutrz dzień znowu szturm, jeszcze zajadlejszy niż pierwszy. Nie miałem czasu widzieć się z panem Skrzetuskim, dopiero trzeciego dnia mówię mu, że Bohuna widział i z nim mówił. A było przytem siła oficerów i z nimi pan Regowski. Ten zasłyszawszy, rzecze z przekazem: „Wiem ja, że tam o pannę chodzi; jeśli waszmość taki rycerz, jak sława niesie, to masz Bohuna: wyzwij go na rękę, a już bądź pewien, że ci ten zabijaka nie odmówi. Będziem mieli z murów piękny prospectus. Ale o was Wiśniowieczkach więcej (powiada) mówią, niż jest”. Na to pan Skrzetuski jak spojrzy na pana Regowskiego — jakby go kto z nóg ściał! „Tak waćpan radzisz? (spyta) — a dobrze! Nie wiem jeno, czybyś waszmość, który naszej cnocie przymawiasz, miał odwagę pójść między czerń wyzwąć odemnie Bohuna”. A Regowski: „Odwagę mam, alem waszmości ni swat, ni brat — nie pójdę”. Dopieroż inni w śmiech z pana Regowskiego. „O! (pra-

wią) małyś teraz, a jak o cudzą skórę chodziło, toś był wielki!* Więc Regowski, jako to ambitna sztuka, wziął na kiel i podjął się. Nazajutrz dzień poszedł z wyzwaniem — ale już Bohuna nie znalazł. Nie wierzyliśmy zrazu relacyi, ale teraz dopiero, po tem, coście mi waszmościowie powiedzieli, widzę, że prawda. Bohuna musiał Chmielnicki istotnie wysłać i tameście go waszmościowie usiekli.

— Tak to i było — rzeźce Wołodyjowski.

— Powiedzże nam wasze — pytał Zagłoba — gdzie my teraz Skrzetuskiego znajdziemy, bo znaleźć go musimy, aby zaraz z nim po dziewczynę wyruszyć.

— Łatwo się o niego za Zamościem dopytacie, bo tam o nim głośno. Kalinę, pułkownika kozackiego, obaj z Regowskim, do rąk sobie podając, ze szczeniem znieśli. Później Skrzetuski na własną rękę dwa razy czambuły tatarskie pogromił i Burlaja zniósł i kup kilka rozbił.

— A że to Chmielnicki na to pozwala?

— Chmielnicki ich się wypiera i mówi, że wbrew jego rozkazom łupią. Inaczejby nikt w jego wierność i posłuszeństwo dla króla Jegomości nie uwierzył.

— Bardzo też liche piwsko w tej Końskowoli! — zauważył pan Zagłoba.

— Za Lublinem już pójdziecie waszmościowie krajem spustoszoneym — mówił dalej Litwin — bo podjazdy aż za Lublin dochodziły i Tatarowie jassyr wszędy brali, a co koło Zamościa i Hrubieszowa zagarnęli, Bóg jeden zliczy. Kilka tysięcy odbitych jeńców odesłał już Skrzetuski do fortecy. Pracuje on tam ze wszystkich sił, na własne zdrowie nie dbając.

Tu westchnął pan Longinus i spuścił głowę w zamysleniu, a po chwili tak dalej mówił:

— Ot, myślę, że Bóg w miłosierdziu najwyższem niechybnie pocieszy pana Skrzetuskiego i da mu to, w czem sobie szczęście upatrzył, bo wielkie są zasługi tego kawalera. W tych czasach zepsucia i prywaty, gdy każdy o sobie tylko myśli, on o sobie zapomniał. Taż on, brateńki, dawno mógł permissyę od księcia pana otrzymać i jechać na szukanie kniaziówny, a zamiast tego, gdy na miłą ojczyznę paroksyzm przyszedł, ani na chwilę służby nie porzucił, z męką w sercu w ustawicznej pracy trwając.

— Rzymską on ma duszę, niema co mówić! — rzekł Zagłoba.

— Przykład z niego brać powinniśmy.

— Szczególniej waćpan, panie Podbipięto, który na wojnie nie pożytku ojczyzny, ale trzech głów szukasz.

— Bóg patrzy w duszę moją! — rzekł pan Longinus, wznosząc oczy ku niebu.

— Skrzetuskiemu już Pan Bóg wynagrodził śmiercią Bohunową — rzekł Zagłoba — i tem, że dał chwilę spokoju Rzeczypospolitej, bo teraz czas dla niego nadszedł, by o odszukaniu zguby pomyślał.

— Waćpanowie z nim pojedziecie? — pytał Litwin.

— A waszmość to nie?

— Radbym ja z duszy serca, ale co z listami będzie? Jeden wiozę od starosty waleckiego do króla Jegomości, drugi do księcia, a trzeci właśnie od pana Skrzetuskiego, takż do księcia, z prośbą o permissyę.

— Permissyę my mu wieziemy.

— Ba, ale jakże mnie listów nie odwieźć.

— Musisz waćpan jechać do Krakowa, nie może być inaczej. Zresztą powiem szczerze: radbym w onej wyprawie po kniaziównę mieć takie pięście, jako są waćsine, za plecami, ale w czem innym, toś się waćs na nic nie zdał. Tam trzeba będzie symulować, a najpewniej przebrać się w świty kozackie, chłopów udawać — a waćs tak w oczy leziesz swoim wzrostem, że każdyby się zaraz pytał: co to za drągal? skąd się takowy kozak wziął? — Prócz tego waćpan i mowy ich wybornie nie umiesz. Nie, nie! jedź waćs do Krakowa, a my sami damy sobie jakoś radę.

— Tak i ja myślę — rzekł Wołodyjowski.

— Pewno, że tak musi być — odpowiedział pan Podbięta. — Niechże wam Bóg miłosierny błogosławi i pomoże. A czy wiecie, gdzie ona ukryta?

— Bohun nie chciał powiedzieć. Wiemy jeno to, com ja podłuchał, gdy mnie to Bohun w chlewie więził, ale to dosyć.

— Jakże wy ją znajdziecie?

— Moja głowa, moja głowa! — rzekł Zagłoba. — Bywałem ja w trudniejszych terminach. Teraz rzecz tylko w tem, byśmy do Skrzetuskiego najprędzej się dostali.

— Pytajcie się w Zamościu. Pan Weyher musi wiedzieć, bo on z nim koresponduje i jeńców mu pan Skrzetuski odsyła. Niech was Bóg błogosławi!

— I waćpana również — rzekł Zagłoba. — Jak będziesz w Krakowie u księcia, pokłoń się od nas panu Charłampowi.

— Któż to taki?

— To jeden Litwin, nadzwyczajnej gładkości, za

którym wszystkie panny z fraucymeru księżnej głowy potraciły.

Pan Longinus zadrzał.

— Dobrodzieju mój, chyba kpiny?

— Bądź waćpan zdrow! Okrutnie tu liche piwsko w tej Końskowoli — zakończył pan Zagłoba, mrugając na Wołodyjowskiego.

ROZDZIAŁ XV.

Odjechał więc pan Longinus do Krakowa z sercem przeszytem strzałą, a okrutny pan Zagłoba wraz z Wołodyjowskim do Zamościa, gdzie nie zabawili dłużej jak jeden dzień, gdyż komendant, starosta walecki, oznajmił im, że dawno już nie miał wiadomości od Skrzetuskiego i sądził, że regimenty, które pod Skrzetuskim ruszyły, pójdą na prezydyum do Zbaraża, aby tamte kraje od kup swawolnych zasłaniać. Było to tem prawdopodobniejsze, że Zbaraż, jako własność Wiśniowieckich, szczególnie był na zapędy śmiertelnych wrogów księcia wystawiony. Otwierała się więc przed panem Wołodyjowskim i Zagłobą długa i dosyć trudna droga, ale że i tak, idąc po kniaziównę, musieliby ją przebyć, było im zatem wszystko jedno, czy to prędzej, czy później nastąpi, i ruszyli w nią bez zwłoki, tyle się tylko zatrzymując, ile trzeba było dla odpoczynku, lub gromienia kup rozbójniczych, które się jeszcze tu i owdzie wałęsały.

Szli krajem tak zniszczonym, że częstokroć po całych dniach żywej duszy nie mogli napotkać. Miasteczka leżały w perzynie, wsie były popalone i puste, lud wybity, lub w jassyr zagarnięty. Trupy tylko spo-

tykali po drodze, szkielety domów, kościołów, cerkwi, niedogarki chat wiejskich i psy na zgliszczach wyjące. Kto powódź tatarsko-kozacką przeżył, chronił się w głębinach leśnych i marzył z zimna, lub głodem przymierał, nie śmiejąc się jeszcze z lasów wychylić, nie wierząc, by nieszczęście mogło już minąć. Konie z pod swej chorągwi musiał Wołodyjowski karmić korą drzew, lub nawpół spalonem zbożem, które ze zgliszczów dawnych spichrzów wydobywano. Ale szli szybko, ratując się głównie tymi zapasami, które rozbójniczym oddziałom zabierali. Był to już koniec listopada, a o ile zeszłoroczna zima przeszła, z największym podziwem ludzkim, bez śniegów, mrozów i lodu, tak że cały porządek natury zdawał się być przez nią odmieniony, o tyle terazniejsza zapowiadała się ostrzej niż zwykle. Ziemia skrzępła, śniegi leżały już na polach, a brzegi rzek bramowały się rankami przezroczyłą skorupą szklaną. Pogoda była sucha, blade promienie słoneczne słabo tylko ogrzewały świat w godzinach południowych; natomiast rankami i wieczorami paliły się na niebie czerwone zorze — niechybna przepowiednia rychłej i silnej zimy.

Po wojnie i głodzie miał nadejść trzeci wróg nędzy ludzkiej — mróz, a jednak ludzie wyglądali go z upragnieniem, był on bowiem pewniejszym od wszystkich układów hamulcem wojny. Pan Wołodyjowski, jako człowiek doświadczony i nawskróś Ukrainę znający, pełen był nadziei, że wyprawa po kniaziównę przyjdzie już niechybnie do skutku, bo główna przeszkoda — wojna — nie położy jej tak prędko tamy.

— Nie wierzę ja w szczerłość Chmielnickiego — mówił — żeby on z afektu dla króla Jegomości na

Ukrainę się cofał; ale to chytry lis! Wie on, że gdy kozacy okopać się nie mogą, to nic po nich, bo w otwartym polu, choćby i pięćkroć liczniejsi, naszym chorągwiom nie dostoją. Pójdą oni teraz do zimowników, a stada posła w śniegi. Tatarzy też potrzebują jassyr odprowadzić. Jeśli zima będzie tęga, to będziemy mieli spokój aż do przyszłej trawy.

— Może i dłużej, bo wszelako mają oni respekt dla króla Jegomości. Ale nam i tyle czasu nie potrzeba. Da Bóg na zapusty wyprawimy panu Skrzetuskiemu wesele.

— Byliśmy się tylko teraz z nim nie minęli, bo nowa byłaby mitręga.

— Trzy chorągwie są przy nim, to przecie nie w korcu ziarnka szukać. Może go jeszcze pod Zbarazem dognamy, jeśli się gdzie dłużej koło hajdamaków zabawi.

— Dognać go nie możemy, ale powinniśmy mieć wieści po drodze — odrzekł Wołodyjowski.

O wieści jednak było trudno. Chłopi widzieli tu i owdzie przechodzące chorągwie, słyszeli o bitwach staczanych przez nie z rabusiami, ale nie umieli powiedzieć, czyjeby były te chorągwie, że zaś mogły one być tak dobrze Regowskiego, jak Skrzetuskiego, więc dwaj przyjaciele nie mieli żadnej pewności. Natomiast doleciała ich uszu inna wieść: o wielkich niepowodzeniach kozackich przeciw wojskom litewskim. Krążyła już ona w formie pogłoski, w wigilią wyjazdu Wołodyjowskiego z Warszawy, ale jeszcze wątpiono, teraz zaś rozbiegła się po całym kraju, ze wszelkimi szczegółami, jako niezbita prawda. Za klęski zadane przez Chmielnickiego wojskom koronnym, zapłaciły klęską litewskie. Dał głowę

Półksiężyc, wódz stary i doświadczony, i dziki Nebaba, i potężniejszy od nich obydwóch Krzczowski, który nie starostw i województw, nie dostojenstw i godności, ale pała się w buntowniczych szeregach dorobił. Zdało się, że jakaś dziwna Nemezis zapragnęła pomścić na nim niemiecką krew, przelaną w lasze dniewrowej, krew Flika i Wenera, gdyż wpadł właśnie w ręce niemieckiego regimentu radziwillowskiego, i lubo postrzelany i ciężko ranny, został natychmiast na pal wbity, na którym nieszczęsny drgał jeszcze cały dzień, nim posępną duszę wyzionął. Taki był koniec tego, który przez swe męstwo i geniusz wojenny drugim Stefanem Chmielckim mógł zostać, ale którego wygórowana żądza bogactw i dostojenstw pchnęła na drogę zdrad, krzywoprzysięstwa i straszliwych, godnych samego Krzywonosą mordów.

Z nim, z Półksiężycem i z Nebabą blisko dwadzieścia tysięcy młojców położyło głowy na pobojuwisku, lub potopilo się w błotach Prypeci; strach więc przeleciał jak wichur nad bujną Ukrainą, bo zdało się wszystkim, że to po wielkich tryumfach, po Żółtych wodach, Korsuniu, Piławcach, przychodzi czas na takie pogromy, jakich pod Solonicą i Kumejkami doznały poprzednie bunty. Sam Chmielnicki, choć na szczycie sławy, choć potężniejszy niż kiedykolwiek, zląkł się, gdy się o śmierci „druha“ Krzczowskiego dowiedział, i znów czarownic zaczął o przyszłość pytać. Wróżyły różnie — wróżyły nowe wielkie wojny i zwycięstwa i klęski — nie umiały jednak powiedzieć hetmanowi, co się z nim samym stanie.

Ale tymczasem, właśnie z powodu klęski Krzczowskiego, również jak z powodu zimy, tem pewniej-

szy był długi spokój. Kraj poczał się koić, spustoszone wioski zaludniać i otucha wstępowała zwolna we wszystkie zwątpiałe i przerażone serca.

Z tą samą otuchą nasi dwaj przyjaciele, po długiej i trudnej podróży, dojechali szczęśliwie do Zbaraża i oznajmiwszy się w zamku, natychmiast udali się do komendanta, w którym, z niemałym zdziwieniem, poznali Wierszullę.

— A gdzie Skrzetuski? — pytał po pierwszych powitaniach Zagłoba.

— Niemasz go — odpowiedział Wierszull.

— To waść masz komendę nad prezydyum?

— Tak jest. Miał Skrzetuski, ale wyjechał i mnie zdał załogę aż do swego powrotu.

— A kiedy obiecał wrócić?

— Nic nie mówił, bo sam nie wiedział, jeno mi tak rzekł na odjezdnem: „jeśliby kto do mnie przyjechał, tedy mu powiedz, żeby tu mnie czekał.“

Zagłoba z Wołodyjowskim spojrzeli na siebie.

— Jak dawno pojechał? — pytał pan Michał.

— Dziesięć dni temu.

— Panie Michale — rzekł Zagłoba — niechże pan Wierszull da nam wieczerzę, bo źle się radzi na głodno. Przy wieczerzy pogadamy.

— Z serca służę waszmościom, bom i sam też miał do stołu siadać. Zresztą pan Wołodyjowski, jako starszy oficer, bierze komendę, więc to ja jestem u niego, nie on u mnie.

— Zostań przy komendzie, panie Krzysztofie — rzekł Wołodyjowski — boś starszy wiekiem, przytem mnie pewno jechać wypadnie.

Po chwili wieczerza była podana. Siedli, jedli, a gdy

pan Zagłoba zaspokoił już nieco pierwszy głód dwoma miskami juszki, rzekł do Wierszula:

— Nie suponujesze waćpan, gdzie mógł jechać pan Skrzetuski?

Wierszul kazał iść precz pacholkom, posługującym do stołu, po chwili namysłu tak mówić począł:

— Suponuję, ale siła Skrzetuskiemu na tajemnicy zależy, więc nie chciałem przy służbie gadać. Korzystał on z pomyślnego czasu, bo pewnie tu do wiosny będzie w spokoju stali — i wedle moich supozycyj, pojechał na poszukiwanie kniaziówny, która w Bohunowem jest ręku.

— Bohuna niema już na świecie — rzekł Zagłoba.

— Jakto?

Pan Zagłoba opowiedział po raz trzeci, czy czwarty wszystko jak było, bo opowiadał to zawsze z przyjemnością; Wierszul również, jak pan Longinus, nie mógł się wydziwić zdarzeniu, nakoniec rzekł:

— To Skrzetuskiemu będzie łatwiej,

— W tem rzecz, czy ją odnajdzie. A ludzi ze sobą wziął jakowych?

— Nikogo, sam pojechał — z jednym Rusinkiem, pacholikiem i z trzema końmi.

— To już roztropnie postąpił, bo tam tylko fortełami trzeba radzić. Do Kamieńca możnaby może z chorańką dojsć, ale już w Uszycy i w Mohylowie pewno stoją kozacy, bo tam zimownicy dobre, a w Jampolu ich gniazdo — trzeba tam iść albo z całą dywizją, albo samemu.

— A skądże waćpan wiesz, że on w tamtą właśnie stronę się udał? — pytał Wierszul.

— Bo ona tam ukryta za Jampolem i o tem on

wiedział, ale tam jarów, zapadlin, komyszy tyle, że choć i wiedząc dobrze miejsce, trudno trafić, cóż dopiero nie wiedząc. Jeździłem ja za końmi i na sądy do Jahorlika, to wiem. Żebyśmy byli razem, możeby łatwiej poszło, ale jemu samemu — wątpię, wątpię, chyba mu przypadek jakowy drogę wskazał, bo i pytać się nie będzie mógł.

— To waszmościowie chcieliście z nim jechać?

— Tak jest. Ale cóż teraz poczniemy, panie Michale? Jechać za nim, czy nie jechać?

— Na waszmościn przemyśl to zdaję.

— Hum! dziesięć dni jak pojechał — nie dognamy — i co więcej, kazał czekać na siebie. Bóg też wie, jaką drogą pojechał? Mógł na Płoskirow i Bar, jako stary trakt idzie, a mógł na Kamieniec Podolski. Ciężka tu jest sprawa.

— Pamiętaj przytem waszmość — rzekł Wierszull — że są tylko supozycye, ale pewności niemasz, że po kniaziównę pojechał.

— Otóż to, otóż to! — rzekł Zagłoba. — Nuż ruszył tylko dlatego, by języka gdzie zasięgnąć, i potem wróci do Zbaraża, bo to przecie wiedział, że mamy iść razem i mógł się nas teraz spodziewać, jako w najlepszy czas. Ciężka to jest deliberacya.

— Jabym radził czekać z dziesięć dni — rzekł Wierszull.

— Dziesięć dni na nic; albo czekać, albo wcale nie czekać.

— Ja zaś myślę, żeby nie czekać, bo i co stracimy, jeśli zaraz jutro ruszyc? Nie odnajdzie kniaziówny pan Skrzetuski, to może właśnie nam Bóg poszczęści — rzekł Wołodyjowski.

— Widzisz, panie Michale, nie można tu nic lekceważyć; wasze jesteś młody i chce ci się przygód — odpowiedział Zagłoba — a tu jest to niebezpieczeństwo, że gdy jej osobno on, a osobno my szukać będziemy, łatwo rozbudzi się jakaś podejrzliwość w tamecznych ludziach. Kozactwo chytre i boi się, żeby kto nie odkrył ich zamysłów. Oni tam z baszą granicznym koło Chocima mogą mieć konszachty, lub z Tatarami za Dniestrem wedle przyszłej wojny — kto ich wie! Tedy na obcych ludzi, a zwłaszcza dopytujących o drogi, baczne będą mieć oko. Ja ich znam. Zdradzić się łatwo, a potem co?

— To tembardziej, bo może Skrzetuski w takowe popaść terminy, w których trzeba mu będzie pomódz.

— I to także prawda.

Zagłoba zamyslił się tak mocno, że aż mu skronie drgały.

Nakoniec rozbudził się i rzekł:

— Zważywszy wszystko, trzeba będzie jechać.

Wołodyjowski odetchnął z zadowoleniem.

— A kiedy?

— Wypocząwszy tu ze trzy dni, by dusza i ciało różne były.

Jakoż nazajutrz dwaj przyjaciele poczęli już czynić przygotowania do drogi, gdy niespodzianie, w wigilią ich wyjazdu, przybył pacholik pana Skrzetuskiego, młody kozaczek Cyga, z wieściami i listami dla Wierszulla. Usłyszawszy o tem, Zagłoba i Wołodyjowski wnet pośpieszyli do kwatery komendanta i tam czytali, co następuje:

„Jestem w Kamieńcu, do którego droga na Satańów bezpieczna. Jadę do Jahorlika z ormianami, kupcami, których mnie pan Bukowski wskazał. Mają oni glejty

tatarskie i kozackie na wolny przejazd do Akermanu. Pojedziemy na Uszycę, Mohylów i Jampol, z bławatami, wszędy po drodze się zatrzymując, gdzie jenó ludzie żywi mieszkają; może też Bóg pomoże, że znajdziem, czego szukamy. Towarzyszom moim, Wołodyjowskiemu i panu Zagłobie, powiedz, panie Krzysztofie, by w Zbarażu na mnie czekali, jeśli im czego innego czynić nie wypadnie, bo w tę drogę, w którą jadę, większą kupą jechać nie można, a to dla wielkiej podejrzliwości kozaków, którzy w Jampolu zimują i nad Dniestrem, aż do Jahorlika, konie w śniegach trzymają. Czego ja sam nie sprawię, tegobyśmy i we trzech nie dokazali, a ja prędzej za ormianina ująć mogę. Podziękuj im, panie Krzysztofie, z duszy serca za ich rezolucją, którą, pókim żyw, będę pamiętał, ale czekać na nich nie mogłem, gdyż każdy dzień w męce mi schodził — i tego nie mogłem wiedzieć, czyli przyjadą, a najlepsza pora teraz jechać, gdy wszyscy kupcy po bakalie i bławaty ruszają. Pacholika wiernego odsyłam, którego miej w opiece, bo nic mi po nim, boję się zaś jego młodości, żeby się gdzie z czem nie wygadał. Pan Bukowski zaręcza za owych kupców, że poczciwi, co i ja myślę, wierząc, że wszystko w ręku Boga najwyższego, któren jeśli zechce, miłosierdzie nam swoje okaże i mękę skróci, amen“.

Pan Zagłoba skończył list i spoglądał na swoich towarzyszków, oni zaś milczeli — aż w końcu Wierszull rzekł:

— Wiedziałem, że on tam pojechał.

— A co nam czynić wypada? — pytał Wołodyjowski.

— A cóż — rzekł Zagłoba, roztwierając ręce. — Nie mamy po co już jechać. To, że on z kupcami je-

dzie, to dobrze, bo wszędy może zaglądać i nikogo to nie zdziwi. W każdej chacie teraz, w każdym chutorze jest co kupować, gdyż oni przecie pół Rzeczypospolitej zrabowali. Ciężkoby nam było, panie Michale, za Jampol się dostać. Skrzetuski czarny jak Wołoch i snadnie za ormianina ująć może, a ciebie zarazby po twoich owsianych wąsikach poznali. W przebraniu chłopskiem również byłoby trudno... Niechże mu Bóg błogosławi! Nic tam po nas — to muszę przyznać, chociaż mi żal, że do uwolnienia tej niebogi nie przyłożymy ręki. Wielkąśmy jednak Skrzetuskiemu oddali przysługę, usiekłszy Bohuna, bo gdyby on był żyw, tedy nie ręczyłbym za zdrowie pana Jana.

Wołodyjowski bardzo był niekontent; obiecywał sobie podróż pełną przygód, a tymczasem zapowiadał mu się długi i nudny pobyt w Zbarażu.

— Możebyśmy choć do Kamieńca ruszyli? — rzekł.

— A co my tam będziemy robili i z czego żyli? — odpowiedział Zagłoba. — Wszystko jedno, do których murów jak grzyby przyrośniemy; trzeba czekać i czekać, bo taka podróż dużo Skrzetuskiemu może zająć czasu. Człowiek póty młody, póki się rusza (tu pan Zagłoba opuścił melancholicznie głowę na piersi), a starzeje się w beczynności, ale trudno... niechże się tam bez nas obejdzie. Jutro damy na solenną wotywę, by mu Bóg szczęścił. Bohunaśmy usiekli — to grunt. Każ waść konie rozjuczyć, panie Michale — trzeba czekać.

Jakoż nazajutrz zaczęły się dla dwóch przyjaciół długie, jednostajne dni oczekiwania, których ani pijatyki, ani gra w kości nie mogły urozmaicić — i ciągnęły się bez końca. Tymczasem nadeszła sroga zima. Śnieg, całunem na łokieć grubym, okrył blanki zbaraskie i całą

ziemię; zwierz i ptactwo dzikie zbliżyły się do mieszkań ludzkich. Po całych dniach słyhać było krakania niezmiernych stad wron i kruków. Uplłynął cały grudzień, poczem styczeń i luty — o Skrzetuskim nie było ani słychu.

Pan Wołodyjowski jeździł do Tarnopola szukać przygód; Zagłoba sposepniał i utrzymywał, że się starzeje

ROZDZIAŁ XVI.

Komisarze wysłani przez Rzeczpospolitą do traktatów z Chmielnickim dotarli wreszcie śród największych trudności do Nowosiółek i tam zatrzymali się, czekając odpowiedzi od zwycięskiego hetmana, który tymczasem bawił w Czehrynie. Siedzieli smutni i strapieni, bo przez drogę ciągle groziła im śmierć, a trudności mnożyły się na każdym kroku. Dzień i noc otaczały ich tłumy czerni, zdziczałej do reszty przez mordy i wojnę — i wyły o śmierć komisarzów. Raz wraz napotykali od nikogo niezależne watahy, złożone ze zbójców i dzikich czabanów, niemających najmniejszego pojęcia o prawach narodów, a głodnych krwi i zdobyczy. Mieli wprawdzie komisarze sto koni asystencyi, którymi pan Bryszowski dowodził, prócz tego sam Chmielnicki, w przewidywaniu co ich spotkać może, przysłał im pułkownika Dońca, wraz z czterystoma molojcami; ale eskorta ta łatwo mogła okazać się niewystarczającą, bo tłumy dziczy rosły z każdą godziną i coraz groźniejszą przybierały postawę. Kto tylko z konwoju, albo ze służby, oddalił się choć na chwilę od gromady, ginął bez śladu. Byli oni jako garść podróżnych otoczona przez stado zgłodniałych wilków. I tak

upływały im całe dnie, tygodnie, aż na noclegu w Nowosiólkach zdawało się już wszystkim, że nadchodzi ostatnia godzina. Konwój dragoński i eskorta Dońca toczyły od wieczora formalną walkę o życie komisarzy, którzy, odmawiając modlitwy za konających, polecali duszę Bogu. Karmelita Łętowski dawał im kolejno rozgrzeszenie, a tymczasem z za okien, wraz z powiewem wiatru, dochodziły straszliwe wrzaski, odgłosy strzałów, piekielne śmiechy, szczęk kos, wołania „na pohybel!” i o głowę wojewody Kisiela, który głównym był przedmiotem zawziętości.

Była to straszna noc, a długa, bo zimowa. Wojewoda Kisiel wsparł głowę na rękę i siedział od kilku godzin nieruchomie. Nie śmierci on się lękał, bo od czasów wyruszenia z Huszczy tak już był wyczerpany, zmęczony, bezsenny, że raczejby z radością do śmierci wyciągnął ręce — ale duszę jego nurtowała bezdenna rozpacz. On to przecie, jako Rusin z krwi i kości, pierwszy wziął na się rolę pacyfikatora w tej bezprzykładnej wojnie — on występował wszędy, w senacie i na sejmie, jako najgorętszy stronnik układów, on popierał politykę kanclerza i prymasa, on potępiał najsiłniej Jeremiego, i działał w dobrej wierze, dla dobra kozactwa i Rzeczypospolitej — i wierzył całą swą gorącą duszą, że układy, że ustępstwa wszystko pogodzą, uspokoją, zabliznią — i właśnie teraz, w tej chwili, gdy wiózł buławę Chmielnickiemu, a ustępstwa kozaczyźnie, zwątpił o wszystkim — ujrzał oczywiście marność swoich wysiłen, ujrzał pod nogami próżnię i przepaść.

— Zali oni nie chcą niczego więcej, jeno krwi, zali nie o inną wolność, jeno o wolność rabunku i po-

żogi im idzie? — myślał z rozpaczą wojewoda i tłumil jęki, które rozrywały mu pierś szlachetną.

— Hołowu Kisielowu, hołowu Kisielowu! na pohybel! — odpowiadały mu tłumy.

I byłby chętnie poniósł im w darze wojewoda tę białą, skolataną głowę, gdyby nie ta resztką wiary, że im i całej kozaczyźnie trzeba dać coś więcej — trzeba koniecznie dla ich własnego i Rzeczypospolitej zbawienia. Niechże ich przyszłość tego żądać nauczy.

A gdy tak myślał, jakiś promień nadziei i otuchy rozświecał na chwilę te ciemności, które nagromadziła w nim rozpacz — i wmawiał sam w siebie nieszczęsny starzec, że ta czern, to przecie nie cała kozaczyzna, nie Chmielnicki i jego pułkownicy, że z nimi to dopiero rozpoczną się układy.

Ale mogą-li one być trwale, póki pół miliona chłopów stoi pod bronią? Nie stopniejąż one z pierwszym powiewem wiosny, jak owe śniegi, które w tej chwili pokrywają step?..

Tu znów przychodziły wojewodzie na myśl słowa Jeremiego: „laski można dać tylko zwyciężonym“ — i znów myśl jego zasuwiała się w ciemność, a pod nogami otwierała się przepaść.

Tymczasem mijała północ. Wrzaski i wystrzały nieco przycichły; natomiast świst wichru powiększał się, na dworze była zamieć śnieżna; znużone tłumy widocznie poczęły rozchodzić się do domów; nadzieja wstąpiła w serca komisarzyów.

Wojciech Miaskowski, podkomorzy lwowski, podniósł się z ławy, posłuchał przy oknie zasutem śniegiem i rzekł:

— Widzi mi się, że za łaską Bożą jutra jeszcze dożyjemy.

— Może też i Chmielnicki nadeszłe liczniejszą asystencją, bo z tą nie dojdziemy — rzekł pan Śmiarowski.

Pan Zieleński, podczaszy braclawski, uśmiechnął się gorzko:

— Ktoby to rzekł, że komisarzami pokojowymi jesteśmy!

— Posłowałem nieraz do Tatar — mówił pan choraży nowogrodzki — ale takiego posłowania nie zaznałem póki życia. Więcej w naszych osobach Rzeczpospolita kontemtu doznaje, niż pod Korsuniem i Piławcami doznała. Mówię też waszmościom: wracajmy, bo o układach niema co i myśleć.

— Wracajmy — powtórzył jak echo pan Brzozowski, kasztelan kijowski. — Nie może pokój stanąć, niech będzie wojna.

Kisiel podniósł powieki i utkwił szklane oczy w kasztelanie.

— Żółte wody, Korsuń, Piławce! — rzekł głucho.

I umilkł, a za nim umilkli wszyscy — jeno pan Kulczyński, skarbnik kijowski, począł odmawiać głośno różaniec, a pan łowczy Krzetowski za głowę się obu rękoma chwycił i powtarzał:

— Co za czasy! co za czasy! Boże zmiłuj się nad nami.

Wtem drzwi się otwarły i Bryszowski, kapitan dragonów biskupa poznańskiego, dowodzący konwojem, wszedł do izby.

— JW. wojewodo — rzekł — jakiś kozak pragnie widzieć Ichmość panów komisarzy.

— Dobrze — odrzekł Kisiel — a czerń rozeszła się już?

— Poszli; obiecali jutro wrócić.

— Bardzo nacierali?

— Okrutnie, ale kozacy Dońca zabili ich kilkunastu. Jutro obiecali nas spalić.

— Dobrze, niech ten kozak wejdzie.

Po chwili drzwi się otwarły i jakaś wysoka, czarnobroda postać stanęła w progu izby.

— Kto jesteś? — pytał Kisiel.

— Jan Skrzetuski, porucznik husarski księcia wojewody ruskiego.

Kasztelan Brzozowski, pan Kulczyński i lowczy Krzetowski porwali się z ław. Wszyscy oni służyli ostatniego roku z księciem pod Machnowką i Konstantynowem i znali pana Jana doskonale, Krzetowski był mu nawet powinowatym.

— Prawda! prawda! toż że to pan Skrzetuski? — powtarzali.

— Co tu robisz? i jakieś się do nas dostał? — pytał Krzetowski, biorąc go w ramiona.

— W chłopskiem przebraniu, jak waszmościowie widzicie — rzekł Skrzetuski.

— Mości wojewodo — wołał kasztelan Brzozowski — toć to jest najprzedniejszy rycerz z pod chorągwi wojewody ruskiego, sławny w całym wojsku.

— Witam go też wdzięcznym sercem — rzekł Kisiel — i widzę, że wielkiej to rezolucyi musi być kawaler, skoro się do nas przedarł.

Poczem do Skrzetuskiego:

— Czego od nas żądasz?

— Abyście mi waszmość panowie iść ze sobą dozwolili.

— Smokowi w paszczkę leziesz, ale gdy taka waszmościna wola, oponować jej nie możemy.

Skrzetuski skłonił się w milczeniu.

Kisiel patrzył na niego ze zdziwieniem.

Surowa twarz młodego rycerza uderzyła go powagą i boleścią.

— Powiedzże mi waszmość — rzekł — jakie powody gnają cię do owego piekła, do którego nikt po dobrej woli nie idzie?

— Nieszczęście, JW. wojewodo.

— Niepotrzebniem pytał — rzekł Kisiel. — Musiałeś kogo z bliźnich utracić i tam go jedziesz szukać?

— Tak jest.

— Dawnoż to się stało?

— Zeszłej wiosny.

— Jakto? — i waść dopiero teraz na poszukiwania się wybrał? Toż to rok blisko! Cóżeś waszmość dotąd porabiał?

— Bilem się pod wojewodą ruskim.

— Zaliż tak szczery pan nie chciał waści permiszy udzielić?

— Ja sam nie chciałem.

Kisiel znów spojrział na młodego rycerza, poczem nastąpiło milczenie, które przerwał dopiero kasztelan kijowski.

— Wszystkim nam, którzyśmy z księciem służyli, znane są nieszczęścia tego kawalera, nad którymiśmy niejedną kroplę z oczu uronili; a że wołał, póki była wojna, ojczyźnie służyć, zamiast swego dobra patrzeć,

tem to chwalebniej z jego strony. Rzadki to jest przykład w dzisiejszych zepsutych czasach.

— Jeśli się pokaże, że moje słowo u Chmielnickiego coś znaczy, to wierzaj mi waszmość, że go nie pożałuję w waścinej sprawie — rzekł Kisiel.

Skrzetuski skłonił się znowu.

— Idźże teraz spocznij — mówił łaskawie wojewoda — bo musisz być znużon niemało, jak i my wszyscy, którzy chwili spokoju nie mamy.

— Ja go do swojej stancyi zabiorę, to mój powinowaty — rzekł łowczy Krzetowski.

— Pójdźmy i my wszyscy na spoczynek; kto wie, czy następnej nocy będziemy spali! — rzekł Brzozowski.

— Może snem wiecznym — zakończył wojewoda.

To rzekłszy, udał się do alkierza, przy drzwiach którego czekał już pacholek, a za nim rozeszli się i inni. Łowczy Krzetowski prowadził Skrzetuskiego do swej kwatery, która była o kilka domów dalej. Pacholek z lartarką szedł przed nimi.

— Jakaż to noc ciemna i zawieja coraz większa! — mówił łowczy. — Ej, panie Janie, cośmy za chwilę dziś przeżyli, myślałem, że sąd ostateczny blisko. Czerń prawie nam nóż na gardle trzymała. Bryszowskiemu ręce ustawały. Jużeśmy się żegnać zaczęli.

— Byłem między czernią — odrzekł Skrzetuski. — Jutro na wieczór czekają nowej watahy zbójców, której dali znać o was. Jutro trzeba koniecznie stąd wyruszyć. Wszakże do Kijowa jedziecie?

— Zależy to od responsu Chmielnickiego, do którego książę Czetwertyński pojechał. Oto moja stancya; wejdz, proszę, panie Janie, kazałem wina zagrzać, to się posilemy przede snem.

Weszli do izby, w której na kominie palił się potężny ogień. Dymiące wino stało już na stole. — Skrzetuski schwycił z chciwością za szklanicę.

— Od wczoraj nie miałem nic w gębie — rzekł.

— Wymizerowanyś strasznie. Widać i boleść i trudy cię stoczyły. Ale mów mi jeno o sobie, boć ja przecie wiem o twojej sprawie — to ty kniaziówny tam, między nimi, szukać zamysłasz?

— Albo jej, albo śmierci — odparł rycerz.

— Łatwiej śmierć znajdziesz; skądże wiesz, że kniaziówna tam może być? — pytał dalej lowczy.

— Bom jej gdzieindziej już szukał.

— Gdzie tak?

— Wedle Dniestru, aż do Jahorlika. Jeździłem z kupcami ormiańskimi, bo były wskazówki, że tam ukryta; byłem wszędzie, a teraz do Kijowa jadę, gdyż tam ją miał Bohun odwieźć.

Zaledwie porucznik wymówił nazwisko Bohuna, gdy lowczy porwał się za głowę.

— Na Boga! — wykrzyknął — toż ja ci najważniejszej rzeczy nie mówię. Słyszałem, że Bohun zabit.

Skrzetuski pobladł.

— Jakto? — rzekł. — Kto to powiadał?

— Ów szlachcic, który to raz już kniaziównę ocalił, co to pod Konstantynowem tyle dokazywał — ten mnie mówił. Spotkałem go, gdy do Zamościa jechał. Minęliśmy się w drodze. Ledwie go spytał co słyhać: odpowiedział mi, że Bohun zabit. Pytam: a kto go zabił? — odpowie: „ja“ — na temesmy się rozjechali.

Płomień, który rozpalił się w twarzy Skrzetuskiego, zgasł nagle.

— Ten szlachcic — rzekł — rad klimkiem rzuci

Jemu nie można wierzyć. Nie! nie! Nie byłby on w stanie zabić Bohuna.

— A tyżeś się nie widział z nim, panie Janie? bo i to sobie przypominam, że mówił mi, iż do ciebie do Zamościa jedzie.

— W Zamościu nie doczekałem się go. Musi on być teraz w Zbarażu, ale mnie pilno było komisją dogonić — więcem z Kamieńca nie na Zbaraż wracał i nie widziałem go wcale. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy i to prawda, co on mnie w swoim czasie o niej powiadał, co jakoby podsłuchał, w niewoli u Bohuna będąc, że za Jampolem ją ukrył, a potem miał ją do Kijowa na ślub wieść. Może i to nie prawdą, jako i wszystko, co Zagłoba mówił.

— Pocóż tedy do Kijowa jedziesz?

Skrzetuski zamilkł; przez chwilę słychać było tylko świst i wycie wiatru.

— Bo — rzekł lowczy, przykładając palec do czoła — bo jeśli Bohun nie zabit, to możesz snadnie wpaść mu w rękę.

— Poto ja i jadę, by jego znaleźć — odparł głucho Skrzetuski.

— Jakto?

— Niechże będzie sąd Boży między nami.

— Aleć on do walki z tobą nie stanie, jeno po prostu weźmie cię w łyka i żywota zbawi, lub Tatarom zaprzeda.

— Z komisarzami jestem, w ich asystencyi.

— Daj Bóg, abyśmy własne gardła wynieśli, a cóż mówić o asystencyi.

— Komu życie ciężkie, ziemia będzie lekka.

— Bójże się Boga, Janie, tu nie o śmierć wreszcie

chodzi, bo ta nikogo nie minie, ale oni cię mogą na galery tureckie zaprzedać.

— Zali myślisz, panie lowczy, że mi będzie gorzej niż jest?

— Widzę, żeś desperat, w miłosierdzie Boże nie ufasz.

— Mylisz się, panie lowczy! Mówię, że mi źle na świecie, bo tak jest, ale z wola Bożą dawno się pogodzilem. Nie proszę, nie jęczę, nie przeklinam, lbem o ścianę nie tłukę, chcę jeno spełnić co do mnie należy póki mi sił i życia staje.

— Ale cię boleść jako trucizna trawi.

— Bóg dał poto boleść, by trawiła, a lek ześle, kiedy sam zechce.

— Nie mam co rzec na takowy argument — rzekł lowczy. — W Bogu jedyny ratunek, w Bogu nadzieja, dla nas i dla całej Rzeczypospolitej. Pojechał król do Częstochowy, może też u Najświętszej Panny co wskóra — inaczej zginiemy wszyscy.

Nastala cisza, z za okien tylko dochodziło przeciągle „werdo“ dragońskie.

— Tak, tak — mówił po chwili lowczy. — Wszyscy my więcej do umarłych, niż do żywych należymy. Zapomnieli już ludzie śmiać się w tej Rzeczypospolitej, jeno jęczą, jako ten wicher w kominie. Wierzyłem i ja, że nastaną lepsze czasy, pókim tu wraz z innymi nie przyjechał, ale widzę teraz, że płonna to była nadzieja. Ruina, wojna, głód, mordy i nic więcej — nic więcej!

Skrzetuski milczał; płomień ogniska palącego się w kominie oświecał twarz jego wychudłą i surową.

Wreszcie podniósł głowę i rzekł poważnym głosem:

— Doczesność to wszystko, która upływa, przemija — i nic się po niej nie zostaje.

— Mówisz jak mnich — rzekł pan lowczy.

Skrzetuski nie odpowiedział; wicher tylko jęczał coraz żałośniej w kominie.

ROZDZIAŁ XVII.

Nazajutrz rano opuścili komisarze, a z nimi i pan Skrzetuski, Nowosiółki, ale była to podróż oplakana, w której na każdym postoju, w każdym miasteczku groziła im śmierć, a wszędy spotykały gorsze od śmierci zniewagi, w tem właśnie gorsze, że komisarze wieźli w osobach swych powagę i majestat Rzeczypospolitej. Pan Kisiel rozchorzał, tak iż na wszystkich noclegach wnoszono go na saniach do domów i piekarni. Podkomorzy lwowski łzami się zalewał nad hańbą swoją i ojczyzny; kapitan Bryszowski również rozchorzał od bezsenności i pracy, więc miejsce jego zajął pan Skrzetuski i prowadził dalej ów nieszczęsny orszak, wśród nacisku tłumów, obelg, gróźb, szarpaniny i bitew.

W Białogrodzie znów zdawało się komisarzom, że ostatnia ich godzina nadeszła. Pospólstwo pobilo chorego Bryszowskiego, zamordowało pana Gniazdowskiego — i tylko przybycie metropolity na rozmowę z wojewodą wstrzymało rzeź już przygotowaną. Do Kijowa nie chciano wcale wpuścić komisarzy. Książę Czetwertyński wrócił 11 lutego od Chmielnickiego bez żadnej odpowiedzi. Komisarze nie wiedzieli, co dalej czynić, gdzie się obrócić. Powrót zagroziły im ogromne watahy, czekające tylko

na zerwanie układów, aby wymordować poselstwo. Tłuszcza rozzuchwalała się coraz bardziej. Chwymano za lejce koni dragońskich i tamowano drogę; rzucono kamienie, kawały lodu i zmarznięte grudy śniegu do sani wojewody. W Gwozdowej Skrzetuski i Doniec musieli stoczyć krwawą bitwę, w której rozpedzili kilkaset czerni. Wyjechali znów chorąży nowogrodzki i Śmiarowski z perswazją do Chmielnickiego, by na komisją do Kijowa przybył, ale wojewoda małą miał nadzieję, ażeby mogli żywi do niego dojechać, tymczasem w Chwaście musieli komisarze z założonemi rękoma patrzeć na tłumy mordujące jeńców obojej płci i wszelkiego wieku, których topiono w przeręblach, polewano wodą na mrozie, bodzono widłami, lub obstrugiwano żywcem nożami. Takich dni upłynęło ośmnaście, zanim przyszła nakoniec odpowiedź od Chmielnickiego, że do Kijowa przyjechać nie chce, ale w Perejasławiu czeka na wojewodę i komisarzy.

Odetchnęli tedy nieszczęśni wysłańcy, sądząc, że skończyła się już ich męka, jakoż przeprawiwszy się przez Dniepr w Trypolu, udali się na noc do Woronkowa, z którego sześć tylko mil było do Perejasławia. Wyjechał naprzeciw nich o pół mili Chmielnicki, chcąc niby cześć poselstwu królewskiemu okazać, ale jakże zmieniony od owych czasów, w których się za ukrzywdzonego podawał — „quantum mutatus ab illo!“ — jak słusznie pisał wojewoda Kisiel.

Wyjechał bowiem w kilkadziesiąt koni, z pułkownikami, essaulami i muzyką wojskową, pod znakiem, buńczukiem i czerwoną chorągwią, jakby księżę udzielny. Orszak komisarski zatrzymał się natychmiast, on zaś, przyskoczywszy do naczelnych sani, w których jechał

wojewoda, patrzył czas jakiś w jego sędziwe oblicze, poczem uchylił trochę kołpaka i rzekł:

— Czołem wam, panowie komisary, i tobie wojewodo. Lepiej było dawniej zacząć ze mną traktaty, kiedy ja był mniejszy i siły własnej nie znał, ale że was korol do mene piśław, tak was wdzięcznem sercem w mojej ziemi przyjmuję.

— Witaj, mości hetmanie! — odrzekł Kisiel. — Król jegomość posłał nas, byśmy ci jego łaskę ofiarowali i sprawiedliwość wyrządzili.

— Za łaskę dziękuję, a sprawiedliwość już ja sam sobie, ot tem, na waszych szyjach wyrządził — (tu uderzył się po szabli) — i dalej wyrządzą, jeśli mnie nie ukontentujecie.

— Nie uprzejmie nas witasz, mości hetmanie zaporoski, nas, wysłańców królewskich.

— Ne budu howoryty na moroże, będzie na to lepszy czas — odparł szorstko Chmielnicki. — Puszczej mnie, Kisielu, do swoich sani, bo wam chcę cześć wyrządzić i razem jechać.

To rzekłszy, zsiadł z konia i zbliżył się do sani, Kisiel zaś usunął się ku prawej ręce, zostawiając wolną lewą stronę.

Widząc to, Chmielnicki zmarszczył się i krzyknął:

— A ty mnie dawaj prawą rękę!

— Jam senator Rzeczypospolitej.

— A mnie co senator! Pan Potocki pierwszy senator i hetman koronny, a ja go mam w łykach razem z innymi i jutro, jeśli zechcę, na pal wbić każę.

Rumieńce wystąpiły na blade policzki Kisiela.

— Osobę króla tu przedstawiam!!

Chmielnicki zmarszczył się jeszcze mocniej, ale się pohamował i siadł po lewej stronie, mrucząc:

— Naj korol bude w Warszawi, a ja na Rusi. Nie dość ja widzę na karki wam nastąpił.

Kisiel nie odrzekł nic, jeno oczy podniósł ku niebu. Miał on już przedsmak tego, co go czekało, i słusznie pomyślał w tej chwili, iż jeśli droga do Chmielnickiego była Golgotą, to posłowanie przy nim męką samą.

Konie ruszyły do miasta, w którym grzmiało dwadzieścia dział i były wszystkie dzwony. Chmielnicki jakby w obawie, by komisarze nie poczytali tych odgłosów za cześć wyłącznie im wyrządzoną, rzekł do wojewody:

— Tak ja nie tylko was, ale i innych posłów przyjmował, których do mnie przysłano.

I Chmielnicki mówił prawdę — istotnie bowiem poprzysyłano już do niego, jakby do udzielnego księcia, poselstwa. Wracając się z pod Zamościa, pod wrażeniem elekcyi i klęsk przez litewskie wojska zadanych, nie miał hetman w sercu ani połowy tej pychy, ale gdy Kijów wyszedł naprzeciw niego ze światłem i chorągwiami, gdy akademia witała go „tamquam Moijsem, servatorem, salvatorem, liberatorem populi de servitute lechica et bono omine Bohdan — od Boga dany“ — gdy wreszcie nazwano go „illustrissimus princeps“ — tedy, wedle słów współczesnych: „podniosła się tem bestya“. Poczul istotnie swoją siłę i grunt pod nogami, jakiego dotąd mu nie dostawało.

Poselstwa zagraniczne były milczącym uznaniem zarówno jego potęgi, jak udzielności; stała przyjaźń Tatarów, opłacana większością zdobytych łupów i nieszczęsnym jassyrem, który ten wódz ludowy z ludu wybierać pozwolił — obiecywała poparcie przeciw każdemu nie-

przyjacielowi, dlatego to Chmielnicki, uznający jeszcze pod Zamościem zwierzchnictwo i wolę królewską, obecnie wbity w pychę, przekonany o swej sile, o nieładzie Rzeczypospolitej, niedołęstwie jej wodzów, gotów był i na samego króla podnieść rękę, marząc już teraz w posępnej swej duszy nie o swobodach kozackich, nie o powrocie dawnych przywilejów Zaporozu, nie o sprawiedliwości dla siebie, lecz o państwie udzielnem, o czapce książęcej i berle.

I czuł się panem Ukrainy. Zaporozie stało przy nim, bo nigdy pod niczyją buławą nie nurzało się tak we krwi i zdobyczy; dziki z natury lud garnał się do niego, bo gdy chłop mazowiecki lub wielkopolski bez szemrania dźwigał owo brzemie przewagi i ucisku, jakie w całej Europie nad „potomkami Chama“ ciążyło, ukrajiniec razem z powietrzem stepów wciągał w siebie miłość swobody tak nieograniczonej, i dzikiej i bujnej, jak stepy same. Zali mu wola była chodzić za pańskim pługiem, gdy mu wzrok ginał w Bożej, nie pańskiej pustyni, gdy z za porohów Sicz wołała na niego: kiń pana i chodź na wolę! — gdy Tatar srogi uczył go wojny, przyzwyczajając go do pożogi i mordy, a ręce do broni? Zali nie było mu lepiej u Chmiela buszować i „paniuryzaty“ niż grzbiet hardy giąć przed podstarościem?...

A oprócz tego lud garnał się do Chmiela, bo kto się nie garnał, w jassyr szedł. W Stambule za dziesięć strzał dawano niewolnika, za łuk w ogniu prażony trzech, taka była ich mnogość, więc czerń nie miała wyboru — i jeno pieśń dziwna po owych czasach została, którą długo potem następne pokolenia po chatach śpiewały, pieśń dziwna, o owym wodzu, Mojżeszem zwanym: „Oj szczoob toho Chmila perwsza kula ne mynula!“

Niknęły miasteczka, miasta i wsie, kraj zmieniał się w pustkę i w ruinę, w jedną ranę, której wieki nie mogły wygoić — ale ów wódz i hetman tego nie widział, czy nie chciał widzieć — bo on nigdy nic poza sobą nie widział — i rósł i tuczył się krwią, ogniem, we własnym potwornym samolubstwie utopił własny lud, własny kraj — i oto wwoził teraz komisarzy do Perejasławia przy huku dział i biciu we dzwony, jak udzielny pan, gospodar, książę.

Jechali do jaskini lwa, zwiesiwszy głowy, komisarze i resztki nadziei w nich gasły, a tymczasem Skrzetuski, jadąc poza drugim szeregiem sani, pilno rozpatrywał twarze pułkowników przybyłych z Chmielnickim, czy nie ujrzy między nimi Bohuna. Po bezowocnych poszukiwaniach nad Dniestrem, aż za Jahorlik, od dawna w duszy pana Jana dojrzał zamiar, jako ostatni jedyny sposób: wyszukania Bohuna i wyzwania go na walkę śmiertelną. Widział wprawdzie nieszczęsny rycerz, że w takim hazardzie Bohun może go bez walki zgładzić, lub Tatarom oddać, ale lepiej o nim tuszyl: znał jego męstwo i szaloną odwagę i prawie był pewien, że mając wybór, Bohun do walki o kniaziównę stanie. Więc układał sobie w swej rozdartej duszy cały plan, jako przysięgą Bohuna zwiąże, że na wypadek swej śmierci, pozwoli Helenie odjechać. O sobie już pan Skrzetuski nie dbał i przypuszczając, że Bohun powie: „jeśli zginę, tak ona ni dla mnie, ni dla ciebie,“ gotów był i na to pozwolić i poprzysiądz ze swej strony, byle ją z wrażeń rąk wyrwać. Niechby w klasztorze szukała na resztę żywota spokoju, onby go naprzód w wojnie, a potem, jeśliby poledz nie przyszło, również pod habitem poszukał, jak go po prostu szukały w owych czasach wszystkie dusze bolejące. Droga

zdawała się Skrzetuskiemu prosta i jasna, a gdy mu pod Zamościem myśl walki z Bohunem raz poddano, gdy poszukiwania w naddniestrzańskich komyszach zawiodły — droga ta wydała się jedyną. Tym celem, z nad Dniestru jednym tchem, nigdzie nie spoczywając, do komisarzy dążył, spodziewając się albo w otoczeniu Chmielnickiego, albo w Kijowie znaleźć niechybnie Bohuna, tembardziej, że wedle tego, co w Jarmolińcach mówił Zagłoba, watażka do Kijowa na ślub przy trzystu świecach miał zjechać.

Ale próżno Skrzetuski szukał go teraz między pułkownikami. Znalazł natomiast wielu jeszcze z dawniejszych, spokojnych czasów znajomych, jako Dziedziałę, którego w Czehrynie widywał, jako Jaszewskiego, który od Siczy do księcia posłował, jako Jarosza, dawnego księcia setnika i Naokoło-palca, i Hruszę i wielu innych, więc postanowił się ich pytać.

— To my dawni znajomi — rzekł, zbliżając się do Jaszewskiego.

— Ja ciebie w Łubniach znalazł, ty kniazia Jaremylyczar — odpowiedział pułkownik. — My w Łubniach pili razem i hulali. A co twój kniaź porabia?

— Zdrów.

— Na wiosnę nie będzie on zdrów. Oni się z Chmielnickim jeszcze nie spotkali, ale się spotkają i musi jednemu pójść na pohybel.

— Komu Bóg przysądzi.

— No, Bóg na naszego bat'ka Chmiela łaskaw. Już twój kniaź na Zadnieprze, na swój tatarski brzeg nie wróci. U Chmielnickiego bohato mołojców — a u kniazia co? Szczery on żołmir. A ty już nie u kniazia w chorągwi?

— Z komisarzami jadę.

— No, ja rad, że ty stary znajomy.

— Jeśliś ty rad, tak ty mnie przysługę oddaj, a ja ci wdzięczen będę.

— Jaka przysługę?

— Powiedz ty mi, gdzie jest Bobun, ten sławny ataman, dawniej z perejasławskiego pułku, któren dziś musi już między wami wyższą pewnie mieć szarżę.

— Milcz! — odpowiedział groźnie Jaszewski. — Szczęście twoje, że my starzy znajomi i że ja pil z tobą, bo inaczej jużby ja ciebie tym oto buzdyganem na śniegu rozciągnął.

Skrzetuski spojrział na niego zdumiony, ale jako był człowiek prędkiej rezolucyi, więc buławę w rękę ścisnął.

— Czyś oszalał?

— Nie oszalał ja, ani ci nie chcę grozić, jeno taki jest rozkaz Chmiela, iż jeśli by ktokolwiek z was, choćby który z komisarzy, o co spytał — żeby go na miejscu ubić. Nie uczynię ja tego, to inny uczyni, dlatego ostrzegam cię z życzliwości.

— Toż ja w swojej prywatnej sprawie pytam.

— No, wszystko jedno; Chmiel rzekł nam pułkownikom i kazał innym powtórzyć: „choćby który o drwa do pieca, albo o potaż pytał, ubić go.“ Ty to powtórz swoim.

— Dziękuję ci za dobrą radę — rzekł Skrzetuski.

— Ciebie jednego ja przestrzegł, a innego Lacha pierwszyby rozciągnął.

Umilkli. Już też orszak dotarł do bram miasta. Oba boki drogi i ulice roily się od czerni i zbrojnego kozactwa, które ze względu na obecność Chmielnickiego nie śmiało rzucać przekleństw i brył śniegu do sani, ale które spoglądało ponuro na komisarzów, ściskając pięście lub główne szabel.

Skrzetuski, sformowawszy w czwórki dragonów, podniósł głowę i dumnie a spokojnie jechał przez szeroką ulicę, nie zwracając najmniejszej uwagi na groźne spojrzenia tłumów — w duszy tylko myślał, jak wiele potrzeba mu będzie zimnej krwi, zaparcia się siebie i chrześcijańskiej cierpliwości, by tego, co zamierzył dokonać i nie utonąć po pierwszym kroku w tem morzu nienawiści.

ROZDZIAŁ XVIII.

Następnego dnia długie były rozmowy komisarzy między sobą, czy dary królewskie wręczyć Chmielnickiemu natychmiast, czy też czekać, dopóki większej pokory i jakowejś skruchy nie okazał. Stało na tem, żeby go ująć ludzkością i łaską królewską, zapowiedziano więc wręczenie darów — i nazajutrz dzień odbył się ów akt uroczysty. Od rana biły dzwony i grzmiały działa. Chmielnicki czekał przed swym dworem wśród pułkowników, wszelkiej starszyny i nieprzeliczonych tłumów kozactwa i czerni, chciał bowiem, żeby cały naród wiedział, jaką to go czią sam król otacza. Zasiadł więc pod znakiem i buńczukiem na podniesieniu, w altembasowym czerwonym sobolim kopieniaku, mając przy sobie posłów sąsiednich i wzięwszy się pod boki, nogi oparłszy na aksamitnej poduszce ze złotą frendzlą, czekał na komisarzy. W tłumach zgromadzonej czerni zrywały się co chwila szmery pochlebne i radosne na widok wodza, w którym tłum ów, ceniący nad wszystko siłę, widział uosobienie tej siły. Tak tylko bowiem imaginacya ludowa mogła sobie przedstawiać niezwalzonego swego szampierza, pogromcę hetmanów, duków, szlachty i wogóle „Lachiw“, którzy

aż do jego czasów byli okryci urokiem niezwykłości. Chmielnicki przez ten rok bojów postarzał nieco, ale się nie pochylił — olbrzymie jego ramiona zdradzały zawsze siłę, zdolną przewracać państwa, lub tworzyć nowe; ogromna twarz, zaczerwieniona od nadużycia trunków, wyrażała wolę nieugiętą, dumę niepohamowaną i zachwałą pewność, którą jej dały zwycięstwa. Groza i gniew drzemały w fałdach tej twarzy i poznałeś łatwo, że gdy się rozbudzą, lud chyli się pod ich straszliwym tchnieniem, jak las pod burzą. Z oczu, okolonych czerwoną obwódką, strzelało mu już zniecierpliwienie, że komisarze nie przybywali z darami dość rychło, a z nozdrzy wychodziły na mrozie dwa kłęby pary, jak dwa słupy dymu z nozdrzy lucypera — i w tej mgle własnych płuc siedział cały purpurowy, posępny, dumny, obok posłów, wśród pułkowników, mając naokół morze czerni.

Aż wreszcie pokazał się orszak komisarski. Na czele szli dobosze, bijący w kotły, oraz trębacze z trąbami przy ustach i wydętymi policzkami, bębniąc i wydobywając z mosiądzu długie żalodne głosy, jakoby na pogrzebie sławy i godności Rzeczypospolitej. Za ową kapelą niósł łowczy Krzetowski buławę na aksamitnej poduszce, Kulczyński, skarbnik kijowski, czerwoną chorągiew z orłem i napisem — a dalej Kisiel szedł samotnie wysoki, szczupły, z białą brodą, spływającą na piersi, z cierpieniem w arystokratycznej twarzy i bólem bezdennym w duszy. O kilka kroków za wojewodą wlokła się reszta komisarzy, a orszak zamykała dragonia Bryszowskiego pod Skrzetuskim.

Kisiel szedł wolno, bo oto w tej chwili ujrzał jasno, że z poza podartego lachmana układów, z pod po-

zorów ofiarowania łaski królewskiej i przebaczenia, inna, naga, ohydna prawda wygląda, którą ślepi nawet ujrzą, głusi usłyszą, bo krzyczy: „Nie idziesz ty, Kisielu łaski ofiarować, ty idziesz o nią prosić, ty idziesz ją kupić za tę buławę i chorągiew, a idziesz pieszo do nóg tego chłopskiego wodza, w imieniu całej Rzeczypospolitej, ty, senator i wojewoda...” Więc rozdzierała się dusza w panu z Brusilowa i czuł się tak lichym jak robak i tak niskim jak proch, a w uszach huczały mu słowa Jeremiego: „lepiej nam nie żyć, niż żyć w niewoli u chłoptwa i pogaństwa”. Czemże on, Kisiel, był w porównaniu z tym kniazem z Łubniów, który nie inaczej ukazywał się rebelii, jeno jak Jowisz ze zmarszczoną brwią, wśród zapachu siarki, płomieni wojny i dymów prochu, czemże on był? Pod ciężarem tych myśli złamało się serce wojewody, uśmiech odleciał na zawsze z jego twarzy, radość na wieki z jego serca i czuł, że wolałby stokroć umrzeć, niż krok jeszcze jeden postąpić; ale szedł, bo pchała go naprzód cała jego przeszłość, wszystkie prace, usiłowania, cała nieubłagana logika jego poprzednich czynów...

Chmielnicki czekał na niego wsparty pod boki, z wydętymi ustami i namarszczoną brwią.

Orszak zbliżył się nakoniec. Kisiel, wysunąwszy się naprzód, postąpił kilka kroków aż do podniesienia. Dobosze przestali bębnić, trębacze trąbić — i nastąpiła wielka cisza w tłumach, jeno powiew mroźny łopotał czerwoną chorągiew, niesioną przez pana Kulczyńskiego.

Nagle ciszę tę przerwał głos jakiś krótki, donośny a rozkazujący, który zabrzmiał z niewypowiedzianą siłą desperacji, nieliczącej się z niczem i z nikim:

— Dragonia w tył! za mną!

Był to głos pana Skrzetuskiego.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Sam Chmielnicki podniósł się nieco na siedzeniu, aby zobaczyć, co się dzieje; komisarzom krew uciekła z twarzy. Skrzetuski stał na koniu, wyprostowany, blady, z iskrzącymi oczyma i gołą szablą w ręku i nawpół zwrócony ku dragonom, powtórzył raz jeszcze grzmiący rozkaz:

— Za mną!..

Wśród ciszy kopyta końskie zakolatały po umiecionej grudzie ulicznej. Wyćwiczeni dragoni zwrócili na miejscu konie, porucznik stanął na ich czele, dał znak mieczem i cały oddział ruszył z wolna, napowrót ku domostwu komisarzy.

Zdziwienie i niepewność odmalowały się na wszystkich twarzach, nie wyłączając i Chmielnickiego, albowiem w głosie i ruchu porucznika było coś nadzwyczajnego, nikt jednak dobrze nie wiedział, czy to oddalenie się nagle eskorty nie należało do ceremoniału uroczystości. Jeden Kisiel zrozumiał wszystko, zrozumiał, że i traktaty i życie komisarzy, wraz z eskortą, zawisło w tej chwili na włosku, więc wstąpił na podniesienie i nim Chmielnicki zdołał pomyśleć, co się stało, zaczął przemowę.

Począł więc od ofiarowania łaski królewskiej Chmielnickiemu i całemu Zaporozu, ale wnet mowa jego została przerwana nowem zajściem, które tę tylko miało dobrą stronę, że całkiem odwróciło uwagę od poprzedniego: oto Dziedziała, stary pułkownik, stojąc wedle Chmielnickiego, począł potrząsać buławą na wojewodę i rzucać się i krzyczeć:

— Co tam mówisz, Kisielu! Król jako król, ale wy królewężta, kniaziowie, szlachta nabroiliście mnogo.

I ty, Kisielu, kość z kości naszych, odczepiłeś się od nas, a z Lachy przestajesz. Dosyć nam twego gadania, bo szablą dostaniem, czego nam trzeba.

Wojewoda spojrział ze zgorzaniem w oczy Chmielnickiego.

— W takiej to ryzie, hetmanie, utrzymujesz swoich pułkowników.

— Milcz, Dziedziała! — zawołał hetman.

— Milcz, milcz! Upił się, choć rano! — powtórzyli inni pułkownicy. — Poszedł precz, bo za łeb wyciągniem.

Dziedziała chciał dłużej huczeć, ale istotnie schwytano go za kark i wyrzucono za koło.

Wojewoda mówił dalej gładkimi i wybornemi słowy, pokazując Chmielnickiemu, jak wielkie bierze upominki — bo znak władzy prawej, którą dotąd jako przywłaszczyciel jeno piastował. Król, mogąc karać, woli mu przebaczyć, co czyni dla posłuszeństwa, jakie pod Zamościem okazał — i dlatego, że poprzednie przestępstwa nie za jego były spełnione panowania. Słuszna więc, aby on, Chmielnicki, tak wiele przedtem zgrzeszwszy, wdzięcznym się teraz za łaskę i klemencję okazał, krwi rozlewu zaprzestał, chłopstwo uspokoił i do traktatów z komisarzami przystąpił.

Chmielnicki przyjął w milczeniu buławę i chorągiew, którą rozwinąć nad sobą wnet rozkazał. Czerń na ten widok zawyła radosnymi głosami, tak, że przez chwilę nic nie było słyhać.

Pewne zadowolenie odbiło się na twarzy hetmana, który, poczekawszy chwilę, rzekł:

— Za tak wielką łaskę, którą mi król IMĆ przez wasze moście pokazał, że i władzę nad wojskiem przy-

ślał i przeszłe moje przestępstwa przebacza, uniżenie dziękuję. Zawsze to ja mówił, że król ze mną przeciw wam, nieszczerym dukom i królewietom, trzyma, a najlepszy dowód, że kontentacyę mnie przysyła za to, że ja wam szyje ucinał — tak dalej będę ucinał, jeżeli mnie i króla słuchać we wszystkim nie będziecie.

Ostatnie słowa wymówił Chmielnicki podniesionym głosem, lając i marszcząc brwi, jak gdyby gniew poczynał w nim wzbierać, a komisarze zdrętwieli na tak niespodziany obrót jego odpowiedzi. — Kisiel zaś rzekł:

— Król ci, mości hetmanie, krwi przelewu nakazuje poprzestać i traktaty z nami począć.

— Krew nie ja wylewam, jeno litewskie wojsko — odparł szorstko hetman — bo mam wiadomość, że mi Radziwiłł mój Mozyr i Turów wyciął, co jeśli się sprawdzi, dosyć mam waszych jeńców i znacznych — wnet im szyje każę poucinać. Do traktatów teraz nie przystąpię. Komisyja trudno się teraz ma zacząć, bo wojska w kupie niemasz, jeno garść pułkowników przy mnie, a reszta w zimownikach; bez nich nie mogę zaczynać. Zresztą poco gadać dłużej na mrozie. Co wy mnie mieli oddać, to oddali i wszyscy to widzieli, że już ja hetman z ramienia królewskiego, a teraz chodźcie do mnie na gorzałkę, na obiad, bom głodny.

To rzekłszy, Chmielnicki ruszył ku swemu dworcowi, a za nim komisarze i pułkownicy. W wielkiej środkowej izbie stał nakryty stół, uginający się pod srebrem zdobycznym, między którem wojewoda Kisiel byłby może znalazł i swoje własne, porabowane zeszłego lata w Huszczy. Na stole piętrzyły się góry świniny, wołowiny i tatarskiego piławu, w całej zaś izbie pachniała

wódka, prośnianka, nalana w srebrne konwie. Chmielnicki zasiadł, posadziwszy po swej prawej ręce Kisiela, po lewej kasztelana Brzozowskiego i ukazawszy ręką na gorzałkę, rzekł:

— W Warszawie mówią, że ja krew lacką piję, ale wolę ja horyłku, tamtę psom zostawiając.

Pułkownicy wybuchnęli śmiechem, od którego zatrzęsły się ściany izby.

Taki to „antypast“ dał komisarzom hetman przed swym obiadem, a komisarze polknęli go, nic nie mówiąc, żeby — jak pisał podkomorzy lwowski — „bestyi nie drażnić“.

Pot jeno obfity uperlił blade czoło Kisiela.

Ale rozpoczął się poczęstunek. Pułkownicy brali z półmisków rękoma kawały mięsiwa. Kisielowi i Brzozowskiemu nakładał je na misy sam hetman i początek obiadu upłynął w milczeniu, bo każdy głód nasycał. W ciszy słychać było tylko chrupotanie i trzask kości w zębach biesiadników, lub grzdykanie pijących; czasem rzucił ktoś jakie słowo, które pozostawało bez echa, dopiero pierwszy Chmielnicki, podjadłszy i wychyliwszy kilka szklanic prośnianki, zwrócił się nagle do wojewody i spytał:

— Kto u was prowadził konwój?

Niepokój odbił się na twarzy Kisiela.

— Skrzetuski, zacny kawaler! — rzekł.

— Ja jeho znaju — rzekł. — A czemu to on nie chciał być przy tem, jak wy mnie dary wręczali?

— Bo nie dla asysty on był nam przydany, jeno dla bezpieczeństwa i taki miał rozkaz.

— A kto jemu dał taki rozkaz?

— Ja — odparł wojewoda — bom nie myślał, aby

to przystojnie było, żeby przy wręczaniu darów dragoni nam i wam nad karkiem stali.

— A ja co innego myślał, bo wiem, że u tego żołnierza twardy kark.

Tu wtrącił się do rozmowy Jaszewski.

— Już my się dragonów nie boimo — rzekł. — Silni nam nimi byli Lachowie dawniej, ale doznaliśmy pod Piławcami, że nie oni to Lachowie, co przedtem bywali i bijali Turki, Tatary i Niemcy...

— Nie Zamojscy, Żółkiewscy, Chodkiewiczowie, Chmieleczy i Koniecpolscy — przerwał Chmielnicki — ale Tchorzowscy i Zajączkowscy, detyny w żelazo poucierane. Pomarli od strachu, skoro nas ujrzeli i pouciekali, choć Tatar więcej nie było zrazu we środe, tylko trzy tysiące...

Komisarze milczeli, jeno jadło i napój wydawały im się coraz bardziej gorzkie.

— Pokornie proszę, jedzcie i pijcie — rzekł Chmielnicki — bo będę myślał, że nasza prosta strawa kozacka przez wasze pańskie gardła przejść nie chce.

— Jeśli mają zaciasne, tak możeby im poprzerzynać — zawołał Dziedziała.

Pułkownicy podochoceni już mocno wybuchnęli śmiechem, ale Chmielnicki spojrział groźnie i uciszyło się znowu.

Kisiel, schorzały od kilku dni, blady był jak giezło, Brzozowski tak czerwony, iż zdawało się, że mu krew tryśnie z twarzy.

Nakoniec nie wytrzymał i huknął:

— Zaliśmy tu na obiad, czy na zniewagi przyszli? Na to Chmielnicki:

— Wy na traktaty przyjechali, a tymczasem litew-

skie wojska palą i ścinają. Mozyr i Turów mi wysiekli, co jeśli się sprawdzi, tedy czterystu jeńcom w oczach waszych szyję uciąć każę.

Brzozowski pohamował krew jeszcze przed chwilą kipiącą. Tak było! życie jeńców zależało od humoru hetmana, od jednego mrugnięcia jego oka, więc trzeba było wszystko znosić i jeszcze łagodzić jego wybuchy, by go „ad mitiorem et saniozem mentem” doprowadzić.

W tym duchu Karmelita Łętowski, z natury łagodny i bojaźliwy, ozwał się cichym głosem:

— Bóg łaskawy da, że mogą się te nowiny z Litwy o Turowie i Mozyrze odmienić.

Ale za ledwie skończył, Fedor Wieśniak, pułkownik czerkaski, przechylił się i buławą machnął, chcąc Karmelitę w kark grzmotnąć; na szczęście nie dosięgnął, bo ich czterech innych biesiadników przedzielało, ale natomiast zakrzyknął:

— Mowczy pope! ne twoje diło brechnin meni zadawaty! Chody no na dwir, nauczu ja tebe pułkowników zaporoskich szanowaty!

Inni wszelako porwali się go hamować, a nie mogąc tego dokazać, wyrzucili go za leb z izby.

— Kiedy, mości hetmanie, życzysz, aby się komisy zebrała? — pytał Kisiel, chcąc inny nadać zwrot rozmowie.

Na nieszczęście i Chmielnicki nie był już trzeźwy, więc taką prędką i jadowitą dał odpowiedź:

— Jutro sprawa i rozprawa będzie, bom teraz pijany! Co mnie tu o komisji prawicie, zjeść i wypić nie dajecie. Już mnie tego dosyć! Teraz wojna być musi (tu grzmotnął pięścią w stół, aż podskoczyły misy i konwie). W tych czterech niedzielach wszystkich was do

góry nogami przewrócę i podepczę, a na ostatek carzowi tureckiemu zaprzędam. Król królem będzie, aby ścinał szlachtę, duki i kniazie. Zhreszy kniaź, urezać mu szyję; zhreszy kozak, urezać mu szyję! Grozicie mi Szwedami, ale i oni mi ne zderzą. Tuhaj-bej na hawrani blisko mnie jest, brat mój, moja dusza, jedyny sokół na świecie, gotów wszystko uczynić zaraz, co ja zechcę.

Tu Chmielnicki, z właściwą pijanym nagłością, przeszedł od gniewu do rozczulenia i aż głos zadrgał mu do łez w gardzieli na słodkie wspomnienie Tuhajbeja.

— Wy chcecie, żeby ja na Turki i Tatary szablę podniósł, ale nic z tego! Na was ja pójdę z dobrymi druhami moimi. Jużem pułki obesłał, aby młojcy konie karmili i w drogę byli gotowi bez wozów, bez armaty; znajdę ja u Lachów to wszystko. Ktoby z kozaków wziął wóz, każę mu szyję urezać i ja sam kolaski nie wezmę, chyba juki i sakwy — i tak dojdę aż do Wisły i powiem: sedyte i mowczyte, Lachy! A będziecie z Zawisła krzykać, znajdę was i tam. Dosyć waszego panowania, waszych dragonów, gady wy przeklęte, samą nieprawdą żyjące.

Tu zerwał się z miejsca, rzucił od lawy, za czuprynę rwał, nogami bił w ziemię, krzycząc, że wojna musi być, bo on już na nią rozgrzeszenie i błogosławieństwo dostał, że nic mu po komisji i komisarzach, bo nawet na zawieszenie broni nie pozwoli.

Nakoniec widząc przerażenie komisarzy i przypomniawszy sobie, iż jeśli natychmiast odjadą, to wojna rozpocznie się w zimie, zatem w porze, gdy kozacy, nie mogąc się okopać, lichy biją się w otwartym polu, uspokoił się nieco i znów siadł na ławie. Głowę opuścił

na piersi, ręce wsparł na kolanach i oddychał chrapliwie. Nakoniec znów porwał za szklanę wódki.

— Za zdrowie króla jegomości! — wykrzyknął.

— Na sławu i zdrowie! — powtórzyli pułkownicy.

— No! ty Kisielu, nie sumuj — mówił hetman — i do serca nie bierz tego, co mówię, bom teraz pijany. Mnie worożychy mówiły, że wojna musi być — ale do pierwszej trawy poczekam, a potem niech będzie komisyja, na którą więźniów wypuszczę. Mnie mówili, że ty chory, tak niech i tobie będzie na zdrowie.

— Dziękuję ci, hetmanie zaporoski — rzekł Kisiel.

— Ty mój gość, ja o tem pamiętam.

To rzekłszy, Chmielnicki znowu wpadł w chwilowe rozczulenie i oparłszy ręce na ramionach wojewody, zbliżył swą ogromną czerwoną twarz do jego białych wychudłych policzków.

Za nim przychodzili inni pułkownicy i zbliżając się poufale do komisarzy, ściskali się z nimi za ręce, klepali ich po ramionach, powtarzali za hetmanem: „do pierwszej trawy!“ Komisarze byli jak na mękach. Chłopskie oddechy, przesycone zapachem gorzałki, oblewały twarze tej szlachty wysokiego rodu, dla której owe uściski spoconych rąk były równie nieznośne, jak zniewagi. Nie brakło też i gróźb wśród objawów grubijańskiej serdeczności. Jedni wołali do wojewody: „My Lachiw chcemo ryzaty, a ty nasz czołowik!“ — inni mówili: „A co wy, pany! dawniej bili nas, a teraz łaski prosicie! Na pohybelże wam, białorączkom! Ataman Wowk, dawny młynarz w Nestewarze, krzyczał: „Ja kniazia Czetwertyńskoho, moho pana, zarizaw!“ „Wy dajcie nam Jaremu, wołał, taczając się, Jaszewski, a da-
rujemy was zdrowiem!“

W izbie stał się zaduch i gorąco do niewytrzymania; stół pokryty resztkami mięsiwa, okruchami chleba, poplamiony wódką i miodem, był ohydny. Weszły nakoniec worożychy, to jest czarownice, z którymi hetman zwykle do późna w noc dopijał, słuchając przepowiedni: dziwne postacie, stare, pokurczone, żółte, lub w sile młodości, wróżące z wosku, ziaren pszenicy, ognia, piany wodnej, z dna flaszki, lub z tłuszczu ludzkiego. Wnet między pułkownikami a młodszymi z nich rozpoczęły się gzy i śmiechy. Kisiel był blizki omdlenia.

— Dziękujemy ci, hetmanie, za ucztę i żegnamy cię — rzekł słabym głosem.

— Ja jutro do ciebie Kisielu na obiad przyjadę — odpowiedział Chmielnicki — a teraz idźcie sobie. Doniec was z mołojcami do domów odprowadzi, żeby was od czerni jakowa przygoda nie spotkała.

Komisarze skłonili się i wyszli. Doniec z mołojcami czekał istotnie przed dworcem.

— Boże! Boże! Boże! — szepnął z cicha Kisiel, przykładając ręce do twarzy.

Orszak posunął się w milczeniu ku domostwu komisarzy.

Ale pokazało się, że już nie stoją w pobliżu siebie. Chmielnicki umyślnie powyznaczał im kwatery w różnych częściach miasta, aby nie mogli się łatwo schodzić i naradzać.

Wojewoda Kisiel, zmęczony, wyczerpany, ledwie na nogach się trzymający, natychmiast położył się do łóżka i aż do następnego dnia nie chciał nikogo widzieć; dopiero przed południem kazał przywołać Skrzetuskiego.

— Coś waćpan uczynił najlepszego? — rzekł do

niego — coś waćpan uczynił! Swoje i nasze życie na zgubę mogłeś narazić.

— JW. wojewodo, mea culpa! — odrzekł rycerz — ale mnie delirium porwało i wołałem sto razy zginąć, niż na takie rzeczy patrzeć.

— Chmielnicki poznał się na kontempcie. Zaledwem efferatem bestiam uspokoił i postępek twój wytłumaczył. Ale on tu dziś ma być u mnie i pewno ciebie zapyta. Tedy mu powiedz, żeś miał rozkaz odemnie, byś żołnierstwo odprowadził.

— Od dziś Bryszowski komendę bierze, bo zdrowszy.

— To i lepiej; za twardy masz waść kark na czasy dzisiejsze. Trudno nam co innego ganić w takowym postępku, jak nieostrożność, ale to znać, żeś młody i bólu w piersi znieść nie umiesz.

— Do boleścim nawykł, JW. wojewodo, jeno hańby znieść nie mogę.

Kisiel syknał z cicha, tak właśnie jak chory, którego ktoś w bolączkę uraził, poczem uśmiechnął się ze smutną rezygnacją i rzekł:

— Chleb to już powszedni dla mnie takie słowa, które dawniej łzami gorzkiemi oblewałem, spożywając, a teraz już mi i lez nie stało.

Litość wezbrała w sercu Skrzetuskiego na widok tego starca z twarzą męczennika, którego ostatnie dni życia pędził w podwójnem, bo duszy i ciała cierpieniu.

— JW. wojewodo! — rzekł — Bóg mi świadek, że jeno o czasach tych strasznych myślał, w których senatorowie i dygnitarze koronni czołem bić muszą przed hultajstwem, dla którego pał powinien być jedyną za postęпки zapłatą.

— Niech cię Bóg błogosławi, boś młody, uczciwy i wiem, że nie miałeś zlej intencji. Ale to, co ty mówisz, mówi twój książę, za nim wojsko, szlachta, sejmy, pól Rzeczypospolitej — i całe to brzemie wzgardy i nienawiści spada na mnie.

— Każdy służy ojczyźnie, jak rozumie — niechże Bóg sądzi intencje, a co się tyczy księcia Jeremiego, ten ojczyźnie zdrowiem i majątnością służy.

— I chwała go otacza i w niej jako w słońcu chodzi — odrzekł wojewoda. — Tymczasem cóż mnie spotyka? O! dobrze mówisz: niech Bóg sądzi intencje i niech da choć grobowiec spokojny tym, którzy za życia cierpią nad miarę.

Skrzetuski milczał, a Kisiel podniósł w niemej modlitwie oczy w górę, po chwili zaś tak mówić począł:

— Jam Rusin, krew z krwi i kość z kości. Mogiły książąt Światoldyczów w tej ziemi leżą, więcem ją kochał, ją i ten lud Boży, który u jej piersi żywie. Widziałem krzywdy z obu stron, widziałem swawolę dziką Zaporozża, ale i pychę nieznośną tych, którzy ten lud wojenny schłopić chcieli — cóżem więc miał uczynić, ja Rusin, a zarazem wierny syn i senator tej Rzeczypospolitej? Otom przyłączył się do tych, którzy mówili: „pax vobiscum!” bo tak kazała mi krew, serce, bo między nimi był król nieboszczyk, nasz ojciec, i kanclerz, i prymas i wielu innych; bom widział, że dla obu stron rozbrat, to zguba. Chciałem po wiek żywota, do ostatniego tchnienia, dla zgody pracować — i gdy się krew już polała, myślałem sobie: będę aniołem pojednania. I poszedłem, i pracowałem i jeszcze pracuję, chociaż w bólu, w męce, i w hańbie i w zwątpieniu prawie od wszystkiego straszniejszym. Bo, na miły Bóg! nie wiem

teraz, czy wasz księżę przyszedł z mieczem zawczasie, czy ja z gałęzią oliwną zapóźno, ale to widzę, że rwie się robota moja, że już sił nie staję, że napróżno siwą głową o mur tłukę i że schodząc do grobu, widzę jeno ciemności przed sobą — i zgubę, o Boże wielki — zgubę powszechną!

— Bóg ześle ratunek.

— O niechże ześle takowy promień przed śmiercią moją, abym nie umarł w rozpacz — to jeszcze za wszystkie boleści Mu podziękuję, za ten krzyż, który za życia noszę, za to, że czerń woła o głowę moją, a na sejmach zdrajcą mnie nazywają, za moje mienie zagrabione, za hańbę, w której żyję, za całą tę gorzką nagrodę, jakąm z obu stron otrzymał!

To rzekłszy, wojewoda wyciągnął swe wyschłe ręce ku niebu — i dwie lzy wielkie, może naprawdę w życiu ostatnie, spłynęły mu z oczu.

Skrzetuski nie mógł już dłużej wytrzymać, ale rzucając się na kolana przed wojewodą, chwycił jego rękę i rzekł przerywanym z wielkiego wzruszenia głosem:

— Jam żołnierz i idę inną drogą, ale zasłudze i boleści cześć oddawam.

To rzekłszy, ten szlachcic i rycerz z pod chorągwi Wiśniowieckiego, przycisnął do ust rękę tego Rusina, którego kilka miesięcy temu, razem z innymi zdrajcą nazywał.

A Kisiel położył mu obie ręce na głowie.

— Synu mój — rzekł cicho — niechże cię Bóg pocieszy, prowadzi i błogosławi, jak ja cię błogosławię.

Błędne koło układów rozpoczęło się jeszcze tego samego dnia. Chmielnicki przyjechał dość późno na

obład do wojewody i w najgorszym usposobieniu. Wnet oświadczył, że co wczoraj mówił o zawieszeniu broni, o komisji na Zielone świątki i o wypuszczeniu jeńców na komisję, to mówił jako pijany, a teraz widzi, że chciano go w pole wywieść. Kisiel znów łagodził go, uspokajał, przekładał, racye dawał, ale była to wedle słów podkomorzego lwowskiego „surdo tyranno fabula dicta“. — Poczynał też sobie hetman tak po grubijańsku, że komisarzom za wczorajszym Chmielnickim tęsknić przyszło. Pana Pozowskiego buławą uderzył za to tylko, że mu się nie w porę pokazał, mimo tego, że pan Pozowski śmierci i tak, jako wielce schorzały, był blizkim.

Nie pomagały ludzkość i ochota, ani perswazye wojewody. Dopiero gdy sobie nieco gorzałką i wybornym miodem huszczańskim podchmielił, wpadł w lepszy humor, ale też za nic już o sprawach publicznych nawet i wspomnieć sobie nie dał, mówiąc: „Mamy pić, to pijmy — zajutro sprawa i rozprawa! a nie, to sobie pójdę!“ O godzinie trzeciej w nocy napał się iść do sypialnej izby wojewody, czemu się tenże pod różnemi pozorami opierał, albowiem zamknął tam umyślnie Skrzetuskiego, wielce się obawiając, aby przy spotkaniu się tego nieugiętego żołnierza z Chmielnickim nie miało miejsca jakie zajście, któreby dla porucznika zgubnem być mogło. Chmielnicki jednak postawił na swoim i poszedł, a za nim wszedł i Kisiel. Jakież było tedy zdziwienie wojewody, gdy hetman, ujrawszy rycerza, skinął mu głową i zakrzyknął:

— Skrzetuski! a czemu ty z nami nie pijesz?

I wyciągnął doń przyjaźnie rękę.

— Bom chory — odrzekł, skłoniwszy się porucznik.

— Ty wczoraj i odjechał. Za nic mi była bez ciebie ochota.

— Taki miał rozkaz — wtrącił Kisiel.

— Już ty mnie wojewodo, nie gadaj. Znaju ja joho — i wiem, że on nie chciał patrzeć, jak wy mnie cześć wyrządzali. Oj, ptak to! Ale coby innemu nie uszło, to jemu ujdzie, bo ja jego miluję, on mój druh serdeczny.

Kisiel otworzył oczy szeroko ze zdumienia, hetman zaś zwrócił się nagle do Skrzetuskiego:

— A ty wiesz, za co ja ciebie miluję?

Skrzetuski potrząsnął głową.

— Myślisz, że za to, że ty postronek za Omelnikiem przeciał, kiedy ja był lichy człowiek i kiedy mnie jak zwierza ścigali? Otóż nie za to. Ja tobie dał wtedy pierścień z prochem z grobu Chrysta. Ale ty rogata dusza, mnie tego pierścienia nie pokazał, kiedy ty był w moich rękach — no, ja ciebie i tak puścił — i kwita. Nie za to cię teraz miluję. Inną ty mnie przysługę oddał, za którą ty mój druh serdeczny i za którą ja tobie wdzięczność winien.

Skrzetuski spojrzal z kolei ze zdziwieniem na Chmielnickiego.

— Widzisz, jak się dziwią — rzekł, jakby do kogoś czwartego, hetman — to ja tobie przypomnę, co mnie w Czehrynie powiadali, gdym tam z Bazawłuku z Tuhaj-bejem przyszedł. Pytałem ja sam wszędy o niedruha mojego Czaplińskiego, któregom nie znalazł — ale mnie powiedzieli, co ty jemu uczynił po naszym pierwszym spotkaniu, że ty jego za leb i za hajdawery ulapił i drzwi nim wybił i okrwawił jak sobóć — ha!

— Istotnie to uczynilem — rzekł Skrzetuski.

— Oj sławnie ty uczynił, dobrze ty postąpił! No, ja jego jeszcze dostanę — inaczej za nic traktaty i komisya — ja go jeszcze dostanę i poigram z nim po mojemu — ale i ty jemu dał pieprzu.

To rzekłszy, hetman zwrócił się do Kisiela i na nowo ją opowiadać:

— Za leb go złapał i za pludry, podniósł jak li-szkę, drzwi nim wybił i na ulicę wyrzucił.

Tu zaczął się śmiać, aż echo rozległo się po al-kierzu i dochodziło do izby biesiadnej.

— Mości wojewodo, każ dać miodu, muszę ja wy-pić za zdrowie tego rycerza, druha mojego.

Kisiel uchylił drzwi i na pacholika krzyknął, który wnet podał trzy kusztyki huszczańskiego miodu.

Chmielnicki trącił się z wojewodą i ze Skrzetu-skim, wypił — aż mu się z czupryny zadymiło, zaśmiała mu się twarz, ochota wielka wstąpiła w serce i zwró-ciwszy się do porucznika zakrzyknął:

— Proś mnie o co chcesz!

Rumieniec wystąpił na blade oblicze Skrzetuskiego; nastąpiła chwila milczenia.

— Nie bój się — rzekł Chmielnicki. — Słowo nie dym; proś o co chcesz, byleś o takie rzeczy nie prosił, które należą do Kisiela.

Chmielnicki, nawet pijany, był zawsze sobą.

— Kiedy mi wolno z afektu, jaki masz dla mnie, mości hetmanie, korzystać, tedy sprawiedliwości od cie-bie żądam. Jeden z twoich pułkowników krzywdę mi wyrządził...

— Szyję mu urezać! — przerwał z wybuchem Chmielnicki.

— Nie o to chodzi, każ mu jeno do walki ze mną stanąć.

— Szyję mu urezać! — powtórzył hetman. — Kto to taki?

— Bohun.

Chmielnicki począł mrugać oczyma, poczem uderzył się dłonią w czoło.

— Bohun? — rzekł — Bohun zabit. — Meni korol pysaw, że on w pojedynku usieczon.

Skrzetuski zdumiał. Zagłoba prawdę mówił!

— A co tobie Bohun uczynił? — pytał Chmielnicki.

Jeszcze silniejsze płomienie wystąpiły na lica porucznika. Bał się mówić o kniaziównie wobec półpijanego hetmana, aby jakiego nieprzebaczonego bluźnierstwa nie usłyszeć.

Kisiel go wyręczył.

— Jest to rzecz poważna — rzekł — o której mnie kasztelan Brzozowski opowiadał. Bohun porwał, mości hetmanie, temu oto kawalerowi narzeczoną i ukrył ją niewiadomo gdzie.

— Tak ty jej szukaj — rzekł Chmielnicki.

— Szukałem nad Dniestrem, bo tam ją ukrył — alem nie znalazł. Słyszałem jednak, że miał ją do Kijowa przeprowadzić, dokąd i sam na ślub chciał zjechać. Dajże mnie, mości hetmanie, prawo jechać do Kijowa i tam jej szukać, o nic więcej nie proszę.

— Ty mój druh, ty Czaplńskiego rozbił. Ja tobie dam nietylko prawo, żeby ty jechał i szukał wszędy, gdzie zechcesz, ale i rozkaz dam, by ten, u którego ona jest, w twoje ręce ją oddał — i piernacz ci dam na przejazd i list do metropolity, by po monastyrach u czernic szukali. Moje słowo nie dym!

To rzekłszy, uchylił drzwi i na Wychowskiego zawołał, by przyszedł pisać rozkaz i list. Czarnota musiał, lubo już była czwarta w nocy, ruszać po pieczęcie. Dziedziałą przyniósł piernacz, a Doniec dostał rozkaz, by w dwieście koni odprowadził Skrzetuskiego do Kijowa i dalej aż do pierwszych czat polskich.

Nazajutrz dzień Skrzetuski opuścił Perejasław.

ROZDZIAŁ XIX.

Jeżeli pan Zagłoba nudził się w Zbarażu, to nie mniej nudził się i Wołodyjowski, którego za wojnę i przygodami szczególniej tęsknił. Bywało wprawdzie, że wychodziły od czasu do czasu ze Zbaraża chorągwie dla pościgu za kupami swawolników, którzy nad Zbruczem palili i ścinali — ale była to mała wojna, przeważnie podjazdowa, przykra dla tegiej zimy i mrozów, dająca wiele trudów, mało sławy. Z tych wszystkich przyczyn codziennie nalegał pan Michał na Zagłobę, żeby iść w pomoc Skrzetuskiemu, od którego przez długi czas żadnej nie było wieści.

— Pewno on tam popadł w jakoweś zgubne terminy, a może i żywota już zbył; — mówił Wołodyjowski; — trzeba nam jechać koniecznie, niechby razem z nim zginąć przyszło.

Pan Zagłoba nie bardzo się opierał, bo jak utrzymywał, murszał w Zbarażu z ostatkiem, i dziwił się, że jeszcze grzyby na nim nie porastają, ale zwłóczył, spodziewając się, że lada chwila może przyjść od Skrzetuskiego wiadomość.

— Mężny on jest, ale i roztropny — odpowiadał na nalegania Wołodyjowskiego — czekajmy jeszcze parę

dni, bo nuż list przyjdzie i okaże się, że cała nasza ekspedycja niepotrzebna?

Pan Wołodyjowski uznawał słuszność argumentu i uzbrajał się w cierpliwość, choć czas włókl się coraz wolniej. Przy końcu grudnia mrozy przerwały nawet rozboje. W okolicy nastał spokój. Jedyłą rozrywkę stanowiły wieści publiczne, które często gęsto obijały się o szare mury zbarskie.

Rozprawiano więc o koronacyi, i o sejmie i o tem, czy książę Jeremi dostanie buławę, która przed wszystkimi innymi wojownikami jemu się należała. Oburzano się przeciw tym, którzy twierdzili, że wobec zwrotu ku traktatom z Chmielnickim, jeden tylko Kisiel może pójść w górę. Wołodyjowski odbył z tego powodu kilka pojedynków — pan Zagłoba kilka pijatyk — i było niebezpieczeństwo, że całkiem rozpić się może, bo nietylko dotrzymywał kompanii oficerom i szlachcie, ale nie wstydział się nawet chodzić i między lyczków na chrzciny, wesela, chwając sobie szczególnie ich miody, którymi słynął Zbaraż.

Wołodyjowski strofował go o to, mówiąc, że nie przystoi szlachcicowi poufalić się z ludźmi niskiej kondycyi, gdyż od tego szacunek dla całego stanu się zmniejsza, ale Zagłoba odpowiadał, że prawa to temu winny, które pozwalają stanowi mieszczańskiemu w pierze porastać i do takich przychodzić dostatków, jakie tylko udziałem szlachty być winny; wróżył, że z tak wielkich prerogatyw dla ludzi nikczemnych nic dobrego wypaść nie może, ale swoje robił. I trudno mu było brać tego za złe w czasie pośepnych dni zimowych, wśród niepewności, nudy i oczekiwania.

Zwolna jednak zaczęły chorągwie książęce coraz

liczniej ściągać do Zbaraża, z czego przepowiadano na wiosnę wojnę. Ale tymczasem ożywiła się nieco ochota. Przyjechał między innymi z chorągwią usarską Skrzetuskiego i pan Podbięta. Ten przywiózł wieści o niełasce, w jakiej książę u dworu zostawał, i o śmierci pana Janusza Tyszkiewicza, wojewody kijowskiego, po którym wedle powszechnego głosu, Kisiel na województwo miał nastąpić, a nakoniec o ciężkiej chorobie, jaką złożony był w Krakowie pan Łaszcz, strażnik koronny. Co do wojny, słyszał pan Podbięta od samego księcia, że chyba siłą rzeczy z konieczności nastąpi, bo komisarze już ruszyli z instrukcjami, aby wszelkie możliwe kozakom poczynić ustępstwa. Relacją tę pana Podbięty rycerstwo Wiśniowieckiego przyjęło z wściekłością, a pan Zagłoba proponował protest do grodu zanieść i konfederacją zawiązać, gdyż, jak mówił, nie chciał, żeby jego praca pod Konstantynowem poszła na marne.

W tych nowinach i niepewnościach upłynął cały luty i marzec dobiegał połowy — a od Skrzetuskiego ciągle nie było wieści.

Wołodyjowski tembardziej począł nalegać na wyjazd.

— Już nie kniaziówny, ale Skrzetuskiego — mówił — szukać nam wypadła.

Tymczasem pokazało się, że pan Zagłoba miał słuszną, odkładając z dnia na dzień wyprawę, gdyż w końcu marca przybył kozak Zahar, z listem adresowanym do Wołodyjowskiego z Kijowa. Pan Michał wezwał natychmiast Zagłobę, a gdy się zamknęli z posłańcem w osobnej izbie, rozerwał pieczęć i czytał co następuje:

„Nad Dniestrem, aż do Jahorliku, nie odkryłem żadnych śladów. Suponując, że musi być ukryta w Kijowie, przyłączyłem się do komisarzy, z którymi do Pere-

jasławia zaszedłem. Tam uzyskawszy nadspodziewanie konsens od Chmielnickiego, przybyłem do Kijowa i szukam wszędy, w czym mi sam metropolita sekunduje. Siła tu naszych ukrytych u mieszczan i po monasterach, ale ci, dla bojaźni czerni, nie dają wiedzieć o sobie, dlatego szukać trudno. Bóg mnie prowadził i nie tylko ochronił, ale Chmielnickiego afektem dla mnie natknął, mam przeto nadzieję, że mi i dalej pomoże i zmiłuje się nademną. Księża Muchowieckiego o wotywę solenną upraszam, na której módlcie się na moją intencję. Skrzetuski.*

— Chwałaż bądź Bogu Przedwiecznemu! — wykrzyknął Wołodyjowski.

— Jest jeszcze postscriptum — rzekł Zagłoba, zaglądając przez ramię pana Michała.

— Prawda! — rzekł mały rycerz i czytał dalej:

„Oddawca tego listu, essaul mirhorodzkiego kurzenia, miał mnie w poczciwej opiece, gdy w Siczy w niewoli byłem i teraz w Kijowie mi pomagał, i list zanieść się podjął, z narażeniem zdrowia; miej go, Michale, w staraniu, aby mu niczego nie brakło.“

— Oto uczciwy kozak, przynajmniej jeden taki! — rzekł Zagłoba, podając Zaharowi rękę.

Stary uściskał ją bez uniżoności.

— Możesz być pewien nagrody! — wtrącił mały rycerz.

— On sokoł — odparł kozak — ja joho lublu, ja ne dla hroszi tutki prziszow.

— I fantazyi ci widzę nie braknie, którejby się szlachcic nie jeden nie powstydzil — mówił Zagłoba. — Nie same bestye między wami, nie same bestye! Ale mniejsza z tem! To tedy pan Skrzetuski jest w Kijowie!

— Tak jest.

— A bezpieczen, bo to slysze czerń tam hula?

— On u Dońca pułkownika mieszka. Jemu nie nie uczynią, bo nasz bat'ko Chmielnicki kazał jego Dońcowi pod gardłem pilnować, jak oka w głowie.

— Cuda prawdziwe się dzieją! Skądże Chmielnickiemu takie serce dla Skrzetuskiego?

— On jego zdawna miłuje.

— A mówił tobie pan Skrzetuski, czego szuka w Kijowie?

— Jak nie miał mówić, kiedy on wie, że ja jego druh, ja szukał z nim razem i osobno — tak musiał powiedzieć, czego mnie szukać.

— Aleście dotąd nie znaleźli?

— Nie znaleźliśmy. Co tam Lachiw jeszcze jest, to się kryją, jeden o drugim nie wie, tak i znaleźć nie łatwo. Wy słyszeli, że tam czerń morduje, a ja to widział, nietylko Lachiw mordują, ale i tych, którzy ich ukrywają, nawet mnichów i czernice. W monastyrze Dobrego Mikoly u czernic było dwanaście Laszek, to je razem z czernicami dymem w celi zadusili, a co parę dni, to się skrzykną po ulicach, i lowią i do Dniepru prowadzą. Hej! co tam już wytopili..

— To może i ją zamordowali?

— Może i ją.

— Ale nie! — przerwał Wołodyjowski. — Już jeśli ją tam Bohun sprowadził, to ją musiał zabezpieczyć.

— Gdzie bezpieczniej, jak w monastyrze, a dla tego i tam znajdują.

— Uf! — rzekł Zagłoba. — Tak wy myślicie, Zahar, że ona mogła zginąć?

— Ne znaju.

— Widać, że Skrzetuski jest dobrej myśli — rzekł Zagłoba. — Bóg go doświadczył, ale go pocieszy. A wyście, Zahar, dawno wyjechali z Kijowa?

— Oj dawno, pane. Ja wtedy wyszedł, kiedy komisary koło Kijowa z powrotem przejeżdżali. Bahaćko Lachiw chciało z nimi uciekać, i tak uciekali nieszczęstnyje, jak kto mógł, po śniegach, po wertepach, przez lasy, lecieli do Białogródki, a kozacy gnali za nimi i bili. Bahato utikło, bahato zabyły — a niektórych pan Kisiel wykupił, za wszystkie hroszy, jakie miał.

— O dusze pieskie! To wyście z komisarzami jechali?

— Z komisarzami, aż do Huszczy, a stamtąd do Ostroga. Dalej już ja sam szedł.

— To wy dawni znajomi pana Skrzetuskiego?

— W Siczy ja go poznał i rannego pilnował, a potem polubił jak detynu ridniuju. Ja stary i mnie niema kogo lubić.

Zagłoba krzyknął na pacholka, kazał podać miodu i mięsiwa i zasiedli do wieczerzy. Zahar jadł smaczno, bo był zdrożony i głodny, następnie zanurzył chciwie siwe wąsy w ciemnym płynie, wypił, posmakował i rzekł:

— Sławny miód.

— Lepszy jak krew, którą pijecie — rzekł Zagłoba. — Ale tak myślę, że wy uczciwy człek i pana Skrzetuskiego miłujący, nie pójdziecie więcej do buntu, jeno zostanieie tu z nami? Już wam tu będzie dobrze.

Zahar podniósł głowę.

— Ja pyśmo widdaw — tak i pójdę, ja kozak — mnie z kozakami, nie z Lachami się bratać.

— I będziecie nas bili?

— A budu. Ja siczowy kozak. My sobie Chmiel-

nickiego bał'ka hetmanem obrali, a teraz korol jemu buławę i chorągiew przysłał.

— Ot, masz! panie Michale — rzekł Zagłoba — nie mówiłem, żeby protestować?

— A z jakiego wy kurzenia?

— Z mirhorodzkiego, ale jego już niema.

— A co się z nim stało?

— Husary pana Czarnieckiego pod Żółtą wodą starli. Teraz ja u Dońca z tymi, co zostali. — Pan Czarniecki szczerzy żołmir, on u nas w niewoli — o niego komisarzy prosili.

— Mamy i my waszych jeńców.

— Tak i musi być. W Kijowie mówili, że najlepszy molojec u Lachów w niewoli, choć inni mówili, że zginął.

— Kto taki?

— Oj, sławny ataman: Bohun.

— Bohun usieczon w pojedynku na śmierć.

— A kto jego ubił?

— Ten oto kawaler — odrzekł Zagłoba, ukazując na Wołodyjowskiego.

Zaharowi, który w tej chwili przechylił drugą kwartę miodu, oczy na wierzch wyszły, twarz sponso-wiała, nakoniec parsknął przez nozdrza płynem i śmiechem zarazem.

— Ten lycar Bohuna ubił? — pytał, krztusząc się ze śmiechu.

— Co u starego dyabła! — wykrzyknął, marszcząc brwi, Wołodyjowski. — Za dużo sobie ten posłaniec pozwała!

— Nie gniewaj się, panie Michale — przerwał Zagłoba. — Poczciwy to widać człowiek, a że się na poli-

tyce nie zna, to od tego on kozak. Z drugiej strony, tem większa dla waćpana chwała, że wyglądając tak niepo-
cześnie, tak wielkich przewag już w życiu dokonałeś. Ciało masz nikczemne, ale duszę wielką. Ja sam, pamię-
tasz, jakem ci się przypatrywał po bitwie, chociażem
bitwę na własne oczy widział, bo mi się wierzyć nie
chciało, żeby taki chłystek...

— Dajże waćpan pokój! — burknął Wołodyjowski.

— Nie jam twym ojcem, nie miejże do mnie ran-
koru, ale to ci powiem, że pragnąłbym mieć takiego syna,
i jeżeli chcesz, to cię będę adoptował, majątność całą
ci zapiszę, bo to nie wstyd być wielkim w małym ciele.
I ksiązę niewiele większy jest od ciebie, a dlatego Ale-
ksander macedoński nie wart być jego giermkim.

— Ale bo co mnie gniewa — rzekł udobruchany
nieco Wołodyjowski — to właśnie to, że z tego listu
Skrzetuskiego nic pomyslnego nie widać. Że on sam
nad Dniestrem nie położył głowy, to chwała Bogu, ale
kniaziówny dotąd nie znalazł i któż zaręczy, czy ją
znajdzie?

— Prawda jest! Ale gdy Bóg go przez nasze ręce
od Bohuna uwolnił i przez tyle niebezpieczeństw, przez
tyle sidła przeprowadził, gdy i Chmielnickiego zakamie-
niale serce afektem dziwnym dla niego natknął, to juści
nie poto, żeby od męki i żalosci na schab wysechl. Je-
żeli w tem wszystkim nie widzisz, panie Michale, ręki
Opatrzności, to widać tępszy masz dowcip od szabli —
jakoż i słuszną to jest, że nikt nie może wszystkich
przymiotów na raz posiadać.

— Widzę to jedno — odparł, ruszając wąsikami,
Wołodyjowski — że my nie mamy nic tam do roboty
i dalej musimy tu siedzieć, póki nie sparciejemy do reszty.

— Prędeż ja sparcieję, jak ty, bom starszy, a to wiesz, że i rzepa parcieje i słonina jęlczeje ze starości. Dziękujmy raczej Bogu, że wszystkim naszym zgryzotom szczęśliwy koniec obiecuje. Niemalóm się ja namartwił o kniaziównę, więcej jako żywo od ciebie, a niewiele mniej od Skrzetuskiego, bo ona moja córuchna i pewniebym rodzonej tak nie kochał. Mówią nawet, że do mnie kubek w kubek podobna, ale ja ją i bez tego miłuję — i nie widziałbyś mnie ani wesółym, ani spokojnym, gdybym nie ufał, że już wkrótce niedola jej się skończy. Od jutra układam epitalamniom, bo bardzo piękne wiersze piszę, jenom w ostatnich czasach trochę Apollina dla Marsa zaniedbał.

— Co tu i mówić teraz o Marsie! — odrzekł Wołodyjowski. — Niech kaduk porwie tego zdrajcę Kisiela, wszystkich komisarzów i ich traktaty! Na wiosnę pokój uczynią, jako dwa a dwa cztery. Pan Podbięta, który się z księciem widział, też to mówił.

— Pan Podbięta tyle się zna na rzeczach publicznych, ile koza na pieprzu. Więcej on tam przy dworze za oną dzierlatką wietrzył, niż za wszystkim innym, i warował do niej, niby pies do kuropatwy. Dalby Bóg, żeby mu ją kto inny ustrzelil — ale mniejsza z tem. Nie neguję ci, że Kisiel zdrajca, bo o tem cała Rzeczpospolita wie dobrze, jeno tak myślę, że co do traktatów na dwoje babka wróży.

Tu Zagłoba zwrócił się do kozaka.

— A co tam u was, Zahar mówią — będzie li pokój, czy wojna?

— Do pierwszej trawy będzie spokój, a na wiosnę to przyjdzie na pohybel albo nam, albo Lachiwczukam.

— Pocieszcie się, panie Michale; slyszalem i ja, że się czerni wszędy armuje.

— Bude taka wijna, jakoi ne buwalo — rzekł Zahar. — U nas mówią, że i sultan turecki przyjdzie i chan ze wszystkimi ordami, a nasz druh, Tuhaj-bej, na hawrani blisko stoi i wcale do dom nie poszedł.

— Pocieszcie się, panie Michale — powtórzył Zagłoba. — Jest też i prorocstwo o nowym królu, że całe panowanie pod bronią mu zejdzie; już to prawdopodobniejsze, że człowiek długo jeszcze szabli do pochwy nie schowa. Przyjdzie się człowiekowi od ciągłej wojny zedrzyć, jak mietle od ciągłego zamiatania, ale taka to już nasza żołnierska dola. Kiedy już wypadnie się bić, trzymaj się niedaleko mnie, panie Michale, a pięknych rzeczy się napatrzysz i poznasz, jakeśmy to za dawnych, lepszych czasów, wojowali. Mój Boże! nie ci to już ludzie, którzy za dawnych lat bywali — i ty już nie tak jesteś, panie Michale, chociaż sierdzisty żołnierz i choć Bohuna usiekłeś.

— Sprawedywe kazete, pane — rzekł Zahar. — Ne cii teper lude, szczo buwały...

Poczem poczał na Wołodyjowskiego spoglądać i głową trząść:

— Ale szczo by cij lycar Bohuna ubyw — no! no!...

ROZDZIAŁ XX.

Stary Zahar odjechał napowrót do Kijowa, po kilkodniowym odpoczynku, a tymczasem przyszła wieść, że komisarze wrócili bez wielkich nadziei pokoju, a nawet w zupełnem prawie zwątpieniu. Zdołali tylko wyjednać armiscitium aż do Zielonych Świątek ruskich, po których miała rozpocząć się nowa komisya z pełną mocą do traktatów. Jednakże wymagania i warunki Chmielnickiego były tak górne, że nikt nie wierzył, aby Rzeczpospolita zgodzić się na nie mogła. Rozpoczęły się więc z obu stron gwałtowne uzbrojenia. Chmielnicki słał posła za posłem do chana, by na czele wszystkich sił śpieszył na ratunek; słał i do Stambułu, gdzie ze strony królewskiej bawił od dłuższego czasu pan Bieczyński — w Rzeczypospolitej spodziewano się lada chwila wici na popolite ruszenie. Przyszły wiadomości o mianowaniu nowych wodzów: podczaszego Ostroroga, Lanckorońskiego i Firleja, i o zupełnem usunięciu od spraw wojskowych Jeremiego Wiśniowieckiego, który na czele jeno własnych sił mógł dalej ojczyznę zasłaniać. Nietylko żołnierze książęcy, nietylko szlachta ruska, ale nawet stronnicy dawnych regimenterzy oburzali się na takowy wybór i nielaskę, twierząc słusznie, iż jeżeli poświęcanie Wiśniowieckiego, póki był

nadzieja traktatów, miało swoją rację polityczną, to usuwanie go w razie wojny było wielkim, niedarowanym błędem, bo on jeden tylko mógł mierzyć się z Chmielnickim i zwyciężyć tego znakomitego wodza rebelii. Zjechał wreszcie i sam książę do Zbaraża w tym celu, aby zebrać jak najwięcej wojska i stać w pogotowiu na granicy wojny. Zawieszenie broni było zawarte, ale okazywało się co chwila bezsilnem. Chmielnicki kazał wprawdzie ściąć kilku pułkowników, który wbrew umowie pozwalali sobie napadów na zamki i chorągwie, na leżach tu i owdzie rozproszone, ale nie mógł opanować mas czerni i licznych luźnych watah, które o armiscitium lub nie słyszały, lub nie chciały słyszeć, lub nie rozumiały nawet znaczenia tego słowa. Wpadały więc one ustawicznie w granice umową zabezpieczone, łamiąc tem samym wszelkie Chmielnickiego przyrzeczenia. Z drugiej strony wojska prywatne i kwarciane, zapędzając się w pościgu za zbójcami, przechodziły częstokroć Prypeć i Horyń w Kijowskiem, zapędzały się w głąb województwa braclawskiego, a tam napadane przez kozactwo, staczały z niem formalne walki, nieraz bardzo krwawe i zacięte. Stąd skargi ustawiczne, polskie i kozackie, o łamanie umowy, której w samej rzeczy nie było w mocy niczyjej dotrzymać. Zawieszenie broni istniało tedy o tyle, o ile sam Chmielnicki z jednej, a król i hetmani z drugiej strony nie wyruszali w pole — ale wojna rozgorzała już faktycznie, zanim główne siły zerwały się do walki i pierwsze cieplejsze promienie wiosenne oświecały po staremu płonące wsie, miasteczka, miasta, zamki, oświecały rzezie i niedolę ludzką.

Zapuszczały się pod Zbaraż watahy z pod Baru, Chmielnika, Machnówki, ścinając, grabiąc, paląc. Te gro-

mił Jeremi rękoma swych pułkowników, bo sam udziału w owej drobnej wojnie nie brał, chcąc wtedy dopiero z całą dywizją ruszyć, gdy już i hetmani wyjdą w pole.

Rozsyłał więc podjazdy z rozkazami, by krwią za krew płacili, palem za grabież i mordy. Poszedł między innymi pan Longinus Podbięta i pogromił pod Czarnym Ostrowiem, ale był to rycerz w bitwie tylko straszliwy, z jeńcami zaś schwytanymi z bronią w ręku obchodził się zbyt łagodnie i dlatego więcej go nie posyłano. Szczególniej jednak odznaczał się w podobnych ekspedycjach pan Wołodyjowski, który, jako partyzant, w jednym chyba Wierszule mógł znaleźć współzawodnika. Nikt bowiem nie odbywał tak błyskawicznych pochodów, nikt nie umiał zająć tak niespodzianie nieprzyjaciela, rozbić go tak szalonym napadem, rozproszyc na cztery wiatry, wyłowić, wyścinać, wywieszać. Wkrótce też otoczył go postrach, a z drugiej strony fawor książęcy. Od końca marca do połowy kwietnia zniósł pan Wołodyjowski siedm luźnych watah, z których każda była trzykroć od jego podjazdu silniejsza, i nie ustawał w pracy i coraz więcej okazywał ochoty, jakoby w krwi przelanej ją czerpiąc.

Zachęcał mały rycerz, a raczej mały dyabeł, usilnie pana Zagłobę, by mu w tych ekspedycjach towarzyszył, bo lubił nad wszystko jego kompanią, ale stateczny szlachcic opierał się wszelkim namowom i tak swoją bezczynność tłumaczył:

— Za wielki mam brzuch, panie Michale, na te trzęsienia i szarpaniny, a przytem każdy do czego innego się godzi. Z usarzami na gęstwę nieprzyjaciela przy białym dniu uderzać, tabory łamać, chorągwie brać — to moja rzecz, do tego mnie Pan Bóg stworzył i usposobił; ale pościg nocą, w chróstach, za hultajstwem, tobie zostawuję,

któryś jest misterny jako igła i łatwiej się wszędy przecisnąć. Starej ja daty rycerz i wolę rozdzierać, jako właśnie lew czyni, niż tropić, jak ogar po haszczach. Zresztą po wieczornym udoju muszę iść spać, bo to moja pora najlepsza.

Jeździł więc pan Wołodyjowski sam i sam zwyciężał, aż pewnego razu wyjechawszy pod koniec kwietnia, wrócił w połowie maja tak strapiony i smutny, jakby klęskę poniósł i ludzi wymarnował. Tak nawet zdawało się wszystkim, ale było to mylne mniemanie. Owszem, w długiej tej i uciążliwej ekspedycyi, doszedł pan Wołodyjowski aż za Ostróg pod Hołownię, i tam pogromił nie zwyczajną watabę, złożoną z czerni, ale kilkaset ludzi liczący oddział zaporozców, który w połowie wyciął, a w połowie w niewolę zagarnął. Tem dziwniejszy był więc głęboki smutek, niby mgłą pokrywający jego wesołość z natury oblicze. Wielu chciało zaraz wiedzieć przyczynę, pan Wołodyjowski jednak nikomu słowa nie rzekł, i zaledwie z konia zsiadłszy, udał się na długą rozmowę do księcia, w towarzystwie dwóch nieznanymi rycerzami, a następnie wraz z nimi szedł do pana Zagłoby, nie zatrzymując się, choć go ciekawi nowin za rękawy po drodze chwytał.

Pan Zagłoba z pewnem zdziwieniem spoglądał na dwóch olbrzymich mężów, których nigdy przedtem w życiu nie widział, a których strój ze złotemi pętelkami na ramionach okazywał, że w wojsku litewkiem służą. Wołodyjowski zaś rzekł:

— Zamknij waszmość drzwi i nie każ nikogo puszcząć, bo mamy o ważnych sprawach pomówić.

Zagłoba wydał rozkaz czeladnikowi, poczem jął pa-

trzeć niespokojnie na przybyłych, miarkując z ich twarzy, że nic dobrego nie mają do powiedzenia.

— To są — rzekł Wołodyjowski, ukazując na młodzieńców — kniazie Bylichowie-Kurcewicze Jur i Andrzeja.

— Stryjeczni Heleny! — wykrzyknął Zagłoba. Kniaziowie skłonili się i odrzekli obaj naraz.

— Stryjeczni nieboszczki Heleny.

Czerwona twarz Zagłoby stała się w jednej chwili blado-niebieska; rękoma począł bić powietrze, jak gdyby postrzał otrzymał, usta otworzył, nie mogąc tchu złapać, oczy wytrzeszczył i rzekł, a raczej jęknął:

— Jakto?

— Są wiadomości — odpowiedział posepnie Wołodyjowski — że kniaziówna w monasterze Dobrego Miokoły została zamordowana.

— Czerń wydusiła dymem w celi dwanaście panien i kilkanaście czernic, między którymi była siostra nasza — dodał książę Jur.

Zagłoba tym razem nic nie odrzekł, jeno twarz, poprzednio sina, poczerwieniała mu tak, że obecni złąkli się, aby go krew nie zalała; zwolna powieki opadły mu na oczy, poczem zakrył je rękoma, a z ust wyrwał się nowy jęk.

— Świcie! świcie! świcie!

Poczem umilkł i trwał w milczeniu.

A kniaziowie i Wołodyjowski biadać poczęli:

— Oto zebraliśmy się razem krewni i przyjaciele, którzyśmy ci na ratunek, wdzięczna panno, iść chcieli — mówił, wzdychając raz po raz, młody rycerz — ale znać spóźniliśmy się z pomocą. Za nic nasza ochota, za nic nasze szable i odwaga, bo na innym ty już, lepszym od

tego lichego świecie przebywasz, u królowej Niebieskiej w fraucymerze.

— Siostro! — wołał olbrzymi Jur, którego żal na nowo pochwycił za włosy — ty nam odpuść nasze winy, a my za każdą kroplę twojej krwi wiadro wylejemy.

— Tak nam dopomóż Bóg! — dodał Andrzej.

I obaj mężowie wyciągali do nieba ręce, Zagłoba zaś wstał z ławy, postąpił kilka kroków ku tapczanowi, zatoczył się jak pijany i padł na kolana przed obrazem.

Po chwili na zamku ozwały się dzwony, zwiastujące południe, które brzmiały tak ponuro, jakby dzwony pogrzebowe.

— Niema jej już, niema! — rzekł znowu Wołodjowski. — Do niebios ją anieli zabrali, nam zostawiając łzy i wzdychania.

Łkanie wstrząsnęło grubem ciałem pana Zagłoby i trzęsło niem, a oni ciągle narzekali i dzwony biły.

Wreszcie Zagłoba uspokoił się — myśleli nawet, że może bólem znużony usnął na klęczkach, ale on po jakimś czasie wstał i siadł na tapczanie; tylko był to już jakby inny człowiek: oczy miał czerwone i krwią zasze, głowę spuszczoną, dolna warga zwisała mu aż na brodę, na twarzy osiadło niedołęstwo i jakaś niebywała zgrzybiałość — tak, że mogło naprawdę się zdawać, iż ów dawny pan Zagłoba, butny, jowialny, pelen fantazyi, umarł, a został tylko starzec, wiekiem przyciśnięty i zmęczony.

Wtem mimo protestacyi pilnującego drzwi pacholika, wszedł pan Podbipięta i na nowo rozpoczęły się żale i narzekania; Litwin wspominał Rozlogi i pierwsze widzenie się z kniaziówną, jej słodycz, młodość i urodę, wreszcie wspominał, iż jest ktoś nieszczęśliwszy od nich

wszystkich, to jest narzeczony, pan Skrzetuski — i jął rozpytywać o niego małego rycerza.

— Skrzetuski został u księcia Koreckiego w Korcu, dokąd z Kijowa przyjechał i leży chory, o świecie Bożym nie wiedząc — rzekł pan Wołodyjowski.

— Zali nie trzeba, abyśmy do niego jechali? — pytał Litwin.

— Niema tam poco jechać — odparł Wołodyjowski. — Medyk książęcy zareczya za jego zdrowie; jest tam pan Suchodolski, pułkownik księcia Dominika, ale wielki przyjaciel Skrzetuskiego, jest i nasz stary Zaćwilichowski; obaj mają go w opiece i staraniu. Na niczem mu nie zbywa, a to, że go delirium nie opuszcza, to dla niego lepiej.

— O mocny Boże! — rzekł Litwin. — Widziałeś waćpan Skrzetuskiego na własne oczy?

— Widziałem, ale żeby mi nie powiedzieli, że to on, to nie byłbym go poznał, tak go boleść i choroba strawiły.

— A on poznał waćpana?

— Pewnie poznał, choć nic nie mówił, bo się uśmiechnął i głową kiwnął, a mnie taka żalność porwała, że m dłużej zostać nie mógł. Książę Korecki chce tu iść do Zbaraża z chorągwiami, Zaćwilichowski z nim razem pójdzie, a i pan Suchodolski zaklina się, że ruszy, choćby miał ordynanse od księcia Dominika przeciwne. Oni to sprwadzą tu i Skrzetuskiego, jeśli go boleść nie zmoże.

— A skądże macie te wiadomości o śmierci kniaziówny? — pytał dalej pan Longinus. — Czy nie ci kawalerowie je przywieźli? — dodał, wskazując na kniaziów.

— Nie. Ci kawalerowie trafem się w Korcu o wszystkim dowiedzieli, dokąd przyjechali z posiłkami od wojewody wileńskiego, i tu ze mną przyszli, bo i do na-

szego księcia od wojewody listy mieli. Wojna jest pewna, a z komisji już nic nie będzie.

— To już i my to wiemy, ale powiedz mi waćpan, kto ci o śmierci kniaziówny mówił?

— Mówił mnie Zaćwilichowski, a on wie od Skrzetuskiego. Skrzetuskiemu dał Chmielnicki permissją, żeby w Kijowie szukał i sam metropolita miał mu pomagać. Szukali tedy głównie po monasterach, bo co z naszych w Kijowie zostało, to w nich się kryje. I myśleli, że pewnie Bohun kniaziównę w jakimś monasterze umieścił. Szukali, szukali i byli dobrej myśli, choć wiedzieli, że czerń u Dobrego Mikoły dwanaście panien dymem wydusiła. Sam metropolita upewniał, że przecie na narzeczoną Bohunaby się nie rzucili, aż pokazało się inaczej.

— To ona była u Dobrego Mikoły?

— Tak jest. Spotkał Skrzetuski w jednym monasterze ukrytego pana Joachima Jerlicza, a że to wszystkich o kniaziównę dopytywał, więc pytał i jego; pan Jerlicz zaś powiedział mu: że jakie były panny, to je wpierw kozacy pobrali, jeno się u Dobrego Mikoły dwanaście zostało, które dymem później wyduszono — a między nimi miała być i Kurcewiczówna. Skrzetuski, że to pan Jerlicz śledziennik i nawpół przytomny od ciągłego strachu, nie wierzył mu i polecił zaraz po raz wtóry do Dobrego Mikoły jeszcze raz pytać, na nieszczęście mniszki, których trzy także w tej samej celi uduszono, nie wiedziały nazwisk, ale słuchając deskrypcji kniaziówny, którą im Skrzetuski czynił, powiedziały, że taka była. Wtedy to Skrzetuski z Kijowa wyjechał i zaraz na zdrowiu zapadł.

— To dziw tylko, że jeszcze żyje.

— Byłby umarł niechybnie, żeby nie ów stary kozak, który go w niewoli na Siczy pilnował, a potem tu

od niego z listami przyjechał, i wróciwszy znów w szukaniu mu pomagał. Ten go do Korca odwiózł i panu Zaćwilichowskiemu w ręce oddał.

— Niechże go Bóg ma w swojej opiece, bo on się już nigdy nie pocieszy — rzekł Longinus.

Pan Wołodyjowski umilkł i grobowe milczenie pannało między wszystkimi. Kniazie, podparłszy się łokciami, siedzieli bez ruchu z namarszczoną brwią; Podbipięta oczy w górę wznosił, a pan Zagłoba utkwiał szklany wzrok w przeciwległą ścianę, jakby w najgłębszem zamysleniu się pogrążył.

— Zbudź się waćpan! — rzekł wreszcie do niego Wołodyjowski, wstrząsając go za ramię. — O czem tak myślisz? nic już nie wymyślisz i wszystkie twoje fortele na nic się nie przydadzą.

— Wiem o tem — odparł złamanym głosem Zagłoba — jeno myślę, żem stary i że nie mam co robić na tym świecie.

ROZDZIAŁ XXI.

— Imaginuj sobie waćpan — mówił w kilka dni później Wołodyjowski do Longina — że ten człowiek tak się w jednej godzinie zmienił, jakoby o dwadzieścia lat postarzał. Tak wesoly, taki mowny, tak obfity w fortele, że samego Ulissesa w nich przewyższał, dziś pary z gęby nie puści, jeno po całych dniach drzemie, na starość narzeka i jakby przez sen mówi. Wiedziałem to, że on ją kochał, alem się nie spodziewał, żeby do tego stopnia.

— Cóż to dziwnego — odparł, wzdychając Litwin. — Tem bardziej się do niej przywiązał, że ją z rąk Bohunowych wydarł i tyle dla niej niebezpieczeństw i przygód w ucieczce doświadczył. Póki tedy była nadzieja, póty się i jego dowcip na fortele wysilał i sam się na nogach trzymał, a teraz nie ma on już naprawdę co na świecie robić, samotnym będąc i serca nie mając o co zaczepić.

— Próbowałem już i pić z nim, w tej nadziei, że mu trunek dawny wigor powróci — i to na nic! Pić, pije, ale nie zmyśla po dawnemu, nie prawi o swych przewagach, jeno się roztkliwi, a potem głowę na brzuch zwiesi i śpi. Już nie wiem, czy i pan Skrzetuski w większej desperacyi od niego żyje.

— Szkoda to jest niewymowna, bo jednak wielki to był rycerz! Chodźmy do niego, panie Michale. Miał on zwyczaj dworować sobie ze mnie i we wszystkim mi dogryzać. Może go i teraz ochota do tego schwyli. Mój Boże, jak się to ludzie zmieniają! Taki to był wesóły człek!

— Chodźmy — rzekł pan Wołodyjowski. — Późno już jest, ale jemu najciężej wieczorem, bo wydrzemawszy się przez cały dzień, w nocy spać nie może.

Tak rozmawiając, udali się oba do kwatery pana Zagłoby, którego znaleźli siedzącego pod otwartem oknem, głową opartą na rękę. Późno już było; w zamku ustał wszelki ruch, jeno warty obwoływały się przeciągłymi głosami, a w gąszczach dzielących zamek od miasta słowiki wywodziły zapamiętałe swoje nocne trele, poświstując, cmokając i klaskając tak gęsto, jak gęsto pada ulewa wiosenna. Przez otwarte okno wchodziło ciepłe majowe powietrze i jasne promienie księżyca, które oświecały pognębioną twarz pana Zagłoby i lysinę schyloną na piersi.

— Dobry wieczór waćpanu — rzekli dwaj rycerze.

— Dobry wieczór — odpowiedział Zagłoba.

— Co waćpan tak przy oknie rozpamiętywasz, zamiast spać iść? — pytał Wołodyjowski.

Zagłoba westchnął.

— Bo mi nie do snu — odrzekł wlokącym się głosem. — Rok temu, rok, uciekałem z nią nad Kaha-mlikiem od Bohuna i tak samo nam owe ptaszyny fiukały, a teraz gdzie ona?

— Bóg to tak zrządził — rzekł Wołodyjowski.

— Na lzy i smutek, panie Michale! Niemasz już dla mnie pocieszenia.

Umilkli — jeno przez otwarte okno dochodziły coraz mocniej trele słowicze, którymi cała owa jasna noc zdawała się być przepelniona.

— O Boże, Boże! — westchnął Zagłoba — zupełnie tak, jak nad Kahamlikiem!

Pan Longinus strząsał łzę z płowych wąsów, a mały rycerz rzekł po chwili:

— Ej, wiesz co waćpan? smutek smutkiem, a napij się z nami miodu, bo nie masz nic lepszego na zgryzotę. Będziemy przy szklenicy rozpamiętywali lepsze czasy.

— Napiję się — rzekł z rezygnacją Zagłoba.

Wołodyjowski kazał czeladnikowi przynieść światło i gąsiorek, a następnie gdy zasiedli, wiedząc, że wspomnienia najlepiej ze wszystkiego ożywiają pana Zagłobę, pytał:

— To to już rok, jakieś waćpan z nieboszczką z Rozłogów przed Bohunem uciekał?

— W maju to było, w maju — odrzekł Zagłoba. — Przeszliśmy przez Kahamlik, żeby ku Złotonoszy uciekać. Oj, ciężko na świecie!

— I ona była przebrana?

— Za kozaczka. Włosy jej szablą musiałem, niebodze mojej, obcinać, aby jej nie poznano. Wiem miejsce, gdzie je pod drzewem razem z szablą pochowałem.

— Słodka to była panna! — dorzucił z westchnieniem Longinus.

— To mówię waćpanom, że ja pierwszego dnia tak pokochałem, jakbym ją od małego hodował. A ona tylko rączyny przedemną składała, a dziękowała i dziękowała za ratunek i opiekę. Niechby mnie byli usiekli, nimem się dzisiejszego dnia doczekał. Bodaj mi było nie dożyć!

Tu znów nastąpiło milczenie i trzej rycerze pili miód zmieszany ze łzami — poczem Zagłoba tak dalej mówić począł:

— Myślałem, że przy nich starości spokojnej doczekam, a teraz...

Tu ręce zwisły mu bezsilnie:

— Znikąd pociechy, znikąd pociechy, chyba w grobie...

Tymczasem, zanim pan Zagłoba ostatnich słów dokończył, hałas powstał w sieni; ktoś chciał wejść, a czeladnik nie puszczal; powstała głośna sprzeczka, w której zdało się panu Wołodyjowskiemu że poznaje jakiś głos znajomy, więc zawołał na czeladnika, by dłużej wejścia nie bronił.

Następnie drzwi otworzyły się i ukazała się w nich pyzata, rumiana twarz Rzędziana, który powiódł oczyma po obecnych, pokłonił się i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odrzekł Wołodyjowski — to Rzędzian.

— A ja ci to jestem — odrzekł pacholek — i klaniam do kolan waszmościom. A gdzie to mój pan?

— Twój pan w Korcu i chory.

— O dla Boga! co też jegomość powiada? A ciężko on, Boże broń, chory?

— Był ciężko chory, a teraz zdrowszy. Medyk powiada, że będzie zdrów.

— Bo ja tu z wieściami o panie do mojego pana przyjechałem.

Mały rycerz począł kiwać melancholicznie głową.

— Niepotrzebnieś się śpieszył, bo już pan Skrzetuski wie o jej śmierci i my tu ją łzami rzewnymi oblewamy.

Oczy Rzędziana wylazły zupełnie na wierzch głowy.

— Gwałtu rety! co ja slyszyć? panna umarła?

— Nie umarła, jeno w Kijowie od zbójów zamordowana.

— W jakim Kijowie, co jegomość prawi?

— W jakimże Kijowie, albo to Kijowa nie znasz?

— Dla Boga, chyba jegomość kpi! Co ona miała do roboty w Kijowie, kiedy ona w jarze nad Waładynką niedaleko Raszkowa ukryta? i czarownica miała rozkaz, żeby się do przyjazdu Bohuna ani krokiem nie ruszała. Jak mnie Bóg miły, zwaryować przyjdzie, czy co?

— Co za czarownica, o czymże ty gadasz?

— A Horpyna, toć tę basetkę znam dobrze.

Pan Zagłoba nagle wstał z ławy i począł rękami trzepać, jak człowiek, który wpadłszy w głębinę, ratuje się od zatonięcia.

— Na Boga żywego! milcz waćpan! — rzekł do Wołodyjowskiego — na rany Boskie niech ja pytam!

Obecni aż zadrżeli, tak blady był Zagłoba i pot wystąpił mu na łysinę, on zaś skoczył równemi nogami przez ławę do Rzędziana i schwyciwszy pacholka za ramiona, pytał chrapliwym głosem:

— Kto tobie to powiadał, że ona... koło Raszkowa ukryta?

— Kto miał powiadać? Bohun!

— Chłopie, czyś zwaryował?! — wrzasnął pan Zagłoba, trzęsąc pacholkiem jak gruszką — jaki Bohun?

— O dla Boga! — zawołał Rzędzian — czego jegomość tak trzęsie? Dajże jegomość pokój, niech się opamiętam, bom zgłupiał. Jegomość mi do reszty w gło-

wie przewróci. Jakież ma być Bohun? albo to go jegomość nie zna?

— Gadaj, bo cię nożem pchnę! — wrzasnął Zagłoba. — Gdzieś Bohuna widział?

— We Włodawie! Czego waszmościowie odemnie chcecie? — wołał przestraszony pacholek. — Cóżem to ja zbój...

Zagłoba odchodził od zmysłów, tchu mu zabrakło i padł na ławę, dychając ciężko; pan Michał przybył mu na pomoc:

— Kiedyś Bohuna widział? — pytał Rzędziana.

— Trzy tygodnie temu.

— To on żyje?

— Co nie ma żyć; sam mnie opowiadał, jakę go jegomość poplatał, ale się wylizal...

— I on tobie mówił, że panna pod Raszkowem?

— Któż inny?

— Słuchaj, Rzędzian, tu o życie twego pana i panny chodzi! Czy tobie sam Bohun mówił, że ona nie była w Kijowie?

— Mój jegomość, jak ona miała być w Kijowie, kiedy on ją pod Raszkowem ukrył i Horpynie przykazał pod gardłem, żeby jej nie puszczała, a teraz mnie piernacz dał i pierścień swój, żebym ja tam do niej jechał, bo jemu się rany odnowiły i sam musi leżeć, niewiadomo jak długo.

Dalsze słowa Rzędziana przerwał pan Zagłoba, który się z ławy na nowo zerwał i schwyciwszy się obu rękoma za resztki włosów, począł krzyczeć, jak szalony:

— Żyje moja córuchna na rany Boskie, żyje! to nie ją w Kijowie zabili! żyje ona, żyje, moja najmilsza!

I stary tupał nogami, śmiał się, szlochał, nakoniec chwycił Rzędziana za łeb, przycisnął do piersi i począł tak całować, że pacholek do reszty stracił głowę.

— Niechno jegomość da pokój... bo się zatknę! Jużci że ona żyje... Da Bóg, razem po nią ruszemy... Jegomość, no, jegomość!

— Puść go waszmość, niech opowiada, bo jeszcze nic nie rozumiemy — rzekł Wołodyjowski.

— Mów, mów! — wołał Zagłoba.

— Opowiadaj od początku, brateńku — rzekł pan Longinus, na którego wąsach osiadła także gęsta rosa.

— Pozwólcie, waszmościowie, niech się wysapie — rzekł Rzędzian — i okno przymknę, bo te juchy słowiki tak się drą w krzakach, że i do słowa przyjść nie można.

— Miodu! — krzyknął na czeladnika Wołodyjowski.

Rzędzian zamknął okno ze zwykłą sobie powolnością, następnie zwrócił się do obecnych i rzekł:

— Waszmościowie mi też usiąść pozwolą, bom się utrudził!

— Siadaj! — rzekł Wołodyjowski, nalewając mu z przyniesionego przez czeladnika gąsiora — pij z nami, boś na to swoją nowiną zasłużył, byleś gadał jak najpędzej.

— Dobry miód! — odpowiedział pacholek, podnosząc szklanę pod światło.

— A bodaj cię usiekli! będziesz ty gadał? — huknął Zagłoba.

— A jegomość to się zaraz gniewa! Jużci będę gadał, kiedy waszmościowie chcecie, bo waszmościom rozkazywać, a mnie słuchać, od tegom sługa. Ale już

widzę, że od początku muszę dokumentnie wszystko opowiadać...

— Mów od początku!

— Waszmościowie pamiętają, jako to przysła wiadomość o wzięciu Baru, co to nam się zdawało, że już po pannie? Tak ja wróciłem wtedy do Rzędzian, do rodzicieli i do dziadusia, co to już ma dziewięćdziesiąt lat... dobrze mówię... nie! dziewięćdziesiąt i jeden.

— Niech ma i dziewięćset!... — burknął Zagłoba.

— A niech mu Pan Bóg da jak najwięcej! Dziękuję jegomości za dobre słowo — odrzekł Rzędzian. — Tak tedy wróciłem do domu, żeby rodzicielom odwieźć, com przy pomocy Bożej zebrał między zbójami, bo to już waszmościowie wiecie, że mnie zeszłego roku ogarnęli kozacy w Czehrynie, że mnie za swego mieli, zem Bohuna rannego pilnował i do wielkiej konfidencyi z nim przyszedł, a przytem skupowałem trochę od tych złodziejów, to srebra, to klejnoty...

— Wiemy, wiemy! — rzekł Wołodyjowski.

— Otóż przyjechałem do rodziców, którzy rądzi mnie widzieli i oczom nie chcieli wierzyć, gdy im wszystko, com zebrał, pokazał. Musiałem dziadusiowi przysiądz, zem uczciwą drogą do tego przyszedł. Dopieroż się ucieszyli, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że oni mają tam proces z Jaworskimi o gruszę, co na miedzy stoi i w połowie nad Jaworskich gruntami, a w połowie nad naszymi ma gałęzie. Owóz jak Jaworscy trzęsą, to i nasze gruszki opadają, a dużo idzie na miedzę. Oni tedy powiadają, że te, co na miedzy leżą, to ich, a my...

— Chłopie, nie przywódźże mnie do gniewu! — rzekł Zagłoba—i nie mów tego, co do rzeczy nie należy...

— Naprzód, z przeproszeniem jegomości, nie jestem ja żaden chłop, jeno szlachcic, choć ubogi, ale herbowny, co jegomości i pan porucznik Wołodyjowski i pan Podbipięta, jako znajomi pana Skrzetuskiego, powiedzą, a powtóre ten proces trwa już pięćdziesiąt lat...

Zagłoba zacisnął zęby i dał sobie słowo, że się już więcej nie odezwie.

— Dobrze, rybeńko — rzekł słodko pan Longinus — ale ty nam powiadaj o Bohunie, nie o gruszkach.

— O Bohunie? — rzekł Rzędzian — niechże będzie i o Bohunie. Owóż Bohun myśli, mój jegomość, że nie ma wierniejszego sługi i przyjaciela nademnie, chociaż mnie w Czehrynie rozszczepił, bom go też co prawda pilnował, opatrywał, kiedy to go jeszcze kniazie Kurcewicze poszczerbili. Obelgałem go wtedy, że już nie chcę służby pańskiej i wolę z kozakami trzymać, bo więcej zysku między nimi, a on uwierzył. Jak nie miał wierzyć, kiedym go do zdrowia przyprowadził?! Więc też okrutnie mnie polubił i co prawda, hojnie wynagrodził, nie wiedząc o tem, żem ja sobie poprzysiągł zemścić się na nim za onę krzywdę czehryńską i że jeżeli go nie zażgał, to jeno dlatego, że nie przystoi szlachcicowi w łożu leżącego nieprzyjaciela nożem, jak świnię, pod pachę żgać.

— Dobrze, dobrze — rzekł Wołodyjowski. — To także wiemy, ale jakimżeś sposobem go teraz znalazł?

— A to, widzi jegomość, było tak: gdyśmy już Jaworskich przycisnęli (z torbami oni pójdą, nie może inaczej być!) to ja sobie myślę: no! czas i mnie będzie Bohuna poszukać i za moją krzywdę mu zapłacić. Spuściłem się rodzicielom z sekretu i dziadusiowi, a on, jako to fantazyja u niego dobra, mówi: kiedyś poprzy-

siągl, to idź, bo inaczej będziesz kiep. Więc ja poszedłem, bom sobie i to jeszcze myślał, że jak Bohuna znajdę, to się o pannie, jeśli żywa, może czegoś dowiem, a potem, jak go ustrzelę i do mego pana z nowiną pojedę, to też nie będzie bez nagrody.

— Pewnie, że nie będzie! i my cię też wynagrodzimy — rzekł Wołodyjowski.

— A u mnie masz już brateńku konika z rzędem — dodał Longinus.

— Dziękuję pokornie waszmościom panom — rzekł uradowany pacholek — bo słuszna to jest rzecz, za dobrą wieść munsztuluk, a ja też nie przepiję, co od kogo dostanę...

— Dyabli mnie biorą! — mruknął Zagłoba.

— Wyjechałeś więc z domu... — poddał Wołodyjowski.

— Wyjechałem więc z domu — mówił dalej Rzędzian — i myślę znowu: gdzie jechać? chyba do Zbaraża, bo tam i do Bohuna niedaleko i prędzej się o mojego pana dopytam. Jadę tedy, mój jegomość, jadę na Białę i Włodawę i we Włodawie — koniska już miałem srodze zmęczone — zatrzymuję się na popas. A tam był jarmark, we wszystkich zajazdach pełno szlachty; — ja do mieszczan i tam szlachta! Dopieroż jeden żyd mi powiada: miałem izbę, ale ją ranny szlachcic zajął. To mówię, dobrze się zdarzyło, bo ja opatrunek znam, a wasz cyrulik, jako to w czasie jarmarku, pewnie nie może sobie dać rady z robotą. Gadał jeszcze żyd, że ten szlachcic sam się opatruje i nie chce nikogo widzieć, a potem poszedł spytać. Ale widać tamtemu było gorzej, bo kazał puścić. Wchodzę ja — i patrzę kto leży w betach — Bohun!

— O to! — wykrzyknął Zagłoba.

— Przeżegnałem się: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! ażem się przelał, a on mnie poznał od razu, ucieszył się okrutnie (że to mnie ma za przyjaciela) i powiada: Bóg mi cię zesłał! teraz już nie umrę. A ja mówię: co jegomość tu robisz? — on zaś palec na gębę położył i dopiero później opowiadał mi swe przygody, jako go Chmielnicki do Króla Jegomości, a naonczas jeszcze królewicza, z pod Zamościa wysłał, jako pan porucznik Wołodyjowski w Lipkowie go usiekl.

— Wdzięcznie mnie wspominał? — spytał mały rycerz.

— Nie mogę, mój jegomość, inaczej powiedzieć, jak że dość wdzięcznie. Myślałem, powiada, że to jakiś wyskrobek, że to, powiada, pokurcz, a to, powiada, junak pierwszej wody, który mnie bezmała na wpół przeciął. Tylko oto, jak o jegomości panu Zagłobie wspomni, to jeszcze gorzej, jak pierwej, zgrzyta, że jegomość go do walki podjudził!...

— Niech mu tam kat świeci! Już się jego nie boję! — odparł Zagłoba.

— Przyszliśmy tedy do dawnej konfidency — mówił dalej Rzędzian — ba, jeszcze do większej i on mnie wszystko powiadał, jako śmierci był blizki, jako go do dworu w Lipkowie wzięli, mając go za szlachcica, a on też się podał za pana Hulewicza z Podola, jak go później wyleczyli, z wielką ludzkością traktując — za co im wdzięczność do śmierci poprzysiągl.

— A cóż we Włodawie robił?

— Ku Wołyniowi się przebierał, ale mu się w Parczewie rany otworzyły, bo się z nim wóz wywrócił, więc musiał zostać, chociaż i w strachu wielkim, gdyż łatwo

tam go mogli rozsiekać. Sam mnie to mówił. Byłem, powiada, wysłany z listami, ale teraz świadectwa żadnego nie mam, jeno piernacz i gdyby się zwiedzieli ktom jest, toby mnie nietylko szlachta rozsiekała, ale pierwszy komendantby mnie powiesił, nikogo o pozwolenie nie pytając. Pamiętam, że jak mi to rzekł, tak ja do niego mówię: dobrze to wiedzieć, że pierwszy komendantby jegomości powiesił. A on pyta: jakto? — Tak, rzekę, że trzeba być ostrożnie i nikomu nic nie mówić — w czym się też jegomości przysługę. Dopieroż jał mi dziękować i o wdzięczności zapewniać, jako że mnie nagroda nie minie. Teraz mówi pieniędzy nie mam, ale co mam z klejnotów, to ci dam, a później cię złotem obsypię, tylko mi jedną przysługę jeszcze oddaj.

— Aha! to już przyjdzie do kniaziówny! — rzekł Wołodyjowski.

— Tak jest, mój jegomość, muszę już wszystko dokumentnie opowiedzieć. Jak mi tedy rzekł, że teraz pieniędzy nie ma, takem do reszty serce dla niego stracił i myślę sobie: poczekaj, oddam ja ci przysługę! A on mówi: Chorym jest, nie mam siły do podróży, a droga daleka i niebezpieczna mnie czeka. Jeżeli się, powiada, na Wołyń dostanę — a stąd blisko — to już będę między swoimi, ale tam, nad Dniestr, nie mogę jechać, bo sił nie staje i trzeba, powiada, przez wraży kraj przejeżdżać, koło zamków i wojsk — jedź ty za mnie. — Więc ja pytam: a dokąd? — on na to: Aż pod Raszkow, bo ona tam ukryta u siostry Dońca, Horpyny, czarownicy. — Pytam: Kniaziówna? — Tak jest, rzeczce. Tamem ją ukrył, gdzie jej ludzkie oko nie dojrzy, ale jej tam dobrze i jako księżna Wiśniowiecka na złotogłowiach sypia.

— Mów no prędzej, na Boga! — krzyknął Zagłoba.

— Co nagle, to po dyable — odpowiedział Rzędzian. Jakem to tedy, mój jegomość, usłyszał, takem się ucieszył, alem tego po sobie nie pokazał i mówię: a pewnoż ona tam jest? bo to już musi być dawno, jakieś waćpan ją tam odwiózł? On począł się zaklinać, że Horpyna jego suka wierna, będzie ją i dziesięć lat trzymala, aż do jego powrotu i że kniaziówna tam jest, jako Bóg na niebie, bo tam ani Lachy, ani Tatarzy, ani kozaki nie przyjdą, a Horpyna rozkazu nie złamie.

Podczas gdy tak opowiadał Rzędzian, pan Zagłoba trząsł się jak w febrze, mały rycerz kiwał radośnie głową. Podbipięta oczy do nieba wznosił.

— Że ona tam jest, to już pewno — mówił dalej pacholek — bo najlepszy dowód, że on mnie do niej wysłał. Ale ja ociągałem się zrazu, żeby to niczego po sobie nie pokazać — i mówię: A poco ja tam? On zaś: Poto, że ja tam nie mogę jechać. Jeśli (powiada) żywy się z Włodawy na Wołyń przedostanę, to się każę do Kijowa nieść, bo tam już wszędzie nasi, kozacy górą, a ty, powiada, jedź i Horpynie daj rozkaz, by ją do Kijowa, do monasteru Świętej Przczystej odwiozła.

— A co! więc nie do dobrego Mikoly! — wybuchnął Zagłoba. — Zaraz mówiłem, że Jerlicz śledziennik, albo że zelgał.

— Do Świętej Przczystej! — mówił dalej Rzędzian. — Pierścień (powiada) ci dam i piernacz i nóż — a już Horpyna będzie wiedziała co to znaczy, bo taka umowa stoi i Bóg cię (powiada) tembardziej zesłał, że ona cię zna, wie, żeś mój druh najlepszy. Jedźcie razem, kozaków się nie bójcie, jeno na Tatarów baczcie, jeśliby gdzie byli i omijajcie, bo ci piernacza nie uszanują. Pie-

niądze, dukaty tam są, powiada, zakopane na miejscu w jarze, od wypadku to je wyjmij. Po drodze mówcie jeno: Bohunowa jedzie! — a niczego wam nie zbraknie. Zresztą (powiada) czarownica da sobie rady, tylko ty jedź odemnie, bo kogóż ja nieszczęsny pošę, komu zawierzę, tu w obcym kraju, między wrogami? Tak on to mnie, moi jegomoście, prosił, że prawie słuzy wylewał, w końcu kazał mi bestya przysięgać, że pojedę, a ja też przysięgłem, jeno w duchu dodałem: z moim panem! On tedy uradował się i zaraz dał mi piernacz i pierścień i nóż i co miał klejnotów, a ja też wziąłem, bom myślał: lepiej niech będzie u mnie, niż u zbója. Na pożegnanie powiedział mi jeszcze, który to jest jar nad Władynką, jak jechać i jak się obrócić, tak dokumentnie, że z zawiązanymi oczymabym trafił, co sami waszmościowie zobaczycie, gdyż tak myślę, że razem pojedziemy.

— Zaraz jutro! — rzekł Wołodyjowski.

— Co to jutro! dziś jeszcze na świtanie każem konie kulbaczyć.

Radość chwyciła wszystkich za serca i słyhać było to okrzyki wdzięczności ku niebu, to zacieranie rąk radosne, to nowe pytania rzucane Rzędzianowi, na które pacholek ze zwykłą sobie flegmą odpowiadał.

— Niech cię kule biją! — wykrzyknął Zagłoba — jakiego w tobie pan Skrzetuski ma słuę!

— Albo co? — pytał Rzędzian.

— Bo cię chyba ozłoci.

— Ja też tak myślę, że nie będzie to bez nagrody, chociaż mojemu panu z wierności słuę.

— A cóżeś z Bohunem uczynił? — pytał Wołodyjowski.

— Toż to, mój jegomość, było dla mnie umar-

twienie, że znowu on leżał chory i nie wypadło mi go zgnąć, bo to i mój panby zganil. Taki już los! Cóżem miał więc robić? Oto, gdy mnie już wszystko powiedział, co miał powiedzieć i dał, co miał dać, tak ja po rozum do głowy. Poco mówię sobie, taki złodziej ma po świecie chodzić, który i pannę więzi i mnie w Czehrynie poszczerbil? Niech go lepiej nie będzie i niech mu kat świeci! Bo i to sobie myślałem, że nuż wyzdrowieje i za nami z kozakami ruszy? Więcem niewiele myśląc, poszedł do pana komendanta Regowskiego, który we Włodawie z chorągwią stoi i doniosłem, że to jest Bohun, najgorszy z rebelizantów. Już go tam musieli do tej pory powiesić.

To rzekłszy, Rzędzian rozśmiał się dość głupowato i spojrział po obecnych, jakby czekając, aby mu zawtórowali; ale jakże się zdziwił, gdy odpowiedziano mu milczeniem. Dopiero po jakimś czasie, pierwszy Zagłoba mruknął: „Mniejsza z tem!” — ale natomiast Wołodajowski siedział cicho, a pan Longinus jął cmokać językiem, kręcić głową i wreszcie rzekł:

— Toś niepięknie postąpił, brateńku, co się zowie niepięknie!

— Jakto, mój jegomość? — pytał zdumiony Rzędzian. — Miałem go lepiej pchnąć?

— I tak byłoby nieładnie i tak nieładnie, ale nie wiem co lepiej, czy być zbójem, czy Judaszem?

— Co też jegomość mówi? Zali to Judasz jakowego rebelizanta wydawał? A to przecież i Króla Jegomości i całej Rzeczypospolitej jest nieprzyjaciel!

— Prawda to, ale ono zawsze niepięknie. A jak mówisz, ów komendant się nazywał — co?

— Pan Regowski. Mówili, że mu na imię Jakób

— To ten sam! — mruknął Litwin. — Pana Łaszczę krewny i pana Skrzetuskiego nieprzyjaciel.

Ale nie słyszano tej uwagi, bo pan Zagłoba głos zabrał:

— Mości panowie! — rzekł. — Tu niema co zwłóczyć! Bóg sprawił przez tego pacholika i tak pokierował, że w lepszych niż dotąd kondycjach będziemy jej szukali — Bogu niech będzie chwała! Jutro musimy ruszyć. Księżę wyjechał, ale już i bez jego permisji puścimy się w drogę, bo czasu niema! Pójdzie pan Wołodyjowski, ja z nim i Rzędzian — a waćpan, panie Podbipięta, lepiej zostaniesz, bo wzrost twój i prostoduszność wydałby nas mogły.

— Nie, bracie, ja też pojedę! — rzekł Litwin.

— Dla jej bezpieczeństwa musisz to uczynić i zostać. Waćpana kto raz widział, ten nigdy w życiu nie zapomni. Mamy piernacz, to prawda, ale waćpanuby i z piernaczem nie uwierzyli. Dusileś Puljana na oczach wszystkiego Krzywonosowego hultajstwa — a gdyby taka tyczka była między nimi, toćby ją znali. Nie może to być, żebyś waćpan z nami jechał. Tam trzech głów nie znajdziesz, a twoja jedna niewiele pomoże. Masz zgubić imprezę, to lepiej siedź.

— Żal — rzekł Litwin.

— Żal, nie żal, a musisz się zostać. Jak pojedziemy gniazda z drzew wybierać, to i waćpana weźmiemy, ale teraz nie.

— Słuchać hadko!

— Dajże waćpan pyska, bo mi w sercu wesolo, ale zostań. Tylko jeszcze jedno, mości panowie. Rzecz to największej wagi: sekret żeby się między żołnierstwem

nie rozniosło, a od nich do chłopstwa nie przeszło. Nikomu ani słowa.

— Ba, a księciu?

— Księcia niema.

— A panu Skrzetuskiemu, jeśli wróci?

— Jemu właśnie ani słowa, bo zarazby się wyrwał za nami; będzie miał dość czasu na radość, a broń Boże nowego zawodu — toby rozum stracił. Parol kawalerski, mości panowie, że ani słowa.

— Parol! — rzekł Podbipięta.

— Parol, parol!

— A teraz Bogu dziękujmy.

To rzekłszy, Zagłoba ukląkł pierwszy, a za nim inni i modlili się długo i żarliwie.

ROZDZIAŁ XXII.

Księżę przed kilku dniami wyjechał rzeczywiście do Zamościa, w celu czynienia nowych zaciągów, i nie rychło spodziewano się jego powrotu, więc Wołodyjowski, Zagłoba i Rzędzian ruszyli na wyprawę bez niczyjej wiedzy i w najgłębszej tajemnicy, do której z ludzi pozostałych w Zbarażu jeden tylko pan Longinus był przypuszczony, ale i on, słowem związany, milczał jak zaklęty.

Wierszull i inni oficerowie, wiedząc o śmierci kniaziówny, nie przypuszczali, by odjazd małego rycerza z Zagłobą był w jakimkolwiek związku z narzeczoną niešťczęsnego Skrzetuskiego i sądzili, że to do niego raczej wyruszyli dwaj przyjaciele, tem bardziej, że był między nimi i Rzędzian, o którym wiadano, że Skrzetuskiemu służy. Oni zaś pojechali wprost do Chebanówki i tam czynili przygotowania do pochodu.

Zagłoba zakupił przedewszystkiem, za pieniądze pożyczone od Longina, pięć rosłych koni podolskich, zdolnych do dalekich pochodów, których chętnie używała jazda polska i starszyzna kozacka; koń taki mógł dzień cały gnać za bachmatem tatarskim, a szybkością biegu przewyższał nawet tureckie, od których był wytrzymalszy

na wszelkie zmiany pogody, na noce chłodne i dżdże. Takich to pięć biegunów nabył pan Zagłoba; prócz tego, dla siebie i towarzyszków, również jak i dla kniaziówny, nabył dostatnie świty kozackie — Rzędzian zajął się jukami, a gdy już wszystko było przewidziane i gotowe, ruszyli w drogę, Bogu i świętemu Mikołajowi, patronowi panien w opiekę przedsięwzięcie oddając.

Tak przebranych łatwo było można poczytać za jakichś atamanów kozackich, i zdarzało się często, że ich zaczepiali żołnierze z załóg polskich i straży rozrzuczonych hen, aż ku Kamieńcowi — ale tym łatwo legitymował się pan Zagłoba. Jechali czas dłuższy krajem bezpiecznym, bo zajęтым przez chorągwie regimentarza Lanckorońskiego, który zbliżał się zwolna ku Barowi, aby na zbierające się tam kupy kozackie mieć oko. Wiedziano już powszechnie, że z układów nic nie będzie, więc wojna wisiała nad krajem, lubo główne siły nie ruszyły się jeszcze. Armiscycyum perejasławskie skończyło się do Zielonych Świątek; wojna podjazdowa nie ustawała naprawdę nigdy, a teraz wzmogła się — i z obu stron czekano tylko hasła. Tymczasem wiosna rozradowała się nad stepem. Stratowana kopytami końskimi, ziemia pokryła się bisiorem traw i kwiecia wyrosłego z ciał poległych rycerzy. Nad pobojuwiskami tkwiły w błękiecie skowronki; na wysokościach ciągnęło z krzykiem ptactwo rozmaite; wody rozlane marszczyły się w łuskę błyszczącą, pod ciepłym powiewem wiatru, a wieczorami żaby, pławiące się w ugrzanej fali, do późna w noc wiodły radosne rozmowy.

Zdawało się, że sama natura pragnie rany zbliżnić, bóle ukoić, mogiły ukryć pod kwiatami. Jasno było na niebie i ziemi, świeżo, powietrzno, wesoło, a step cały

jak malowany, błyszczał naksztalt złotogłowia, mienił się jak tęcza, albo pas polski, na którym zręczna robotnica wszystkie barwy wybornie ożeni. Stepy grały od ptactwa— i wiatr chodził po nich szeroki, który suszy wody i śnia- dość daje twarzom ludzkim.

Wtedy to raduje się każde serce i otuchą napelnia się niezmierną — więc też i nasi rycerze takiej otuchy byli pełni. Pan Wołodyjowski śpiewał ustawicznie, a pan Zagłoba przeciągał się na koniu, nadstawiał z lubością pleców na słońcu, i raz, gdy go dobrze zagrzało, rzekł do małego rycerza:

— Błogo mi jest, bo prawdę rzekłszy, po miodzie i węgrzynie niemasz jak słońce na stare kości.

— Dla wszystkich ono jest dobre — odpowiedział pan Wołodyjowski, gdyż zauważ waćpan, jak nawet animalia lubią się wylegiwać na słońcu.

— Szczęście to jest, że w takiej porze jedziemy po kniaziównę — mówił dalej Zagłoba — gdyż w zimie, przy mrozach, trudnoby z dziewczyną uciekać.

— Niech ją tylko w ręce dostaniemy, a szelmą jestem, jeżeli nam ją kto odbierze.

— Powiem ci, panie Michale — rzekł na to Zagłoba — że jedną mam tylko obawę, a to, żeby, w razie wojny, tatarstwo się w tamtych stronach nie ruszyło i nas nie ogarnęło — bo z kozakami damy sobie rady. Chłop- stwu wcale się nie będziemy legitymowali, bo zauważy- leś, że nas za starszych mają, a zaporozcy piernacz sza- nują i Bohunowe imię tarczą nam będzie.

— Znam ja się z Tatary, bo nam w państwie lu- bniańskim życie na ustawicznym procederze z nimi scho- dzilo, a już ja i Wierszull, to nigdy nie mieliśmy odpo- czynku — odpowiedział pan Michał.

— I ja ich znam — rzekł Zagłoba. — Wspominałem ci przecie, jakom między nimi wiele lat spędził i do godności wielkich mogłem dojść; ale żem się nie chciał zbisurmanić, więc musiałem wszystkiego poniechać i jeszcze mi śmierć męczeńską zadać chcieli za to, żem ich najstarszego księdza na wiarę prawdziwą namówił.

— A mówileś waćpan kiedyindziej, że to było w Galacie.

— W Galacie było swoją drogą, a w Krymie swoją. Bo jeżeli myślisz, że się w Galacie świat kończy, to chyba nie wiesz, gdzie pieprz rośnie. Więcej jest synów Beliala, niżeli chrześcijan na tym świecie.

Tu wtrącił się do rozmowy Rzędzian:

— Nietylko od Tatarów możemy mieć przeszkodę — rzekł — bo nie mówiłem waszmościom, co mnie Bohun powiedział, że tego jaru paskudne potęgi pilnują. Sama ona olbrzymka, która kniaziówny pilnuje, można to jest czarownica z dyablami w konfidencyi, którzy nie wiem czy jej o nas nie przestrzegają. Mam ci ja wprawdzie kulę, com ją sam na święconą pszenicę lał, gdyż inna się jej nie chwyta, ale oprócz tego upiorysków tam podobno całe regimenty, które wejścia bronią. Już to głowa ichmościów w tem, żeby mnie co złego nie spotkało, bo zarazby mi nagroda przepadła.

— Trutniu jeden! — rzecze pan Zagłoba. — Właśnie też nam w głowie o twojem zdrowiu myśleć. Nie skręci ci dyabeł karku, a choćby i skręcił, to wszystko jedno, bo ty i tak za swoje łakomstwo będziesz potępiony. Za stary ja wróbel, żeby mnie na plewy brać i to sobie zakonotuj, że jeśli Horpyna można czarownica, tom ja możniejszy czarownik, bom się w Persyi ciemnego kunsztu uczył. Ona dyablom służy, a oni mnie, i mógłbym

nimi jako wołami orać — jeno nie chcę, mając zbawienie duszy na uwadze.

— To dobrze, mój jegomość, ale na ten raz, to już niech jegomość swojej mocy użyje, bo zawsze lepiej być w bezpieczeństwie.

— Ja zaś więcej ufam w naszą dobrą sprawę i Boską opiekę — rzekł Wołodyjowski. — Niechże tam i Horpyny i Bohuna czarci strzegą, a z nami są anieli niebiescy, którym najlepszy piekielny komunik nie dotrzyma, na którego przypadek świętemu Michałowi archaniołowi siedm świec z białego wosku ofiaruję.

— To już i ja na jedną się przyłożę — rzekł Rzędzian — żeby mnie jegomość, pan Zagłoba, potępieniem nie straszyl.

— Pierwszy ja cię do piekła wyprawię — odpowiedział szlachcic — jeśli się pokaże, że miejsca nie wiesz dobrze.

— Jakto nie wiem? Byleśmy do Waładynki dojechali, to już z zawiązanymi oczyma trafię. Pojedziemy brzegiem, ku Dniestrowi, a jar będzie po prawej ręce, którego po tem poznamy, że wejście do niego skałą zawalone. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wcale wejść nie można, ale w skale jest wyrwa, przez którą dwa konie obok siebie przejdą. Jak już tam będziemy, to nam nikt nie umknie, bo to jest jedyny wchód i wychód z jaru, naokoło zaś ściany tak wysokie, że ptak ledwie przeleci. Czarownica morduje ludzi, którzy tam bez pozwolenstwa wchodzą, i jest dużo kościotrupów, ale na to Bohun nie kazał zważać, jeno jechać i krzyzczeć: Bohun! Bohun!... Dopieroż ona do nas z przyjaźnią wyjdzie. — Prócz Horpyny, jest tam jeszcze i Cze-

remis, któren z puszczeli okrutnie strzela. Oboje musimy uśmiercić.

— Onego Czeremisa nie mówić, ale babę dość będzie związać.

— Zaśby ją tam jegomość związał! Ona taka mocna, że pancierz jak koszulę rozdziera, a podkova to jeno jej w ręku chrupnie. Chyba jeden pan Podbipięta dalby jej rady, ale nie my. Dajno jegomość pokój, mam ja na nią kulę święconą; — niechże już na tę dyablicę przyjdzie czarna godzina; inaczej leciałaby za nami jak wilczyca, a na kozaków wyla — i pewniebyśmy nietylko panny, ale własnych głów zdrowo nie przywieźli.

Na podobnych rozmowach i naradach schodził im czas w drodze. A jechali śpieszno, mijając miasteczka, siola, chutory i mogiły. Szli na Jarmolince ku Barowi, skąd dopiero mieli się zwrócić ukosem w stronę Jampola i Dniestru. Przechodzili przez te okolice, w których niegdyś Wołodyjowski pobił Bohuna — i pana Zagłobę z jego rąk uwolnił. Trafili nawet do tego samego chutoru i zatrzymali się w nim na noc. Czasem też wypadały im noclegi i pod gołem niebem, w stepie, a wówczas pan Zagłoba urozmaicał je opowiadaniem dawnych swych przygód, tych, które się zdarzały, i takich, które wcale się nie zdarzyły. Ale najczęściej rozmawiano o kniaziównie i o jej przyszłym uwolnieniu z niewoli u czarownicy.

Wyjechawszy wreszcie z okolic trzymanyh w ryzie przez załogi i chorągwie Lanckorońskiego, weszli w kraj kozaczy, w którym nic nie pozostało się Lachów, bo tych, którzy nie uciekli, wytępiono ogniem i mieczem. Maj skończył się i nastał czerwiec znojny, a oni ledwie trzecią część podróży odbyli, bo droga była

daleka i trudna. Na szczęście od strony kozactwa żadne nie groziło im niebezpieczeństwo. Chłopskim watahom nie legitymowali się wcale, bo te najczęściej za starszych zaporoskich ich miały. Wszelako od czasu do czasu pytano ich, coby za jedni byli, a wówczas pan Zagłoba, jeżeli pytającym był niżowy, pokazywał piernacz Bohunów, jeśli zaś zwykły rezun z czerni, to nie zsiadając z konia, kopał go nogą w piersi i obalał na ziemię — inni zaś, patrząc na to, zaraz otwierali im drogę, myśląc, że to nietylko swój jedzie, ale i ktoś bardzo godny, skoro bije. — „Może Krzywonos, Burlaj, albo i sam bat’ko Chmielnicki“.

Wielce jednak narzekał pan Zagłoba na sławę Bohuna, bo się zbyt pytaniami o niego uprzykrzali niżowi, przez co i zwłoki w podróży zdarzały się niemałe. I zwykle nie było końca pytaniom: czy zdrów, czy żyje, bo się już wieść o jego śmierci aż pod Jahorlik i porohy rozbiegła. A gdy podróżni opowiadali, że zdrów i wolny i że jego to właśnie są wysłańcami, tedy całowano ich i częstowano; otwierały się im wszystkie serca, a nawet worki, z czego chytry pacholek pana Skrzetuskiego nie omieszkał korzystać.

W Jampolu przyjął ich Burlaj, który tu z wojskiem niżowem i czernią na Tatarów budziackich czekał, stary sławny pułkownik. Ten przed laty Bohuna rzemiosła wojennego uczył; na wyprawy czarnomorskie z nim chodził i Synopę na wspólną w jednej z takich wypraw zrabowali, więc też kochał go jak syna i wdzięcznie przyjął jego wysłańców, nie okazując najmniejszej nieufności, zwłaszcza, że zeszłego roku Rzędziana przy nim widział. Owszem, dowiedziawszy się, że Bohun żyje i na

Wołyń zdąży, ucztę z radości wysłańcom wydał i sam się na niej upił.

Obawiał się pan Zagłoba, ażeby Rzędzian, podpisany, nie wygadał się z czem niepotrzebnem, ale pokazało się, że szczwany jak lis pacholek tak się umiał obracać, że mówiąc prawdę wówczas tylko, gdy ją można było powiedzieć, sprawy przez to nie narażał, a tem większą ufność zyskiwał. Dziwnie jednak było słuchać naszym rycerzom tych rozmów, prowadzonych z jakąś straszną szczerością, w których ich nazwiska często się powtarzały.

— Słyszeli my — mówił Burlaj — że Bohun w pojedynku usieczon. A nie wiecie wy, kto jego usiekił?

— Wołodyjowski, oficer kniazia Jeremy — odpowiedział spokojnie Rzędzian.

— Ej, żeby ja go w ręce dostał, zapłaciłby mu ja za naszego sokola. Ze skóry jaby jego obdarł!

Pan Wołodyjowski ruszył na to owsianymi wąsikami i spojrzal na Burlaja takim wzrokiem, jakim chart spogląda na wilka, którego mu nie wolno uchwycić za gardziel, a Rzędzian rzekł:

— Dlatego to ja wam mówię, mości pułkowniku, jego nazwisko.

— Dyabeł będzie miał prawdziwą pociechę z tego chłopaka! — pomyślał pan Zagłoba.

— Ale — mówił dalej Rzędzian — ten nie tyle winien, bo jego sam Bohun wyzwiał, nie wiedząc, jaką szablę wyzywa. Inny tam był szlachcic, największy Bohuna wróg, który raz już kniaziównę mu z rąk wydarł.

— A to kto taki?

— At! stary opój, co się przy naszym atamanie w Czehrynie wieszal i druha dobrego jego udawał.

— Będzie on jeszcze wisiał! — wykrzyknął Burlaj,

— Kpem jestem, jeżeli temu pokurczowi uszu nie obetnę — mruknął Zagłoba.

— Tak go usiekli — powiedział Rzędzian — że innego dawnoby już kruki dziobały, ale w naszym atamanie dusza rogata i wyzdrowiał, chociaż do Włodawy ledwie się dowłókl i tamby też pewno rady sobie nie dał, żeby nie my. My jego na Wołyń wyprawili, gdzie nasi góra, a samych tu po dziewczynę wysłał.

— Zgubią jego te czarnobrewy — mruknął Burlaj — i ja jemu to dawno przepowiadał. A czy to mu nielepiej było poigrać z dziewczyną po kozacku, a potem kamień do szyi i w wodę, jak my na Czarnem morzu robili?

Tu ledwie wytrzymał pan Wołodyjowski, tak był w swoim sentymencie dla płci białej zraniony. Zagłoba zaś rozśmiał się i rzekł:

— Pewnieby tak lepiej.

— Ale wy dobre druhy! — mówił Burlaj — wy jego nie opuścili w potrzebie, a ty mały (tu zwrócił się do Rzędziana), ty najlepszy ze wszystkich, bo ja już ciebie w Czehrynie widział, jak ty naszego sokoła pilnował i hołubił. No! tak i ja wam druh — wy mówcie, czego wam potrzeba, mołojców, czy koni? tak ja wam dam. żeby się wam gdzie z powrotem krzywda nie stała.

— Mołojców nam nie potrzeba, mości pułkowniku — odrzekł Zagłoba — bo my swoi ludzie i swoim krajem pojedziemy, a Bóg nie daj złego spotkania, to z wielką watahą gorzej jak z małą, ale konie co najściglejsze, toby się przydały.

— Dam wam takie, że ich i bachmaty chanowe nie dogonią.

Wtem Rzędzian odezwał się, nie tracąc sposobnej pory:

— I hroszi mało nam daw atama., bo sam ne maw, a za Braclawiem miara owsa talara.

— To chody ze mną do komory — rzekł Burlaj.

Rzędzian nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i zniknął wraz ze starym pułkownikiem za drzwiami, a gdy po chwili ukazał się znowu, radość biła mu z puculowatego oblicza i siny żupan odymał mu się jakoś na brzuchu.

— No, jedźcie z Bogiem — ozwał się stary kozak — a jak dziewczynę weźmiecie, tak wstąpcie do mnie, niech i Bohunową zuzulę zobacze.

— Nie może to być, moście pułkowniku — odrzekł śmiało pacholek — bo ta Laszka okrutnie się stracha i raz się już nożem pchnęła. Boimy się, by jej co złego się nie stało. Lepiej niech już ataman sobie z nią radzi.

— Poradzi; nie będzie ona mu się strachała. Laszka biloruczka! kozak jej śmierdzi! — mruknął Burlaj. — Jedźcie z Bogiem! niedaleko już macie!

Z Jampola niezbyt już było daleko do Waładynki, ale droga trudna, a raczej ustawiczne bezdroże rozpóścierało się przed rycerzami, bo w owych czasach tamtejsze okolice były jeszcze pustynią, zrzadka tylko osiadłą i zabudowaną. Szli tedy od Jampola, nieco na zachód, oddalając się od Dniestru, aby iść następnie z biegiem wód Waładynki, ku Raszkowowi, bo tylko tak idąc, można było trafić do jaru. Na niebie bielil się świt, gdyż uczta u Burlaja przeciągnęła się do późnej nocy i pan Zagłoba wyrachował, że przed zachodem słońca nie odnajdą jaru, ale było to mu właśnie na rękę, chciał bowiem po uwolnieniu Heleny zostawić noc za sobą. Tym-

czasem jadąc, rozmawiali jak dotychczas służyło im we wszystkim szczęście przez całą drogę, a pan Zagłoba, wspominając im ucztę Burlajową, tak mówił:

— Przypatrzcie się jeno, jak to ci kozacy, którzy żyją w bractwie, wspierają się wzajemnie w każdym terminie. Nie mówię o czerni, którą oni pogardzają i dla której, jeżeli dyabeł im pomoże zrzucić naszą zwierchność, gorszymi jeszcze będą panami; ale w bractwie jeden za drugiego w ogień skoczyć gotowy, nie tak-jak między naszą szlachcią.

— Gdzie tam, mój jegomość — odparł na to Rzędzian. — Byłem ja między nimi długo i widziałem, jako się między sobą, niby wilki, zażerają, a gdyby Chmielnickiego nie stało, który ich to siłą, to polityką w ryzie trzyma, wnetby się ze szczeniem pozażerali. Ale ten Burlaj, to jest wielki między nimi wojownik i sam Chmielnicki jego szanuje.

— Ale ty pewnie już masz dla niego kontempt, bo ci się obedrzeć pozwolił. Ej Rzędzian, Rzędzian! nie umrzesz ty własną śmiercią!

— Co komu pisano, mój jegomość; wszakże nieprzyjaciela w pole wywieść chwalebna to jest rzecz i Bogu miła.

— To też nie to ci się gani, ale twoją chciwość. Chłopski to sentyment, szlachcica niegodny, za który pewnie będziesz potępiony.

— Nie pożałuję ja na świecę do kościoła, jak mi się uda zarobić, aby też i Pan Bóg miał ze mnie korzyść i nadal mnie błogosławił; a że rodziciele wspomagam, to nie grzech.

— Co za szelma na cztery nogi kuta! — wykrzyknął, zwracając się do Wołodyjowskiego, pan Zagłoba. —

Myslałem, że razem ze mną i fortele moje pójdą do trumny, ale widzę, że to frant jeszcze większy. Toż my przez chytróść tego pacholka uwolnimy naszą kniaziównę od Bohunowej niewoli, za Bohunowem pozwoleniem i na Burlajowych koniach. Widziałże kto kiedy podobną rzecz? A na pozór trzech groszybyś za tego pacholka nie dał.

Rzędzian uśmiechnął się z zadowoleniem i odrzekł:

— Albo to nam będzie źle, mój jegomość?

— Udałeś mi się i żeby nie twoja chciwość, tobym cię do służby wziął; ale skoroś Burlaja tak w pole wywiódł, już ci to, żeś mnie nazwał opojem, przebaczam.

— To nie ja tak jegomości nazwałem, jeno Bohun.

— Bóg go też skaral — odrzekł Zagłoba.

Na takich rozmowach zeszedł im ranek, ale gdy już słońce wytoczyło się wysoko na sklep niebieski, chwyciła ich powaga, bo za kilka godzin mieli ujrzeć Władędynkę. Po długiej podróży byli nakoniec u celu, ale niepokój, naturalny w podobnych wypadkach, wkradł im się do serc. Żyje-li jeszcze Helena? a jeżeli żyje, to czy znajdują ją w jarze? Horpyna mogła ją wywieźć, lub może ją w ostatniej chwili ukryć gdzieś w nieznanym rozpadlinach jaru, albo uśmiercić. Przeszkody nie były jeszcze przezwyciężone, niebezpieczeństwa wszystkie nie minęły. Mieli wprawdzie wszystkie znaki, po których Horpyna powinna była ich rozeznac, jako Bohunowych wysłańców, pełniących jego wolę — ale nuż dyabły lub duchy ją ostrzegą? Tego obawiał się najwięcej Rzędzian, a i pan Zagłoba, choć się miał za biegłego w ciemnym kunszcie, nie myślał o tem bez niepokoju. W takim bowiem razie zastaliby jar pusty, ale co gorsza, kozaków z Raszkowa, ukrytych w nim na zasadzce. Serca biły im coraz mo-

cniej, a gdy wreszcie po kilku jeszcze godzinach drogi, z wysokiej krawędzi jaru ujrzeli błyszczącą zdala wstążkę wody, pucułowała twarz Rzędziana przybladła trochę.

— To Waładynka! — rzekł przyciszonym głosem.

— Już? — pytał równie cicho Zagłoba. — Jak my to już blisko...

— Oby nas tylko Bóg ustrzegł! — odparł Rzędzian. — Mój jegomość, niechno jegomość pocznie zakłęcia, bo okrutnie się boję.

— Głupstwo zakłęcia! Przeżegnamy rzekę i czeluście — to lepiej pomoże.

Pan Wołodyjowski najspokojniejszy był ze wszystkich, ale milczał; obejrzał tylko starannie pistolety i podsypał na nowo, poczem zmacał, czy szabla lekko wychodzi z pochwy.

— Mam i ja kulę święconą w tym oto pistolecie — rzekł Rzędzian. — W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! ruszajmy!

— Ruszajmy! ruszajmy!

Po jakimś czasie znaleźli się nad brzegiem rzeczki i zwrócili konie w kierunku jej biegu. Tu pan Wołodyjowski zatrzymał ich na chwilę i rzekł:

— Niech Rzędzian weźmie piernacz, bo jego czarownica zna, i niechże pierwszy z nią paktuje, żeby się nas nie przestraszyła i nie uciekła w jaką czeluść z kniaziówną.

— Ja pierwszy nie pojedę, róbcie waszmościowie co chcecie — rzekł Rzędzian.

— To jedź, trutniu, na ostatku.

To powiedziawszy, pan Wołodyjowski ruszył pierwszy, za nim jechał pan Zagłoba, a w końcu z powodnymi końmi clał Rzędzian, oglądając się niespokojnie na

wszystkie strony. Kopyta końskie szczękały po kamieniach, naokół panowała głucha cisza pustyni, jeno szarańcze i koniki polne, ukryte w rozpadlinach i szparach, sykały głośno, bo dzień był znojny, chociaż słońce zeszło już znacznie z południa. Jeźdźcy nadjechali nakoniec na wzgórze, okrągłe, jak przewrócona tarcza rycerska, nad którem rozpadające się i zwietrzałe od słońca skały tworzyły kształty podobne do rumowisk, do zwalisk domów i wież kościelnych; myślałbyś: zamek lub miasto zburzone wczoraj przez nieprzyjaciela. Rzędzian spojrział i trącił pana Zagłobę.

— To wraże uroczyszczce — rzekł — poznając z tego, co mnie Bohun powiedział. Tędy w nocy nikt żywy nie przejdzie.

— Jeśli nie przejdzie, to może przejedzie — odparł Zagłoba. — Tfu! co za jakiś przeklęty kraj. Ale że przynajmniej na dobrej jesteśmy drodze!

— To już niedaleko! — rzekł Rzędzian.

— Chwała Bogu — odpowiedział pan Zagłoba i myśl jego uniosła się ku kniaziównie.

Było mu jakoś dziwnie na duszy i widząc te dzikie brzegi Waładynki, tę pustynię i głuszę, prawie nie wierzył sobie, żeby kniaziówna mogła być tak blisko — ona, dla której tyle przygód i niebezpieczeństw przebył, i którą tak pokochał, że gdy przyszła wieść o jej śmierci, to sam nie wiedział, co robić z życiem i starością. Ale z drugiej strony, człowiek oswaja się nawet z nieszczęściem, pan Zagłoba zaś przez tyle czasu żył się z myślą, że ona porwana, daleko i w Bohunowej mocy, iż teraz nie śmiał sobie powiedzieć: oto już nadchodzi koniec tęsknoty, koniec poszukiwań, nadchodzi czas pomyślności i spokoju. Przytem i inne pytania cisnęły

mu się do głowy: co też ona powie, gdy go ujrzy? załże się we łzach nie rozplynie? bo ten ratunek po tak długiej i ciężkiej niewoli spadnie na nią jak piorun niespodzianie. Bóg ma swoje dziwne drogi — myślał Zagłoba — i tak potrafi wszystko powiązać, że z tego jest tryumf encocie, a zawstydzienie nieprawościom. Bóg to oddał naprzód Rzędziana w ręce Bohuna, a potem uczynił z nich przyjaciół. Bóg to sprawił, że wojna, sroga matka, odwołała dzikiego atamana z tych pustkowi, do których łup swój jak wilk uniósł. Bóg później wydał go w ręce Wołodyjowskiego i znowu zetknął z Rzędzianem — i tak się wszystko ułożyło, że teraz ot, gdy tam Helena resztę nadziei może traci — i już znikąd nie spodziewa się pomocy — pomoc tuż! „Kończy się twoje płkanie, córuchno moja — myślał dalej Zagłoba — i niezadługo przyjdzie na cię radość niezmierna. Oj! a będziez ona wdzięczna, będzie rączki składała! a dziękowała!”

Tu stanęła dziewczyna panu Zagłobie w oczach jakoby żywa — i rozczulił się szlachcic okrutnie i pogrążył się całkiem w zamysleniu o tem, co to za chwilę się zdarzy?

Wtem Rzędzian pociągnął go z tyłu za rękaw:

— Jegomość!

— A co? — spytał Zagłoba, niekontent, iż mu przerwano bieg myśli.

— Czy jegomość widział? wilk pomknął przed nami.

— To i cóż?

— A czy to tylko był wilk?

— Całujże go w nos.

W tej chwili Wołodyjowski zatrzymał konia.

— Czyśmy drogi nie zmylili? — pytał — bo to jużby powinno być.

— Nie! — odrzekł Rzędzian — tak jedziemy, jak Bohun mówił. Dalby Bóg, ażeby to już było po wszystkim.

— Będzie niedługo, jeżeli dobrze jedziemy.

— Chciałem też jeszcze waszmościów prosić, aby, jak będę gadał z czarownicą, na owego Czeremisa uważać; wielki to ma być paskudnik, ale podobno z rusznicy okrutnie strzela.

— Nie hój się — jazda!

Zaledwie ujechali kilkadziesiąt kroków, konie poczęły tulić uszy i chrapać. Na Rzędzianie skóra zmieniła się w jaszczur, bo spodziewał się, że lada chwila, z zażalumu skały, rozlegnie się wycie upióra, lub wytoczy się jaki kształt szkaradny a nieznany — ale pokazało się, że konie chrapały tylko dlatego, że przechodziły tuż koło legowiska owego wilka, który tak poprzednio zaniepokoił pacholka. Naokół była cisza; nawet szarańcze przestały ksykać, bo już i słońce schyliło się na drugą stronę nieba. Rzędzian przeżegnał się i uspokoił.

Nagle Wołodyjowski wstrzymał konia.

— Widzę jar — rzekł — do którego gardziel skałą zatkana, a w skale wyrwa.

— W imię Ojca i Syna i Ducha — szepnął Rzędzian — to tu!

— Za mną! — skomenderował pan Michał, skręcając konia.

Po chwili stanęli u wyrwy i przejechali jakby pod sklepieniem kamiennem. Otworzył się przed nimi jar głęboki, gęsto zarośnięty po bokach, rozsuwający się w dali w obszerną półkolistą równinę, obwiedzioną jakby olbrzymi murami.

Rzędzian począł wołać, ile mu sił w piersiach starczyło:

— Bo-hun! Bo-hun! Bywaj więdmo! bywaj! Bohun! Bohun!

Zatrzymali konie i stali przez czas jakiś w milczeniu, poczem pacholek znów jął wołać:

— Bohun! Bohun!

Zdała doszło szczekanie psów.

— Bohun! Bohun!...

Na lewym zrębie lasu, na który padały czerwone i złote promienie słońca, poczęły szeleścić gęste krzewy głogu i dzikiej śliwiny i po chwili ukazała się, niemal na samym szczycie stoku, jakaś postać ludzka, która, przechyliwszy się i przykrywszy ręką oczy, wpatrywała się pilnie w przybyłych.

— To Horpyna! — rzekł Rzędzian, i zwinąwszy dłonie koło ust, począł po raz trzeci wołać:

— Bohun! Bohun!

Horpyna poczęła schodzić i idąc, wyginała się w tył dla równowagi. Szła szybko, a za nią toczył się jakiś mały, krępy człowieczek, z długą turecką rusznicą w ręku; krze łamały się pod potężnymi stopami więdmy, kamienie spadały z pod nich, huczając, na dno jaru i tak przechylona, w czerwonych blaskach, wydawała się istotnie jakąś olbrzymią, nadprzyrodzoną istotą.

— Kto wy? — rzekła wielkim głosem, stanąwszy na dnie.

— Jak się masz, basetlo? — rzekł Rzędzian, któremu na widok ludzi, nie duchów, wróciła cała zwykła flegma.

— Ty, sługa Bohunów? ty! poznaję cię! Ty mały! a ci, co za jedni?

— Druhy Bohunowi.

— Krasna wiedźma — mruknał pod wąsikami pan Michał.

— A poco wy tu przyjechali?

— Masz tu piernacz, nóż i pierścien — wiesz co to znaczy?

Olbrzymka wzięła znaki do ręki i poczęła je pilnie rozpatrywać, poczem rzekła.

— Te same są! wy po kniaziównę?

— Tak jest. A zdrowa ona?

— Zdrowa. A czemu to Bohun sam nie przyjechał?

— Bohun ranny.

— Ranny? ja to we młynie widziała.

— Jeżeliś widziała, to czego pytasz? lżesz, waltornio! — rzekł poufale Rzędzian.

Wiedźma pokazała w uśmiechu białe jak u wilka zęby i złożywszy dłoń w kulak, szturchnęła pod bok Rzędziana.

— Ty, mały, ty!

— Pójdiesz precz!

— Nie daruj! pocałuj! hu! A kiedy weźmiecie kniaziównę?

— Zaraz, jeno koniom odpoczniemy.

— To bierzcie! pojedę i ja z wami.

— A ty poco?

— Memu bratu śmierć pisana. Jego Lachy na pal wsadzą. Pojedę z wami.

Rzędzian pochylił się w kulbace, niby dla łatwiejszej rozmowy z olbrzymką, i ręka jego spoczęła nieznacznie na kolbie pistoletu.

— Czeremis, Czeremis! — rzekł, pragnąc zwrócić uwagę swych towarzyszków na karla.

— Poco ty jego wołasz? on ma język urźnięty.

— Ja jego nie wołam, jeno się jego urodzie dziwuję. Ty jego nie odjedziesz — on twój mąż.

— On mój pies.

— I was tylko dwoje w jarze?

— Dwoje — kniaziówna trzecia!

— To dobrze. Ty jego nie odjedziesz.

— Pojadę z wami, mówiłam ci.

— A ja ci mówię, że zostaniesz.

W głosie pacholka było coś takiego, że olbrzymka odwróciła się na miejscu z twarzą niespokojną: bo podejrzenie wstąpiło jej nagle w duszę.

— Szczo ty? — rzekła.

— Ot szczo ja! — odparł Rzędzian i huknął jej między piersi z pistoletu tak z blizka, że dym zakrył ją na chwilę zupełnie.

Horpyna cofnęła się w tył z rozkrzyżowanemi rękoma; oczy wylazły jej na wierzch głowy, jakieś nie-ludzkie skrzeczenie wyszło jej z gardzieli, zachwiała się i padła na wznak jak długa.

W tej samej chwili pan Zagłoba ciął Czeremisa szablą przez głowę, aż kość zgrzytnęła pod ostrzem; potworny karzeł nie wydał ani jęku, tylko zwinął się w kłębek jak robak i począł drgać, palce zaś u jego rąk otwierały się i zamykały naprzemian, nakształt pazurów konającego rysia.

Zagłoba obtarł połą od żupana dymiącą szablę, a Rzędzian skoczył z konia i chwyciwszy kamień, rzucił go na szerokie piersi Horpyny, następnie począł szukać czegoś za pazuchą.

Olbrzymie ciało wiedźmy kopało jeszcze ziemię nogami, konwulsya wykrzywiła jej straszliwie twarz, na

wyszczerzonych zębach osiadła krwawa piana, a z gardła wychodziło głuche chrapanie.

Tymczasem pacholek dobył z zanadru kawałek kredy święconej, naznaczył nią krzyż na kamieniu i rzekł:

— Teraz nie wstanie.

Poczem wskoczył na kulbakę.

— W konie! — skomenderował pan Wołodyjowski.

Pomknęli i biegli jak wichur wzdłuż krynicy biegnącej środkiem jaru; minęli dęby rozrzucone zrzadka po drodze i oczom ich ukazała się chata: dalej wysoki młyn, którego wilgotne koło błyszczało, jak czerwona gwiazda w promieniach słońca. Pod chatą dwa czarne, ogromne psy, uwiązane na postronkach przy węglach, rwały się ku nadjeżdżającym, szczekając z wściekłością i wyjąc. Pan Wołodyjowski jechał pierwszy i pierwszy doleciał; z konia zeskoczył, a następnie dobiegłszy do drzwi wchodowych, kopnął je nogą i wpadł do sieni... brzęcząc szablą.

W sieni na prawo, przez otwarte drzwi, widać było obszerną izbę, pełną wiórów, z ogniskiem ułożonem w środku, napelnioną dymem; na lewo drzwi były zamknięte. „Tam ona musi być!” — pomyślał pan Wołodyjowski — i skoczył ku nim.

Szarpnął, otworzył — wpadł na próg i w progu stanął jak wryty.

W głębi izby, ręką oparta o krawędź łoża, stała Helena Kurcewiczówna, blada, z rozpuszczonym na plecy i ramiona włosem, a przerażone jej oczy, utkwione w Wołodyjowskiego, pytały: ktoś ty jest? czego tu chcesz? — bo nigdy przedtem nie widziała małego rycerza — on zaś zdumiał się na widok tej piękności i tej

komnaty, pokrytej aksamitami i złotogłowiem. Nakoniec przyszedł do słowa i rzekł pośpiesznie:

— Nie bój się waćpanna, my Skrzetuskiego przyjaciacie!

Wówczas kniaziówna rzuciła się na kolana.

— Ratuście mnie! — wołała, składając ręce.

Ale w tej samej chwili wpadł pan Zagłoba, trzęsący się, czerwony, zdyszany.

— To my! — krzyczał — to my z pomocą!

Usłyszawszy te słowa i ujrzawszy znajomą twarz, kniaziówna przechyliła się jak kwiat podcięty, ręce jej opadły, oczy pokryły się frendzlistemi zasłonami i zemdlała.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine of five cents a day is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.

~~DUE JAN 22 1917~~ FEB 2 '52 H

~~DUE JAN 29 1924~~

~~MAR 24 1930~~

~~MAY 28 '52 H~~

~~MAY 28 1951~~

~~DUE DEC 28 1951~~

~~DUE AUG 28 '53~~

~~DUE MAR 23 '35~~

~~DEC 15 '51 H~~

